

Anne Rice

Godzina Czarownic

The witching hour

Tom 2

Przełożyła: Hanna Pustula

Wydanie polskie: 1995

TMN

Pierwsze cztery części akt zawierają materiał, który Petyr van Abel spisał specjalnie dla Talamaski, posługując się łaciną, a przede wszystkim łacińskim szyfrem stosowanym przez Talamaskę od czternastego do osiemnastego wieku, by uczynić treść listów i dzienników niedostępną wścibskim oczom. Wiele fragmentów zostało zapisane również w języku angielskim, bowiem Petyr van Abel, chcąc przekazać dialogi oraz pewne myśli i uczucia w sposób bardziej naturalny niż mógł na to pozwolić starożytny łaciński szyfr, miał zwyczaj używać angielskiego, gdy przebywał wśród Francuzów, a francuskiego, gdy znajdował się wśród Anglików.

Niemal cały materiał ma formę listów, która była w owym czasie i aż po dzień dzisiejszy podstawową formą raportów kierowanych do archiwów Talamaski.

Zgromadzeniu przewodził wówczas Stefan Franck. Większość zawartych w aktach listów kierowana jest właśnie do niego i charakteryzuje się swobodnym, osobistym, niekiedy zupełnie nieoficjalnym tonem. Petyr van Abel nie zapominał jednak nigdy, iż jego pisma są przeznaczone do archiwów; starannie wyjaśniał wszelkie szczegóły na użytek niepoinformowanego czytelnika. Dlatego opisywał kanały Amsterdamu, chociaż zwracał się do osoby mieszkającej nad jednym z nich.

Tłumacz niczego nie pominął. Adaptacji oryginalnego materiału dokonano jedynie tam, gdzie tekst listów i zapisów w dziennikach uległ zniszczeniu i jest

nieczytelny lub, gdy słowa i frazy starożytnego łacińskiego szyfru są niejasne dla współczesnych uczonych Zgromadzenia czy też, gdy archaiczne angielskie zwroty utrudniłyby dzisiejszemu odbiorcy właściwe zrozumienie znaczenia. Oczywiście, pisownia została unowocześniona.

Współczesny czytelnik powinien wziąć pod uwagę, że język angielski używany w owym czasie – w końcu siedemnastego wieku – miał niemal to samo brzmienie co obecnie. Zwroty i wyrażenia, takie jak „całkiem niezły”, „wydaje mi się” czy „przypuszczam”, były w powszechnym użyciu. Nie zostały zatem wprowadzone przez tłumacza, lecz znajdujemy je w oryginalnym tekście.

Jeżeli odniesiemy wrażenie, że świat, który opisuje Petyr, jest zaskakująco „egzystencjalny” jak na tamtą epokę, wystarczy ponownie przeczytać Szekspira tworzącego siedemdziesiąt pięć lat wcześniej od naszego autora by uświadomić sobie, jak głęboko zakorzeniony był w świadomości ateizm i egzystencjalizm myślicieli owych czasów i z jaką ironią odnosili się oni do otaczającej ich rzeczywistości. To samo można by powiedzieć o stosunku Petyra van Abła do spraw płci. Wielkie zahamowania dziewiętnastego stulecia sprawiają, że zapominamy niekiedy, iż wieki: siedemnasty i osiemnasty były o wiele bardziej liberalne w sprawach ciała.

Wracając do Szekspira warto powiedzieć, że Petyr darzył go szczególnym uczuciem i z ogromną przyjemnością czytywał zarówno jego sztuki jak i sonety. Często nazywał go „swoim filozofem”.

Pełna historia Petyra van Abła, warta opowiedzenia sama dla siebie, zawarta jest w siedemnastu opatrzonych jego imieniem tomach, w których znajdziemy komplet napisanych przez niego raportów dotyczących wszystkich spraw, jakie kiedykolwiek badał. Przeznaczeniem wszelkich przekazów van Abła od początku było znalezienie się w archiwach Talamaski.

W naszym posiadaniu znajdują się również dwa powstałe w Amsterdamie jego portrety. Pierwszy, namalowany przez Franza Halsa specjalnie dla Roemera Franza, w owym czasie głowy Zgromadzenia, przedstawia wysokiego

jasnowłosego młodzieńca o nordyckiej urodzie, z owalną twarzą, wydatnym nosem, wysokim czołem i wielkimi przenikliwymi oczyma. Drugi, pędzla Thomasa de Keysera powstały około dwudziestu lat później, ukazuje mężczyznę o cięższej budowie i pełniejszej, chociaż wciąż charakterystycznie pociągłej twarzy, ze starannie przystrzyżonymi wąsami, brodą i długimi blond lokami opadającymi na ramiona spod kapelusza z szerokim rondem. Na obu portretach Petyr sprawia wrażenie człowieka bardzo swobodnego i w pewien szczególny sposób pogodnego, co zresztą jest charakterystyczne dla wielu wizerunków mężczyzn portretowanych w owym czasie przez holenderskich malarzy.

Petyr należał do Talamaski od wczesnego dzieciństwa aż do swojej śmierci, która położyła kres jego czterdziestotrzyletniemu życiu. Zginął podczas wykonywania swoich obowiązków – o czym dowiemy się z ostatniego raportu, jaki van Abel sporządził dla Talamaski.

Wszystkie relacje są zgodne, co do faktu, że Petyr był nie tylko gawędziarzem i słuchaczem z prawdziwego zdarzenia, lecz także urodzonym pisarzem, a oprócz tego namiętnym i impulsywnym człowiekiem. Kochał artystyczny świat Amsterdamu i chętnie spędzał długie godziny w pracowniach malarzy. Nigdy jednak nie odrywał się od swoich badań, a jego komentarze bywają rozwlekłe, przesycone szczegółami, czasem nieumiarkowanie emocjonalne. Niektórych czytelników mogą irytować. Dla innych zapewne okażą się bezcenne, gdyż oprócz barwnych opisów wydarzeń, których był świadkiem, autor przekazał nam również wyraźny ślad własnej osobowości.

Petyr posiadał pewną ograniczoną zdolność odczytywania myśli (sam przyznawał, iż niechęć i obawa, jaką budził w nim ów talent, przeszkodziły mu rozwinąć go w pełni); potrafił także wprawiać w ruch niewielkie przedmioty, zatrzymywać zegary i wykonywać podobne „sztuczki”.

Pierwszy kontakt z Talamaską Petyr nawiązał wtedy, gdy, jako ośmioletni sierota wędrował po ulicach Amsterdamu. Przeczuwając, że Dom jest schronieniem dla dusz podobnie jak on „innych”, kręcił się w pobliżu, by w

końcu pewnej zimowej nocy zasnąć na frontowych schodach, gdzie niechybnie by zamarznął, gdyby Roemer Franz nie znalazł go i nie zabrał do środka. Później odkryto, iż Petyr otrzymał był staranne wykształcenie i potrafi czytać zarówno po łacinie jak i po holendersku, a także rozumiał język francuski.

Zachował jedynie mgliste i rozproszone wspomnienia o rodzicach i spędzonych z nimi najwcześniejszych latach życia; podjął jednak samodzielną próbę zbadania swojego pochodzenia, w wyniku której udało mu się nie tylko ustalić tożsamość ojca, Jana van Abla, słynnego chirurga z Lejdy, lecz także odnaleźć liczne jego dzieła, zawierające jedne z najwspanialszych medycznych i anatomicznych ilustracji owych czasów.

Petyr często powtarzał, że Talamasca jest mu matką i ojcem. Nikt nigdy nie był bardziej oddany Zgromadzeniu niż on.

AARON LIGHTNER

Talamasca, Londyn, 1954 rok

* * *

CZAROWNICE MAYFAIR

Część I / Transkrypcja pierwsza

Z pism Petyra von Abla dla Talamaski

1689 rok

Wrzesień 1689 roku, Montecleve, Francja

Drogi Stefanie, Nareszcie przybyłem do Montecleve, położonego na samym skraju gór Cevennes – to jest na ich przedgórzu – by ujrzeć to ponure warowne miasteczko o dachach krytych dachówką i w rzeczy samej przerażających bastionach, gotujące się do egzekucji potężnej wiedźmy.

Panuje tu teraz wczesna jesień; powietrze w dolinie jest rześkie, choć wciąż jeszcze czuć w nim tchnienie śródziemnomorskiego żaru, a od bram miasta rozpościera się radujący serce widok winnic rodzących miejscowe wino,

Blanquette de Limoux.

Jako iż dzisiejszego wieczoru wypilem ponad moją zwykłą miarę, mogę zaświadczyć, że istotnie jest ono tak doskonałe, jak utrzymują tutejsi nieszczęśni mieszczanie.

Lecz, wiesz o tym Stefanie, iż w sercu moim nie ma miłości do owej okolicy, bowiem pobliskie góry wciąż jeszcze rozbrzmiewają echem lamentów mordowanych katarów, których tak wielu spalono tu przed wiekami. Ileż stuleci musi upłynąć, zanim krew ich wsiąknie w ziemię dość głęboko, by móc o niej zapomnieć?

Talamasca będzie zawsze pamiętać. My, którzy żyjemy w świecie ksiąg i kruchego pergaminu, migocących świec i mrużonych w półmroku oczu, nigdy nie oddalamy się od przeszłości. Dla nas dzieje się ona teraz. W mojej pamięci wciąż rozbrzmiewają, usłyszane wcześniej niż słowo „Talamasca”, opowieści ojca o spalonych na stosach heretykach i rozpowszechnianych przeciw nim oszczerstwach. Bowiem wiele owych kłamliwych wydawnictw trafiło również i do jego rąk.

Jednak jakież to ma związku z tragedią komtessy de Montecleve, która jutro umrzeć ma na stosie wzniesionym przed katedrą świętego Michała? Z kamienia jest to obronne miasto, lecz nie serca jego mieszkańców, jednako nic nie zdoła zapobiec kaźni komtessy. Pojmiesz to zaraz z dalszej części listu.

Serce moje krwawi, Stefanie. Nie ma dla mnie nadziei, bowiem zawładnęły mną wizje i wspomnienia. Historia, którą ci opowiem, zaiste jest zadziwiająca.

Dołożę jednak wszelkich starań, by przedstawić Ci ją w zgodzie z biegiem wydarzeń; jak zawsze spróbuję – i jak zawsze nie zdołam – ograniczyć się jedynie do tych aspektów owej smutnej przygody, które godne są zanotowania.

Pozwól mi wpierym powiedzieć, iż nie mogę zapobiec tej okrutnej egzekucji. Komtesę bowiem uznano nie tylko za zatwardziałą i potężną wiedźmę, lecz także oskarżono o użycie trucizny i zamordowanie małżonka, a obciążające ją świadectwa są nad wyraz poważne, o czym się przekonasz z dalszych moich

słów.

Nie kto inny, lecz świekra oskarżyła swoją synową o spółkowanie z Szatanem i dokonanie morderstwa; dwaj malutcy synkowie nieszczęsnej komtesy poparli babkę, zaś jedyna córka obwinionej, imieniem Charlotte, licząca sobie lat dwadzieścia i niezwykle urodziwa, zbiegła wraz ze swym pochodzącym z Martyniki młodym małżonkiem i z maleńkim synkiem do Zachodnich Indii, uchodząc w ten sposób oskarżenia o czary.

Lecz w rzeczywistości nie wszystko jest takie, jakim się może wydawać. Odśloneń ci, co udało mi się odkryć, proszę tylko, byś uzbroił się w cierpliwość, albowiem zacznę od samego początku, zagłębiwszy się wprzódy w mroki przeszłości. Znajdziesz tu opowieść o wielu rzeczach interesujących dla Talamaski. Nie ma jednak nadziei, byśmy zdołali coś uczynić.

Piszę te słowa w udręce, znam bowiem komtesę; zdązałem tu z podejrzeniem, iż mogę ją znać, modląc się iżbym się mylił.

Kiedy ostatni raz pisałem do ciebie, gotowałem się właśnie do opuszczenia państw niemieckich, znużon śmiertelnie szalejącymi w nich straszliwymi prześladowaniami i boleśnie świadom, jak mało jestem w stanie uczynić, by im zapobiec. W Trewirze byłem świadkiem dwóch masowych kaźni na stosie; okrutne cierpienia zadawali swym ofiarom duchowni protestancy, równie fanatyczni jak katolicy i całkowicie z nimi zgodni w wierze, iż Szatan nawiedził owe strony i odnosi swe zwycięstwa wybierając sobie wśród mieszczan najbardziej nieprawdopodobnych współników – niekiedy zwyczajnych kpów, chociaż w większości przypadków po prostu szacowne gospodynie, piekarzy, cieśli, żebraków i owym podobnych.

Jakżeż zadziwiająca jest wiara pobożnych ludzi, iż diabeł jest tak głupi, by zwodzić jedynie ubogich i pozbawionych władzy – dlaczego nie choćby króla Francji? – i w to, że lud niezdolny jest mu się oprzeć.

Lecz my obaj niejednokrotnie już rozważaliśmy te sprawy.

Udałem się tutaj, stłumiwszy w sercu gorącą tęsknotę za Amsterdamem,

albowiem wyjątkowe okoliczności owego procesu były szeroko rozpowszechnione i zadziwiło mnie ogromnie, iż tym razem zamiast wiejskiej znachorki czy półgłówka-jąkały, co to zwykle wymienia jako swoich współników kogo popadnie, oskarżono o czary potężną komtessę.

Jednak w tej historii odnajdujemy również wiele typowych elementów, spotykanych zawsze w podobnych przypadkach, a w ich liczbie obecność cieszącego się wielką popularnością inkwizytora, ojca Louvier, przechwalającego się od lat dziesięciu, iż spalił setki wiedźm i że wytropił czarownice również i w Montecleve, jeżeli tylko takowe się znajdują w tej okolicy. Mamy tu także popularne dzieło o czarach i demonologii, pióra wyżej wspomianej osoby, szeroko rozpowszechnione we Francji i chętnie czytane przez półanalfabetów zagłębiających się w przydługie opisy demonów z taką fascynacją, jakby to były słowa Pisma Świętego, gdy w rzeczywistości to głupie sprośności.

Och, i obym nie omieszkiał wspomnieć o rycinach zdobiących owo arcydzieło przekazywane z rąk do rąk z taką rewerencją. Powodują one bowiem wielkie poruszenie, będąc niezwykle umiejętnie uczynionymi podobiznami diabłów pląsających przy świetle księżyca i starych wiedźm fruujących na miotłach i pożerających niewinne dzieciątka.

Księga ta rzuciła czar na miasto i nie zaskoczy nikogo w naszym Zgromadzeniu, gdy powiem, iż to właśnie stara komtessa sprowadziła ją tutaj; oskarżycielka swojej synowej, która ze schodów katedry oświadczyła wszem i wobec, że gdyby nie ta cenna publikacja, nie potrafiłaby rozpoznać czarownicy mieszkającej pomiędzy jej domownikami.

Ach, Stefanie, pokaż mi mężczyznę lub kobietę: którzy przeczytali tysiąc ksiąg, a będzie mi interesującym towarzyszem. Lecz pokaż mi człowieka, który przeczytał, powiedzmy, trzy – zaiste, dasz mi niebezpiecznego wroga.

Lecz znowu odbiegam od mojej opowieści.

Przybyłem do miasta o czwartej godzinie dzisiejszego wieczora,

przekroczywszy góry i zjechawszy konno ku południowi na dno doliny; zaprawdę powolna to i męcząca podróż. Gdy tylko w zasięgu mojego wzroku ukazało się miasto, jakoby zawieszona w powietrzu potężna twierdza, którą istotnie niegdyś było, natychmiast pozbyłem się wszelkich dokumentów mogących zdradzić, iż nie jestem tym, za kogo się podaję – katolickim duchownym badającym plagę czarownic, podróżującym po kraju, by przyjrzeć się schwytanym wiedźmom, by tym lepiej wyplenić je potem ze swojej własnej parafii.

Umieściwszy mogące mnie wydać przedmioty w okutej skrzynce, zakopałem je w bezpiecznym, leśnym ustroniu. Następnie odziany w najświetniejszą z mych duchownych sukien, ze srebrnym krucyfiksem na piersi i z pełnym ekwipunkiem zamożnego kapłana, podjechałem ku bramom miasta mijając po drodze wieże Chateau de Montecleve, gdzie niegdyś zamieszkiwała nieszczęsna komtessa, znana mi wówczas jedynie pod imieniem Narzeczonej Szatana lub Czarownicy z Montecleve.

Nie zwlekając zacząłem rozpytywać napotykanych ludzi, dla jakiej przyczyny wzniesiono tak ogromny stos na samym środku placu przed katedrą; i dlaczego kramarze rozstawili stragany z napojami i słodyczami, choć nie widać, by była to pora jarmarku; i czemu wybudowano owe trybuny na północ od kościoła i z boku, pod ścianą więzienia? I co spowodowało, że cztery gospody położone wiele jardów od miasta są zapełnione po brzegi końmi i powozami; i co ma oznaczać to całe zamieszanie i gadanina, i wskazywanie palcami na wysokie okratowane okno więzienia, ponad trybunami, i w końcu ów obmierzły stos?

Czyżby to wszystko miało mieć związek z Fiastą świętego Michała, przypadającą nazajutrz, dniem nazywanym tu *Michaelmas*?

Żadna, z osób, do których przemówiłem, nie ociągała się ani przez chwilę z udzieleniem mi wyjaśnień, iż nie ma to nic wspólnego ze Świętym – chociaż oto jest jego katedra – lecz dzień fiesty został wybrany ku tym większej chwale

Boga i wszystkich jego aniołów i świętych na jutrzejszą kaźń pięknej komtessy, która ma zostać żywcem spalona, bez dobrodziejstwa uprzedniego uduszenia; a to, by pokazać wszystkim czarownicom w okolicy, jakżeż licznym, że choć komtessa nie wydała współwinnych, mimo poddania jej niewypowiedzianym torturom – tak wielką władzę ma nad nią diabeł – to i tak inkwizytorzy je wszystkie wytropią.

I od owych rozmaitych osób, które, jeślibym im pozwolił, zagadałyby mnie na śmierć, dowiedziałem się następnie, że trudno by znaleźć w tej kwitnącej okolicy choć jedną rodzinę, która nie doświadczyłaby na własnej skórze wielkiej potęgi komtessy, wspaniałomyślnie uzdrawiającej złożonych niemocą, przygotowującej dla nich napoje z ziół, przykładającej dłoń do cierpiących członków, a za to wszystko nie proszącej o nic, tylko iżby pamiętano o niej w modlitwach. Cieszyła się też wielką sławą w zwalczaniu czarnej magii ostatnich czarownic i ci, na których rzucono urok, przychodzili do niej po chleb i sól mające moc odpędzania demonów.

Nigdzie nie ujrzałbyś bardziej kruczoczarnych włosów, powiedziano mi i, ach, jakżeż była piękna, zanim ją złamali, usłyszałem od kogoś innego, i „moje dziecko żyje tylko dzięki niej”, i że komtessa potrafiła uleczyć najcięższą gorączkę, a także iż w dni świąteczne rozdawała swoim poddanym złoto, i że miała dla wszystkich tylko uprzejme słowa.

Stefanie! Pomyślałbyś, iż miałem ujrzeć kanonizację, a nie egzekucję. Bowiem od nikogo, z kim bym rozmawiał podczas tej pierwszej godziny spędzonej w mieście, kiedy zawracałem konia tu i tam w wąskich uliczkach, jakbym nie mógł odnaleźć drogi, i zatrzymywałem go, by przemówić do każdej napotkanej osoby, zaprawdę od nikogo nie usłyszałem o komtessie ani jednego złego słowa.

Lecz nie łudźmy się co do prawdziwej natury ich uczuć. To, że ta dobra i wielka pani zginie w płomieniach na ich oczach, wstrząsnęło tak bardzo tym prostym ludem, gdyż uroda i dobroć komtessy czynią z jej śmierci tym

wspanialszy spektakl ku ich rozrywce. Trzeba ci wiedzieć, iż wymowne pochwały, jakimi obdarzali tę kobietę, budziły lęk w moim sercu; gorliwość, z jaką ją opisywali i błysk w oku, gdy mówili o jej śmierci sprawiły, że wkrótce miałem dosyć; skierowałem konia w kierunku stosu i czas jakiś objeżdżałem go wokół. Dziwowałem się jego niezwykłym rozmiarom.

Zaprawdę, wiele potrzeba drewna i węgla, by spalić istotę ludzką całkowicie i bez śladu. Patrzyłem na ten widok, jak zawsze z przerażeniem, zastanawiając się dlaczego wybrałem to zajęcie, przez które nigdy jeszcze nie przybyłem do miasta jak to, z jego surowymi kamiennymi domami i starą katedrą o trzech strzelistych wieżach inaczej, jak tylko by wypełnić uszy hałasem motłochu, trzaskiem płonącego stosu, kaszlem, jękami i, w końcu, krzykiem konającego. Wiesz o tym, że bez względu na to, jak często bywam świadkiem tych nikczemnych kaźni, nigdy nie zdołałem się do nich przyzwyczaić. Cóż takiego w duszy mojej zmusza mnie, bym wciąż na nowo szukał tych samych okropności?

Czyżbym pokutował za jakąś zbrodnię? A jeśli tak, to kiedyż moja pokuta się dopełni? Nie sądzę, iż bez przyczyny gubię wątek. Mam w tym swój cel, o czym się wkrótce przekonasz. Otóż stanąłem tu twarzą w twarz z młodą kobietą którą niegdyś kochałem bardziej niż kogokolwiek i wciąż żywsza od jej urody jest w mej pamięci bladość pięknej twarzy, gdy ujrzałem to dziewczę po raz pierwszy na samotnej szkockiej drodze, przykutą łańcuchem do wozu, ledwie w parę godzin po tym jak własnymi oczyma oglądała śmierć swej matki na stosie.

Być może, o ile ją w ogóle pamiętasz, domyśliłeś się już, o kim mówię. Nie spiesz się jednak do dalszych stron tego listu. Przejdź przez to wraz ze mną. Bowiem, gdy tak jeździłem w tę i z powrotem przed stosem, przysłuchując się głupiej rozmowie pary miejscowych handlarzy winem przechwalających się, iż oglądali inne kaźnie, jakby był to powód do dumy, nie znałem jeszcze całej historii komtesy. Znam ją teraz.

W końcu, a mogła to być piąta godzina, udałem się do najświetniejszej z

miejscowych gospod, a przy tym najstarszej, wybudowanej dokładnie naprzeciw kościoła. Z jej frontowych okien rozciągał się doskonały widok na drzwi katedry i miejsce egzekucji, tak jak ci je przed chwilą opisałem.

Jako że miasto wypełnione było po brzegi przybyszami chcącymi obejrzyć jutrzejszą egzekucję, przygotowany byłem, iż zostanę odesłany z niczym. Możesz sobie wyobrazić, z jakim zaskoczeniem odkryłem, że zajmujących trzy najlepsze izby od frontu właśnie wyrzucono, ponieważ, mimo bogatych strojów, okazali się byli nie posiadać grosza przy duszy. Natychmiast zapłaciłem fortunę żadaną za owe „świetne pokoje” i poprosiwszy o dostateczną liczbę świec, by móc pisać do późnej nocy, co właśnie w tej chwili czynię, wspiąłem się po krzywych schodkach, by znaleźć się w całkiem znośnym pomieszczeniu z przyzwoitym, nabitym słomą materacem, nie zanadto plugawym, zważywszy wszystkie okoliczności, z których jedną jest, iż to nie Amsterdam, i z niewielkim kominkiem, zupełnie mi zbędnym z racji pięknej wrześnie pogody. Okna, choć niewielkie, istotnie dają widok na stos.

– Świetnie stąd wszystko zobaczycie, panie – rzekł z dumą oberżysta. Ogarnęła mnie ciekawość, jak wiele razy oglądał podobne widowiska i co myślał o tego rodzaju poczynaniach, lecz nim zdążyłem zadać pytanie, zaczął opowiadać o niezwyklej urodzie komtessy Debory, ze smutkiem kiwając głową w ten sam sposób, co wszyscy mówiący o niej i o tym, co miało się wydarzyć jutrzejszego dnia.

– Zwą ją Debora, mówicie?

– Tak właśnie – odpowiedział – Debora de Montecleve, nasza piękna pani, chociaż nie pochodzi z Francji, och gdybyż tylko jej czarodziejskie moce były trochę potężniejsze... – po tych słowach zamilkł, zwiesiwszy głowę.

Wierz mi Stefanie, sztylet przeszył moje serce. Gdy zrozumiałem kim była, nie mogłem już znaleźć w sobie sił, by dalej ciągnąć go za język. Jednak zmusiłem się do tego.

– Mówcie dalej, jeśli łaska, dobry człowieku – rzekłem.

– Powiedziała, gdy małżonek umierał na jej oczach, iż nie może go uratować, jej moc jest zbyt mała... – znowu przerwał z ciężkim westchnieniem.

Stefanie, widzieliśmy już bez liku podobnych historii. Wiejska znachorka zostaje wiedźmą dopiero wtedy, gdy jej moc uzdrawiania zawodzi. Póki to się nie stanie, jest dla wszystkich dobrą czarodziejką i nikt nie gada o piekielnych potęgach. I oto znowu ta sama opowieść.

Przygotowawszy pulpit do pisania, przy którym siedzę właśnie, i odłożywszy na bok świece, zszedłem na dół do wspólnej sali, gdzie płonący w kominku niewielki ogień zmagał się z wilgocią i mrokiem tego kamiennego miejsca. Kilku miejscowych filozofów grzało członki, czy też osuszało przemoczone ciała, jedno z dwojga. Usadziwszy się wygodnie za stołem i zamówiwszy wieczerzę, starałem się odpędzić obsesyjną myśl, przynoszoną zawsze przez miłe ciepło paleniska, myśl, że nim przyjdzie agonia i ogień strawi ciała potępionych, czują oni wpierw to samo przytulne ciepło.

– Niech podadzą najlepsze wino – zażądałem – a wy, dobrzy panowie, uczynicie mi łaskę i radujcie się nim wraz ze mną. Chciałbym usłyszeć od was historię wiedźmy, wielka bowiem może dla mnie stąd popłynąć nauka.

Moje zaproszenie zostało przyjęte bez zwłoki i wieczerzałem w samym środku sejmiku, który natychmiast jął obradować – a wszyscy mówili równocześnie – tak, że za każdym razem wybrawszy tego z nich, którego w owym momencie życzyłem sobie słuchać, łatwo mogłem uciszyć pozostałych.

– Jak to się stało, iż przeciw komtessie wysunięto oskarżenia? – zapytałem, nie tracąc czasu.

Chór różnorodnych głosów rozpoczął bezładnie przedstawiać tragiczny wypadek komta, który jechał był poprzez las i spadł z wierzchowca, po czym pokuśtykał do domu. Tam, po sutym posiłku i mocnym śnie wstał z łoża w pełni sił i właśnie gotował się do łowów, gdy naszedł go ból wielki i musiał ponownie lec w łożu.

Przez całą noc komtessa czuwała u jego posłania i wraz ze świekrą słuchała

jęków chorego.

– Rana jest zbyt głęboko w ciele – wyznała komtessa. – Nie mogę nic uczynić. Wkrótce na ustach pokaże się krew. Musimy podać mu coś, co zmniejszy jego cierpienia.

I wtedy, tak jak przepowiedziała, na ustach pojawiła się krew, jęki stały się bardziej przejmujące i komt począł wzywać żonę, która tak wielu uzdrowiła, by przyniosła mu swe najpotężniejsze remedia.

I znowuż komtessa wyznała świekrze i dzieciom, iż czary jej bezsilne są wobec owej rany. Łzy trysnęły z jej oczu.

– No proszę, czyż czarownice mogą płakać? – zapytał oberżysta, który, wycierając stoły, przysłuchiwał się rozmowie.

Przyznałem, iż nie sędzę, by było to możliwe.

Dalej jęli opisywać, jak to komt począł jęczeć, a w końcu krzyczeć, gdyż ból się wzmógł, mimo wina zmieszanego z ziołami, które podawała mu żona, by stępić ostrze cierpienia i przywrócić mężowi swobodę umysłu.

„Ratuj mnie, Deboro”, krzyczał, odmawiając przyjęcia księdza. Lecz w ostatniej swojej godzinie, pobladły i rozpalony gorączką, krwawiący z trzewi i z ust, wezwał do łoża księdza i oświadczył mu, iż jego żona jest i zawsze była wiedźmą, że jej matka spłonęła na stosie oskarżona o czary i że teraz on cierpi za wszystkie ich zbrodnie.

Przerażony kapłan odsunął się od łoża, sądząc iż to brednie umierającego, bowiem przez wszystkie lata, które tu spędził, wielbił Deborę za jej wspaniałomyślność. Lecz stara komtessa chwyciła syna za ramiona, posadziła go wsparłszy o poduszki i rzekła: „mów, mój synu.”

„Wiedźma, oto kim jest i zawsze była. Wyznała mi to, gdy oczarowawszy mnie sztuczkami panny młodej, szlochała na mej piersi. Diabelskim podstępem związała mnie ze sobą. W szkockim mieście Donnelaith nauczyła się czarnej magii od matki, której śmierć na stosie oglądała tamże własnymi oczyma.”

I zawołał do swojej żony, szlochającej przy łożu z twarzą ukrytą w

ramionach: „Deboro, przez miłość Boga! Jestem w agonii. Ocaliłaś od śmierci żonę piekarza i córkę młynarza – czemu nie chcesz uratować mnie?!”

Tak oszalały, iż kapłan nie mógł podać mu *viaticum*, wyzionął ducha miotając przekleństwa; zaiste, straszliwa śmierć.

Ujrzawszy, że zamknął oczy, młoda komtessa poczęła odchodzić od zmysłów, wołała go po imieniu, zapewniając o swej doń miłości; na koniec upadła bez ducha, jakby sama była martwa. Synowie, Chretien i Philippe, a także nadobna córka Charlotte usiłowali pocieszyć matkę tuląc się do jej ciała rozciągniętego na posadzce.

Lecz stara komtessa nie straciła przytomności umysłu. Natychmiast udała się na prywatne pokoje synowej, by odkryć w sekretnych szafkach nie tylko niezliczone maści, oleje i napoje, mające moc uzdrawiania i zadawania śmierci, lecz także dziwną lalczkę niezdarnie wyrzeźbioną z drewna, której głowa, uczyniona z kości, miała namalowane oczy i usta, i przyczepione czarne włosy z wplecionymi weń jedwabnymi kwiatami. Komtessa z odrazą i przerażeniem upuściła na ziemię ową podobiznę, domyślając się, iż niechybnie służy ona diabelskim celom i widząc jej podobieństwo do kukiełek z kolby kukurydzy, używanych przez kmieci podczas starożytnych celtyckich obrzędów zakazanych przez Kościół. W następnej komnacie znalazła złoto i klejnoty w ilości przekraczającej wszelkie wyobrażenie, w stosach, szkatułach i w małych woreczkach z jedwabiu, co niechybnie oznaczało – oświadczyła stara komtessa – że owa niewiasta miała zamiar ukraść je po śmierci małżonka.

Młoda komtessa została aresztowana bez zwłoki, podczas gdy babka zabrała na swoje komnaty wnuki, pragnąc wyjaśnić im naturę owego potwornego zła, by występując przy jej boku przeciw czarownicy nie doznali od niej żadnej krzywdy.

– Jednak wszyscy dobrze wiedzą – odezwał się syn oberżysty, biorący żywszy od innych udział w rozmowie – iż klejnoty należały do młodej komtessy. Przywiozła je z Amsterdamu, skąd przybyła jako zamożna wdowa i

że nasz komt, zanim wyruszył na poszukiwanie bogatej żony, nie posiadał nic oprócz urodziwej twarzy, wyświechtanych szat oraz zamku i ziem odziedziczonych po ojcu.

Ach, nie pojmujesz nawet Stefanie, jak bardzo zraniły mnie te słowa. Poczekaj do końca mojej opowieści.

Chóralne westchnienie rozległo się przy stole.

– Jakżeż wspaniałomyślnie używała swojego złota! – rzekł któryś z nich. – Starczyło, byś się udał do niej prosić o pomoc i już było twoje.

– To potężna wiedźma, nie ma wątpliwości – powiedział następny. – Jakby inaczej mogła przywiązać do siebie tak wielu ludzi, podobnie jak komta? – Lecz nawet te słowa zostały wypowiedziane bez nienawiści i lęku.

Stefanie, wierz mi, świat zawirował wokół mnie.

– Więc teraz skarby te są w rękach starej komtessy – zauważyłem, jasno ujrzawszy nagi szkielet całej intrygi. – A cóż, za pozwoleniem, stało się z laleczką?

– Zniknęła – rzekli chórem, jakby odpowiadali w katedrze na słowa litanii. „Zniknęła”. Lecz Chretien przysięgał, iż widział na własne oczy ową odrażającą rzecz i słyszał, że pochodzi ona od Szatana, a także był świadkiem, jak matka przemawiała do niej, jakoby do jakiegoś bożka.

I sypali dalej, jeden przez drugiego, niczym budowniczywie Wieży Babel. Szermowali wojowniczymi diatrybami, iż z pewnością piękna Debora, zanim komt spotkał ją po raz pierwszy, uśmierciła w Amsterdamie poprzedniego małżonka, gdyż tak zwykle czynią czarownice, a czyż nie była ona czarownicą? I czyż mógłby ktoś osądzić ją inaczej po tym, jak wyszedł na jaw przypadek jej matki?

– Lecz czy zostało udowodnione, że historia ta jest prawdziwa? – nalegałem.

– Parlament Paryża, do którego odwołała się komtessa, wysłał pisma do Tajnej Rady Szkocji i nadeszło potwierdzenie, iż istotnie, przed dwudziestu laty spalono na stosie w Donnelaith szkocką wiedźmę, która pozostawiła córkę

imieniem Debora, zabraną stamtąd przez człowieka duchownego.

Moje serce zamarło, gdy usłyszałem te słowa, bowiem odebrały mi one wszelką nadzieję. Bo czyż mogły być przeciw niej poważniejsze dowody, niż to że jej matka zginęła na stosie jako wiedźma? Nie musiałem nawet pytać, czy Parlament Paryża odrzucił jej apelację.

– Tak, i wraz z oficjalnym listem z Paryża nadeszła ilustrowana broszura, wciąż wielce rozpowszechniona w Szkocji, opowiadająca o niegodziwej wiedźmie z Donnelaith, która cieszyła się wielką sławą jako akuszerka i znachorka, dopóki jej diabelskie praktyki nie zostały ujawnione.

Stefanie, jeżeli po tej relacji nie rozpoznałeś, kim jest córka szkockiej czarownicy, to znaczy, że nie pamiętasz owej historii. Lecz ja nie miałem już najmniejszej wątpliwości. „Moja Debora”, wyszeptalem w sercu. Nie było szansy, bym się mylił.

Twierdząc, iż w swoim czasie byłem świadkiem wielu kaźni, a miałem nadzieję ujrzeć jeszcze liczniejsze, spytałem o nazwisko owej szkockiej wiedźmy, jako że, być może, przeglądałem niegdyś w trakcie własnych studiów dokumenty z jej procesu.

– Mayfair – odrzekli. – Zuzanna z Mayfair, którą dla braku innego nazwiska zwali również Zuzanna Mayfair.

Debora. Nie mógł to być nikt inny, lecz tylko to dziecko, które uratowałem i uwiozłem z gór Szkocji przed tylu laty.

– Ach, ojcie, straszliwe fakty były opisane w owej broszurce o szkockiej wiedźmie. Wzdragam się o nich mówić.

– Księgi takie to nie Biblia – odparłem. Lecz ci jeżeli oświecać mnie, iż cały proces Zuzanny z Mayfair przesłany został tu za pośrednictwem Parlamentu Paryża i znajduje się obecnie w rękach inkwizytora.

– Czy znaleziono truciznę w komnatach komtessy? – zapytałem, próbując wyciągnąć z nich choć odrobinę prawdy.

Nie, odrzekli, lecz tak poważne dowody wysunięto przeciw niej, iż było to

bez znaczenia, świekra bowiem słyszała ją zwracającą się do niewidzialnych istot, a także widzieli to jej synowie Chretien i Philippe, a nawet Charlotte – chociaż ta wołała zbiec raczej niżli świadczyć przeciw matce – i inne osoby również wiedziały o potędze komtessy, która potrafiła poruszać przedmioty nie dotykając ich, przepowiadać przyszłość i znała wiele niemożliwych rzeczy.

– Jednak nie przyznała się do niczego?

– Sam diabeł wprowadzał ją w trans, gdy była poddawana torturom – rzekł syn oberżysty. – W jakim innym sposobie mogłaby istota ludzka popaść w odrętwienie, gdy przykładają do ciała rozpalone żelazo?

Po tych słowach poczułem się niezdrów, śmiertelnie znużony i niemal pokonany. Nie przestałem jednak ich wypytywać.

– Czy wymieniła jakichś współwinnych? – spytałem. – Wiem, że do wydania współwinnych zawsze najusilniej je nakłaniają.

– Ach, to najpotężniejsza wiedźma, jaką kiedykolwiek widziano w tych okolicach, ojciec – odrzekł handlarz winem. – Po cóż jej pomocnicy? Inkwizytor, gdy wymieniono mu wszystkich, których uleczyła, przyrównał ją do wielkich czarodziejek z legend, w tym do samej Czarownicy z Endoru.

– Ach, gdybyż był tu z nami Salomon – rzekłem półgłosem. – Musiałby pochwalić roztropność inkwizytora.

Lecz nie usłyszeli moich słów.

– Jeśli była jeszcze jakaś czarownica, to tylko Charlotte – powiedział stary winiarz. – Nigdy nie widziałeś, ojciec, podobnego widoku. Negrowie wchodzący wraz z nią do kościoła na niedzielną mszę, w świetnych perukach i odziani w atłasy! I miała trzy Mulatki – piastunki jej maleńkiego synka. A małżonek, wysoki i wiotki, jakoby drzewo wierzbowe, od dzieciństwa cierpiący wielką niemoc, której nawet matka Charlotte nie potrafiła uleczyć. Ach, gdybyś widział, jak Charlotte rozkazuje swoim Negrom, by obnosili swojego pana po miasteczku, wnosili po schodach i znowuż znosili w dół, nalewali dlań wino i podawali mu kielich do ust, ocierali serwetką podbródek. Siadywali przy tym

samym stole, co my teraz, mężczyzna mizerny jak jakiś święty na obrazie w kościele, otoczony czarnymi błyszczącymi twarzami, a najwyższy i najczarniejszy ze wszystkich, Reginald go zwali, czytywał swojemu panu z księgi dudniącym głosem. Pomyślcie, Charlotte żyła wśród takich osób odkąd ukończyła osiemnasty rok, poślubiwszy w owym młodym wieku Antoina Fontenay z Martyniki.

– Z pewnością to Charlotte wykradła ową laleczkę – rzekł syn oberżysty – nim księdzu udało się dostać tę rzecz w swoje ręce, bo któż inny z przerażonych domowników dotknąłby tego?

– Lecz rzekliście przecież, że Debora nie mogła uleczyć choroby zięcia? – zapytałem ostrożnie. – I najwyraźniej Charlotte też nie potrafiła tego dokonać. Może niewiasty owe wcale nie są czarownicami?

– Ach, uzdrawianie i rzucanie zaklęć to dwie różne rzeczy – odparł handlarz winem. – Gdybyż używały swojego talentu jedynie do uzdrawiania! Cóż ta potworna laleczka mogła mieć wspólnego z uzdrawianiem?

– A co powiecie o oddaleniu się Charlotte? – zapytał ktoś inny. – Toż to oznacza, że obie są wiedźmami. Ledwie tylko aresztowano matkę, a córka uciekła wraz z małżonkiem i dzieckiem, i ze swoimi Negrami, na powrót do Indii Zachodnich, skąd przybyli. Jednak nim odjechali, Charlotte odwiedziła w więzieniu matkę, z którą spędziła ponad godzinę, zamknięta z nią w celi, sam na sam, na co otrzymała zgodę jedynie dzięki wielkiej głupocie strażników, przekonanych, iż zamiarem jej jest nakłonienie matki do wyznania winy, co oczywiście było nieprawdą.

– A roztropnie uczyniłaby – powiedziałem. – Dokąd Charlotte się udała?

– Na powrót do Martyniki, jak mówią, ze swoim wychudzonym, bladym, kalekim małżonkiem, który dorobił się fortuny na plantacjach, chociaż nikt nie wie czy to prawda. Inkwizytor zwrócił się do tamtejszych władz, by przesłuchały Charlotte, lecz nie otrzymał odpowiedzi, chociaż już upłynęło dość czasu; lecz czyż można mieć nadzieję, że sprawiedliwości stanie się zadość w

takim miejscu?

Przez ponad pół godziny przysłuchiwałem się ich paplaninie; opisywali mi przebieg procesu, jak komtessa stojąc przed sędziami i tymi z mieszkańców miasta, którzy otrzymali przywilej przyglądania się rozprawie, zapewniała o swojej niewinności; jak napisała do Jego Wysokości Króla Ludwika, i jak posłano do Dole po oprawcę, i jak w celi zdarto z niej suknię, obcięto długie krucze włosy i ogolono głowę, i jak szukano na jej ciele znamion Szatana.

– Czyje znaleźli? – zapytałem, drżąc z obrzydzenia, jakie wzbudzały we mnie te nikczemne praktyki i starając się odegnać z myśli obraz dziewczyny zapamiętany z przeszłości.

– A owszem, odkryli dwa znaki – rzekł oberżysta, który przysiadł był się do nas rozlawszy przedtem do kielichów zawartość trzeciej butelki białego wina opłaconej przeze mnie. – Utrzymywała, iż ma je od urodzenia i że identyczne posiadają niezliczeni ludzie; żądała, by zbadać wszystkich mieszkańców miasta w poszukiwaniu podobnych znamion, jeśli mają one czegokolwiek dowodzić, lecz nikt nie dał jej wiary. Skóra komtessy stała się biała i ciało wychudło od głodu i tortur, jednak mimo to jej piękność nie przeminęła.

– Jak to, nie przeminęła? – zapytałem.

– Och, wygląda teraz jak lilia – odrzekł ze smutkiem handlarz winem – biała i czysta. Nawet strażnicy ją kochają, tak potężne są czary Debory. A ksiądz płacze, kiedy przynosi jej komunię, bo chociaż nie przystąpiła do spowiedzi, nie może jej tego odmówić.

– Widzisz ojcze, zdołałaby uwieść samego diabła. To dlatego zwą ją Oblubienicą Szatana.

– Lecz nie potrafi zwieść sędziego – rzekłem ja. I wszyscy przytaknęli, zdając się nie słyszeć gorzkiej kpiny w moim głosie.

– A jej córka – spytałem – co powiedziała na temat zbrodni matki, zanim zbiegła?

– Nikt nie usłyszał od niej ni jednego słowa. Zniknęła, jakby się rozplynęła

w mrokach nocy.

– Czarownica – rzekł syn oberżysty. – Bo jakże inaczej pozwoliłaby własnej matce umierać samotnie, gdy nawet rodzeni synowie zwrócili się przeciw niej?

Nikt nie potrafił na to odpowiedzieć, lecz ja łatwo mogłem odgadnąć przyczynę.

W owej chwili, Stefanie, moim jedynym pragnieniem było uciec z gospody i porozmawiać z proboszczem, chociaż, jak wiesz, to zawsze jest najniebezpieczniejsza część całego przedsięwzięcia. Bowiem cóż stałoby się, jeśli nagle zjawiłby się u niego inkwizytor, poniechawszy ucztowania i picia za pieniądze zarobione na tym szaleńczym procederze; cóż, jeśli znałby mnie z jakiegoś innego miejsca i – najgorsze ze wszystkiego – wiedział o mojej pracy i moich szalbierstwach?

Nowo poznani biesiadnicy, wciąż racząc się moim winem, nadal gawędzili o tym, iż komtesse, dla jej wielkiej piękności, portretowało w Amsterdamie wielu sławnych malarzy; tę część historii znałem lepiej od nich, zamilkłem więc, przepełniony cierpieniem. Nim wyszedłem, dyskretnie zamówiłem dla nich jeszcze jedną butelkę wina.

Noc była ciepła, powietrze rozbrzmiewało rozmowami i śmiechem dochodzącymi z otwartych okien. Mijali mnie liczni przechodnie, zdążający do katedry i powracający stamtąd; inni, w oczekiwaniu na jutrzejszy spektakl, obozowali pod ścianami. Wysokie okratowane okno celi, w której trzymano nieszczęsną niewiastę, było ciemne.

Przestępując ponad przykucniętymi w ciemnościach szepczącymi postaciami doszedłem do zakrystii, znajdującej się po drugiej stronie ogromnego budynku katedry; długo uderzałem w drzwi kołatką, nim w końcu otworzyła mi stara kobieta. Nie zwlekając nadszedł zawołany przez starą proboszcz, przygarbiony i siwy; witając mnie wyraził żal, iż nie uprzedzono go wcześniej o wizycie podróżującego kapłana; bez zwłoki muszę, powiada, opuścić karczmę i zatrzymać się u niego.

Lecz chętnie przyjął zarówno moje przeprosiny, iż nie mogę przyjąć tego zaproszenia, jak i tłumaczenie, że ból w dłoniach nie pozwala mi już na celebrowanie mszy, od czego otrzymałem dyspensę, a także wszystkie pozostałe kłamstwa, jakimi przyszło mi go uraczyć.

Szczęśliwie się złożyło, iż inkwizytor został przez starą komtesse przyjęty ze wszystkimi honorami na zamku, poza bramami i, jako że możni z całej okolicy udali się tam, by z nim wieczerzać, nie pojawi się już dzisiejszego wieczoru w mieście.

Proboszcz najwyraźniej czuł się tym faktem urażony; goryczą napelniał go również sposób, w jaki prowadzono postępowanie, bowiem kontrola nad całą sprawą została mu odebrana przez sędziego, oprawcę i zalew eklezjastycznego tałatajstwa, jak zresztą zawsze dzieje się w tego rodzaju przypadkach.

Nawet nie wiesz, ile masz szczęścia – myślałem, gdy prowadził mnie na swoje obskurne pokoje – bowiem gdyby załamała się w czasie tortur i zaczęła wymieniać imiona, połowa mieszkańców twojego miasta byłaby teraz w więzieniu, a wszyscy pozostali w śmiertelnym strachu. Lecz ona postanowiła umrzeć samotnie; nie mogę pojąć, skąd wzięła na to siłę.

Chociaż, wiesz przecież Stefanie, zawsze trafiają się osoby zdolne znieść tortury. Nie mamy jednak nic prócz współczucia dla tych, dla których okazuje się to niemożliwe.

– Wejdz i usiądź ze mną na chwilę – rzekł ksiądz – a powiem ci, co mi o niej wiadomo.

Natychmiast przedstawiłem mu wszystkie najważniejsze dla mnie pytania, żywiąc wciąż jeszcze słabą nadzieję, iż mieszczenie mogli się mylić. Czy odwołała się do miejscowego biskupa? Tak, lecz on ją potępił. A do Parlamentu Paryża? Tak, lecz odmówił wysłuchania jej sprawy.

– Czy widziałeś owe dokumenty na własne oczy, ojcze? Przytaknął ponuro i otworzywszy szufladę sekretarzyka, wyjął z niej ów nienawistny pamflet, o którym mi mówiono, z okropną ryciną przedstawiającą Zuzannę Mayfair ginącą

w zręcznie wyobrażonych płomieniach. Ze wstrętem odsunąłem od siebie owo ohydztwo.

– Czy komtessa rzeczywiście jest taką straszną czarownicą? – zapytałem.

– Wszyscy o tym wiedzieli – wyszeptał, unosząc przy tym niezmiernie wysoko brwi. – Tylko nikt nie miał dość odwagi, by przyznać to głośno. Dopiero komt, umierając, wyznał prawdę, a uczynił to, by oczyścić swe sumienie. Stara komtessa przeczytawszy *Demonologiae* inkwizytora znalazła w niej stosowne opisy wszystkich owych przedziwnych rzeczy, które ona i jej wnuki od dawna widywali. – W tym miejscu proboszcz westchnął głęboko. – Lecz wyznam ci jeszcze jeden straszny sekret. – Ksiądz zniżył głos do szeptu. – Komt miał kochankę, niezwykle wielką i potężną damę, której imię nie może zostać wymienione w związku z owym procesem. Słyszeliśmy z własnych ust owej kobiety, że komt lękał się żony i z wielkim wysiłkiem starał się odpędzić wszelkie myśli o kochance, gdy tylko przebywał w obecności Debory, bowiem potrafiła ona czytać w jego sercu.

– Wielu żonatych mężczyzn mogłoby skorzystać z tej rady – rzekłem z niesmakiem. – Czegóż to więc dowodzi? Niczego.

– Ach, lecz czyż nie widzisz? Dlatego właśnie postanowiła otruć małżonka. Gdy spadł z konia, sądziła, iż ten wypadek uchroni ją przed posądzeniem o zbrodnię.

Nic nie odrzekłem.

– Lecz wszyscy o tym wiedzą w okolicy – powiedział jeszcze ciszej – i jutro, gdy zbierze się tłum, obserwuj, na kogo zwrócą się wszystkie oczy, a ujrzysz na trybunie przed więzieniem komtessę de Chamillart z Carcassonne. Pamiętaj jednak, ja nie powiedziałem, że to ona.

Milczałem, coraz głębiej pograżając się w rozpacz.

– Nie możesz sobie wyobrazić, jak wielką władzę nad czarownicą ma diabeł – mówił dalej ksiądz.

– Objaśnij mnie, proszę.

– Nawet gdy łamano ją kołem i gdy założono hiszpański but, by zmiążyć nieszczęsnej stopę; i gdy przypiekano jej pięty rozpalonym żelazem, nawet wtedy nie wyznała niczego; w męczarniach wzywała tylko matkę i krzyczała „Roelant, Roelant”, a także „Petyr” – niewątpliwie są to imiona diabłów, jako że nie należą do nikogo, kogo znałaby tutaj – i natychmiast, za wstawiennictwem owych demonów, zapadała jakby w sen i nie można było jej zadać najmniejszego bólu.

Nie mogłem tego więcej słuchać!

– Czy mogę ją zobaczyć? – poprosiłem. – Niezmiernie to dla mnie ważne, bym mógł przyjrzeć się owej niewieście własnymi oczyma i – jeżeli to możliwe – przesłuchać ją. – Tu pokazałem proboszczowi wielką i opasłą księgę wypełnioną uczonymi zapiskami po łacinie, którą ów starzec, powinienem dodać, z wielkim tylko trudem zdołałby odczytać; i począłem paplać o procesach, jakich byłem świadkiem w Brambergu, i o tamtejszym „domu czarownic”, gdzie setki ich są poddawane torturom, i o wielu innych rzeczach, czym uczyniłem na księdzu należycie wielkie wrażenie.

– Zaprowadzę cię do niej – rzekł wreszcie. – Lecz ostrzegam, to bardzo niebezpieczne. Pojmiesz to, gdy ją ujrzysz.

– Co masz na myśli? – dopytywałem się, gdy prowadził mnie w dół po schodach, oświetlając drogę świecą.

– Cóż, jest nadal piękna! Tak bardzo diabeł ją kocha. Dlatego właśnie nazywają ją Narzeczoną Diabła.

Poprowadził mnie do tunelu biegnącego pod nawą katedry; tu w dawnych czasach Rzymianie grzebali swych zmarłych; tędy przeszliśmy do położonego po drugiej stronie więzienia. Następnie krętymi schodami wspięliśmy się na najwyższe piętro, gdzie trzymano Deborę w zamknięciu za drzwiami tak grubymi, iż strażnicy z wielkim tylko trudem mogli je otworzyć. Uniósłszy w górę swą świeczkę, ksiądz wskazał mi najdalszy kąt głębokiej celi.

Nikłe światło padało przez kraty, więcej rozjaśniał blask świeczki. I oto

ujrzałem komtesse, skuloną na garści słomy, bezwłosą, wychudzoną i żalowaną; okrywała ją podarta suknia z szorstkiej tkaniny, lecz mimo to uroda Debory była czysta i jaśniejsza jako lilia, tak jak to opisywali mi jej wielbiciele. Zgolili nawet brwi; naga, pozbawiona włosów czaszka miała doskonały kształt; oczy i oblicze emanowały niezwykłym blaskiem, gdy tak patrzyła na nas, z ledwo uchwytnym, obojętnym ruchem głowy przenosząc wzrok z jednego na drugiego.

Stefanie, to była twarz, którą spodziewałbyś się ujrzeć otoczoną aureolą. Lecz Ty także ją widziałeś, oddaną farbami na płótnie, jak ci to wkrótce wyjaśnię.

Nie poruszyła się nawet, lecz tylko przyglądała się nam, spokojnie i w milczeniu. Siedziała, oplatając ramionami przyciągnięte do ciała kolana, jakby było jej zimno i pragnęła się ogrzać.

Wiesz teraz, Stefanie, iż znałem ową kobietę; mogła mnie więc w owej chwili rozpoznać, mogła przemówić do mnie, błagać czy nawet przeklinać, i podać w ten sposób w wątpliwość moją wiarygodność; lecz, mówię ci szczerze, w nierozważnym pośpiechu nawet o tym nie pomyślałem.

Jednak pozwól mi przerwać w tym miejscu relację z owej nieszczęsnej nocy i nim przystąpię do opisywania tego, co jeszcze się tutaj wydarzyło, opowiedzieć całą historię od początku.

Zanim przeczytasz następne słowa, wyjdź z pokoju, zejź do głównej sieni naszego Domu i spójrz na portret ciemnowłosej kobiety, pędzla Rembrandta van Rijna, wiszący u podnóża schodów. Oto moja Debora Mayfair, kobieta, która gdy piszę te słowa, drży z zimna w więzieniu po drugiej stronie placu, teraz pozbawiona swoich długich ciemnych włosów.

Jestem w swej izbie w gospodzie, dopiero przed chwilą wyszedłszy od niej. Mam świec pod dostatkiem, jak ci już powiedziałem, i wina w nadmiarze. W kominku jarzy się niewielki płomień rozpraszający chłód. Siedzę za stołem, z twarzą zwróconą do okna i posługując się naszym wspólnym szyfrem, chcę Ci teraz wszystko przedstawić od początku.

Bowiem upłynęło już dwadzieścia pięć lat, odkąd po raz pierwszy spotkałem ową kobietę, jak Ci już powiedziałem; byłem wówczas młodym mężczyzną liczącym sobie lat osiemnaście, a ona dwunastoletnią zaledwie dziewczynką.

Nie było Cię jeszcze wtedy w Talamasce, Stefanie; ja przystąpiłem do Zgromadzenia jakieś sześć lat wcześniej, jako dwunastoletni sierota. Wydawało się wówczas, iż stosy płoną, jak Europa długa i szeroka, wcześniej więc zostałem oderwany od studiów i wysłany, bym towarzyszył w podróży Juniusowi Paulusowi Kappelmeisterowi, naszemu dawnemu badaczowi czarownic. Zaczął mi on odsłaniać owych kilka mizernych sposobów, z pomocą których usiłował ratować czarownice, występując w ich obronie, kiedy to było możliwe, lub nakłaniając je w tajemnicy, by wydały, jako współwinnych, swoich oskarżycieli oraz żony najznacześniejszych obywateli, by w ten sposób zdyskredytować całe śledztwo i doprowadzić do odrzucenia pierwotnych zarzutów.

Wtedy dopiero poczynałem rozumieć, podróżując wraz z nim, iż choć nie ustawaliśmy w poszukiwaniu osób o prawdziwych zdolnościach magicznych – jak odczytywanie myśli, poruszanie przedmiotów, władza nad duchami – to jednak rzadko, jeśli w ogóle, nawet pośród najgorszych prześladowań, mogliśmy znaleźć prawdziwą czarownicę.

Był to osiemnasty rok mojego życia i pierwsze ryzykowne przedsięwzięcie z dala od Domu, odkąd rozpocząłem pobierać w nim swoje nauki, więc gdy Junius zachorował i zmarł w Edynburgu, nie wiedziałem, co począć. Byliśmy właśnie w drodze na proces szkockiej znachorki, cieszącej się sławą wielkiej uzdrowicielki, która rzuciła klątwę na wiejską mleczarkę i została oskarżona o czary, chociaż dziewczyny nie spotkało żadne nieszczęście.

Swojej ostatniej nocy na tym świecie Junius nakazał mi, bym udał się do owej wioski w szkockich górach bez niego; polecił mi także zachować przebranie kalwińskiego studenta ze Szwajcarii. Byłem o wiele za młody, by podawać się za pastora, nie mogłem więc używać dokumentów, którymi posługiwał się był Junius; towarzyszyłem mu odziany w prosty strój i gdy

samodzielnie wyruszyłem w drogę, zachowałem ten ubiór.

Stefanie, nie wyobrażasz sobie, jak wielkim lękiem byłem przepełniony.

Stosy płonące w Szkocji przerażały mnie. Szkoci pozostają równie gwałtowni i okrutni jak Francuzi czy Niemcy; wydaje się, iż nie nauczyli się niczego od łagodniejszych i rozsądniejszych Anglików. Tak bardzo byłem przestraszony w czasie tej mojej pierwszej podróży, iż nawet piękno Gór Szkockich nie zdołało mnie oczarować.

Przeciwnie, gdy ujrzałem, maleńką wioskę w wielkim oddaleniu od najbliższych siedzib ludzkich, zamieszkiwaną przez pasterzy, przeraziłem się jeszcze bardziej ignorancji i dzikich przesądów jej mieszkańców. Grozy dodawały całej sytuacji pobliskie ruiny wspaniałej niegdyś katedry, sterczące, niby szkielet lewiatana, spośród wysokiej trawy. Daleko, po drugiej stronie głębokiej doliny, ujrzałem ponury obraz samotnego zamku, z okrągłymi wieżami i wąskimi oknami, który równie dobrze, z tego co udało mi się dostrzec, mógł być pustą ruiną.

Jakiż w ogóle może tu być pożytek ze mnie, pomyślałem, pozbawionego pomocy Juniusa? I podjeżdżając do wioski, wkrótce pojąłem, że przybywam za późno, jako że czarownicę spalono już owego poranka i właśnie nadciągały wozy, by uprzątnąć pozostałości stosu.

Furę za furą wypełniali popiołem i zwęglonymi kawałkami drewna, kości i węgla; po czym procesja opuściła ów niewielki plac, zatłoczony wieśniakami o poważnych twarzach i skierowała się w stronę zielonych pastwisk – i wtedy właśnie oczy moje ujrzały Deborę Mayfair, córkę spalonej czarownicy.

Związali jej ręce; miała na sobie brudną i podartą sukienkę. Zabrali dziewczynkę, by przyglądała się, jak będą rozrzucać na cztery wiatry popioły jej matki.

Stała tam niema; czarne włosy rozdzielone pośrodku spływały na jej plecy gęstymi falami, w błękitnych oczach nie dojrzałbyś śladu łez.

– Oto piętno czarownicy – rzekła starucha, która stała opodal, przyglądając

się owej scenie. – Nie potrafi uronić łzy.

Ach, lecz ja rozpoznałem ów brak wyrazu na twarzy dziecka, ruchy jakby we śnie, powolną obojętność, gdy patrzyła jak zrzucali na ziemię popioły jej matki i jak przepędzali po nich konie, by rozproszyć je na wszystkie strony. Znałem ten stan, gdyż pamiętałem siebie z dzieciństwa, osieroconego chłopca włączającego się ulicami Amsterdamu po śmierci ojca; gdy kobiety i mężczyźni przemawiali do mnie, nawet nie przychodziło mi na myśl, by im odpowiedzieć czy choćby odwrócić wzrok lub zmienić swoje zachowanie w jakikolwiek sposób. I nawet gdy potrząsano mną czy uderzano, zachowywałem ów niezwykajny spokój, dziwiąc się jedynie łagodnie, czemu w ogóle zadają sobie trud, by czynić taką osobliwą rzecz; lepiej raczej zwrócić wzrok na promień słońca igrający na ścianie za ich plecami niż zważać na te rozwścieczone twarze i na warkliwe pomruki dobywające się z ich ust.

Ową dwunastoletnią wysoką i dumną dziewczynkę chłostano, gdy matka ginęła w płomieniach. Przemocą odwrócili jej głowę, by patrzyła na stos, kiedy na jej plecy sypały się razy.

– Co z nią uczynią? – zapytałem starą kobietę.

– Powinni ją spalić, lecz nie mają odwagi – odrzekła. – Jest taka młoda i w-radości-poczęta, nikt nie może skrzywdzić poczętej-w-radości; kto wie kim jest ojciec. – Przy tych słowach starucha odwróciła się i obrzuciła ponurym spojrzeniem zamek, który daleko po drugiej stronie doliny trwał przytulony do wysokich nagich skał.

Wiele dzieci zginęło w czasie owych prześladowań. Każda wioska jest jednak inna. A to była Szkocja. Nie wiedziałem, co to takiego „poczęta-w-radości”, ani kto mieszkał w zamku, ani jakie to wszystko mogło mieć znaczenie.

Przyglądałem się w milczeniu, jak wsadzili dziewczynkę na wóz i powieźli z powrotem w kierunku miasteczka. Jej czarne włosy rozwiewały się na wietrze, gdy konie przyspieszyły biegu.

– Ach, powinni ją spalić i zrobić z tym koniec – odezwała się starucha, jakbym się z nią był sprzeczał, gdy w rzeczywistości nic nie mówiłem, po czym splunęła w bok i rzekła: – Jeśli księżę nie ruszy palcem, by ich zatrzymać – jej wzrok znowu powędrował ku odległemu zamkowi – ani chybi zostanie spalona.

Wtedy, w owym miejscu właśnie, podjąłem decyzję. Zabiorę ją stamtąd, jeśli tylko zdołam wynaleźć jakiś fortel.

Zostawiwszy starą kobietę, która na piechotę udała się do swej zagrody, podążyłem za wozem wiozącym dziewczynkę; raz jeden tylko ujrzałem, jak ocknęła się z odrętwienia, a było to gdy mijaliśmy starożytny kamień na zewnątrz wioski; mam na myśli ogromne głazy, jakie umieszczano w krąg, w owych mrocznych, pogańskich czasach, o których Ty wiesz więcej niż ja kiedykolwiek będę wiedział. Do owego kręgu przyłgnęła ciekawym wzrokiem, chociaż nie mogłem dostrzec, cóż takiego przyciągnęło jej uwagę.

Nie było tam bowiem niczego, jedynie samotny mężczyzna patrzący w jej stronę; stał w oddali, pośród kamieni, za plecami mając otwartą dolinę wypełnioną potężnym światłem. Wysoki i drobnej budowy, z ciemnymi włosami, nie mógł być wiele starszy ode mnie; lecz ledwo go widziałem; wydawał się niemal przezroczysty, tak jaskrawy był horyzont za nim, i pomyślałem, iż może wcale nie jest on człowiekiem, lecz duchem.

Wydawało się, iż spojrzenia tych dwojga spotkały się, gdy wóz z dziewczynką mijał to miejsce, lecz niczego nie jestem pewien; jedynie iż ktoś był tam przez mgnienie oka. Zwróciłem na ten szczegół uwagę, gdyż poza tą jedną chwilą dziewczynka wydawała się tak bardzo nieobecna i może miało to jakiś związek z naszą historią; myślę teraz, iż w rzeczy samej, ma związek; lecz o tym zadecydujemy później.

Cóż było dalej?

Nie zwlekając udałem się do pastora i do komisji śledczej wyznaczonej przez Tajną Radę Szkocji i wciąż jeszcze nie rozwiązanej, jako iż w owej właśnie godzinie wieszali, jak to było w zwyczaju, ciesząc się wystawnym

posiłkiem opłaconym z majątku spalonej czarownicy. Miała mnóstwo złota w swej chacie, powiedział mi oberżysta, gdy tylko wszedłem, i ono opłaciło jej proces, tortury, należność oprawcy i sędziego, który ją badał, a także drewno i węgiel użyte do spalenia nieszczęsnej kobiety oraz, a jakże, fury, którymi wywieziono jej popioły.

– Wieczera z nami – zaprosił mnie oberżysta, wyjaśnwszy mi owe rzeczy – bowiem dziś płaci czarownica. I wciąż jeszcze zostało dużo złota.

Usiadłem z nimi. Chwała Bogu, nie żądano ode mnie żadnych wyjaśnień. Bez zwłoki przystąpiłem do ucztujących i przedstawiłem się jako student Biblii i bogobojny człowiek. Czy mógłbym zabrać osierocone dziecko ze sobą do Szwajcarii, do dobrego kalwińskiego pastora, który zająłby się jej wychowaniem, uczynił z niej dobrą chrześcijankę i wymazałby z duszy pamięć o matce?

Powiedziałem im aż za dużo. Niewiele żądali. Mianowicie samo słowo „Szwajcaria” by wystarczyło. Pragnęli bowiem pozbyć się córki czarownicy, przyznali to otwarcie, a i książe chciał tego samego, lecz nie mogli jej wydać na stos, gdyż była w-radości-poczęta, co ogromnie przerażało wieśniaków.

– A cóż to oznacza, powiedzcie mi, proszę? – zapytałem.

Na co objaśnili mnie, iż mieszkańcy Gór Szkockich wciąż byli bardzo przywiązani do starych obyczajów i że w wigilię pierwszego dnia maja zwykli rozpalać na rozległych polach ogromne ogniska, a to jedynie od ognia pioruna lub pocierając gałązki; i tańcowali wokół przez całą noc, radując się. I w czasie takiej hulanki Zuzanna, najbardziej nadobna pośród wszystkich dziewcząt w wiosce i onego roku Majowa Królowa, poczęła Deborę.

Dziecko poczęte-w-radości dla tej przyczyny przez wszystkich ukochane, nikt bowiem nie wiedział, kto jest jej ojcem, a mógł nim być każdy mężczyzna w wiosce, nawet człowiek szlacheckiej krwi. A w dawnych czasach pogaństwa, nigdy nie zapomnianych przez owych wieśniaków, poczętych-w-radości miano za dzieci bogów

– Zabierz ją teraz, bracie – rzekli – do Szwajcarii, do dobrego pastora, a ksiązę, będzie uszczęśliwiony; lecz przedtem zjedz i wypij z nami, bowiem czarownica zapłaciła za to i jest tu jedzenia i picia w bród dla wszystkich.

Nie minęła godzina, gdy opuściłem wioskę, trzymając dziewczynkę przed sobą w siodle. Minęliśmy popioły na skrzyżowaniu dróg, lecz, o ile mi wiadomo, nie rzuciła na nie przelotnego nawet spojrzenia. Nie zauważyłem też, by choć raz spojrzała ku kamiennemu kręgowi. Nie pożegnała się także z zamkiem, gdy tak jechaliśmy drogą biegnącą wzdłuż brzegów Loch Donnelaith.

Gdy tylko dotarliśmy do pierwszej gospody, w której przyszło nam spędzić noc, pojąłem dokładnie, co uczyniłem. Oto dziewczyna znajdowała się w mojej władzy, niema, bezbronna i piękna; pod pewnymi względami dojrzała już kobieta; a ja, nieco tylko więcej niż chłopiec – lecz jak wielką różnicę sprawiało owo „nieco”! – zabrałem ją bez zezwolenia Talamaski i po powrocie będę musiał, zapewne, stawić czoło straszliwej burzy reprimend.

Umieszczono nas w dwóch izbach; tak nakazywała przyzwoitość, bowiem Debora bardziej wyglądała na kobietę niż na dziecko. Nie chciałem jej jednak zostawić samej, z obawy, by nie uciekła; owinąwszy się więc płaszczem, jakby to mogło mnie w jakiś sposób powściągnąć, położyłem się na garści słomy naprzeciw jej łoża; przyglądałem się dziewczynie, zastanawiając się, co czynić dalej.

Zauważyłem wówczas, przy świetle kopcącej świeczki, iż kilka pukli swych czarnych włosów upinała wysoko przy skroniach w dwa węzły, by przytrzymać z tyłu masę włosów, i że jej oczy przypominały bardzo oczy kota. Chcę przez to powiedzieć, iż były owalne i zwężone, a ich zewnętrzne kąciki unosiły się lekko ku górze; i że świeciły dziwnym blaskiem. A pod nimi miała okrągłe, lecz kształtne policzki. W żadnym wypadku nie była to twarz chłopki, zanadto delikatna. Wysoko pod wystrzępioną suknią kryły się pełne kobiece piersi, a kostki jej nóg, które skrzyżowała przed sobą siadając na podłodze, zaprawdę miały doskonały kształt. Nie mogłem patrzeć na te usta, by nie pragnąć ich

ucałować; jakżeż wstydzilem się owych kapryśnych fantazji!

Dotąd całkowicie skupiony byłem na tym, by ją ratować. Teraz moje serce przepelniało pożądanie. A ona, dwunastoletnia dziewczynka, po prostu siedziała tutaj, patrząc na mnie.

Jakie były jej myśli, chciałem wiedzieć, i spróbowałem je odczytać, lecz przejrzała mnie, zdawać się mogło, i zamknęła przede mną swój umysł.

W końcu pomyślałem o najprostszych rzeczach – iż trzeba dziewczę nakarmić i przyzwoicie odziać – było to niemal jak odkrycie, że słońce ogrzewa, a woda gasi pragnienie; wyszedłem więc, by postarać się o jedzenie, wino, i nabyć odpowiednią suknię, a także wiadro gorącej wody do mycia i szczotkę do tych wspaniałych, kruczoczarnych włosów.

Przypatrywała się przyniesionym przeze mnie przedmiotom, jakby nie wiedziała do czego służą. Zobaczyłem teraz, przy świetle świec, iż ciało pokryte jest brudem i śladami chłosty, i że przez jej skórę wystają żebra.

Stefanie, czyż trzeba być Niderlandczykiem, by czuć odrazę do takiego stanu? Przysięgam Ci, mój przyjacielu, ogromna litość wypełniała moje serce, gdy tak rozbierałem ją i kapałem; lecz mężczyzna we mnie doświadczał piekielnych katuszy. Miała miękka i gładką skórę i była już dostatecznie dojrzała, by rodzić dzieci; nie broniła się, gdy obmywałem ją, ubierałem i, w końcu, rozczesywałem długie włosy.

Zdążyłem już w owym czasie osiąść pewną wiedzę o kobietach, chociaż bez porównania więcej wiedziałem o książkach. Owo stworzenie zdawało mi się jednak nad wyraz tajemnicze, przez swą nagość i bezbronne milczenie; cały czas patrzyła na mnie spoza więzienia swego ciała dzikimi oczyma, które mnie przerażały i budziły we mnie obawę, iż gdybym dotykając dłońmi jej ciała zapomniał o przystojności, potrafiłaby mnie zabić.

Nie drgnęła nawet, gdy obmywałem ślady razów na plecach.

Karmiłem ją drewnianą łyżką, Stefanie; przyjmowała podawane kęsy, jednak z własnej woli nie sięgała po nic.

Tej nocy przebudziłem się, śniąc, iż ją posiadałem; z wielką ulgą odkryłem, że to tylko sen. Lecz ona nie spała, przyglądała mi się kocimi oczyma. Czas jakiś patrzyłem na nią, usiłując odgadnąć jej myśli. Blask księżyca wlewał się przez nie zasłonięte okno – a wraz z nim chłodne, orzeźwiające powietrze – i ujrzałem, iż twarz Debory straciła obojętny wyraz i stała się wroga i zagniewana; przeraziło mnie to. Wydała mi się dziką istotą, wciśniętą w sztywny, nakrochmalony, biały kołnierz i czepek, i w niebieską sukienkę.

Uspokajającym głosem spróbowałem powiedzieć jej, po angielsku, iż jest ze mną bezpieczna; że zabiorę ją tam, gdzie przez nikogo nie będzie oskarżona o czary, i że ci, którzy zwrócili się przeciw jej matce, to nikczemni i okrutni ludzie.

Wydało mi się, iż słowa te wprawiły dziewczynę w zmieszanie, nic jednak nie odrzekła. Mówiłem więc dalej, iż słyszałem, że Zuzanna Mayfair była uzdrowicielką i potrafiła pomóc cierpiącym, i że osoby takie istniały zawsze i nie nazywano ich czarownicami, dopóki nie nastąpiły owe okropne czasy. Lecz teraz straszliwe zabobony ogarnęły Europę i gdy dawniej napominano lud, by nie dawał wiary, iż ludzie mogą rozmawiać z diabłami, teraz sam Kościół w to wierzy i tropi czarownice po wszystkich wioskach i miastach.

Nie wydała z siebie żadnego dźwięku, lecz zdało się, iż twarz jej przybrała łagodniejszy wyraz, jak gdyby gniew topniał. I znowuż dostrzegłem to samo zakłopotane spojrzenie.

Powiedziałem, iż należę do zgromadzenia, którego członkowie nie pragną krzywdy dawnych uzdrowicieli i nie chcą, by palono ich na stosach. I że zabiorę ją do Domu, gdzie mieszkają dobrzy ludzie kpiący sobie z rzeczy, w które wierzą łowcy czarownic.

– Nie jest to w Szwajcarii – rzekłem – jak powiedziałem owym złym ludziom w twojej wiosce, lecz w Amsterdamie. Czy słyszałaś o tym mieście? Zaprawdę, to wspaniałe miejsce!

Wydało mi się, iż po tych słowach powrócił jej dawny chłód. Z pewnością

zrozumiała, co do niej mówiłem. Posłała mi słaby, drwiący uśmiech i wyszeptała po angielsku:

– Nie jesteś żadnym duchownym. Jesteś kłamcą!

Natychmiast podbiegłem do niej i ująłem jej dłoń. Byłem zachwycony tym, że rozumiała po angielsku, a nie mówiła jedynie owym beznadziejnym dialektem, jaki spotyka się w takich odludnych miejscach, bowiem teraz mogłem przemawiać do niej śmieiej. Wyjaśniłem, że kłamałem po to, by ją ratować i że musi uwierzyć, iż jestem dobrym człowiekiem.

Lecz wtedy jakby zgasła przed moimi oczyma; odsunęła się ode mnie, jak kwiat zwijający płatki.

Przez cały następny dzień nie odezwała się ani słowem; a także przez całą następną noc; jadła już jednak więcej i bez mojej pomocy. Zdawało się, iż nabiera sił.

Pewnej nocy, po przybyciu do Londynu, przebudziwszy się w izbie gospody usłyszałem jej głos. Wygrzebawszy się ze słomy ujrzałem Deborę wyglądającą przez okno i usłyszałem, jak przemawia po angielsku, z silnym szkockim akcentem:

– Odejdź ode mnie, diable! Nie chcę cię więcej widzieć.

Gdy się odwróciła, w jej oczach błyszczały łzy. Bardziej niż kiedykolwiek sprawiała wrażenie dojrzałej kobiety; postać majacząca się przede mną w ciemnościach, na tle okna; ogarek świecy rzucał światło na jej twarz. Spojrzała na mnie bez zaskoczenia i z tym samym chłodem, z jakim patrzyła wcześniej. Położyła się na łożu z twarzą odwróconą do ściany.

– Z kim rozmawiałaś? – zapytałem.

Nie odezwała się. Usiadłem i w ciemnościach począłem do niej przemawiać, nie wiedząc nawet czy mnie słyszy. Mówiłem, iż jeśli coś ujrzała, ducha czy też upiora, nie musi to wcale być diabeł. Bo któż może powiedzieć, kim są owe niewidzialne istoty? Błagałem ją, by opowiedziała mi o swojej matce, i cóż takiego Zuzanna Mayfair uczyniła, iż wysunięto przeciw niej oskarżenie o

czary, bowiem pewien teraz jestem, że posiada moc, podobnie jak jej matka; lecz dziewczyna nie zechciała odpowiedzieć mi choćby jednym słowem.

Zabrałem ją do łaźni i kupiłem jeszcze jedną suknię. Owe rzeczy nie wzbudziły w niej najmniejszego zainteresowania. Chłodno przyglądała się ulicznej ciżbie i mijającym nas powozom. Spieszno mi było opuścić to miejsce i udać się z powrotem do domu; pozbyłem się więc duchownej czerni i przywdziałem szaty majętnego dżentelmena z Niderlandów, zapewniające wszędzie szacunek i wyborną usługę.

Lecz owa zmiana, jaka nastąpiła we mnie, dała Deborze powód do sekretnej, ponurej uciechy; znowu uśmiechała się szyderczo, jakby wiedziała dobrze, iż kierują mną nikczemne zamiary; lecz nie uczyniłem niczego więcej niż do tej pory, by utwierdzić ją w owym podejrzeniu. Czy mogła czytać w moich myślach, zastanawiałem się, i czy wiedziała, iż ani na chwilę nie opuszcza mnie wizja jej nagiego ciała? Miałem nadzieję, że było inaczej.

Wyglądała tak ładnie w nowej sukience, myślałem sobie, nigdy nie widziałem ładniejszej młodej kobiety. Ponieważ nie chciała tego zrobić sama, zaplotłem część jej włosów i owinąłem warkocz wokół głowy, by przytrzymać z tyłu powódź pukli i nie pozwolić im spadać na twarz; widziałem, iż tak właśnie czynią inne niewiasty, lecz ona, ach, ona była piękna jak malowanie.

Stefanie, w śmiertelnej udręce opisuję Ci to wszystko; sądzę, iż czynię to nie tylko dla naszych bogatych archiwów, lecz dlatego także, że czas zatrzymał się tutaj, w Montecleve. Nie minęła jeszcze nawet północ, a serce moje krwawi. Pragnę oglądać rany, których nie mogę uleczyć. Lecz nie musisz, Stefanie, zawierać memu słowu co do piękności owej kobiety, widziałeś przecież jej wizerunek.

Udaliśmy się do Amsterdamu; ona i ja; podając się teraz za zamożne rodzeństwo z Niderlandów, jeśli kogoś to interesowało; tak jak pragnąłem i miałem nadzieję, miasto wyrwało ją z otępienia; z ożywieniem oglądała śliczne potrójne kanały, zgrabne łodzie i wspaniałe cztero – i pięciopiętrowe kamienice.

A gdy zbliżyliśmy się do naszej imponującej siedziby, z przepływającym u jej stóp kanałem, i kiedy pojęła, iż był to „mój dom”, a teraz będzie także jej, nie potrafiła ukryć zdumienia. Bowiem cóż to dziecko widziało na tym świecie poza nędzną osadą pasterzy owiec i brudnymi gospodami, w których się zatrzymywaliśmy; możesz sobie więc wyobrazić, czym było dla niej porządne łoże w czystej amsterdamskiej sypialni. Nie odezwała się ani jednym słowem, lecz cień uśmiechu na jej ustach mówił całe tomy.

Udałem się prosto do moich przełożonych, Roemera Franza i Petrusa Lancastera – obu niewątpliwie masz we wdzięcznej pamięci – i wyznałem im wszystko, com był uczynił.

Wybuchnąwszy płaczem opowiedziałem im, że dziewczynka nie miała nikogo, więc musiałem ją zabrać, i że nie mam żadnego wytłumaczenia dla wydania tak wielkiej sumy pieniędzy, poza tym, że ją wydałem; ku mojemu wielkiemu zdumieniu przebaczyli mi; śmieli się przy tym ze mnie, znali bowiem moje najskrytsze tajemnice.

Roemer rzekł tylko:

– Ach, Petyrze, tak ciężką odbyłeś pokutę w drodze ze Szkocji, że zasłużyłeś na podniesienie pensji i przeniesienie do lepszej komnaty.

Słowa te wywołały jeszcze więcej śmiechu. Musiałem się także uśmiechnąć, gdyż nawet w owej chwili zatopiony byłem w marzeniach o piękności Debory; lecz wkrótce dobre duchy opuściły mnie i znowu znalazłem się pogrążony w cierpieniu.

Debora nie odpowiadała na żadne pytania. Lecz gdy małżonka Roemera, która mieszkała z nami przez całe swoje życie, włożyła w jej dłonie igłę i płótno, Debora poczęła całkiem umiejętnie haftować.

W ciągu tygodnia kobiety przebywające w naszym Zgromadzeniu pokazały jej, jak się robi koronki i dziewczyna pracowała sumiennie całymi godzinami, nie przyjmując do wiadomości niczego, co do niej mówiono, lecz tylko w milczeniu przyglądając się otaczającym ją osobom, by po chwili znowu pochylić

wzrok nad robótką.

Wydawało się, iż do obecnych w Domu niewiast, tych które nie towarzyszyły swoim mężom, lecz zajmowały się studiami i posiadały własne moce, Debora żywiła jawną odrazę. Do mnie nie odzywała się nigdy, lecz przystawała czasem, obrzucając mnie nienawistnym spojrzeniem. Zgodziła się, gdy poprosiłem, by towarzyszyła mi w przechadzce; miasto niebawem oślepiło ją i pozwoliła mi ofiarować sobie kubek wina w tawernie; chociaż widok szacownych matron pijących i jedzących tam zdawał się wprawiać ją w zdumienie, jak zresztą zawsze zdumiewa cudzoziemców, nawet o wiele bardziej bywałych w świecie niż ona.

Przez cały czas opowiadałem jej o Amsterdamie; o jego historii i tolerancji; o tym, jak osiedlili się tu żydzi uchodzący przed prześladowaniami w Hiszpanii i o tym, że nawet katolicy żyją tu w zgodzie z protestantami; i że nie zdarzają się już w naszym mieście egzekucje za takie rzeczy jak czary; pokazałem jej także drukarnie i księgarnie. Złożyliśmy krótką wizytę w domu Rembrandta van Rijna, którego zawsze tak przyjemnie było odwiedzać, no i jak zwykle pracownia mistrza pełna była uczniów.

Jego ukochana Hendrickje, którą bardzo lubiłem, odeszła była przed dwoma laty, lecz syn, Tytus, żył i mieszkał razem z ojcem. Osobiście zawsze przedkładałem obrazy, które namalował w owym okresie swego życia – a to dla ich szczególnej melancholii – ponad wcześniejsze, powstałe gdy jeszcze był u szczytu powodzenia. Wypiliśmy szklanicę wina razem z młodymi malarzami, i to wtedy właśnie Rembrandt po raz pierwszy zobaczył Deborę, chociaż jej portret namalował dopiero później.

Przez cały ten czas starałem się ją rozweselić, odwrócić myśli od owych diabelskich rzeczy i pokazać szeroki świat, do którego miała teraz należeć.

Wciąż milczała, lecz widziałem, iż zachwycona jest towarzystwem artystów, a szczególnie oczarowały ją portrety Rembrandta oraz mistrz we własnej osobie, zawsze tak uprzejmy i życzliwy. Odwiedziliśmy też inne pracownie i

rozmawialiśmy z wieloma malarzami; spotkaliśmy Emmanuela de Witte'a i tych artystów, tworzących w naszym mieście, z których paru do dzisiaj pozostaje naszymi przyjaciółmi. Zdało mi się, iż wszystko to ogrzało serce dziewczyny; ożywiła się, a twarz jej nabierała chwilami wyrazu pełnego łagodności i słodyczy.

Lecz właśnie gdy przechodziliśmy obok sklepów jubilerów, poprosiła mnie, byśmy się zatrzymali, lekko dotykając mojej ręki swymi białymi palcami. Białe palce. Piszę o tym, ponieważ pamiętam to tak wyraźnie – delikatną, jaśniejącą dłoń damy, kiedy mnie dotykała, i bezsilne pożądanie, wzbudzone tym muśnięciem.

Przyglądała się, zafascynowana, rzemieślnikom szlifującym i przycinającym diamenty i przewijającym się przez sklep kupcom i majętnym klientom, którzy przybywali z całej Europy – żeby nie rzec z całego świata – by nabyć owe wspaniałe klejnoty. Jakże żałowałem, że nie posiadam pieniędzy, by kupić dla niej coś ładnego; oczywiście, jubilerzy, oczarowani urodą młodej kobiety i świetnym strojem – bowiem żona Roemera uczyniła z niej prawdziwą piękność – poczęli zabawiać ją i pytać, czy nie zechciałaby obejrzeć ich towaru.

Pokazywano właśnie bogatemu przybyszowi z Anglii wspaniały brazylijski szmaragd oprawiony w złoto; ów kamień przyciągnął jej wzrok. Gdy Anglik odzegnał się od zakupu z racji niezwykle wysokiej ceny, siadła przy kontuarze, by obejrzeć klejnot, tak jakby była w stanie go nabyć, lub ja mógłbym kupić go dla niej; zdawało się, że ów prostokątny kamień obramowany filigranowym złotem rzucił na nią czar. I wtedy, po angielsku, zapytała o cenę; nie mrugnęła nawet okiem, gdy wymieniano sumę.

Zapewniłem kupca, iż rozważymy rzecz głęboko i że pani wyraźnie upodobała sobie ów klejnot i uśmiechając się, wyprowadziłem ją ze sklepu. Ogarnął mnie wtedy smutek, iż nie mogę kupić dla niej owego szmaragdu.

Lecz, gdy wracaliśmy do Domu, idąc nadbrzeżem kanału, odezwała się do mnie:

– Nie trap się. Któż bowiem żąda od ciebie takich rzeczy?

I po raz pierwszy uśmiechnęła się do mnie i uścisnęła moją rękę. Serce podskoczyło mi w piersi, lecz ona skryła się na powrót w swoje chłodne milczenie i nie rzekła już niczego więcej.

Opowiedziałem o tym wszystkim Roemerowi, który przypomniał mi, iż nie składaliśmy ślubów czystości; postępowałem jednak dotąd zgodnie z nakazami honoru – czego właśnie ode mnie oczekiwano – poza tym powinienem zająć umysł nauką i powrócić do studiowania angielskich ksiąg, gdyż moja umiejętność pisania w owym języku wciąż pozostawiała jeszcze wiele do życzenia.

Siódmego dnia pobytu Debory w Domu jedna z naszych członkiń – o której dużo słyszałeś i czytałeś, chociaż od wielu już lat nie żyje – przybyła z Harlemu, gdzie odwiedzała swojego brata, przeciętnego raczej człowieka. Lecz ona sama nie była zwyczajną kobietą – potężna czarownica Geertruid van Stoik, oto o kim mówię. Nikt z członków Zgromadzenia – mężczyzn i kobiet – nie posiadał wówczas większej mocy niż ona. Natychmiast opowiedziano jej historię Debory i poproszono, by porozmawiała z dziewczyną i sprawdziła, czy zdoła poznać jej myśli.

– Nie chce nam powiedzieć czy potrafi czytać i pisać – rzekł Roemer. – Zresztą nie odpowiada na żadne pytania, a my nie możemy zgadnąć, co z naszych myśli i intencji Debora potrafi odkryć i nie wiemy, jak z nią postępować. Przeczujemy, iż posiada moc, lecz nie mamy co do tego pewności; bowiem zamknęła przed nami swój umysł.

Bez zwłoki Geertruid udała się do niej, lecz Debora, gdy tylko usłyszała kroki niewiasty, zerwała się z krzesła, przewracając je, i upuściwszy na ziemię szycie, przywarła plecami do ściany. Stamtąd wpatrywała się w naszą przyjaciółkę z wyrazem czystej nienawiści w oczach; szukała ucieczki z komnaty, na oślepie drapiąc paznokciami ściany, jakby chciała się przez nie wydostać; w końcu, trafiwszy do drzwi, wybiegła przez nie i popędziła w dół

schodami, w stronę ulicy.

Próbowaliśmy ją powstrzymać, Roemer i ja, błagając, by się uspokoiła i przekonując, iż nikt nie chce jej skrzywdzić. W końcu Roemer rzekł: „Musimy przerwać jej milczenie”. Tymczasem Geertruid podała mi kawałek papieru, na którym w pośpiechu nabazgrała po łacinie „Dziewczynka jest potężną czarownicą”; bez słowa przekazałem kartkę przyjacielowi.

Ublągaliśmy Deborę, by udała się z nami do pracowni Roemera, bardzo obszernej i przestronnej, jak dobrze wiesz, bowiem ją po nim odziedzyczyłeś; w owym jednak czasie ową komnatę wypełniały ukochane przez Roemera zegary, które później rozmieszczono w całym Domu.

Mój przyjaciel nigdy nie zamykał okien wychodzących na kanał, przez które wpadał ożywiony gwar miasta. Było coś pogodnego w atmosferze tego pomieszczenia. Gdy Roemer wprowadził Deborę w krąg słonecznego światła i nakłonił, by spoczęła i spróbowała się uspokoić, wydawała się wyciszona i spokojna; usiadła i podniosła na niego oczy pełne znużenia i bólu.

Ból. Ujrzałem w owej chwili cierpienie tak ogromne, iż moje własne oczy omal nie wypełniły się łzami. Bowiem maska obojętności zniknęła bez śladu, a usta dziewczyny drżały, gdy odezwała się do nas po angielsku:

– Kim jesteście, mężczyźni i kobiety? Czego, w imię Boga, ode mnie chcecie?!

– Deboro – przemówił Roemer kojącym głosem. – Wysłuchaj moich słów, dziecko, a spróbuję ci wszystko jasno wyłożyć. Przez cały czas usiłowaliśmy jedynie dowiedzieć się, jak wiele możesz zrozumieć.

– A cóż jest takiego – zapytała z nienawiścią – co powinnam rozumieć? – Wibrujący niewieści głos dobywał się z falującej piersi, policzki płonęły; i była w owej chwili dojrzałą kobietą, o duszy twardej i zimnej od oglądanych okropności. Co się stało z dzieckiem w niej, pomyślałem zrozpaczony i wtedy odwróciła się, by obrzucić spojrzeniem najpierw mnie, a potem Roemera, wyraźnie przestraszonego, jeżeli kiedykolwiek widziałem go takim; szybko

jednak przewyciężył ów lęk i odezwał się znowu:

– Należymy do stowarzyszenia uczonych i pragniemy poznać osoby posiadające pewne szczególne moce, takie jakie posiadała twoja matka i jakie być może sama posiadasz, a które niesłusznie uznano za pochodzące od diabła. Czy nie jest prawdą, iż twoja matka potrafiła uzdrawiać? Owa moc nie pochodzi od diabła, córko. Czy widzisz książki na półkach wokół ciebie? Pełne są opowieści o takich osobach, raz nazywanych czarodziejkami, kiedy indziej wiedźmami; lecz cóż wspólnego ma z tym wszystkim diabeł? Jeżeli posiadasz tajemną siłę, zaufaj nam, a nauczymy cię, co mogą, a czego nie mogą one uczynić.

Opowiadał jej dalej o tym, jak pomagaliśmy czarownicom w ucieczkach przed prześladowaniami i w dotarciu tutaj, by mogły zamieszkać bezpiecznie razem z nami. Wyjawił jej także, iż dwie z przebywających tu niewiast były potężnymi prorokiniami i że Geertruid potrafiła sprawić, samą jedynie siłą woli, iż szyby drżały w oknach.

Oczy dziewczynki rozszerzyły się ze zdumienia, jej twarz zachowała jednak swój twardy wyraz. Dłonie zacisnęła na poręczach fotela; bacznie przyglądała się Roemerowi, przechyliwszy głowę w bok.

Ujrzałem, iż wyraz nienawiści znowu powraca na jej oblicze i usłyszałem szept Roemera: „Ona czyta w naszych myślach, Petyrze, lecz jej własne są dla nas zamknięte”.

Drgnęła, gdy wypowiedział owe słowa, lecz nie przerwała swojego milczenia.

– Byłaś świadkiem straszliwych rzeczy, lecz z pewnością nie uwierzyłaś w to, o co oskarżono twoją matkę. Prosimy cię, powiedz nam, do kogo przemawiałaś tamtej nocy w gospodzie, gdy Petyr cię słyszał. Jeżeli potrafisz widzieć duchy, opowiedz nam o tym. Nie stanie ci się tu żadna krzywda.

Żadnej odpowiedzi.

– Pozwól, iż pokażę ci mą własną moc, córko. Nie pochodzi ona od Szatana i

nie muszę go wzywać, by jej użyć. Deboro, my nie wierzymy w Szatana. Spójrz na te wszystkie zegary – na ten wysoki szafkowy; i ten z wahadłem po twojej lewej stronie; i zegar na kominku; i na biurku, pod przeciwległą ścianą.

Powiodła wzrokiem po wszystkich, co przyniosło nam wielką ulgę, gdyż rozumiała przynajmniej, co do niej mówiono i patrzyła teraz skonsternowana, jak Roemer, nie poruszając żadnej cząstki swojej fizycznej osoby, sprawił, iż się gwałtownie zatrzymały. Nieustanne tykanie zniknęło z komnaty, pozostawiając po sobie ogromną ciszę, która wydawała się dostatecznie potężna, by stłumić nawet gwar dochodzący znad kanału.

– Córko, zaufaj nam, bowiem wszyscy posiadamy te same talenty – rzekł Roemer i skinął na mnie, bym siłą woli nakazał zegarom podjąć odmierzanie czasu. Zamknąłem oczy i powiedziałem: „Ruszajcie”; zegary posłuchały rozkazu i ich tykanie na powrót wypełniło komnatę.

Wzrok Debory wędrował między mną i Roemerem; wyraz chłodnej nieufności na jej twarzy zastąpiła gwałtowna pogarda. Zeskoczyła z krzesła i cofnęła się pomiędzy półki z książkami, rzucając nam wrogie spojrzenie.

– Ach, czarownicy! – krzyknęła. – Czemuż mi tego od razu nie powiedzieliście? Jesteście czarownikami! Należycie do zakonu Szatana. – Szłochała; łzy zalewały jej twarz. – To wszystko prawda, prawda, prawda!

Osloniwszy piersi skrzyżowanymi ramionami pluła na nas w furii. Nie mogliśmy znaleźć słów, które by ją uspokoiły.

– Jesteście przekłęci! Schowaliście się w tym mieście czarownic, gdzie nie mogą was spalić! – krzyczała. – Ach, chytre wiedźmy, ukryły się w domu diabła!

– Nie, córko! – krzyknął Roemer. – Nie mamy nic wspólnego z siłami nieczystymi! Pragniemy tylko zrozumieć to, co inni potępiają.

– Deboro – wołałem do niej – wyrzuć z pamięci kłamstwa, jakimi cię karmili. Nie ma w Amsterdamie ani jednego człowieka, który chciałby posłać cię na stos! Pomyśl o swojej matce. Co ci powiedziała o swych czynach, zanim

poddali ją torturom i zmusili, by śpiewała ich własną piosenkę?

Ach, lecz były to niewłaściwe słowa! Nie mogłem o tym wiedzieć, Stefanie. Dopiero, gdy jej twarz wykrzywił grymas bólu i ukryła twarz w ramionach, pojąłem swój błąd. Jej matka wierzyła, iż jest zła!

I oto następne oskarżenia posypały się z ust Debory:

– Podli! Czyż nie jesteście czarownikami? Zatrzymywacze zegarów! Ha! Pokażę wam, co może uczynić diabeł w rękach tej czarownicy!

Stała pośrodku pokoju i zwróciwszy swój wzrok w górę, poza okno, jakby w kierunku błękitnego nieba, zawołała:

– Przybądź do mnie, o Lasherze, pokaż tym marnym czarownikom potęgę wielkiej wiedzy i jej demona! Zniszcz wszystkie zegary!

I natychmiast gęsty, ciemny cień przesłonił okno, jakby wezwany przez nią demon skondensował się, by skupić swą moc w niewielkiej komnacie.

Prysnęło cienkie szkło tarcz, popękały misternie sklepane drewniane pudła, wyskoczyły z nich uwolnione sprężyny; i runęły zegary z kominka i biurka, a wysoki zegar szafkowy roztrzaskał się o podłogę.

Roemer był zatrwożony, rzadko bowiem widywał tak potężne demony; czuliśmy wyraźnie obecność ducha; ocierał się o nasze ubrania przepływając obok i smagał nas niewidzialnymi mackami, posłuszny rozkazom swej wiedzy.

– Przepadnijcie w piekle, czarownicy! Nie będę jedną z was! – zawołała Debora i zostawiając nas pośród spadających z półek książek, znowu uciekła; drzwi zatrzasnęły się za nią i nie mogliśmy ich wyważyć, chociaż próbowaliśmy ze wszystkich sił.

Lecz demon zniknął, nie musieliśmy się już go obawiać. Po długiej chwili, wypełnionej milczeniem, drzwi znowu były otwarte i wyszedłszy z komnaty z zakłopotaniem odkryliśmy, że Debora dawno już opuściła Dom.

Wiesz dobrze o tym, Stefanie, iż w owym czasie Amsterdam był już jednym z największych miast Europy; żyło tu może sto pięćdziesiąt tysięcy ludzi, a

może nawet więcej. I w tym ogromnym mieście Debora przepadła jak kamień w wodę. Przeszukiwaliśmy burdele i tawerny, lecz bez skutku. Udaliśmy się nawet do Księżnej Anny, najbogatszej ladaczniczki Amsterdamu, bowiem u niej właśnie dziewczyna tak piękna jak Debora z pewnością mogłaby znaleźć schronienie; i chociaż Księżna, jak zawsze, rada była nas widzieć i pogawędzić przy winie, to jednak nie potrafiła nic powiedzieć o owym tajemniczym dziecku.

Cierpiałem tak okrutnie, iż mogłem jedynie leżeć na łożu i łkać z twarzą ukrytą w ramionach, chociaż wszyscy mówili mi, że niemądrze jest tak postępować. Geertruid przysięgała odnaleźć dziewczynę.

Roemer polecił mi opisać owe wydarzenia na papierze – w ramach mojej pracy badawczej – lecz zapewniam Cię, Stefanie, notatki, które wówczas poczyniłem, są niezmiernie krótkie i tak żałosne, że nie proszę Cię teraz nawet, byś je przejrzał. Gdy powrócę do Amsterdamu – jeśli Bóg pozwoli – zadbam, by ta barwniejsza kronika zajęła miejsce dawnych zapisów.

Lecz teraz pozwól zakończyć moje opowiadanie: dwa tygodnie później odwiedził mnie pewien młody uczeń Rembrandta, do niedawna mieszkający w Utrechcie i powiedział mi, iż dziewczyna, której poszukuję, żyje teraz ze starym portrecistą Roelantem, znanym pod tym jedynie imieniem; artysta ten w młodości przez wiele lat studiował w Italii i wciąż było wielu chętnych na jego dzieła, lecz był on już bardzo chory i słaby i z trudem tylko radził sobie z płaceniem zaległych rachunków.

Być może go nie pamiętasz, Stefanie, pozwól więc powiedzieć sobie, iż to wspaniały malarz; w jego portretach można było odnaleźć ślad owej typowej dla Caravaggia radości i szczęśliwości, gdyby nie choroba, która zaatakowała jego kości i przedwcześnie uczyniła z niego niedołężnego starca, zdobyłby sobie zapewne daleko większe uznanie.

W owym czasie był wdowcem z trzema synami i wielce zacnym człowiekiem.

Natychmiast udałem się do Roelanta, którego znałem, a on zawsze odnosił

się do mnie z sympatią; lecz wtedy zatrzasnął mi drzwi przed nosem. Nie miał czasu, by przyjmować wizyty „szalonych uczonych”, jak nas nazwał i ostrzegł mnie, nie przebierając w słowach, iż nawet w Amsterdamie tacy odmieńcy jak my łatwo mogą wpaść w tarapaty.

Roemer polecił mi, bym na jakiś czas pozostawił sprawę własnemu biegowi; zresztą wiesz Stefanie, iż udało nam się przetrwać, ponieważ zawsze unikaliśmy rzucania się w oczy; więc nadal też trzymaliśmy się owej zasady. W następnych dniach ujrzeliśmy, iż Roelant pospłacał swoje długi i że jego dzieci z pierwszego małżeństwa, a także on sam, odziewają się we wspaniałe szaty, których nie można było nazwać inaczej, jak tylko nadzwyczajnie bogatymi.

Mówiono, iż Debora, szkocka dziewczyna niezwyklej piękności, najęta przez starca do opieki nad dziećmi, przygotowała maść dla jego ułomnych palców, która rozgrzała je i przywróciła im elastyczność, tak iż znowuż mogły utrzymać pędzel. Mówiono też, że za nowe portrety dawano wysoką cenę; musiałby jednak tworzyć trzy albo cztery każdego dnia, by zapłacić za wszystkie sprzęty i stroje, jakie dostarczano do jego domu.

Owa dama była bogata, dowiedziano się wkrótce; ukochane dziecko jakiegoś szkockiego szlachcica; chociaż nie mógł uznać córki, posyłał jej mnóstwo pieniędzy, którymi dzieliła się z Roelantem z wdzięczności, iż ów ją przygarnął.

A któż to mógł być ów szlachcic, chciałem wiedzieć? Czyżby księżę tego potężnego zamku, niczym bezkształtny stos kamieni zwieszającego się ponuro ponad doliną, z której zabrałem Deborę – jego poczętą-w-radości córkę, bosonogą, brudną, z ciałem aż do kości poszarpanym uderzeniami bata, niezdolną nawet samodzielnie podnieść łyżki do ust? Zaprawdę, pyszna to historyjka!

Obydwaj z Roemerem z lękiem obserwowaliśmy rozwój wypadków. Znasz bowiem równie dobrze jak ja przyczynę, dla której obowiązująca nas reguła zabrania wykorzystywania posiadanych mocy dla zysku. A w jakież inny sposób osiągnięto ową zamożność, jeżeli nie z pomocą owego właśnie demona, który na

rozkaz Debory, jak nawałnica wpadł był do komnaty Roemera, by zniszczyć zegary?

Lecz życie w domostwie Roelanta, od chwili pojawienia się Debory, pełne było dostatku i radości i nim rok dobiegł końca, ów stary człowiek poślubił dziewczynę. Jeszcze dwa miesiące przed zaślubinami mistrz Rembrandt namalował jej portret, a w miesiąc po weselu ów konterfekt został wystawiony na widok publiczny w paradnych komnatach Roelanta.

Na wizerunku Debora nosi na szyi ten sam brazylijski szmaragd, na który z takim pożądaniami patrzyła owego dnia, kiedy zabrałem ją do miasta. Już dawno zdążyła go nabyć w sklepie jubilera, razem z każdą sztuką srebrnej zastawy czy klejnotem, które wpadły jej w oko, a także obrazami Rembrandta i Halsy, i Judith Leister, które wielce jej się podobały.

Nie mogłem już dłużej trzymać się z dala. Dom artysty był otwarty dla wszystkich, przybywających obejrzeć portret pędzla Rembrandta, z którego Roelant był wielce i zaiste, sprawiedliwie, dumny. Gdy przekroczyłem próg jego domu, Roelant nie zagroził mi wstępu, lecz przeciwnie, podpierając się laską przykuśtykał, by mnie powitać i ofiarować mi kubek wina. Pokazał mi też swoją ukochaną Deborę, studiującą pod kierunkiem tutora w bibliotece, bowiem jej największym pragnieniem było nauczyć się czytać i pisać po łacinie i francusku. Tak szybkie robi postępy, mówił mi, zaprawdę wielce to zdumiewające; właśnie ostatnio czytała pisma Anny Marii van Schurman, która utrzymywała, iż kobiety są w istocie, równie jak mężczyźni otwarte dla nauki.

Zdawało się, iż szczęście go uskrzydla.

Gdy ją ujrzałem, zwątpiłem w to, co wiedziałem o jej wieku. Ustrojona w drogie kamienie i zielony aksamit wyglądała na młodą niewiastę, lat może siedemnastu. Nosila szerokie rękawy i sute spódnice, a jej czarne włosy zdobiła zielona wstążka z atłasowymi rozetkami. Zielone wydawały się także oczy dziewczyny, odbijające barwę owych wspaniałych tkanin. Uderzył mnie fakt, iż sam Roelant nie wiedział o jej młodym wieku. Nie padło z mych ust żadne

słowo zdradzające kłamstwa, którymi się otoczyła; stałem tam ogłuszony pięknnością Debory, jak gdyby na moją głowę i ramiona posypały się zadane przez nią razy, a gdy podniosła głowę i uśmiechnęła się do mnie, śmiertelny cios ugodził moje serce.

Teraz powinienem odejść, pomyślałem, i szybko opróżniłem swój kubek. Lecz ona podeszła do mnie, wciąż się uśmiechając, ujęła moje dłonie i rzekła: „Petyrze, chodź ze mną” i powiodła mnie do niewielkiej komnaty, w której stały komody z bielizną.

Ach, jakąż ogładę miała, jakież wdzięk. Dama dworu nie mogła postępować z większą swobodą. Lecz gdy myślałem o tym, pamięć moja przywołała obraz owego dnia, kiedy ujrzałem ją po raz pierwszy na wozie na skrzyżowaniu dróg – wyglądała wówczas zupełnie jak mała księżniczka.

Jednak od tamtej pory zmieniała się pod każdym względem. W tych kilku słabych promyczkach światła, które zdołały przebić się do izdebki z bielizną, przyjrzałem się jej dokładnie i znalazłem ją: dorodną, uperfumowaną, z zaróżowionymi policzkami. Wysokie pełne piersi ozdabiał wspaniały brazylijski szmaragd w oprawie ze złotego filigranu.

– Dlaczego nie powiedziałeś wszystkim, co o mnie wiesz? – zapytała, jak gdyby nie znała odpowiedzi.

– Deboro, wyjaśniliśmy ci prawdę o sobie. Pragnęliśmy jedynie ofiarować ci schronienie i naszą wiedzę o mocach, które posiadasz. Wróc, kiedy tylko zechcesz.

Roześmiała się.

– Jesteś głupcem, Petyrze, lecz zabrałeś mnie z ciemności i nędzy, aby przywieść mnie do tego zdumiewającego miejsca. – Sięgnęła do sekretnej kieszeni ukrytej w sutej spódnicy i wyciągnęła z niej garść szmaragdów i rubinów. – Weź je, Petyrze.

Cofnąłem się, potrząsając głową.

– Mówicie, że nie oddajecie czci diabłu – rzekła do mnie. – A wasz

przywódca twierdzi, iż nie wierzy nawet w Szatana, czyż nie takie były jego słowa? Lecz jakiego Boga wyznajecie, do jakiego kościoła należycie, że musicie żyć jak mnisi, w odosobnieniu, otoczeni jedynie księgami, nie znając światowych rozkoszy? Czemu nie wzięłeś mnie wtedy, w oberży, kiedy z łatwością mogłeś to uczynić? Tak bardzo mnie wówczas pożądałeś. Przyjmij moje podziękowania, bowiem to wszystko, co możesz teraz dostać. A owe klejnoty uczynią cię bogatym człowiekiem. Nie będziesz już więcej zależny od swej zakonnej braci. Wyciągnij dłoń!

– Deboro, w jaki sposób zdobyłaś te klejnoty?! – wyszeptalem. – Co się stanie, jeżeli oskarżą cię o kradzież?

– Mój diabeł jest na to za sprytny, Petyrze. Drogocenne przedmioty, które widzisz, pochodzą z daleka. Po prostu poprosiłam o nie. A mogę ich mieć, ile zechcę, i najmniejsza zaledwie część owego bogactwa wystarczyła, by kupić szmaragd, który noszę na szyi. Z tyłu oprawy kazałam wyryć imię mego czarta., Petyrze. Znasz je. Zaklinam cię jednak, nie wzywaj go nigdy, bowiem tylko mnie jest posłuszny i zgubi każdego, kto spróbuje mu rozkazywać używając imienia, nadanego mu przez moją matkę.

– Wróć do nas, Deboro – błagałam ją. – Odwiedzaj nas chociaż we dnie, gdy tylko zechcesz; przychodź, choćby na kilka godzin, porozmawiać z nami; oczywiście, kiedy twój małżonek nie będzie miał nic przeciwko temu. Twój demon to nie diabeł, lecz nie mniej jest potężny i zdolny do czynów niegodziwych, dla samej tylko lekkomyślności i psotności, właściwych duchom. Deboro, musisz koniecznie pojąć, iż to nie jest zabawa!

Lecz widziałem, że nie dba o to.

Nalegałam więc dalej. Wyjaśniłem, iż pierwszą i najważniejszą regułą naszego Zgromadzenia jest, aby żaden z jego członków, niezależnie od tego, jak potężną ma władzę nad demonami, nigdy nie wykorzystywał jej dla osiągnięcia zysku.

– Bowiem jest to najdawniejsze prawo, zawsze przestrzegane przez

wszystkich czarowników na tym świecie i przez tych, którzy wzywają niewidzialne moce. A ci, co zaprzęgają je do nieczystych celów, działają na swą niechybną zgubę.

– Lecz czemuż korzyść miałyby być rzeczą nikczemną, Petyrze? – spytała, jakbyśmy byli równi sobie wiekiem. – Pomyśl, co ty mówisz! Nie ma nic niegodziwego w bogactwie. Czy kogoś spotkała krzywda z powodu owych rzeczy, które przynosi mi mój demon? Spójrz, wszyscy domownicy Roelanta otrzymali wsparcie.

– To co czynisz, Deboro, jest niebezpieczne! Im więcej przemawiasz do owego ducha, tym potężniejszy się on staje...

Gestem ręki nakazała, abym zamilkł. W jej oczach dostrzegłem pogardę. Znowu jęła nalegać, bym przyjął klejnoty. Rzekła bez ogródek, że jestem głupcem, nie wiem bowiem, jak używać swej potęgi; i dziękowała mi za zabranie jej do tego miasta, doskonałego dla czarownic; na koniec roześmiała się złośliwie.

– Deboro, nie wierzymy w Szatana, lecz wierzymy w zło – rzekłem. – A złem jest to, co działa na zgubę rodzaju ludzkiego. Zaklinam cię, strzeż się owego demona. Nie dawaj wiary temu, co mówi ci o sobie i swych intencjach. Nikt bowiem nie wie, czym naprawdę są owe byty.

– Przestań, Petyrze, gniewasz mnie. Czemu myślisz, że ów demon cokolwiek mi mówi? Zajrzyj do demonologii, Petyrze, do starych ksiąg napisanych przez zaciętrzewionych duchownych wierzących w diabły, bowiem więcej zawierają prawdziwej wiedzy o tym, jak panować nad niewidzialnymi bytami, niż mógłbyś pomyśleć. Widziałam je na waszych półkach. To jedno łacińskie słowo, *demonologia*, potrafiłam przeczytać, bowiem oglądałam takie księgi już dawniej.

Były one pełne prawdy oraz kłamstw, powiedziałem. Odsunąłem się od niej ze smutkiem. Jeszcze raz spróbowała wręczyć mi klejnoty. Nie chciałem ich przyjąć. Wsunęła mi je do kieszeni, przyciskając swe gorące wargi do mego

policzka. Wyszedłem.

Roemer zakazał mi więcej się z nią widywać. Nigdy nie pytałem, co uczynił z klejnotami. Ogromne skarbcze Talamaski nigdy mnie szczególnie nie interesowały. Wiedziałem tylko to, co wiem i teraz: że moje długi są spłacane, ubrania zakupione, a w kieszeni zawsze znajduję potrzebne mi monety.

Nawet gdy Roelant zachorował – a nie stało się to za jej sprawą, zapewniam Cię, Stefanie – nie pozwolono mi odwiedzić Debory.

Lecz działa się rzecz dziwna, wiele razy w przeróżnych miejscach dostrzegałem ją nagle, samotną lub z jednym z synów Roelanta za rękę, przyglądającą mi się z daleka. Widywałem ją więc na gwarnych ulicach, i raz jeden, przechodzącą obok Domu Talamaski, pod moim oknem; a gdy szedłem odwiedzić Rembrandta van Rijna, już tam była, pochylona nad szyciem, z Roelantem u boku, obserwująca mnie kątem oka.

Czasami zdawało mi się nawet, iż mnie prześladowe. Wolałbym bowiem być sam ze swoimi myślami, przechadzając się i wspominając owe chwile, gdy po raz pierwszy byliśmy razem, i gdy karmiłem ją i kapałem jak dziecko. Na nic jednak udawanie, iż myślałem wówczas o niej tylko jak o dziecku. Lecz zdarzało się, że kiedy przerywałem nagle swój marsz i odwracałem się do tyłu, była tam, szła za mną ubrana w strojny aksamitny płaszcz i kaptur. Nim skręciła w następną uliczkę, obrzucała mnie badawczym spojrzeniem.

Och, Stefanie, wyobraź sobie, jak bardzo cierpiałem! A Roemer powiedział, nie chodź do niej. Zakazuję ci. I Geertruid ostrzegła mnie bezustannie, iż jej dziki demon stanie się zbyt potężny, by mogła go kontrolować.

Miesiąc przed śmiercią Roelanta zamieszkała wraz z Debora pod jego dachem niezwykle utalentowana młoda malarka, Judith de Wilde; pozostała tam, razem ze swym wiekowym ojcem Antonem de Wilde, gdy Roelant odszedł.

Bracia zmarłego artysty zabrali jego synów do swoich wiejskich posiadłości; wdowa po Roelancie i Judith de Wilde wspólnie utrzymywały dom, z wielką czułością opiekując się starcem, lecz wiodąc żywot pełen rozrywek i radości; ich

salony były we dnie i wieczorami otwarte dla pisarzy i poetów, uczonych i malarzy, pragnących je odwiedzać i dla uczniów Judith, którzy darzyli ją takim samym uwielbieniem, jakim obdarzano mistrzów – mężczyzn; dorównywała im bowiem swoją sztuką i jak mężczyźni, należała do gildii świętego Łukasza.

Lecz mnie zabraniał wstępu rozkaz Roemera. Wiele razy przechodziłem pod owym domem i przysięgam Ci, Stefanie, iż jeżeli tylko zamarudziłem dostatecznie długo, Debora pojawiała się w oknie na piętrze; widziałem jej cień za szybą. Czasem udawało mi się dostrzec jedynie blask rzucany przez zielony szmaragd; kiedy indziej jednak otwierała okno i na próżno przywoływała mnie, bym wszedł do środka.

Sam Roemer poszedł ją odwiedzić, jednak nie chciała go widzieć.

– Myśli, iż wie więcej od nas – rzekł ze smutkiem. – Lecz w istocie, nie wie niczego, inaczej nie igrałaby z nieczystymi siłami. Tę właśnie omyłkę popełniają zawsze czarodziejki. Zdaje im się, iż posiadają całkowitą władzę nad niewidzialnymi mocami, uważają iż są one posłuszne ich rozkazom; podczas gdy w rzeczywistości tak nie jest. A cóż z jej wolą, sumieniem i ambicją? Jakże ten demon pogrąża ją w zepsuciu! To nienaturalne, Petyrze, i zaiste, niebezpieczne.

– Czy ja zdołałbym przywołać takiego demona, Roemerze, gdybym zechciał?

– Nikt nie zna na to odpowiedzi, Petyrze. Być może udałoby ci się, jeśliśbyś spróbował. I być może, nie mógłbyś się od niego uwolnić, raz go do siebie wezwawszy; to właśnie jest owa stara pułapka. Nigdy nie otrzymasz mojego błogosławieństwa dla takich eksperymentów, Petyrze. Czy słuchasz, co do ciebie mówię?

– Tak, Roemerze – odrzekłem, posłuszny jak zawsze. Lecz on wiedział, iż moje serce nie jest już czyste jak dawniej i że znajduje się we władzy Debory, zupełnie jakby rzuciła na mnie urok; lecz nie były to czary, a coś potężniejszego.

– Nie możemy już pomóc owej niewieście – rzekł. – Zwróć swój umysł ku

innym sprawom.

Zrobiłem, co było w mojej mocy, by podporządkować się jego woli. Nie mogłem nic poradzić na docierające do mnie wieści, że o rękę Debory starało się wielu możnych panów z Anglii i Francji. Posiadała tak wielki i trwały majątek, iż nikomu nie przychodziło już więcej do głowy kwestionować jego źródło i wątpić, że zawsze była równie bogata. Robiła błyskawiczne postępy w nauce; darzyła też szczerym oddaniem Judith de Wilde i jej ojca; nie spieszyła się więc z ponownym zamęściem, chociaż przyjmowała odwiedziny licznych zalotników.

Cóż, jeden z nich w końcu zabrał ją ze sobą!

Nigdy nie dowiedziałem się, kim był ów wybraniec, którego poślubiła, ani skąd przybył. Widziałem Deborę jeszcze tylko jeden raz i nie wiedziałem wówczas tego, co wiem teraz – iż była to zapewne ostatnia noc przed jej odjazdem.

Zbudził mnie w ciemnościach jakiś dźwięk dobiegający od okna; uprzytomniwszy sobie, iż słyszę jednostajne stukanie w szybę, które z pewnością nie mogło mieć żadnej naturalnej przyczyny, podszedłem by sprawdzić, czy aby jakiś łotr nie spuszcza się z dachu. Mieszkałem wówczas na piątym piętrze, wciąż mając w naszym Zgromadzeniu status jedynie nowicjusza, mającego do dyspozycji poślednią, chociaż bardzo wygodną komnatę.

Okno było zamknięte i nikt nie próbował się przez nie wedrzeć do środka. Lecz daleko w dole, na nadbrzeżu, stała samotna kobieta odziana w czarne szaty; zdawała się wpatrywać we mnie, a gdy otworzyłem okno, gestem ręki nakazała mi, bym zszedł na dół.

Wiedziałem, że to Debora. Zupełnie straciłem głowę, jakby succubus wszedł do mej komnaty, zdarł ze mnie koce i wpił się we mnie swymi ustami.

Cicho wymknąłem się z Domu, unikając wszelkich pytań. Dziewczyna stała czekając na mnie; ogromny szmaragd lśnił w ciemnościach, jakoby ogromne oko na jej szyi. Poprowadziła mnie tylnymi uliczkami do swojego domu.

Stefanie, aż do tej chwili zdawało mi się, iż śnię. Lecz pragnąłem, by sen ów

trwał wiecznie. Nie było przy niej ani służącej, ani lokaja.

Przyszła do mnie samotnie, co, muszę przyznać, nie jest w Amsterdamie aż tak niebezpieczne jak gdzie indziej; lecz krew we mnie wrzała, gdy patrzyłem na nią, taką bezbronną, a równocześnie zdecydowaną i tajemniczą; tuliła się do mnie i nalegała, bym szybciej podążał za nią. Jakżeż wspaniałe były sprzęty w jej domu; grube dywany, wykładane drewnem podłogi; kosztowne srebra i delikatna porcelana wypełniały oszklone szafy. I pośród owych bogactw poprowadziła mnie na swoje prywatne komnaty, do łoża udrapowanego zielonym aksamitem.

– Wychodzę za mąż, Petyrze – rzekła.

– Jeżeli tak, to czemu mnie tu przyprowadziłaś, Deboro? – zapytałem, lecz wiedz, Stefanie, iż drżałem z pożądania. Gdy rozluźniła swe wierzchnie szaty i pozwoliła opaść im na podłogę, ujrzałem poprzez cienką koronkę sukni jej pełne piersi i oszalałem z pragnienia, by ich dotknąć; nie uczyniłem jednak najmniejszego ruchu. Rozpalał mnie widok ciasno ściągniętej kibici, gładkiej szyi i spadzistych ramion. Nie było takiej części jej ciała, której bym rozpaczliwie nie pragnął. Byłem jak rozwścieczona bestia zamknięta w klatce.

– Petyrze – rzekła patrząc mi w oczy. – Wiem, iż oddałeś klejnoty swemu Zgromadzeniu niczego nie zatrzymując dla siebie. Pozwól mi zatem ofiarować ci teraz to, czego tak pragnąłeś podczas naszej długiej podróży do Amsterdamu; byłeś jednak zbyt szlachetny, by wziąć to siłą.

– Deboro, czemuż to czynisz? – zapytałem, zdecydowany w żadnym wypadku nie wykorzystywać jej położenia. Widziałem bowiem, iż była głęboko strapiona; czytałem to w jej oczach.

– Ponieważ chcę tego, Petyrze – rzekła gwałtownie, otaczając mnie swoimi ramionami i zasypując pocałunkami. – Porzuć Talamaskę. Zgódź się zostać moim małżonkiem, a nie poślubię nikogo innego.

– Czemu chcesz tego ode mnie? – zapytałem znowu. Roześmiała się ze smutkiem i goryczą.

– Pragnę twojego zrozumienia. Tęsknię za kimś, przed kim nie musiałabym niczego ukrywać. Oboje posiadamy nadprzyrodzone, potężne moce, Petyrze; nieważne, czy wierzymy w Boga czy w diabła, my dwoje jesteśmy czarownicami.

Och, jakże błyszcząły oczy tej dziewczyny, gdy wypowiadała te słowa; jakież triumf brzmiał w jej głosie, a przy tym jaka gorycz.

Przez chwilę zaciskała zęby. A potem objęła mnie i poczęła pieścić mą twarz i kark, potęgując moje szaleństwo.

– Pragniesz mnie, Petyrze, zawsze tak było. Pójdź za mną, opuścimy Amsterdam, jeżeli Talamasca nie da ci wolności. Wyjedziemy razem. Nie ma takiej rzeczy, której nie mogłabym zdobyć dla ciebie, której bym ci nie ofiarowała; tylko zostań ze mną, pozwól mi zawsze być blisko ciebie i już nigdy się nie bać.

Twarz jej wyrażała wielki smutek, a oczy wypełniły się łzami.

– Mój młody małżonek jest piękny i ma to wszystko, o czym marzyłam, gdy siedziałam przed chatą, brudna i bosonoga. Jest jak szlachcic, który minął mnie jadąc konno na zamek. A teraz ja będę panią na zamku, choć to w obcym kraju. To tak, jakbym wstąpiła do jednej z bajek, opowiadanych mi przez matkę. Będę komtessą i marzenia mojego dzieciństwa staną się rzeczywistością.

– Lecz, Petyrze, miłuję go i zarazem nie miłuję. Ty jesteś pierwszym mężczyzną, którego pokochałam, ty, który przywiozłeś mnie tutaj; widziałeś miejsce kaźni mojej matki; kąpałeś, karmiłeś mnie i odziewałeś, gdy niezdolna byłam uczynić tego sama.

Straciłem już wszelką nadzieję, iż zdołam opuścić ową komnatę nie posiadłszy jej wprzód. Wiedziałem to. Tak bardzo zauroczył mnie sposób, w jaki opadały jej rzęsy i maleńkie dołeczki w policzkach, iż pozwoliłem, by pociągnęła mnie nie na łożo, lecz na dywan przed kominkiem, w którym płonęły węgle; i tam, przy owym pulsującym ciepłe, poczęła opowiadać mi o swoich nieszczęściach.

– Zdaje mi się teraz, iż moja przeszłość to upiorny fantom. – Płakała cicho; jej oczy stawały się coraz szersze z zadziwienia. – Czy kiedykolwiek mieszkałam w tamtym miejscu, Petyrze? Czy oglądałam śmierć mojej matki?

– Nie wywlekaj tego z powrotem z ciemności, Deboro – odrzekłem. – Pozwól obrazom przeszłości rozsypać się w proch.

– Lecz czy pamiętasz, Petyrze, gdy po raz pierwszy przemawiałeś do mnie, powiedziałeś, iż to nie moja matka była zła, lecz ludzie wyrządzili jej zło. Dlaczegoż wierzyłeś w takie rzeczy?

– Na Boga, Deboro, powiedz mi, czy była czarownicą, i kim jest czarownica?!

– Och, Petyrze, przypominam sobie jak chodziłam wraz z nią na pola, w bezksiężycowe noce, tam gdzie były poukładane kamienie.

– I co tam się stało, najdroższa? – błagałem o odpowiedź. – Czy zjawił się diabeł z rozdzielonymi kopytami?

Potrząsnęła głową i gestem nakazała mi, bym milczał i słuchał cierpliwie.

– Petyrze – rzekła – to sędzia czarownic nauczył ją czarnej magii! Pokazała mi tę księgę! Przechodził przez naszą wioskę, kiedy byłam zaledwie dzieckiem pełzającym po ziemi, i zaszedł do naszej chaty, by matka opatrzyła mu rozcięcie na dłoni. Siadł z nią przy ogniu i opowiadał o wszystkich miejscach, w jakie zawiodła go jego praca i o wszystkich czarownicach, które spalił. „Strzeż się, moja córko”, rzekł do niej, a przynajmniej tak mi opowiadała później, i wyjął ze swojej skórzanej sakwy ową straszliwą księgę. *Demonologiae*, tak się nazywała; i czytał ją mej matce, bowiem sama była analfabatką, jeśli o to chodzi; i unosił do światła, które rzucał ogień, by lepiej widziała rysunki.

– Godzinę za godziną objaśniał, co czarownice czyniły i co mogły uczynić. „Strzeż się, moja córko, iżby diabeł cię nie skusił, bowiem diabeł ukochał sobie akuszerki i uzdrowicielki!”, powtarzał, przewracając karty.

– Tej nocy, leżąc u jej boku, opowiadał o domach tortur, o stosach i krzykach potępionych. „Strzeż się, moja córko”, rzekł raz jeszcze, gdy

odchodził.

– Opowiedziała mi później o tym wszystkim. Miałam wtedy sześć albo siedem lat. Siedziałyśmy we dwie przy kuchennym piecu. „Chodź teraz”, rzekła, „zobaczysz sama.” Wyszłyśmy daleko na pola, po omacku szukając przed sobą kamieni i gdy znalazłyśmy się w środku kręgu, stanęłyśmy bez ruchu, smagane podmuchami wiatru.

– Żadnego dźwięku pośród nocy, wierz mi Petyrze, najmniejszego przebłysku światła. Nawet gwiazdy nie oświetlały wież zamku, nie można było dostrzec lśniących w oddali wód Loch Donnelaith.

– Słyszałam, jak matka mówi coś pod nosem trzymając mnie za rękę; potem tańczyłyśmy wewnątrz kręgu, zataczając raz po raz małe kółka. Mruczała coraz głośniej, wreszcie mogłam rozpoznać łacińskie słowa, którymi wzywała demona; wyciągnąwszy ramiona przed siebie, wołała go, by przybył.

– Wokół panowała całkowita pustka, nic nie odpowiadało. Przytuliłam się mocniej do jej spódnicy, ściskając zimną dłoń matki.

I wtedy poczułam, jak nadchodzi, jakby podmuch ponad pastwiskami; a potem, gdy tak narastał w sobie przybywszy do nas, był niby wichur. Muskał moje włosy i kark, czułam jak się owija wokół nas. Mimo iż nie przemawiał słowami, to jednak usłyszałam, gdy rzekł: „Oto jestem, Zuzanno!”

– Och, śmiała się z zachwytu, tańczyła z radości. Klaskała w dłonie jak dziecko i śmiała się znowu, odrzucając do tyłu włosy. „Czy widzisz go, moja córko?”, pytała mnie. Odpowiedziałam jej, że czuję go i słyszę bardzo blisko.

– I znowu przemówił: „Zawołaj mnie moim imieniem, Zuzanno”.

– „Lasher!”, powiedziała, gdyż wiatr, który zsyłasz, smaga pastwiska; chłoszcze liście, strącając je z drzew. Przybądź teraz, mój Lasherze, ześlij burzę na Donnelaith! Niech poznam, iż jestem potężną wiedźmą i że czynisz to z miłości do mnie!

– Gdy powróciłyśmy do naszej chaty, potężny wichur szalał już ponad polami; gdy zatrzasnęła drzwi, słyszałyśmy jego wycie w kominie. Siedziałyśmy

razem przy ogniu, śmiejąc się jak dzieci; „Widzisz, widzisz, dokonałam tego”, szeptała. Wtedy patrząc w oczy matki ujrzałam to, co widziałam potem już zawsze, nawet w ostatniej godzinie jej agonii i śmierci: oczy prostej, nierozgarniętej dziewczynki śmiejącej się zza osłony palców, chowającej w drugiej dłoni skradziony cukierek. To była dla niej zabawa, Petyrze. Zabawa!

– Rozumiem, najdroższa – odrzekłam.

– Powiedz mi teraz, że Szatana nie ma i to nie on przybył poprzez ciemność, by zażądać duszy czarownicy z Donnelaith i zaprowadzić ją na stos! Lasher znajdował dla niej przedmioty, zgubione przez innych, przynosił złoto, które potem jej odebrali, on odsłaniał jej perfidne sekrety, które wyjawiała chętnym uszom. To Lasher zesłał grad na skłóconą z nią mleczarkę, Lasher mścił się na matki nieprzyjaciołach! Ona nie potrafiłaby pokierować nim, Petyrze, nie wiedziała, jak go wykorzystać. I jak dziecko bawiące się świeczką, igrała z ogniem, który w końcu ją spalił.

– Nie czyn tego samego błędu, Deboro! – szeptałam, całując jej twarz. – Nikt nie może kierować *daimonem*, bowiem jest on tym, czym jest.

– Och nie, tu chodzi o coś więcej – wyszeptała. – Mylisz się, nic mi nie grozi. Nie lękaj się o mnie, Petyrze, nie jestem moją matką. Nie ma powodu do niepokoju.

Siedzieliśmy w milczeniu przy owym niewielkim ogniu, chociaż trudno mi było dać wiarę, że chce być blisko niego i gdy oparła czoło o kamienny parapet ponad paleniskiem, znowu całowałam miękkie policzki i odsuwałam z twarzy długie, niesforne pukle lśniących czarnych włosów.

– Petyrze – rzekła – nigdy więcej nie zaznam głodu i nędzy, w jakiej żyłam. Nigdy więcej nie znajdę się na łasce głupców.

– Nie wychodź za mąż, Deboro! Nie odchodź! Pójdź ze mną! Przyjdź do Talamaski, a razem odkryjemy prawdziwą naturę tej istoty...

– Nie, Petyrze. Wiesz, iż tego nie uczynię – uśmiechnęła się ze smutkiem. – To ty musisz pójść ze mną, odjedziemy stąd razem. Przemów do mnie teraz

swym tajemnym głosem, którym potrafisz rozkazywać zegarom, by się zatrzymały i wzywać duchy; pozostań ze mną, bądź moim oblubieńcem i niech to będzie nasza czarodziejska noc poślubna.

Chciałem zaprotestować po tysiakkroć, lecz położyła dłoń na mych ustach i poczęła mnie całować tak żarliwie, iż wiedziałem już tylko, że muszę zerwać krępujące ją szaty i posiąść ją tam, na łożu z draperiami z zielonego aksamitu; zawładnąć jej dziecięcym ciałem o tajemnicach dorosłej kobiety, które kąpałem i odziewałem.

Czemu zadaję sobie ból wspominając te wydarzenia? Przyznaję się do swojego dawnego grzechu, Stefanie. Opowiadam o wszystkim, co się stało, nie potrafiłbym bowiem pisać o owej kobiecie, nie uczyniwszy tego wyznania. Czytaj więc dalej.

Nigdy nie celebrowałem obrzędów z takim zapamiętaniem. Nigdy nie zaznałem takiej zmysłowości i słodyczy jak wtedy.

Debora wierzyła, iż jest czarownicą, a przeto przepelnia ją zło; a to spotkanie miało dla niej diabelski ryt i celebrowała je z wielką gorliwością. Jednak serce dziewczyny było czułe i kochające, przysięgam Ci to; cóż, więc owa mieszanina dawała zaiste rzadki i potężny czarodziejski trunek.

Łoże opuściłem dopiero o poranku. Spałem wsparty na jej pachnącej piersi. Od czasu do czasu szlochałem jak mały chłopiec. Ze zręcznością kusicielki rozbudziła dla siebie każdą fibrę mego ciała. Odkryła moje najskrytsze pragnienia i bawiła się nimi, by w końcu je nasycić. Byłem jej niewolnikiem. Lecz wiedziała, iż nie pozostanę z nią, że będę musiał powrócić do Talamaski; przez ostatnie godziny leżała w milczeniu, wpatrując się w drewniany baldachim, aż do momentu, gdy poprzez szczeliny między draperiami poczęło się sączyć światło i łoże nagrzało się od promieni słońca.

Ubierałem się, zmęczony, i nie pragnąłem niczego więcej na świecie oprócz jej duszy i ciała. A mimo to, opuszczałem swoją Deborę. Powracałem do Domu, by opowiedzieć Roemerowi, co uczyniłem. Zgromadzenie zaprawdę było mi

matką i ojcem, więc nie miałem innego wyboru.

Myślałem, iż pożegna mnie przekleństwami. Lecz tak się nie stało. Po raz ostatni błagałem ją, by została w Amsterdamie, poszła ze mną.

– Żegnaj, mój mały kapłanie – rzekła do mnie. – Bądź zdrow i niech Talamasca wynagrodzi ci to, iż się mnie wyrzekłeś.

W jej oczach lśniły łzy; zachłannie całowałem piękne dłonie, nim odszedłem i jeszcze raz wtuliłem twarz w jej włosy.

– Idź już, Petyrze – rzekła w końcu. – Pamiętaj o mnie.

Upłynął może dzień lub dwa, zanim powiedziano mi, iż wyjechała. Byłem zrozpaczony i leżałem szlochając, próbując słuchać Roemera i Geertruid, lecz ich słowa nie docierały, do mych uszu. Wiem tylko, iż wbrew temu, czego oczekiwałem, nie byli na mnie rozgniewani.

I to właśnie Roemer odwiedził Judith de Wilde i nabył od niej portret Debory namalowany przez Rembrandta. Obraz ten wisi w naszym Domu aż do dzisiaj.

Minął zapewne cały rok, nim odzyskałem zdrowie ciała i duszy. Nigdy więcej nie złamałem już reguł Talamaski, tak jak to uczyniłem tamtejszej nocy; znowu podróżowałem po państwach niemieckich i Francji, a nawet zawędrowałem do Szkocji, wszędzie wierny swemu zadaniu ratowania czarownic i spisywania informacji o nich i ich cierpieniach, jak to zawsze zwykliśmy czynić.

Więc znasz teraz, Stefanie, całą historię Debory. Pojmujesz już, jak wstrząsnęła mną tragedia komtessy de Montecleve, którą poznałem w tyle lat później w Cevennes w Languedoc; i jak wstrząsnęło mną odkrycie, że owa dama to nie kto inny, jak Debora Mayfair, córka szkockiej czarownicy.

Och, gdyby tylko to jedno właśnie – iż matkę jej spalono na stosie – ominęło uszy tutejszych mieszczan. Gdyby tylko młoda oblubienica nie zwierzyła swych sekretów małżonkowi w tę noc, gdy szlochała na jego piersi. I oto mam przed oczyma obraz jej twarzy, na zawsze wyryty w mej pamięci, chociaż było to

przed tyłu laty, gdy mówi do mnie: „Petyrze, z tobą mogę rozmawiać bez strachu”.

Rozumiesz teraz, z jakim lękiem i bólem wchodziłem do więziennej celi, zapomniawszy o rozwadze i aż do ostatniej chwili nie pomyślałwszy nawet, że owa pani skulona w łachmanach na łożu ze słomy mogłaby unieść wzrok i rozpoznać mnie a potem, wezwawszy w swej rozpaczce me imię, beztrósco mnie zdemaskować.

Lecz tak się nie stało.

Gdy wszedłem do celi, unosząc brzeg sutanny, jak ksiądz, który nie chce się zbrukać więziennym brudem, spojrzałem w dół na jej twarz i nie ujrzałem śladu rozpoznania.

Zaalarmowało mnie jednak, że przypatruje mi się uporczywie, więc natychmiast oświadczyłem staremu głupcowi z plebanii, iż muszę bez świadków zbadać skazaną. Perspektywa pozostawienia mnie z nią sam na sam budziła w nim odrazę, lecz powiedziałem mu, iż widziałem mnóstwo czarownic i ta nie przeraża mnie w najmniejszym stopniu; że muszę zadać jej wiele pytań i że jeśli raczy tylko poczekać na mnie na plebanii, to wkrótce do niego dołączę. Następnie wyjąłem z kieszeni kilka złotych monet i rzekłem: „Proszę, przyjmij je dla twego kościoła, wiem bowiem, iż przysporzyłem ci wiele trudu”. To przypieczętowało zgodę. Stary, dureń odszedł.

Czyż muszę ci mówić, jaką pogardę budzą we mnie owe nieczne praktyki, pozwalające na to, by ową kobietę zostawiono na mojej łasce, bez dozoru straży? Ileż złego mógłbym jej uczynić, gdybym tylko zechciał? A czy nie uczynił tego nikt przede mną?

Zatrzaśnięto drzwi i chociaż słyszałem jakąś szeptaninę w sieni, byliśmy sami. Postawiłem świecę na drewnianej ławie – jedynym sprzęcie w tym ponurym pomieszczeniu – i gdy walczyłem, by powstrzymać łzy, którymi widok nieszczęsnej wypełnił moje oczy, usłyszałem jej przytłumiony głos, niewiele głośniejszy od szeptu:

– Petyrze, czy możliwe, iż to naprawdę ty?

– Tak, Deboro – odrzekłem.

– Ach, lecz nie przybyłeś po to, by mnie uratować? – spytała ze znużeniem.

Ton, jakim wypowiedziała te słowa, sprawił, iż serce moje zadrżało bowiem był to ten sam głos, którym mówiła do mnie w swej sypialni w Amsterdamie. Zyskał jedynie odrobinę głębsze brzmienie i dźwięczała w nim jakaś mroczna nuta, dodana przez cierpienie.

– Nie mogę tego uczynić, Deboro. Spróbuję, lecz wiem, iż nie zdołam.

Moje słowa nie zdziwiły jej, a mimo to uśmiechnęła się.

Wziąwszy do ręki świeczkę, podszedłem bliżej i uklęknałem na słomie, by móc spojrzeć jej w twarz. Ujrzałem te same co niegdyś oczy i policzki; zdało mi się, iż ów szczupły, woskowy kształt to moja Debora przemieniona już w duchową postać; lecz jej piękność pozostała nietknięta.

Nie uczyniła najmniejszego ruchu w mym kierunku, lecz tylko studiowała me oblicze, jak mogłaby studiować obraz; i wtedy, wyrzucając z siebie potok nędznych i żalonych słów, opowiedziałem jej, iż nie zdawałem sobie sprawy z jej nieszczęścia, lecz przybyłem w to miejsce pracując dla Talamaski i z wielkim smutkiem odkryłem, że to właśnie ona jest tą osobą, o której tyle mówiono. Chciałem się upewnić, iż rzeczywiście odwoływała się do biskupa i do Parlamentu Paryża, lecz uciszyła mnie gestem i rzekła:

– Umrę tutaj jutrzejszego dnia i nie ma niczego, co mógłbyś uczynić.

– Ach, lecz jest jedna niewielka łaska – odrzekłem. – Mam w swym posiadaniu proszek, który, zmieszany z wodą i wypity, wprowadzi cię w letarg i uchroni od cierpienia straszliwych mąk. Mógłbym ci nawet dać miarę dość dużą, by zadała ci śmierć; w ten sposób zdołasz wystrzychnąć na dudka palące płomienie. Pewien jestem, iż potrafię dostarczyć ci ów specyfik, ten stary ksiądz to głupiec.

Wydało mi się, iż moja propozycja wzruszyła ją głęboko, nie spieszyła się jednak, by ją przyjąć.

– Petyrze, muszę zachować przytomność umysłu, gdy wyprowadzą mnie na plac. Ostrzegam cię, usuń się z miasta, gdy to się będzie działo; lub ukryj się za zamkniętymi okiennicami, jeżeli musisz pozostać, by oglądać wszystko własnymi oczyma.

– Czy mówisz o ucieczce, Deboro? – zapytałem. Muszę bowiem przyznać, iż słowa jej rozpałyły mą wyobraźnię. Jeżeli tylko mógłbym uratować swą ukochaną, wywołać wielkie zamieszanie i wywieźć ją stąd w ten lub inny sposób. Lecz jak miałbym tego dokonać?

– Nie, nie, Petyrze, to przekracza mą moc i moc tego, który jest na me rozkazy. Przynieść klejnot czy złotą monetę do rąk czarownicy to nic trudnego dla demona, lecz otworzyć bramę więzienia i pokonać strażników? To niemożliwe. – Przerwała i jakby w roztargnieniu, błędząc po celi dzikim wzrokiem, rzekła: – Czy wiesz, iż własni moi synowie zeznawali przeciw mnie? Iż mój ukochany Chretien nazwał swoją matkę czarownicą?

– Myślę, iż zmusili go do tego. Czy chcesz, bym udał się go zobaczyć? Co mogę uczynić, by ci pomóc?

– Och, miły, drogi Petyrze – odrzekła. – Czemu mnie nie usłuchałeś, gdy cię błagałam, byś wyjechał ze mną? Lecz w tym, co się stało nie ma twej winy, lecz tylko moja.

– Jakże, Deboro? Nigdy nie zwątpiłem w twą niewinność. Gdybyś tylko potrafiła uleczyć ranę swego małżonka, nikt by nie gadał o czarach.

Potrząsnęła głową.

– Nie znasz całej prawdy. Gdy umarł, wierzyłam sama, iż nie ma we mnie winy. Lecz spędziłam w tej celi długie miesiące rozmyślając o tym, Petyrze. A głód i ból wyostrzają umysł.

– Deboro, nie wierz w to, co twoi wrogowie mówią o tobie, nieważne jak wiele razy i jak składnie by to powtarzali!

Nie odpowiedziała, wydawało się, iż jest to jej zupełnie obojętne. Lecz po chwili znowu zwróciła się do mnie:

– Petyrze, uczyni coś dla mnie. Jeżeli jutro wyprowadzą mnie na plac związaną, czego najbardziej się lękam, zażądaj, by uwolnili me dłonie i stopy, tak bym zgodnie z tutejszym zwyczajem mogła dźwigać ciężką, pokutną świecę. Nie pozwól, by moje okaleczone stopy wzbudziły twą litość, Petyrze. Boję się więzów bardziej niż ognia!

– Uczynię to – rzekłem. – Lecz nie musisz się tego obawiać. Każą ci nieść świecę i przejść pieszo całą drogę. Będziesz musiała dźwigać ją aż do schodów katedry i dopiero tam zwiążą cię i poprowadzą na stos. – Z trudem mogłem mówić.

– Posłuchaj, jeszcze o jedno chcę cię prosić – rzekła.

– Tak, mów, co tylko zechcesz.

– Kiedy będzie już po wszystkim i opuścisz to miasto, wyślij list do mej córki Charlotte Fontenay, małżonki Antoina Fontenay, na San Domingo, w Hiszpanioli, pod opieką kupca Jean-Jacquesa Toussainta, Port-au-Prince; napisz to, co ci powiem.

Powtórzyłem nazwisko i pełen adres.

– Powiedz Charlotte, że nie cierpiałam w płomieniach, nawet jeśli to nie będzie prawda.

– Sprawię, iż w to uwierzy.

Uśmiechnęła się smutno.

– Może ci się to nie udać – rzekła. – Lecz dołóż wszelkich starań, zrób to dla mnie.

– Cóż jeszcze?

– Przekaż jej następujące posłanie, które musisz zapamiętać słowo po słowie. Powiedz jej, by postępowała ostrożnie; że ów, którego posyłam, by był jej posłuszny, czasami czyni dla nas rzeczy, o których sądzi, iż ich pragniemy. I dodaj, iż wywodzi on swoje przekonanie o naszych pragnieniach w równym stopniu z przypadkowych myśli, co i ze starannie dobranych słów.

– Och, Deboro!

– Czy pojmujesz me słowa, i dlaczego musisz je jej przekazać?

– Tak. Teraz rozumiem wszystko. Pragnęłaś śmierci swego małżonka z powodu jego zdrady. I twój demon go ugodził.

– To bardziej złożone. Nie staraj się tego pojąć do końca. Nigdy nie pragnęłam śmierci małżonka. Kochałam go. I nie wiedziałam nic o jego zdradzie! Lecz musisz powiadomić Charlotte o tym, co ci powiedziałam, dla jej bezpieczeństwa, bowiem mój niewidzialny sługa nie może jej opowiedzieć o swej własnej, zmiennej naturze. Nie może jej przekazać tego, czego sam nie rozumie.

– Och, lecz...

– Nie spieraj się ze mną teraz, Petyrze. Lepiej by było, żebyś w ogóle tu nie przychodził. Szmaragd jest w posiadaniu Charlotte. Demon uda się do niej po mojej śmierci.

– Nie posyłaj go, Deboro!

Westchnęła z wielkim rozczarowaniem i rozpaczą.

– Proszę, błagam, uczynić co ci mówię.

– Co się stało z twym małżonkiem, Deboro?

Wydawało się, iż nie odpowie, lecz po chwili rzekła:

– Gdy leżał umierający, mój Lasher przybył do mnie i opowiedział mi, jak to podstępem sprawił, iż komt spadł w lesie z konia. „Jak mogłeś uczynić coś, spytałam go, o co cię nigdy nie prosiłam?” I wtedy odpowiedział: „Deboro, jeśliś znała jego serce, tak jak ja je znałem, *to właśnie kazałabyś mi tak uczynić*”.

Stefanie, słysząc to zadrzałam, jakby od przejmującego chłodu, i proszę Cię byś, gdy mój list zostanie skopiuowany dla archiwów Talamaski, podkreślił te właśnie słowa. Bowiem, czy kiedykolwiek znany był nam przypadek, by niewidzialny czart pałał taką gorliwością i taką chęcią uprzedzania życzeń; by postępował tak sprytnie i, równocześnie, tak głupio?

Jakbym widział tego diabluka, spuszczonego z uwięzi, rozbrykanego i dla

kaprysu siejącego spustoszenie. Przypomniałem sobie dawne zakazy Roemera i ostrzegawcze słowa Geertruid. Lecz prawda była straszliwsza, niż mogliby to sobie wyobrazić.

– Tak, masz słuszość – rzekła ze smutkiem, czytając w mych myślach. – Musisz napisać o tym do Charlotte – zaklinała mnie. – Dobieraj słowa ostrożnie, bowiem list może wpaść w niepowołane ręce, lecz spraw, by Charlotte pojęła wszystko, co masz do powiedzenia!

– Deboro, powstrzymaj owego demona! Pozwól mi powiedzieć twojej córce, by na żądanie swej matki wyrzuciła ów szmaragd do morza.

– Jest już na to za późno, Petyrze; i ponieważ świat jest taki, jaki jest, posłałabym Lashera Charlotte, nawet gdybyś nie przyszedł tu dzisiejszej nocy, by wysłuchać mego ostatniego życzenia. Mój Lasher jest dużo potężniejszy niż demony w waszych wyobrazeniach; i wiele się nauczył.

– Nauczył się? – powtórzyłem zdumiony. – W jaki sposób mógł się nauczyć; przecież jest tylko duchem, a one są wiecznie niemądre; i w tym właśnie tkwi niebezpieczeństwo, iż spełniając nasze życzenia nie pojmują ich całej złożoności i przeto prowadzą nas do zguby. Znamy tysiące świadczących o tym opowieści. Czy nie tak właśnie i się stało? Jak więc możesz mówić, iż się czegokolwiek nauczył?

– Pomyśl, Petyrze, o tym, co ci opowiedziałam. Mówię ci, iż mój Lasher nauczył się wiele i że jego błąd nie powstał z niezmienną prostoty, lecz z rosnącej rezolucji. Lecz obiecaj mi, na wszystko, co niegdyś było między nami, iż napiszesz do mojej ukochanej córki! To jedno musisz dla mnie uczynić.

– Dobrze – odpowiedziałem załamując ręce. – Przekażę jej twoje słowa, lecz również usłyszysz ode mnie to wszystko, co przed chwilą rzekłem tobie,

– Uczciwy układ, mój dobry księżu, mój dobry uczonec – powiedziała gorzko, lecz z uśmiechem. – A teraz odejź już, Petyrze, nie zniosę dłużej twojej obecności. Mój Lasher jest przy mnie i będziemy gawędzili ze sobą; a nazajutrz, zaklinam cię, ukryj się bezpiecznie pod dachem, gdy tylko przekonasz się, iż

moje ręce i stopy nie są związane i że dotarłam do drzwi kościoła.

– Na Boga w niebiosach, pomóż mi, Deboro, jeżeli tylko mogę zabrać cię stąd; jeżeli jest to możliwe jakimkolwiek sposobem – i w owej chwili załamane się, Stefanie. Nie miałem już żadnych skrupułów. – Deboro, jeżeli twój sługa, Lasher, zdołałby, przy mojej pomocy, przeprowadzić twą ucieczkę, powiedz mi tylko, co mam zrobić, a tak się stanie!

Widziałem siebie wrywającego ją z rąk rozjuszonego tłumu i wykradającego z miasta, poprzez warowne mury, do lasu.

Jakże uśmiechnęła się do mnie, z jakimś smutkiem a jednocześnie z nieopisaną czułością. W ten sam sposób uśmiechała się, gdy rozstawaliśmy się przed wielu laty.

– Cóż to za fantazje, Petyrze – rzekła i niemal roześmiała się, a w blasku świeczki wyglądała jak wpółobląkana, lub raczej jak anioł czy szalony święty. – Moje życie już się skończyło, lecz poznałam szeroki świat – powiedziała. – Idź już. Idź i wyślij me posłanie do Charlotte, lecz dopiero, gdy będziesz już bezpieczny, poza murami tego miasta.

Ucałowałem przypalane w czasie tortur dłonie. Nie dbałem o to, iż pokryte były głębokimi strupami.

– Zawsze cię kochałem – wyszeptalem. I mówiłem też wiele innych czułych i niemądrych rzeczy, których tu nie napiszę. Zniosła to wszystko z doskonałą rezygnacją; wiedziała dobrze o tym, co ja dopiero wtedy odkryłem: iż żałowałem, że nie odjechałem wówczas wraz z nią; iż czułem pogardę dla siebie i dla mojej pracy, i dla całego mego życia.

Powiedz, Stefanie, że to minie. Wiem. Wiedziałem o tym nawet wówczas, gdy, zaledwie kilka godzin temu, opuszczałem jej celę. Lecz teraz jestem jak święty Jan od Krzyża w swojej „Ciemnej nocy”. Powiadam ci, nie znajduję ukojenia. I dla jakiej to przyczyny? Dla tej jedynie, iż ją kocham. Wiem bowiem, iż *daimon* zniszczył mą lubą, tak jak zniszczył Zuzannę Mayfair. Cóż, sprawdziły się ostrzeżenia Roemera, Geertruid i wszystkich starożytnych

czarnoksiężników.

Nie potrafiłem od niej odejść nie wzięwszy jej wprzód w objęcia i nie pocałowawszy. Lecz wyczuwałem zbliżający się czas agonii, gdy tak trzymałem ją w ramionach, śmiertelne cierpienie od oparzeń i ran zadanych w trakcie rozrywania kołem. I oto moja piękna Debora, ów tulący się teraz do mnie cień dawnej kobiety; nagle jakbym nacisnął sprężynę poczęła szlochać.

– Wybacz mi, ukochana – rzekłem, bowiem siebie obarczałem winą za jej łązy.

– Tak słodko być w twych ramionach – wyszeptała, po czym szybko odepchnęła mnie od siebie. – Teraz odejdz już i pamiętaj wszystko, co ci powiedziałam.

Byłem jak szalony, gdy opuściłem celę. Plac wciąż się wypełniał przybywającymi obejrzeć jutrzejszą egzekucję. Jedni, przy świetle pochodni, zbijali swoje kramy, inni, owinąwszy się w koce, spali pod murami.

Powiedziałem staremu proboszczowi, iż wcale nie jestem przekonany, że owa niewiasta jest czarownicą, i że chcę natychmiast widzieć się z inkwizytorem. Mówię Ci, Stefanie, zdecydowany byłem poruszyć dla niej niebo i ziemię.

Lecz wiesz, jak to jest.

Udaliśmy się na zamek, gdzie zostaliśmy przyjęci; ów durny kapłan uszczęśliwiony, iż towarzyszy ważnej osobie, natychmiast wepchnął się na uroczystą wieczerzę, na którą go nie proszono; lecz ja przybrałem godną postawę i przywołując swe najbardziej imponujące maniery zacząłem indagować po łacinie inkwizytora i starą komtesę, smagłą kobietę o hiszpańskiej urodzie; zaiste, okazali wielką cierpliwość, zważywszy sposób, w jaki rozpocząłem.

Inkwizytor, ojciec Louvier, przystojny i bardzo dobrze odżywiony mężczyzna ze starannie wypielęgnowanymi włosami, bródką i błyszczącymi czarnymi oczyma, nie dostrzegł nic podejrzanego w moim zachowaniu; z wielką

uniżonością, jakbym był wysłannikiem Watykanu, którym zresztą równie dobrze mogłem być, starał się rozproszyc me obawy, iż skazano na stos niewinną kobietę.

– Nigdy nie widziałeś większej czarownicy – rzekła stara komtessa, wybuchając ohydny, dobywającym się jakby z głębi gardła śmiechem. Podawszy mi kielich z winem przedstawiła mnie komtessie de Chamillart, siedzącej u jej boku, i zgromadzonym tu szlachcicom, którzy przybywszy w komplecie z okolicznych włości na jutrzejszą egzekucję, zatrzymali się na zamku.

Każde zadane przeze mnie pytanie, podniesiona wątpliwość czy uczyniona sugestia rozbiły się niezmiennie o beztroską pewność owego zgromadzenia. Dla nich bitwa została stoczona i wygrana. Teraz czekała ich już tylko jutrzejsza okrutna uroczystość.

Chłopcy płaczą w swych komnatach, to prawda, lecz wkrótce odzyskają dobry humor. Zapewniano mnie też, iż nie ma się czego obawiać ze strony Debory, bowiem gdyby jej demon był dość potężny, by ją uwolnić, uczyniłby to już dawno. I czyż nie tak właśnie było ze wszystkimi czarownicami? Gdy tylko je schwytano i zakuto w łańcuchy, ich czart ulatniał się i pozostawiał nieszczęsne własnemu losowi.

– Lecz owa niewiasta nie przyznała się do niczego – oświadczyłem – a jej małżonek spadł był w lesie z konia, wedle jego własnych słów. Z całą pewnością nie możecie jej skazać mając tylko świadectwo człowieka umierającego w gorączce!

Było to, jakbym rzucał im w twarze uschłe liście. Słowa moje nie przyniosły bowiem żadnego skutku.

– Kochałam mego syna ponad wszystko na tym świecie – rzekła stara komtessa; jej wzrok twardy był jak kamień, a usta brzydsko wykrzywione. Lecz zaraz, jakby przypomniawszy sobie, iż stać ją na więcej, dodała obłudnie: – Biedna Debora, czyż powiedziałam kiedykolwiek, iż jej nie kocham i czyż nie

przebaczałam jej tak wiele?

– Jesteś zbyt pobłażliwa, pani – oświadczył Louvier wielce świętoszkowatym tonem i gestykulując przesadnie, był bowiem ów łotr pijany.

– Nie mam na myśli czarów – rzekła starucha, zupełnie nie zważając na zachowanie inkwizytora. – Mówię o słabostkach i tajemnicach mojej synowej. Któż bowiem nie wie w tym mieście, iż Charlotte urodziła się zbyt wcześnie od zaślubin. Zdawało się jednak, iż mój syn niczego nie dostrzegał tak był zaślepiony urokiem owej niewiasty i takim uwielbieniem darzył Charlotte i tak bardzo był wdzięczny Deborze za jej wiano, i w ogóle tak wielki był z niego pod każdym względem głupiec...

– Czy musimy o tym mówić! – wyszeptała komtessa de Chamillart, i jakby zadrżała. – Charlotte już nie ma między nami.

– Znajdą ją i spalą, jak jej matkę – oświadczył Louvier, a ze wszystkich stron odpowiedziało mu potakiwanie i kiwanie głowami.

Następnie zaczęli rozprawiać pomiędzy sobą o tym, jak niezmiernie będą radzi po egzekucji, a gdy próbowałem zadawać im pytania, za całą odpowiedź otrzymywałem gesty nakazujące mi zamilknąć i oddać się ucztowaniu, i nie zawracać sobie tym wszystkim głowy.

Przerażający był sposób, w jaki mnie ignorowali, jakby byli istotami ze snu, które nie mogą usłyszeć naszego krzyku. Ja jednak obstawałem uparcie, iż nie ma żadnych świadectw o nocnych lotach, ani sabatach, ani spółkowaniu z demonami, ani wszystkich pozostałych idiotycznych wymysłach, które zazwyczaj posyłają owe nieszczęsne stworzenia na stos. A jeżeli chodzi o uzdrawianie, to czyż było tu coś więcej niż zręczne znachorstwo, i czy to wystarczający powód do skazania na śmierć? Znaleziona laleczka mogła być niczym więcej, jak tylko sprzętem uzdrowicielki.

Żadnego pożytku z moich słów!

Jakże przyjacielscy i pewni siebie byli, wieczerzając za owym stołem, który przecież należał do Debory, jedząc z jej sreber; a ona w owej wstrętnej celi!

Na koniec argumentowałem, iż powinni jej zezwolić na śmierć przez uduszenie przed spaleniem.

– Ilu z was widziało na własne oczy czyjąś śmierć w płomieniach? – zapytałem, lecz usłyszałem jedynie znużone pomruki.

– Owa czarownica nie okazała skruchy – rzekła komtessa de Chamillart, jedyna trzeźwa wśród obecnych, a nawet przejęta pewnym lękiem.

– Jak długo będzie cierpieć? Kwadrans? – zapytał inkwizytor, wycierając usta brudną serwetką. – Cóż to jest w porównaniu z wiecznym ogniem piekielnym!

Wyszedłem w końcu z zamku i znalazłem się znowu na zatłoczonym placu, gdzie przy niewielkich ogniskach trwała pijacka hulanka; i stałem tam patrząc na ów złowieszczy stos i wysoki pal na jego szczycie, zaopatrzone w żelazne kajdany; wtem, bez wyraźnej przyczyny, wzrok mój powędrował w lewo i spoczął na potrójnym łuku wejścia katedry. Widniały tam, pośród niezdatnych rzeźb z dawnych wieków, wizerunki diabełków spychanych w płomienie przez Archanioła Michała, którego trójząb przebijał brzuch Szatana.

Gdy tak patrzyłem na ową obrzydliwość rozjaśnianą światłem ognisk, zabrzmiały w mych uszach słowa inkwizytora: „Jak długo będzie cierpieć? Kwadrans? Cóż to jest w porównaniu z wiecznym ogniem piekielnym?”

Och, Debora, która nigdy rozmyślnie nikogo nie skrzywdziła, a sztukę uzdrawiania wykorzystywała, aby służyć biednym i bogatym, która postępowała tak nieostrożnie!

I gdzież był teraz ten mściwy demon, jej Lasher, który ugodził komta chcąc oszczędzić swojej pani smutku, a zawiódł ją tym do owej nędznej celi? Czy był przy Deborze, tak, jak mi powiedziała? To nie jego wzywała, gdy ją torturowali, lecz mnie i swego starego dobrego małżonka, Roelanta.

Stefanie, spisałem to wszystko dzisiejszej nocy, w równym stopniu, by odegnąć od siebie szaleństwo, co dla upamiętnienia wydarzeń. Znużony jestem wielce. Spakowałem już kufer i gotów jestem opuścić to miasto, gdy tylko ujrzę

koniec owej gorzkiej historii. Zapieczętuję teraz ten list i umieszczę go w swoich rzeczach, zaopatrzony w zwyczajną adnotację, iż w wypadku mej śmierci nagroda będzie czekać w Amsterdamie dla tego, kto go tam dostarczy, *et cetera*.

Nie wiem bowiem, co przyniesie dzień. Podejmę opis owego dramatu w następnym liście, gdy tylko przybędę jutrzejszego wieczoru do innego miasta.

Pierwsze promienie słońca wpadają przez okno. Modłę się, by w jakiś sposób Debora została ocalona; lecz wiem, iż to niemożliwe. Stefanie, wezwałbym do siebie jej diabła, gdybym sądził, że będzie mi posłuszny. Spróbowałbym nakazać mu jakieś desperackie działanie. Lecz wiem, iż nie posiadam takiej władzy; pozostaje mi więc oczekiwanie.

Twój wierny w Talamasce -

Petyr van Abel

Montecleve

Dzień świętego Michała, 1689 roku

* * *

Michael skończył czytanie pierwszego maszynopisu. Wyjął następny ze skoroszytu z konopi manilskich i przez chwilę siedział bez ruchu, ze złożonymi dłońmi opartymi o stos papieru, modląc się niemądrze, by w jakiś sposób Debora nie została spalona.

Po chwili, nie mogąc już dłużej znieść nieruchomej pozycji, podniósł słuchawkę i poprosił telefonistkę, by połączyła go z Aaronem.

– Ten obraz w Amsterdamie, Aaronie, namalowany przez Rembrandta – zaczął mówić. – Czy macie go jeszcze?

– Tak, Michaelu, nadal jest w amsterdamskim Domu. Zamówiłem już zdjęcia z archiwum, ale potrwa trochę, zanim je przyślą.

– Aaronie, wiesz, to ta ciemnowłosa kobieta! A szmaragd – to musi być

klejnot, który widziałem. Mógłbym przysiąc, że to Debora, kobieta, która przyszła do mnie. A Lasher... Lasher, tak to właśnie słowo wypowiedziałem, gdy ocknąłem się na łodzi Rowan.

– Lecz właściwie tego nie pamiętasz?

– Nie, ale jestem pewien...!, Aaronie...

– Michaelu, nie staraj się tego wyjaśniać ani analizować. Czytaj dalej. Nie mamy wiele czasu.

– Potrzebuję pióro i papier do notatek.

– Tak, będziesz mógł zapisywać swoje myśli i refleksje dotyczące wizji.

– Właśnie. Żałuję, że nie prowadziłem notatek od samego początku.

– Przyślę ci notes. Prosiłbym cię tylko, byś zaznaczał datę każdego wpisu, jak w normalnym dzienniku. A teraz czytaj dalej. Za chwilę dostaniesz świeżą kawę. Jeśli będziesz potrzebował czegoś jeszcze, zadzwoń.

– To wystarczy. Aaronie, tu jest tak wiele rzeczy...

– Wiem, Michaelu. Postaraj się zachować spokój. Po prostu czytaj.

Michael odłożył słuchawkę, zapalił papierosa, wypił łyk zimnej kawy i zaczął oglądać okładkę maszynopisu.

Gdy tylko rozległo się pukanie, natychmiast podszedł do drzwi.

Była to ta sama miła kobieta, którą widział wcześniej w holu; przyniosła mu świeżą kawę, kilka długopisów i elegancki notes w skórzanej oprawie z niezwykle białym liniowanym papierem.

Postawiła tacę na biurku i uprzątnąwszy starą zastawę, cicho wyszła z pokoju.

Michael usiadł z powrotem w fotelu, nalał sobie filiżankę aromatycznej kawy i natychmiast otworzył notes. Zapisał datę i rozpoczął wpis:

„Po przeczytaniu zawartości pierwszej teczki wiem, że Debora jest kobietą z moich wizji. Znam ją. Znam jej twarz i charakter. Gdybym spróbował, mógłbym także usłyszeć jej głos.

Natomiast Lasher jest tym słowem, które powiedziałem do Rowan, gdy się

pojawilem na pokładzie *Sweet Christine*. To coś więcej niż zwykły domysł. Lecz Aaron ma rację. Właściwie tego nie pamiętam, po prostu wiem to.

Oczywiście moc, którą posiadam, ma z tym związek. Ale w jaki sposób powinienem jej użyć? Z pewnością nie należy dotykać rzeczy na chybił trafił, jak postępowalem dotąd, lecz trzeba dotknąć czegoś określonego...

Jednak teraz jest jeszcze za wcześnie na wyciąganie wniosków..."

„Jeśli tylko mógłbym dotknąć czegoś, co należało do Debory”, pomyślał. Lecz czuł, że nic takiego nie istnieje, inaczej Aaron by mu to przysłał. Zbadał fotokopie listów Petyra van Abła. Były tylko tym, czym były – fotokopiami. Za mało dla jego niespokojnych rąk.

Przez chwilę zastanowił się, jeżeli można to tak określić, zważywszy na zamęt, jaki miał w głowie, i naszkicował naszyjnik z prostokątnym kamieniem oprawionym w złoty filigran, zawieszony na złotym łańcuszku. Rysował tak, jakby kreślił architektoniczny projekt, prostymi, czystymi liniami, lekko cieniuując detale.

W skupieniu przyglądał się swojemu szkicowi, nerwowo przeczesując palcami włosy. Po chwili zwinął dłoń w pięść i opuścił na blat biurka. Poczłł chęć, by zamazać rysunek, lecz nagle zmienił zdanie, otworzył kolejną teczkę. Zaczłł czytać.

Marsylia, Francja
4 października, 1689 roku

Drogi Stefanie,

Oto jestem w Marsylii, przybywszy tu po trwającej kilka dni podróży z Montecleve, w czasie której zatrzymałem się na odpoczynek w Saint-Remy, a potem bardzo wolno posuwałem się dalej, a to z przyczyny zranionego ramienia i zranionej duszy.

Odebrałem już pieniądze od naszego tutejszego przedstawiciela i nadam ten list nie później niż w godzinę po jego napisaniu, tak że otrzymasz go wnet po moim ostatnim, który wysłałem wczorajszego wieczoru, natychmiast po przybyciu do miasta.

Me serce jest chore, Stefanie. Wygody owej przestronnej i przyzwoitej gospody, w której się zatrzymałem, znaczą dla mnie niewiele, lub raczej nic wcale; chociaż szczęśliwy jestem, że opuściłem wreszcie wiejskie okolice i znalazłem się w sporym mieście, gdzie nie mogę się oprzeć uczuciu swobody i pewnego bezpieczeństwa.

Jeżeli nawet doszły tu już wieści o tym, co się wydarzyło w Montecleve, ja jeszcze nic nie słyszałem. A jako iż pozbyłem się duchownej szaty już na przedmieściach Saint-Remy i od tej pory podróżuję w stroju bogatego dżentelmena z Niderlandów, przeto nie przypuszczam, by ktoś zawracał mi głowę niedawnymi wypadkami mającymi miejsce w górach; cóż bowiem

mógłbym wiedzieć o takich rzeczach?

I znowu piszę zarówno, by odegnać szaleństwo, jak i by zdać Ci relację, co uczynić jest moim obowiązkiem, i kontynuować sprawę, którą się zajmuję.

Egzekucja Debory rozpoczęła się podobnie jak wiele innych; gdy tylko pierwsze promienie porannego słońca oświetliły plac przed katedrą świętego Michała, zgromadziło się tam całe miasto; sprzedawcy wina nabijali trzosa; przybyła stara komtessa, odziana w ciemne suknie, a z nią dwóch drżących chłopców – obydwaj smagli i ciemnowłosi, z wyraźnym piętnem płynącej w ich żyłach hiszpańskiej krwi, choć wzrost i drobna budowa zdradzały podobieństwo do matki. Zaprowadzono ich, bardzo przestraszonych, na sam szczyt trybuny stojącej przed więzieniem, naprzeciw stosu.

Młodszy z nich począł płakać i cisnąć się do babki; na ów widok przez podniecony tłum przebiegł pomruk: „Chretien, patrzcie na Chretiena”. Usta dziecka drżały, gdy sadzano je na miejscu, lecz jego starszy brat, Philippe, nie przejawiał żadnych uczuć, prócz lęku i może odrazy do tego, co widział wokół; stara komtessa tuliła do siebie chłopców, próbując ich pocieszyć; jednocześnie pozdrawiała komtesę de Chamillart i inkwizytora, ojca Louviera, któremu towarzyszyło dwóch duchownych w świetnych sutannach.

Czterech innych kapłanów, nie mam pojęcia skąd przybyłych, również zajęło najwyższe miejsca trybuny, a u stóp podestu ustawiła się zgraja zbrojnych; całe to szanowne towarzystwo, jak się zdaje, reprezentowało lokalne władze.

Pozostałe podwyższone miejsca szybko zostały zajęte przez inne ważne osoby, czy też raczej liczne grono tych, którzy sami siebie mają za nadzwyczaj ważnych; jeżeli było jeszcze jakieś okno, którego nie otworzono wcześniej, to otwierano je teraz, i natychmiast wypełniały je ożywione twarze; ci, którzy stali na własnych nogach, cisnęli się tak blisko stosu, iż nie mogłem powstrzymać się od zdziwienia, w jaki sposób mają zamiar uniknąć spalenia.

Z gęstego tłumu wyłoniło się kilku uzbrojonych mężczyzn niosących drabinę; ustawili ją opartą o stos. Na ów widok mały Chretien, przerażony,

znowu przypadł do babki; jego ramiona trzęsły się od płaczu; lecz młody Philippe pozostał niewzruszony jak dotychczas.

W końcu rozwarło drzwi katedry i na progu, pod zaokrąglonymi łukami, pojawił się proboszcz i jeszcze jakiś pogardy godny urzędnik, najpewniej burmistrz owego miasta, ze zwiniętym pergaminem w dłoniach; po ich lewej i prawej stronie ustawili się uzbrojeni strażnicy.

Pomiędzy nimi oczom nagle oniemiałych z wrażenia widzów ukazała się moja Debora, wyprostowana, z wysoko uniesioną głową. Jej drobne ciało okrywała biała szata, spływająca aż do bosych stóp; przed sobą trzymała sześćofuntową świecę. Powiodła oczyma po zgromadzonej cizbie.

Nigdy w całym swym życiu nie widziałem takiej nieustraszoneści, Stefanie, chociaż, gdy wyglądając z okna stojącej naprzeciwko gospody napotkałem wzrok Debory, me własne oczy zamglily się od łez.

Nie mogę z całą pewnością powiedzieć, co się stało później, poza tym, że w tej samej chwili, gdy spojrzenia tłumu mogłyby zacząć zwracać się tam, gdzie z takim uporem patrzyła „czarownica”, Debora odwróciła oczy i znowu skierowała je na cizbę, z jednakim zainteresowaniem przyglądając się straganom sprzedawców wina i kramarzy oraz grupkom przypadkowych osób, cofających się przed jej wzrokiem; a w końcu popatrzyła na trybunę wznoszącą się przed nią i na starą komtesse, zastygłą z wyrazem milczącego oskarżenia na twarzy; zerknęła też na komtesse de Chamillart, która gwałtownie skuliła się na swym siedzeniu, z twarzą oblaną purpurą, w panice spoglądając na świekrę skazanej; lecz ta nadal siedziała bez ruchu.

Tymczasem ojciec Louvier, wspaniały i triumfujący inkwizytor, wrzeszczał ochryple do burmistrza, by ten rozpoczął odczytywanie proklamacji, którą trzyma w swych dłoniach i że „postępowanie musi się rozpocząć!”

Wśród zgromadzonych na placu znowu zapanował zgiełk; burmistrz odchrząknął, by oczyścić gardło, i wtedy upewniłem się, iż jak to widziałem wcześniej lecz nie zdołałem w pełni sobie uświadomić, dłonie i stopy Debory są

swobodne.

Zamierzałem odejść od okna i zszedłszy na dół, przepchnąć się, choćby wymagało to brutalnych środków, na sam przód tłumu, abym mógł stanąć przy jej boku, bez względu na to, jakie zagrożenie dla mnie mogłoby to oznaczać.

Właśnie odwracałem się od okna, kiedy burmistrz rozpoczął czytać po łacinie, straszliwie dukając, gdy wtem rozległ się głos Debory, uciszający go i nakazujący zamilknąć gwarnej ciżbie.

– Nigdy nie wyrządziłam wam krzywdy, nawet najnędnieszemu z was! – oznajmiła, wolno i wyraźnie wymawiając słowa; głos jej odbijał się echem od murów, a gdy ojciec Louvier powstał krzycząc, by zamilkła, podniosła ton jeszcze bardziej i oświadczyła, iż będzie mówić.

– Uciszcie ją! – zażądała stara komtessa, wpadając we wściekłość; i znowu ojciec Louvier wrzasnął do burmistrza, by czytał dalej proklamację; przerażony proboszcz rozglądał się za swoimi uzbrojonymi strażnikami, lecz ci odsunęli się na boki i spod ścian zerkali z lękiem na Deborę i przerażony tłum.

– Wysłuchacie mnie! – moja Debora zawołała znowu, równie głośno jak poprzednio. I gdy uczyniła jeden tylko krok do przodu, by wyjść z cienia w światło słońca, tłum kłębiącą się masą rzucił się do tyłu.

– niesprawiedliwie oskarżono mnie o czary – wołała Debora. – Nie jestem bowiem heretyczką, nie oddaję czci Szatanowi i nie wyrządziłam zła żadnemu stworzeniu.

I nim stara komtessa zdołała ponownie wrzasnąć, Debora ciągnęła dalej:

– Wy, moi synowie, świadczyliście przeciwko mnie, przeto się was wyrzekam! A ty, moja droga świekro, będziesz się smażyć w piekle za swe łgarstwa!

– Czarownica! – wrzasnęła komtessa de Chamillart w zupełnej panice. – Spalić wiedźmę. Na stos z nią.

Zdało mi się, iż po tych słowach wielu rzuciło się do przodu, zapewne tyleż ze strachu, co z żądzy heroiczných czynów i może także, by zasłużyć sobie na

pochwałę; a może było to zwykłe zamieszanie. Lecz uzbrojeni strażnicy nie uczynili najmniejszego ruchu.

– Nazywacie mnie czarownicą! – Debora odpowiedziała natychmiast. Szerokim gestem odrzuciła świecę na kamienie i wyciągnęła ramiona do ludzi, którzy mogli byliby ją schwytać, lecz nie uczynili tego.

– Słuchajcie mnie! Ukażę wam czary, jakich jeszcze nigdy nie widzieliście!

Tłum opanowało śmiertelne przerażenie, niektórzy opuszczali plac, inni cisnęli się do wąskich uliczek wiodących w bok; nawet siedzący na trybunie poczęli powstawać ze swoich miejsc; mały Chretien wtulił twarz w suknię starej komtessy i znowu trząśł się od płaczu.

Lecz wciąż setki oczu wpatrywało się w Debore, która uniosła w górę swe szczupłe, poranione ramiona. Jej usta poruszały się, nie mogłem jednak rozróżnić słów; naraz ludzie stojący pod oknami poczęli krzyczeć, a potem ponad dachami domów przetoczył się grzmot, dużo słabszy niż grom, lecz przez to jeszcze przeraźliwszy; zerwał się ogromny wiatr, a wraz z nim pojawił się jeszcze jakiś hałas, skrzypiący i trzeszczący dźwięk, którego w pierwszej chwili nie potrafiłem rozpoznać, lecz zaraz przypomniałem go sobie – to stare dachy oddawały wiatrowi obluzowane i pęknięte dachówki.

Po chwili posypały się z gzymsów. Tu i tam pojedynczo, gdzie indziej całymi tuzinami; wiatr wyjął przeraźliwie hulał nad placem. Drewniane okiennice gospody jęły trzepotać na zawiasach, i krzyk mojej Debory znowu wzbіл się ponad cały ten hałas i wrzaski oszalałej cizby.

– Przybądź tu, Lasherze, mój mścicielu i uderz we wrogów swej pani! – Zgięta w pół, uniosła ręce, jej twarz była czerwona i wykrzywiona gniewem. – Widzę cię, Lasherze, znam cię! Wzywam cię, przybądź! – I prostując się, z ramionami rozrzuconymi na boki: – Zniszcz mych synów, zniszcz mych oskarżycieli! Zniszcz tych, którzy przybyli oglądać mą śmierć!

Dachówki, spadając z łoskotem z dachów kościoła, więzienia, zakrystii, gospod, uderzały w głowy wrzeszczących w dole ludzi; trybuna wzniesiona ze

słabych desek, patyków i lin, byle jak wzmocnionych zaprawą, poczęła kołysać się na wietrze, a ci, uwięzieni na niej, krzyczeli w śmiertelnym przerażeniu.

Jeden tylko ojciec Louvier nie stracił równowagi. „Spalić czarownicę”, krzyczał, próbując przepchnąć się poprzez ogarnięty paniką tłum mężczyzn i kobiet, którzy wpadając jedni na drugich, szukali ucieczki z placu. „Spalcie czarownicę, a powstrzymacie burzę.”

Nikt nie kiwnął palcem, by wykonać polecenie i chociaż tylko kościół mógł ofiarować schronienie przed nawałnicą, nikt nie odważył się ruszyć w jego kierunku, bowiem Debora wciąż stała w wejściu, z ramionami rozłożonymi na boki. Uzbrojeni mężczyźni uciekli w panice. Proboszcz kulił się pod boczną ścianą. Burmistrz zniknął bez śladu.

Niebo nad głowami pociemniało, ludzie zmagali się z wiatrem, przeklinali i upadali w ścisku; jedna z sypiących się gwałtownym deszczem dachówek ugodziła komtesse i ta, zachwiawszy się i straciwszy równowagę, runęła na skracające się w agonii ciała i potoczyła w dół, na kamienie. Chłopcy, przytuleni do siebie, kulili się pod gradem kamieni wyrwanych z fasady katedry. Chretien pochylił się, jak drzewo smagane ulewą i wiatrem. Ugodzony, stracił przytomność i upadł na kolana. W końcu runęła cała trybuna, porywając w dół obydwu chłopców i ze dwadzieścia, lub więcej, innych osób, wciąż walczących, by się wydostać spod ruin.

O ile mogłem zobaczyć, wszyscy strażnicy porzucili plac; uciekł także proboszcz. I ujrzałem teraz, jak moja Debora cofa się na powrót w cień, wciąż nie spuszczając oczu z niebios:

– Widzę cię, Lasherze – wołała – mój mocny i piękny demonie!

I zniknęła w mroku nawy.

Wtedy odbiegłem od okna i pogałem w dół po schodach, wprost w szalejące na placu pandemonium. Co myślałem, nie potrafiłbym Ci powiedzieć, oprócz tego, że chciałem ją jakimś sposobem dogonić i korzystając z chaosu, zabrać z tego miejsca.

Lecz dachówki fruwały we wszystkich kierunkach, gdy biegłem poprzez otwartą przestrzeń, i jedna z nich ugodziła me ramię, a inna lewą dłoń. Nie mogłem dostrzec Debory, widziałem jedynie drzwi katedry, mimo swej ogromnej wagi, łopocące na wietrze.

Okiennice poczęły się obrywać i spadać na głowy oszalałej ciżby, która nie potrafiła znaleźć schronienia w ciasnych uliczkach. W każdym przejściu i bramie leżały stosy ciał. Stara komtessa wpatrywała się w niebo martwymi oczyma, mężczyźni i kobiety potykali się o jej członki. A wpośród szczątków trybuny leżało ciało małego Chretien, tak skręcone, iż nie mogło w nim być życia.

Philippe, starszy, czołgał się na kolanach, szukając schronienia, jego noga wyglądała na złamaną, gdy nagle z góry spadła drewniana okiennica i ugodziła go w kark, łamiąc go, i zabijając chłopca na miejscu.

Wtem ktoś blisko mnie, skulony pod ścianą, krzyknął: „Komtessa Debora!” i pokazał w górę.

Stała tam, wysoko na gzymsie kościoła, bowiem weszła na górę wewnętrznymi schodami. Teraz balansując niebezpiecznie na murze jeszcze raz uniosła ramiona ku niebiosom i krzyczała do swego demona. Lecz nie mogłem się łudzić, iż usłyszę jej słowa poprzez wycie wiatru, wrzaski rannych i łoskot spadających dachówek i kamieni.

Wbiegłem do kościoła i w panice począłem szukać prowadzących w górę schodów. Był tam już Louvier, inkwizytor; biegał we wszystkie strony, lecz w końcu znalazł stopnie wcześniej niż ja i mimo woli wskazał mi drogę.

Pędem wspinałem się za nim, w górę i w górę, widząc nad sobą jego czarną sutannę i jego pięty uderzające o kamienie. Och, Stefanie, gdybym miał był sztylet...

Gdy znaleźliśmy się na nieosłoniętym gzymsie, on pierwszy, a ja za nim, ujrzałem drobną sylwetkę Debory jakby sfruwającą z dachu. Przytrzymując się krawędzi parapetu spojrzałem w dół, ku okrutnej jatce, i ujrzałem na bruku

rozbite ciało Debory. Jej twarz zwrócona była ku górze – jedno ramię leżało pod głową, drugie, bezsilne w poprzek piersi – a oczy jej były zamknięte, jakby spała.

Louvier zaklął, gdy ją dojrzał. „Spalcie ją, weźcie ciało na stos”, krzyczał, lecz było to na nic. Nikt nie mógłby go usłyszeć. Odwrócił się, skonsternowany, zamierzając zejść na dół, by dalej kierować sprawami, i wtedy ujrzał mnie, stojącego przed nim.

Z wyrazem wielkiego osłupienia na twarzy, przyglądał się bezradnie i w zmieszaniu jak, nie wahając się ani chwili, pchnąłem go z całej swej siły prosto w pierś, do tyłu, tak iż runął w dół z krawędzi dachu.

Nikt tego nie widział, Stefanie. Znajdowaliśmy się w najwyższym punkcie Montecleve. Nawet z odległego zamku nie można by dostrzec owego gzymsu; także ci, którzy znajdowali się poniżej, nie byli w stanie zobaczyć jak zadawałem cios inkwizytorowi, bowiem zasłaniał mnie przed ich wzrokiem Louvier we własnej osobie.

Lecz nawet jeżeli się mylę co do możliwości, to fakty są takie, iż nikt mnie nie widział.

Natychmiast się cofnąłem i upewniwszy się, iż nikt tam za mną nie wszedł, zbiegłem w dół i opuściłem kościół. Przed jego drzwiami leżało dzieło mych rąk, Louvier tak martwy jak moja Debora, i tuż obok niej; jego czaszka rozbita i krwawiąca, a w otwartych oczach zamarł ów wyraz tępej głupoty właściwy nieboszczykom, niemal niemożliwy do osiągnięcia przez istotę ludzką za życia.

Jak długo jeszcze szalała wichura, nie potrafię ci powiedzieć; mogę rzec jedynie, iż cichła już powoli, gdy dotarłem do drzwi katedry. Być może wszystko trwało kwadrans, dokładnie tyle, ile ów łotr przeznaczył Deborze na śmierć w płomieniach. Z cienia przedsionka katedry widziałem, jak plac ostatecznie pustoszał. Jeszcze jacyś ludzie przedzierali się przez blokujące boczne uliczki stosy ciał. Światło stawało się coraz jaśniejsze. Słyszałem, jak burza zamierała w oddali. Stałem bez ruchu, patrząc na ciało mej Debory i

dojrzałem teraz, iż krew tryska z jej ust, a białą szatę pokrywają czerwone plamy.

Po długiej chwili na placu zaczęli pojawiać się liczni ludzie; badali ciała zabitych i tych, którzy wciąż jeszcze żyli i jęcząc błagali o pomoc; tu i tam podnoszono rannego i zabierano go precz. Wybiegł oberżysta, a wraz z nim jego syn i obaj ukłękli przy zwłokach Louviera.

To właśnie ów młodzieniec dostrzegł mnie i podszedłszy do mnie wyznał mi z wielkim przejęciem, że proboszcz przepadł bez śladu, a wraz z nim burmistrz. W spojrzeniu chłopca było coś dzikiego, jakby nie mógł uwierzyć, iż nadal żyje i że był świadkiem takich rzeczy.

„Mówiłem wam, iż była potężną wiedźmą”, wyszeptał do mnie.

I gdy tak stał obok mnie, gapiąc się na nią, ujrzeliśmy, iż zgromadzili się zbrojni strażnicy, wielce wstrząśnięci, posiniaczeni i wciąż przejęci strachem; na rozkaz młodego duchownego, z którego czoła ciekła krew, podnieśli ciało Debory i rozglądając się wokół, jakby w strachu, iż burza powróci, co się jednak nie stało, zabrali je na stos. Gdy weszli na drabinę, drewno i węgle poczęły obsuwać się w dół, złożyli zwłoki ostrożnie i pospiesznie odeszli.

Znowu poczęli się gromadzić gapie, gdy młody duchowny w podartej sutannie i z wciąż krwawiącym czołem podpałał pochodnie; wkrótce wszystko zajęło się ogniem. Ksiądz stał bardzo blisko, przyglądając się płonącym drwom; nagle odstał do tyłu i zamachawszy rękoma, osunął się zemdłony, lub miałem nadzieję, martwy.

Jeszcze raz wspiąłem się na schody. Wszedłem na dach kościoła. Patrzyłem w dół, na ciało mej Debory, martwe, nieruchome i niedostępne wszelkiemu cierpieniu, pożerane przez płomienie. Spoglądałem ponad dachy, poznaczone nagimi plamami miejsc, z których wicher zerwał dachówki; myślałem o demonie Debory, zastanawiając się, czy uniósł się w górę, ku chmurom.

Odszedłem stamtąd dopiero, gdy wznoszący się znad stosu dym stał się tak gęsty i cuchnący od węgla, drewna i smoły, iż nie mogłem już dłużej oddychać.

Udałem się do gospody, gdzie mężczyźni pili, paplali chaotycznie i podchodzili do drzwi chcąc spojrzeć na ogień, by po chwili cofnąć się bojaźliwie do środka. Zabrałem swój kufer i udałem się na poszukiwanie mego konia. Przepadł w zamieszaniu.

Lecz dostrzegłszy innego wierzchowca, powierzonego opiece wystraszonego chłopca stajennego i przygotowanego do drogi, zdołałem go nabyć, płacąc podwójną cenę, chociaż wedle wszelkiego prawdopodobieństwa należał do kogoś innego i nie był na sprzedaż; wyjechałem z miasta.

Po wielu godzinach bardzo powolnej jazdy poprzez las, czując wielki ból w ramieniu i jeszcze większy w sercu, dotarłem do Saint-Remy i zapadłem w głęboki sen.

Nikt tu jeszcze nie słyszał o owych nieszczęściach. Odjechałem wczesnym rankiem, kierując się na południe, ku Marsylii.

Dwie poprzednie noce spędziłem leżąc w łożu, pół śpiąc, pół marząc i myśląc o rzeczach, które widziałem. Opłakiwałem Deborę, dopóki nie zabrakło mi łez. Myślałem o mej zbrodni, wiedząc iż nie czuję winy, lecz tylko pewność, iż uczyniłbym to samo po raz drugi.

Przez całe moje życie w Talamasce nigdy nie podniosłem ręki na drugiego człowieka. Perswadowałem, próbowałem przekonać, pobiązałem i kłamałem, a poza tym czyniłem, co w mojej mocy, by pokonać siły ciemności, gdzie tylko się z nimi zetknąłem, i służyć siłom dobra. Lecz w Montecleve mój gniew wyrwał się spod kontroli, a wraz z nim ma sprawiedliwość i chęć zemsty. I raduję się, iż zrzuciłem owego łotra z dachu, o ile tę cichą satysfakcję można zwać radością.

Niemniej popełniłem morderstwo, Stefanie. Masz w swoich rękach mą spowiedź. Nie oczekuję z twojej i Zgromadzenia strony niczego, prócz potępienia tego czynu; bo czyż kiedykolwiek nasi uczeni posunęli się do zabójstwa, do spychania inkwizytorów z dachów kościołów, tak jak ja to uczyniłem?

W swojej obronie mogę rzec jedynie, iż zbrodnia została popełniona w chwili namiętności i bezmyślności. Lecz jej nie żałuję. Poznasz to, jak tylko ujrzysz mnie swymi oczyma. I nie usłyszysz ode mnie kłamstw, które by wszystko uprościły.

Lecz myśli me nie są w tej chwili przy owej zbrodni, lecz przy ukochanej Deborze i jej demonie, Lasherze, i tym, co ujrzałem w Montecleve. Są przy Charlotte, córce Debory, która odjechała nie do Martyniki, jak wierzą jej wrogowie, lecz do Port-au-Prince na San Domingo, o czym wiem może tylko ja jeden.

Stefanie, nie mogę przerwać dochodzenia w owej sprawie. Nie mogę odłożyć mego pióra i padłszy na kolana wyznać, iż zabiłem księdza, więc przeto muszę wyrzec się świata i pracy. I oto ja, zabójca, będę działał dalej, jakbym nigdy nie popełnił zbrodni.

Muszę się udać teraz do owej nieszczęsnej Charlotte, nieważne, jak daleka będzie to podróż, i przemówić do niej z głębi serca i opowiedzieć o wszystkim, co widziałem i o wszystkim, co wiem.

Nie może to być zwykłe przedstawienie sprawy, odwoływanie się do rozsądku, czy sentymentalne błaganie, z jakim w mej młodości nieraz zwracałem się do Debory. Muszę dodać życia mym argumentom, i rozmawiając z tą niewiastą sprawić, by pozwoliła mi wspólnie z sobą zbadać ową demoniczną istotę, która wywołana z niewidzialności i chaosu wyrządziła więcej zła niż jakikolwiek znany mi z opowieści duch.

Bowiem to właśnie jest sedno całej sprawy, Stefanie; ów tajemniczy byt jest straszliwy i każda czarownica, która spróbuje poddać go swej władzy, musi w końcu utracić nad nim kontrolę. Nie mam co do tego żadnych wątpliwości. Cóż on uczynił?

Ugodził małżonka Debory, z powodu tego, co było mu wiadomo o owym człowieku. Lecz dlaczego nie powiedział o tym swej czarownicy? I cóż oznaczały słowa Debory, iż owa istota się uczy. Oświadczenie takie słyszałem

dwukrotnie, po raz pierwszy przed wielu laty w Amsterdamie i po raz drugi niedawno, przed owymi tragicznymi wypadkami.

Zamierzam rozważyć naturę owej istoty; czy pragnęła ona oszczędzić Deborze bólu zabijając jej małżonka i nie wyjaśniając, dlaczego, chociaż później zmuszona była odpowiedzieć na pytania. Czy też chciała się pospieszyć i spełnić pierwsza to, co Debora byłaby i tak jej rozkazała, by pokazać, jaki z tej istoty zacny i sprytny duch.

Bez względu na odpowiedź, to jest to, zaiste, wyjątkowy i wielce interesujący duch. I weź pod uwagę jego moc, Stefanie, bowiem w niczym nie przesadziłem w opisie tego, co przytrafiło się motłochowi w Montecleve. Wkrótce o tym usłyszysz, bowiem jest to zbyt straszliwa i nadzwyczajna historia, by nie miała się rozejść szeroko.

I wiedz, iż podczas długich godzin bólu i męki, które spędziłem leżąc w łóżu, rozważyłem pieczołowicie w swej pamięci wszystko, co kiedykolwiek przeczytałem o starożytnej nauce o duchach, demonach i owym podobnych.

Analizowałem pisma czarnoksiężników – zawarte w nich ostrzeżenia i anegdoty – oraz nauki Ojców Kościoła, bowiem nieważne jakimi głupcami byli w niektórych sprawach, to jednak wiedzieli to i owo o duchach, zgadzając się w tych kwestiach ze starożytnymi mędrkami; i ta właśnie zgodność jest istotna.

Bowiem skoro Rzymianie, Grecy, Hebrajczycy i chrześcijanie, wszyscy opisywali takie same istoty i wypowiadali takie same ostrzeżenia oraz *formulae* pozwalające je kontrolować, to z pewnością jest w tym coś, czego nie należy odrzucać.

Wszystkie ludy i plemiona przyznawały, o ile mi wiadomo, iż istnieje wiele niewidzialnych istot, które dzielą się na duchy dobre i złe, zależnie od tego, jaki pożytek przynoszą człowiekowi.

We wczesnych dniach chrześcijaństwa Ojcowie Kościoła uważali, iż owe demony to w istocie dawne bóstwa pogan. Wierzyli więc w istnienie owych bóstw, oraz iż były to stworzenia o pośledniejszej mocy; przekonanie z

pewnością w chwili obecnej obce nauce kościoła.

A jednak inkwizytorzy wciąż jeszcze dzielają ową wiarę, z grubsza tylko i nieświadomie, bowiem gdy oskarżają czarownicę o latanie na miotle, przytaczają niemądrze obrazy wzięte ze starożytnych podań o Dianie, rozpowszechnionych w Europie przed nadejściem chrześcijaństwa; a diabeł o kozich nogach, którego czarownica całuje, to nikt inny jak tylko pogański bożek Pan.

Lecz oskarżyciel czarownic nie jest świadom, iż tak właśnie czyni. W jego dogmatycznej wierze jest miejsce tylko dla Szatana, diabła, i demonów. Zatem obowiązkiem historyka jest wskazać, bowiem przynieść może to wszystkim jedynie pożytek, iż owe *demonologie* wywodzą się ze zmyśleń i mitów pogańskich wieśniaków.

Lecz, by powrócić do głównych rozważań, wszystkie ludy wierzyły w duchy i przekazały nam opowieści o siłach nadprzyrodzonych i te oto opowieści musimy tu zbadać. I o ile dobrze służy mi pamięć, muszę stwierdzić, iż z legend, magicznych ksiąg i demonologii wyłania się legion istot, które mogą być przywoływane swymi imionami i wykonywać rozkazy czarownic i czarodziejek.

Zaprawdę, Księga Salomona zawiera długi spis owych bytów, podając nie tylko ich imiona i właściwości, lecz także postacie, pod jakimi najchętniej się nam ukazują.

I chociaż my, Talamasca, od dawna już utrzymujemy, iż w większości są to czcze wymysły, to jednak wiemy, iż owe duchy istnieją naprawdę, a mówiące o nich księgi zawierają pewne wartościowe ostrzeżenia co do niebezpieczeństw wynikających z ich wywoływania; bowiem mogą one spełniać nasze życzenia sposobami, które sprawią, że później w rozpacz będziemy rwali włosy z głowy, jak to nam wyjaśnia starożytna opowieść o królu Midasie i ludowa bajka o trzech życzeniach.

Zaprawdę, we wszystkich językach mądrość czarnoksiężników jest określana jako wiedza o tym, jak utrzymać w ryzach i jak ostrożnie wykorzystywać moc

owych niewidzialnych stworzeń, tak by nie obróciła się ona w jakiś nieprzewidziany sposób przeciwko czarnoksiężnikowi.

Lecz jakiegokolwiek nauki o duchach byśmy czytali, to czy kiedykolwiek usłyszeliśmy o duchu, który się uczy, lub się zmienia? Nabiera sił dzięki wywoływaniu, owszem; ale uczy się?

A o tym właśnie dwukrotnie powiedziała mi Debora, o edukacji jej ducha, Lashera; a to oznacza, iż może się on zmieniać.

Stefanie, wydaje mi się, iż owa istota, wywołana z niewidzialności i chaosu przez prostą wieśniaczkę Zuzannę, w obecnym stadium swej egzystencji jako niewolnik owych czarownic, pozostaje absolutną zagadką; i że, pod przewodnictwem Debory, rozwinęła się z niskiego ducha wiatru i burzy w straszliwego demona, zdolnego na żądanie czarownicy zabijać jej wrogów. I twierdzę, iż są jeszcze inne aspekty sprawy, których Debora nie zażyła – lub nie starczyło jej na to sił – mi wyjawić, lecz które ja muszę przedstawić Charlotte, choć nie po to, by podtrzymać jej przywiązanie do owej istoty, lecz w nadziei, iż uda mi się stanąć pomiędzy nią a demonem i jakimiś środkami doprowadzić do jego zniszczenia.

Bowiem, Stefanie, gdy rozważam jego słowa powtórzone mi przez Deborę, dochodzę do przekonania, iż ów duch posiada nie tylko charakterystykę, którą powinna poznać czarownica, lecz również charakter, przez który on poznaje świat; a więc nie tylko naturę, którą należy zrozumieć, lecz zapewne i duszę, którą on rozumuje.

Ponadto idę o zakład, iż Charlotta Fontenay nie wie niemal nic o owym demonie i że nigdy nie uczyła się czarnej magii; a tylko w ostatniej chwili Debora wyznała dziewczynie swą tajemnicę i upewniwszy się co do wierności córki odesłała ją, błogosławiąc, by przeżyła swą matkę i nie oglądała jej męczarni w płomieniach. „Moja ukochana córka”, tak ją nazywała; dobrze to sobie zapamiętałem.

Stefanie, *muszę* otrzymać pozwolenie spotkania się z Charlotte. Nie wolno

mi cofnąć się teraz, jak to uczyniłem przed wielu laty wobec Debory, posłuszny nakazowi Roemera Franza. Bowiem gdybym spierał się z Deborą i wspólnie z nią studiował, może bym ją przekonał i odesłałaby precz ową istotę.

I w końcu proszę Cię, Stefanie, byś rozważył mą prośbę o zgodę na tę wyprawę, biorąc pod uwagę dwa względy. Najpierw, iż kochałem Deborę i miłość moja poniosła klęskę; przeto muszę udać się do jej córki, winien to jestem bowiem pamięci tego, co było kiedyś między mną i ową niewiastą.

A po wtóre, iż i tak mam w swym posiadaniu dosyć pieniędzy, by udać się w podróż na San Domingo, a mogę otrzymać ich jeszcze więcej od naszego tutejszego agenta, który wypłaci mi każdą sumę; zatem jestem gotów pojechać, nawet jeśli odmówisz mi swego pozwolenia.

Lecz proszę, nie zmuszaj mnie, bym złamał regułę naszego Zgromadzenia. Udziel mi pozwolenia. Poślij mnie na San Domingo.

Bowiem tak się składa, iż właśnie tam jadę.

Twój wierny w Talamasce -

Petyr van Abel

Marsylia

* * *

Talamasca

Amsterdam

Do Petyra van Abła

w Marsylii

Drogi Petyrze,

Twe listy zawsze nas czymś zaskakiwały, jednak dwa ostatnie, które nadeszły z Marsylii, prześcigają wszelkie Twoje dotychczasowe osiągnięcia.

Wszyscyśmy je przeczytali, słowo po słowie; zebrała się Rada i oto nasze

polecenie:

Natychmiast powracaj do Amsterdamu.

Pojmujemy doskonale powody, dla których pragniesz udać się na San Domingo, lecz nie możemy Ci na to zezwolić. Błagamy Cię, zrozum, iż za swym własnym dopuszczeniem, stałeś się częścią niegodziwości demona Debory Mayfair. Spychając z dachu ojca Louviera wypełniłeś życzenie owej niewiasty i jej ducha.

Martwi nas bardzo, iż swym nierozważnym czynem pogwałciłeś regułę Talamaski. Uwierz nam, lękamy się o Ciebie; wszyscy jesteśmy zgodni, iż musisz wrócić do domu, byśmy mogli wesprzeć Cię naszą radą i byś odzyskał spokój sumienia i jasność sądu.

Petyrze, nakazujemy Tobie, pod groźbą ekskomuniki: wracaj do nas natychmiast.

Historię Debory Mayfair poddaliśmy starannym studiom, biorąc pod uwagę Twoje do nas listy, jak również owe nieliczne spostrzeżenia, które zanotował Roemer Franz (uwaga tłumacza: wzmiankowane zapiski nie zostały do dzisiaj odnalezione); jesteśmy z Tobą zgodni, iż czyny owej niewiasty powinny być przedmiotem szczególnego zainteresowania Talamaski; zrozum, proszę, iż jest naszym zamiarem dowiedzieć się, ile tylko zdołamy, o Charlotte Fontenay i jej życiu na San Domingo.

Nie jest wykluczone, iż w przyszłości wyślemy do Zachodnich Indii naszego nuncjusza, aby porozmawiał z nią i dowiedział się wszystkiego co dla nas istotne. Lecz w obecnej chwili nie możemy tego przedsięwziąć.

Mądrość dyktuje, byś po powrocie do domu napisał do Charlotte i powiadomił ją o okolicznościach śmierci matki, nie wspominając o zabójstwie ojca Louviera, bowiem nie ma żadnego powodu, byś rozgłaszał swą winę; powiadom ją również o wszystkim, co rzekła Ci Debora. Jest też wielce godne zalecenia, byś zaprosił tę dziewczynę do utrzymywania z Tobą korespondencji; możliwe, iż zdołasz wyrzeć na nią dobroczynny wpływ bez narażania się na

ryzyko.

Co się tyczy Charlotte Fontenay, to jest to wszystko, co mógłbyś uczynić; jeszcze raz nakazujemy Tobie bezzwłoczny powrót do domu; prosimy Cię: przybądź do nas, lądem lub morzem, tak szybko, jak tylko to możliwe.

Lecz, proszę, nie wąp o naszej miłości, najwyższym szacunku i trosce o Ciebie. Jesteśmy przekonani, iż jeżeli nas nie posłuchasz, czekają Cię w Indiach Zachodnich same nieszczęścia. Sądzymy tak nie tylko na podstawie twych własnych słów i wyznań, lecz również kierując się naszymi przeczuciami w owej sprawie. Położyliśmy dłonie na Twoich listach. Ujrzeliśmy przed Tobą jedynie ciemność i katastrofę.

Aleksander, który jak wiesz, posiada najpotężniejszą z nas wszystkich moc widzenia poprzez dotyk, twierdzi nieugięcie, iż jeżeli udasz się do Port-au-Prince, nie ujrzymy Cię więcej. Zapędziło go to do łoża, gdzie leży, nie przyjmując jedzenia i słyszymy od niego jedynie przedziwne sentencje; o ile w ogóle postanowi się odezwać.

Winienem Ci nadto powiedzieć, iż Aleksander zszedł do sieni i położywszy dłonie na zawieszonym u podnóża schodów portrecie Debory, namalowanym przez Rembrandta, odsunął się gwałtownie niemal zemdłony; nie chciał potem do nikogo przemówić i podtrzymywany przez służących, odszedł na swe komnaty.

„Jaka jest przyczyna twego milczenia?“, zażądałem odpowiedzi. Na co mi odrzekł, iż po tym co zobaczył, wszelkie słowa byłyby prózne i daremne. Wpadłem na to w gniew wielki i domagałem się odeń wyjaśnień. „Nie ujrzałem tam żadnych liter, liczb ani słów. Czego chcesz ode mnie?“ I rzekł mi dalej, że jeśli chcę się dowiedzieć, co poczuł, gdy spojrzał jeszcze raz na portret, na ową ciemność, z której wyłaniają się zawsze postacie i przedmioty na obrazach Rembrandta; bym zwrócił uwagę, jak światło tylko częściowo oświetla twarz Debory – to bowiem była wszystka jasność, jaką wyczuł w historii owej niewiasty – niepełne, wątle światło, bezpowrotnie pochłonięte przez ciemność.

Lecz Rembrandt uchwycił jedynie chwilę.

– To samo można powiedzieć o każdym życiu i każdej historii – upierałem się.

– Nie, to jest proroctwo – oznajmił. – Jeżeli Petyr uda się do Indii Zachodnich, przepadnie w owej ciemności, z której Debora Mayfair wynurzyła się tylko na krótką chwilę.

Pojmij ową uroczą wymianę zdań, jak zechcesz! Nie mogę ukryć przed Tobą, iż Aleksander rzekł następnie, że pojedziesz na San Domingo zlekceważywszy nasze rozkazy oraz zapowiedź ekskomuniki i że owa ciemność pochłonie także Ciebie.

Możesz postąpić na przekór owej przepowiedni i jeśli rzeczywiście tak uczynisz, to zdasz cuda dla zdrowia Aleksandra, który marnieje w oczach. Wracaj do domu, Petyrze!!!!

Z pewnością zdajesz sobie sprawę, jako człowiek rozsądny, iż w Indiach Zachodnich demony i czarownice nie będą jedynym zagrożeniem dla Twego życia. Zastaniesz tam malarię, zarazę, zbuntowanych niewolników i dzikie bestie dżungli, gdy wybrniesz już ze wszystkich niebezpieczeństw żeglugi.

Lecz zostawmy już nasze sprzeciwy wobec twej podróży i kwestię sekretnej mocy członków Zgromadzenia i rzućmy okiem na dokumenty, które dostarczyłeś.

Zaiste, interesująca opowieść. Wiemy już od dawna, iż „czary” to wspaniała mikstura wykoncypowana przez inkwizytorów, księży, filozofów i tak zwanych uczonych mężów. Dzięki wynalazkowi prasy drukarskiej owe fantazje rozeszły się po całej Europie i dotarły nawet do gór Szkocji, a może nawet i do Nowego Świata.

Ponadto spostrzegliśmy już dawno, iż chłopska ludność w wiejskich regionach ujrzała naraz w znachorkach i akuszerkach wiedźmy i że okruchy dawnych obyczajów i przesądów, niegdyś będące w wielkim poważaniu, teraz splotły się z wymysłami o diabłach z koźlimi kopytami, świętokradztwach i

niedorzecznych sabatach.

Lecz nie ma znakomitszego przykładu na to, jak wymysły owych mężów stworzyły czarownicę, niż prosta wieśniaczka Zuzanna Mayfair, która kierując się literą *demonologii* zrobiła coś, co zdołałaby uczynić jedna niewiasta na milion – wyczarowała sobie prawdziwego, a przy tym straszliwie potężnego ducha; czarta, którego „przekazała” pojętej i rozgoryczonej córce Deborze. A ta osiągnęła daleko większą wprawę w posługiwaniu się czarną magią, udoskonaliła swą władzę nad demonem i oddała nad nim panowanie Charlotte, bez wątpienia wraz ze swoimi przesadami.

Któż z nas nie pragnąłby być wraz z Tobą w Montecleve i ujrzeć własnymi oczyma potężną moc owego ducha i zagładę wrogów komtessy; i z pewnością, gdyby tylko ktoś z nas był przy Tobie, powstrzymałby Twą dłoń i pozwolił zacnemu ojcu Louvierowi spotkać przeznaczenie bez Twej pomocy.

Powiem jeszcze, iż nie ma wśród nas nikogo, kto by nie rozumiał Twego pragnienia udania się na San Domingo śladem owego czarta i jego wiedźmy. Czegóż sam bym nie oddał, by rozmawiać z osobą taką, jak Charlotte i by dowiedzieć się od niej, czego nauczyła ją matka i cóż zamierza uczynić.

Lecz, Petyrze, Ty sam opisałeś nam potęgę owego demona. Przekazałeś wiernie dziwne słowa błogosławionej pamięci komtessy Debory Mayfair de Montecleve. Musisz wiedzieć, iż owa istota spróbuje nie dopuścić, byś stanął pomiędzy nią a Charlotte i że jest zdolna sprowadzić na Ciebie zły koniec, tak jak postąpiła z komtem de Montecleve.

Z pewnością nie mylisz się konkludując, iż ów *daimon* jest sprytniejszy niż większość istot jemu podobnych; świadczy o tym choćby to, co powiedział swej czarownicy, nie wspominając już jego czynów.

Ach, zaprawdę, ta tragiczna historia zdaje nam się nieodparcie porywającą. Lecz musisz wrócić do domu, by w bezpiecznym Amsterdamie napisać swe listy do córki Debory i pozwolić niderlandzkim żeglarzom zabrać je za morze.

Może zainteresuje Cię wiadomość, iż dopiero niedawno wieść o śmierci ojca

Louviera dotarła na dwór francuski.

Nie zdziwisz się zapewne, słysząc iż w dniu egzekucji Debory de Montecleve burza przetoczyła się nad owym miastem. Z pewnością Cię zainteresuje, iż zesłał ją Bóg, by wyrazić swe niezadowolenie wielką ilością czarownic we Francji i swe szczególne potępienie dla owej właśnie zatwardziałej wiedźmy, która nie zechciała wyznać swych win, nawet poddawana torturom.

I nie wątpię, iż wzruszysz się bardzo słysząc, iż ojciec Louvier poniósł śmierć osłaniając innych przed odłamkami cegieł. Zginęło około piętnastu osób, powiedziano nam, a dzielni mieszkańcy Montecleve spalili wiedźmę, kładąc w ten sposób kres nawałnicy, taka była wola Boża; nauka z tego wszystkiego wynika następująca, iż Pan Nasz Jezus Chrystus ujrzyć pragnie więcej czarownic schwytych i spalonych. Amen.

Jak szybko, ciekaw jestem, zobaczymy to wszystko w zgrabnej broszurce, wypełnionej obfitością zwyczajnych nam rysunków i litanią łgarstw. Z pewnością prasy drukarskie, zawsze i wszędzie dostarczające opału stosom, na których płoną czarownice, zostały już puszczony w ruch.

A gdzież jest, powiedzcie nam, na Boga, ów oskarżyciel czarownic, który spędził ciepłą noc przy palenisku znachorki z Donnelaith i pokazał jej ciemne obrazki ze swej demonologii? Czy smaży się w piekle? Tego się nigdy nie dowiemy.

Petrze, nie trać czasu na pisanie do nas. Wracaj do Amsterdamu. I wiedz, iż kochamy Cię i nie potępiamy za to, co uczyniłeś, ani możesz uczynić w przyszłości. Powiedzieliśmy to, co w naszym przekonaniu musieliśmy powiedzieć!

Twój wierny w Talamasce -

Stefan Franck

Amsterdam

* * *

Drogi Stefanie,

Piszę te słowa w wielkim pośpiechu, znajduję się bowiem na pokładzie francuskiego statku *Sainte-Helene*, zmierzającego do Nowego Świata, i chłopiec już czeka, by zabrać owo pismo i niezwłocznie je wysłać.

Zanim dotarł do mnie Twój list, zdążyłem już otrzymać od naszego agenta wystarczającą sumę pieniędzy tudzież zakupić odzież i medykamenty, które mogą, obawiam się, być mi potrzebne podczas owej podróży.

Udaję się do Charlotte, bowiem nie jestem w stanie uczynić nic innego i wiem, że to Cię nie zaskoczy; powiedz, proszę, Aleksandrowi iż, gdyby był na moim miejscu, z pewnością postąpiłby tak samo.

Lecz, Stefanie, źle mnie oceniasz sądząc, iż pozwoliłem się wpłatać w nikczemne działania owego demona. To prawda, iż złamałem zasady Zgromadzenia jedynie z powodu Debory Mayfair, zarówno w przeszłości jak i obecnie, lecz ów *daimon* nigdy nie był częścią mojej miłości do Debory i gdy podniosłem rękę na inkwizytora, uczyniłem to, co sam chciałem uczynić.

Zabiłem go dla Debory i dla wszystkich nieszczęsnych, ciemnych kobiet, ginących na stosach; dla niewiast, które wyzionęły ducha łamane kołem lub w zimnej celi, dla rodzin zniszczonych i wsi wyludnionych z powodu owych okropnych kłamstw.

Lecz tracę tylko czas, usprawiedliwiając się. To bardzo szlachetnie z waszej strony, iż mnie nie potępiacie; mimo wszystko było to bowiem zabójstwo.

Pozwól mi opowiedzieć w kilku pospiesznie kreślonych słowach, iż historyjka o burzy nad Montecleve dotarła tutaj jakiś czas temu, niemiłosiernie poprzekręcana. W jednym zdaniu przypisują ją potędze czarownicy, a zaraz w następnym naturalnym przyczynom; śmierć Louviera jest uważana za wypadek pośród powszechnej bijatyki; w ogóle jest tu mnóstwo męczących i nie kończących się sporów co do tego, cóż właściwie się wydarzyło.

Teraz mogę już pisać o tym, co najbardziej mnie obchodzi, a mianowicie czego się ostatnio zdołałem dowiedzieć o Charlotte Fontenay. Dobrze ją tu pamiętają, bowiem to właśnie do Marsylii przyплыnęła była i stąd pożeglowała dalej. Od wielu rozmaitych osób usłyszałem, iż jest ona wielce majątna, piękna i szlachetna; że ma falujące lniane włosy i pełne czaru błękitne oczy; jej małżonek rzeczywiście jest sparaliżowany na skutek choroby dzieciństwa, która spowodowała pogłębiające się osłabienie jego członków. Jednym słowem – widmo człowieka. Dla tej właśnie przyczyny Charlotte zabrała go do Montecleve, otoczonego wspaniałą świtą usługujących mu Negrów, w nadziei iż jej matka zdoła go uleczyć, a także wykryć najmniejszy ślad choroby u jej maleńkiego synka. Debora oświadczyła, iż dziecko jest zdrowe. Obie niewiasty przygotowały dla małżonka maść, która przyniosła jego członkom wielką ulgę, nie zdołała jednak całkowicie przywrócić w nich czucia; mówi się, iż wkrótce będzie on równie bezsilny jak jego ojciec, dotknięty tą samą niemocą; i chociaż umysł owego męża wciąż jest jasny i przenikliwy, tak iż nadal może on kierować sprawami plantacji, to jednak wieść niesie, iż spędza swe dni we wspaniałym łożu, bezradny, niczym dziecko karmiony i obmywany przez Negrów. Łudzono się nadzieją, iż choroba Antoina będzie postępować z mniejszą szybkością; był on znaczną figurą na dworze francuskim, gdzie Charlotte spotkała go po raz pierwszy i przyjęła jego oświadczenia, chociaż była jeszcze wtedy bardzo młoda.

Jest tu również powszechnie wiadome, iż Charlotte i Antoine radośnie spędzali czas w gościnie Debory i przebywali już u niej od wielu tygodni, gdy wraz ze śmiercią komta tragedia spadła na całą rodzinę; resztę już znasz. Z tą różnicą, iż marsylczycy nie wierzą aż tak bardzo w czary i przypisują obłąd przesładowań przesądności mieszkańców gór, chociaż czymże byłyby same przesady bez słynnego inkwizytora – podjudzacza.

Nic łatwiejszego dla mnie niż rozpytywać o ową parę, ponieważ nikt tu nie wie, że przybyłem z gór i wydaje się, iż ci, których zapraszam, by dotrzymali mi

towarzystwa przy kubku wina, uwielbiają rozprawiać o Charlotte i Antoinie Fontenay, zupełnie jak mieszczanie Montecleve radzi byli mówić o całej rodzinie.

Charlotte i młody Fontenay wywołali tu wielkie poruszenie, najwyraźniej prowadząc życie pełne ekstrawagancji, hojnie rozdając wszystkim wokół monety, jakby mieli je za nic; zwykli byli przybywać do kościoła na mszę otoczeni orszakiem Negrów – podobnie jak w Montecleve – przyciągających oczy tutejszej ludności. Mówi się również, iż szczerze opłacali doktorów, z którymi konsultowali się co do dolegliwości Antoina i jest także wiele gadania i domysłów, dotyczących przyczyny owej niemocy; a to czy jest ona wywołana wielkimi upałami Indii Zachodnich, czy może to raczej stara choroba, na którą cierpiało w dawnych wiekach wielu Europejczyków.

Nikt nie ma wątpliwości co do majątku Fontenayów; do niedawna utrzymywali oni w mieście własnych przedstawicieli handlowych, lecz wyjeżdżając stąd w wielkim pośpiechu, nim stało się powszechnie wiadomo o uwięzieniu Debory, pozrywali więzy z miejscowymi agentami, i nikt nie wie, dokąd się udali.

Lecz mam Ci jeszcze coś do opowiedzenia. Żyłem tutaj, wydając wiele pieniędzy, jak bogaty handlowiec z Niderlandów; dzięki temu zdołałem poznać nazwisko wielce łaskawej, pięknej i dobrze urodzonej młodej damy, która była przyjaciółką Charlotte Fontenay; nazwisko nieodmiennie wymieniane w jakiegokolwiek, długiej czy krótkiej, rozmowie na temat Charlotte. Mówiąc jedynie, iż miłowałem byłem Deborę za czasów jej młodości w Amsterdamie, zdobyłem sobie zaufanie owej damy i zdołałem się dowiedzieć z jej ust jeszcze więcej.

Zwie się ona Jeanne Angelique de Roulet i przebywała na dworze w tym samym czasie, co Charlotte; razem zostały przedstawione Jego Królewskiej Mości.

Jeanne de Roulet, nie obawiając się pochodzących z gór zabobonów,

zaręcza, iż Charlotte posiada czarujące i pełne słodczy usposobienie i w żadnym wypadku nie może być czarownicą. Uważa, iż tylko ciemnota tamtejszych wieśniaków mogła sprawić, by ktokolwiek w to uwierzył. Ofiarowała mszę za spokój duszy nieszczęsnej komtessy, Co do Antoina, to owa dama sądzi, iż znosi on swą chorobę z niezwykłym hartem ducha i zaiste, miłuje swą małżonkę i wzięwszy wszystko pod uwagę, nie jest niegodnym jej towarzyszem. Jednak ich długa podróż do rodzinnych stron Charlotte spowodowała, iż ów młody mężczyzna może już nie zdołać spłodzić więcej dzieci, tak wielka jest jego niemoc, a ich jedyny malutki synek, mimo iż bardzo silny i zdrowy, być może również odziedziczył chorobę.

Dalej usłyszałem, iż ojciec Antoina, pan plantacji, bardzo był przychylny owej podróży, bowiem gorąco pragnie, by Antoine dał mu męskich potomków i nie pochwała postępowania pozostałych synów, rozpustników mieszkających pod jednym dachem ze swymi czarnymi kochankami i z rzadka tylko zadających sobie trud odwiedzenia domu ojca.

Przy okazji, Jeanne Angélique jest wielce przywiązana do Charlotte i rozpacza, iż przyjaciółka nie pożegnała się z nią przed opuszczeniem Marsylii. Jednak z powodu tragedii w Cevennes wszystko zostało wybaczone.

Zapytana, dlaczego nikt nie stanął w obronnie Debory w czasie owego procesu, dama wyznała mi, iż ani sam komt de Montecleve, ani jego matka nigdy nie gościli na dworze, i że swego czasu byli oni hugenotami oraz że nikt w Paryżu nie znał komtessy, a sama Charlotte przebywała tam jedynie przez krótki czas; gdy się rozniosło, iż Debora de Montecleve była w rzeczywistości nieślubną córką szkockiej wiedźmy, to jest zwykłą chłopką, oburzenie dla jej położenia zmieniło się w litość, a potem już w nic zupełnie.

„Ach”, rzekła Angélique, „te góry i te miasteczka.” Gorąco pragnie powrócić do Paryża, bowiem cóż można znaleźć poza nim? I jak można mieć nadzieję na dostąpienie łask czy awansu, jeżeli się nie jest w otoczeniu Króla?

To już wszystko, co mam czas napisać. Odpływamy za godzinę.

Stefanie, czy muszę przedstawić Ci to jeszcze jaśniej? Ponad wszystko pragnę zobaczyć się z Charlotte; przestrzec ją przed owym duchem; i skąd by, na miłość boską, owo dziecię urodzone osiem miesięcy od mojego pożegnania z Debora w Amsterdamie, miało wziąć swą jasną cerę i faliste włosy?

Ujrzymy się znowu. Przyjmijcie wyrazy mej miłości, bracia i siostry w Talamasce. Udaję się do Nowego Świata pełen wspaniałych oczekiwań. Ujrzę Charlotte. Zwycięzę demona, Lashera, i być może będę obcował z ową istotą, posiadającą głos i taką moc, a także dowiem się od niej z jakiej przyczyny potrafi się ona uczyć od nas.

Wasz, jak zawsze, wierny w Talamasce -

Petyr van Abel

Port-au-Prince
San Domingo

Stefanie,

Wysłałem już byłem do Ciebie, z portów gdzie zarzuciliśmy kotwicę przed naszym przybyciem tutaj, dwa krótkie pisma; rozpoczynam teraz prowadzić regularny dziennik podróży, a wszystko, co w nim zanotuję, jest skierowane do Ciebie.

Jeżeli czas pozwoli, poczynię kopie kolejnych zapisów i wyślę je Tobie jako oddzielne listy. Gdyby nie było to możliwe, otrzymasz ode mnie kompletny dziennik.

Pisze te słowa w mych wielce wygodnych, jeżeli nie wręcz luksusowych, kwaterach w Port-au-Prince. Spędziłem dwie godziny na wędrówce po owym kolonialnym mieście i jestem zupełnie oślepiiony wspaniałością jego okazałych budynków – a w ich liczbie teatrem wystawiającym opery włoskie – tudzież bogato odzianych plantatorów i ich żon, oraz olbrzymiego mnóstwa niewolników.

Żadne inne miejsce, jakie odwiedziłem podczas mych podróży, nie może równać się z Port-au-Prince pod względem egzotycznych przymiotów i nie sądzę, by jakiegokolwiek miasto w Afryce mogło ofiarować oczom tak wiele.

Bowiem nie tylko możesz ujrzeć tu wszędzie Negrów wykonujących wszelkie prace, lecz także mnogość cudzoziemców zajętych każdego rodzaju

handlem. Odkryłem tu również liczną i kwitnącą „kolorową” społeczność, złożoną całkowicie z potomstwa plantatorów i ich afrykańskich konkubin. Większość z nich została wyzwolona przez swoich białych ojców i wie dzie teraz dostatnie życie, zarabiając na chleb jako muzycy, rzemieślnicy, sklepikarze oraz, a jakże, niewiasty złej sławy. Kolorowe kobiety, które tu widziałem, są zadziwiająco piękne. Nie mogę winić mężczyzn, iż wybierają je sobie na kochanki lub towarzyszki wieczornych rozrywek. Wiele z nich ma złocistą skórę i wspaniałe, przejrzyste, czarne oczy; w jawny sposób są one świadome swych wdzięków. Odziewają się z wielką ostentacją i posiadają na własność co najmniej kilku niewolników.

Liczebność owej klasy rośnie z dnia na dzień, powiedziano mi. I ciekaw jestem, jaki los przypadnie jej w udziale wraz z upływem lat.

Co do niewolników, to sprowadzani są tu tysiącami. Przypatrywałem się, jak dwa okręty opróżniano z ich żalosego ładunku. Fetor był niemożliwy do opisania. Z przerażeniem przyglądałem się warunkom, w jakich owe nieszczęsne ludzkie istoty były trzymane. Mówi się, iż harują na plantacjach, dopóki nie padną martwi, taniej jest bowiem sprowadzić nowych, niżli utrzymywać chorych przy życiu.

Za najmniejsze przewinienia wymierzane im są surowe kary. I cała wyspa żyje w strachu przed buntami, a panowie i panie na wielkich włościach lękają się trucizny, bowiem jest ona orężem niewolników; tak mi przynajmniej mówiono.

Co do Charlotte i jej małżonka, znają tu ich wszyscy, nikt jednak nie wie nic o pochodzącej z Europy rodzinie pani Fontenay. Przybyła z Francji para kupiła jedną z najrozleglejszych i najbardziej kwitnących plantacji, bardzo niedaleko od Port-au-Prince, a przy tym tuż nad samym morzem. Położona jest zapewne nie dalej niż godzinę jazdy powozem od krańców miasta, a jej granicą od strony morza jest wysokie urwisko wznoszące się nad plażą. Słynie ze swego ogromnego dworu i innych wspaniałych budynków, mieszczących jakby całe

miasto – z kuźniami i tapicerniami, szwalniami, warsztatami tkackimi i wytwórniami mebli; a to wszystko pośród wielu pól obsadzonych kawą i indygo, których zbiory co roku przynoszą fortunę.

W tym krótkim czasie dominacji francuskiej na San Domingo, już trzech kolejnych właścicieli zdążyło zbić majątek na owej plantacji, Francuzi zresztą bez przerwy są pochłonięci nieustannymi walkami z Hiszpanami, zamieszkującymi południową część wyspy; dwóch z owych posiadaczy wyniosło się do Paryża, a trzeci zmarł na malarię i teraz plantacja należy do Fontenayów, Antoina Pere i Antoina Fils; lecz wiadomo powszechnie, iż w rzeczywistości zarządza nią Charlotte i to o jej względy ubiegają się wszyscy kupcy w mieście, a miejscowi urzędnicy zebrzą o jej łaski i pieniądze, których zdaje się mieć nieograniczony zasób.

Mówi się, iż wzięła w swe ręce zarządzanie plantacją, aż do najmniejszych szczegółów, że wraz z nadzorcą objeżdża konno pola – Stefanie, nikogo nie mają tu w większej pogardzie niż owych nadzorców! – i że zna imiona wszystkich niewolników. Nie żałuje niczego, by dostarczyć im żywności i napojów; w ten sposób zapewniła sobie ich nadzwyczajną wierność; odwiedza ich domy, gdzie igra z dziećmi, a nim wymierzy wyrok, bada dusze obwinionych. Lecz jej straszliwe kary dla tych, co dopuścili się zdrady, są już legendarne, bowiem władza plantatorów nie ma tu żadnych granic. Jeżeli zechcą, mogą zachłostać swych niewolników na śmierć.

Co do czeladzi usługującej w domu, to posiadają liczne przywileje, są urodziwi, zbyt kownie odziani i okropnie zuchwali; tak mówią miejscowi kupcy; pięć pokojówek służy samej tylko Charlotte. Ze szesnastu niewolników jest zatrudnionych w kuchni, a nikt nie wie, ilu utrzymuje w porządku salony, pokoje do muzyki i sale balowe owego domu. Słynny Reginald towarzyszy swemu panu, gdziekolwiek ten się udaje, o ile udaje się on gdziekolwiek. Mając wiele wolnego czasu, niewolnicy ci często pojawiają się w Port-au-Prince, z kieszeniami pełnymi złota, a drzwi wszystkich sklepów stoją wtedy dla nich

otworem.

Lecz Charlotte rzadko widują poza jej wspaniałym rezerwatem, który nota bene, nosi nazwę *Maye Faire*, zawsze pisaną po angielsku w ten sam sposób, jak ja to napisałem, nigdy zaś po francusku.

Dama wydała od swego powrotu dwa wspaniałe bale, podczas których jej małżonek, siedząc w fotelu, przypatrywał się tańczącym; i nawet stary pan, chociaż bardzo już słaby, był obecny. Miejscowe ziemiaństwo, które myśli jedynie o przyjemnościach, bowiem nie ma tu prócz tego wiele, o czym można by myśleć, darzy ją uwielbieniem z powodu owych dwóch przyjęć i nie może doczekać się następnych; żywią zresztą pewnością, iż Charlotte ich nie rozczaruje.

Jej własni czarni muzycy przygrywali do tańca, wino lało się strumieniami, podawano egzotyczne potrawy oraz doskonałą, przyrządzoną w niewyszukany sposób, wołowinę i drób. Charlotte tańczyła z każdym z obecnych dżentelmenów, oczywiście oprócz swego małżonka, który przypatrywał się temu z aprobatą. Własnoręcznie podnosiła kielich z winem do jego ust.

O ile zdołałem się dowiedzieć, owa pani jest nazywana czarownicą jedynie przez swych niewolników, którzy lękają się jej i mają w wielkim poważaniu, a to z powodu jej uzdrawiających mocy, które zdobyły już sobie sławę; lecz pozwól mi jeszcze raz powtórzyć – *nikt tutaj nie słyszał o tym, co wydarzyło się we Francji*. Nikomu nawet nie obija się o uszy nazwa „Montecleve”. Wiadomo tylko, iż rodzina Fontenayów przybyła z Martyniki.

Wieść niesie, iż Charlotte pragnie gorąco, by miejscowi plantatorzy wspólnie wybudowali oczyszczalnię cukru, co pozwoliłoby im osiągnąć większe zyski ze zbiorów. Dużo mówi się również o wypędzeniu z Karaibów niderlandzkich okrętów, zdaje się bowiem, iż wciąż dobrze tu prosperujemy, budząc zawiść Francuzów i Hiszpanów. Lecz bez wątpienia, Stefanie, wiesz więcej ode mnie o owych sprawach. Widziałem w porcie wiele niderlandzkich statków i nie wątpię, iż mój powrót do Amsterdamu nie będzie przedstawiał żadnych trudności, gdy tylko zakończę swą tutaj pracę. Jako „kupiec z Niderlandów”

traktowany jestem z największą kurtuazją.

Wróciwszy dzisiejszego popołudnia, znużony błakaniem się po mieście, na swe kwatery, gdzie dano mi dwóch niewolników, by rozdzielali mnie i kąpali, jeżeli tylko bym im na to zezwolił, napisałem do owej pani, iż pragnąłbym złożyć jej wizytę; mam bowiem wieści najwyższej wagi od kogoś bardzo jej bliskiego, kto w noc przed swą śmiercią dał mi jej prawdziwy adres. Przybyłem osobiście, napisałem, bowiem to co mam do przekazania jest zbyt ważne, by powierzyć to listom. Podpisałem się pełnym nazwiskiem.

Tuż zanim rozpocząłem spisywać te notatki, nadeszła odpowiedź. Udaję się do Maye Faire dzisiejszego wieczoru. O zmierzchu przed wejściem do gospody będzie oczekiwała kareta. Mam zabrać wszystko, co będzie mi niezbędne, by spędzić tam noc, i jeszcze noc następną, jeżeli będzie mi to odpowiadać. I tak właśnie zamierzam uczynić.

Stefanie, jestem wielce podekscytowany i nie lękam się wcale. Wiem teraz, przemyślawszy wszystko wnikliwie, iż jadę spotkać mą własną córkę. Lecz jak ją o tym powiadomić, i czy w ogóle powinienem to zrobić. Myśl ta wielce mnie kłopotuje.

Jestem głęboko przekonany, iż tragedia kobiet Mayfair znajdzie swój kres w owym osobliwym i urodzajnym miejscu położonym w tak bogatym i egzotycznym kraju. Zakończy się dzięki tej silnej i mądrej młodej niewieście, przed którą świat cały stoi otworem. Z pewnością widziała już ona dosyć, by zrozumieć przez co przeszła jej matka – a także babka – w swym krótkim i tragicznym życiu.

Zamierzam teraz wziąć kąpiel i odpowiednio się odziać oraz poczynić inne przygotowania przed czekającą mnie przygodą. Ciekaw jestem ujrzeć własnymi oczyma ową wielką kolonialną plantację. Stefanie, jakże mam opisać, co jest w moim sercu? To jakby moje dotychczasowe życie było malunkiem o bladych kolorach, teraz jednak nabrało żywych barw obrazów Rembrandta van Rijna.

Czuję ciemność blisko mnie; lecz także dostrzegam jaśniejsze światło. Lecz

najostrzej odczuwam kontrast pomiędzy nimi.

Zanim znowu wezmę pióro do ręki

Twój sługa

Petyr

Postscriptum: kopia wysłana listownie tego samego wieczoru do Stefana Francka. PVA

* * *

Port-au-Prince

San Domingo

Drogi Stefanie,

Minęły pełne dwa tygodnie, odkąd ostatni raz do Ciebie pisałem. Jakże mam przedstawić wszystko, co się w owym czasie wydarzyło? Lękam się, iż nie starczy mi czasu, mój ukochany przyjacielu – iż nie będzie mi dane długie wytchnienie – jednak muszę napisać o wszystkim. Pragnę opowiedzieć Ci, co widziałem, przez co przeszedłem i co uczynilem.

Jest teraz, gdy piszę do Ciebie, późny poranek. Spałem dwie godziny, po moim powrocie do gospody. Zdążyłem się również posilić, lecz tylko tyle, by nie opaść z sił. Mam nadzieję – i modlę się o to – iż owa istota, ścigająca mnie i dręcząca przez całą drogę z Maye Faire, powróciła w końcu do swej wiedźmy, która ją za mną posłała, aby przyprawić mnie o szaleństwo i doprowadzić do zguby; przed czym zdołałem się obronić.

Stefanie, jeżeli ów czart nie poddał się jeszcze, jeżeli znowu przypuści na mnie śmiertelny atak, przerwę swe opowiadanie, by w prostych zdaniach podać Ci najważniejsze informacje i umieszczę ów list w żelaznej skrzynce, którą następnie opieczę. Umówiłem się już dzisiejszego poranka z oberżystą, iż w wypadku mego zgonu dopilnuje on, by skrzynka dotarła do Amsterdamu. Rozmawiałem również z naszym tutejszym przedstawicielem, który jest

spokrewniony i zaprzyjaźniony z agentem w Marsylii, i poinstruowałem go, by upomniał się o przesyłkę.

Pozwól mi jednak powiedzieć, iż z powodu mego wyglądu ci dwaj mają mnie za szaleńca. Zdołałem zapewnić sobie ich posłuch jedynie dzięki memu złotu; otrzymali również obietnicę znacznej nagrody za dostarczenie skrzynki i tego listu do Twych rąk.

Stefanie, miałaś słuszność we wszystkich swych ostrzeżeniach i przeczuciach. Coraz głębiej i głębiej pogrążam się w owo diabelskie zło; nie ma dla mnie ratunku. Powinienem był powrócić do domu, do Ciebie. Po raz wtóry w swym życiu poznaję gorycz żalu.

Znajduję się teraz w straszliwym stanie. Me odzienie jest w strzępach, buty podarte i niezdatne do użytku, ręce mam poranione przez kolce. Głowa pulsuje mi bólem po długim biegu poprzez nocną ciemność. Lecz nie ma czasu na dalszy odpoczynek. Nie ważę się opuścić wyspy na żadnym z odpływających dzisiejszego ranka statków, bowiem jeżeli owa istota zamierza prześladować mnie nadal, uczyni to tutaj lub na morzu. I lepiej, by uderzyła na lądzie, bowiem nie przypadnie wówczas na żelazną skrzynka.

Muszę wykorzystać cały czas, który mi pozostał, by opowiedzieć o wszystkim, co się wydarzyło...

...Odjechałem stąd wczesnym wieczorem owego dnia, gdy po raz ostatni pisałem do Ciebie. Włożyłem najlepsze swe szaty, zeszedłem na dół, by wsiąść do czekającej na mnie o wyznaczonej godzinie, karety. Wszystko, co ujrzałem byłem na ulicach Port-au-Prince, kazało mi spodziewać się okazałego ekwipażu, lecz ów przeszedł me najśmielsze wyobrażenia, okazując się rozkoszną, szklaną karetą z lokajem, stangretem i eskortą dwóch uzbrojonych konnych; a wszyscy oni to czarni Afrykanie, odziani w atłasowe szaty, noszący upudrowane peruki.

Podróż poprzez górzysty teren była wielce przyjemna; wysoko na niebie płynęło mnóstwo białych obłoków, a same wzgórza pokryte były pięknymi gajami, a wśród nich świetne kolonialne domostwa, nierzadko w otoczeniu

kwiatów i drzew bananowych, rosnących tu w wielkiej obfitości.

Nie przypuszczam, byś potrafił przedstawić sobie soczystość tutejszego krajobrazu, gdzie najdelikatniejsze rośliny z oranżerii widać tu w dzikiej obfitości przez okrągły rok. A pomiędzy nich sterczą wszędzie wielkie kępy bananowców, a także gigantyczne czerwone kwiaty na wiotkich łodygach, wysokich jak pnie drzew.

Nie mniej czarowne są nagle przebłyśki błękitu Morza Karaibskiego w oddali. Nie widziałem nigdy równie czystej wody, która wspaniale skrzy się o zmierzchu; lecz usłyszysz o tym więcej później, spędziłem bowiem wiele czasu kontemplując każdy odcień i barwę.

Minąłem również po drodze dwa mniejsze domy plantatorów, niezwykle przyjemne budowle, oddalone nieco od drogi i oddzielone od niej wspaniałymi ogrodami. Dostrzegłem także cmentarz, na brzegu rzeczki, ze świetnymi pomnikami z marmuru, na których widniały francuskie nazwiska. Gdy bardzo wolno przejeżdżaliśmy obok, miałem czas, by mu się przyjrzeć i pomyśleć o ludziach, którzy przybyli, by żyć i umrzeć na owej dzikiej ziemi.

Opowiadam ci o owych rzeczach dla dwóch przyczyn, z których ważniejszą jest ta, iż zdaję sobie teraz sprawę, że rozsądek mój był w owym czasie uśpiony przez piękno, jakie oglądałem podczas owej podróży, przez ciężki wilgotny zmierzch i widok rozległych pól uprawnych; a także przez wyłoniony nagle przed moimi oczyma obraz domu Charlotte stojący na końcu brukowanej drogi, wspanialszy od wszystkiego, co dotąd widziałem.

Jest to olbrzymi dwór w kolonialnym stylu; chcę przez to powiedzieć, iż posiada ogromny spadzisty dach z licznymi mansardowymi oknami. Poniżej dachu rozciągają się przez całą długość budynku galerie, wsparte na kolumnach z cegły mułowej, pokrytych tynkiem w taki sposób, iż sprawiają one wrażenie marmurowych.

Wszystkie okna dworu, a jest ich wiele, są bardzo duże i dochodzą do samych podłóg; zdobią je intensywnie zielone drewniane okiennice, które

można zaryglować zarówno dla ochrony przed niepogodą, jak i zabezpieczając się przed wrogim atakiem.

Gdy zbliżyliśmy się do domostwa, zalała nas gwałtowna powódź światła. Nigdy nie widziałem takiej mnogości świec, nawet na dworze francuskim. Na gałęziach drzew zawieszono latarnie. Gdy podjechaliśmy bliżej, ujrzałem, iż wszystkie okna są szeroko otwarte na galerie, zarówno dolną jak i górną. Dzięki temu mogłem przez nie dojrzeć wspaniałe kandelabry i sprzęty, migocące w ciemnościach różnobarwne refleksy zbytkownych przedmiotów.

Tak bardzo oszołomiło mnie to wszystko, iż wzdrygnąłem się dostrzegłszy nagle panią owego dworu, która wyszła do bram ogrodu, by mnie powitać i stała tam, czekając, pośród kwiatów; miała na sobie atłasową suknię koloru cytryn podobną do otaczających ją kwiatów; oczy w młodzieńczej i delikatnej twarzy mierzyły mnie surowym i zimnym wzrokiem. Czyniła wrażenie, jeżeli możesz to sobie przedstawić, wyrosniętej zagniewanej dziewczynki.

Gdy przy pomocy lokaja wyostałem się z karety i stanąłem na purpurowych płytach kamiennego chodnika, podeszła bliżej; i dopiero wówczas spostrzegłem, iż jest jak na niewiastę, wyjątkowo wysokiego wzrostu, chociaż mimo wszystko dużo niższa ode mnie.

Jasnowłosa piękność – taką wydałaby się każdemu, kto by ją ujrzał; lecz wszelkie opisy jej urody, które przedtem słyszałem, nie zdołały mnie przygotować na widok, jaki miałem teraz przed oczyma. Ach, gdyby Rembrandt kiedykolwiek był ją widział, bez wątpienia zechciałby ją malować. Jakże młoda; lecz jakby wykuta z twardego metalu. Odziana była wielce bogato; jej suknia, ozdobiona perłami i koronkami, odsłaniała raczej niż zakrywała wysokie, pełne piersi – rzekłbyś, iż była półnaga – a kształt jej ramion w obcisłych, przybranych koronką rękawach zaiste był doskonały.

Ach, zatrzymuję się przy owych szczegółach, bowiem pragnę pojąć mą własną słabość, a także otrzymać Twe wybaczenie. Jestem szalony, Stefanie, szalony z powodu tego, co uczyniłem. Lecz proszę, gdy Ty i inni będziecie mnie

osądzać, weźcie pod uwagę wszystko, co tu napisałem.

Zdało się, iż, gdy tak stanęliśmy twarzą w twarz, coś cichego i przerażającego przemknęło pomiędzy nami. Owa niewiasta o twarzy słodkiej i młodzieńczej, o niemal nieprawdopodobnie delikatnych policzkach i ustach oraz ogromnych, niewinnych, błękitnych oczach badała mnie wzrokiem, jakby kryła się w niej zupełnie inna dusza, stara i mądra. Jej piękność rzuciła na mnie czar. Gapiłem się głupio na jej długą szyję, doskonały ukos ramion i znowu, na kształtne ręce.

Uderzyła mnie niemądra myśl, iż byłoby słodko dotknąć jej miękkich ramion. I zdało mi się, że przypatruje mi się zupełnie tak samo, jak jej matka przed wielu laty, w szkockiej gospodzie, gdy toczyłem walkę z demonem jej piękności, by nie rzucić się na nią i nie wziąć jej siłą.

– Petyrze van Ablu – odezwała się do mnie po angielsku, z lekkim szkockim akcentem. – Więc oto przybyłeś. – Przysięgam Ci, Stefanie, to był młodzieńczy głos Debory. Jakże często musiały mówić ze sobą po angielsku, był to przecież ich sekretny język.

– Dziecko moje – odrzekłem – dziękuję ci, iż mnie przyjąłeś. Odbylem długą podróż, by cię zobaczyć; nic jednak nie zdołałoby mnie od tego powstrzymać.

Przez cały ten czas chłodno mierzyła mnie wzrokiem, zupełnie jakbym był niewolnikiem wystawionym na sprzedaż, i nie próbowała nawet ukryć swego uznania, choć ja, z wielkim wysiłkiem, starałem się ukryć moje. Byłem wstrząśnięty, ujrawszy jak bardzo jej wąski nos i głęboko osadzone oczy przypominają me własne. Pełne policzki zupełnie takie jak moje. I te włosy – chociaż była to pyszna grzywa bladego złota, zaczesana do tyłu nad czołem i spięta wspaniałym, wysadzonym drogimi kamieniami grzebieniem – miały taką samą barwę i opadały takimi samymi falami jak moje.

Ogarnął mnie ogromny smutek. Patrzyłem na swą córkę. Wiedziałem, iż nią jest. I znowu powrócił do mnie ów straszliwy żal, który poznałem w Montecleve. I znowu widziałem Deborę, rozbitą laleczkę z białego wosku,

leżącą na kamieniach przed kościołem świętego Michała.

Być może Charlotte dzieliła mój smutek, bowiem cień przemknął przez jej oblicze i zdało się, gdy przemówiła do mnie, iż za wszelką cenę pragnie zwalczyć owo uczucie.

– Jesteś równie urodziwy, jak mówiła mi matka – rzekła niemal szeptem, jakby w zamyśleniu, ledwie dostrzegalnie unosząc jedną brew. – Wysoki, prosty, silny i w pełni zdrowia, prawda?

– Mon Dieu, pani. Cóż za niezwykle słowa – odrzekłem. Roześmiałem się z zażenowaniem. – Nie potrafię zgadnąć, czy schlebiasz mi tylko, czy nie.

– Podoba mi się twój wygląd – rzekła. I przedziwny uśmiech pojawił się na jej twarzy, wielce mądry i pogardliwy, a zarazem pełen dziecięcej słodyczy. Leciutko zagryzła usta, z goryczą, tak jak mogłoby to uczynić dziecko, niemal je odymając; i zdało mi się to niewypowiedzianie urocze. A w następnej chwili wydawała się przypatrywać mi w zapamiętaniu, w końcu rzekła:

– Pójdź ze mną, Petyrze van Ablu. Powiedz mi, co wiesz o mej matce, i o jej śmierci. Lecz, jakikolwiek jest twój cel, nie kłam.

Teraz wydawała się wielce bezbronna, jakbym mógł ją zranić bez uprzedzenia, i jakby spodziewała się tego i obawiała. Jakże wielką czułość miałem dla niej w swym sercu.

– Przybyłem tutaj, by powiedzieć całą prawdę – odrzekłem. – Czy nie słyszałaś o niczym?

Milczała, a potem rzekła chłodno: „Nic”, skłamała. I widziałem, iż przygląda mi się w ten sam sposób, w jaki ja przyglądałem się wielu ludziom, próbując wydrzeć im ich sekretne myśli.

Poprowadziła mnie w stronę domu; gdy podałem jej ramię, skłoniła nieznacznie głowę. Oszalała mnie gracja jej ruchów i dotyk spódnicy, ocierających się o mą nogę. Nie spojrzała nawet na niewolników stojących po obu stronach ścieżki; był ich tam cały regiment i wszyscy trzymali latarnie oświetlające naszą drogę. W ciemności za nimi majaczyły się jasne kwiaty i

potężne drzewa rosnące przed domem.

Gdy doszliśmy do frontowych schodów dworu, skręciła w bok i kamiennym chodnikiem powiodła mnie do drewnianej ławki ukrytej pośród drzew.

Usiadłem na jej rozkaz. Otoczyła nas ciemność, jedynie tu i ówdzie rozjaśniana jaskrawożółtym blaskiem latarni; także dwór błyszczał oślepiającą powodzią światła.

– Powiedz mi, od czego mam rozpocząć swą opowieść, madam – rzekłem. – Jestem do twych usług. W jaki sposób chcesz to usłyszeć?

– Wprost – odpowiedziała, znowu mierząc mnie wzrokiem. Siedziała spokojnie, lekko zwrócona w moją stronę, z dłońmi złożonymi na podołku.

– Nie umarła w płomieniach. Rzuciła się z wieży kościoła i zginęła, rozbiwszy się o kamienie.

– Och, Bogu dzięki za to, iż słyszę to z ludzkich ust – wyszeptała.

Przez chwilę rozważałem słowa Charlotte. Czy chciała przez to powiedzieć, iż ów demon, Lasher, mówił jej o tym, lecz nie dała mu wiary? Wydawała się wielce strapiona i nie byłem pewien, czy powinienem kontynuować. A jednak zacząłem mówić dalej:

– Potężna burza rozpętała się nad Montecleve – rzekłem. – Na wezwanie Debory. Twoi bracia zginęli, podobnie jak i stara komtessa.

Nic nie odrzekła, patrzyła jedynie przed siebie wzrokiem ciężkim od smutku, a może także i od rozpacz. Jakże dziewczęco wyglądała, zupełnie nie jak dojrzała niewiasta.

Ciągnąłem swe opowiadanie, cofnąwszy się w mej relacji do momentu, w którym przybyłem do owego miasta i spotkałem tam jej matkę; mówiłem o wszystkim, co Debora rzekła mi o Lasherze; jak sprowadził on bez jej wiedzy śmierć na komta i jak zganiła go za to; i co demon rzekł w swej obronie. Dodałem, iż pragnieniem Debory było, by Charlotte dowiedziała się o tym i została ostrzeżona.

Twarz dziewczyny spochmurniała, gdy słuchała mych słów; jednak wciąż

nie chciała spojrzeć w mą stronę. Wyjaśniałem, co moim zdaniem, oznaczały przestrogi jej matki; i dalej, co sam myślałem o owej istocie; i że nigdy żaden czarnoksiężnik nie wspominał o duchu, który potrafiłby się uczyć.

Wciąż nie poruszyła się, ani nie wypowiedziała żadnego słowa; oblicze Charlotte pociemniało; zdawało się, iż od szalonego gniewu. W końcu, gdy spróbowałem dalej o tym mówić, rzekłszy, iż wiem wiele o duchach, przerwała mi:

– Przestań. I nigdy nie wspominaj o tym nikomu.

– Nie będę – odrzekłem pospiesznie. Zacząłem opowiadać, co wydarzyło się po moim spotkaniu z Deborą i opisywać ze szczegółami ów tragiczny dzień, pomijając jedynie, iż to ja przyczyniłem się do śmierci Louviera. Powiedziałem jedynie, iż zginął.

W tym momencie odwróciła się nagle w mą stronę i z ponurym grymasem na twarzy zapytała:

– A w jaki sposób zginął, Petyrze van Ablu? Czy nie zrzuciłeś go z dachu?

Jej uśmiech był chłodny i gniewny; nie potrafiłem jednak zgadnąć, czy ja byłem przyczyną jej gniewu, czy może wszystko, co się wydarzyło. Wydało mi się, iż broni w ten sposób swego demona, sądząc, że znieważylem go swymi słowami i pragnie odpłacić mi owym oskarżeniem; bowiem z pewnością on właśnie powiedział jej, co uczyniłem w Montecleve. Lecz nie mam pojęcia, czy ów domysł jest słuszny. Wiem jedynie, iż myśl, że zna ona mą zbrodnię, przeraziła mnie nieco; bardziej może, niż chciałbym to przyznać.

Nie odpowiedziałem na jej pytanie. Milczała przez długą chwilę. Wydawało mi się, iż wybuchnie płaczem, lecz nie uczyniła tego. W końcu wyszeptała:

– Myślą, iż zdradziłam mą matkę. Wiesz, że to nieprawda!

– Tak, madam – odrzekłem. – Twa matka odesłała cię tutaj.

– Rozkazała mi opuścić Montecleve! – W jej głosie brzmiała rozpacz. – Rozkazała! – Przerwała, by złapać oddech. – „Odejdź, Charlotte”, powiedziała, „bowiem jeżeli przyjdzie mi oglądać twą śmierć przed mą własną, lub jeśli

mamy umrzeć razem, me życie jest nic nie warte. Nie chcę, byś tu pozostała. Jeżeli mam zginąć w płomieniach, nie zniosę byś na to patrzyła lub cierpiała wraz ze mną.” Uczyniłam więc, co mi kazała.

Jej usta znowu wykrzywiły się w ów szczególny sposób, lekko się odymając, i po raz kolejny wydawało się, iż zacznie płakać. Lecz zacisnęła tylko zęby; jej oczy rozszerzyły się, gdy myślała o tym wszystkim; i znowu wpadła w gniew.

– Miłowałem twą matkę – rzekłem.

– Tak, wiem – odpowiedziała. – Wszyscy zwrócili się przeciw niej, nawet jej małżonek i moi bracia.

Nie uszło mej uwagi, iż komta nie nazwała swym ojcem, lecz w żaden sposób nie zareagowałem. Nie wiedziałem, czy w ogóle powinienem mówić cokolwiek na ów temat.

– Cóż mogę rzec, by uspokoić twe serce? – zapytałem. – Ponieśli karę. Nie cieszą się życiem, które odebrali Deborze.

– Och, dobrze to ująłeś.

Uśmiechała się do mnie z goryczą, lekko zagryzając usta; jej twarz zdała mi się delikatna i krucha, jak coś co łatwo mógłbym zniszczyć, pochyliłem się i pocałowałem Charlotte; przyjęła mój pocałunek, spuszczaając oczy.

Zdało mi się, iż wprawilo ją to w zmieszanie. Ja również czułem się zakłopotany, bowiem odkryłem, iż dotykać ustami jej ciała jest niewypowiedzianie słodko; czuć zapach młodszej skóry, mieć tak blisko siebie jej piersi; właściwie byłem w stanie całkowitej konsternacji. Rzekłem pospiesznie, iż pragnąłbym mówić dalej o owym duchu, bowiem skupienie się na tej sprawie zdało mi się jedynym wybawieniem.

– Muszę uczynić ci wiadomym, co myślę o owym demonie i związanych z nim niebezpieczeństwach. Wiesz z pewnością, w jakich okolicznościach poznałem twą matkę. Czyż nie opowiedziała ci o wszystkim?

– Wystawiasz na próbę mą cierpliwość – rzekła nagle. Spojrzałem na nią i zobaczyłem, iż znowu wpadła w gniew.

– Co masz na myśli?

– Wiesz o sprawach, które pragnęłabym przed tobą ukryć.

– Co powiedziała ci twa matka? – spytałem. – To właśnie ja wywozłem ją z Donnelaith.

Przez chwilę rozważała me słowa, lecz jej gniew nie ostygł.

– Odpowiedz mi – rzekła – czy wiesz w jaki sposób moja babka zdołała wywołać swego demona, jak go nazywasz?

– Księga, którą pokazał jej inkwizytor, podsunęła jej ową myśl. Nauczyła się tego wszystkiego od sędziego czarownic, bowiem przedtem była jedynie znachorką i akuszerką, jak wiele innych niewiast.

– Och, lecz mogłaby być czymś więcej. Wszystkie jesteśmy czymś więcej, niż się wydajemy. Uczymy się tylko tego, co jest nam potrzebne. Gdy tylko pomyślę, kim stałam się tutaj, opuściwszy dom mej matki, tak – dom Debory Mayfair. To jej złoto zapłaciło za sprzęty i dywany, którymi przykryto kamienne podłogi, i za drewno, potrzebne do palenia w kominkach.

– Mieszczanie gadali, że komt, gdy ją spotkał, nie posiadał nic, prócz swego tytułu.

– Tak, i prócz długów. Lecz to już przeszłość. Jest teraz martwy. I wiem, iż powiedziałeś mi wszystko, co mówiła ma matka. Nie kłamałeś. Zdziwiałam tylko, iż pragnę opowiedzieć ci o tym, czego nie wiesz i nie potrafiłbyś odgadnąć. I myślę o wyznaniu matki, iż mogła ci opowiedzieć wszystko.

– Rad jestem, iż tak sądziła. Nigdy jej nie zdradziłem.

– Zdradziłeś ją dla swego Zgromadzenia. Dla Talamaski.

– Ach, nie możesz tego nazwać zdradą.

Odwróciła się w drugą stronę.

– Ma najdroższa Charlotte – rzekłem do niej. – Miłowałem twą matkę, wiesz o tym. I błagałem ją, by się strzegła owego ducha i jego mocy. Nie chcę powiedzieć, iż przewidziałem to, co się wydarzyło, bo byłaby to nieprawda. Lecz lękałem się o Deborę. Lękałem się, z powodu jej ambicji, by posłużyć się

demonem dla osiągnięcia własnych celów...

– Nie chcę więcej tego słuchać – znowu była pełna gniewu.

– Co chcesz, bym uczynił? – zapytałem.

Rozmyślała przez chwilę, lecz najwyraźniej nie nad moim pytaniem, bowiem rzekła:

– Nigdy nie będę cierpieć, tak jak ma matka, a przed nią jej matka.

– Modłę się o to. Przepląnąłem przez ocean, aby...

– Ach, twe ostrzeżenia ani twa obecność nie mają tu nic do rzeczy. Nie będę cierpieć w taki sposób. W sercu mej matki tkwił jakiś smutek, niewidzialna zadra, nigdy nie wyleczona rana z czasów młodości.

– Pojmuję.

– We mnie nie ma nic takiego. Byłam już dojrzałą niewiastą, gdy rozegrała się ta tragedia. Widziałam też zupełnie inne nieszczęścia i ty też je ujrzysz dzisiejszego wieczoru, gdy spotkasz mego małżonka. Żaden lekarz, ani żadna znachorka, nikt w całym świecie nie zdoła go uleczyć. I mam z nim tylko jednego zdrowego syna, a to o wiele za mało.

Westchnąłem.

– Lecz chodź teraz, później pomówimy jeszcze.

– Tak, proszę, musimy dokończyć rozmowę.

– Czekają na nas – wstała, a ja wraz z nią. – Nie wspominaj o mej matce w obecności innych. Nie mów niczego. Przybyłeś, by się ze mną zobaczyć...

– Gdyż jestem kupcem zamierzającym otworzyć swe przedstawicielstwo w Port-au-Prince i pragnę zasięgnąć twej rady w owej sprawie.

Skinęła głową ze znużeniem.

– Im mniej będziesz mówił, tym lepiej. – Odwróciła się i ruszyła w kierunku schodów.

– Charlotte, nie zamykaj przede mną swego serca – rzekłem do niej, próbując ująć drobną dłoń.

Zesztywniała, i przybrawszy natychmiast fałszywy uśmiech, niezwykle

słodki i bardzo spokojny, poprowadziła mnie po niskich schodach ku głównym pomieszczeniom dworu.

Czułem się nędznie, możesz to sobie przedstawić. Jak miałem pojąć usłyszane przed chwilą dziwne słowa? Jej zachowanie zbijało mnie z tropu, bowiem w jednej chwili zdawała się być dzieckiem, a zaraz w następnej dojrzałą kobietą. Nie wiedziałem, czy w ogóle zamierza poddać rozwadze moje, a raczej Debory ostrzeżenia. Czyżbym dodał zbyt wiele od siebie?

– Madam Fontenay – odezwałem się, gdy wspiąwszy się na szczyt schodów stanęliśmy przed drzwiami domostwa. – Musimy jeszcze pomówić. Czy mam na to twą obietnicę?

– Gdy położą mego małżonka do łoża – odrzekła – zostaniemy sami.

Wypowiadając ową frazę patrzyła prosto w me oczy; obawiam się, iż oblałem się rumieńcem; lecz zauważyłem, że jej krągłe policzki również pociemniały i znowu odęła nieco dolną wargę w ów charakterystyczny sposób, i uśmiechnęła się swawolnie.

Weszliśmy do głównej sieni, bardzo przestronnej – choć to nie mogącej się równać z pomieszczeniami francuskiego zamku – i ozdobionej wyszukаныmi stiukami; we wspaniałych kandelabrach płonęły świece z czystego wosku; drzwi w przeciwległym końcu sieni otwarte były na tylną galerię, poza którą, w świetle zawieszonych na gałęziach drzew – podobnie jak w ogrodzie przed domem – latarni, majaczył się brzeg urwiska; i bardzo wolno począłem pojmować, iż szum, który słyszałem, to nie wiatr, lecz łagodna muzyka morza.

Z sali jadalnej, położonej po prawej stronie sieni i zajmującej całą szerokość budynku, rozciągał się jeszcze wspanialszy widok na urwisko i czarną otchłań oceanu; przyjrzałem się im, postępując za Charlotte. Na wodach wciąż jeszcze igrała resztką dziennego światła; inaczej nie byłbym w stanie nic dostrzec. Komnatę wypełniał wielce czarowny szum morza i ciepły, wilgotny powiew.

Sama sala była niezwykle okazała; proste kolonialne wnętrza zdobiły sprowadzone z Europy sprzęty. Stół był przykryty najświetniejszym płótnem i

zastawiony ciężką, wykwintnie rzeźbioną zastawą.

Nie wszędzie w Europie widywałem równie wspaniałe srebra; misterne okucia zdobiły ciężkie świeczniki. Przy każdym nakryciu leżała przybrana koronką serwetka; wyściełane krzesła pokrywał najdoskonalszy aksamit obficie obszyty frędzlą, a nad stołem zawieszono na zawiasie wielki kwadratowy wachlarz z drewna, poruszany za pomocą sznura, przeciągniętego przez haki powbijane w suficie i w dół, wzdłuż ściany; a koniec sznura trzymał w ręku mały Murzynek, siedzący w dalekim kącie komnaty.

Dzięki ruchom wachlarza i licznym pootwieranym drzwiom, komnatę wypełniał przyjemny chłód i słodki aromat; jednak płomyki świec z trudem walczyły o przetrwanie. Ledwo posadzono mnie w krzesło, na lewo od szczytu stołu, weszli liczni niewolnicy, odziani w przepyszne jedwabie i koronki przywiezione z Europy, i poczęli stawiać na stole półmiski. W tej samej chwili pojawił się młody małżonek, o którym tak wiele słyszałem.

Trzymał się prosto i przesuwiał po posadzce swe bezwładne stopy; jednak w rzeczywistości cały ciężar jego ciała podtrzymywał ogromny, potężnie umięśniony czarny mężczyzna, otaczający ramieniem talię swego pana. Ręce kaleki wydawały się równie słabe jak nogi; nadgarstki były wykręcone, a palce zwisały bezsilnie. A jednak zobaczyłem w nim przystojnego mężczyznę.

Nim jego choroba poczyniła postępy, musiał być obiecującą figurą w Wersalu, gdzie zdobył swą oblubienicę. I nawet teraz, w świetnie skrojonych książęcych szatach, z klejnotami na palcach i z głową przyozdobioną ogromną i przepiękną paryską peruką, zaprawdę, wyglądał wspaniale. Jego przenikliwe oczy miały barwę intensywnej szarości, usta były szerokie i cienkie, a podbródek mocno zarysowany.

Posadzony w krzesło, spróbował przesunąć się do tyłu, jakby chcąc znaleźć wygodniejszą pozycję; lecz gdy nie zdołał osiągnąć zamierzonego celu, potężny niewolnik podniósł go i umieścił na siedzeniu w odpowiedni sposób; następnie zajął miejsce za plecami swego pana.

Charlotte usiadła nie u szczytu stołu, lecz po prawej stronie swego małżonka, naprzeciwko mnie, tak iż mogła karmić go i służyć wszelką pomocą. Zjawiły się następne dwie osoby, bracia, jak szybko to pojąłem, Pierre i Andre; obaj nietrzeźwi i pełni tępego pijackiego humoru; a następnie cztery damy, odziane z wyszukaną elegancją; dwie młode i dwie stare, zdaje się, iż kuzynki stale rezydujące na dworze; starsze siedziały w milczeniu, wyjąwszy sporadyczne, zakłopotane pytania, bowiem obie nie dosłyszały i w ogóle były nieco zgrzybiałe; młodsze miały już za sobą wiosnę życia, wciąż jednak odznaczały się wigorem i wykwiłtnymi manierami.

Tuż przed podaniem wieczerzy zjawił się doktor – właśnie przyjechał był konno z sąsiedniej plantacji – raczej niemłody, zamroczony alkoholem jegomość, ubrany, tak jak ja, w ponurą czerń; natychmiast poproszono go, by przyłączył się do towarzystwa, zasiadł więc do stołu i jął potężnymi haustami popijać wino.

Towarzystwo było więc w komplecie; za krzesłem każdego z nas stał niewolnik, którego zadaniem było nakładać na talerz potrawy z ustawionych na stole półmisek i napełniać winem kielich, gdy tylko wypiliśmy choćby małe łyżeczki.

Młody małżonek przemawiał do mnie niezwykle uprzejmie i od razu stało się jasne, iż choroba w najmniejszym stopniu nie dotknęła jego umysłu i że nadal raduje go dobre jedzenie, które podawali mu oboje, małżonka i Reginald; Charlotte podnosiła do jego ust łyżkę, Reginald łamał chleb. Zaiste, nie było najmniejszej wątpliwości, iż mąż ów nadal odczuwa żądzę życia. Uczynił uwagę, iż wino jest wyśmienite i że mu wielce smakuje, i bawiąc grzeczną rozmową całe towarzystwo, skonsumował dwa talerze zupy.

Potrawy było bogato przyprawione i wybornie przyrządzone: zupa z duszonych owoców morza z dużą ilością pieprzu; mięsiwa garniowane smażonymi słodkimi ziemniakami i bananami, ryżem i fasolą oraz innymi wybornymi rzeczami.

Wszyscy, z wyjątkiem starych niewiast, konwersowali z ożywieniem; jednak i one zdawały się wesołe i zadowolone.

Charlotte mówiła o pogodzie i o sprawach plantacji; i że małżonek musi koniecznie towarzyszyć jej w jutrzejszej przejażdżce, by obejrzeć zbiory; i że młoda niewolnica, którą zakupiono poprzedniej zimy, coraz lepiej radzi sobie z szyciem, i o tym podobnych rzeczach. Gawędzono głównie po francusku; Antoine rozprawiał z ożywieniem, zadając mi wiele uprzejmych pytań o warunki podróży; czy podoba mi się Port-au-Prince; jak długo zechcę u nich gościć i czyniąc inne grzeczne uwagi o przyjazności owego kraju; i jak pomyślnie rozwija się Maye Faire; i że mają zamiar kupić przyległą plantację, kiedy tylko obecny właściciel, rozpustnik i karciarz, zdecyduje się ją sprzedać.

Jedynie pijani bracia okazywali skłonność do kłótni i kilka razy uczynili szydercze uwagi, bowiem najmłodszemu, Pierrowi, pozbawionemu urody swego chorego brata, wydawało się, iż posiadają już dosyć ziemi i nie potrzebują sąsiedniej plantacji, i że Charlotte wie więcej o sprawach plantatorów, niż przystoi niewieście.

Wypowiedź wzbudziła hałaśliwy aplauz owego okropnego Andre, który miał cały gors koszuli uwalany jedzeniem; jadł, napychając usta i zostawiał tłusty ślad na kielichu z winem. Był on za tym, by natychmiast po śmierci ojca sprzedać cały majątek i powrócić do Francji.

– Nie wspominajcie o jego śmierci! – zażądał najstarszy, kaleki Antoine. Odpowiedziały mu szyderstwa.

– A jakże czuje się on dzisiaj? – zapytał doktor czkając. – Lękam się pytać, czy ma się lepiej, czy gorzej.

– Czegóż można oczekiwać? – odrzekła jedna z kuzynek, która niegdyś musiała być pięknością i wciąż jeszcze przyjemnie było na nią patrzeć; rzecz można, iż była przystojna. – Zdziwiłoby mnie, gdyby odezwał się był dzisiaj choć jednym słowem.

– Czemuż nie miałby się odzywać? – spytał Antoine. – Umysł jego jest taki

sam jak zawsze.

– I jak zawsze – dodała Charlotte – rządzi pewną ręką.

Rozpętała się istna słowna potyczka; wszyscy mówili równocześnie, a jedna ze słabowitych starych dam domagała się głośno, by objaśniono ją, w czym rzecz.

W końcu druga z owych wiekowych niewiast, istna starucha, dziobiąca przez cały czas na brzeżku swego talerza z niewzruszoną koncentracją owada, niespodzianie uniosła głowę i wrzasnęła na braci – pijaków: „Żaden z was nie nadaje się do prowadzenia plantacji!”; na co obaj pijani obwiesie odpowiedzieli hałaśliwym śmiechem; młodsze damy przyglądały się owej scenie z wielką powagą, lękliwie omijając wzrokiem Charlotte i łagodnie spoglądając na jej niemal sparaliżowanego, bezużytecznego małżonka, którego dłonie, niby martwe ptaki, leżały po bokach talerza.

Wtedy stara kobieta, wyraźnie zadowolona z reakcji na jej słowa, wydała następne oświadczenie. „To Charlotte tutaj rządzi!” Wywołało to jeszcze więcej strachliwych spojrzeń niewiast, więcej rechotu i drwin ze strony pijanych braci; kaleki Antoine uśmiechał się tylko ujmująco.

Ów biedak wielce był poruszony, właściwie począł wręcz drzeć, lecz Charlotte pospiesznie jęła mówić o przyjemniejszych sprawach. Znowu przyszło mi odpowiadać na pytania o mą podróż, o życie w Amsterdamie i obecny stan spraw mających związek z importem kawy i indygo; i usłyszałem, iż szybko bym się poczuł wielce znużony życiem na plantacji, bowiem nikt nie robił tu nic innego, jak tylko jadł, pił i gonił za przyjemnościami; i dalej w tym tonie, aż w końcu Charlotte przerwała łagodnie, polecając czarnemu niewolnikowi, Reginaldowi, by poszedł po starego pana i zniósł go na dół.

– Rozmawiałam z nim dzisiaj, przez cały dzień – rzekła cicho do zebranych przy stole, z nieuchwytnym wyrazem triumfu na twarzy.

– Zaiste, cud! – oświadczył pijany Andre, który jadł teraz w sposób wyjątkowo niechlujny, nie uciekając się do pomocy noża i widelca.

Stary doktor patrzył na Charlotte zwężonymi oczyma, nie zwracając zupełnie uwagi na jedzenie spływające po jego koronkowej kryzie, ani na wino wylewające się z kielicha, który trzymał w niepewnej dłoni. Wielce było prawdopodobne, iż zaraz go upuści. Młody niewolnik, stojący za jego krzesłem, przyglądał się temu z niepokojem.

– Co masz na myśli, pani, mówiąc, iż rozmawiałaś z nim przez cały dzień? – zapytał doktor. – Gdy widziałem go ostatnio, był pogrążony w letargu.

– Jego stan zmienia się bezustannie – odrzekła jedna z kuzynek.

– Nigdy nie umrze! – ryknęła starucha, znowu zajęta dziobaniem.

I wtedy do komnaty wszedł Reginald, niosąc wysokiego, siwowłosego mężczyznę, niemiłosiernie wychudzonego; jedno jego ramię przerzucone było przez szyję niewolnika, a głowa zwisała bezsilnie, chociaż bystre oczy lustrowały kolejno wszystkich obecnych.

Posadzono go w fotelu, u szczytu stołu; szkielet zaledwie; przywiązano go jedwabnymi szarfami, nie mógł bowiem siedzieć prosto o własnych siłach. Niewolnik, Reginald, który wydawał się być w owych sprawach prawdziwym artystą, uniósł w górę podbródek starca, nie będącego w stanie samodzielnie poruszać głową.

Natychmiast wiekowe kuzynki poczęły świergotać, jak to wielce są rade widzieć go znowu w tak dobrym zdrowiu. Lecz w istocie były zadziwione jego widokiem, podobnie zresztą doktor; a gdy starzec przemówił, zdumiałem się i ja.

Jedna z jego dłoni uniosła się ze stołu gwałtownym, wiotkim ruchem i zaraz, z traskiem, osunęła się na powrót. W tej samej chwili otworzyły się usta, chociaż twarz pozostała zupełnie gładka, jedynie dolna szczęka opadła w dół, do zgromadzonych dotarł głuchy, matowy głos.

– Daleko mi jeszcze do śmierci i nie chcę o niej słyszeć! – i znowu bezsilna dłoń uniosła się spazmatycznie i spadła z łoskotem.

Charlotte przyglądała się temu zwężonymi, błyszczącymi oczyma. Zaiste, po

raz pierwszy widziałem ją skupioną; każdą cząstkę swej uwagi skoncentrowała na twarzy starca i jego dłoni.

– Mon Dieu, Antoine – wykrzyknął doktor. – Nie możesz nas winić za to, iż martwimy się o ciebie.

– Mój umysł jest taki, jak zawsze! – oświadczył ów cień człowieka tym samym, matowym głosem i powoli odwróciwszy głowę, jakby była ona uczyniona z drewna i obracała się z chrzęstem w łożysku, spojrzął z lewa na prawo, potem na Charlotte, którą obdarzył swym krzywym uśmiechem.

Dopiero teraz, pochyliwszy się do przodu, by ująć oślepijącemu światłu stojących obok świec, spostrzegłem, iż oczy starca nabiegły krwią, twarz robiła wrażenie wykutej z lodu, a rysujące się na niej uczucia były jakoby pęknięcia na lodowej skorupie.

– Pokładam w tobie ufność, ma ukochana synowo – zwrócił się do Charlotte. I tym razem zupełny brak modulacji jego głosu zaowocował zgrzytliwym hałasem.

– Tak, mon pere – odrzekła Charlotte ze słodyczą. – Zapewniam cię, iż nie zabraknie ci mej opieki.

Powiedziawszy to przysunęła się bliżej do Antoina i uścisnęła lekko bezwładną dłoń małżonka, który wpatrywał się w ojca podejrzliwie i z lękiem.

– Lecz ojcze, powiedz mi, czy cierpisz? – zapytał naraz miękko.

– Nie, mój synu – odrzekł starzec. – Żadnego bólu, nigdy. Zabrzmiało to nie tylko jak odpowiedź, lecz jak i zapewnienie, bowiem owa scena z pewnością zdała się jego synowi prorocstwem. A może rzeczywiście nim była?

Gdy tak patrzyłem na ową kreaturę, przyglądałem się, jak obraca głowę zupełnie jakby lalka złożona z drewnianych części, pojąłem, iż to nie ów człowiek przemawia do nas, lecz coś ukrytego w jego wnętrzu, co wzięło go w posiadanie; i w owej chwili zrozumienia ujrzałem prawdziwego Antoina Fontenay, uwięzionego w swym ciele, niezdolnego już władać swymi strunami głosowymi, i spoglądającego na mnie z ogromnym przerażeniem.

Nie był już niczym więcej niż tylko ciałem, a jednak dostrzegłem go. W tej samej chwili obróciłem się ku Charlotte i ujrzałem, iż przygląda mi się chłodno, prowokująco, jakby rzucając wyzwanie, bym przyjął do wiadomości to, co spostrzegłem; starzec także wciąż nie spuszczał ze mnie wzroku; i nagle, zupełnie nieoczekiwanie, ku powszechnemu przerażeniu wybuchnął rehotliwym śmiechem.

– Och, na miłość Boga, Antoine! – zakrzyknęła przystojna kuzynka.

– Ojczy, wypij trochę wina – rzekł słabowity pierworodny. Czarny Reginald sięgnął po szklanicę, lecz starzec uniósł nagle obie ręce i z łoskotem opuścił je na stół, po czym powtórzył ruch; jego oczy rzucały wokół ognie; tym razem ujął kielich pomiędzy dłonie, jakby pomiędzy zwierzęce łapy; i uniósłszy go w górę, chlusnął sobie w twarz całą zawartością, tak iż spłynęła w dół, do ust i na podbródek.

Towarzystwo było przerażone. Czarny Reginald także. Tylko Charlotte, ujrawszy ową sztuczkę, zdobyła się na zimny, twardy jak stal uśmiech i rzekła:

– Dobry ojczy, pora byś udał się na spoczynek – i powstała od stołu.

Reginald rzucił się, by złapać szklanicę, bowiem starzec wypuścił ją z rąk, które znowu z hukiem uderzyły o stół. Lecz kielich upadł i wino wylało się na obrus.

Jeszcze raz otworzyły się usta, jakoby szczelina w lodowej skorupie, i głuchy głos przemówił:

– Jestem znużony konwersacją. Odejdę teraz.

– Tak, do łoża – rzekła Charlotte, podchodząc do jego krzesła – przyjdziemy później cię odwiedzić.

Czyż nikt poza mną nie dostrzegł przerażającej prawdy? Czy nikt nie zauważył, iż bezsilnymi członkami starego plantatora porusza moc demona? Wiekowe niewiasty w milczeniu patrzyły, wstrząśnięte, jak starca podnoszą z krzesła – jego podbródek opadł bezsilnie na pierś – i zabierają z komnaty. Reginald, wzięwszy całkowicie na siebie panowanie nad ciałem starca, poniósł

go do drzwi. Pijani bracia czynili wrażenie wściekłych i rozdrażnionych, a osłupiały doktor, opróżniwszy pospiesznie kolejną szklanicę, w milczeniu kręcił głową. Charlotte bez słowa przypatrywała się scenie wynoszenia teścia, po czym powróciła do swojego miejsca za stołem.

Nasze oczy spotkały się. Mógłbym przysiąc, iż w jej spojrzeniu była czysta nienawiść. Nienawiść za to, co wiedziałem. W zmieszaniu wypilem jeszcze jeden kielich wina, które było wyśmienite, chociaż począłem zdawać sobie sprawę z niezwyklej mocy trunku lub, może, własnej słabości.

Ciszę przerwała przyglucha niewiasta, owa podobna do owada, gromkim głosem zwracając się do wszystkich i do nikogo w szczególności:

– Lata całe nie widziałam, by poruszał rękoma w ten sposób.

– Ach, mówił, jakby czart w niego wstąpił – dodała przystojna kuzynka.

– Do diabła z nim, on nigdy nie umrze – wyszeptał Andre, i natychmiast zasnął, z twarzą w talerzu, a jego przewrócona szklanica potoczyła się po stole i w dół, na podłogę.

Charlotte, wciąż przyglądając się wszystkiemu z całkowitym spokojem, roześmiała się miękko i rzekła:

– Och, daleko mu do śmierci.

Wtem okropny dźwięk wystraszył wszystkich obecnych. Ze szczytu schodów, lub skądś bardzo blisko owego miejsca, doszła naszych uszu kolejna sakra ohydneho, przeraźliwie głośnego śmiechu starca.

Twarz Charlotte stężała. Delikatnie poklepała dłoń swego małżonka i opuściła komnatę w wielkim pośpiechu; zdążyła jednak, nim wyszła, rzucić mi spojrzenie.

W końcu stary doktor, tak już pijany, iż z ledwością tylko zdołałby podnieść się od stołu o własnych siłach – co już zresztą jakiś czas temu spróbował był uczynić, lecz rozmyślił się wówczas w pół gestu – oświadczył, że musi wracać do domu. W tej samej chwili przybyło dwóch nowych gości, wykwintnie odzianych Francuzów; przystojniejsza ze starszych kuzynek natychmiast do nich

podeszła, podczas gdy trzy pozostałe niewiasty wstały od stołu i wyszły z komnaty jadalnej; starucha mruczała pod nosem pełne potępienia wyrzuty i rzucała piorunujące spojrzenia w stronę śpiącego z twarzą w talerzu opoja. Drugi z braci podniósł się od stołu, by towarzyszyć pijanemu doktorowi i razem chwiejnym krokiem wytoczyli się na galerię.

Zostawszy sam z Antoinem i czeredą niewolników sprzątających ze stołu, zapytałem go, czyby nie zechciał wypalić wraz ze mną cygara, bowiem przywiozłem byłem dwa wielce wyśmienite z Port-au-Prince.

– Och, musisz spróbować mych własnych cygar z tytoniu, który uprawiam na swej plantacji – odrzekł.

Młody niewolnik przyniósł cygara i podał nam je, już zapalone; zajął potem miejsce za plecami swego pana, by wyjmować cygaro z jego ust i ponownie je w nich, we właściwym momencie, umieszczać.

– Musisz wybaczyć memu ojcu – odezwał się do mnie Antoine cichym głosem, jakby nie chciał, by niewolnik słyszał jego słowa. – Nadal ma zupełnie rzeński umysł. Owa choroba to straszliwa rzecz.

– Wyobrażani sobie – odrzekłem. Z saloniku po drugiej stronie sieni dochodził nas śmiech i ożywiona rozmowa; tam właśnie zapewne ulokowały się kuzynki w towarzystwie przybyłych gości i być może także trzeźwiejszego z braci oraz doktora.

W tym samym czasie dwóch czarnych chłopców podjęło próbę podźwignięcia tego z braci, który zasnął był upadłszy twarzą w talerz; lecz ów zniecka poderwał się na równe nogi, wojowniczo usposobiony i wielce oburzony, i zdzielił jednego z chłopców tak, iż ten począł płakać.

– Nie bądź głupcem, Andre – rzekł Antoine ze znużeniem. – Podejdz tutaj, mój mały.

Niewolnik usłuchał polecenia, a pijany braciszek wypadł z komnaty, jakby czart w niego wstąpił.

– Wyjmij monetę z mej kieszeni – rzekł pan. Służący, wyraźnie dobrze już

obeznany z owym zwyczajem, posłuchał; jego oczy zabłyśły, gdy spojrzął na otrzymaną nagrodę.

W końcu powrócił Reginald oraz pani domu, niosąca na ręku niemowlę o różanych policzkach; za nimi trzepotały dwie niańki – Mulatki, przerażone, jakby dziecię było uczynione z porcelany i lada moment, upuszczone, miało się rozbić o podłogę.

Roześmiane jagniątko kopało nóżkami, najwyraźniej uradowane widokiem swego ojca. Ach, cóż to było za smutne widowisko; ojciec jego nie był nawet w stanie unieść swych żalonych dłoni.

Mimo to śmiał się do pociechy. Na moment położyli dziecko na podolku ojca, a on nachylił się i ucałował maleńką, jasną główkę.

Niemowlę nie zdradzało najmniejszego znaku ułomności, lecz idę o zakład, iż podobnie musiało być w tak młodym wieku z Antoinem. Ach, i z pewnością odziedziczyło swą urodę zarówno po matce, jak i po ojcu, bowiem było to najładniejsze dzieciątko, jakie kiedykolwiek dane mi było oglądać.

W końcu pozwolono niańkom – Mulatkom – obie były wielce urodziwe – zabrać podopiecznego pod swe skrzydła i unieść go precz, bezpiecznego nareszcie od zagrożeń świata.

Wtedy pożegnał się również małżonek, zapraszając mnie, bym pozostał w *Maye Faire* tak długo, jak tylko będę miał ochotę. Sięgnąłem po jeszcze jedną szklanicę wina, chociaż byłem zdecydowany, iż będzie to ostatnia, bowiem czułem się już oszołomiony napitkiem.

Nie zwlekając, nadobna Charlotte wyprowadziła mnie na ciemną galerię, jakoby dla podziwiania frontowego ogrodu, oświetlanego przez melancholijne latarnie; zupełnie sami, usiedliśmy na drewnianej ławie.

Ma głowa wirowała jak szalona; jestem niemal pewien, iż to z powodu wypitego wina, chociaż zupełnie nie mogę pojąć, w jaki sposób zdołałem wlać go w siebie tak wiele; prosiłem Charlotte, by nie nakłaniała mnie więcej do picia, lecz nie chciała nawet o tym słyszeć i nalegała, bym wychylił jeszcze

jedną szklanicę. „To mój najlepszy trunek, przywiozłam go z domu.”

Duszką opróżniłem naczynie, by okazać grzeczność, i znowu poczułem, iż zalewa mnie fala oszołomienia; przypomniałszy sobie mgliście obraz, jaki przedstawiali sobą pijani bracia, zapragnąłem otrzeźwieć. Podniosłem się więc z ławy i chwyciwszy drewnianej balustrady spojrzałem w dół, na podwórze. Zdało mi się, iż mrok nocy pełen jest ciemnych sylwetek, niewolników zapewne, poruszających się pośród listowia; pewne wielce kształtne stworzenie o jasnej skórze poszło mi uśmiech, przechodząc mimo. Jakby we śnie, usłyszałem głos Charlotte: „No więc, piękny Petyrze, cóż jeszcze chcesz mi powiedzieć?”

Przedziwne słowa, pomyślałem, pomiędzy ojcem i córką, bowiem z pewnością musi ona wiedzieć, że nią jest, niemożliwe; by nie wiedziała. Lecz z drugiej strony, może jednak nie wie? Odwróciłem się do niej i znowu jąłem ostrzegać. Czy nie rozumie, iż nie jest to zwyczajny duch? Iż ów demon, który potrafi nawiedzić ciało starca i zmusić je by było posłuszne jej woli, może zwrócić się przeciw niej; iż w rzeczywistości ona daje mu siłę. Błagałem, by zrozumiała, czym są duchy, lecz dziewczyna uciszyła mnie.

I wtedy zdało mi się, iż widzę wielce przedziwne rzeczy dziejące się za oknem jasno oświetlonej sali jadalnej, bowiem młodzi niewolnicy odziani w błyszczący, błękitny atlas wyglądali jakby tańczyli, odkurzając i zamiatając komnatę; płasali jak chochliki.

– Cóż za przedziwne złudzenie – rzekłem. Zrozumiałem, iż młodzi chłopcy, ścierający kurz z obić krzeseł i zbierający rozrzucone serwetki, bawią się jedynie, brykają i nie wiedzą, iż ich obserwuję.

Spojrzawszy znowu na Charlotte, zobaczyłem, że rozpuściła włosy pozwalając im swobodnie spływać na ramiona, i że przyglądała mi się teraz swymi pięknymi, zimnymi oczyma. Zdało mi się również, iż ściągnęła nieco w dół rękawy sukni, sposobem karczemych dziewczek, by bardziej odsłonić wspaniałe, białe ramiona i piersi. Ach, jakże grzeszną i występłą rzeczą jest, by ojciec patrzył na córkę w sposób, w jaki ja patrzyłem na nią.

– Myślisz, iż wiesz tak wiele – odezwała się, nawiązując najwyraźniej do naszej rozmowy, o której ku memu wielkiemu zmieszaniu, zapomniałem ze szczętem. – Jesteś jak ksiądz, tak jak opowiadała matka. Znasz tylko reguły i idee. Któż ci powiedział, iż duchy są złe?

– Żle to pojęłaś. Nie złe, lecz niebezpieczne. Mogą być wrogie człowiekowi i nie ma sposobu, by utrzymać je w ryzach. Nie twierdzę, iż są z piekła rodem; uważam tylko, że niewiele o nich wiemy.

Czułem, że język w mych ustach zeszywniał na kółek. Mimo to mówiłem dalej. Wyjaśniłem jej, że według nauk Kościoła katolickiego to co „nieznane” jest demoniczne i że w tym właśnie tkwi podstawowa rozbieżność poglądów Kościoła i Talamaski. Z powodu tej właśnie różnicy powstało, dawno temu, nasze Zgromadzenie. Ponownie ujrzałem, jak chłopcy płasają. Wirowali po całej komnacie, podskakując i kręcąc się w kółko, znikając i znowu pojawiając się w oknach. Zamrugalem, by odpędzić oszołomienie.

– Lecz co każe ci sądzić, iż nie poznałam owego ducha bardzo blisko? – spytała. – I że nie potrafię nad nim panować? Czy naprawdę myślisz, iż ma matka nie posiadała nad nim kontroli? Czyż nie dostrzegasz postępu, od Zuzanny do Debory, i od Debory do mnie?

– Widzę to, owszem, widzę. Czyż nie byłem świadkiem występu demona w ciele starca? – odrzekłem, lecz czułem, iż myśli me się płaczą. Ogromną trudność sprawiało mi wymawianie słów. Wspomnienie czcigodnego plantatora wyróciło do góry nogami mą logikę. Pragnąłem wina, lecz nie chciałem go; i nie piłem już więcej.

– Tak – rzekła, zdało się, z ożywieniem; i wyjęła, dzięki Bogu, szklanicę z mych dłoni. – Matka nie wiedziała, iż Lasher może wejść w czyjeś ciało, chociaż byle ksiądz mógłby jej powiedzieć, że demony nawiedzają ludzi na pewien czas, mimo że, oczywiście, czynią to na próżno.

– Co przez to rozumiesz?

– W końcu muszą opuścić ich ciała; nie mogą przeistoczyć się w człowieka,

bez względu na to, jak bardzo tego pragną... Ach, gdyby Lasher mógł stać się moim teściem...

Przeraziły mnie owe słowa; i ujrzałem, że ta reakcja wywołała uśmiech Charlotte. Rozkazała, bym usiadł u jej boku.

– Cóż to jednak jest, co pragniesz mi zakomunikować? – nalegała.

– Me ostrzeżenie, byś odrzuciła tę istotę, odsunęła się od niej i nie budowała swego życia w oparciu o jej siłę, gdyż jest ona czymś tajemniczym. I zaklinam, nie ucz Lashera niczego więcej. Bowiem nie wiedział on, że może wejść w ludzkie ciało, dopókiś ty tego mu nie wskazała; czy mam słuszność?

Moje słowa wzbudziły jej wątpliwości. Nie chciała odpowiedzieć na zadane pytanie.

– Ach, więc uczysz go, jak ma być lepszym demonem na twe usługi! – rzekłem. – Cóż, gdyby Zuzanna umiała przeczytać *demonologię*, którą pokazał jej sędzia czarownic, wiedziałaby, że można posłać demona, by nawiedził ciało człowieka. Podobnie Debora, gdyby tylko przeczytała dostatecznie wiele. Ach, lecz musiał się o tym dowiedzieć dopiero od ciebie, by w ten sposób w trzecim pokoleniu dopełniła się nauka inkwizytora. Czego jeszcze zamierzasz nauczyć ową istotę, zdolną nawiedzać ludzi, wywoływać burze i przybrać na otwartej przestrzeni postać przystojnego fantomu!

– Jakże to? Co rozumiesz przez „fantom”? – zapytała.

Opowiedziałem jej, jak to ujrzałem go w Donnelaith – przejrzystą jak mgiełka sylwetkę pośród starożytnych kamieni – i że wiedziałem wówczas, iż nie jest to prawdziwy człowiek. Natychmiast pojąłem, iż opowieść ta zainteresowała ją bardziej, niż cokolwiek dotąd powiedziałem lub uczyniłem.

– Widziałeś to? – zapytała z niedowierzaniem.

– Owszem. I widziała to także twoja matka.

– Ach, lecz mnie nigdy nie ukazał się w takiej postaci – wyszeptała. I nagle:
– Lecz czy nie dostrzegasz w tym błędu? Prostaczka Zuzanna, myślała przecież, iż jest on stworzeniem ciemności; diabłem go zwali i nim właśnie był on dla

niej.

– Lecz w jego wyglądzie nie było nic potwornego, raczej przybrał postać przystojnego mężczyzny.

Zaśmiała się, rozbawiona, a oczy jej rozbliły nagłym ożywieniem.

– Ach, więc wyobrażała sobie, iż diabeł jest przystojny. Bowiem, musisz wiedzieć, iż wszystko, czym on jest, pochodzi od nas.

– Być może, pani, być może. – Spojrzałem na pustą szklanice. Czuję pragnienie. Lecz nie chciałem pić znowu. – Lecz może mylisz się.

– Nie, tak jest zawsze. I właśnie dlatego znajduję to wielce interesującym – odrzekła. – Bowiem on samodzielnie nie potrafi myśleć, czy to dostrzegasz? Nie potrafi skupić swych myśli w całość; to Zuzanna je pozbierała przywołując owego demona; to wezwanie Debory pozwoliło im się skoncentrować jeszcze bardziej i dało Lasherowi powód do wywołania burzy. Ja nakazałam mu, by wszedł w ciało starca, a on uwielbia owe sztuczki i wyziera na nas poprzez oczy człowieka, jakby sam był ludzką istotą, i znajduje w tym upodobanie. Czyż nie widzisz, iż kocham go za jego zmienność i za to, iż się rozwija?

– Lecz to wielce niebezpieczne! – wyszeptałem. – Ów demon jest kłamcą.

– Nie, to niemożliwe. Dziękuję ci za twe przestrogi, lecz są one tak bezużyteczne, że aż zabawne. – I tu sięgnęła po butelkę i raz jeszcze napełniwszy ją szklanice podała mi ją.

Odmówiłem.

– Charlotte, zaklinam cię...

– Petyrze – odrzekła – pozwól mi mówić z tobą otwarcie, bowiem zasługujesz na szczerść. Walczymy w życiu o tak wiele rzeczy, zmagamy się z tyloma przeciwnościami losu. Przeszkodą dla Zuzanny był jej prosty umysł i ignorancja; dla Debory to, iż dorastała jako uboga chłopka w łachmanach. Nawet w zamku pozostała owym zahukanym wiejskim dziewczęciem; sądziła, iż Lasher jest jedynym źródłem jej powodzenia i majątku.

– Ja nie jestem wiejską znachorką, ani wystraszoną dzieckiem poczętym-

w-radości, lecz niewiastą urodzoną, by żyć wśród bogactw; od kiedy tylko pamiętam, kształcono mnie i nigdy nie odmawiano żadnej rzeczy, której zapragnęłam. I teraz, w wieku dwudziestu dwu lat matka i wkrótce, być może, wdowa, rządzą owym miejscem. Panowałam tu, zanim ma matka przekazała mi swe tajemnice i oddała potężnego zausznika, Lashera, i zamierzam poznać ową istotę, korzystać z jej pomocy, i pozwolić, by uczyniła mnie jeszcze potężniejszą.

– Z pewnością pojmujesz to, Petyrze, bowiem podobniśmy sobie, ja i ty, i nie bez przyczyny. Jesteś silnym człowiekiem; ja także. Pojmij więc także, iż pokochałam owego ducha; pokochałam, czy mnie słyszysz? Bowiem daje mi on siłę!

– On zabił Deborę, piękna córko – rzekłam. Po czym przypomniałam jej wszystko, co wiemy o podstępności istot nadprzyrodzonych z opowieści i bajek, i jaki wypływa z nich morał: bytów tych nie można do końca poznać przy pomocy rozumu ani też w ten sposób w pełni nad nim panować.

– Ach, ma matka wiedziała, co jesteś wart – rzekła, ze smutkiem potrząsając głową i częstując mnie winem; ponownie odmówiłam. – Wy, członkowie Talamaski, jesteście, gdy przyjdzie co do czego, równie źli, co katolicy czy kalwini.

– Nie – odrzekłam. – Mylisz się. Zdobywamy naszą wiedzę poprzez badanie i doświadczenie. Jesteśmy ludźmi tego wieku, jak medycy i filozofowie; nie mamy nic wspólnego ze stanem duchownym!

– A cóż to znaczy? – zapytała szyderczo.

– Ludzie kościoła patrzą tylko w objawienia, w Pismo Święte. Jeśli przytaczam ci starożytne opowieści o demonach, to tylko dlatego, by przyciągnąć twą uwagę do przesączonej przez nie wiedzy! Nie mówię, byś przyjmowała *demonologiae* dosłownie, bowiem to czysta trucizna. Chcę jedynie, byś wyczytała z nich to, co jest tego warte, a resztę odrzuciła precz.

Żadnej odpowiedzi.

– Powiadasz, iż jesteś wykształcona, moja córko; w takim razie pomyśl o mym ojcu, chirurgu – wykładowcy na Uniwersytecie w Lejdzie, człowieku, który udał się do Padwy, by tam studiować, a potem do Anglii, by słuchać wykładów Williama Harveya. Nauczył się on francuskiego, by móc czytać pisma Parego. Wielcy lekarze odrzucają Arystotelesa i Galena. Czerpią swą wiedzę z sekcji zwłok i doświadczeń na żywych zwierzętach! Podstawą ich mądrości jest obserwacja! I taka właśnie jest nasza metoda. Rzekę ci, spójrz na ową istotę, przyjrzyj się, co ona uczyniła! Zrozum, iż swoimi sztuczkami Lasher sprowadził zgubę na Deborę, a przedtem na Zuzannę.

Milczenie.

– Ach, lecz ty wskazujesz mi sposoby, jak poznać go lepiej. Mówisz mi, by podejść do niego, jak to uczyniłby lekarz. By skończyć z zaklęciami i magicznymi formułami.

– Po to właśnie tu przybyłem – westchnąłem.

– Myślę, że powinniśmy znacznie przyjemniej spędzić czas – rzekła, obdarzając mnie wielce demonicznym i czarującym uśmiechem. – Pójdź teraz ze mną, zostanmy przyjaciółmi. Napij się wina.

– Chcę teraz udać się do łóżka.

Roześmiała się słodko.

– Tak jak ja – odrzekła. – Lecz dopiero za chwilę.

Znowu wcisnęła mi szklanicę i, by jej nie obrazić, wziąłem naczynie i wychyliłem do dna; natychmiast powróciło owo pijackie oszołomienie, jakby czekało cały czas, przyczajone niby chochlik w butelce.

– Nie chcę już więcej – powiedziałem.

– Och, to me najwyborniejsze bordo, musisz wypić. – I jeszcze raz wmusiła we mnie szklanicę.

– Dobrze, już dobrze – odpowiedziałem i wlałem w siebie kolejną porcję trunku.

Czy wiedziałem wówczas, Stefanie, co miało się stać? Zerkałem sponad

brzegu kielicha na jej soczyste małe usteczka i pulchne, drobne ramiona?

– Moja piękna, słodka Charlotte – rzekłem do niej. – Czy wiesz, jak bardzo cię kocham? Mówiliśmy o miłości, lecz nie powiedziałem ci...

– Wiem – wyszeptała czule – nie trap się, Petyrze, ja wiem. – Podniosła się z ławy i ujęła me ramię.

– Spójrz – powiedziałem do niej, bowiem wydało mi się, iż światła w dole, pod galerią, płasają pomiędzy drzewami, tańczą jakoby robaczki świętojańskie; a także drzewa zdały się żyć własnym życiem i przyglądać nam z ciekawością; nocne niebo wznosiło się coraz wyżej nad naszymi głowami, a oświetlone księżycowym blaskiem chmury wydawały się bardziej odległe niż gwiazdy.

– Chodź, najdroższy – rzekła i poprowadziła mnie schodami w dół, ciągnąc mnie po nich właściwie; muszę Ci bowiem wyznać, Stefanie, iż me członki zupełnie osłabły od wypitego wina. Potykałem się.

Gdzieś w oddali poczęła grać cicha muzyka; jeśli można to było nazwać muzyką, bowiem składały się na nią wyłącznie dźwięki afrykańskich bębnów i melodia jakiegoś niesamowitego i żalosego rogu; podobała mi się owa muzyka i równocześnie nie podobała.

– Przestań, Charlotte – rzekłem do niej, bowiem popychała mnie w kierunku urwiska. – Chcę udać się do łoża.

– Dobrze, udasz się do łoża.

– Dlaczego więc idziemy ku urwisku, najdroższa? Czy zamierzasz zepchnąć mnie z krawędzi?

Roześmiała się.

– Jesteś taki piękny, mimo swej poprawności i niderlandzkich manier! – Tańczyła przede mną; jej włosy rozwiewał wiatr; smukła figurka na tle ciemnego, połyskliwego morza.

Ach, jakże piękna była. Piękniejsza nawet od mojej Debory. Spojrzałem w dół i ujrzałem, ku memu zdumieniu, iż w lewej dłoni trzymam szklanicę, a ona napełnia ją raz jeszcze; byłem tak spragniony, iż wypilem mocny trunek jednym

haustem, jakby to było piwo.

Ujmując mnie znowu pod ramię, wskazała mi stromą ścieżkę wiodącą w dół, niebezpiecznie blisko skraju urwiska; lecz w pewnym oddaleniu ujrzałem szczyt dachu i światło, i coś, co zdało mi się pobieloną ścianą.

– Myślisz, iż nie jestem ci wdzięczna za to, co mi powiedziałeś? – rzekła mi wprost do ucha. – Ależ jestem. Musimy pomówić więcej o twym ojcu, lekarzu, i o metodachuczonych medyków.

– Mogę opowiedzieć ci o wielu rzeczach, lecz nie po to, byś wykorzystała je ku czynieniu zła. – Rozejrzałem się wokół, wciąż się potykając, starając się dojrzeć niewolników grających na rogu, bowiem z pewnością musieli być gdzieś blisko. Muzyka zdawała się odbijać echem od skał i pni drzew.

– Ach, więc wierzysz w zło! – roześmiała się. – Żyjesz w świecie aniołów i diabłów i sam mógłbyś być aniołem, jak archanioł Michał, który zepchnął diabły do piekła. – Objęła mnie ramieniem, ratując przed upadkiem, i czułem jak jej piersi przyciskają się do mego ciała, i dotyk miękkiego policzka na mym ramieniu.

– Nie podoba mi się ta muzyka – rzekłem. – Dlaczego muszą tak grać?

– Och, sprawia im to radość. Plantatorzy w tych stronach za mało wagi przywiązują do tego, co sprawia radość ich poddanym. Jeśliby o tym pomyśleli, mieliby z nich większy pożytek; lecz czyż w ten sposób nie powracamy do rozmowy o czynieniu obserwacji? Lecz pójdź za mną, oczekują cię niezwykle rozkosze.

– Rozkosze? Och, nie dbam o nie – odrzekłem; język znowu zeszywniał w mych ustach, w głowie wirowało od wina, i nie mogłem już znieść owej muzyki.

– Jak możesz mówić podobne rzeczy? – zaśmiała się drwiąco. – Jak można nie dbać o rozkosze?

Podeszliśmy do niewielkiej budowli i ujrzałem w jasnym świetle księżyca, iż był to rodzaj domku z typowym spadzistym dachem; tkwił na samym skraju urwiska. Rzeczywiście, światło które widziałem, dobiegało z fasady owej

budowli; zapewne była ona otwarta, lecz dostać do środka mogliśmy się jedynie poprzez ciężkie drzwi, które Charlotte odryglowała od zewnątrz.

Kiedy zatrzymałem ją przed wejściem, wciąż jeszcze śmiała się z tego, co powiedziałem.

– Cóż to jest, więzienie?

– Twe ciało jest więzieniem – odrzekła i wepchnęła mnie do środka.

Wyprostowałem się i chciałem wyjść stamtąd, lecz ktoś zatrzasnął i zablokował drzwi z zewnątrz. Usłyszałem, jak rygiel opada na swe miejsce. Rozglądałem się wokół, pełen wściekłości i zarazem zmieszania.

Ujrzałem przestronny apartament; stało w nim wspaniałe łoże z baldachimem, wyglądające jakby sypiał w nim król Anglii, chociaż zasłane było raczej muślinem niż aksamitem; osłaniała je siatka, jakiej używają tutaj dla ochrony przed moskitami, a po obu stronach paliły się świece. Podłogę z kafli pokrywały dywany; fasada domku istotnie była szeroko otwarta, okiennice odemknięte, lecz szybko pojąłem dlaczego, bowiem po przejściu dziesięciu kroków na zewnątrz doszedłbyś do balustrady, a poza nią – dostrzegłem to po pobieżnym, niezgrabnym śledztwie, gdy ona przytrzymała mnie za ramiona, by uchronić przed upadkiem – nie było już nic, tylko otchłań, rozciągająca się aż do plaży w dole, i pluszczące fale.

– Nie mam ochoty spędzić tu nocy – rzekłem do niej. – Jeżeli nie dasz mi powozu, wrócę do Port-au-Prince piechotą.

– Wyjaśnij mi, co to znaczy, iż nie dbasz o rozkosze? – rzekła łagodnie, pociągając mnie lekko za surdut. – Z pewnością musi ci być zbyt gorąco w owych żalonych szatach. Czy wszyscy Niderlandczycy tak się ubierają?

– Ucisz, proszę, te bębny. Nie mogę znieść ich dźwięku. – Muzyka zdawała się przesączać poprzez ściany. Była w niej teraz jakaś melodia i to mnie odrobinę uspokajało, chociaż zdawało się iż wbija ona swe haki w mą duszę i pociągając za nie zmusza, bym wbrew woli tańczył wewnątrz swej głowy.

Nie wiem, jak znalazłem się na brzegu łoża. Charlotte zdejmowała ze mnie

koszulę. Na stole, zaledwie kilka metrów od nas, ustawiono srebrną tacę z butelkami wina i pięknymi kielichami; Charlotte podeszła teraz do owej tacy, by napełnić dla mnie puchar; przyniosła go i włożyła w me ręce. Chciałem cisnąć naczynie o podłogę, lecz przytrzymała mą dłoń i spojrzawszy w oczy, rzekła:

– Petyrze, wypij odrobinę, byś mógł zasnąć. Odjedziesz, gdy tylko zechcesz.

– Kłamiesz – odpowiedziałem. Po czym poczułem dotyk innych rąk na swym ciele i jakieś suknie ocierające się o me nogi. Dwie majestatyczne Mulatki zdołały w niewiadomy dla mnie sposób wejść do izby; obie rozkosznie piękne i zmysłowe w swych świeżo wyprasowanych spódnicach i marszczonych bluzkach; poruszały się swobodnie we mgle, owijającej całunem wszystkie me zmysły, uklepywały poduszki i rozprostowywały siatkę nad łóżem; zdjęły także me buty i spodnie.

Mogłyby być hinduskimi księżniczkami, ze swymi czarnymi oczyma i ciemnymi rzęsami, smagłymi ramionami i niewinnymi uśmiechami.

– Charlotte, nie chcę tego – rzekłem, lecz piłem wino z kielicha, który podniosła do mych ust; i znowu powróciło omdlenie. – Och, Charlotte, dlaczego, co ma oznaczać to wszystko?

– Z pewnością pragniesz poznać rozkosz – wyszeptała, gładząc me włosy w sposób, który burzył krew. – Nie żartuję wcale. Posłuchaj mnie. Musisz wpierw doświadczyć rozkoszy, by uzyskać pewność, iż nie dbasz o nią; pojmujesz, o czym mówię?

– Nie. Chcę stąd odejść.

– Proszę, Petyrze, nie odchodź teraz – rzekła, jakby przemawiając do dziecka. Uklękła przede mną i patrzyła w górę, na mą twarz; jakże ciasno suknia opinała jej nagie piersi; pragnąłem je uwolnić. – Wypij jeszcze, mój drogi.

Zamknąłem oczy i natychmiast straciłem równowagę. Muzyka bębnów i rogu stała się teraz wolniejsza i jeszcze bardziej melodyjna, i przywiodła mi na myśl madrygały, chociaż była o wiele dziksza. Na policzkach i ustach czułem dotyk warg i gdy zatrwożony otworzyłem oczy, ujrzałem iż obie Mulatki są

nagie i ofiarowują siebie mej żądzy; jakże bowiem inaczej mógłbym określić ich gesty?

Charlotte stała w pewnym oddaleniu, z dłonią opartą o stół; nieruchoma jak obraz, poza zasięgiem mych rąk. Na tle blado-błękitnej poświaty nieba wyglądała jak posąg; płomyki świec drgały na wietrze; muzyka stawała się coraz głośniejsza; a ja zatraciłem się w kontemplacji dwóch nagich kobiet, ich obfitych piersi i wełnistych włosów na ich łonach.

I okazało się, iż w panującym tam upale ma własna nagość już mi wcale nie przeszkadza; rzadki to przypadek w moim życiu. Nagle to wszystko wydawało się nieopisanie wspaniałe; i zapamiętałem się w kontemplowaniu przeróżnych tajemnic ich ciał, i czym różnią się jedna od drugiej, i jak wszystkie kobiety są takie same.

Jedna z nich pocałowała mnie znowu, dotyk jej włosów i skóry przypominał pieczętowaną jedwabiu, i tym razem otworzyłem swe usta.

Lecz byłem już wtedy, Stefanie, zgubionym człowiekiem.

Okrywając pocałunkami, ułożyły mnie na poduszkach, i nie znalazłbyś takiej części mego ciała, której nie poświęciłyby swej zręcznej uwagi; każdy gest przedłużał się w nieskończoność, i każdy został odwzajemniony, a me pijackie upojenie czyniło go jeszcze rozkoszniejszym. Jakże czułe i radosne wydawały się owe niewiasty, jakże niewinne; gładkość ich skóry doprowadzała mnie do szaleństwa.

Wiedziałem, iż Charlotte przygląda się temu, lecz o wiele ważniejsze było teraz dla mnie całowanie owych niewiast i dotykanie ich; to z pewnością napój, który wypilem, usunął wszelkie zahamowania; spowodował także spowolnienie zwyczajnego w podobnych okolicznościach rytmu ciała, zdawało mi się bowiem, iż mamy do dyspozycji cały czas tego świata.

W komnacie zrobiło się ciemniej, muzyka brzmiała bardziej kojąco. Roznamiętniałem się coraz mocniej; powoli, zachwycająco i bez reszty pożerany przez doznania najbardziej niezwykłego rodzaju. Jedna z niewiast,

dojrzała i wielce uległa w mych ramionach, ukazała mi wstążkę z czarnego jedwabiu i, gdy dziwiłem się, cóż to mogło być, ów szeroki pas materiału, przesłoniła mi nim oczy, a jej towarzyszka zawiązała go ciasno wokół mej głowy.

Jakże mam Ci wytłumaczyć, iż owa nieoczekiwana niewola roznieciła we mnie jeszcze potężniejszy płomień; iż, gdy wraz z nimi padłem na łożo, niby Kupid z zawiązanymi oczyma, utraciłem ową resztkę obyczajności, która jeszcze dotąd we mnie pozostawała.

W owej oszalamiającej ciemności w końcu wspiąłem się na swą ofiarę, czując jak me dłonie zatapiają się delikatnie w ogromnej masie włosów.

Usta wessały się we mnie i silne ramiona pociągnęły w dół, ku istnej łące piersi i brzucha, słodko pachnącego, perfumowanego kobiecego ciała; i gdy wykrzyczałem swą namiętność, ja – zagubiona dusza, ślepo posłuszna losowi, zerwano opaskę przesłaniającą me oczy i ujrzałem w przyćmionym świetle twarz leżącej pode mną Charlotte; jej oczy skromnie przymknięte, usta rozchylone, twarz rozplamiona ekstazą dorównującą mej własnej.

W łożu nie było nikogo, prócz nas dwojga! W całym domu panowała cicha pustka.

Jak szaleniec, zerwałem się i odskoczyłem od niej. Lecz stało się już. Dogoniła mnie, gdy dobiegłem do samego skraju urwiska.

– I cóż chcesz uczynić!?! – krzyknęła z rozpaczą. – Skoczyć do morza!?!

Nie mogłem nic odpowiedzieć, lecz przywarłem do niej, by nie upaść. Gdyby nie pociągnęła mnie do tyłu, byłbym upadł. Potrafiłem myśleć jedynie, iż to moja córka, moje dziecko, moje dziecko! Cóż uczyniłem?

Lecz gdy uświadomiłem sobie w pełni, iż posiadałem własną córkę, odwracałem się już właśnie do niej i brałem ją w ramiona, przyciągając do siebie. Czy chciałem ukarać Charlotte pocałunkami? W jaki sposób namiętność może tak dokładnie splatać się z gniewem? Nigdy nie byłem żołnierzem oblegającym miasto, lecz chciałbym wiedzieć, czy taki sam płomień ogarnia

żołdaków zrywających szaty z płaczących branek?

Wiedziałem tylko, iż pragnę ją zmiążdżyć w swej żądzy. Gdy odrzuciła głowę do tyłu, wzdychając, wyszeptalem: „Córko ma” i zatopiłem swą twarz w jej nagich piersiach.

Tak wielkie było me pożądanie, jakbym wcale nie zaspokoił go zaledwie przed chwilą. Charlotte wciągnęła mnie do komnaty, inaczej posiadłbym ją na piasku. Ma brutalność nie przerażała dziewczyny ani trochę. Pociągnęła mnie w dół, na łożo i nigdy, od owej nocy w Amsterdamie, z Deborą, nie zaznałem takiego wyzwolenia. Nie, teraz nie ograniczała mnie nawet czułość, przepelniająca mnie wówczas.

– Cuchnąca, mała wiedźmo – krzychałem do niej. Przyjmowała obelgi, niby pocałunki. Wiła się na łożu, pode mną, unosząc się na me spotkanie, gdy opadałem ku niej.

W końcu przewróciłem się na poduszki. Pragnąłem umrzeć, lecz równie mocno pragnąłem natychmiast osiąść ją znowu.

Pewien jestem, iż przed świtem wziąłem ją jeszcze dwa razy; chyba, że zupełnie oszalałem. Lecz byłem wówczas tak pijany, iż ledwo pojmowałem, co czynię; wiedziałem tylko, że wszystko, czego kiedykolwiek pragnąłem w kobiecie, było tutaj i mogłem to mieć.

Gdy zbliżał się poranek, pamiętam, leżałem obok Charlotte i patrzyłem na nią, jakbym chciał nauczyć się jej i jej piękności, spała bowiem i nic nie zakłócało mych obserwacji – ach tak, myślałem z goryczą o tym, jak sobie ze mnie zadrwiła, lecz nie było to nic innego, Stefanie, jak tylko właśnie czynienie obserwacji – i sądzę, iż dowiedziałem się w owej godzinie więcej o kobiecie, niż przez całe me życie.

Jakże urocze w swej młodości było jej ciało, jakże jędrne i słodkie w dotyku młode członki i świeża skóra. Nie chciałem, by się przebudziła i spojrzała na mnie swymi mądrymi i przebiegłymi oczyma. Pragnąłem zapłakać nad wszystkim, co się stało.

Zdaje się, iż obudziła się jednak i że rozmawialiśmy przez chwilę, lecz pamiętam wyraźniej rzeczy, na które patrzyłem niż wypowiedziane słowa.

Znowu poila mnie swym winem – trucizną; wydawała się teraz smutna i głęboko zamyślona, co dodawało jej jeszcze większego powabu; goręcej niż kiedykolwiek pragnęła poznać me myśli. Siedziała tam, okryta złotymi włosami, jak angielska lady Godiva, i zdumiewała się znowu, iż Lasher ukazał mi się w kamiennym kręgu w Donnelaith.

I musiała to być sztuczka owego napoju, Stefanie, bowiem byłem tam znowu!

Znowu słyszałem skrzypienie wozu i widziałem mą małą ukochaną Deborę i w oddali, przejrzystą postać ciemnego mężczyzny.

– Ach, lecz widzisz, ukazał się on Deborze – słyszałem swe własne objaśnienia skierowane do Charlotte – a to, że ja go widziałem, dowodzi, iż może go zobaczyć każdy, iż jakimś tajemnym sposobem nabrał on fizycznego kształtu.

– Tak, lecz jak to uczynił? – zapytała.

I znowu zaczerpnąłem z nauk starożytnych, zgromadzonych w archiwach mego umysłu:

– Jeżeli potrafi on zbierać dla ciebie klejnoty...

– To potrafi – potwierdziła.

– ...to również jest w stanie zebrać maleńkie cząsteczki materii, by stworzyć z nich ludzki kształt.

Wtedy, na mgnienie oka, znalazłem się w Amsterdamie, w łożu z mą Deborą, i usłyszałem, jakbym był z nią w jednej komnacie, wszystkie słowa owej nocy. Powtórzyłem je Charlotte, czarownicy w mych ramionach, która co i raz dolewała wina, i którą miałem osiąść jeszcze z tysiąc razy, nim stąd odejdę.

– Lecz jeżeli wiesz, że jestem twym ojcem, czemu to uczyniłaś? – pytałem, w tej samej chwili całując ją znowu.

Odsunęła mnie, jak odsuwa się dziecko.

– Potrzebna mi jest twoja mocna budowa i siła. Muszę mieć twoje dziecko – syna, nie obciążonego dziedziczną chorobą Antoina, lub córkę, która będzie mogła widzieć Lashera, bowiem tylko kobiecie on się ukaże. – Zastanowiła się przez chwilę, po czym rzekła: – I widzisz, jesteś dla mnie czymś więcej niżli tylko mężczyzną, łączą nas bowiem więzy krwi.

Wszystko więc zostało zaplanowane.

– Lecz jest jeszcze coś – powiedziała. – Czy pojmujesz, co to dla mnie znaczy leżeć w ramionach zdrowego mężczyzny? – zapytała. – Czuć na sobie prawdziwie męskie ciało? I dlaczego nie miałby to być mój ojciec, jeśli właśnie on jest mi najmiłszy ze wszystkich mężów, jakich kiedykolwiek widziałam?

Pomyślałem o Tobie, Stefanie. Przypomniałem sobie dane mi przez Ciebie przestrogi. Wspomniałem Aleksandra. Czy w owej chwili wciąż jeszcze cierpiał z mojego powodu?

Musiałem zapłakać, bowiem pamiętam, że mnie pocieszała i pamiętam, jak wzruszające było jej zatroskanie. Przywarła do mnie, jak dziecko skulona przy moim boku, i mówiła, iż my dwoje wiemy o rzeczach nie znanych nikomu oprócz Debory, lecz ta już nie żyła. Wówczas rozplakała się. Wypełnił ją żal za matką.

– Gdy przyszedł do mnie i powiedział, że ona nie żyje, straszliwie rozpaczalam. Nie mogłam przestać. Walili w drzwi i mówili: „Wyjdź, Charlotte”. Nigdy go nie widziałam ani nie znałam, aż do tamtej chwili. Matka mówiła: „Załóż naszyjnik ze szmaragdem, a jego blask wskaże mu drogę”. Lecz on nie potrzebował tego. Wiem o tym teraz. Przyszedł do mnie, gdy leżałam w ciemnościach, sama. Zdradzę ci straszliwy sekret. Aż do tamtej chwili nie wierzyłam w jego istnienie! Nie wierzyłam! Zatrzymałam ową kukiełkę, którą mi dała, kukiełkę mojej babki...

– Opisał mi ją w Montecleve.

– Została uczyniona z kości i włosów Zuzanny, przynajmniej tak utrzymywała moja matka, bowiem Lasher przyniósł był włosy, gdy je ścięli

Zuzannie w więzieniu, i kość, po tym jak ją spalili. I z nich właśnie Debora zrobiła kukielkę, według tego, co powiedziała jej Zuzanna; i trzymając lalkę w dłoniach, wzywała matkę. Teraz ja ją miałam i uczyniłam, jak mnie pouczyła. Lecz Zuzanna nie przybyła do mnie! Niczego nie widziałam ani nie słyszałam. Zaczęłam więc zastanawiać się nad owymi rzeczami, w które wierzyła ma matka.

I wtedy on się zjawił, tak właśnie, jak ci rzekłam. Zbliżył się w ciemnościach, poczułam jego pieśczoć.

– Jak to?

– Pieścił mnie, tak jak ty dzisiejszej nocy. Leżałam w mroku i czułam dotyk warg na swych piersiach. Usta na mych ustach. Gładził mnie pomiędzy nogami. Zerwałam się, myśląc, ach, to sen o czasach, kiedy Antoine wciąż jeszcze był mężczyzną. Lecz on tam był. „Nie potrzebujesz Antoine’a”, rzekł do mnie. „Ma piękna Charlotte.” I wtedy, widzisz, wzięłam ów szmaragd i założyłam go, tak jak kazała mi matka.

– Czy powiedział ci, że ona nie żyje?

– Tak. Upadła z obłankowania katedry, a ty zepchnąłeś owego nikczemnego księdza. Ach, lecz on przemawia tak przedziwnie. Nie możesz sobie przedstawić, jakże dziwne są jego słowa. Jakby zbierał je po całym świecie, tak jak gromadzi kawałki złota i drogie kamienie.

– Powiedz mi – poprosiłam.

Myślała przez chwilę.

– Nie potrafię – rzekła z westchnieniem. Spróbowała jednak.

I postaram się teraz wiernie to powtórzyć. – „Jestem tutaj, Charlotte. Jestem Lasher i jestem tutaj. Duch Debory uniósł się w górę; nie widział mnie; opuścił ziemię. Jej wrogowie pobiegli w lewo i w prawo, w popłochu. Ujrzyj mnie, Charlotte, i usłysz mnie, bowiem istnieję, by ci służyć i jedynie służąc ci, istnieję.” – Westchnęła znowu po czym rzekła: – Brzmi to jeszcze dziwniej, kiedy opowiada mi dłuższą historię. Bowiem, gdy pytałam go o to, co stało się z

mą matką, stwierdził: „Przyszedłem i zebrałem się, uniosłem dachówki z dachów i kazałem im fruwać poprzez powietrze. Podniosłem pył z ziemi i kazałem mu fruwać poprzez powietrze”.

– Cóż jeszcze mówił o swej naturze?

– Och, iż był zawsze. Istniał jeszcze w czasach, gdy po ziemi nie stąpał ani jeden człowiek.

– Ach, i ty w to wierzysz?

– A dlaczegoż by nie?

Nie odpowiedziałem jej, lecz w głębi duszy poczułem, iż to nieprawda, choć sam nie wiedziałem, dlaczego.

– W jaki sposób pojawił się w pobliżu głązów w Donnelaith? – zapytałem ją.

– Czyż to nie tam Zuzanna wezwała go po raz pierwszy?

– Wcześniej nie było go nigdzie; dopiero jej wezwanie powołało demona do istnienia. Można rzec, iż nie posiada on żadnej wiedzy o swej egzystencji przed owym czasem. Jego samopoznanie rozpoczęło się wraz z myślą Zuzanny o nim, i wzmocniło się jeszcze, gdy ja go poznałam.

– Och, lecz spójrz, być może to tylko pochlebstwo.

– Mówisz o nim, jakby nie posiadał on żadnych uczuć. To nie jest tak. Wierz mi, widziałam go jak płakał.

– Nad czym, jeśli łaska?

– Nad śmiercią mej matki. Gdyby na to pozwoliła, zniszczyłby wszystkich mieszkańców Montecleve. Niewinni i winni razem zostaliby ukarani. Lecz Debora nie potrafiła sobie wyobrazić czegoś takiego. Pragnęła jedynie wyrwać się z ich rąk, skacząc z blanków katedry. Gdyby była silniejsza...

– Ty jesteś silniejsza.

– Nie warto używać jego mocy, by niszczyć.

– W tym jesteś mądra, muszę to przyznać. Zastanowiłem się przez chwilę nad tym wszystkim, starając się zapamiętać dokładnie, co zostało powiedziane i wierzę, iż to mi się udało. I zapewne zrozumiała, gdyż po chwili rzekła ze

smutkiem:

– Ach, jakże bym mogła pozwolić ci opuścić to miejsce, skoro są ci wiadome owe rzeczy o mnie i o nim?

– Zamierzasz więc mnie zabić? – zapytałem.

Zaszlochała. Ukryła swą twarz w poduszce.

– Zostań ze mną – rzekła w końcu. – Ma matka w czasach swej młodości prosiła cię o to samo, a ty odmówiłeś. Zostań ze mną. Z tobą mogłabym mieć silne dzieci.

– Jestem twym ojcem. Szaleństwo wypełnia twój umysł, jeśli mnie o to prosisz.

– Jakże to ma znaczenie! – powiedziała. – Wokół nas nie ma niczego oprócz ciemności i tajemnic. Jakże to ma znaczenie? – Jej głos nappełnił mnie smutkiem.

Zdaje się, iż ja też płakałem, chociaż ciszej. Całowałem jej policzki starając się ukoić dziewczynę. Powiedziałem jej, iż w Talamasce doszliśmy do przekonania, że z Bogiem lub bez, musimy być prawymi mężami i niewiastami, postępować jak święci, bowiem tylko w ten sposób zdołamy zwyciężyć. Lecz coraz większa rozpacz ogarniała Charlotte.

– Całe twoje życie było daremne – mówiła. – Zmarnowałeś je. Wyrzekłeś się rozkoszy i nic w zamian nie otrzymałeś.

– Nie dostrzegasz całej głębi – odrzekłem. – Lektury i studiowanie były mymi rozkoszami, tak jak chirurgia i studia przynosiły radość memu ojcu; i takie uroki nie przemijają. Nie potrzebuję uciech ciała. Nigdy nie potrzebowałem. Nie chcę bogactw, jestem więc wolny.

– Mnie okłamujesz, czy siebie? Lękasz się ciała. Talamasca zapewnia ci bezpieczeństwo, tak jak klasztory mniszkom. Zawsze czyniłeś tylko to co...

– Czy było dla mnie bezpieczne, bym udał się do Donnelaith lub Montecleve?

– Nie, w tym okazałeś odwagę, to prawda. Podobnie wykazałeś się męstwem, przybywając tutaj. Lecz mówię o tej drugiej stronie twojej osoby, o

owej prywatnej, sekretnej cząstce, która mogła była poznać miłość i namiętność, lecz cofnęła się z lęku przed nimi, obawiając się ich ognia. Musisz pojąć, iż grzech, który popełniliśmy dzisiejszej nocy, może jedynie wzmocnić nas i uczynić bardziej zdecydowanymi, oddalonymi od innych, jakby nasze tajemnice były nam tarczą.

– Lecz, najdroższa – odrzekłem – nie chcę być bardziej zdecydowany, ani obcy i zimny wobec pozostałych ludzi. Bowiem jestem taki aż nadto, gdy przybywam do miasta, gdzie mają spalić czarownicę. Pragnę, by moja dusza żyła w harmonii z innymi duszami. I ów grzech sprawił, iż w mych własnych oczach stałem się potworem.

– Więc cóż z tego, Petyrze?

– Nie wiem – odrzekłem. – Nie wiem. Lecz ty jesteś córką mą z krwi i kości. Myślisz o tym, co czynisz, to muszę ci przyznać. Zastanawiasz się i rozważasz. Lecz zbyt mało cierpisz!

– Po cóż miałabym cierpieć? – roześmiała się niewinnie. – Po cóż miałabym cierpieć! – krzyknęła, patrząc mi prosto w oczy.

Niezdolny odpowiedzieć na to pytanie, znużony śmiertelnie grzechem i pijaństwem, zapadłem w głęboki sen.

* * *

Zbudziłem się przed świtem.

Poranne niebo wypełniały wspaniałe, zabarwione różowo chmury; ryk morza był zdumiewająco cudowny. Charlotte nie było nigdzie w pobliżu. Drzwi wejściowe pozostawały zamknięte i nie musiałem nawet sprawdzać, by się przekonać, iż są zaryglowane od zewnątrz. Niewielkie okienka w bocznych ścianach były zbyt małe, by mogło przecisnąć się przez nie nawet dziecko. Zasłaniały je teraz okiennice uczynione z wąskich deseczek, w których, śpiewając, igrał wiaterek; niewielką komnatę wypełniało świeże, morskie

powietrze.

Oślepiony, wpatrywałem się w coraz jaśniejsze światło. Pragnąłem znaleźć się na powrót w Amsterdamie, chociaż czułem się bezpowrotnie zbrukany. Gdy spróbowałem strząsnąć z siebie senność, ignorując słabość w głowie i żołądku, dostrzegłem upiorny kształt na lewo od otwartych drzwi, w zacienionym kącie komnaty.

Przez dłuższą chwilę rozważałem, czy nie jest to wytwór narkotyku, który wchłonałem, lub może produkt gry światła i cieni; lecz tak nie było. Wyglądał jak mąż, wysoki i ciemnowłosy; stał wpatrując się we mnie, leżącego, z góry; wydawało się, iż pragnie przemówić.

– Lasher – wyszeptałem.

– Głupcem jesteś, skoro się tu zjawileś, człowieku – odezwała się owa istota. Lecz jego usta nie poruszały się i nie poprzez uszy słyszałem jego głos. – Głupcem jesteś, skoro próbujesz stanąć pomiędzy mną i czarownicą, którą kocham; jeszcze raz.

– Cóż uczyniłeś mej ukochanej Deborze?

– Wiesz to, lecz nie wiesz tego.

Roześmiałem się.

– Czy to nie zaszczyt dla mnie, iż mnie osądzasz? – usiadłem na łożu. – Ukaż mi się wyraźniej.

Kształt przed moimi oczyma nabrał żywszych barw i stał się jakby gęściejszy. Ujrzałem postać konkretnego człowieka. Miał wąski nos i ciemne oczy. Odziany był w ten sam ubiór, który widziałem przez mgnienie przed laty w Szkocji – skórzany kaftan, byle jak skrojone spodnie i koszulę z samodziału z workowatymi rękawami.

Wciąż jeszcze nie byłem pewien owych szczegółów, lecz zdało mi się, iż na moich oczach nos zjawy staje się wyraźniejszy, ciemne oczy bardziej ożywione, a skórzany kaftan wyraźniej zdecydowanie skórzany.

– Kim jesteś, duchu? – zapytałem. – Powiedz mi swe prawdziwe imię; nie to,

które nadała ci Debora.

Przerażający wyraz straszliwej goryczy pojawił się na jego twarzy; lecz nie, to tylko owa iluzja poczęła załamywać się i marszczyć. Powietrze wypełnił lament i straszliwy bezdźwięczny płacz. Zjawisko zniknęło.

– Powróć, duchu – zawołałem. – Lub raczej, jeżeli miłujesz Charlotte, odejść precz! Wracaj do chaosu, z którego przybyłeś i zostaw moją córkę w spokoju!

I mógłbym przysiąc, iż znowu przemówił szeptem: „Jestem cierpliwy, Petyrze van Ablu. Mój wzrok sięga bardzo daleko. Będę pił wino i jadł mięso, i radował się ciepłem kobiety, gdy z ciebie nie pozostaną nawet kości”.

– Wracaj! – krzychałem. – Wy tłumacz mi znaczenie owych słów. Widziałem cię Lasherze tak wyraźnie jak czarownica, i mogę uczynić cię silniejszym.

Lecz odpowiedziała mi tylko cisza. Opadłem na poduszki, wiedząc, iż miałem do czynienia z najpotężniejszym duchem, jakiego kiedykolwiek dane mi było ujrzeć. Nigdy żaden upiór nie posiadał równie wielkiej siły, nie przyoblekł podobnie doskonale widzialnej postaci. I słowa, które rzekł mi demon, nie miały nic wspólnego z wolą czarownicy.

Och, gdybym tylko miał ze sobą swe księgi. Gdybym tylko miał je wtedy ze sobą.

I znowu oczyma duszy widzę kamienny krąg w Donnelaith. Rzekę Ci, musi być jakaś przyczyna, dla której Lasher pojawił się w owym właśnie miejscu! To nie jest byle jaki demon, posłuszny zauszniak, Ariel gotów giąć się w ukłonach przed różdżką Prospera! W końcu poczułem się tak rozgorączkowany, iż znowu napiłem się wina, łudząc się, że stępi ono mój ból.

* * *

Był to, Stefanie, zaledwie pierwszy dzień mej niewoli i poniżenia.

Jakże dobrze poznałem ów mały domek. Nauczyłem się na pamięć każdego

szczegółu urwiska, z którego żadna ścieżka nie wiodła do plaży w dole. Nawet gdybym miał linę okrętową i spuścił ją w dół, przywiązawszy do balustrady, nie zdołałbym pokonać owej straszliwej stromizny.

Lecz pozwól mi powrócić do mej opowieści.

Było już zapewne południe, gdy przyszła Charlotte; ujrawszy dwie służące – Mulatki, wchodzące wraz z nią, pojąłem iż nie były one wytworem mej imaginacji; w chłodnym milczeniu przyglądałem się, jak ozdabiały komnatę świeżymi kwiatami. Przyniosły mą koszulę, wypraną i wyprasowaną, i więcej odzienia z lżejszych tkanin, jakie tutaj noszą. Przyciągnęły także wielką balię, posuwając ją, niby łódź, po pokrytej piaskiem ziemi; a do ochrony – na wypadek, gdyby przyszło mi do głowy wypaść przez drzwi i rzucić się do ucieczki – miały ze sobą dwóch potężnie umięśnionych niewolników.

Napełniły balię gorącą wodą i powiedziały, iż mogę wziąć kąpiel, kiedy mi tylko przyjdzie ochota.

Uczyniłem to, jakby w nadziei, iż woda zmyje me grzechy; wymyty i odziany, przyszygłszy starannie brodę i wąsy, zasiadłem do przyniesionego mi posiłku, sam na sam z Charlotte, bowiem jedynie ona pozostała ze mną.

W końcu, odsuwając od siebie talerz, zapytałem:

– Jak długo zamierzasz mnie tutaj trzymać?

– Dopóki nie pocznę z tobą dziecka – rzekła. – A znak tego mogę mieć już niedługo.

– Wykorzystałaś już swoją szansę – odrzekłem, lecz nim jeszcze skończyłem wypowiadać owe słowa, poczułem znowu żądzę wczorajszej nocy i jakby we śnie ujrzałem siebie targającego jej piękną jedwabną suknię, rozdzierającego tkaninę na piersiach, by ssać je dziko, jak głodne niemowlę. Znowu powróciła owa wyborna myśl, iż jest ona grzesznicą, mogę więc uczynić z nią wszystko i nie zwlekając powinienem wykorzystać ową sposobność.

Wiedziała o tym. Wiedziała, bez wątpienia. Podeszła, usiadła na mych kolanach i spojrzała w me oczy. Zaprawdę – słodki, mały ciężar.

– Podrzyj jedwab, jeśli chcesz – rzekła. – Nie możesz się stąd wydostać. Czyń więc w swym więzieniu, co możesz.

Rzuciłem się jej do gardła. W jednej chwili, odepchnięty, znalazłem się na podłodze. Krzesło było przewrócone. Tylko, iż ona nie uczyniła niczego, odsunęła się jedynie na bok, by uniknąć ciosu.

– Ach, więc on jest tutaj – rzekłem z westchnieniem. Nie mogłem go dojrzeć, lecz po chwili jakbym znowu go widział; jakby gromadził się nade mną, a potem znowu rozpraszał; burząca się jak morze obecność rozszerzała się i rzedła, aż w końcu zniknęła.

– Ukaż się w ludzkiej postaci, tak jak to uczyniłeś dzisiajszego poranka – rzekłem. – Przemów do mnie znowu, marny tchórze, duszku!

Wszelkie srebra w komnacie poczęły klekotać. Moskitiera zafalowała gwałtownie. Roześmiałem się. „Głupi diablik”, zawołałem, zrywając się na równe nogi i otrzepując ubranie. To coś uderzyło znowu, tym razem jednak przytrzymałem się oparcia krzesła. „Mały, podły diabełek”, rzekłem, „i co za tchórz!”

Charlotte przyglądała się temu, zdumiona. Nie potrafiłem powiedzieć, co wyrażała jej twarz, podejrzliwość czy lęk. Po chwili wyszeptała jakieś słowa półgłosem i ujrzałem, iż siatka zawieszona w oknie poruszyła się, jakby owa istota wyleciała na zewnątrz. Byliśmy sami.

Odwróciła swą twarz ode mnie, lecz zdołałem dostrzec rumieniec na policzkach i łzy w jej oczach. Wyglądała tak krucho. Nienawidziłem siebie za to, iż jej pożądam.

– Nie możesz mieć do mnie żalu, iż próbowałem cię uderzyć – odezwałem się uprzejmym tonem. – Trzymasz mnie tutaj wbrew mej woli.

– Nie prowokuj go nigdy więcej – odrzekła, zalękniona; jej usta drżały. – Nie zniosłabym, gdyby cię zranił.

– Och, więc potężna wiedźma nie potrafi go powstrzymać? Wydawała się taka zagubiona; zwiesiwszy głowę przytuliła się do słupka baldachimu. Jakże

czarowna! Jak bardzo kusząca! Nie potrzebowała być czarownicą, by być czarownicą.

– Pragniesz mnie – rzekła miękko. – Weź mnie. I powiem ci coś, co rozgrzeje twą krew bardziej niż jakikolwiek narkotyk, którym mogłabym cię napoić. – Podniosła oczy i spojrzała na mnie, jej usta drżały, jakby gotowe do płaczu.

– Cóż to takiego? – zapytałem.

– Pragnę cię – rzekła. – Jesteś dla mnie uosobieniem piękna. Gdy leżę u boku Antoina, me ciało płonie z tęsknoty za tobą.

– Masz pecha, córko – odrzekłem zimno, lecz cóż to było za kłamstwo!

– Doprawdy?

– Weź się w garść. Pamiętaj, iż mężczyzna nie musi znajdować niewiasty piękną, by ją zbezczęścić. Bądź zimna, jak mężczyzna. To lepiej do ciebie pasuje, bowiem trzymasz mnie tutaj wbrew mej woli.

Przez chwilę milczała, a potem podeszła do mnie i rozpoczęła znowu swe uwodzicielskie sztuczki, wpierw całując mnie miękko, jak córka ojca; lecz zaraz jej pocałunki stały się bardziej płomienne, a dłonie poczęły pieścić me ciało. I znowu byłem takim samym durniem, jak przedtem.

Tylko mój gniew był zbyt wielki, bym na to pozwolił, odepchnąłem ją więc od siebie.

– Jak to się podoba twemu demonowi? – zapytałem, omiatając wzrokiem pustą komnatę. – Iż pozwalasz, bym cię dotykał, tak jak on chciałby cię dotykać?

– Nie igraj z nim! – rzekła z lękiem.

– Ach, wszystkimi swymi pieszczotami i pocałunkami nie zdoła on dać ci dziecka, prawda? To nie *incubus z demonologii*, który kradnie nasienie śpiących mężczyzn. Więc znosi on, iż jestem wciąż żywy, dopóki nie pocznę z tobą dziecka!

– On nie skrzywdzi cię, Petyrze, bowiem ja na to nie pozwolę. Zabroniłam

mu tego!

Jej policzki znowu pokryły się rumieńcem, gdy tak na mnie patrzyła, i teraz ona przeszukiwała wzrokiem komnatę.

– Nie przestawaj o tym myśleć, córko, bowiem nie zapominaj, że on potrafi czytać w twym umyśle. I może ci powiedzieć, iż postępuje zgodnie z twymi życzeniami, lecz naprawdę czyni to, co jest jego życzeniem. Przyszedł tu dzisiaj poranka, by mi urągać.

– Nie okłamuj mnie, Petyrze.

– Zawsze mówię prawdę, Charlotte – opisałem jej całe zjawisko i wyznałem jego dziwne słowa. – Cóż więc to może oznaczać, moja śliczna? Myślisz, iż nie posiada on własnej woli? Jesteś głupia, Charlotte. Połóż się z nim, a nie ze mną! – roześmiałem się; i ujrawszy ból w jej oczach śmiałem się jeszcze bardziej. – Chciałbym to ujrzyć, ciebie z twym demonem. Połóż się tutaj i wezwij go, by przybył.

Uderzyła mnie. Śmiałem się coraz bardziej, znajdując słodycz w owym piekącym bólu, i nagle znowu wymierzyła mi policzek, i znowu; i miałem to, czego chciałem; ogarnięty furią chwyciłem ją za nadgarstki i cisnąłem na łożo. Zdzierałem suknie i wstążki, którymi związała swe włosy. A ona równie brutalnie obeszła się ze świetnymi szatami, w które odziały mnie jej służące; i znowu byliśmy w łożu, razem, rozpaleni jak przedtem.

W końcu, gdy stało się to już trzy razy i leżałem w półśnie, wyszła bez słowa; zostałem sam, jedynie ryk morza mając za kompana.

Późnym popołudniem wiedziałem już, iż nie zdołam się wydostać z owego domku, bowiem spróbowałem to uczynić. Starłem się wyważyć drzwi, posługując się jedynym krzesłem w tej komnacie. Usiłowałem wspiąć się po ścianie i prześliznąć wokół węgła domu. Podjąłem próbę przecisnięcia się poprzez malutkie okienka. Wszystko na próżno. Owo miejsce zostało dokładnie wykonane na więzienie. Spróbowałem nawet dostać się na dach, lecz jego konstrukcję również starannie przemyślano i zabezpieczono. Był on niezwykle

stromo pochylony; dachówki zbyt śliskie, a wspinaczka o wiele za długa i zbyt niebezpieczna. O zmierzchu przyniesiono mi wieczerzę, wsuwając przez jedno z okienek półmisek za półmiskiem; po długim wahaniu zasiadłem do jedzenia, z powodu nudy raczej, i bliskości obłędu, niż z głodu.

Gdy słońce zanurzyło się w morzu, siedziałem u balustrady, popijając wino i wpatrując się w ciemny błękit fal, rozbijających się pianistymi bałwanami o czysty piasek.

Przez cały czas mej niewoli ani jeden człowiek nie pojawił się na nabrzeżu. Podejrzewam, iż do tego miejsca dostać się można jedynie morzem. Lecz ktokolwiek przyплыnąłby tu, musiałby zginąć, bowiem, jak powiedziałem, żadna droga nie wiedzie w górę urwiska.

Lecz jakże piękne dla oczu było owo miejsce. I coraz bardziej pijany, zapamiętałem się w kontemplowaniu kolorów morza, w zmieniającym się w ciągu dnia oświetleniu czułem się tak, jakby rzucono na mnie czar.

Gdy słońce zniknęło, wspaniała płomienna smuga, niby warstwa ognia, pokryła horyzont, od krańca do krańca świata. Trwało to może godzinę, a potem przez chwilę niebo było bladoróżowe, by w końcu przejść w głęboki błękit zlewający się z barwą morza.

Postanowiłem oczywiście, iż nigdy więcej nie tknę Charlotte, bez względu na to, jakich sposobów użyje, by mnie skusić; gdy pojmie, iż jestem dla niej bezużyteczny, pozwoli mi odejść. Lecz podejrzewałem, iż raczej mnie zabije, lub zrobi to jej demon. I nie wątpiłem, że nie zdoła go powstrzymać.

Nie wiem, kiedy zasnąłem ani jak późno było, gdy się przebudziłem i ujrzałem, iż Charlotte przysła i siedzi teraz przy świetle świec. Podniosłem się, by napełnić winem szklanicę, bowiem znajdowałem się całkowicie we władaniu pijaństwa i odczuwałem nieznośne pragnienie już w kilka minut po przełknięciu ostatniego łyku.

Nie odezwałem się ani słowem, lecz byłem przerażony wrażeniem, jakie robi na mnie piękność tej kobiety; gdy tylko ujrzałem Charlotte, me ciało jakby

otrząsnęło się ze snu i zapragnęło jej; spodziewałem się, iż znowu rozpoczną się stare gierki. W milczeniu sam sobie udzieliłem surowej nagany; lecz ciało me nie jest niedorosłym uczniakiem.

Śmiało mi się prosto w nos, można by rzec. I nigdy nie zapomnę wyrazu jej twarzy, gdy spojrzała na mnie odgadując najtajniejsze sekrety mego serca.

Równocześnie zbliżyliśmy się ku sobie. I owa słabość upokorzyła nas oboje.

W końcu, gdy znowu skończyliśmy się kochać i siedzieliśmy uspokojeni, Charlotte poczęła do mnie mówić.

– Nie uznaję żadnych praw – rzekła. – Przekleństwem mężów i niewiast są nie tylko słabości. Dla niektórych z nas przekleństwem są także cnoty. A moją cnotą jest siła. Mam władzę nad tymi, którzy mnie otaczają. Pojęłam to, gdy byłam dzieckiem. Moi bracia we wszystkim mi ulegali i gdy oskarżono matkę, błagałam, by pozwoliła mi pozostać w Montecleve, bowiem byłam pewna, iż zdołam odwrócić ich świadectwa na jej korzyść.

– Lecz nie chciała się zgodzić, a nad nią jedną nigdy nie miałam władzy. Całkowicie posłuszny jest mi Antoine i było tak od naszego pierwszego spotkania. Rządzę tym domem z taką zręcznością, iż zwróciło to uwagę innych plantatorów; teraz przychodzą oni do mnie po radę. Można by rzec, iż władam całą okolicą, bowiem jestem tu najbogatszym plantatorem, i mogłabym zapewne wziąć w swe władanie całą kolonię, gdybym tego chciała.

– Zawsze miałam ową siłę i widzę, iż ty posiadasz ją również. To ona pozwala ci występować przeciwko wszelkiej władzy, kościelnej i świeckiej, przybywać do wsi i miasteczek ze stekiem kłamstw i wierzyć w to, co czynisz. Jednemu tylko jesteś posłuszny na tym świecie – Talamasce, lecz nawet twoje posłuszeństwo wobec Zgromadzenia nie jest zupełne.

Nigdy o tym nie myślałem, lecz to prawda. Wiesz o tym, Stefanie, iż niektórzy z naszych członków nie mogą pracować w terenie, bowiem brak im sceptycyzmu w stosunku do przepychu i uroczystych obrzędów. Miała więc rację.

Nie powiedziałem jej jednak tego. Piłem wino i patrzyłem na wodę. Księżyc wzeszedł i ścielił poprzez morze ścieżkę swego światła. Dziwiłem się, iż tak niewiele czasu poświęciłem w życiu na obserwowanie oceanu.

Zdawało mi się, iż przebywam już od dawna w mym niewielkim więzieniu na skraju urwiska i nie znajdowałem w tym nic nadzwyczajnego.

Charlotte wciąż do mnie mówiła:

– Zamieszkałam w doskonałym miejscu, gdzie najlepiej mogę wykorzystać mą siłę – rzekła. – Zamierzam mieć wiele dzieci, nim umrze Antoine. Będę miała wiele dzieci! Jeżeli pozostaniesz ze mną jako mój kochanek, nie zabraknie ci niczego.

– Nie mów takich rzeczy. Wiesz, iż to niemożliwe.

– Rozważ to. Uczysz się poprzez obserwowanie. Czegóż więc nauczyłeś się obserwując rzeczy tutaj? Jeśli zapragniesz wybuduję na mej ziemi dom dla ciebie i bibliotekę tak wielką, jak tylko zechcesz. Mógłbyś przyjmować swych przyjaciół z Europy. Będziesz miał wszystko.

Zastanawiałem się przez dłuższy czas, zanim jej odpowiedziałem, tak jak o to prosiła.

– Potrzebuję czegoś więcej, niż możesz mi ofiarować – rzekłem w końcu. – Nawet jeśli zdołałbym pogodzić się z tym, iż jesteś mą córką i że nie obowiązują nas, by się tak wyrazić, prawa natury.

– Jakież znowu prawa? – zadrwiła.

– Pozwól, bym skończył, wtedy się dowiesz. Potrzebuję czegoś więcej niż tylko cielesnych rozkoszy, więcej nawet niż piękno morza i nie wystarczy mi nawet, by każde me życzenie było natychmiast spełniane. Potrzebuję czegoś więcej niż pieniędzy.

– Dlaczego?

– Bowiem lękam się śmierci – odrzekłem. – Nie wierze w nic i dlatego, podobnie jak wielu, którzy w nic nie wierzą, muszę coś stwarzać, by nadało ono sens memu życiu. Ratowanie czarownic, studiowanie zjawisk

nadprzyrodzonych, to właśnie me nieprzemijające rozkosze; dzięki nim zapominam, iż nie wiem, dlaczego rodzimy się i dlaczego umieramy, ani w jakim celu istnieje świat.

– Gdyby żył mój ojciec, zostałbym chirurgiem, badał funkcjonowanie ciała i ilustrował swe studia pięknymi rysunkami, tak jak on to czynił. I gdyby członkowie Talamaski nie znaleźli mnie po śmierci mego ojca, niewykluczone, że zostałbym malarzem, bowiem stwarzają oni na swych płótnach całe światy znaczeń. Lecz teraz nie mogę być ani jednym, ani drugim, nigdy się bowiem nie ćwiczyłem w owych profesjach i jest już na to za późno; muszę więc powrócić do Europy i czynić to, co zawsze. Muszę. Nie jest to sprawa wyboru. Oszalałbym w tym niecywilizowanym miejscu. Znienawidziłbym cię jeszcze bardziej, niż nienawidzę cię teraz.

Me słowa wielce ją zaciekały, chociaż zraniłem ją i rozczarowałem. Jej twarz, gdy na mnie patrzyła, nabrała tragicznego wyrazu; i nigdy jeszcze me serce tak bardzo nie wyrywało się do niej, jak wtedy, gdy siedząc naprzeciw mnie w milczeniu, zastanawiała się nad usłyszana odpowiedzią.

– Mów ze mną – rzekła. – Opowiedz mi wszystko o swym życiu.

– Nie uczynię tego!

– Dlaczego?

– Bowiem prosisz o to i więzisz mnie tutaj.

Znowu rozmyślała w milczeniu; jej piękne oczy wypełniał smutek.

– Czyż nie przybyłeś tutaj, by uczyć mnie i kształcić?

Uśmiechnąłem się do niej, gdyż była to prawda.

– Dobrze więc, córko. Powiem ci wszystko, co wiem. Jesteś zadowolona?

I w owej chwili, drugiego dnia mego uwięzienia, wszystko stało się inne i było już takie, aż do owej godziny wiele dni później, gdy odszedłem stamtąd, wolny. Nie zdawałem sobie wówczas z tego sprawy, lecz niewątpliwie nastąpiła wyraźna zmiana.

Bowiem odtąd już więcej nie walczyłem. Z Charlotte, ani z mą miłością i

pożądaniem, które nie zawsze były ze sobą splecione, lecz nigdy nie usypiały.

Cokolwiek się działo w owych dniach, które nastąpiły od tego momentu, rozmawialiśmy godzinami; ja w alkoholowym upojeniu, a ona w swej wyostrej trzeźwości; i każde zdarzenie z mego życia zostało opowiedziane, by mogła je rozważyć i przedyskutować; a także wszystko to, co wiedziałem o świecie, a było tego niemało.

Wydawało się, iż me życie składa się teraz jedynie z pijaństwa, miłości i owych rozmów, przeplatanych długimi, sennymi godzinami poświęconymi kontemplacji nieustannie zmieniającego się morza.

Pewnego razu, nie mam pojęcia po jak długim czasie – może po pięciu dniach, a może później – przyniosła mi pióro i papier prosząc, bym spisał dla niej wszystko, co wiedziałem o swym pochodzeniu, o rodzinie mego ojca; i w jaki sposób został on medykiem, tak jak jego ojciec; o ich studiach w Padwie i o wiedzy, którą posiadli i przekazywali w księgach. Chciała znać nawet tytuły pism mego ojca.

Uczyłem to z przyjemnością, chociaż tak bardzo byłem pijany, iż zajęło mi to wiele godzin; potem, gdy zabrała poczynione notatki, leżałem próbując przypomnieć sobie, jakim człowiekiem byłem dawniej.

Służące Charlotte odziewały mnie każdego dnia w specjalnie dla mnie uszyte, wspaniałe szaty, chociaż leżałem nie zwracając uwagi na takie rzeczy; z podobną obojętnością pozwalałem, by obcinały mi paznokcie i strzygły włosy.

Nie dostrzegałem w tym nic podejrzanego; sądziłem jedynie, iż czynią to ze zwyczajnej im drobiazgowej troskliwości, do której już się przyzwyczailem; lecz pewnego dnia Charlotte pokazała mi szmacianą kukielkę wykonaną z koszuli, którą miałem na sobie, gdy tu przybyłem i objaśniła, iż w jej licznych supłach zawiązała obcięte mi wcześniej paznokcie, a do głowy kukielki przymocowała me własne włosy.

Znajdowałem się wówczas w pijackim odrętwieniu, jak to sobie z całą pewnością zaplanowała. Bez słowa przypatrywałem się, jak rozcięła nożem mój

palec, pozwalając krwi spłynąć w ciało kukielki. Zabarwiła ją całą, aż stała się ona czerwoną laleczką z blond włosami.

– Co zamierzasz uczynić z ową odrażającą rzeczą! – zapytałem.

– Wiesz dobrze – odrzekła.

– Więc ma śmierć jest postanowiona?

– Petyrze – rzekła wielce błagalnym tonem; łzy napłynęły do jej oczu. – Mogą upłynąć lata całe, nim umrzesz, lecz ów przedmiot daje mi władzę.

Nic nie odrzekłem. Gdy odeszła, zająłem się rumem, zawsze przynoszonym tam dla mnie, który, naturalnie, był znacznie mocniejszy od wina; upijałem się nim dotąd, aż zaczęły nawiedzać mnie koszmarne wizje.

Lecz dopiero później owo drobne zajście z kukielką wywołało we mnie straszliwe przerażenie; podszedłem więc znów do stołu, ująłem pióro i spisałem dla niej wszystko, co było mi wiadome o demonach; lecz tym razem uczyniłem to, by zostawić jej wskazówki, nie miałem już bowiem nadziei, iż zdołam ją przestrzec.

Czułem, iż powinna wiedzieć, że:

– starożytni, tak jak my dzisiaj, wierzyli w duchy; lecz uważali, iż mogą się one zestarzeć i umrzeć; u Plutarcha znajdujemy opowieść o potężnym Panie, który umarł w końcu, i wszystkie demony na świecie opłakiwały jego śmierć, bowiem pojęły, iż pewnego dnia one także zakończą swój żywot.

– gdy dawne ludy zostały podbite, wierzono, iż ich pokonani bogowie stali się demonami i krążyli w pobliżu ruin miast i świątyń.

I powinna ona pamiętać, że Zuzanna wzywała swego demona, Lashera, w starożytnym kamiennym kręgu w Szkocji; chociaż nie wiemy nic o ludziach, którzy ustawili owe kamienie.

– wcześnie chrześcijanie trwali w przekonaniu, iż pogańscy bogowie to demony, które można było wezwać dla rzucenia klątwy lub uroku.

Krótko mówiąc, wszystkie owe wierzenia są ze sobą w zgodzie, wiemy bowiem, iż siła demonów rośnie dzięki naszej wierze w ich istnienie. W

naturalny więc sposób mogły być bóstwami dla ludzi, którzy je wzywali; a gdy owi ich czciciele zostali podbici i rozproszeni, demony odeszły na powrót w otchłań chaosu lub pozostały jedynie pomniejszych bytami, zjawiającymi się na wezwanie przygodnego czarownika.

Pisałem dalej o potędze demonów. Iż potrafią one tworzyć dla nas złudne iluzje; mogą nawiedzać ciała ludzi; potrafią poruszać przedmioty; i mogą ukazywać się nam, chociaż nie wiemy, w jaki sposób przybierają fizyczne kształty.

Co do Lashera, to jestem przekonany, iż ciało tworzą cząstki materii utrzymywane razem dzięki potędze woli; lecz jest on zdolny do takiego wysiłku jedynie przez krótką chwilę.

Opisałem dalej, jak ów *daimon* ukazał się mym oczom; przytoczyłem jego dziwne słowa i przedstawiłem swoje rozważania nad nimi. Charlotte musi wiedzieć, iż owo coś może być upiorem jakiejś dawno zmarłej osoby, przywiązany do tego padolu i poszukującym zemsty; bowiem starożytni wierzyli, iż dusze tych, którzy umarli młodo lub zginęli gwałtowną śmiercią, mogą stać się mściwymi demonami, podczas gdy dusze prawych opuszczają ten świat.

Cóż jeszcze dla niej napisałem – a było tego wiele – nie pamiętam, ponieważ byłem wówczas całkowicie we władaniu alkoholu, i może to, co wręczyłem Charlotte następnego dnia, było jedynie stertą żalonych gryzmołów. Próbowałem objaśnić jej wiele rzeczy, nie zważając na jej protesty, bowiem twierdziła, iż wszystko to powiedziałem już wcześniej.

Co się tyczy słów, które Lasher wyrzekł do mnie owego ranka, jego dziwnej przepowiedni, wywoływały one jedynie uśmiech na twarzy Charlotte; ilekroć o tym wspominałem, odpowiadała, iż Lasher gromadził fragmenty naszych wypowiedzi i wiele z tego, co mówił, nie miało w ogóle żadnego sensu.

– Jedynie w części jest to prawdą – ostrzegałem ją. – Jest on nieobyty z mową, lecz nie z myśleniem. Strzeż się popełnienia tego błędu w rozumowaniu.

Z każdym kolejnym dniem rum i sen pochłaniały mnie coraz bardziej. Otwierałem oczy jedynie, by sprawdzić czy ona jest ze mną.

I za każdym razem, gdy jej nieobecność doprowadzała mnie do szaleństwa i gotów byłem w furii okładać ją pięściami, zjawiała się niezawodnie.

Byłem nasycony pod każdym względem, lecz wciąż łaknąłem więcej. Od czasu do czasu wypelzałem z łoża, by popatrzeć na morze. Wiele razy budziłem się, by ujrzeć, iż pada deszcz i pogrążyć się w kontemplacji tego zjawiska.

Bowiem deszcz w owym miejscu był ciepły i łagodny, i pokochałem pieśń, którą wyśpiewywał uderzając o dach, i widok jego płachty w otwartych drzwiach, gdy unoszona przez wiatr chwytała padające pod kątem światło.

Wiele myśli nawiedzało mnie, Stefanie, myśli wypieszczonych przez samotność, ciepło, śpiew ptaków w oddali i słodkie, świeże powietrze znad fal rozbijających się z łagodnym rykiem o plażę w dole.

W mym małym więzieniu pojąłem dobrze, co zmarnowałem w swym życiu; lecz jest to zbyt smutne i proste, by wyrazić słowami. Czasami wyobrażałem sobie, iż przeistoczyłem się w szalonego króla Leara błakającego się po wrzosowisku, wplatającego kwiaty we włosy, władcę panującego nad pustkowiem.

Bowiem w owym dzikim miejscu ma dusza uległa wielkiemu uproszczeniu i stałem się wdzięcznym badaczem deszczu i oceanu.

I w końcu, pewnego późnego popołudnia, gdy gasło właśnie światło dnia, obudził mnie smakowity zapach gorącej wierzery; od razu wiedziałem, iż nie wytrzeźwiałem od dwudziestu czterech godzin i że ona nie przyszła przez ten cały czas.

Pozarłem posiłek, bowiem trunek nigdy nie osłabia mego apetytu, a potem odziałem się w świeże szaty i usiadłem, rozmyślając o tym, co się ze mną stało. Próbowałem obliczyć, od jak dawna przebywam w owym ustroniu.

Przypuszczałem, iż dwanaście dni.

Postanowiłem wówczas, iż bez względu na to, jak wielkie ogarnie mnie

przygnębienie, nie będę więcej pił. Muszę odzyskać wolność; inaczej oszaleję.

I, pełen odrazy dla swej słabości, włożyłem buty, których nie tknąłem przez cały ten czas, naciągnąłem na siebie nowy surdut, przyniesiony mi już dawno przez Charlotte, i stanąłem przy balustradzie, by patrzeć na morze. Byłem pewien, iż raczej mnie zabije niż pozwoli odejść. Lecz musi to zostać wyjaśnione. Nie byłem w stanie dłużej znosić owej sytuacji.

Upłynęło wiele godzin; nie tknąłem trunku. W końcu przyszła Charlotte. Była znużona po długim dniu poświęconym doglądaniu plantacji; gdy ujrzała, iż jestem odziany w buty i surdut, opadła na krzesło i zalała się łzami.

Nie wyrzekłem ni słowa, bowiem z pewnością do niej tylko – a nie do mnie – należała decyzja, czy opuszczę owo miejsce, czy też nie. W końcu rzekła:

– Poczęłam; spodziewam się dziecka.

I znowu, nic nie odrzekłem. Lecz wiedziałem, iż to właśnie musiało być przyczyną jej długiej nieobecności.

W końcu, gdy już tak od długiej chwili siedziała w milczeniu, smutna i strapiona, szlochając ze zwieszoną głową, odezwałem się:

– Pozwól mi odejść, Charlotte.

Odrzekła, iż muszę jej przysiąc, że nie zwlekając opuszczę wyspę. I że nie wolno mi opowiedzieć nikomu o tym, co wiem o niej i jej matce, ani o tym, co wydarzyło się między nami.

– Charlotte – rzekłem – odpłynę do Amsterdamu pierwszym niderlandzkim statkiem, jaki zdołam znaleźć w porcie i nigdy więcej mnie nie ujrzysz.

– Lecz musisz przysiąc, iż nie zdradzisz naszych tajemnic, nawet swym braciom w Talamasce.

– Oni wiedzą. I opowiem im o wszystkim, co się wydarzyło. Są mi ojcem i matką.

– Petyrze – rzekła – czy nie masz dosyć rozsądku, by skłamać?

– Charlotte, pozwól mi odejść teraz lub zabij mnie.

Znowu płakała, lecz był teraz we mnie tylko chłód; dla niej i dla siebie. Nie

chciałem na nią spojrzeć z obawy, by me pożądanie nie wybuchło na nowo.

W końcu osuszyła oczy.

– Kazałam mu przysiąc, iż nigdy nie uczyni ci krzywdy. Wie, iż straci mą miłość i zaufanie, jeżeli nie posłucha mych rozkazów.

– Zawarłaś pakt z wiatrem – odrzekłem.

– Lecz on uważa, iż powiesz o wszystkim swym braciom w Zgromadzeniu.

– Tak właśnie uczynię.

– Petyrze, daj mi swe słowo! Przysięgnij mi, bym mogła to usłyszeć.

Rozważyłem to, bowiem tak bardzo pragnąłem wydostać się z owego miejsca żywy. Wierzyłem, iż jest to wciąż możliwe; w końcu powiedziałem:

– Charlotte, nigdy nie wyrządę ci krzywdy. Moi bracia i siostry w Talamasce nie są księżmi, inkwizytorami, czy też czarownikami. Wszystko, co o tobie wiedzą, pozostanie tajemnicą.

Spojrzała na mnie smutnymi, pełnymi łez oczyma, a potem podeszła i pocałowała mnie i chociaż pragnąłem zamienić się w kawałek drewna, nie potrafiłem tego uczynić.

– Ostatni raz, Petyrze, ostatni raz, z głębi serca – rzekła, a głos jej pełen był smutku i tęsknoty. – A potem możesz odejść na zawsze i nigdy więcej nie spojrzę w twe oczy, dopóki pewnego dnia nie spojrzę w oczy naszego dziecka.

Począłem całować ją w zapamiętaniu, bowiem wiedziałem już, iż pozwoli mi odejść. Ponadto byłem pewien jej miłości. Wierzyłem też w owej ostatniej godzinie, gdy leżeliśmy razem, że tak jak mówiła, nie wiążą nas żadne prawa i że łączyło nas uczucie, którego nikt inny nie zdołałby pojąć.

– Kocham cię, Charlotte – wyszeptałem do niej, leżącej przy moim boku, i ucałowałem jej czoło. Lecz nie odpowiedziała. Nie patrzyła na mnie.

Gdy ubierałem się znowu, wtuliła twarz w poduszkę i zapłakała.

Podszedłszy do drzwi ujrzałem, iż nie zostały wcale zaryglowane po jej wejściu; i ciekaw jestem ile razy już tak było.

Lecz w owej chwili nie miało to już znaczenia. Ważne było jedynie, iż

odejdę, o ile ów przeklęty duch mnie nie zatrzyma; i nie wolno mi spojrzeć za siebie, ani do niej przemówić, poczuć w nozdrzach jej słodkiego zapachu ani pomyśleć nawet o miękkim dotyku jej ust i dłoni.

I dla tej przyczyny nie poprosiłem o konie, ani powóz, by zawiozły mnie do Port-au-Prince. Postanowiłem po prostu odejść bez słowa.

To jedynie godzina jazdy, lub coś koło tego i wyobrażałem sobie, iż skoro było wciąż przed północą, bez trudu uda mi się dotrzeć do miasta zanim wszędzie słońce. Och, Stefanie, Bogu niech będą dzięki, iż nie wiedziałem wówczas, jaka czeka mnie droga! Nie znalazłbym dosyć odwagi, by w nią wyruszyć!

Lecz pozwól przerwać w tym miejscu me opowiadanie, bowiem bazgrzę już od dwunastu godzin. Znowu jest północ i czuję bliskość owej istoty.

Dla tej przyczyny włożę zapisane stronice do mej żelaznej skrzynki, tak iż przynajmniej one dotrą do ciebie, jeżeli nawet to, co jeszcze przedstawię na papierze, zaginie.

Miłuję Cię, drogi przyjacielu, i nie oczekuję Twego przebaczenia. Zachowaj jedynie mą relację, bowiem to jeszcze nie koniec tej przerażającej historii i być może przeminie wiele pokoleń, nim znajdzie ona swój koniec. Wiem to z własnych słów owego ducha.

Twój w Talamasce -

Petyr van Abel

Stefanie,

Zażywszy krótkiego odpoczynku, znowu rozpoczynam pisanie. Owa istota jest tutaj. Przed chwilą ukazał się znowu, w ludzkiej postaci, zaledwie parę centymetrów ode mnie, jak to ma w zwyczaju, i sprawił, iż zgasła świeca – chociaż ów demon nie ma oddechu, którym mógłby to uczynić.

Musiałem zejść na dół, by postarać się o nową świecę. Gdy powróciłem do mej komnaty, zastałem otwarte okna trzaskające na wietrze; musiałem ponownie je zaryglować. Atrament był wylany, lecz na szczęście mam go więcej. Posłanie zostało zerwane z łoża, a książki rozrzucone po całej izbie.

Dzięki Bogu, żelazna skrzynka jest już w drodze. Lecz dość o tym, być może owa istota potrafi czytać.

Słyszę w mej ciasnej komnacie jakby łopot skrzydeł, a potem śmiech.

Chciałbym wiedzieć, czy daleko, w swej sypialni w *Maye Faire*, Charlotte nie zapadła właśnie w sen i czy nie dla owej przyczyny jestem ofiarą tych sztuczek.

Jedynie przybytki sprośności i tawerny są wciąż otwarte, poza tym kolonialne miasteczko pogrążone jest w ciszy.

Lecz pozwól, bym zdał Ci sprawę z wypadków poprzedniej nocy, tak szybko, jak tylko zdołam...

... Wyruszyłem w drogę pieszo. Księżyc stał wysoko na niebie; wyraźnie widziałem ścieżkę przed sobą, pełną zakrętów i nagłych zwrotów, tu i ówdzie

wspinającą się łagodnie na coś, co z trudem tylko można by nazwać pagórkiem, i znowu opadającą w dół.

Szedłem szybko, pełen energii; wolność przyprawiała mnie o zawrót głowy; wolność, a także odkrycie, iż demon nie próbuje mnie powstrzymać; zachwycił mnie słodki zapach, który wdychałem i myśl, że zdołam może dojść do Port-au-Prince jeszcze przed świtem.

Żyję, myślałem; wydostałem się z więzienia; i może ujrzę znowu nasz Dom!

Wierzyłem w to coraz bardziej wraz z każdym kolejnym krokiem; i dziwowałem się temu, bowiem w czasie mej niewoli porzuciłem już wszelką nadzieję na taki obrót rzeczy.

Jednak mój umysł nieustannie nawiedzały myśli o Charlotte, jakby rzucono na mnie czar; ujrzałem ją leżącą w łóżu, jak wtedy, gdy od niej odchodziłem, i począłem opadać z sił; pomyślałem nawet, iż głupiec ze mnie, skoro porzuciłem taką piękność i tak podniecające doznania, bowiem zaprawdę, miłowałem ją do szaleństwa! Jakże by było cudownie, rozmyślałem, gdybym mógł pozostać tam i być jej kochankiem; ujrzeć jak jedno po drugim, przychodzą na świat me dzieci i wieść życie w przepychu, który mi ofiarowywała. Zdało mi się, iż nie zdołam znieść rozstania z nią na zawsze.

Spróbowałem więc przestać o tym myśleć. Wyrzucałem owe wspomnienia z mego umysłu, gdy tylko uprzytomniałem sobie, iż znowu zdołały się doń wkraść.

Szedłem wciąż do przodu. Od czasu do czasu dostrzegałem światełko nad ciemnymi polami, po jednej lub drugiej stronie drogi. Raz minął mnie jeździec, przemknąwszy z ogłuszającym dudnieniem kopyt, jakby wysłano go z jakimś arcyważnym zadaniem. Nie widział mnie nawet. Szedłem dalej samotnie, jedynie księżyc i gwiazdy były świadkami mej wędrówki, i szkicowałem w myśli mój list do Ciebie, rozważając, w jaki sposób najlepiej opisać to wszystko, co się wydarzyło.

Znajdowałem się w drodze może od trzech kwadransów, gdy wtem

dostrzegłem przed sobą mężczyznę, stojącego w pewnym oddaleniu i przyglądającego się po prostu, jak się zbliżam. A szczególne wydało mi się to, iż był on Niderlandczykiem, co poznałem po olbrzymim, czarnym kapeluszu, który nosił.

Mój własny kapelusz pozostał na plantacji. Miałem go ze sobą, gdy przybyłem do Maye Faire, lecz nie widziałem go od czasu, kiedy oddałem go pod opiekę niewolników, przed wieczerzą pierwszego wieczora.

I teraz, gdy ujrzałem owego wysokiego mężczyznę, przypomniałem sobie o mym kapeluszu i jąłem żałować straty; ciekaw byłem także, kim jest ów Niderlandczyk, który, stojąc na brzegu drogi, patrzył prosto w mą twarz; tajemnicza sylwetka mająca blond włosy i bródkę.

Zwolniłem kroku. Postać wciąż trwała w bezruchu; im bardziej się zbliżałem, tym wyraźniej dostrzegalem, iż jest coś dziwnego w tym, by człowiek stał tak beczynnie, w mrokach nocy, samotny; pomyślałem wówczas, iż jestem głupcem, bowiem jest to tylko inny mężczyzna, i dlaczegoż miałbym z jego powodu czuć się w owych nocnych ciemnościach zupełnie bezbronny?

Lecz ledwo przyszło mi to na myśl, a zbliżyłem się już na tyle, by ujrzeć twarz nieznanego, zobaczyłem, iż stoi tam mój własny sobowtór. Nagle owa kreatura doskoczyła do mnie; była już nie dalej niż parę centymetrów ode mnie, z jego ust dobywał się mój własny głos.

– Ach, Petyrze, zapomniałeś o kapeluszu! – krzyknął demon, i zaśmiał się przeraźliwie.

Upadłem na plecy; słyszałem łomot serca w mych piersiach. Pochylił się nade mną jak sęp.

– Och, Petyrze, podnieśże swój kapelusz; pozwoliłeś, by upadł w kurz.

– Odejdź, zniknij, przepadnij! – krzyczałem w przerażeniu, odwracając się od niego i zakrywając głowę rękoma. Gramoliłem się jak nędzny krab, usiłując uciec. A potem, podniósłszy się, rzuciłem się na niego, jak byk – po to jedynie, by odkryć, iż walczę z pustym powietrzem.

Tylko ja jeden byłem na drodze, ja i mój czarny kapelusz, zgnieciony i walający się w kurzu.

Trzęsąc się jak dziecko, podniosłem go i otrzepałem.

– Idź do diabła, duchu! – krzyknąłem. – Znam twe sztuczki.

– Czyżby? – jakiś głos odezwał się do mnie; tym razem był to głos niewieści. Odwróciłem się szybko, by spojrzeć na ową kreaturę! I zobaczyłem Deborę; wyglądała tak jak w swych dziewczęcych latach; lecz było to jedynie jej ciało.

– To nie ona. Ty kłamco z piekła rodem!

Lecz, Stefanie, to jedno spojrzenie rzucone na nią było jakby miecz przeszywający me serce. Zobaczyłem bowiem jej dziewczęcy uśmiech i błyszczące oczy. Szloch wypełnił me gardło. „Bądź przeklęty, duchu”, wyszeptalem. Wzrokiem przeszukiwałem mroki nocy, usiłując odnaleźć jej wizerunek. Pragnąłem ją zobaczyć, nieważne, prawdziwą czy złudzenie. Czułem się skończonym durniem.

Noc była spokojna. Lecz nie ufałem owej ciszy. Powoli zapanowałem nad drżeniem mych członków i włożyłem kapelusz.

Ruszyłem znowu, lecz o wiele wolniej niż przedtem. Gdziekolwiek bym spojrzał, wydawało mi się, iż dostrzegam jakąś twarz lub sylwetkę, lecz były to tylko sztuczki ciemności – drzewa bananowe poruszające się na wietrze czy owe olbrzymie czerwone kwiaty, drzemiące na swych wiotkich łodygach sterczących zza przydrożnych płotów.

Postanowiłem patrzeć wprost przed siebie. Lecz wówczas mych uszu dobiegł odgłos kroków za plecami; usłyszałem czyjś oddech. Jednostajny tupot; rytm kłócący się z tempem mych własnych kroków; postanowiłem nie zwracać na to uwagi, lecz oto znowu poczułem na karku gorący oddech owej istoty.

– Bądź przeklęty! – krzyczałem, obracając się gwałtownie, tylko po to, by ujrzeć skończoną okropność wyłaniającą się z ciemności, jeszcze jeden potworny wizerunek mej własnej osoby, lecz tym razem zamiast twarzy była

tylko naga czaszka buchająca ogniem.

Z pustych oczodołów, pod jasnymi włosami i niderlandzkim kapeluszem, wypełzały płomienie.

– Idź do diabła! – wrzasnąłem, odpychając to coś z całych swych sił, gdy waliło się na mnie, parząc ogniem. A tam, gdzie spodziewałem się napotkać jedynie opór powietrza, było twarde ciało.

Warcząc, jakbym sam był potworem, zmagalem się z owym widmem i w końcu odepchnąłem je; dopiero wówczas zniknęło, jeszcze raz buchnąwszy wielkim płomieniem.

Zdałem sobie sprawę, iż upadłem, wcześniej tego nie czując. Klęczałem, spodnie miałem rozdarte. Nie byłem zdolny myśleć o niczym, oprócz ognistej czaszki, którą przed chwilą widziałem. Znowu trząsałem się jak głupiec nie potrafiący zapanować nad własnym ciałem. Noc była coraz ciemniejsza, bowiem księżyc nie stał już tak wysoko i jeden Bóg wiedział, jak długo musiałbym jeszcze maszerować tą drogą, by dojść do Port-au-Prince.

– Dobrze, nikczemniku – rzekłem. – Nie dam wiary swym oczom, bez względu na to, co mi objawia.

I nie wahając się dłużej, obróciłem się we właściwym kierunku i począłem biec. Mknąłem, z oczyma wbitymi w ziemię, dopóki nie zabrakło mi tchu. Wówczas zwolniwszy kroku, szedłem dalej, równie zawzięcie wpatrując się w kurz na ścieżce.

Nie minęła nawet chwila, gdy ujrzałem czyjeś stopy, tuż przy swoich, nagie i krwawiące, lecz nie zwracałem na nie uwagi, wiedziałem bowiem, iż nie mogą być prawdziwe. Czuję zapach spalanego ciała, lecz zignorowałem go.

– Przejrzałem twe gierki – rzekłem. – Ślubowałeś, iż nie wyrządzisz mi krzywdy, trzymasz się więc danej Charlotte obietnicy. Chcesz doprowadzić mnie do szaleństwa, prawda? – Lecz wówczas przypomniałem sobie nauki starożytnych głoszące, że przemawiając do demona, wzmacnia się jedynie jego siły. Zamilkłem więc i jąłem powtarzać dawne modlitwy.

„Niech siły dobra strzegą mnie, niech wyższe duchy strzegą mnie, niech żadne zło mnie nie dosięgnie; niech białe światło rozjaśnia mą drogę i ochrania przed ową istotą.”

Stopy, które towarzyszyły moim, przepadły, a wraz z nimi swąd palonego ciała. Lecz słyszałem teraz złowieszczy dźwięk, dochodzący z jakiegoś miejsca daleko przede mną. Był to jakby odgłos rozłupywanego na wiele kawałków drzewa i, być może, wyrywanie czegoś z ziemi.

To nie złudzenie, pomyślałem. Owa istota wyrywa drzewa z korzeniami, by zwalić je w poprzek drogi.

Szedłem przed siebie, ufny iż zdołam pokonać taką przeszkodę; pamiętając, iż ów stwór igra ze mną i że nie wolno mi wpaść w jego pułapkę. Lecz naraz ujrzałem przed sobą most i pojąłem, iż doszedłem do rzeczki, którą mijaliśmy w drodze do Maye Faire i że słyszane teraz dźwięki dochodzą z cmentarza. Demon otwierał groby!

Ogarnęło mnie przerażenie, o wiele straszliwsze niż wszystko, czego zaznałem dotąd. Wszyscy posiadamy sekretne lęki, Stefanie. Zdarza się, iż człowiek gołymi rękoma walczący z tygrysem drży ze strachu na widok żuczka; ktoś inny znowuż, kto samotnie przebił się przez wrogi oddział, nie potrafiłby znieść zamknięcia w jednym pomieszczeniu z ciałem nieboszczyka.

Zawsze mnie zatrząsały miejsca umarłych; pojawiwszy zatem, co demon zamierza uczynić i że będę musiał przekroczyć mostek i przejść przez cmentarz, poczułem iż ogarnia mnie paraliż i całe ciało spływa potem. Ach, i słysząc coraz głośniejsze rozłupywanie i rozdzieranie, patrząc na rozkołysane nad cmentarzem drzewa, nie miałem pojęcia, w jaki sposób zdołam się kiedykolwiek znowu poruszyć.

Lecz pozostanie w miejscu byłoby szaleństwem. Zmusiwszy się do marszu, krok po kroku, zbliżyłem się do mostka. Ujrzałem spustoszony cmentarz, trumny wydarte z miękkiej, wilgotnej ziemi. Moim oczom ukazały się stwory wylazące z otwartych trumien, czy raczej wyciągane z nich, bowiem przecież

byli martwi; to on poruszał nimi jakby marionetkami.

– Biegnij, Petyrze – krzyknąłem i spróbowałem wykonać swój rozkaz.

W mgnieniu oka przemierzyłem mostek, lecz oni dochodzili już do brzegu rzeczki. Słyszałem ich! Słyszałem, jak przegniłe trumny pękają z trzaskiem pod ich stopami. Złudzenie, oszustwo, powiedziałem sobie znowu, lecz gdy pierwsze z owych straszliwych trupów wlażyły na mą ścieżkę, wrzasnąłem, jak przerażona niewiasta: „Precz ode mnie!”; i nie mogłem się przełamać, by dotknąć zgniłych ramion, które waliły we mnie, jak cepy; potykając się próbowałem ująć ich razów, natychmiast jednak wpadałem na inne rozkładające się zwłoki; w końcu runąłem na kolana.

Modliłem się, Stefanie. Wzywałem głośno ducha mego ojca i ducha Roemera Franza, „Błagam, pomóżcie mi!” W tym samym czasie owe stwory otoczyły mnie już i nacierały coraz ciaśniej; wokół roznosił się niemożliwy do zniesienia fetor, bowiem niektórzy z nich byli niedawno dopiero pochowani, podczas gdy inni znajdowali się już w stadium połowicznego rozkładu, a jeszcze inni cuchnęli jedynie ziemią.

Me ręce i włosy nurzały się w ich ohydnej wilgoci; trzęsąc się, osłaniałem ramionami głowę.

Wówczas usłyszałem bardzo wyraźnie słowa skierowane do mnie i wiedziałem, iż jest to głos Roemera. „Petyrze! Oni są martwi. Są jak owoce, które spadły na trawę w sadzie. Powstań i odepchnij trupy, nie możesz ich obrazić!”

Ośmielony, uczyniłem, jak powiedział.

Znowu począłem biec; wpadałem na nich i potykałem się o ożywione zwłoki, wykonywałem taneczne ewolucje, by odzyskać równowagę, i znowu parłem przed siebie. W końcu zerwałem z siebie surdut i począłem walić nim na oślep; i odkrywszy, iż moi przeciwnicy są pozbawieni siły i niezdolni przypuścić na mnie szturm, odparłem ich razami surduta. Wydostałem się z cmentarza i znowu padłem na kolana, tym razem, by odpocząć.

Wciąż słyszałem za plecami martwe stopy maszerujące z mozołem.

Rzuciwszy spojrzenie przez ramię, zobaczyłem, iż usiłują iść za mną; legion obrzydliwych trupów, jakby pociąganych za sznurki.

Szybko powstałem i ruszyłem naprzód; surdut, uwalany w bitwie plugawą mazią, dźwigałem w rękę, a mój kapelusz, ach, mój bezcenny kapelusz był bezpowrotnie utracony. Po kilku zaledwie minutach ścigający mnie umarlacy zostali w tyle. Przypuszczam, iż w końcu demon ich porzucił.

Szedłem dalej, bolały mnie stopy, a w zmęczonych płucach gorzał straszliwy ogień; spostrzegłem, iż rękawy koszuli poplamiały się w czasie walki. Do mych włosów przywarły strzępy martwego ciała. Uwalane były także me buty. A straszliwy smród miał mi towarzyszyć do samego Port-au-Prince. Lecz wokół mnie była cisza i spokój. Demon odpoczywał! On również wyczerpał swe siły. Nie była to właściwa pora, by martwić się zapachem i wyglądem ubioru. Musiałem się spieszyć.

Począłem, jak szaleniec, przemawiać do Roemera. „Cóż mam uczynić, przyjacielu? Wiesz bowiem, iż ów czart będzie mnie prześladował aż na krańce świata.”

Lecz nie było odpowiedzi i pomyślałem, iż głos Roemera, który słyszałem przedtem, to dzieło mej wyobraźni. Pamiętałem też przez cały czas, iż duch potrafił przywłaszczyć sobie jego głos, jeślibym zbyt długo i gorąco myślał o Roemerze, a wtedy popadłbym w szaleństwo, w obłąd jeszcze straszliwszy niż dotychczas.

Lecz wciąż trwał spokój. Niebo się rozjaśniało. Słyszałem wozy jadące drogą za moimi plecami; widziałem, jak ożywiają się pola po obu jej stronach. I rzeczywiście, wspiąwszy się na szczyt wzniesienia, ujrzałem w dole kolonialne miasto i odetchnąłem z wielką ulgą.

Jeden z owych wozów zbliżył się do mnie; była to mała rozklekotana furmanka, wyładowana owocami i jarzynami wiezionymi na targ; siedzący na koźle dwaj Mulaci zatrzymali wóz i jęli się na mnie gapić. Używając mej

najlepszej francuszczyzny, rzekłem, iż potrzebna mi jest ich pomoc i że Bóg im pobłogosławi, jeśli mi jej udzieli. Przypomniawszy sobie, iż mam przy sobie pieniądze, a przynajmniej miałem je kiedyś, pogrzebałem po kieszeniach i wręczywszy im kilka liwrów, które przyjęli z wdzięcznością, wdrapałem się na wóz.

Ułożyłem się, oparty o wielką stertę jarzyn i owoców, i zapadłem w sen; wóz kołysał i podrzucał, lecz czułem się zupełnie, jakbym podróżował zbytkownym powozem.

Gdy opanował mnie sen, zdało mi się, iż znowu jestem w Amsterdamie i poczułem, że ktoś dotyka mej ręki. Czyjeś delikatne palce poklepywały czule mą lewą dłoń, a ja uniosłem swą prawą, by odwzajemnić pieszczotę w ten sam sposób i, otworzywszy oczy i spojrzawszy w lewo zobaczyłem spalone, poczerwiałe ciało Debory, spoglądające na mnie, nagie i wyschnięte; jedynie jej błękitne oczy pełne były życia, uśmiechała się do mnie, szczerząc zęby spoza zwęglonych warg.

Wrzasnąłem tak głośno, iż wystraszyłem woźniców i konia. Lecz to bez znaczenia; wypadłem z wozu na drogę. Koń pognał do przodu i nie zdołali go zatrzymać; po chwili zniknęli mi z oczu, skrywając się za szczytem pagórka.

Usiadłem na ziemi, skrzyżowawszy nogi, i krzyczałem:

– Przeklęty duchu! Powiedz mi, czegoż chcesz ode mnie! Dlaczego mnie nie zabijesz! Z pewnością jest to w twojej mocy, jeżeli potrafisz czynić takie rzeczy!

Nie odpowiedział mi żaden głos. Lecz wiedziałem, iż Lasher jest tam. Uniósłszy głowę, ujrzałem go, tym razem bez żadnego przerażającego przebrania. Był teraz po prostu ciemnowłosym mężczyzną w skórzanym kaftanie; przystojnym człowiekiem, którego widziałem już dwukrotnie.

Jego ciało zdawało się być uczynione z solidnej substancji, rzucało nawet cień, gdy tak siedział beczynnie na przydrożnym płocie. Spoglądał na mnie z góry, jakby w zamyśleniu, bowiem twarz jego pozbawiona była wszelkiego wyrazu.

Spostrzegłem, iż przypatruję mu się badawczo, jakbym nie znajdował w nim nic przerażającego. Nagle zauważyłem coś, czego zrozumienie ma dla mnie ogromne znaczenie.

Spalone ciało Debory było złudzeniem! Duch wziął ów obraz z mego umysłu i przydał mu pozoru realności. Podobnie z moim sobowtórem! Był tak doskonały jak odbicie w lustrze. I ów demon, z którym walczyłem – jego ciężar również był jedynie omamem.

Trupy, oczywiście, były prawdziwe, lecz to trupy tylko, nic więcej.

Lecz ów człowiek siedzący na płocie – to nie złudzenie. Widziałem ciało, które zbudował sobie ten straszliwy demon.

– A jakże – odezwał się do mnie, lecz znowu jego usta się nie poruszyły. I pojąłem dlaczego. Nie potrafił jeszcze nimi poruszać. – Lecz nauczę się – rzekł. – Nauczę się.

Wciąż się w niego wpatrywałem. Być może wyczerpanie odebrało mi rozum, lecz nie było we mnie strachu. I gdy poranne słońce zaświeciło jaśniej, ujrzałem, iż promienie przechodzą przez niego na wylot! Zobaczyłem, iż cząsteczki, z których zbudował swe ciało, wirują zupełnie tak samo, jak w powietrzu kurz, widziany pod światło.

– Z prochu powstałeś – wyszeptałem, mając w pamięci biblijną frazę. Lecz właśnie w owym momencie począł się rozpyływać. Zbladł, a potem nie było już nic, tylko słońce wschodzące nad polami, najpiękniejsze jakie widziałem w swym życiu.

Czy Charlotte się przebudziła? Czy to ona powstrzymała jego dłoń?

Nie znam odpowiedzi. Może nigdy nie poznam. Niecałą godzinę później dotarłem na me kwatery, zobaczywszy się wprzód z naszym agentem i rozmówiwszy z oberżystą, tak jak Ci to już wcześniej opowiedziałem.

Dawno na mym zacnym czasomierzu minęła północ; ustawiłem go dziś w południe według zegara w gospodzie. A ów diabeł siedzi w komnacie już od pewnego czasu.

Od przeszło godziny pojawia się, w swej ludzkiej postaci, po czym znika; obserwuje mnie. Przysiada to w jednym kącie, to w drugim; raz dostrzegłem, iż przygląda mi się z lustra – Stefanie, w jaki sposób duch może czynić takie rzeczy? Czy oszukuje me oczy? Bowiem z pewnością nie może wejść w szkło! – lecz powstrzymałem się od spojrzenia na niego i zaraz jego wizerunek zgasł.

Teraz zaczyna przesuwać meble i znowu słyszę ów odgłos łopoczących skrzydeł; muszę natychmiast stąd uciec! Wychodzę, by wysłać ten list śladem poprzednich.

Twój w Talamasce -

Petyr

* * *

Stefanie,

Świta już; wszystkie me listy do Ciebie są w drodze, statek, który je wiezie, przed godziną wypłynął z portu; i chociaż bardzo bym pragnął również znaleźć się na jego pokładzie, wiem, iż nie wolno mi. Bowiem jeżeli owa istota zamierza mnie zniszczyć, lepiej by zabrała się do dzieła tutaj, na lądzie, wtedy me listy dopłyną do celu.

Lękam się, iż ów stwór może mieć dość siły, by zatopić statek, bowiem ledwo postawiłem stopę na pokładzie, by rozmówić się z kapitanem i upewnić, iż korespondencja zostanie bezpiecznie przewieziona, gdy natychmiast zerwał się wiatr i deszcz począł uderzać w okna; cały statek się rozkołysał.

Trzeźwy rozsądek podpowiada mi, iż ów łotr nie posiada mocy, potrzebnej do zatopienia okrętu, lecz cóż to by była za tragedia, jeślibym się pomylił. Nie mogę wystawić na takie ryzyko życia innych ludzi.

Więc tkwię tutaj, w zatłoczonej tawernie w Port-au-Prince – drugiej, do której udałem się dzisiejszego ranka – i lękam się zostać sam.

Przed chwilą, gdy powracałem z portu, owa istota tak mnie przeraziła,

ukazując mi wizerunek niewiasty wpadającej pod koła powozu, iż rzuciłem się przed zaprzęg, by ją wyratować; uczyniwszy to przekonałem się, że nie ma tam żadnej kobiety i sam ledwie nie zostałem stratowany. Jakże złorzeczył mi stangret, nazywając szaleńcem.

Cóż, z pewnością na takiego wyglądałem. W pierwszej gospodzie zdołałem przespać kwadrans może, gdy obudziłem się pośród płomieni; przewrócona świeca leżała w rozlanym koniaku. Uznano, iż to moja wina i powiedziano mi, bym zabierał się, wraz ze swymi pieniędzmi, gdzie indziej. A on stał tam sobie, w cieniu rzucanym przez gzyms kominka. Uśmiechałby się, gdyby tylko potrafił zmusić do tego swą woskową twarz.

Zapamiętaj, co powiem Ci teraz o jego mocy. Gdy ukazuje się we własnej postaci, posiada sztucznie uczynione ciało, nad którym ma kontrolę jednak w bardzo ograniczonym stopniu.

Lecz wciąż nie pojmuję do końca jego sztuczek. Jestem wielce znużony, Stefanie. Udałem się znowu do swej komnaty i próbowałem zasnąć, ale on wyrzucił mnie z łóża.

Nawet tutaj, w ogólnej sali, pełnej pijaków i porannych wędrowców, igra ze mną przy pomocy swych sztuczek; i nikt nie widzi, co się dzieje, bowiem nikt nie wie, iż sylwetka Roemera siedzącego przy kominku nie znajduje się tam naprawdę. I że owa niewiasta, która pojawiła się na moment na schodach, niemal przez nich nie zauważona, to Geertruid – zmarła przed dwudziestu laty. Demon porywa obrazy, zachowane w moim umyśle, a potem „rozwija” je, chociaż w jaki sposób to czyni, nie potrafię zgadnąć.

Próbowałem z nim rozmawiać. Na ulicy prosiłem, by wyjawiał mi swe cele. Czy jest jakaś szansa, bym uszedł z życiem? Cóż mógłbym zrobić, by zaprzestał swych podłych sztuczek? I cóż rozkazała mu Charlotte?

I wówczas, gdy zasiadłem za stołem zamówiwszy wino, bowiem znów nie mogę się bez niego obejść, ujrzałem, iż porusza moim piórem i gryzmoli na papierze słowa: „Petyr umrze”.

Załączam je do mego listu. Uwierz, jest to pismo ducha. Nie przyłożyłem do tego ręki. Być może Aleksander położy dłonie na papierze i czegoś się z tego dowie. Bowiem ja nie pojmuję nic z owych szaleństw, poza tym iż on i ja, we dwóch, czynimy z siebie widowisko, jakie zdołałoby doprowadzić do szaleństwa Chrystusa na pustyni.

Wiem teraz, iż jest dla mnie tylko jeden ratunek. Gdy tylko skończę pisanie tego listu i oddam go naszemu agentowi, udam się do Charlotte i będę ją błagał, by powstrzymała swego czarta. Nie ma innego sposobu, Stefanie. Jedyne ta kobieta może mnie wybawić. I modlę się, by udało mi się bez szwanku dotrzeć do Maye Faire.

Zamierzam na ową wyprawę wypożyczyć wierzchowca i liczę na to, iż droga w porannych godzinach jest licznie uczęszczana, a Charlotte nie śpi i kontroluje swego demona.

Lecz jedna rzecz budzi me przerażenie, a jest to mianowicie obawa, iż ona wie, co wyczynia jej diabeł i że robi to z jej rozkazu. Charlotte może być autorką całego diabolicznego planu.

Jeśli nie otrzymasz ode mnie dalszych wieści – a pozwól mi powiedzieć, iż niderlandzkie statki odpływają stąd codziennie do naszego szlachetnego miasta – postąp według mych wskazówek.

Napisz do owej czarownicy i powiadom ją o mym zniknięciu. Lecz dopilnuj, by listu nie wysłano z siedziby Zgromadzenia i by nie zawierał żadnego adresu zwrotnego, który pozwoliłby diabelskiemu duchowi przeniknąć w nasze mury.

Nie wysyłaj, błagam Cię o to, nie wysyłaj nikogo w ślad za mną! Bowiem spotkałby go jedynie los gorszy od mego.

Cóż jeszcze mogę Ci powiedzieć?

Potem, po mej śmierci, jeżeli będzie to możliwe, spróbuję nawiązać kontakt z Tobą lub z Aleksandrem. Lecz, mój ukochany przyjacielu, lękam się, iż nie istnieje żadne „potem”. Iż oczekuje na mnie jedynie ciemność. Mój czas w świecie jasności dobiega końca.

W owych ostatnich godzinach nie ma we mnie żalu. Talamasca była mym życiem i strawiłem wiele lat broniąc niewinnych i poszukując czystej wiedzy. Kocham Was, moi bracia i siostry. Pamiętajcie o mnie, nie dla mych słabości i grzechów, ani nie dla mych ułomnych osądów. Lecz dlatego, iż Was miłowałem.

Ach, pozwólcie mi opowiedzieć, co się właśnie stało, bowiem jest to zaprawdę, wielce interesujące.

Znowu ujrzałem Roemera, mego drogiego Roemera, pierwszego kierownika naszego Zgromadzenia. Ukazał się on mym oczom takim, jakiego poznałem i pokochałem. Wyglądał młodo i wspaniale. Uradowałem się z jego widoku i zapłakałem. Nie chciałem, by ów wizerunek zniknął.

Pozwól sobie radować się nim, pomyślałem, bowiem czyż nie jest on rodem z twego umysłu? Czart nie wie, co czyni. Przemówiłem więc do Roemera. Rzekłem: „Najdroższy, nie zdajesz sobie sprawy, jak bardzo za tobą tęskniłem; opowiedz mi, gdzie przebywałeś i czego się nauczyłeś?”

A na to dzielna, przystojna postać Roemera podchodzi do mnie, i pojmuję, iż nikt inny tego nie widzi, bowiem gapią się na mnie wszyscy i mruczą „szalenciec”, lecz nie dbam o to. Znowu mówię: „Usiądź Roemerze i napij się ze mną wina”. A owo coś, mój ukochany nauczyciel, siada, pochyla się ku mnie nad stołem, i zaczyna mówić najplugawsze sprośności; ach, nigdy nie słyszałeś podobnego języka; powiada, iż chciałby zerwać ze mnie ubranie w tej oto tawernie i dać mi rozkosz, jakiej nigdy dotąd nie zaznałem; zawsze bardzo pragnął to uczynić, gdy byłem chłopcem; i że nawet zrobił to kiedyś, wszedłszy w nocy do mej sypialni, pozwalając by inni się przyglądali, a potem śmiał się z tego.

Musiałem wyglądać jak posąg, patrząc na owego potwora, który z uśmiechem Roemera na twarzy szeptał do mnie, jak stara rajfurka, najwstrętniejsze plugastwa; i w końcu usta owego stworu przestały się poruszać i zaczęły się coraz bardziej powiększać, a język zmienił się w czarny przedmiot,

wielki i błyszczący jak płetwa wieloryba.

Niby marionetka, sięgnąłem po pióro i zanurzywszy je w inkauscie, rozpocząłem powyższy opis; zjawą zniknęła.

Lecz wiesz, czego zdołała ona dokonać, Stefanie? Wywróciła mój umysł na lewą stronę. Pozwól, iż zdradzę ci sekret. Oczywiście, mój ukochany Roemer nigdy nie pozwolił sobie na takie czyny! Lecz ja zwykłem się modlić, by to zrobił! A ów czart wyciągnął ze mnie, jak chłopcem będąc leżałem w mym łóżu w Domu marząc, by przyszedł do mnie Roemer, ściągnął kołdrę i położył się ze mną. Marzyłem o tym!

Gdybyś zapytał mnie ubiegłego roku, czy kiedykolwiek miałem podobne myśli, odrzekłbym Ci, że nigdy; lecz śniłem o tym i ów czart przypomniał mi to. Może winienem mu wdzięczność?

Może potrafi przywrócić mi mą matkę i mógłbym siedzieć z nią znowu przy kuchennym piecu, i śpiewalibyśmy piosenki.

Idę już. Słońce wzeszło. Owej istoty nie ma w pobliżu. Powierzę to pismo naszemu agentowi, nim udam się do Maye Faire – to jest, o ile miejscowi konstable nie aresztują mnie i nie wtrącają do więzienia. Wyglądam bowiem jak wagabunda i szaleniec. Charlotte mi pomoże. Ona powstrzyma demona.

Cóż jeszcze mógłbym rzec?

Petyr

* * *

UWAGA DLA ARCHIWÓW: Był to ostatni list napisany przez Petyra.

* * *

O ŚMIERCI PETYRA VAN ABLA

Streszczenie dwudziestu trzech listów i licznych raportów dotyczących tej

sprawy (zobacz inwentarz).

Dwa tygodnie po otrzymaniu ostatniego jego listu nadeszła od Jana van Clausena, niderlandzkiego kupca z Port-au-Prince, wiadomość o śmierci Petyra van Abla. Pismo to nosiło datę jedynie o dzień późniejszą niż ostatni list Petyra. Ciało znaleziono w około dwanaście godzin potem, jak Petyr, wynajęwszy wierzchowca z miejskich stajni, odjechał z Port-au-Prince.

Miejscowe władze przypuszczały, iż Petyr padł ofiarą rozboju na drodze, zapewne natknąwszy się wczesnym rankiem na bandę zbiegłych niewolników, zabierających się do ponownego zbezczeszczenia cmentarza, który zaledwie dzień lub dwa wcześniej pozostawili w stanie kompletnego spustoszenia. Owa profanacja stała się przyczyną poważnych niepokojów wśród miejscowych niewolników, którzy ku wielkiej konsternacji swych właścicieli, nie chcieli brać udziału w pracach przy przywróceniu cmentarza do porządku; gdy miał miejsce napad na Petyra, był on więc wciąż opuszczony i w stanie kompletnego nieładu.

Petyra najwyraźniej pobito i wciągnięto do sporego grobowca z cegły, gdzie został uwięziony jak w pułapce przez zwalone drzewo i wielką ilość gruzu. Gdy go znaleziono, palce jego prawej ręki wbite były w rumowisko, jakby próbował przekopać się na zewnątrz. Dwa palce lewej dłoni zostały odłączone od ciała i nigdy ich nie odnaleziono.

Sprawcy profanacji i zabójstwa nie zostali ujęci. Okoliczność, iż nie skradziono pieniędzy, które Petyr miał przy sobie, ani złotego zegarka czy dokumentów, czyni jego śmierć jeszcze bardziej tajemniczą.

Trwające na cmentarzu prace doprowadziły do wczesnego odkrycia zwłok. Pomimo rozległych ran głowy, Petyr został bez trudu i niepodważalnie zidentyfikowany przez van Clausena i przez Charlotte Fontenay, która przybyła do Port-au-Prince, gdy tylko usłyszała, co się stało, a następnie, wielce poruszona śmiercią ojca, „zaniemogła” przepelniona żalem.

Van Clausen zwrócił Domowi należące do Petyra przedmioty i na polecenie Zgromadzenia, przedsięwziął dalsze dochodzenie w sprawie jego śmierci.

W teczkach znajdują się nie tylko listy do i od van Clausena, lecz również korespondencja, jaką nawiązano z kilkoma tamtejszymi księżmi i paroma innymi osobami.

W zasadzie nie odkryto niczego naprawdę godnego uwagi, poza tym, iż Petyr w ciągu ostatniej doby, jaką spędził w Port-au-Prince zyskał sobie opinię szaleńca, a to skutkiem wielokrotnego powtarzania żądań, by jego listy przesłano do Amsterdamu i by po jego śmierci niezwłocznie zawiadomiono Dom.

Zanotowano kilka wzmianek o tym, jakoby przebywał w towarzystwie dziwnego ciemnowłosego, młodego mężczyzny, z którym prowadził długie rozmowy.

Trudno powiedzieć, jak właściwie należałoby zinterpretować te wypowiedzi. Gruntowniejsza analiza bytu Lashera i jego mocy znajduje się w dalszych rozdziałach tego tomu. Wystarczy, jeżeli powiemy teraz, że inni widzieli go razem z Petyrem i byli przekonani, iż jest on ludzką istotą.

Za pośrednictwem Jana van Clausena, Stefan Franck wysłał do Charlotte list, którego nie mógłby zrozumieć nikt poza nią. Wyjaśnił jej, co Petyr napisał w ostatnich godzinach swego życia i błagał, by wzięła pod rozwagę wszystko, co od niego usłyszała.

Nigdy nie nadeszła żadna odpowiedź.

Sprofanowanie cmentarza oraz zabójstwo Petyra spowodowały porzucenie tego miejsca. Nie pochowano tam już nikogo więcej, a niektóre ciała zostały przeniesione gdzie indziej. Jeszcze sto lat później uważano, iż jest to „miejsce, w którym straszy”.

* * *

Jeszcze zanim ostatnie jego listy dotarły do Amsterdamu, Aleksander obwieścił mieszkańcom Domu, iż Petyr nie żyje. Poprosił, by zdjęto ze ściany

portret Debory Mayfair namalowany przez Rembrandta.

Stefan Franck zastosował się do owej prośby i obraz powędrował do piwnicy.

Aleksander położył dłonie na kawałku papieru, na którym Lasher napisał „Petyr umrze” i powiedział tylko tyle, że słowa są prawdziwe, lecz duch jest „kłamcą”.

Nie potrafił stwierdzić niczego więcej. Przestrzegł Stefana Francka, by usłuchał życzenia Petyra i nie wysyłał nikogo do Port-au-Prince w celu dalszej rozmowy z Charlotte, bowiem taki posłannik znalazłby tam pewną śmierć.

Stefan Franck wielokrotnie starał się nawiązać kontakt z duchem Petyra van Abła. Z widoczną ulgą zapisywał w swych notatkach przeznaczonych dla archiwów, że kolejne próby zakończyły się niepowodzeniem i że dusza Petyra „przeniosła się na wyższy poziom”.

Historie o zjawach, dotyczące owego odcinka drogi, gdzie zginął Petyr, trafiały do archiwów jeszcze w 1956 roku. Jednak żadna z nich nie odnosi się do jakiegokolwiek możliwej do zidentyfikowania osoby naszej opowieści.

W ten sposób doszliśmy do końca historii badań prowadzonych przez van Abła w sprawie Czarownic Mayfair, które na podstawie raportów Petyra mogą być z całą pewnością uważane za jego potomkinie.

SPRAWA CZAROWNIC MAYFAIR

Rodzina Mayfairów w latach 1689 – 1900

Streścił Aaron Lightner

Po śmierci Petyra Stefan Franck zdecydował, iż za jego życia nie będzie nawiązywany żaden kontakt z Czarownicami Mayfair. Postanowienie to kolejno podtrzymywali jego następcy, Martin Geller i Richard Kramer.

Mimo iż wielu członków Zgromadzenia występowało z prośbą o pozwolenie na próbę kontaktu, rada zarządzająca zawsze wyrażała jednomyślny sprzeciw; ów ostrzegawczy zakaz przetrwał w istocie, aż do dwudziestego wieku.

Zgromadzenie nie przestało zajmować się sprawą Czarownic Mayfair, jednak śledztwo prowadzono z bezpiecznej odległości. Wiele informacji uzyskano od mieszkańców kolonii, którzy nigdy nie znali celu dochodzenia ani istotnego znaczenia przekazywanych wiadomości.

* * *

METODY BADAŃ

W ciągu stuleci członkowie Talamaski stworzyli obejmującą cały świat siatkę „obserwatorów”, którzy zbierali wycinki z gazet i plotki, by przesłać je z powrotem do Domu. Zadanie to powierzono również kilku osobom na San Domingo, między innymi niderlandzkim kupcom, przekonanym iż prowadzone

przez nas śledztwo dotyczy wyłącznie spraw finansowych. Informacji dostarczali również przeróżni mieszkańcy kolonii, wiedzący jedynie, że jacyś ludzie w Europie gotowi są zapłacić hojnie za wszelkie przekazy związane z rodziną Mayfair. W owym czasie nie istnieli żadni profesjonalni badacze w rodzaju dwudziestowiecznych prywatnych detektywów, mimo to zgromadzono zadziwiającą ilość danych.

Adnotacje archiwalne z tamtego okresu są skrótowe i pospieszne, często będąc zaledwie krótkim wprowadzeniem do kopiowanego materiału.

Informacje o legacie Mayfair uzyskano potajemnie, i zapewne nielegalnie, poprzez przekupionych pracowników banków, którzy mieli styczność z odpowiednimi dokumentami. Talamasca zawsze stosowała tego rodzaju sposoby zdobywania danych i w przeszłości nie miała dużo więcej skrupułów niż w dzisiejszych czasach. Standardowym usprawiedliwieniem było, zarówno wtedy jak i teraz, że do uzyskiwanych takimi metodami wiadomości mają na ogół dostęp dziesiątki osób dysponujących różnorakimi uprawnieniami i pełnomocnictwami. Nigdy nie posunięto się do otwierania osobistej korespondencji, ani włamań do prywatnych domów i biur.

Obrazy przedstawiające dwór na plantacji i portrety członków rodziny nabywaliśmy różnymi drogami. Jeden z wizerunków Jeanne Louise Mayfair otrzymaliśmy od malarza, rozgniewanego iż dama ta odrzuciła jego pracę. W podobny sposób weszliśmy w posiadanie dagerotypu przedstawiającego Katherine i jej małżonka, Darcy'ego Monahana, bowiem rodzina zakupiła tylko pięć z dziesięciu różnych wizerunków wykonanych w czasie sesji.

Od czasu do czasu pojawiały się świadectwa, iż Mayfairowie są świadomi naszego istnienia i prowadzonych przez nas obserwacji. Jeden z naszych informatorów – Francuz, przez jakiś czas zatrudniony jako nadzorca na plantacji na San Domingo – zginął podejrzaną i gwałtowną śmiercią. Po tym wypadku zaczęto zachowywać większą dyskrecję i ostrożność, co doprowadziło do zmniejszenia napływu informacji w następnych latach.

Przeważająca część materiału znajduje się w bardzo złym stanie. Powstały jednak liczne fotokopie i fotografie; nadal są prowadzone dalsze pieczołowite prace konserwatorskie.

* * *

OPOWIADANIE, KTÓRE CZYTASZ

Poniższe opowiadanie jest zwięzłą relacją dziejów rodziny Mayfair, opartą na całości zebranego materiału i notatkach archiwalnych, a także na kilku wcześniejszych streszczeniach, napisanych po francusku, łacinie i łacińskim kodem Talamaski. Pełen inwentarz posiadanego przez nas materiału jest dołączony do odpowiednich pudełek z dokumentami w archiwach w Londynie.

Zapoznawanie się z tą historią rozpocząłem w 1945 roku, kiedy to zostałem członkiem Zgromadzenia, na długo przedtem, nim bezpośrednio zaangażowałem się w sprawę Czarownic Mayfair. Pierwszą „kompletną wersję” niniejszego materiału ukończyłem w 1956 roku. Od tamtej pory nieprzerwanie ją aktualizowałem, korygowałem i dodawałem nowe dane. W 1979 roku, przy okazji wprowadzania całej historii, włączając w to raporty Petyra van Abla, w system komputerowy Talamaski, dokonałem pełnego przeglądu zebranego materiału. Od tej pory stałe aktualizowanie danych nie nastręcza najmniejszych trudności.

Bezpośrednio zaangażowałem się w sprawę Czarownic Mayfair dopiero w 1958 roku. Swą osobę przedstawię w odpowiednim miejscu opowiadania.

Aaron Lightner,
styczeń 1989 roku

* * *

OPOWIADANIA CIĄG DALSZY

Charlotte Mayfair Fontenay zmarła w 1743 roku, przeżywszy niemal siedemdziesiąt sześć lat i osierociwszy pięcioro dzieci i siedemnaścioro wnucząt. Przez całe jej życie Maye Faire pozostawało najlepiej prosperującą plantacją na San Domingo. Kilkoro z wnuków Charlotte powróciło do Francji, ich potomkowie zginęli w czasie Rewolucji Francuskiej pod koniec stulecia.

Pierworodny syn Charlotte, którego miała ze swym mężem Antoinem, nie odziedziczył kalectwa ojca i wyrósłszy na zdrowego mężczyznę, ożenił się i spłodził siedmioro dzieci. Jednak plantacja Maye Faire przeszła na niego jedynie nominalnie. W rzeczywistości odziedziczyła ją córka Charlotte, Jeanne Louise, która przysła na świat dziewięć miesięcy po śmierci Petyra.

Antoine Fontenay III przez całe swe życie podporządkowywał się Jeanne Louise i jej bratu-bliźniakowi, Peterowi, który nigdy nie używał francuskiej wersji swego imienia, Pierre. Bez wątplenia byli oni dziećmi Petyra van Abła. Oboje, Jeanne Louise i Peter, mieli bladą cerę, kasztanowe włosy i jasne oczy.

Nim umarł kaleki małżonek, Charlotte urodziła jeszcze dwóch chłopców. Obaj dożyli wieku męskiego i wyemigrowali do Francji. Używali nazwiska Fontenay.

Jeanne Louise we wszystkich oficjalnych dokumentach posługiwała się wyłącznie nazwiskiem Mayfair. Chociaż w młodym wieku poślubiła pijaka i rozpustnika, prawdziwym towarzyszem życia był dla niej brat, Peter, który się nigdy nie ożenił. Umarł w 1771 roku, zaledwie kilka godzin przed śmiercią Jeanne Louise. Nigdy nie kwestionowano jej prawa do używania nazwiska Mayfair i przyjmowano za dobrą monetę wyjaśnienie, iż wymaga tego rodzinny zwyczaj. Podobnie postępowała później jej jedyna córka, Angelique.

Charlotte nosiła aż do śmierci szmaragd Debory. Później zdołał on szyję Jeanne Louise, która z kolei przekazała go swemu piątemu dziecku, urodzonej w 1725 roku Angelique. W czasie, gdy dziewczynka przysła na świat, mąż Jeanne Louise był już zupełnie szalony i trzymano go w zamknięciu w „małym domku” na terenie posiadłości. Według wszelkich opisów, zdaje się być tym samym

budynkiem, gdzie przed laty więziono Petyra.

Jest mało prawdopodobne, że ów mężczyzna to ojciec dziecka. Przypuszczenie, że Angeliqne była córką Jeanne Louise i jej brata Petera, wydaje się uzasadnione, chociaż w żaden sposób nie możemy mieć co do tego pewności.

Angeliqne w obecności wszystkich nazywała Petera swoim „Papą”; służba opowiadała, że dziewczynka była przekonana, iż jest on jej ojcem i że nigdy nie poznała trzymanego w odosobnieniu wariata, którego pod koniec życia przykuto do ściany, jak dziką bestię. Należałoby dodać, że osoby znające rodzinę nie uważały takiego traktowania szaleńca za okrutne, czy choćby szczególne.

Mówiono także, że Jeanne Louise i Peter dzielili apartament złożony z połączonych w amfiladę sypialni i saloników, który dobudowano do starego dworu wkrótce po ślubie Jeanne Louise.

Bez względu na to, jakie plotki opowiadano o sekretnych obyczajach tej rodziny, Jeanne Louise miała tę samą władzę nad ludźmi, jaką posiadała Charlotte i w epoce, słynącej z czegoś wręcz przeciwnego, utrzymywała swych niewolników w posłuszeństwie dzięki bezgranicznej wspaniałomyślności i osobistej troskliwości.

Jeanne Louise opisywano jako kobietę o wyjątkowej urodzie, cieszącą się powszechnym uwielbieniem i bardzo popularną w towarzystwie. Nigdy nie mówiono o niej jako o czarownicy czy osobie złej i groźnej. Ludzie, z którymi Talamasca kontaktowała się za jej życia, nie wiedzieli niczego o europejskich korzeniach rodziny.

Zbiegli niewolnicy często zwracali się do Jeanne Louise, by błagać ją o interwencję u okrutnego pana czy pani. Wielokrotnie odkupywała owych nieszczęśników, zdobywając w ten sposób ich bezgraniczną wierność. Stanowiła prawo w *Maye Faire* i niejeden niewolnik został z jej rozkazu stracony za zdradę. Mimo to, było ogólnie wiadomo, iż cieszy się życzliwością i sympatią poddanych.

Jeanne Louise uwielbiała Angelique; dziewczynka darzyła wielkim uczuciem swą babkę, Charlotte, i była razem z nią w chwili jej śmierci.

Owej nocy, kiedy umarła stara kobieta, nad Maye Faire rozpułała się gwałtowna burza, która uciszyła się dopiero wczesnym rankiem; wtedy to jeden z braci Angelique został znaleziony martwy.

W 1775 roku Angelique poślubiła bardzo przystojnego i bogatego plantatora, nazwiskiem Vincent St.Christophe i pięć lat później urodziła Marie Claudette Mayfair, która wyszła potem za Henri Marie Landry. To właśnie ona, prawnuczka Charlotte, była pierwszą czarownicą Mayfair, która przybyła do Luizjany. Angelique miała również dwóch synów; jeden z nich zmarł w dzieciństwie; drugi, imieniem Lestan, dożył późnego wieku.

Wszystkie świadectwa wskazują na to, że Angelique kochała Vincenta St.Christophe i przez całe życie dochowywała mu wierności. Także Marie Claudette darzyła go wielkim uczuciem i wydaje się, że nie ma żadnych wątpliwości, iż był on jej ojcem.

Znajdujące się w naszym posiadaniu portrety Angelique ukazują kobietę nie dorównującą urodą ani swej matce, ani córce, o mniej wyrazistych rysach i mniejszych oczach. Mimo to była wyjątkowo atrakcyjna; dzięki ciemnobrązowym lokom w młodości uważano ją za piękność.

Marie Claudette cieszyła się wspaniałą urodą, przypominając bardzo zarówno swego przystojnego ojca, Vincenta St.Christophe, jak i matkę. Miała niezwykle ciemne włosy i błękitne oczy, była wyjątkowo drobna i delikatna. Jej mąż, Henri Marie Landry także należał do mężczyzn o przyjemnym wyglądzie. Mówiono już nawet – w owym czasie, iż w tej rodzinie małżeństwa zawierane są zawsze dla urody, nigdy dla pieniędzy czy z miłości.

Vincent St.Christophe był słodką i subtelną duszyczką, z upodobaniem oddającą się malarstwu i grze na gitarze. Spędzał długie godziny nad niewielkim sztucznym jeziorkiem, specjalnie dla niego zbudowanym na plantacji, i układał piosenki, które później śpiewał żonie. Po jego śmierci Angelique miała kilku

kochanków, lecz nie zgodziła się powtórnie na stałe związać z jakimś mężczyzną. To również stanowiło pewną regułę w przypadku kobiet z rodziny Mayfair – z reguły wychodziły za mąż raz, albo przynajmniej tylko jedno małżeństwo w ich życiu było w jakimkolwiek stopniu udane.

Powszechny szacunek, bogactwo i potęga są tym, co charakteryzuje rodzinę za czasów Charlotte, Jeanne Louise, Angélique i Marie Claudette. Majątek Mayfairów stał się na Karaibach legendarny, a osoby, które wdawały się z nimi w spory, padały ofiarą przemocy dostatecznie często, by zaczęto o tym mówić. Powiadano, że konflikty z rodziną Mayfairów „przynoszą pecha”.

Niewolnicy uważali Charlotte, Jeanne Louise, Angélique i Marie Claudette za potężne czarodziejki. Przychodzili do nich, by leczyły choroby i wierzyli, że nie ma takiej rzeczy, której by ich panie nie „wiedziały”.

Lecz niemal żadne świadectwa nie wskazują na to, by ktokolwiek oprócz niewolników brał te historyjki za dobrą monetę. Ani na to, by czarownice Mayfair budziły podejrzliwość czy „irracjonalny” lęk wśród osób ze swej własnej sfery. Nikt nigdy nie próbował występować przeciwko dominacji rodu. Rywalizowano o zaproszenia do Maye Faire. Rodzina podejmowała gości często i hojnie. Na rynku małżeńskim Mayfairów, zarówno mężczyźni, jak i kobiety, stanowili poszukiwaną partię.

Nie jest pewne, w jakim stopniu pozostali członkowie rodziny zdawali sobie sprawę z potęgi czarownic. Angélique oprócz dwojga rodzeństwa, które wyemigrowało do Francji, miała jeszcze jednego brata, Maurice’a. Pozostał on w domu i doczekał się dwóch synów – Louis-Pierre’a i Martina – którzy także ożenili się i stali częścią rodziny z San Domingo. Wyjechali później do Luizjany razem z Marie Claudette. Maurice i jego synowie używali nazwiska Mayfair; ich potomkowie z Luizjany zachowali je do dzisiaj.

Z sześciorga dzieci Angélique, dwie dziewczynki zmarły w dzieciństwie, dwóch chłopców wyemigrowało do Francji, a trzeci, Lestan, wyjechał do Luizjany razem ze swą siostrą, Marie Claudette.

Mężczyźni z tej rodziny nigdy nie rościli sobie pretensji do plantacji czy kontrolowania finansów, chociaż według francuskiego prawodawstwa jedno i drugie im się należało. Przeciwnie, skłaniali się do zaakceptowania dominacji wybranych kobiet; zarówno z dokumentów finansowych, jak i z plotek wynika, iż mimo to byli niezmiernie bogatymi ludźmi.

Nie jest wykluczone, że w zamian za posłuszeństwo, wypłacano im jakieś odszkodowanie. Lub, być może, uległość leżała w ich naturze. Nie doszła do nas żadna relacja o rebelii czy kłótniach. Brat Angelique, który zginął podczas burzy w noc śmierci Charlotte, był młodym chłopcem o uprzejmym i zgodnym usposobieniu. Maurice natomiast cieszył się opinią przyjemnego i sympatycznego mężczyzny, brał udział w zarządzaniu plantacją.

Kilkoro z potomków Mayfairów, którzy wyemigrowali do Francji w ciągu osiemnastego wieku, stracono w czasie Rewolucji Francuskiej. Żaden z tych, którzy wyjechali przed 1770 rokiem, nie używał nazwiska Mayfair. Badacze Talamaski stracili ślad owych bocznych linii.

W ciągu całego tego okresu rodzina wyznawała religię katolicką. Łożyli na tamtejszy kościół, a jeden z synów Pierre'a Fontenay, szwagier Charlotte, został księdzem. Dwie kobiety wstąpiły do zakonu karmelitanek. Jedną z nich stracono w czasie Rewolucji Francuskiej, wraz ze wszystkimi mniszkami z jej zgromadzenia.

W czasie tych wszystkich lat, kiedy kawa, cukier i tytoń z plantacji zalewały Europę i Północną Amerykę, rodzina deponowała pieniądze w zagranicznych bankach. Ich bogactwo było kolosalne, nawet jak na multimilionerów z Hiszpanioli; wydawało się, iż w posiadaniu rodu zawsze znajduje się fantastyczna ilość złota i klejnotów. Było to zupełnie nietypowe dla plantatorów, którzy najczęściej lokowali swe fortuny w ziemi, co nierzadko prowadziło do bankructwa.

Dzięki temu Mayfairowie przetrwali rewolucję na Haiti zachowując ogromny majątek, chociaż stracili bezpowrotnie wszystkie posiadłości ziemskie

na wyspie.

Legat Mayfairów został ustanowiony przez Marie Claudette w 1789 roku, tuż przed rewolucją, która zmusiła rodzinę do opuszczenia San Domingo. Jej rodzice już w owym czasie nie żyli. Osiedliwszy się w Luizjanie, Marie Claudette podniosła wartość zapisu i uściśliła jego zasady. W tym czasie przelała też większość swych pieniędzy z banków w Holandii i Rzymie do banków w Londynie i Nowym Jorku.

* * *

LEGAT

Legat powstał w wyniku niezwykle skomplikowanych i na pół legalnych dyspozycji, skierowanych głównie do banków przechowujących pieniądze; dyspozycje te doprowadziły do ustanowienia majątku, niemożliwego do naruszenia ani manipulowania przez żadne z obowiązujących praw spadkowych. Zasadniczo, zachowuje on większość pieniędzy i nieruchomości Mayfairów w rękach jednej osoby w każdym pokoleniu. Spadkobiercę wyznacza żyjący beneficjent; jedynie w przypadku, gdy ten umrze nie dokonawszy desygnacji, majątek przechodzi w ręce najstarszej córki. Mężczyzna może dziedziczyć jedynie w takim przypadku, jeśli w rodzinie nie ma żadnego żyjącego potomka płci żeńskiej. Jednak beneficjent może wyznaczyć na spadkobiercę mężczyznę, jeżeli uzna taki wybór za odpowiedni.

Według posiadanych przez Talamaskę informacji, nie zdarzyło się nigdy by beneficjentka zmarła nie wyznaczywszy spadkobierczyni, ani by legat przeszedł w ręce mężczyzny. Rowan Mayfair, najmłodsza z żyjących czarownic Mayfair, została desygnowana, zaraz po urodzeniu, przez swą matkę, Deirdre, którą z kolei wyznaczyła przy narodzinach Antha, sama wybrana przez Stellę, i tak dalej.

Jednak kilkakrotnie w historii rodziny zdarzyło się, iż decyzja o tym, kto ma

dziedziczyć, została zmieniona. Na przykład Marie Claudette wyznaczywszy najpierw najstarszą córkę, Claire Marie, przeniosła później desygnację na Marguerite, swe trzecie dziecko. Nie mamy żadnych świadectw, by Claire Marie kiedykolwiek dowiedziała się, że miała dziedziczyć majątek, chociaż Marguerite na długo przed śmiercią Marie Claudette była świadoma, iż jest spadkobierczynią.

Legat obejmuje również olbrzymie zapisy na rzecz pozostałych dzieci beneficjentki (rodzeństwa spadkobiercy) w każdym pokoleniu; z reguły kobiety otrzymują dwukrotnie większe sumy niż mężczyźni. Jednak żaden członek rodziny nie może dziedziczyć, jeżeli nie używa on lub ona, publicznie i prywatnie, nazwiska Mayfair. Nawet gdy posługiwanie się przez beneficjentkę tym nazwiskiem było niezgodne z obowiązującymi przepisami, używała go na mocy zwyczaju, nigdy nie zakwestionowanego na drodze prawnej.

Dzięki temu, nazwisko Mayfair przetrwało aż do naszych czasów. I w wielu przypadkach członkowie rodu przekazywali tę zasadę, wraz z majątkiem, swym spadkobiercom, chociaż należąc do bocznej linii odsuniętej od dziedziczenia legatu, nie byli do tego prawnie zobowiązani.

Treść zapisu przewidywała również skomplikowane zabezpieczenia dla pozbawionych środków do życia członków rodu, którzy zwrócą się o pomoc; pod warunkiem, że zawsze używali – a także ich przodkowie – nazwiska Mayfair. Beneficjentka może także przeznaczyć sumę nie przekraczającą dziesięciu procent legatu dla innych Mayfairów, nie będących jej dziećmi; znowu jednak osoby takie muszą posługiwać się rodowym nazwiskiem, inaczej wszelkie zapisy na ich rzecz są nieprawomocne.

Na przestrzeni dwudziestego wieku liczni „kuzyni” otrzymali pieniądze pochodzące z legatu, przede wszystkim od Mary Beth Mayfair i jej córki Stelli, lecz także od Deirdre, której pieniędzmi zarządzał Cortland Mayfair. Wielu z tych ludzi jest obecnie „bogaczami”, jako że zapisów często dokonywano w związku z inwestycjami czy przedsięwzięciami handlowymi, zatwierdzonymi

przez beneficjentkę lub jej pełnomocnika.

Obecnie Talamasca wie o istnieniu około pięciuset pięćdziesięciu potomków używających nazwiska Mayfair; z pewnością połowa z nich zna główną, nowoorleańską, gałąź rodu i wie co nieco o legacie, nawet jeśli wiele stopni pokrewieństwa dzieli ich od spadkobierców dziedzictwa.

W 1927 roku Stelli udało się zebrać w domu na ulicy Pierwszej około czterystu Mayfairów i członków spokrewnionych z nimi rodzin; poważne świadectwa wskazują, iż interesowała się ona należącymi do rodu osobami, które posiadały zdolności parapsychologiczne. Lecz historia Stelli zostanie opowiedziana później.

* * *

POTOMKOWIE

Badacze Talamaski zebrali informacje o licznych Mayfairach stwierdzili, że występowanie u członków rodziny umiarkowanych zdolności parapsychologicznych nie należy do rzadkości. Niektórzy z nich nawet wykazują niezwykle silne uzdolnienia w tym kierunku. Do rodzinnych obyczajów należy wyrażanie się o prababkach z San Domingo jako o „czarownicach” i opowiadanie, iż były one „kochankami diabła”, zaprzedały mu swe dusze, i że to on obdarzył rodzinę bogactwem.

Historyjki te opowiadane są albo lekkim i żartobliwym tonem, albo z pełną niedowierzania fascynacją; większość potomków, z którymi Talamasca zdołała nawiązać ograniczony kontakt, nie wie nic konkretnego o dawnych dziejach. Nie znają nawet imion owych „czarownic”. Nie słyszeli o Zuzannie i Deborze, chociaż stroją sobie kpiny z takich powiedzonek, jak „Naszych przodków palono w Europie na stosach” czy „Posiadamy długą tradycję czarnej magii”. Na ogół mają bardzo mgliste pojęcie o legacie, wiedząc tylko, iż jest jedna beneficjentka; owszem, znają jej imię, lecz nic więcej.

Potomkowie rodziny mieszkający w Nowym Orleanie wciąż jednak mogą dużo powiedzieć o dziedziczącej linii. Uczestniczą w czuwaniu przy zmarłych, w pogrzebach i jak się przekonamy, z inicjatywy Mary Beth i Stelli zbierają się razem przy niezliczonych okazjach. Talamasca posiada liczne fotografie owych osób, indywidualne i zbiorowe, wykonane w czasie rodzinnych zgromadzeń.

Krążących pomiędzy nimi opowieści o ukazywaniu się duchów, o jasnowidzeniu, o „telefonach od umarłych” i poruszaniu przedmiotów siłą woli w żaden sposób nie można nazwać nielicznymi. Mayfairowie, nie wiedzący niemal nic o rodzinie z Nowego Orleanu, byli zamieszani w co najmniej dziesięć oddzielnych „historii z duchami”, opisanych w różnych publikacjach. Troje daleko spokrewnionych Mayfairów objawiło niezwykle moce. Nie posiadamy jednak świadectw, by zrozumieli je lub wykorzystali dla jakichkolwiek celów. O ile wiemy, fakty te nie pozostają w żadnym związku z czarownicami, z legatem, z naszyjnikiem ze szmaragdem czy z Lasherem.

Istnieje powiedzenie, że wszyscy Mayfairowie „czują”, kiedy umiera beneficjentka legatu.

Potomkowie rodziny obawiają się Carlotty Mayfair, opiekunki Deirdre Mayfair, obecnej beneficjentki, i uważają ją za „wiedźmę”. Jednak w tym przypadku słowo to jest raczej żargonowym określeniem nieprzyjemnej kobiety i nie odnosi się do zjawisk nadprzyrodzonych.

* * *

STRESZCZENIE MATERIAŁU DOTYCZĄCEGO OKRESU SAN DOMINGO

Wracając do oceny pozycji rodziny w osiemnastym wieku, charakteryzuje ją niezaprzeczalna potęga, pomyślność i bogactwo, a także długowieczność i trwałe związki. Działalność czarownic owego okresu wieńczyło nadzwyczajne powodzenie. Można przyjąć, iż kontrolowały Lashera w stopniu w pełni je

satysfakcjonującym. *Jednak, mówiąc uczciwie, nie wiemy, czy było tak naprawdę, czy też nie.* Po prostu nie posiadamy żadnych świadectw wskazujących, by rzeczy miały się inaczej. Nie mamy ani jednej relacji o ukazaniu się demona, ani o jakichkolwiek tragicznych wydarzeniach w rodzinie. Wypadki przydarzające się wrogom Mayfairów, nieprzerwane gromadzenie klejnotów i złota oraz niezliczone opowieści niewolników o wszechmocy i nieomyślności ich pań to jedyne „dowody” interwencji sił nadprzyrodzonych. Nie są one bynajmniej wiarygodne.

Być może jednak dokładniejsza obserwacja prowadzona przez wyszkolonych badaczy ukazałaby nam zupełnie inny obraz.

* * *

RODZINA MAYFAIRÓW W LUIZJANIE W DZIEWIĘTNASTYM WIEKU

Kilka dni przed rewolucją na Haiti (jedynym w historii zwycięskim powstaniem niewolników) Marie Claudette została ostrzeżona przez swych poddanych, że jej rodzina może paść ofiarą rzezi. Zarówno ona, jak i jej dzieci; brat Lestan, jego żona i potomstwo; wuj Maurice, jego dwaj synowie, i ich żony z dziećmi, zdołali wyjechać, najwyraźniej bez żadnych przeszkód, zabierając ze sobą zdumiewającą ilość dobytku. Istna karawana wozów wyruszyła z Maye Faire do pobliskiego portu. Wraz z rodziną udało się do Luizjany około pięćdziesięciu osobistych niewolników Marie Claudette; połowa z nich była mieszanej krwi; niewątpliwie w żyłach wielu płynęła krew Mayfairów. Przypuszczalnie wywieziono również liczne księgi i dokumenty; na niektóre z nich, jak to pokaże dalsza lektura, udało nam się później rzucić okiem.

Niemal od samego momentu przybycia rodziny do Luizjany Talamasca była w stanie zdobyć więcej wiadomości o Czarownicach Mayfair. W owym czasie posiadaliśmy już kilka z naszych nowoorleańskich kontaktów, ustanowionych

przy okazji dramatycznych przypadków nawiedzeń, jakie wydarzyły się w Luizjanie; przynajmniej dwóch członków Zgromadzenia odwiedziło to miasto – jeden z nich, by przeprowadzić śledztwo w sprawie owych tajemniczych wydarzeń; drugi, po drodze na Południe.

Kolejną przyczyną wzrostu napływu informacji jest to, iż rodzina Mayfairów stała się jakby bardziej „widzialna”. Wyrwana z izolacji San Domingo i pozbawiona swej pozycji niemal feudalnego władcy, została zmuszona do kontaktowania się z niezliczonymi osobami, takimi jak kupcy, duchowni, handlarze niewolników, pośrednicy, urzędnicy kolonialni i im podobni. Bogactwo Mayfairów, a także ich nagłe pojawienie się na scenie wywołały ogromną ciekawość.

Począwszy niemal od pierwszej godziny po ich przybyciu zbieramy wszelkiego rodzaju historyjki. A wraz z upływem czasu informacje zaczęły napływać coraz szerszym strumieniem.

Zmiany przyniesione przez wiek dziewiętnasty również przyczyniły się nieuchronnie do powiększenia ilości uzyskiwanych danych. Rozwój gazet i periodyków, zwyczaj prowadzenia dokładnych zapisów i wynalazek fotografii – wszystko to ułatwiło zestawienie bogatej w szczegóły, anegdotycznej części historii rodziny Mayfairów.

Co więcej, dzięki temu, że Nowy Orlean stał się w owym czasie tętniącym życiem i kwitującym portem, powstało środowisko, w którym można było wypytywać o Mayfairów dziesiątki osób, nie zwracając przy tym na siebie niczyjej uwagi.

Studiując dalsze dzieje Mayfairów, musimy mieć na uwadze, iż chociaż rodzina ta zdaje się w dziewiętnastym wieku ulegać dramatycznym przemianom, to być może w rzeczywistości nie zmieniła się wcale. Nie jest wykluczone, że jedynym, co się zmieniło, są stosowane przez nas metody badań. Zdobywaliśmy coraz więcej informacji o tym, co działo się za zamkniętymi drzwiami.

Innymi słowy, gdybyśmy znali lepiej okres San Domingo, dostrzegliśmy może bardziej spójną ciągłość. Lecz, znowu, może wcale by tak nie było.

W każdym razie, czarownice dziewiętnastego wieku – z wyjątkiem Mary Beth, urodzonej dopiero w 1872 roku – wydają się znacznie słabsze od tych, które rządziły rodziną w okresie San Domingo. Możemy uznać – na podstawie posiadanych przez nas fragmentarycznych świadectw – iż zmierzch Czarownic Mayfair, tak wyraźny w dwudziestym wieku, rozpoczął się przed Wojną Secesyjną. Lecz w rzeczywistości wszystko to jest, jak się przekonamy, bardziej skomplikowane.

Nowe postawy właściwe nadchodzącej epoce, pojmowane generalnie, odegrały być może, znaczącą rolę w schyłku potęgi czarownic. Rozumiemy przez to, że gdy Mayfairowie utracili część swych wielkopańskich i feudalnych cech i stali się bardziej „ucywilizowani” i „bourgeois”, dziedzictwo i „moce” rodziny mogły wywoływać w nich coraz większe zażenowanie i opory. Bowiem, mimo iż luizjańscy plantatorzy uważali się za przynależnych do najwyższej sfery, nie mieli w sobie nic z arystokracji w europejskim sensie tego słowa i charakteryzowały ich, jak byśmy dziś powiedzieli, „wartości klasy średniej”.

Wydaje się, że tak zwana współczesna psychiatria również dołożyła swoją cegiełkę do dezorientacji i wywołania zahamowań w świadomości Czarownic Mayfair; zajmiemy się tym z większą uwagą, gdy dojdziemy do historii rodziny w dwudziestym wieku.

Lecz większość owych spraw może być jedynie przedmiotem naszych spekulacji. Nawet w dwudziestym wieku, gdy został nawiązany bezpośredni kontakt między Talamaską i Czarownicami Mayfair, nie zdołaliśmy się dowiedzieć tak wiele, jak mieliśmy nadzieję.

Pamiętając o tym wszystkim, przejdźmy do...

* * *

DALSZEGO CIĄGU OPOWIEŚCI

Po przyjeździe do Nowego Orleanu Marie Claudette wprowadziła się wraz z rodziną do dużego domu na Rue Dumaine; natychmiast też kupiła rozległą plantację w Riverbend, na południe od miasta, gdzie rozpoczęła budowę dworu, większego jeszcze i bardziej luksusowego niż jego odpowiednik na San Domingo. Plantacja nosiła nazwę La Victoire w Riverbend, później była znana po prostu jako Riverbend. W 1896 roku nurt rzeki zmył zabudowania, większość jednak tamtejszych gruntów nadal należy do Mayfairów. Obecnie znajduje się na nich rafineria naftowa.

Maurice Mayfair, wuj Marie Claudette, całe życie mieszkał na plantacji, lecz jego synowie nabyli na własność przylegające do niej tereny uprawne; osiedlili się na nich, zachowując bliskie kontakty z rodziną Marie Claudette. Kilku potomków owych mężczyzn gospodarowało tam jeszcze w 1890 roku; wielu innych przeniosło się do Nowego Orleanu. Stworzyli ciągle rosnącą grupę „kuzynów”, która stanowiła stały czynnik egzystencji Mayfairów przez następne sto lat.

Istnieją liczne wydane drukiem rysunki dworu na plantacji Marie Claudette, a nawet kilka przedstawiających go fotografii w starych książkach, których nakład dawno został wyczerpany. Dom był to ogromny, nawet jak na okres, w którym powstał. W odróżnieniu od panującego wówczas ostentacyjnego stylu klasycystycznego, widzimy prostą, kolonialną budowlę o gładkich, okrągłych kolumnach, stromym dachu i licznych gankach, przypominającą bardzo dwór na San Domingo. Dom miał szerokość dwóch pomieszczeń; z północy na południe i ze wschodu na zachód przecinały go korytarze. Nad parterem znajdowało się wysokie i bardzo przestronne poddasze.

Na terenie plantacji wybudowano również dwie ogromne *garconnieres*, w których mieszkali należący do rodziny mężczyźni, wliczając w to Lestana, w późniejszych latach wdowieństwa, i jego czterech synów; wszyscy z nich

używali nazwiska Mayfair. (Maurice zawsze mieszkał w głównym budynku.)

Marie Claudette cieszyła się tą samą pomyślnością we wszelkich przedsięwzięciach, co jej przodkowie na San Domingo. Znowu uprawiała cukier, chociaż zrezygnowała z uprawy kawy i tytoniu.

Kupiła mniejsze plantacje dla wszystkich synów Lestana i obsypywała hojnymi podarkami ich dzieci i dzieci ich dzieci.

Już w pierwszych tygodniach po przybyciu, do rodziny zaczęto odnosić się z lękiem i podejrzliwością. Ludzie bali się Marie Claudette, która organizując swoje interesy w Luizjanie wdała się w liczne spory i nie cofała się przed pogroźkami wobec każdego, kto tylko wszedł jej w drogę. Zakupiła ogromną liczbę niewolników do pracy na plantacji i zgodnie z rodzinną tradycją była dobrą dla nich panią. Za to nie traktowała dobrze kupców; niejednego przepędziła ze swej posiadłości okładając batem, twierdząc, iż próbował ją oszukać.

Miejscowi świadkowie opisywali tę kobietę jako groźną i przykrą, lecz mimo wszystko, przystojną. Jej osobiści niewolnicy i wolni służący mieszanej krwi budzili postrach wśród poddanych, których nabyła w Luizjanie.

Nie minęło dużo czasu, nim zyskała opinię czarodziejki; mówiono, iż nie można jej oszukać; potrafi rzucać „złe spojrzenie” i że ma na swe usługi demona, którego posyła za tymi, którzy wzbudzą jej gniew. Jej brat Lestan cieszył się większą sympatią miejscowych obywateli i najwyraźniej niezwłocznie nawiązał kontakty z oddającymi się pijaństwu i hazardowi okolicznymi plantatorami.

Wydaje się, że Henri Marie Landry, mąż Marie Claudette, był przyjemnym, choć biernym mężczyzną, który absolutnie wszystko pozostawiał w gestii żony. Czytywał europejskie pisma botaniczne i zbierał rzadkie kwiaty z całego Południa, a także zaprojektował i uprawiał ogromny ogród w Riverbend.

W 1824 roku zmarł we własnym łóżku, po otrzymaniu sakramentów.

W 1799 roku Marie Claudette urodziła ostatnie dziecko, Marguerite, która

została potem spadkobierczynią legatu i żyła w cieniu matki aż do jej śmierci w 1831 roku.

Wiele plotkowano o życiu rodzinnym Marie Claudette. Opowiadano, że jej najstarsza córka, Claire Marie, jest niedorozwinięta umysłowo; doszły do nas liczne historie o owej młodej kobiecie snującej się po pokojach w nocnej koszuli i mówiącej dziwne, choć często urocze rzeczy. Widywała duchy i bezustannie z nimi rozmawiała, czasami w trakcie kolacji, na oczach zdumionych gości.

Oprócz tego „wiedziała” rzeczy o ludziach i zdarzało jej się wypaplać owe sekrety w najmniej odpowiednich momentach. Trzymano dziewczynę w domu i chociaż niejeden mężczyzna stracił dla niej głowę, matka nigdy nie pozwoliła Claire Marie wyjść za mąż. Na starość, po śmierci męża, Henri Marie Landry, Marie Claudette sypiała razem z córką, by jej pilnować i powstrzymać od włóczęg.

Często widywano Claire Marie błądzącą w koszuli nocnej po gankach.

Także jedyny syn Marie Claudette, Pierre, nigdy nie otrzymał pozwolenia na ożenek. Dwukrotnie „zakochał się”, lecz w obu wypadkach, gdy matka odmówiła zgody na ślub, podporządkował się jej woli. Druga „tajemnicza narzeczona”, porzucona przez niego, próbowała odebrać sobie życie. Po tym wydarzeniu Pierre mało bywał w świecie; widywano go za to często w towarzystwie matki.

Pośród niewolników Pierre uchodził za lekarza; leczył ich przeróżnymi miksturami i medykamentami. Przez krótką chwilę studiował nawet medycynę z pewnym starym doktorem-pijakiem z Nowego Orleanu, niewiele jednak z tego wyszło. Zajmował się również botaniką; dużo czasu poświęcał pracy w ogrodzie i rysowaniu kwiatów. Wykonane przez Pierre’a szkice roślin istnieją po dziś dzień w słynnym domu Mayfairów przy ulicy Pierwszej.

Nie jest tajemnicą, że około 1820 roku Pierre wziął sobie w Nowym Orleanie kolorową kochankę, śliczną młodą kobietę, mogącą, jak mówi plotka, uchodzić za białą. Miał z nią dwoje dzieci; córkę, która wyjechała na Północ i

wtopiła się w białą rasę, i syna, Francoisa, urodzonego w 1825 roku. Pozostał on w Luizjanie i załatwiał potem dla rodziny w Nowym Orleanie znaczną część papierkowej roboty. Elegancki kancelista; zdaje się, że Mayfairowie, a zwłaszcza mężczyźni, którzy przybywali do miasta w interesach, odnosili się do niego z sympatią.

Marguerite była najwyraźniej ulubienicą całej rodziny. Gdy miała dziesięć lat, namalowano jej portret, do którego pozowała z naszyjnikiem ze szmaragdem na szyi. Jest to dziwny obraz, bowiem dziewczynka na nim jest mała, a klejnot wielki. Od 1927 roku portret wisi w domu na ulicy Pierwszej w Nowym Orleanie.

Marguerite była delikatnej budowy, miała ciemne włosy i duże, lekko skośne, czarne oczy. Uważano ją za piękność, a jej piastunki, które uwielbiały rozczesywać długie, falujące, czarne włosy dziewczynki, nazywały ją La Petite Gypsy. W odróżnieniu od swej niedorozwiniętej siostry i uległego brata, posiadała gwałtowny temperament i ostre, nieobliczalne poczucie humoru.

W wieku dwudziestu lat poślubiła, wbrew woli Marie Claudette, śpiewaka operowego nazwiskiem Tyrone Clifford McNamara; był to kolejny „niezwykle przystojny mężczyzna”, o skrajnie niepraktycznym usposobieniu, który podróżował z występami po całych Stanach Zjednoczonych, śpiewając w Nowym Jorku, Bostonie, St. Louis i innych miastach. Dopiero, gdy wyruszył w swą kolejną podróż, Marguerite powróciła z Nowego Orleanu do Riverbend i została przyjęta z powrotem przez matkę. W latach 1827 i 1828 urodziła dwóch chłopców, Remy i Juliana. McNamara przyjeżdżał w tym czasie często, lecz tylko na krótkie wizyty. W Nowym Jorku, Bostonie, Baltimore i innych miejscach, które odwiedzał, słynął jako nie stroniący od burd pijak i dziwkarz. Był jednak oklaskiwanym „irlandzkim tenorem” owej epoki i gdziekolwiek się zjawił, występował przy pełnej widowni.

W 1829 roku Tyrone’a Clifforda McNamarę i pewną Irlandkę, przypuszczalnie kochankę, znaleziono nieżywych po pożarze w małym domku

w dzielnicy francuskiej, kupionym przez McNamarę dla owej kobiety. Raporty policyjne i notatki w gazetach wskazują na to, że oboje stracili przytomność zaczadzeni dymem, gdy bezskutecznie próbowali wydostać się z budynku. Zamek we frontowych drzwiach został wyłamany. Było też dziecko, najwyraźniej z tego związku, nie przebywało jednak w domu, gdy wybuchł pożar. Wyjechało później na Północ.

Ów tragiczny wypadek wywołał niemało plotek w Nowym Orleanie i w tym czasie członkowie Talamaski zebrali więcej informacji o członkach rodziny, niż zdołali zdobyć przez całe lata.

Kupiec z dzielnicy francuskiej powiedział naszemu „świadkowi”, że Marguerite wysłała diabła, by zajął się „tymi dwojgiem” i że Marguerite wiedziała więcej o voodoo niż jakikolwiek Czarny w Luizjanie. Mówiono, że ma ona w domu ołtarz voodoo, sporządza maści i napoje, jako lekarstwa na miłość, i że wszędzie, gdzie się uda, towarzyszą jej dwie piękne kolorowe służące, Marie i Virginie, oraz stangret-Mulat, imieniem Oktawiusz. Ten ostatni, według mało rozpowszechnionych plotek, był nieślubnym dzieckiem jednego z synów Maurice’a Mayfaira, Louis-Pierre’a.

Marie Claudette jeszcze wtedy żyła, lecz rzadko ruszała się z domu. Mówiono, że to ona nauczyła swą córkę czarnej magii, z którą sama zapoznała się na Haiti. To właśnie Marguerite przyciągała uwagę wszędzie, gdzie się znalazła; tym bardziej, iż jej brat Pierre, cieszący się powszechnym szacunkiem, otaczał wielką dyskrecją swój związek z kolorową kobietą; dzieci wuja Lestana również prowadziły przyzwoite życie i były ogólnie lubiane.

Zbliżając się do trzydziestki, Marguerite była wychudzoną, budzącą lęk kobietą, z nierzadko rozczochranymi włosami i rzucającymi iskry ciemnymi oczyma; miała zwyczaj wybuchać nieoczekiwanie wytrącającym z równowagi śmiechem. Zawsze nosiła szmaragd Mayfairów.

Kupców, pośredników i gości przyjmowała w ogromnym, zapchanym książkami gabinecie w Riverbend, pełnym „strasznych i obrzydliwych”

przedmiotów, takich jak ludzkie czaszki, wypchane lub rozplaszczone za szkłem bagienne stworzenia, trofea z afrykańskich safari i zwierzęce skóry. Trzymała tam też liczne butelki oraz słoje, a ludzie utrzymywali, iż widzieli w nich części ludzkiego ciała. Mówiono o niej, że jest zachłanną kolekcjonerką ozdób i amuletów zrobionych przez niewolników, zwłaszcza tych, których niedawno dopiero sprowadzono z Afryki.

Wśród jej poddanych miało w owym czasie miejsce kilka przypadków „nawiedzenia”; za każdym razem przerażeni niewolnicy, będący świadkiem takiego zajścia, uciekali gdzie pieprz rośnie, a na plantację przybywał ksiądz. Ofiarę skuwano łańcuchami i bezskutecznie próbowano odczyniać egzorcyzmy; „nawiedzeni” umierali z głodu – nie można ich bowiem było zmusić do jedzenia – lub z powodu obrażeń odniesionych podczas gwałtownych konwulsji.

Krążyły plotki, że jednego z tych nieszczęśliwców trzymano przykutego do ściany na poddaszu; jednak miejscowe władze nigdy nie uczyniły nic, by to zbadać.

Przynajmniej czterech różnych świadków wspomniało o „tajemniczym, ciemnowłosym kochanku” Marguerite – mężczyźnie spotykanym przez niewolników w jej prywatnych pokojach, a także widywanym w apartamencie w Hotelu św. Ludwika, z którego korzystała, gdy przyjeżdżała do Nowego Orleanu oraz w loży w Operze Francuskiej. Obecność owego kochanka czy towarzysza wywołała wiele plotek. Tajemniczy sposób, w jaki pojawiał się i znikał, bardzo wszystkich intrygował.

„Raz jest, raz go nie ma”, powiadano.

Są to pierwsze, po ponad stuletniej przerwie, wzmianki o Lasherze.

Niemal natychmiast po śmierci Tyrone’a Clifforda McNamary Marguerite wyszła za wysokiego, biednego jak mysz kościelna, przewoźnika rzeczno, hazardzistę nazwiskiem Arlington Kerr, który zniknął bez śladu sześć miesięcy po ślubie. Nie wiadomo o nim niczego poza tym, iż był „piękny jak kobieta” i że po całych nocach oddawał się pijaństwu i grze w karty w *garconnieres*, w

towarzystwie przeróżnych sproszonych tam opojów i stangretów-Mulatów. Warto dodać, że o ile gadano o nim dużo, to niemal wcale go nie widywano. Wszystkie opowieści na jego temat pochodzą z trzeciej, lub nawet z czwartej ręki. Być może, osoba taka w ogóle nigdy nie istniała.

Mimo to był legalnym ojcem Katherine Mayfair, urodzonej w 1830 roku, która została później następną beneficjentką legatu. Ona pierwsza, od wielu pokoleń, nie znała swej babki. Marie Claudette umarła bowiem rok po przyjściu na świat dziecka.

Niewolnicy na farmach w górę i w dół rzeki opowiadali, że Marguerite zamordowała Arlingtona Kerra i trzymała w różnych słojach odcięte kawałki jego ciała. Nikt jednak nie zbadał owej historyjki. Wersja rozpowszechniona przez rodzinę głosiła, że Arlington Kerr nie zdołał przystosować się do życia plantatora, opuścił więc Luizjanę tak jak przybył, bez grosza. Marguerite powiedziała tylko: „Chwała Bogu”.

W trzeciej dekadzie swojego życia Marguerite zasłynęła z uczestniczenia w obrzędach niewolników, a nawet tańczenia wraz z nimi. Nie ma wątpliwości, że odziedziczyła rodzinną moc uzdrawiania; regularnie przyjmowała porody. Lecz z czasem poddani zaczęli ją oskarżać o kradzież niemowląt; jest ona pierwszą z Czarownic Mayfair, której niewolnicy nie tylko się bali, lecz również obdarzali osobistą odrazą.

Kiedy ukończyła trzydzieści pięć lat, przestała brać czynny udział w zarządzaniu plantacją. Złożyła wszystko w ręce swego kuzyna Augustyna, syna jej wuja Lestana, który okazał się niezwykle zdolnym administratorem. Brat Marguerite, Pierre, pomagał w podejmowaniu decyzji; jednak to głównie Augustyn, który nie odpowiadał przed nikim oprócz Marguerite, zajmował się prowadzeniem wszystkich spraw.

Niewolnicy bali się Augustyna, lecz najwidoczniej uważali go za człowieka przy zdrowych zmysłach i o możliwych do przewidzenia reakcjach.

W każdym razie plantacja przynosiła w owych latach ogromne dochody.

Mayfairowie w dalszym ciągu deponowali olbrzymie sumy w zagranicznych i północnoamerykańskich bankach; gdziekolwiek by się udali, sypali pieniędzmi.

Mając czterdzieści lat Marguerite, według obserwatorów, zyskała sobie trwałe miano „wiedźmy”, chociaż gdyby zadała sobie trud upięcia włosów i zwróciła nieco uwagi na swój ubiór, wciąż mogłaby być przystojną kobietą.

Jej najstarszy syn, Julien, ukończywszy piętnaście lat, zaczął brać udział w zarządzaniu plantacją wspólnie z kuzynem Augustynem; z czasem całkowicie przejął sprawy w swoje ręce. Podczas kolacji z okazji jego osiemnastych urodzin wydarzył się nieszczęśliwy „wypadek” z nowym pistoletem i „biedny wuj Augustyn” zginął, postrzelony przez Juliena w głowę.

Mógł to rzeczywiście być wypadek, bowiem według wszystkich opowiadań, Julien był „pogrążony w żalu”. Niejedna relacja utrzymuje, że dwaj mężczyźni wrywali sobie broń, która nagle wypaliła. Jedna z wersji mówi, że Julien podał w wątpliwość uczciwość Augustyna, a gdy ten, obrażony, zagroził że palnie sobie w łeb, Julien próbował go powstrzymać. Według innej, Augustyn oskarżył Juliena o „zbrodnię przeciwko naturze” z innym chłopcem i z tego powodu wywiązała się kłótnia; Augustyn wyciągnął pistolet, który Julien usiłował mu odebrać.

W każdym razie nikogo nie oskarżono o morderstwo, ani cokolwiek innego, a Julien stał się bezspornym zarządcą plantacji. Pomimo młodego wieku, okazał się świetnie do tego nadawać; przywrócił porządek wśród niewolników i w ciągu następnego dziesięciolecia podwoił produkcję.

Przez całe życie pozostał rzeczywistym administratorem posiadłości, chociaż to jego siostra, Katherine, odziedziczyła legat.

Ostatnie lata swego bardzo długiego życia Marguerite spędziła czytając całymi dniami w bibliotece pełnej „strasznych i obrzydliwych” przedmiotów. Niemal bez przerwy rozmawiała na głos sama ze sobą. Godzinami wystawała przed lustrem, prowadząc po angielsku długie konwersacje ze swoim odbiciem. Przemawiała też do roślin, z których wiele pochodziło jeszcze z ogrodu

założonego przez jej ojca, Henri Marie Landry.

Była bardzo przywiązana do licznych kuzynów, dzieci i wnuków Maurice'a Mayfaira i Lestana Mayfaira, a oni odpłacali jej bezgraniczną lojalnością, mimo iż bezustannie prowokowała ludzi do plotkowania.

Niewolnicy znienawidzili Marguerite i z wyjątkiem kolorowych służących, Virginie i Marie, unikali jej. Podobno Virginie na starość trochę się nad nią znęcała.

W 1859 roku zbiegła niewolnica opowiedziała proboszczowi, że Marguerite ukradła jej dziecko i poświęciła maleństwo w ofierze diabłu. Ksiądz poinformował miejscowe władze, które przeprowadziły śledztwo. Najwyraźniej jednak Julien i Katherine, oboje przez wszystkich bardzo lubiani i świetnie dający sobie radę z zarządzaniem Riverbend, wyjaśnili, że owa kobieta poroniła i że nie ma w ogóle mowy o żadnym dziecku, chociaż płód został ochrzczony i pochowany jak należy.

Bez względu na to, co jeszcze mogło się tam dziać, Remy, Julien i Katherine najwyraźniej dorastali nie troszcząc się o nic, opływając w zbytki i czerpiąc pełnymi garściami wszystko, co Nowy Orlean mógł ofiarować w owym szczytowym momencie przedwojennej epoki, wliczając w to teatr, operę i bezustanne prywatne przyjęcia.

Często odwiedzali miasto – trio, pod opieką jednej tylko, kolorowej guwernantki – zatrzymując się w luksusowym apartamencie Hotelu św. Ludwika i robiąc, przed powrotem na wieś, ogromne zakupy w najelegantszych domach towarowych. Opowiadano szokującą w owym czasie historię o tym, jak Katherine chciała zobaczyć słynne bale kwarteronów, na których młode kobiety mieszanej krwi tańczyły ze swoimi białymi adoratorami; chodziła więc na nie razem ze swoją kolorową pokojówką i sama przedstawiona jako kwarteronka, zdołała wszystkich wyprowadzić w pole. Miała bardzo ciemne włosy i oczy oraz bladą cerę, i nie było nic afrykańskiego w jej urodzie; podobnie jednak wyglądało wielu kolorowych. Julien przyłożył do tego ręki, przedstawiając

siostrę kilku białym mężczyznom, którzy nie spotkali jej wcześniej i wierzyli, że jest kwarteronką.

Historia ta wstrząsnęła towarzystwem. Młodzi biali mężczyźni, którzy tańcząc z Katherine byli przekonani, że jest ona kolorową kobietą, poczuli się upokorzeni i obrażeni. Katherine, Julienowi i Remy'emu cała sprawa wydawała się dobrym żartem. Julien musiał stoczyć przynajmniej jeden pojedynek, ciężko raniąc swojego przeciwnika.

W 1857 roku, gdy Katherine miała siedemnaście lat, kupiła do spółki ze swymi braćmi posiadłość w Nowym Orleanie, przy ulicy Pierwszej w Dzielnicy Ogrodów. Darcy'emu Monahanowi, irlandzkiemu architektowi, zlecono wybudowanie domu, który jest obecną rezydencją Mayfairów. Wydaje się prawdopodobne, że pomysł wyszedł od Juliana, który chciał mieć w mieście stałą siedzibę.

W każdym razie Katherine i Darcy zapalali do siebie gorącą miłością. Julien okazał się chorobliwie zazdrosny o siostrę i nie chciał zgodzić się, by w tak młodym wieku wyszła za mąż. Wybuchł ogromny rodzinny spór. Julien wyprowadził się z rodzinnego domu w Riverbend i przez jakiś czas mieszkał w dzielnicy francuskiej razem z mężczyzną, o którym niewiele wiemy, ponadto że pochodził z Nowego Jorku i podobno był bardzo przystojny; przywiązanie, jakim darzył Juliana, wywołało plotki, iż jest jego kochankiem.

Mówiono, że Katherine wymknęła się do Nowego Orleanu, by spotkać się sam na sam z Darcym Monahanem w nie wykończonym domu przy ulicy Pierwszej i tam, w pozbawionych dachu pokojach lub w dzikim, nie pielęgnowanym ogrodzie, kochankowie ślubowali sobie wierność. Gniew i dezaprobata wpędzały Juliana w coraz większe przygnębienie; błagał swą matkę o ingerencję, lecz Marguerite w ogóle to wszystko nie interesowało.

W końcu Katherine zagroziła, że ucieknie, jeżeli nie zostanie spełnione jej życzenie. Marguerite udzieliła oficjalnego pozwolenia na skromny ślub kościelny. Na dagerotypie wykonanym po uroczystości Katherine nosi szmaragd

Mayfairów.

W 1858 roku Katherine i Darcy wprowadzili się do domu przy ulicy Pierwszej. Monahan stał się najbardziej wziętym architektem wytwornej części Nowego Orleanu. Wielu świadków tamtej epoki wspomina o pięknie Katherine, uroku Darcy'ego i o tym, jakie świetne bale wydawali w swoim nowym domu. Wiele razy wspomniano również o szmaragdzie Mayfairów.

Nie jest tajemnicą, że Julien był jednak tak bardzo rozgoryczony owym małżeństwem, że nie chciał nawet złożyć siostrze wizyty. Powrócił do Riverbend, lecz wciąż wiele czasu spędzał w dzielnicy francuskiej. W 1863 roku, w Riverbend, między Julienem, Darcym i Katherine wybuchła gwałtowna kłótnia. W obecności służących i kilku gości Darcy błagał Julię, by ten go zaakceptował, odnosił się serdecznie do Katherine i był „rozsądny”.

Julien zagroził, że go zabije. Katherine i Darcy opuścili Riverbend i nigdy więcej nie przyjechali tam razem.

W 1859 roku Katherine urodziła chłopca ochrzczonego imieniem Clay, a potem troje dzieci, które zmarły w niemowlęctwie. W 1865 roku przyszedł na świat następny syn, Vincent; i znowu dwoje dzieci, które nie dożyły roku.

Mówiono, że utrata dzieci złamała serce Katherine i że przyjęła to jako karę od Boga; z wesołej, pełnej wigoru dziewczyny zmieniła się w nieśmiałą, wiecznie zakłopotaną kobietę. Wydaje się jednak, że jej życie z Darcym było szczęśliwe i bogate. Kochała go bardzo i zawsze z poświęceniem wspierała w różnorodnych przedsięwzięciach budowlanych.

Należy tu wspomnieć o tym, że Wojna Domowa nie wyrządziła żadnych szkód, ani rodzinie, ani majątkowi. Nowy Orlean zajęto bardzo wcześnie i dzięki temu nigdy nie został ostrzelany czy spalony. Mayfairowie mieli zbyt wiele pieniędzy, ulokowanych w Europie, by obawiać się skutków okupacji Luizjany i cyklicznych załamań rynku, które po niej nastąpiły.

Wojska Unii nigdy nie kwaterowały na terenie posiadłości Mayfairów; niemal od początku okupacji Nowego Orleanu robili interesy z „Jankesami”.

Prawdę mówiąc, Katherine i Darcy Monahan przyjmowali nawet żołnierzy z Północy w swoim domu przy ulicy Pierwszej, ku gorzkiemu oburzeniu Julienu i Remy'ego oraz pozostałych członków rodziny.

W 1871 roku śmierć Darcy'ego na żółtą febrę położyła kres tej szczęśliwej egzystencji. Katherine, ze złamanym sercem i szalejąca z rozpacz, poprosiła Julienu, by przyjechał do niej. Był wtedy w swoim mieszkaniu w dzielnicy francuskiej i natychmiast zjawił się w domu przy ulicy Pierwszej, stawiając tam swoją stopę pierwszy raz od zakończenia budowy posesji.

Julien został z Katherine i nie opuszczał jej w dzień ani w noc; dziećmi, na które nikt nie zwracał uwagi, musiała zająć się służba. Spał razem z siostrą w sypialni pana domu, urządzonej nad biblioteką w północnym skrzydle. Nieustający płacz Katherine i jej żalosne okrzyki rozpacz za Darcym i utraconymi dziećmi słyszeli nawet przechodnie na ulicy.

Katherine dwukrotnie usiłowała odebrać sobie życie, zażywając truciznę. Służba rozповідаła o przybywających w pośpiechu doktorach; o podawaniu Katherine antidotów i zmuszaniu jej, by chodziła po pokoju, chociaż była półprzytomna i ledwo trzymała się na nogach; plotkowano o oszalałym z bólu Julienie, który podtrzymywał siostrę, nie potrafiąc pohamować łez.

W końcu Julien zabrał Katherine i obydwóch chłopców z powrotem do Riverbend i tam, w 1872 roku, Katherine powiła Mary Beth Mayfair, zarejestrowaną i ochrzczonej jako córka Darcy'ego Monahana, chociaż wydaje się mało prawdopodobne by on był ojcem, bowiem dziewczynka urodziła się dziesięć i pół miesiąca po jego śmierci. Niemal na pewno Mary Beth była dzieckiem Julienu.

O ile Talamasca zdołała ustalić, służba mówiła, iż właśnie taka jest prawda. Podobnie twierdziły różne niańki, które opiekowały się dziewczynką. Wszyscy wiedzieli, że Katherine i Julien spiąją w jednym łóżku, za zamkniętymi drzwiami i że Katherine nie mogła mieć kochanka po śmierci Darcy'ego, bowiem jedyny raz, kiedy opuściła dom w Dzielnicy Ogrodów, uczyniła to, by

powrócić na plantację.

Jednak wydaje się, że owa historyjka, chociaż szeroko rozpowszechniona wśród służby, nigdy nie została przyjęta do wiadomości przez osoby z tej samej, co Mayfairów, sfery.

Katherine cieszyła się pod każdym innym względem ogólnym szacunkiem. Posiadała ogromny majątek, którym się hojnie dzieliła; często dawała szczerze datki krewnym i przyjaciołom, zubożałym w czasie wojny. Była z tego powodu bardzo lubiana. Jej próby samobójcze wzbudziły jedynie współczucie. Stare opowieści o tańcach na balach kwarteronów dawno już zostały zapomniane. Pozycja finansowa Mayfairów zapewniała im, już w owym czasie, dalekosiężne, niemal nieograniczone wpływy. Julien był bardzo popularny w towarzystwie. Plotki szybko więc ucichły i należy wątpić czy w ogóle w jakikolwiek sposób odbiły się na prywatnym lub publicznym życiu rodziny.

W 1872 roku opisywano Katherine jako wciąż ładną, mimo przedwczesnej siwizny, kobietę; mówiono, że swym szczerym i ujmującym sposobem bycia bez trudu zjednuje sobie ludzi. Uroczy i bardzo dobrze zachowany ferrotyp z tego okresu ukazuje ją siedzącą w fotelu z córeczką na kolanach i dwoma małymi chłopcami, stojącymi po obu stronach. Wygląda na zdrową i pogodną osobę, wciąż atrakcyjną kobietę z cieniem smutku w oczach. Nie nosi już szmaragdu Mayfairów.

Podczas gdy Mary Beth i jej starsi bracia, Clay i Vincent, dorastali na wsi, brat Juliana, Remy Mayfair i jego żona – wnuczka Lestana Mayfair – zajęli dom w Nowym Orleanie i mieszkali tam przez długie lata, doczekując się trojga dzieci. Wszystkie zachowały nazwisko Mayfair; potomkowie dwojga z nich wciąż mieszkają w Luizjanie.

W owym czasie Julien zaczął odwiedzać dom i urządzać w bibliotece gabinet dla siebie. (Biblioteka i położona nad nią sypialnia pana domu są częścią skrzydła, dodanego przez Darcy'ego do pierwotnej struktury w 1867 roku.) Julien wbudował w dwie ze ścian pomieszczenia szafy na książki i zapełnił je

dokumentami Mayfairów, które do tamtej pory przechowywano na plantacji. Wiemy, że wiele z tych książek było bardzo, bardzo starych; niektóre spisano po łacinie. Julien przeniósł tu także sporo obrazów, w tym „portrety z siedemnastego stulecia”.

Julien kochał książki i gromadził w bibliotece zarówno klasyków, jak i popularne powieści. Uwielbiał Nathaniela Hawthorne’a i Edgara Allana Poe, a także Charlesa Dickensa.

Pewne świadectwa wskazują na to, że właśnie kłótnie z Katherine wyгнаły Julię z Riverbend do miasta; nigdy jednak nie zaniedbywał swych obowiązków na plantacji. Lecz jeśli nieporozumienia z Katherine przepędzały go stamtąd, to z pewnością jego mała siostrzenica (czy córka) sprawiała, że po niedługim czasie widywano go tam znowu. Zасыpywał ją bezustannie furami prezentów i na całe tygodnie wykradał do Nowego Orleanu. Przywiązanie do tego dziecka nie przeszkodziło mu jednak w poślubieniu, w 1875 roku, kuzynki wywodzącej się z potomków Maurice’a Mayfaira i będącej słynną pięknoscią.

Nazywała się Suzette Mayfair. Julien kochał żonę tak bardzo, że w ciągu pierwszych lat małżeństwa zamówił co najmniej dziesięć jej portretów. Mieszkali w rezydencji przy ulicy Pierwszej, najwyraźniej w zupełnej harmonii z Remy i jego rodziną. Zapewne dzięki temu, że Remy, zawsze i pod każdym względem, podporządkowywał się bratu.

Wydaje się, że Suzette kochała małą Mary Beth, chociaż w ciągu pierwszych pięciu lat urodziła czworo własnych dzieci; trzech chłopców i dziewczynkę imieniem Jeannette.

Katherine nigdy dobrowolnie nie odwiedzała domu przy ulicy Pierwszej. Za bardzo przypominał jej o mężu. Gdy na starość została zmuszona do powrotu, zakłóciło to stan jej umysłu; u schyłku wieku przeistoczyła się w tragiczną postać, wiecznie ubraną w czerń i błądzącą po ogrodzie w poszukiwaniu Darcy’ego.

Ze wszystkich Czarownic Mayfair, których losy przestudiowaliśmy do tej

pory, Katherine była zapewne najslabszą i najmniej znaczącą. Clay i Vincent wyrosli na szanowanych i nie wyróżniających się ludzi. Obaj ożenili się wczesnie, obaj też mieli duże rodziny; ich potomkowie mieszkają w Nowym Orleanie.

Z tego, co wiemy zdaje się wynikać, że śmierć Darcy'ego ostatecznie złamała Katherine. Od tamtej pory opisywano ją jedynie, jako osobę „słodką”, „łagodną” i „cierpliwą”. Nigdy nie uczestniczyła w zarządzaniu plantacją, zostawiając je całkowicie w rękach Julienu, który ostatecznie przekazał wszystko Clayowi i Vincentowi oraz płatnym nadzorcom.

Katherine spędzała coraz więcej czasu ze swą matką, Marguerite, z biegiem lat coraz bardziej dziwaczejącą. Gość, który odwiedził Riverbend w latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku, opisał Marguerite jako osobę „zupełnie niemożliwą”; „staruchę”, dzień i noc krążącą po pokojach w poplamionych białych koronkach i godzinami czytającą w bibliotece okropnym, pozbawionym modulacji głosem. Mówiono, że miała zwyczaj znieważać ludzi, beztrosko i na chybił trafił. Była bardzo przywiązana do swej wnuczki Angeline (córkę Remy'ego) i do Katherine. Nieustannie myliła synów Katherine, Claya i Vincenta z ich wujami, Julienem czy Remym. Katherine opisywano jako siwą, zniszczoną kobietę, wiecznie zajęta haftowaniem.

Wszystkie przekazy wskazują na to, że Katherine stała się w owych późnych latach swego życia gorliwą katoliczką. Codziennie słuchała mszy w parafialnym kościele i brała udział w pełnych przepychu ceremoniach chrztów. Była matką chrzestną wszystkich dzieci Claya i Vincenta.

Marguerite zmarła dopiero w wieku dziewięćdziesięciu dwóch lat. Katherine była wtedy sześćdziesięciodziesięcioletnią kobietą.

W odróżnieniu od opowieści o kazirodztwie, charakterystycznym dla rodziny od czasów Jeanne Louise i Pierre'a, nie dotarły do nas żadne okultystyczne historie o Katherine.

Czarni służący, wolni czy niewolnicy, nigdy się jej nie bali. Nie widywano

tajemniczego ciemnowłosego kochanka. I nic nie wskazuje na to, by Darcy umarł z jakiegokolwiek innego powodu niż zwykła żółta febra.

Niektórzy z członków Talamaski rozważali nawet ewentualność, że w ciągu całego owego okresu to Julien odgrywał rolę „czarownicy” – że może w tamtym pokoleniu nie było w rodzinie żadnego innego naturalnego medium i gdy zestarzała się Marguerite, Julien zaczął okazywać swą siłę. Snuto również przypuszczenia, że to Katherine była naturalnym medium, lecz odrzuciła tę rolę, gdy zakochała się w Darcym; i że to właśnie z tego powodu Julien, zorientowany w rodzinnych sekretach, przeciwny był małżeństwu.

Właściwie, posiadamy mnóstwo danych sugerujących, że Julien w ogóle miał moc czarownika.

Pojawia się więc konieczność wnikliwszego zanalizowania życia Juliana. Jeszcze w 1950 roku przekazano nam pewną fascynującą informację na jego temat. Kiedyś będziemy musieli rozszerzyć naszą wiedzę o dziejach Juliana, zarówno poprzez dalsze badania, jak i zestawienie i przestudiowanie istniejących dokumentów. Raporty dotyczące Mayfairów, które gromadziliśmy przez dziesięciolecia, są obszerne i często powtarzają się w nich opisy tych samych wydarzeń. Liczne wzmianki o Julenie odnotowano w urzędowych księgach. Trzy ukazujące jego postać olejne portrety znajdują się w amerykańskich muzeach, a jeden w Londynie.

Czarne włosy Juliana posiwiały, gdy był on jeszcze zupełnie młody. Zarówno liczne fotografie, jak i wspomniane olejne portrety, ukazują niezwykle urodziwego człowieka o imponującej postawie i uroku osobistym. Mówiono czasem, że przypomina swego ojca, śpiewaka operowego Tyrone’a Clifforda McNamarę.

Lecz kilku członków Talamaski dostrzegło uderzające podobieństwo Juliana do jego przodków, Debory Mayfair i Petyra van Abla, którzy, oczywiście, w żaden sposób nie przypominali sobie nawzajem. Jego wygląd zdaje się być godną uwagi kombinacją cech owych dwojga antenatów. Julien posiadał wzrost,

profil i błękitne oczy Petyra oraz usta i delikatne kości policzkowe Debory. Na kilku portretach wyraz jego twarzy zadziwiająco przypomina Deborę.

To tak, jakby dziewiętnastowieczni portreciści widzieli obraz Rembrandta przedstawiający Deborę – co oczywiście jest niemożliwe, bowiem przez cały czas znajdował się on w naszych podziemiach – i świadomie usiłowali skopiować uchwycony przez niego „charakter”. Możemy również przypuścić, że Julien rzeczywiście przejawiał tę samą osobowość. Godny uwagi jest także fakt, że na większości fotografii, pomimo swej posępnej pozy i innych formalnych elementów dzieła, Julien się uśmiecha.

Jest to „uśmiech Mony Lisy”, lecz wciąż jednak uśmiech; sprawia przedziwne wrażenie, bowiem zupełnie nie pasuje do konwencji dziewiętnastowiecznej fotografii. Na pięciu ferrotypach znajdujących się w naszym posiadaniu widzimy ten sam subtelny uśmiech nie pojawiający się na żadnym innym ferrotypie zrobionym komukolwiek w owej epoce. To tak, jakby Julien uważał „fotografowanie się” za zabawne. Zdjęcia zrobione pod koniec jego życia, w dwudziestym wieku, również pokazują uśmiech, teraz jednak szerszy i bardziej wielkoduszny. Warto zauważyć, że na owych ostatnich fotografiach Julien wydaje się być w dobrym humorze – po prostu, doskonale szczęśliwy człowiek.

Przez całe swoje życie Julien niezaprzeczalnie był głową rodziny, w mniejszym lub większym stopniu sprawując rządy nad siostrzeńcami i siostrzenicami, a także nad swą siostrą Katherine i bratem Remym.

Było ogólnie wiadomo, że wśród wrogów budził lęk i niepewność. Pewien rozwścieczony pośrednik handlu bawełną opowiedział nam, jak podczas jednej ze sprzeczek Julien sprawił, iż ubranie jego oponenta zajęło się płomieniem. Ogień pospiesznie ugaszono; mężczyzna ów, choć dość ciężko poparzony, przyszedł jednak do siebie.

Nie podjęto żadnych działań przeciwko Julienowi. Prawdę powiedziawszy, wielu ludzi, którzy słyszeli ową historię – a w tym miejscowa policja – nie

uwierzyło w nią. Julien wybuchał śmiechem, za każdym razem, gdy go o to pytano. Lecz jest też druga opowieść, przekazana przez jednego tylko świadka, o tym że Julien potrafił podpalić przy pomocy samej siły woli, co tylko zechciał i że ów talent wywoływał docinki jego matki.

W innym, głośnym przypadku, Julien wpadłszy w furię sprawił, że wszystkie znajdujące się w pomieszczeniu przedmioty zaczęły fruwać w powietrzu; a potem nie potrafił powstrzymać rozpętanego zamieszania. Wyszedł więc stamtąd, zatraskując drzwi za szalejącą w pokoju burzą, i wybuchnął bezsilnym śmiechem. Inna odosobniona historia, oparta na słowach pojedynczego świadka, opowiada, że Julien, będąc jeszcze chłopcem, zamordował jednego ze swoich tutorów.

W owym czasie żaden z Mayfairów nie uczęszczał do szkoły, wszystkim udzielali lekcji prywatni nauczyciele. Julien, który nie był wyjątkiem, miał w młodości kilku wychowawców. Jednego z nich, przystojnego Jankesa z Bostonu, znaleziono utopionego w rozlewisku w pobliżu Riverbend; mówiono, że to Julien udusił go i wrzucił do wody. I znowu nie było żadnego dochodzenia, a cała rodzina Mayfairów wrzała oburzeniem na krążące pogłoski. Rozповідаjący je służący natychmiast odwoływali swe słowa.

Ów nauczyciel z Bostonu był świetnym źródłem informacji o rodzinie. Bezustannie donosił nam o dziwnych zwyczajach Marguerite i o tym, jak bardzo bali się jej niewolnicy. To od niego otrzymaliśmy opis jej butelek i słoików, wypełnionych częściami ciała i dziwnymi przedmiotami. Utrzymywał, że odtrącił awanse czynione mu przez Marguerite. Faktycznie, tak złośliwe i nieroztropne były rozpowszechniane przez niego pogłoski, że wiele osób ostrzegało przed nim rodzinę.

Czy Julien zabił tego człowieka, czy nie, nie zdołamy się dowiedzieć; jednak jeżeli rzeczywiście popełnił morderstwo, to – biorąc pod uwagę ówczesne stosunki – miał przynajmniej jakiś powód.

Opowiadano, że Julien rozdawał zagraniczne złote monety, jakby to były

miedziaki. Kelnerzy w wytwornych restauracjach rywalizowali ze sobą o przywilej podawania do jego stołu. Był wyborynym jeźdźcem i w swych stajniach w pobliżu ulicy Pierwszej trzymał kilka koni pod wierzch, a także dwa powozy i zaprzęgi.

Nawet w późnej starości, często o poranku, jechał na swej kasztanowej klaczy wzdłuż Alei św. Karola, aż do Carrolton, i z powrotem. Miał zwyczaj rzucania monet mijanym po drodze murzyńskim dzieciakom.

Gdy umarł, czterech różnych świadków widziało jego ducha, kłusującego we mgle po Alei św. Karola; historie te można znaleźć w gazetach z tamtego okresu.

Julien był również wielkim zwolennikiem Mardi Gras, ostatkowego karnawału, który zaczęto obchodzić, jak wiemy to dzisiaj, około 1872 roku. W czasie Mardi Gras wydawał w swoim domu przy ulicy Pierwszej wystawne przyjęcia.

Według niezliczonych doniesień, Julien posiadał także dar „bilokacji”, co oznacza, że potrafił znajdować się równocześnie w dwóch różnych miejscach. Liczne historyjki na ten temat krążyły wśród służby. Pojawiał się na przykład w bibliotece, lecz niemal w tej samej chwili dostrzegano go w ogrodzie na tyłach domu. W innym przypadku pokojówka widziała, jak wychodzi frontowymi drzwiami; lecz gdy dziewczyna obróciła się, schodził właśnie schodami prowadzącymi z górnych pięter domu.

Niejedna służąca wołała rzucić posadę w domu przy ulicy Pierwszej, niż radzić sobie z „dziwnym Monsieur Julienem”.

Wysunięto przypuszczenie, że powodem zamieszania mogło być pojawianie się Lashera. W każdym razie, późniejsze opisy ubrania demona noszą godne uwagi podobieństwo do stroju, w którym Julien pozował do dwóch różnych portretów. Lasher, według wszystkich dwudziestowiecznych wzmianek, jest niezmiennie ubrany tak, jak mógł nosić się Julien w siedemdziesiątych i osiemdziesiątych latach dziewiętnastego wieku.

Julien wpychał pełne garście banknotów do kieszeni przychodzących z wizytą księży, Siostrzyczek Ubogich i tym podobnych osób. Dawał hojne datki na parafialny kościół i każdy fundusz charytatywny, którego rzecznicy zwracali się do niego. Mawiał często, że pieniądze nie mają dla niego znaczenia. Mimo to niestrudzenie gromadził bogactwo.

Wiemy, że darzył miłością swą matkę, Marguerite, i chociaż nie spędzał w jej towarzystwie zbyt wiele czasu, ciągle kupował dla niej książki w Nowym Orleanie, sprowadzał je z Nowego Jorku i z Europy. Jedyna kłótnia pomiędzy nimi, jaka zwróciła uwagę, dotyczyła małżeństwa Katherine z Darcym Monahanem. Marguerite uderzyła wówczas syna kilka razy w obecności służby. Wszystkie relacje są zgodne co do tego, że Julien poczuł się głęboko zraniony; bez słowa, ze łzami w oczach, usunął się wtedy z otoczenia swej matki.

Po śmierci żony, Suzette, Julien spędzał w Riverbend mniej czasu niż dotąd. Jego dzieci dorastały wyłącznie w domu przy ulicy Pierwszej. Julien, który zawsze był dobrodusznym człowiekiem, zaczął teraz odgrywać aktywniejszą rolę w towarzystwie. Jednak już dużo wcześniej uczęszczał do opery i teatru ze swą malutką siostrzenicą (czy córką) Mary Beth. Wydał wiele balów dobroczynnych i popierał młodych muzyków-amatorów, których przedstawiał publiczności podczas niewielkich prywatnych koncertów w podwójnym salonie przy ulicy Pierwszej.

Julien nie zadowolił się ogromnymi dochodami przynoszonymi przez Riverbend. Zajął się także, wspólnie z dwoma nowojorskimi hurtownikami, obrotem towarami i zbił na tym przedsięwzięciu znaczną fortunę. Kupował posiadłości w całym Nowym Orleanie, które zostawił potem Mary Beth, pomimo że była ona spadkobierczynią legatu Mayfairów i miała odziedziczyć majątek przewyższający darowiznę wuja.

Nie mamy większych wątpliwości, że Julien stawał się coraz bardziej rozczarowany swoją żoną, Suzette. Służba i przyjaciele opowiadali o wielu pożałowania godnych kłótniach. Mówiono, że Suzette, mimo całej swej urody,

jest głęboko religijna i drażni ją nieokiełzdana natura męża. Nie chciała nosić klejnotów i strojnych sukien, w które Julien pragnął ją ubierać. Nie lubiła wychodzić wieczorami. Nie znosiła głośnej muzyki. Suzette, urocze stworzenie o bladej cerze i błyszczących oczach, zawsze była chorowita i umarła młodo, urodziwszy, jedno po drugim, czworo dzieci. Jej córka, Jeannette, bez wątpienia posiadała coś w rodzaju daru „jasnowidzenia” czy zdolności medium.

Służba niejednokrotnie słyszała, jak dziewczynka wrzeszczy, ogarnięta niekontrolowaną paniką na widok jakiegoś ducha czy zjawy. Jej nagłe napady przerażenia i gwałtowne ucieczki z domu na ulicę stały się dobrze znane w Dzielnicy Ogrodów; opisywano je nawet w gazetach. W rzeczywistości, to właśnie zachowanie Jeannette było pożywką dla najwcześniejszych, związanych z ulicą Pierwszą „opowieści o duchach”.

Kilka relacji opowiada o niezmiernej niecierpliwości, z jaką Julien odnosił się do Jeannette; podobno zamykał ją nawet na klucz. Jednak wszyscy są zgodni, iż kochał on swoje dzieci. Jego trzech synowie ukończyli Harvard i powrócili do Nowego Orleanu, by praktykować tu prawo cywilne, dorobili się ogromnego majątku. Ich potomkowie, bez względu na płeć i związki małżeńskie, noszą do dzisiaj nazwisko Mayfair. To właśnie firma prawnicza założona przez synów Julienu od wielu dziesięcioleci zarządza legatem Mayfairów.

Posiadamy co najmniej siedem różnych fotografii Julienu z dziećmi, w tym kilka z Jeannette, która umarła młodo. Na wszystkich rodzina sprawia niezwykle pogodne wrażenie. Barclay i Cortland bardzo przypominają ojca. Barclay i Garland zmarli nie osiągnąwszy siedemdziesiątki, lecz Cortland dożył osiemdziesięciu lat. Umarł w 1959 roku. Rok wcześniej narrator nawiązał w imieniu Talamaski bezpośredni kontakt z Cortlandem; dojdziemy do tego we właściwym czasie.

(Ellie Mayfair, przybrana matka Rowan Mayfair, *obecnej dziedziczki legatu*, jest potomkiem Julienu Mayfaira – wnuczką Cortlanda, jedynym dzieckiem syna

Cortlanda Sheffielda Mayfaira i jego żony, francuskojęzycznej kuzynki Eugenie Mayfair, która zmarła gdy Ellie miała siedem lat. Cortland przeżył Sheffielda, ugodzonego śmiertelnym atakiem serca w 1952 roku, w rodzinnej kancelarii prawniczej przy Camp Street, Miał wtedy czterdzieści pięć lat. Jego córka Ellie studiowała wówczas w Stanford w Palo Alto i była już zaręczona z Grahamem Franklinem, którego potem poślubiła. Nigdy później nie mieszkała w Nowym Orleanie, chociaż często przyjeżdżała w odwiedziny. Wróciła tu także w 1959 roku, by zaadoptować Rowan Mayfair.)

Jedne z naszych najciekawszych świadectw dotyczących Julienu mają związek z Mary Beth i z narodzinami jej pierwszej córki, Belle. Julien obdarowywał Mary Beth wszystkim, czegokolwiek mogła zapragnąć; bale, które wyprawiał na jej cześć w domu przy ulicy Pierwszej, mogły zaćmić wszystkie prywatne przyjęcia w Nowym Orleanie. Chodniki, balustradki i fontanny w ogrodzie zostały zaprojektowane i wykonane na przyjęcie, wydane z okazji jej piętnastych urodzin.

Mary Beth była już wówczas wysoką dziewczyną; na zdjęciach z tego okresu widzimy postawną, poważną, nieco mroczną piękność, o wielkich, czarnych oczach i wyraźnym rysunku wspaniale ukształtowanych brwi. Wyraz jej twarzy jest jednak zdecydowanie obojętny. Ten właśnie jawny brak narcyzmu i próżności będą charakterystyczne dla jej wszystkich fotograficznych wizerunków. Na niektórych z nich Mary Beth przyjmuje niemal ostentacyjnie niedbałą, męską pozę; należy jednak wątpić, czy rzeczywiście była aż tak wyzywająca, a nie, po prostu, roztargniona. Często mówiono, że bardziej przypomina swą babkę Marguerite niż matkę Katherine.

W 1887 roku Julien zabrał swoją piętnastoletnią siostrzenicę do Nowego Jorku. Odwiedzili tam jednego z wnuków Lestana, Corringtona Mayfaira, który był adwokatem i pełnomocnikiem Julienu w sprawach handlowych. W 1888 roku Julien i Mary Beth wyjechali do Europy i zostali tam pełne półtora roku. W tym czasie Nowy Orlean dowiedział się za pośrednictwem licznych listów do

przyjaciół i krewnych, że szesnastoletnia Mary Beth „poślubiła” Mayfaira ze Szkocji – kuzyna ze Starego Świata – i powiła dziewczynkę imieniem Belle. Ślub, wzięty w Szkockim Kościele katolickim, został opisany ze wszystkimi szczegółami w liście, wysłanym przez Julię do przyjaciółki z dzielnicy francuskiej, notorycznej plotkary, która pokazała go wszystkim wokół. Inne listy do gadatliwych krewnych i przyjaciół, zarówno od Julię jak i Mary Beth, opisywały ceremonię w bardziej skrótowej formie.

Jest godne uwagi, że gdy Katherine dowiedziała się o małżeństwie swojej córki, rozchorowała się i przez pięć dni milczała i odmawiała jedzenia. Dopiero gdy zagrożono jej oddaniem do przytułku, usiadła w łóżku i zgodziła się wypić trochę zupy. „Julien to diabeł”, wyszeptała. W tym momencie Marguerite kazała wszystkim opuścić pokój.

Niestety, tajemniczy lord Mayfair zginął dwa miesiące przed narodzinami swej córki, wypadłszy z wieży rodzinnego zamku.

I znowu, Julien wysłał do domu szczegółową relację o wszystkim, co się stało. Mary Beth pisała smutne listy do swych przyjaciółek.

Ów lord Mayfair niemal na pewno jest postacią fikcyjną. Mary Beth i Julien naprawdę odwiedzili Szkocję; rzeczywiście spędzili pewien czas w Edynburgu, a nawet pojechali do Donnelaith, gdzie kupili ten sam zamek na wzgórzu nad miastem, który tak szczegółowo opisał Petyr van Abel. Lecz budowla owa, niegdyś siedziba klanu Donnelaith, była od ostatnich lat siedemnastego wieku jedynie opuszczoną ruiną. W całej Szkocji nie ma jakiegokolwiek śladu żadnego lorda czy lordów Mayfair.

Badania przeprowadzone przez historyków Talamaski w obecnym stuleciu ujawniły jednak pewne wstrząsające fakty, dotyczące ruin w Donnelaith. Zamek został strawiony przez ogień jesienią 1689 roku; w bardzo zbliżonym czasie miała miejsce egzekucja Debory w Montecleve we Francji. Być może zdarzyło się to jednego dnia, lecz tego nie zdołaliśmy odkryć. W owym pożarze zginęli ostatni potomkowie klanu Donnelaith – stary lord, jego najstarszy syn i mały

wnuczek.

Kuszące wydaje się przypuszczenie, że senior rodu był ojcem Debory Mayfair; oraz, że okazał się nędznym tchórzem, który nie odważył się przeszkodzić kaźni naiwnej wieśniaczki Zuzanny, nawet gdy ich „poczętej-w-radości” córce również groził ten sam straszny los.

Lecz tego się nie dowiemy. I nie znajdziemy też odpowiedzi na pytanie, czy Lasher odegrał jakąkolwiek rolę w wybuchu pożaru, który zniósł z powierzchni ziemi ród Donnelaith. Historia opowiada nam jedynie, że ciało starego lorda zostało zwęglone, a jego mały wnuczek udusił się dymem. Kilka przebywających tam kobiet zginęło, skacząc z blanków zamku. Najstarszy syn najwyraźniej znalazł swą śmierć, gdy zawaliły się pod nim drewniane schody.

Wiemy także, że Julien i Mary Beth kupili zamek w Donnelaith spędziwszy w ruinach zaledwie jedno popołudnie. Do dziś jest on własnością rodziny; odwiedziło go kilkoro innych Mayfairów.

Nikt nigdy w nim nie zamieszkał, ani go nie wyremontował. Został jednak oczyszczony z gruzu i jest utrzymywany w raczej bezpiecznym stanie; w dwudziestym wieku, za życia Stelli, został otwarty dla zwiedzających turystów.

Nigdy nie dowiedzieliśmy się, dlaczego Julien kupił zamek, co o nim wiedział i co zamierzał z nim zrobić. Z pewnością miał jakieś pojęcie o istnieniu Debory i Zuzanny, czy to od Lashera, czy z rodzinnych dokumentów.

Talamasca poświęciła owej kwestii – kto i kiedy wiedział o czym – niezmierny wysiłek myślowy; poważne świadectwa wskazują bowiem na to, że Mayfairowie w dziewiętnastym wieku nie znali w pełni swej historii. Katherine wyznawała przy niejednej okazji, że w rzeczywistości wie o początkach rodziny niewiele ponad to, iż przybyli na San Domingo z Martyniki gdzieś w ciągu siedemnastego wieku. Wielu innych Mayfairów czyniło podobne uwagi.

Jeszcze w 1920 roku Mary Beth powiedziała proboszczowi od św. Alfonsa, że „wszystko pokrył kurz zapomnienia”. Wydawała się niezbyt pewna nawet opowiadając studentom architektury, kto i kiedy wybudował Riverbend.

Opracowania z tamtego okresu jako założycielkę posiadłości wymieniają Marguerite, która w rzeczywistości już się tam urodziła. Gdy służba prosiła ją, by zidentyfikowała pewne osoby na wiszących w domu przy ulicy Pierwszej portretach, Mary Beth odpowiedziała, iż nie potrafi tego zrobić. Dodała, iż żałuje, że nikt nie miał dość przytomności umysłu, by napisać imiona na tylnej stronie obrazów.

O ile udało nam się sprawdzić, przynajmniej niektóre płótna mają wypisane na odwrocie imiona.

Być może Julien, i nikt więcej, czytał stare dokumenty, bowiem z pewnością takowe istniały. I to właśnie Julien zaczął je przynosić z Riverbend na ulicę Pierwszą, jeszcze w 1872 roku.

W każdym razie, w 1888 roku Julien pojechał do Donnelaith i kupił zrujnowany zamek. Mary Beth aż do końca swych dni opowiadała, że ów lord Mayfair był ojcem jej biednej, słodkiej córeczki Belle, która miała wyrosnąć na zupełne przeciwieństwo swej potężnej matki.

W 1892 roku wynajęto malarza, który uwiecznił na płótnie ruiny zamku; obraz ten wisi do dzisiaj w domu przy ulicy Pierwszej.

Wracając do chronologii wydarzeń, rzekomy wuj i siostrzenica powrócili do domu z malutką Belle w końcu 1889 roku i wówczas Marguerite, licząca sobie dziewięćdziesiąt lat i bardzo już niedołężna, zaczęła okazywać dziecku szczególne zainteresowanie.

Prawdę mówiąc, Katherine i Mary Beth nie mogły w Riverbend spuścić niemowlęcia z oczu, bowiem Marguerite, która miała zwyczaj wędrować po domu z Belle w ramionach, zdarzało się zapominać o niej nagle i wypuszczać z rąk małą, albo zostawiać na stopniu schodów czy na stole. Julien śmiał się z ich obaw i wiele razy powiedział w obecności służby, że dziewczynka ma specjalnego Anioła Stróża, który o nią zadba.

Przestano już do tego czasu, jak się wydaje, mówić, że Julien był ojcem Mary Beth; nie pojawiły się też absolutnie żadne plotki, jakoby także był ojcem

Belle, córki swojej córki.

Lecz na potrzeby niniejszej dokumentacji, możemy z całą pewnością stwierdzić, że był ojcem obu.

Mary Beth, Julien i Belle żyli sobie szczęśliwie we troje przy ulicy Pierwszej i Mary Beth, chociaż uwielbiała tańce, teatr i przyjęcia, nie okazywała pilnej potrzeby znalezienia sobie „następnego” męża.

Koniec końców, jak się przekonamy, wyszła za mąż za człowieka nazwiskiem McIntyre i urodziła troje dzieci – Carlottę, Lionela i Stellę.

W nocy poprzedzającej śmierć Marguerite, w 1891 roku, Mary Beth obudziła się z krzykiem w swej sypialni przy ulicy Pierwszej. Uparła się, że musi natychmiast pojechać do Riverbend, ponieważ jej babka jest umierająca. Dlaczego nikt po nią nie posłał? Służba odnalazła Juliena, siedzącego bez ruchu w bibliotece na pierwszym piętrze; wyglądał, jakby płakał. Zdawał się nie widzieć ani nie słyszeć Mary Beth, błagającej, by zawiózł ją do Riverbend.

Młoda irlandzka pokojówka usłyszała wówczas uwagę starej gospodyni, kwarteronki, że to może wcale nie Julien siedzi przy biurku i że muszą go poszukać. Przeraziło to służącą, tym bardziej że gospodyni zaczęła nawoływać po całym domu „Michie Julien”, podczas gdy nieruchoma, płacząca postać nadal siedziała za biurkiem, wpatrzona wprost przed siebie jakby nie słysząc wołania.

W końcu Mary Beth wyruszyła w drogę pieszo; w tym samym momencie Julien poderwał się zza biurka, przeczesał palcami swe białe włosy i rozkazał służbie przygotować powóz. Dogonił Mary Beth, zanim zdążyła dotrzeć do ulicy Sklepowej.

Warto zanotować, że Julien miał wówczas sześćdziesiąt trzy lata i wciąż mówiono o nim jako o przystojnym mężczyźnie, postawnym jak dąb, o sposobie bycia aktora teatralnego. Mary Beth liczyła sobie lat dziewiętnaście i była niezwykle piękna. Belle miała dopiero dwa latka i nie odgrywa żadnej roli w tej historii.

Julien i Mary Beth przybyli do Riverbend, gdy właśnie wysyłano po nich posłańców. Marguerite – widmo dziewięćdziesięciodwuletniej kobiety – była już niemal w stanie śpiączki; kościstymi palcami ścisnęła kurczowo dziwną małą laleczkę, którą ku wielkiej konsternacji zajmującego się nią lekarza i pielęgniarki nazywała swoją *maman*. Później opowiedzieli oni o tym całemu miastu. Był przy tym obecny również ksiądz. Jego szczegółowa relacja również znalazła swoją drogę do naszych archiwów.

Laleczka była rzekomo ohydztwem z rękami i nogami zrobionym z prawdziwych ludzkich kości, połączonych przy pomocy czarnego drutu. Na czubku szmacianej główki z niezdarnie namalowanymi oczyma i ustami, przyczepiono grzywę okropnych, białych włosów.

Katherine, wówczas sześćdziesięcioletnia, i obydwaj jej synowie siedzieli przy łóżku już od wielu godzin. Był tam również Remy, który gdy zachorowała matka, przebywał na plantacji już od miesiąca.

Ksiądz, ojciec Martin, udzielił właśnie Marguerite ostatnich sakramentów; na ołtarzyku paliły się gromnice.

Kiedy Marguerite wydała ostatnie tchnienie, Katherine podniosła się z krzesła, podeszła do stojącego na komodzie pudełka z biżuterią, z którego zawsze korzystała do spółki z matką; wyjęła naszyjnik ze szmaragdem i wręczyła go Mary Beth. Ksiądz przyglądał się temu z zaciekawieniem. Mary Beth przyjęła klejnot z wdzięcznością, założyła go na szyję i znowu zaczęła płakać.

Wówczas ksiądz zauważył, że zaczęło padać i nad domem zerwał się niezwykle silny wiatr; łomotały okiennice, z drzew sypały się liście. Wydawało się, że Julien jest tym zachwycony; roześmiał się nawet.

Katherine wyglądała na zmęczoną i przestraszoną. Mary Beth płakała, niepokieszona. Clay, przystojny młody człowiek, wydawał się również zafascynowany tym, co się dzieje. Jego brat, Vincent, zachował po prostu zimną obojętność.

Wtedy Julien otworzył okna, by wpuścić do środka ulewę i wiatr. Przeraziło to nieco księdza i z pewnością przyczyniło mu niewygodę, była to bowiem zima. Mimo to został przy łóżku zmarłej, sądząc że tak będzie stosownie, chociaż deszcz padał na samą pościel. Gałęzie drzew uderzały o ściany domu. Ksiądz obawiał się, że jeden z odłamanych nagle konarów może wpaść przez okno, przy którym stoi.

Julien zupełnie się tym nie przejmował. Z oczyma pełnymi łez, ucałował zmarłą i zamknął jej oczy; wyjął też ze sztywnych dłoni laleczkę, którą schował następnie za pazuchę. Ułożywszy jej ręce na piersi, wygłosił do księdza mowę, wyjaśniając, że matka przyszła na świat w końcu „starego stulecia” i przeżyła niemal sto lat; że widziała i rozumiała rzeczy, o których nie mogłaby nikomu powiedzieć.

– W większości rodzin – oświadczył Julien po francusku – gdy ktoś umiera, wszystko co wiedział, zabiera wraz z sobą do grobu. Lecz inaczej rzecz się ma z Mayfairami. Jej krew krąży w naszych żyłach i cała wiedza weszła w nas i staliśmy się dzięki temu silniejsi.

Katherine po prostu przytaknęła ze smutkiem jego słowom. Mary Beth wciąż płakała. Clay przyglądał się, stojąc w kącie, z ramionami skrzyżowanymi na piersi.

Gdy ksiądz zapytał nieśmiało, czy nie można by zamknąć okna, Julien odpowiedział, że w ten sposób okazałoby się brak szacunku, gdyż to niebiosa opłakują Marguerite. Po czym strącił poświęcone świece z katolickiego ołtarzyka ustawionego przy łóżku, obrażając w ten sposób księdza. Także Katherine była wstrząśnięta.

– Julienie, opanuj się! – wyszeptwała. Vincent zachichotał wbrew woli, a Clay uśmiechnął się niechętnie. Wszyscy z zakłopotaniem patrzyli na przerażonego księdza. Julien obdarzył towarzystwo figlarnym uśmiechem i wzruszył ramionami; a potem, gdy znowu spojrzął na matkę, ogarnął go smutek i uklękawszy przy łóżku, ukrył twarz w pościeli, przy boku martwej kobiety.

Clay cicho wyszedł z pokoju.

Przy pożegnaniu ksiądz spytał Katherine o szmaragd. Odpowiedziała mu, jakby improwizując na poczekaniu, że odziedziczyła klejnot po matce, lecz nigdy się jej nie podobał, był bowiem za wielki i za ciężki. Mary Beth może go sobie zatrzymać.

Opuściwszy dom, ksiądz odkrył, że już kilkaset metrów dalej nie pada i nie ma w ogóle wiatru. Niebo było zupełnie czyste. Minął Claya, siedzącego w białym fotelu z wysokim oparciem pod ogrodzeniem z żerdek, przy samym wjeździe na plantację; przyglądał się, pałac, dalekiej burzy, doskonale widocznej na tle ciemnej nocy. Ksiądz go pozdrowił, lecz ten zdawał się nic nie słyszeć.

Jest to pierwsza, szczegółowa relacja o śmierci czarownicy z rodziny Mayfair, od czasów opisaney przez Petyra van Abła śmierci Debory.

Istnieje wiele innych opowieści o Julenie, które mogłyby być – i może faktycznie, w przyszłości zostaną – tutaj włączone. Usłyszymy o nim więcej, w miarę jak będzie się rozwijać historia Mary Beth.

Lecz nie możemy przejść do Mary Beth, nie omówiwszy jeszcze jednego aspektu życia Julienu, to znaczy jego biseksualności. Warto tu dokładnie powtórzyć znaczące historyjki, które opowiedział nam o Julenie jeden z jego kochanków, Richard Llewellyn.

Jak zostało zasygnalizowane powyżej, imię Julienu padło w związku ze „zbrodnią przeciw naturze” już w bardzo wczesnym okresie jego życia; zabił wtedy – czy to przypadkowo, czy rozmyślnie – jednego ze swych wujów. Wspomnieliśmy także o jego przyjacielu w dzielnicy francuskiej w późnych latach pięćdziesiątych dziewiętnastego wieku.

Julien miewał takich towarzyszy przez całe swoje życie, jednak o większości z nich nie wiemy nic.

Dwaj, na których temat posiadamy pewne dane, to kwarteron, Victor Gregoire i Anglik, Richard Llewellyn.

W latach osiemdziesiątych dziewiętnastego wieku Victor Gregoire pracował jako osobisty sekretarz Julienu, czy nawet ktoś w rodzaju lokaja. Mieszkał przy ulicy Pierwszej, w pomieszczeniach dla służby. Był nadzwyczajnie przystojnym mężczyzną, podobnie jak wszyscy towarzysze Julienu, mężczyźni czy kobiety. Mówiono, że jego rodzina wywodzi się od któregoś z Mayfairów.

Przeprowadzone przez nas śledztwo ustaliło, że w rzeczywistości był prawnikiem pokojówki-kwarteronki, która wyemigrowała z Mayfairami z San Domingo i mogła być potomkiem Petera Fontenay Mayfaira, brata Jeanne Louise i syna Charlotte i Petyra van Abla.

W każdym razie Julien bardzo kochał Victora. Jednak około 1885 roku, mniej więcej w tym czasie, kiedy umarła Suzette, miała między nimi miejsce kłótnia. Według raczej nieprzekonującej relacji, jaką posiadamy na ten temat, Victor zarzucił Julienowi, że nie odnosił się on do swej śmiertelnie chorej żony z należyтым współczuciem. Julien, urażony tym oskarżeniem, dość ciężko pobił Victora. Kuzyni opowiadali historyjkę dostatecznie często, by dotarła ona do uszu osób spoza rodziny.

Wydaje się, iż jednomyślnie uważano, że Victor prawdopodobnie miał słuszość. Był bowiem najbardziej oddanym służącym Julienu i korzystał z przysługującego mu prawa mówienia swemu panu prawdy. Wiedziano powszechnie w owym czasie, że nikt nie był bliżej związany z Julienem niż Victor i że zrobiłby wszystko dla swojego pana.

Należy jednak dodać także, iż mamy poważne dowody na to, że Julien kochał Suzette, bez względu na to, jak bardzo był nią rozczarowany; i że opiekował się nią troskliwie. Jego synowie z pewnością myśleli, że ich ojciec kocha matkę. Na pogrzebie Suzette Julien szalał z rozpaczą. Później, przez wiele godzin, pocieszał ojca i matkę zmarłej żony; wycofał się też na pewien czas z interesów, by przebywać razem ze swą córką Jeannette, która nigdy nie „przyszła do siebie” po śmierci matki.

Trzeba także nadmienić, że Julien, podczas pogrzebu Jeannette, który miał

miejsce kilka lat później, był w stanie bliskim hysterii. Prawdę mówiąc, uczepił się w pewnym momencie trumny i nie chciał pozwolić na umieszczenie jej w krypcie. Garland, Barclay i Cortland musieli go podtrzymywać, gdy składano zwłoki do grobu.

Potomkowie siostr i braci Suzette opowiadają obecnie, że jej mąż, Julien, doprowadzał „ciotkę Suzette”, która mieszkała niegdyś przy ulicy Pierwszej do szaleństwa – swym wyuzdaniem, okrucieństwem i złośliwością, co sugerowało wrodzony obłąd. Lecz opowieści te są mało konkretne i nie zawierają żadnych rzetelnych wiadomości o owym okresie.

By zakończyć historię Victora powiem, iż ów młody człowiek zginął tragicznie, w czasie, gdy Julien i Mary Beth podróżowali po Europie.

Pewnej nocy, wracając do domu przez Dzielnicę Ogrodów, Victor znalazł się u zbiegu ulic Filipa i Prytania, na drodze rozpędzonego powozu; upadł niebezpiecznie, otrzymał także okropny cios w głowę. Dwa dni później zmarł z powodu ciężkich obrażeń mózgu. Julienu powiadomiono o tym, gdy powrócił do Nowego Jorku. Wystawił Victorowi piękny pomnik na Trzecim Cmentarzu St. Louis.

Za tym, iż był to homoseksualny związek, przemawiają jedynie pośrednie świadectwa; wyjątkiem jest późniejsza wypowiedź Richarda Llewellyna, ostatniego mężczyzny w życiu Julienu. Julien kupował Victorowi olbrzymie ilości ubrań. Podarował mu także wspaniałe konie pod wierzch i dawał przesadnie wielkie sumy pieniędzy. Spędzali ze sobą dni i noce, podróżowali razem do Riverbend i Nowego Jorku; Victor często sypiał na kanapie w bibliotece zamiast w swoim pokoju na tyłach domu.

* * *

WYZNANIE RICHARDA LLEWELLYNA

Richard Llewellyn jest jedynym obserwatorem Julienu, z którym Talamasca

kiedykolwiek zdołała przeprowadzić bezpośredni wywiad. W zasadzie ów mężczyzna jest czymś więcej, niż tylko przypadkowym obserwatorem.

To, co miał do opowiedzenia – zarówno na temat innych członków rodziny, jak i samego Julienu – czyni jego wyznania szczególnie interesującymi, nawet jeśli w przeważającej części nie są one potwierdzone. To od niego pochodzi większość naszych wiadomości o intymnym życiu rodziny Mayfairów.

Uważamy przeto, że warto zacytować tu jego odtworzoną wypowiedź w całości.

Richard Llewellyn przybył do Nowego Orleanu w 1900 roku; miał wówczas dwadzieścia lat. Został zatrudniony przez Julienu, podobnie jak wcześniej Victor; Julien, mimo że ukończył już siedemdziesiąt dwa lata, wciąż prowadził liczne interesy w dziedzinie handlu, produkcji bawełny, nieruchomości i bankowości. Aż do ostatniego tygodnia przed swoją śmiercią, około czternaście lat później, utrzymywał regularne godziny urzędowania w bibliotece przy ulicy Pierwszej.

Llewellyn pracował dla Julienu aż do jego śmierci. W 1958 roku, gdy po raz pierwszy podjąłem badania terenowe w sprawie Czarownic Mayfair, wyznał mi otwarcie, że był kochankiem Julienu.

W owym czasie Llewellyn ukończył właśnie siedemdziesiąt siedem lat. Był dobrze zbudowanym mężczyzną średniego wzrostu; miał kręcone, czarne włosy, gęsto przetykane siwizną i bardzo duże, nieco wyłupiaste oczy. Wyrobił sobie do tego czasu coś, co nazwałbym akcentem nowoorleańskim i nie mówił już jak Jankes czy bostończyk; chociaż istnieją pewne określone podobieństwa pomiędzy wymową nowoorleańską i bostońską. W każdym razie był niewątpliwym nowoorleańczykiem, także jeśli chodzi o wygląd.

Posiadał księgarnię antykwaryczną w dzielnicy francuskiej, na ulicy Chartres, specjalizującą się w wydawnictwach o muzyce, zwłaszcza operowej. Gramofon w sklepie odtwarzał arie Carusa, a Llewellyn, ubrany zawsze w garnitur i krawat, siadywał niezmiennie za biurkiem z tyłu sklepu.

To pieniądze zapisane mu przez Julię pozwoliły Llewellynowi kupić na własność budynek. Wprowadził się do mieszkania na piętrze i pracował w sklepie aż do ostatniego miesiąca przed swoją śmiercią, w 1959 roku.

Odwiedziłem go kilkakrotnie latem 1958 roku, lecz tylko przy jednej okazji udało mi się nakłonić go do dłuższej rozmowy; muszę wyznać, że wino, którym go częstowałem, miało w tym spory udział. Oczywiście, bezwstydnie stosowałem tę metodę – lunch, wino, i jeszcze więcej wina – wobec wielu świadków w sprawie rodziny Mayfairów. Wydaje się ona przynosić szczególnie dobre efekty w Nowym Orleanie, zwłaszcza latem. Myślę, że byłem nieco zbyt śmiały i natarczywy w stosunku do Llewellyna, jednak uzyskane od niego informacje okazały się bezcenne.

Całkowicie „przypadkowe” spotkanie z Llewellynem nastąpiło, gdy pewnego lipcowego popołudnia zajrzałem do jego księgarni i zaczęliśmy rozmawiać o wielkich śpiewakach operowych – kastratach, zwłaszcza o Farinellim. Bez żadnych trudności przekonałem Llewellyna, by o wpół do trzeciej zamknął sklep na karaibską sjęstę i zjadł ze mną lunch u Galatoire’a.

Przez pewien czas nie poruszałem tematu rodu Mayfairów, następnie napomknąłem o nich nieśmiało w związku ze starym domem przy ulicy Pierwszej. Powiedziałem szczerze, że interesuje mnie to miejsce i ludzie, którzy tam mieszkali. Llewellyn, wtedy już przyjemnie wstawiony, zagłębił się we wspomnienia ze swoich pierwszych dni w Nowym Orleanie.

Z początku nie chciał powiedzieć niczego o Julienne, lecz po chwili zaczął o nim mówić, tak jakby uważał mnie za dobrego znajomego Julię. Dorzucałem różne powszechnie znane wiadomości i fakty, i w ten sposób konwersacja posuwała się żwawo do przodu. Opuściliśmy w końcu Galatoire’a i przenieśliśmy się do małej, cichej kawiarenki na ulicy Bourbona. Tam kontynuowaliśmy naszą pogawędkę, aż do ósmej trzydzieści wieczorem.

W którymś punkcie rozmowy Llewellyn zorientował się, że nie mam żadnych uprzedzeń, co do jego preferencji seksualnych; że w rzeczywistości, nic

z tego, co powiedział, mnie nie szokuje; odprężył się więc i opowiadał dalej swoją historię bez zbędnego skrępowania.

Było to długo przedtem, nim zaczęliśmy używać magnetofonów; gdy tylko wróciłem do hotelu, odtworzyłem rozmowę najlepiej, jak umiałem, starając się zachować specyficzne wyrażenia Llewellyna. Lecz jest to tylko rekonstrukcja. Pomiąłem też całkowicie moje własne natarczywe pytania. Wierzę jednak, że wiernie przekazałem treść.

Zasadniczo, Llewellyn był głęboko zakochany w Julenie i odkrycie, że jest on przynajmniej dziesięć do piętnastu lat starszy, niż Llewellyn sądził, było jednym z jego najwcześniejszych wstrząsów życiowych. A zorientował się dopiero wtedy, gdy na początku 1914 roku Julien przeszedł swój pierwszy zawał. Aż do tamtej pory Julien był uroczo romantycznym i pełnym wigoru kochankiem. Llewellyn został ze swym przyjacielem do jego śmierci, około czterech miesięcy później. Julien był przez ten czas częściowo sparaliżowany, lecz nadal, każdego dnia, spędzał godzinę lub dwie w swoim biurze.

Llewellyn dostarczył nam żywego wizerunku Juliana we wczesnych latach dwudziestego wieku; szczupłego mężczyzny, który utracił nieco ze swojego wzrostu, lecz wciąż był rześki i energiczny, pełen dobrego humoru i wyobraźni.

Llewellyn opowiedział mi szczerze, że Julien wprowadził go w sekrety życia erotycznego; nie tylko nauczył młodego człowieka, jak być uważnym kochankiem, lecz również zabrał go do Storyville – głośniejszej nowoorleańskiej dzielnicy „czerwonych latarni” – i zaprowadził do najlepszych działających tam domów.

Lecz przejdźmy do bezpośredniej relacji:

«„Ach, te sztuczki, których mnie nauczył”, Llewellyn uczynił aluzję do miłosnego związku, jaki ich łączył. „A cóż miał za poczucie humoru! Tak jakby cały świat był dla niego żartem i nie znajdował w nim najmniejszej kropelki goryczy. Powiem panu coś bardzo osobistego. Kochał się ze mną zupełnie, jakbym był kobietą. Jeśli nie wie pan, co mam na myśli, to nie ma żadnego

sensu tego tłumaczyć. A jego głos, i ten francuski akcent! Mówię panu, kiedy zaczynał szeptać mi do ucha...

Opowiadał przezabawne historyjki o błazeństwach, jakie wyprawiał ze swoimi innymi kochankami; i jak wyprowadzali wszystkich w pole; naprawdę, jeden z jego chłopców, Aleister miał na imię, przebierał się za kobietę i chodzili z Julienem do opery i nikt, zupełnie nikt, niczego nie podejrzewał. Julien próbował mnie też do tego namówić, ale powiedziałem mu, że nigdy się na to nie odważę, nigdy! Zrozumiał to. Był taki dobroduszny. Faktycznie, nie można go było wciągnąć w kłótnię. Powiedział, że już z tym skończył, zresztą miał okropny temperament i nie mógł sobie pozwolić na napady wściekłości. Wykańczały go.

Tylko raz go zdradziłem. Kiedy po dwóch dniach wróciłem do domu, przygotowany na okropną awanturę, przyjął mnie z, jak pan by to nazwał? Z otumaniającą serdecznością. Okazało się, że wie o wszystkim, co zrobiłem, i z kim; w najmiłszy, otwarty sposób zapytał mnie, dlaczego jestem takim głupcem. To było zdecydowanie niesamowite. Wybuchnąłem w końcu płaczem i wyznałem mu, że uczyniłem tak, by udowodnić mu niezależność. Ostatecznie, miał taką przytłaczającą osobowość. Ale teraz byłem gotów uczynić wszystko, by z powrotem wrócić do jego łask. Nie wiem, co bym zrobił, gdyby mnie wyrzucił!

Moje tłumaczenie przyjął z uśmiechem. Poklepał mnie po ramieniu i powiedział, żebym się nie przejmował. Mówię panu, wyleczyło to mnie z włóczenia się raz na zawsze! To wcale nie było zabawne, kiedy człowiek czuł się tak strasznie, a on emanował spokojem i wyrozumiałością. Nauczyło to mnie czegoś, nie ma co mówić.

I wtedy zaczął opowiadać, jak to jest, kiedy potrafi się czytać w cudzych myślach i wie się, co się dzieje w innych miejscach. Często rozmawialiśmy o tym wszystkim. Nigdy nie potrafiłem odgadnąć, czy mówi poważnie, czy jest to jeszcze jeden z jego żartów. Miał takie ładne oczy. Był bardzo przystojnym

starszym panem, naprawdę. Ubierał się z pewną przesadą. Przypuszczam, że można by powiedzieć, iż ma w sobie coś z fircyka. Kiedy wkładał swój wspaniały garnitur z białego płótna, żółtą jedwabną kamizelkę i białą panamę, wyglądał znakomicie.

Myślę, że do dzisiaj staram się go naśladować. Czy to nie smutne? Chodzę sobie, usiłując wyglądać jak Julien Mayfair.

Ach, lecz to mi coś przypomina; muszę panu opowiedzieć o pewnym przedziwnym wyczynie Julienu. Zrobił to, żeby mnie przestraszyć! Do dzisiaj nie wiem, co właściwie się wtedy stało. Poprzedniej nocy rozmawialiśmy o tym, jak Julien wyglądał, kiedy był młody; jaki przystojny jest na tych wszystkich zdjęciach – wie pan, oglądanie ich było jak istna podróż poprzez historię fotografii. Najpierw powstawały dagerotypy potem ferrotypy; dalej autentyczne obrazki na kartonie w kolorze sepia; i na końcu czarno-białe zdjęcia, jakie mamy dzisiaj. Pokazał mi, w każdym razie, cały plik fotografii, a ja powiedziałem: „Ach, jaka szkoda, że nie znałem cię za twoich młodzieńczych lat. Musiałeś być wtedy naprawdę piękny”. I od razu zamilkłem. Zrobiło mi się wstyd. Myślałem, że pewnie go zraniłem. Lecz, patrzcie go, po prostu się do mnie uśmiechał. Nigdy tego nie zapomnę. Siedział, założywszy nogę na nogę, w samym rogu swojej skórzanej kanapy i patrzył na mnie, poprzez dym z fajki. „Dobrze, Richardzie, jeśli chciałbyś wiedzieć, jaki wtedy byłem, postaram się pokazać ci to. Zrobię ci niespodziankę”, powiedział.

Tamten wieczór spędziłem w mieście. Nie pamiętam, dlaczego wyszedłem. Może po prostu musiałem. Wie pan, ten dom potrafił być taki męczący! Pełno dzieci, starych osób i zawsze kręcąca się w pobliżu Mary Beth, która, mówiąc grzecznie, dawała odczuć swoją obecność. Proszę mnie źle nie zrozumieć, lubiłem ją, zresztą tak jak wszyscy. Ogromnie ją lubiłem, przynajmniej dopóki żył Julien. Naprawdę, tak dobrze się z nią rozmawiało. Rzeczywiście słuchała cię, kiedy do niej mówiłeś; zawsze wydawało mi się, że to raczej niezwykle. Ale w jakiś sposób wypełniała sobą cały pokój, kiedy tylko weszła do środka.

Mógłby pan powiedzieć, że przyćmiewała wszystkich swoim blaskiem. A do tego jeszcze jej mąż, sędzia McIntyre.

Cóż to był za okropny opój. Wiecznie chodził pijany. I zawsze skory do kłótni. Mówię panu, niejeden raz musiałem go szukać po irlandzkich barach na ulicy Sklepowej i przyprowadzać do domu. Wie pan, Mayfairowie to ludzie nie w jego guście. Z pewnością był wykształconym człowiekiem, Irlandczykiem w koronkowym kołnierzyku. Jednak myślę, że mimo to, czuł się przy Mary Beth gorszy. Zawsze zwracała mu uwagę na różne drobiazgi, na przykład żeby rozłożył na kolanach serwetkę; albo nie palił w jadalni; czy że przygryza koniec widelca, kiedy je i że ten dźwięk działa jej na nerwy. Bezustannie był na nią obrażony. Ale myślę, że naprawdę ją kochał. Dlatego tak łatwo mogła go zranić. Musiałby pan ją znać, żeby to zrozumieć. Nie była piękna. To nie to. Była za to absolutnie... czarująca. Mógłbym panu opowiedzieć o niej i tamtych młodych mężczyznach, ale nie, nie chcę mówić na ten temat. Próbuję powiedzieć, że mieli zwyczaj zostawać po kolacji przy stole i siedzieć tam całymi godzinami; Mary Beth, sędzia McIntyre, Julien, oczywiście, i jeszcze Clay Mayfair, jeśli był w domu. Nigdy nie spotkałem ludzi, którzy by bardziej lubili gadać po kolacji.

Julien potrafił wysączyć pół karafki brandy. Mała Stella zasypiała na jego kolanach. Ach, Stella ze swoimi kędziorkami, kochana, śliczna Stella. I piękna, mała Belle. Przybłąkiwała się ze swoją lalką. I Millie Dear. Tak ją początkowo nazywali. Była młodsza od Belle, ale poniekąd jej pilnowała. Zresztą z Belle było coś nie w porządku. Na pierwszy rzut oka, wydawała się słodziutka, prawdziwy aniołek, jeśli wie pan, co mam na myśli. Czasami przychodzili też inni kuzyni. Zdaje się, że chłopiec Julienna, Garland, bywał często, kiedy już wrócił do domu ze szkoły. I Cortland, naprawdę lubiłem Cortlanda. Przez chwilę mówiło się, że mógłby ożenić się z Millie, ale byli kuzynami pierwszego stopnia, bo dziewczynka była córką Remy'ego, a ludzie nie robią już teraz takich rzeczy. Millie nigdy nie wyszła za mąż. Jakie to smutne.

Ale wie pan, sędzia McIntyre był Irlandczykiem z rodzaju tych, co za nic nie

potrafią kręcić się cały czas przy żonie. Potrzebował towarzystwa mężczyzn, i to nie takich jak Julien, lecz takich jak on sam – pijących i dyskutujących z zapamiętaniem. Spędzał dużo czasu w swoim klubie, ale często wieczorami chodził do tych ordynarnych barów przy ulicy Sklepowej.

Kiedy był w domu, zachowywał się zawsze bardzo hałaśliwie. Mimo to, uważano go za dobrego sędziego. Nigdy nie pił, dopóki nie wrócił z sądu; a że zawsze pojawiał się wcześnie, miał mnóstwo czasu, żeby się kompletnie zalać przed dziesiątą wieczorem. Wychodził wtedy się włóczyć i około północy Julien zazwyczaj mówił: „Richardzie, myślę, że lepiej będzie, jeśli pójdziesz go poszukać”.

Julien radził sobie z nim bez trudu. Uważał, że sędzia McIntyre jest zabawny. Śmiał się ze wszystkiego, co on mówił. Sędzia perorował bezustannie na temat Irlandii i tamtejszej sytuacji politycznej; Julien odczekiwał, aż skończy, a potem mówił radośnie i z błyskiem w oku: „Nic mnie nie obchodzi, jeśli się tam wszyscy powyrzynają nawzajem”. Sędzia McIntyre wpadał w furję. Mary Beth śmiała się i potrząsała głową kopiąc Julię pod stołem. Ale pod koniec sędzia McIntyre bardzo podupadł na zdrowiu. Jak w ogóle udało mu się pożyć tak długo, nie mam pojęcia. Umarł dopiero w 1925 roku, trzy miesiące po śmierci Mary Beth. Powiedzieli, że to było zapalenie płuc. Niech mnie diabli porwą, jeśli to prawda! Znaleźli go w rynsztoku, wie pan. To była Wigilia Bożego Narodzenia i taki mróz, że rury pozamarzały. Zapalenie płuc. Kiedy Mary Beth umierała, słyszałem, cierpiała tak bardzo, że podawali jej morfinę prawie w śmiertelnych dawkach. Leżała tam, bez zmysłów, a on przychodził zalany i budził ją, mówiąc: „Mary, Beth, jesteś mi potrzebna”. Żalony, pijany dureń. A ona mu odpowiadała: „Chodź, Danielu, połóż się obok mnie, Danielu”. Pomyśleć tylko, jak bardzo cierpiała. To Stella mi o tym opowiedziała... kiedy ją widziałem po raz ostatni. To znaczy, żywą. Byłem tam później jeszcze tylko jeden raz, na jej pogrzebie. Leżała sobie w trumnie; Lonigan dokonał cudu, zamykając ranę w taki sposób. Wyglądała po prostu pięknie. I wszyscy ci

Mayfairowie dookoła. Ale wtedy po raz ostatni widziałem ją żywą, jak mówiłem... A to, co powiedziała mi o Carlocie, jaka zimna była dla Mary Beth, podczas tych ostatnich miesięcy; włosy stanęłyby panu dęba.

Niech pan sobie tylko wyobrazi; jak córka może być nieczuła wobec matki, która umiera w taki sposób? Lecz Mary Beth nie zwracała na to uwagi. Leżała tam tylko, cierpiąc, w półśnie; nie wiedziała, gdzie się znajduje – to też słyszałem od Stelli. Czasami chora mówiła na głos do Julienu, jakby widziała go w pokoju; oczywiście, Stella siedziała przy niej noc i dzień, może pan być tego pewien; ach, jak Mary Beth kochała Stellę.

Mary Beth powiedziała mi kiedyś nawet, że mogłaby włożyć wszystkie pozostałe swoje dzieci do worka i wrzucić je do Mississipi, tyle o nie dbała. Jedynie Stella się dla niej liczyła. Oczywiście, żartowała tylko. Nigdy nie była niedobra dla swoich dzieci. Pamiętam, jak godzinami czytywała bajki Lionelowi, gdy był malutki; i jak pomagała mu w lekcjach. Zaangażowała dla niego najlepszych nauczycieli, kiedy nie chciał chodzić do szkoły. Żadne z dzieci nie radziło sobie dobrze z nauką; naturalnie, oprócz Carlotty. Stellę usunięto z trzech różnych szkół, tak mi się wydaje. Tylko Carlotta naprawdę radziła sobie dobrze, i nieźle na tym wyszła.

Lecz o czym to mówiłem? Ach, tak. Czasami wydawało mi się, że nie ma dla mnie miejsca w tym domu. Wyszedłem, w każdym razie. Udałem się do dzielnicy francuskiej. Wie pan, był to czas, kiedy prostytutka w Storyville była legalna i to właśnie Julien zabrał mnie pewnego wieczoru do Domu Luster i innych modnych miejsc; nie przeszkadzało mu, jeśli sam tam chodziłem.

Powiedziałem, że wychodzę. Nie miał nic przeciwko temu. Był na górze, w zaciszu sypialni na trzecim piętrze, ze swoimi książkami, gorącym kakao i ze swoją Victrolą. Zresztą wiedział, że chodzę tam jedynie się poprzyglądać. Spacerowałem między wszystkimi tymi maleńkimi domkami – wie pan, nazywali je „kołyski” – stojące w drzwiach dziewczynki kiwały do mnie, żebym wszedł do środka; oczywiście, nie miałem najmniejszego zamiaru tego zrobić.

I wtedy mój wzrok spoczął na pięknym, młodym mężczyźnie, po prostu pięknym młodym mężczyźnie. Stał w jednej z bocznych uliczek, z ramionami założonymi na piersiach, oparty o ścianę domu i przyglądał mi się jak gdyby nigdy nic. „Bon soir, Richardzie”, powiedział do mnie; natychmiast rozpoznałem ten głos, francuski akcent. To był Julien! Tylko, że nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia lat! Mówię panu, nigdy nie przeżyłem większego wstrząsu. O mało co nie zacząłem krzyczeć. Wolałbym ujrzeć ducha. A faceta już tam nie było, zwyczajnie zniknął.

– Wskoczyłem do dorożki, jakby mnie kto gonił, i pojechałem prosto do domu, na ulicę Pierwszą. Julien otworzył mi frontowe drzwi. Miał na sobie kimono; pykał swoją wstrętną fajkę i śmiał się. „Mówiłem, że pokażę ci, jak wyglądałem, kiedy miałem dwadzieścia lat!”, powiedział. Śmiał się i śmiał.

Poszedłem za nim do salonu, pamiętam. To był taki śliczny pokój, wtedy; nie tak jak teraz. Powinien pan był go widzieć. Absolutnie urocze francuskie meble, głównie Ludwik Piętnasty; Julien sam je przywiózł z Europy, kiedy podróżował z Mary Beth. Takie lekkie i eleganckie, po prostu cudo. To całe art deco, to był pomysł Stelli. Wydawało jej się, że to jest coś, te wszystkie palmy w doniczkach w każdym kącie. Jedynym przyzwoitym meblem był fortepian Bozendorfer. Dom wyglądał zupełnie idiotycznie, kiedy przyszedłem tam na pogrzeb; wie pan oczywiście, że zwłoki Stelli wyprowadzono z domu. Nie miała salonu pogrzebowego. Jakże, wystawili jej trumnę w tym samym pokoju od frontu, w którym została zastrzelona, wiedział pan o tym? Rozglądałem się dookoła, myślałem, gdzie to się dokładnie stało. A jakżeby inaczej, wszyscy robili to samo; oczywiście Lionela zdążyli już zamknąć. Och, nie mogłem w to uwierzyć. On był takim słodkim i przystojnym chłopcem. Wszędzie chodził razem ze Stellą. Ale, co to mówiłem?

Ach, tak. To była niesamowita noc. Dopiero co widziałem w mieście Julienu jako pięknego młodego Julienu, przemawiającego do mnie po francusku, a oto już byłem z powrotem w domu i szedłem za Julienem do salonu. Gdy już tam

dotarliśmy, usiadł na kanapie, wyciągnął nogi i powiedział: „Ach, Richardzie, o tylu rzeczach mógłbym ci opowiedzieć; tak wiele mógłbym ci pokazać. Lecz jestem już stary. I po cóż miałbym to robić? To wspaniała pociecha starczego wieku, że nie potrzebujesz już, by cię rozumiano. Wraz z nieuchronnym twardnieniem arterii przychodzi zrezygnowanie”.

Oczywiście, nadal byłem roztrzęsiony. „Julenie”, powiedziałem do niego, „nalegam, byś mi wyjawiał, jak to zrobiłeś.” Ale nie zechciał odpowiedzieć. Jakby mnie tam zupełnie nie było. Patrzył w ogień. W tamtym pokoju, zimą, zawsze płonął podwójny ogień. Są tam dwa kominki, wie pan, jeden odrobinę mniejszy od drugiego.

Po chwili ocknął się z zamyślenia i przypomniał mi, że pisze historię swojego życia. Może mógłbym przeczytać ją po jego śmierci. Nie był pewien.

„Korzystałem z życia”, powiedział, „być może nikt nie powinien korzystać z życia do tego stopnia. Ach, tyle nieszczęść jest na świecie, a ja zawsze tak świetnie się bawiłem! Wydaje się, że to nie w porządku, prawda? Powiniennem być uczynić więcej dla innych, dużo więcej. Szkoda, że nie wykazałem więcej inwencji! Ale to wszystko jest w mojej książce. Będiesz mógł ją później przeczytać.”

Nie tylko ten jeden raz powiedział mi, że pisze swą autobiografię. Naprawdę, miał szalenie interesujące życie; wie pan, urodził się tak długo przed Wojną Domową i tyle widział. Wybieraliśmy się na konne przejażdżki po dzielnicy willowej; jechaliśmy poprzez park Audubon, a on opowiadał mi o tamtych dniach, kiedy to wszystko były plantacje. Wspominał podróż statkiem parowym z Riverbend. Mówił o starej operze i balach kwarteronów. Mówił i mówił. Powiniennem był to zapisać. Opowiadał te historyjki także Stelli i Lionelowi; a jak tych dwoje słuchało! Zabierał ich razem z nami powozem do miasta, pokazywał im miejsca w dzielnicy francuskiej i snuł małe, cudowne opowiadanka.

Powiem panu, chciałem przeczytać tę historię życia. Pamiętam, że kilka

razy, kiedy wszedłem do biblioteki i zastałem go pochylonego nad arkuszami papieru, wspomniał, że pracuje nad swym dziełem. Pisał ręcznie, chociaż miał maszynę do pisania. Wcale mu nie przeszkadzało, że pod nogami kręca się dzieci. Lionel czytywał przy kominku, Stella bawiła się na kanapie lalką – w ogóle nie zwracał na nich uwagi, po prostu spisywał swoją autobiografię.

I niech pan zgadnie. Kiedy umarł, nie było żadnej historii życia. Oto, co powiedziała mi Mary Beth. Błagałem ją, by pozwoliła mi zobaczyć wszystko, cokolwiek zostawił. Odpowiedziała, bez ceregieli, że nie ma niczego takiego. Nie pozwoliła mi nawet zbliżyć się do biurka. Zamknęła przede mną bibliotekę. Och, nienawidziłem jej za to, po prostu nienawidziłem. Mogłaby przekonać kogokolwiek innego, że mówi prawdę, taka była pewna siebie. Ale ja widziałem rękopis. Dała mi jednak coś, co do niego należało; i za to zawsze byłem jej wdzięczny.»

Llewellyn pokazał mi piękny pierścień z rubinem. Wyraziłem swój zachwyt i powiedziałem mu, że chciałbym usłyszeć coś o Storyville. Jak to było, kiedy chodził tam z Julienem? Jego odpowiedź była dość szczegółowa:

«Och, Julien uwielbiał Storyville, naprawdę. A kobiety z Domu Luster przepadały za nim, tyle mogę panu powiedzieć. Usługiwały mu, jakby jakiemu królowi. To samo było wszędzie, gdzie poszedł. Jednak o wielu rzeczach, które wydarzyły się w mieście, nie lubię opowiadać. Nie chodzi o to, że byłem zazdrosny o Julię. Po prostu, zwyczajnie bardzo szokowały nie zepsutego jankeskiego chłopca, jakim wtedy byłem. – Llewellyn zaśmiał się. – Ale zrozumie pan lepiej, co mam na myśli, jeśli panu opowiem.

Była zima, kiedy Julien zabrał mnie ze sobą po raz pierwszy. Kazał stangretowi zawieźć nas aż pod same drzwi frontowe jednego z najlepszych domów publicznych. Grał tam wtedy pianista – nie jestem już teraz pewien, kto; może Manuel Perez albo Jelly Roli Morton – nigdy nie byłem takim fanem jazzu i ragtime’u, jak Julien. Uwielbiał tego muzyka – wie pan, mówili zawsze o tych pianistach „profesor”. Siedzieliśmy w salonie, słuchając muzyki i pijąc całkiem

niezłego szampana. Oczywiście, weszły dziewczynki, wystrojone w te swoje tandetne błyskotki, i robiąc głupie miny – była tam księżna taka i hrabina siaka – próbowały skusić Julienu, a on był dla nich po prostu skończeniem czarującym. W końcu wybrał niemłodą kobietę, raczej zwyczajną; zdziwiło mnie to, a on powiedział, że obaj idziemy na górę. Oczywiście, nie chciałem tego z nią robić; nic nie mogłoby mnie odwieść od podjętej decyzji; ale Julien uśmiechnął się tylko na moje protesty i powiedział, że powinienem popatrzeć i nauczyć się w ten sposób czegoś o światowym życiu. Bardzo typowe dla Julienu.

Niech pan zgadnie, co się stało, kiedy poszliśmy do sypialni? To nie o tę kobietę chodziło Julienowi, ale o jej dwie córki, dziewięcioletnią i jedenastoletnią. Pomagały, poniekąd, w przygotowaniach – w badaniu Julienu, ujmując to delikatnie, żeby upewnić się, że nie ma on, rozumie pan... i w myciu; mówię panu, czułem się ogłuszony, patrząc jak takie dzieci wykonują te wszystkie intymne obowiązki; i czy pan wie, że kiedy Julien zaczął to robić z ich matką, te dwie małe dziewczynki też znalazły się z nimi w łóżku? Obie były bardzo ładne; jedna ciemnowłosa, druga z blond lokami. Miały na sobie kuse koszulki i ciemne pończochy, jeśli potrafi pan to sobie wyobrazić, i były pociągające, myślę, że nawet dla mnie. Jakże, przez cienką tkaninę prześwitywały ich drobne sutki. Nie miały jeszcze prawie piersi. Nie wiem, dlaczego to było takie podniecające. Siedziały, oparte plecami o wysokie rzeźbione oparcie łóżka – pamięta pan te maszynowo produkowane okropności, sięgające niemal do sufitu, z półbaldachimem i koroną – pocałowały Julienu, jak małe opiekuńcze aniołki, kiedy... kiedy... wszedł na ich matkę, że się tak wyrażę.

Nigdy nie zapomnę tych dzieci, i jak to wszystko wydawało się dla nich naturalne! Nie mówiąc już, że także dla Julienu.

Oczywiście, przez cały czas zachowywał się z takim wdziękiem, na jaki tylko istota ludzka mogłaby się w takiej sytuacji zdobyć. Pomyślałbyś, że jest Dariuszem, królem Persji, a owe damy należą do jego haremu; nie było w nim cienia skrępowania czy szorstkości. Po wszystkim, wypił z nimi jeszcze trochę

szampana; nawet dziewczynki poczęstowały się odrobiną. Ich matka spróbowała na mnie swych uwodzicielskich sztuczek, lecz nie byłem ich ciekaw. Julien zostałby tam całą noc, gdybym go nie poprosił, byśmy wyszli. Nauczył dziewczynki „nowego wiersza”. Zdaje się, że za każdym razem, gdy tam przychodził, uczył je wiersza; wyrecytowały dla niego trzy lub cztery poprzednie lekcje, w tym jeden sonet Szekspira. Tym razem była to Elizabeth Barret Browning.

Nie mogłem się doczekać, żebyśmy opuścili tamto miejsce. W drodze do domu literalnie naskoczyłem na niego. „Julienie, kimkolwiek jesteście, jesteście przynajmniej dorosłymi ludźmi. One były jeszcze dziećmi”, powiedziałem, a on odpowiedział mi swym zwykłym, dobrodusznym tonem: „Uspokój się, Richardzie. Nie bądź głupcem. Takie jak one, nazywają fałszywymi maleństwami. Urodziły się w domu nierzędu; całe swoje życie przeżyją w ten sam sposób. Nie uczyniłem im nic, co mogłoby je skrzywdzić. Jeśli ja nie poszedłbym dzisiaj wieczoru z ich matką, kto inny zrobiłby to z nią, i z nimi. Lecz powiem ci, mój drogi, co mnie najbardziej uderza w tej całej sprawie. Mianowicie sposób, w jaki życie upomina się o swoje prawa, bez względu na okoliczności. Oczywiście, z pewnością jest to nędzna egzystencja. Jakże mogłaby być inna? A jednak tym dziewczynkom udaje się żyć; oddychać; dobrze się bawić. Śmieją się; są pełne ciekawości i czułości. Przystosowały się, to chyba jest właściwe słowo. Przystosowały się i na swój własny sposób sięgają po gwiazdy. Powiem ci, uważam, że to cudowne. Przywodzą mi na myśl dzikie kwiaty, wyrastające w szczelinach chodnika, cisnące się w górę, do słońca, nieważne jak wiele stóp wdeptuje je w ziemię.”

Nie sprzeczałem się z nim dalej. Pamiętam tylko, że mówił i mówił. Powiedział, że w każdym mieście w tym kraju są dzieci bardziej nieszczęśliwe od tamtych. Oczywiście, to niczego nie usprawiedliwiało.

Wiem, że często jeździł do Storyville nie zabierając mnie ze sobą. Ale opowiem panu jeszcze coś, raczej dziwnego... – (W tym momencie zawahał się,

musiałem go ponaglić.) – Zabierał ze sobą Mary Beth, do Domu Luster; urządzili to w ten sposób, że Mary Beth przebierała się za mężczyznę.

Niejeden raz widziałem, jak wychodzili razem; gdyby zobaczył pan Mary Beth, oczywiście zrozumiałby pan. Nie była brzydką kobietą, pod żadnym względem; po prostu nie była delikatna – wysoka, mocno zbudowana, z grubo ciosanymi rysami. Kiedy ubrała się w jeden z trzyczęściowych garniturów męża, wyglądała na cholernie przystojnego faceta. Upinała swoje długie włosy pod kapeluszem, wokół szyi nosiła szal; czasami zakładała też okulary, chociaż nie wiem dlaczego – i wychodziła z Julienem.

Pamiętam, że zdarzyło się to co najmniej pięć razy. Słyszałem, jak rozmawiali o tym później; że udało jej się wyprowadzić wszystkich w pole. Sędzia McIntyre też czasem wybierał się z nimi, chociaż myślę, że tak naprawdę, Julien i Mary Beth woleli go ze sobą nie zabierać.

Julien powiedział mi kiedyś, że tak właśnie McIntyre spotkał Mary Beth w Storyville, jakieś dwa lata przed moim przybyciem. Nie był jeszcze wtedy sędzią McIntyre, a tylko Danielem McIntyre. Spotkał tam Mary Beth, spędził wieczór, grając wraz z nią i Julienem w karty i dopiero następnego ranka dowiedział się, że Mary Beth jest kobietą; a kiedy to już odkrył, nie chciał zostawić jej w spokoju.

Julien opowiedział mi o tym. Wybrali się do Storyville, po prostu, żeby się powłóczyć i złapać parę rytmów z Razy Dazzy Spasm Band. Przypuszczam, że słyszał pan o nich, byli niezli, naprawdę niezli. Jakimś sposobem Julien i Mary Beth, która podczas tej wycieczki nazywała się „Jules”, trafili do Willie Plazza’s i wpadli tam na Daniela McIntyre. Wędrowali potem po knajpach, rozglądając się, gdzie można by rozegrać przyzwoitą partyjkę bilarda. Mary Beth zawsze świetnie grała w bilard, naprawdę zawsze.

W każdym razie musiał już być dzień, kiedy postanowili w końcu wracać do domu. Sędzia McIntyre dużo rozmawiał z Julienem o interesach, i ustalili, że zjedzą razem lunch i może Julien pomoże mu dostać się do jakiejś firmy. I

wtedy, gdy sędzia ścisnął na pożegnanie „Julesa”, ona, zdjawszy swoją czarną fedorę uwolniła powódź kruczonych włosów i powiedziała mu, że jest kobietą. O mało co nie padł trupem.

Myślę, że tamtego dnia się w niej zakochał. Ja przyjechałem rok po ich ślubie; mieli już wtedy pannę Carlottę, niemowlę w beciku; za dziesięć miesięcy przyszedł na świat Lionel; a potem, półtora roku później Stella, najładniejsza z nich wszystkich.

Powiem panu prawdę, sędzia McIntyre nigdy się nie odkochał w Mary Beth. I to był jego problem. 1913 był ostatnim pełnym rokiem, jaki spędziłem w tamtym domu; oczywiście, McIntyre był już wtedy, dzięki wpływom Julienu, od przeszło ośmiu lat sędzią; i mówię panu, tak samo szalał z miłości do Mary Beth, jak na początku. Na swój własny sposób, ona także go uwielbiała. Nie przypuszczam, żeby inaczej zdołała z nim wytrzymać.

Oczywiście, byli ci młodzi mężczyźni. Wie pan, jej stajenni i chłopcy na posyłki; wszyscy bardzo przystojni, proszę mi wierzyć, bardzo. Widywało się ich, jak schodzili kuchennymi schodami; kiedy zmierzali do tylnych drzwi, wyglądali na nieco wystraszonych. Ale kochała sędziego McIntyre, naprawdę go kochała, i powiem panu coś jeszcze. Nie sądzę, żeby kiedykolwiek się tego domyślił. Przez ten cały czas był cholernie pijany. A Mary Beth traktowała to z taką samą flegmą, z jaką odnosiła się do wszystkiego. Ona była – w pewnym sensie – najspokojniejszą osobą, jaką kiedykolwiek poznałem. Nic nie wytrącało jej z równowagi, w każdym razie nie na długo. Nie okazywała dużo cierpliwości, kiedy ktoś się jej sprzeciwiał, ale nie zależało jej na robieniu sobie wrogów. Nie lubiła się kłócić ani upierać przy swoim, wbrew innym.

Zawsze zdumiewał mnie sposób, w jaki radziła sobie z Carlottą. Carlotta miała trzynaście lat, kiedy stamtąd odszedłem. Ta mała to istna czarownica! Chciała pójść do szkoły z dala od domu i Mary Beth próbowała ją od tego odwieść, ale dziewczynka była zdeterminowana, więc Mary Beth w końcu ją zwyczajnie puściła.

Mary Beth pozbywała się ludzi w ten sposób, tak to właśnie było; można by powiedzieć, że pozbyła się Carlotty. Wynikało to z jej chłodu, przypuszczam, i mogło doprowadzić cię do szaleństwa. Kiedy Julien umarł, nie zapomnę nigdy, jak zamknęła przede mną bibliotekę i sypialnię na trzecim piętrze. Nigdy się niczym nie przejmowała, ani trochę. „Pospiesz się teraz, Richardzie, zejdź na dół i napij się kawy, a potem najlepiej, żebyś się spakował”, powiedziała, jakby mówiła do małego dziecka. Kupiła dla mnie ten dom tutaj, na otarcie łez i kazała mi się przenieść do miasta. Oczywiście, to były pieniądze Julienu.

Ale nie, nigdy się niczym nie przejmowała. Z wyjątkiem tego jednego razu, kiedy jej powiedziałem, że Julien nie żyje. Wtedy się przejęła. Żeby powiedzieć prawdę, szalała. Ale tylko przez krótką chwilę. Kiedy zobaczyła, że naprawdę umarł, po prostu wzięła się w garść, zaczęła go układać prosto, wygładzać prześcieradła. I nigdy nie widziałem, żeby uroniła jeszcze chociaż jedną łzę.

Opowiem panu jeszcze pewną ciekawą rzecz o pogrzebie Julienu. Mary Beth zrobiła coś dziwnego. Wydarzyło się to w tym frontowym pokoju; a jakże, trumna stała otwarta, Julien był takim przystojnym nieboszczykiem, wszyscy Mayfairowie z Luizjany przybywali, by pożegnać kuzyna. Pewnie, sznur powozów i automobili ciągnął się na wiele bloków wzdłuż Pierwszej i Kasztanowej. Padało, och jak padało. Myślałem, że nigdy nie przestanie. Deszcz lał tak gęsty, że wydawało się, iż spowija dom zasłoną. Ale najważniejsze było co innego. Krewni czuwali przy Julienie; oczywiście niezupełnie tak, jak robią to Irlandczycy w Starym Kraju, byli zbyt eleganccy na takie rzeczy, ale podawano wino i jedzenie, a sędzia, naturalnie, zalał się do nieprzytomności. I w pewnej chwili, Mary Beth, absolutnie nie zwracając uwagi na obecnych w pokoju, i tłumy ludzi w holu, jadalni, w bibliotece i na schodach, i w ogóle na nic dookoła, wzięła proste krzesło, postawiła je sobie obok trumny i włożyła do niej dłoń, splatając swoje palce z martwymi palcami Julienu, po czym jakby nigdy nic zapadła w drzemkę, siedząc z głową przechyloną na bok, trzymając Julienu za rękę, kiedy kuzyni przychodzili i zbliżali się, żeby go zobaczyć i

przyklękali na klęczniku i tak dalej.

Taki czuły gest. Zawsze byłem zazdrosny o Mary Beth, mimo to uwielbiałem ją za ten właśnie gest. Szkoda, że sam nie mogłem tego zrobić. Julien, bez dwóch zdań, wyglądał w trumnie świetnie. Powinien pan być widzieć te parasole, następnego dnia, na cmentarzu Lafayette. Powiem panu, kiedy trumna zjechała do krypty, sam wewnętrznie umarłem. A Mary Beth podeszła do mnie dokładnie w tamtej chwili, objęła mnie ramieniem tak, bym mógł usłyszeć i wyszeptała: „Au revoir, mon cher Julien!” Zrobiła to dla mnie, wiem, że zrobiła to dla mnie. Była to chyba najcieplejsza rzecz, na jaką kiedykolwiek się zdobyła. Aż do dnia swojej śmierci zaprzeczała, że Julien w ogóle napisał autobiografię.»

W tym momencie ponagliłem rozmowę, pytając go, czy Carlotta płakała na pogrzebie.

«Faktycznie, nie. Nie przypominam sobie nawet, żebym ją tam widział. Było z niej takie paskudne dziecko. Zupełnie pozbawione humoru i do wszystkich nastawione wrogo. Mary Beth potrafiła sobie z nią radzić bez trudu. Ale Julienna wyprowadzała z równowagi. Mary Beth musiała go uspokajać. Julien powiedział mi kiedyś, że Carlotta zmarnuje swoje życie, w ten sam sposób, w jaki Katherine zaprzepaściła swoje.

„Niektórzy ludzie nie lubią życia”, powiedział do mnie. Czy to nie było dziwne? „Po prostu nie mogą go znieść. Traktują je, jakby to była jakaś okropna choroba.” Roześmiałem się wtedy. Myślałem o tym wiele razy. Julien uwielbiał być żywym. Naprawdę uwielbiał. To on, pierwszy w całej rodzinie, kupił samochód – Stutz Bearcat, coś zupełnie nieprawdopodobnego! Urządzaliśmy tym czymś przejażdżki po całym Nowym Orleanie. Uważał, że to cudowne!

Siedział zawsze na przednim siedzeniu, obok mnie – oczywiście, to ja musiałem prowadzić – okutany w pled, z goglami na nosie; śmiał się tylko, rozbawiony całą tą imprezą, kiedy ja wygrzebywałem się z wozu, żeby zakręcić korbą! Ale to była heca, mimo wszystko. Stella również uwielbiała ten

samochód. Chciałbym go teraz mieć. Mary Beth próbowała mi go podarować. Ale ja odmówiłem. Nie chciałem brać na siebie odpowiedzialności, przypuszczam. Powinienem był go wziąć.

Mary Beth dała później to auto jednemu ze swoich mężczyzn, młodemu facetowi z Irlandii, który pracował u niej jako stangret. Nie miał pojęcia o koniach, o ile pamiętam. Ale podarowała mu samochód. Wiem, bo kiedyś zobaczyłem go w nim i gdy zaczęliśmy rozmawiać, powiedział mi o tym. Oczywiście, nie wymówił na nią złego słowa do mnie. Nie był taki głupi. Ale niechże pan sobie wyobrazi: dama, u której pan pracuje, daje panu taki samochód. Powiem panu, niektóre rzeczy, które robiła, po prostu doprowadzały jej kuzynów do szału. Ale nie ośmielali się o tym gadać. Specyficzne maniere Mary Beth sprawiały, że trudno jej było coś zarzucić. Zachowywała się tak, jakby najdziwniejsze rzeczy, które robiła, były absolutnie normalne.

Ale pomimo całej jej flegmy, można powiedzieć, że uwielbiała żyć, tak samo jak Julien. Tak, Julien kochał być żywym. Naprawdę, nigdy się nie zestarzał, nigdy.

Kiedyś opowiedział mi o tym, jak to było z jego siostrą Katherine, w tamtych latach, przed wojną. Robił z nią te same sztuczki, które później praktykowali z Mary Beth. Tylko, że wtedy jeszcze nie było Storyville. Chodzili na ulicę Gallatin, do najordynarniejszych nadrzecznych barów w mieście. Katherine przebierała się za młodego marynarza i obwiązywała głowę bandażem, żeby schować włosy.

„Była taka cudowna,” mówił Julien, „szkoda, że jej nie widziałeś. To ten Darcy Monahan ją zniszczył. Zaprzedała mu duszę. Posłuchaj mnie, Richardzie, jeśli kiedykolwiek będziesz gotów sprzedać swoją duszę, nie fatyguj się sprzedawaniem jej innej istocie ludzkiej. Nawet myślenie o tym to kiepski interes.”

Julien mówił tyle dziwnych rzeczy. Oczywiście, kiedy się pojawiłem, Katherine była wypaloną, otępiałą starą kobietą – po prostu wariatką, powiadam

panu; upartą, zbzikowaną nudziarą, która działała ludziom na nerwy.

Przesiadywała na ławce w ogrodzie, rozmawiając ze swoim zmarłym mężem, Darcym. Julienu napawało to wstrętem. Podobnie jak jej religijność. Wydawało mi się, że miała pewien wpływ na Carlottę, kiedy ta była jeszcze malutka. Dziewczynka chodziła z Katherine na mszę do katedry.

Przypominam sobie, że raz, w późniejszym okresie, między Carlottą a Julienem wybuchła straszliwa kłótnia, ale nigdy się nie dowiedziałem, o co poszło. Julien miał wielce ujmujące usposobienie; tak łatwo było go lubić. Ale ten dzieciak nie mógł ścierpieć jego obecności. Wrzeszczeli wtedy na siebie w bibliotece, za zamkniętymi drzwiami. Krzyczeli po francusku, nie mogłem zrozumieć ani słowa. W końcu Julien wyszedł stamtąd i poszedł na górę. W oczach miał łzy. Przy rozciętej twarzy trzymał chusteczkę. Myślę, że ta mała bestia faktycznie go uderzyła. To był jedyny raz, kiedy widziałem, że płakał.

A ta okropna Carlotta – podła, zimna, mała osóбка – stała tam i przyglądała się, jak jej wuj wchodzi po schodach, a potem powiedziała, że idzie posiedzieć na stopniach przed frontowymi drzwiami; że poczeka tam, aż jej tatuś wróci do domu.

Mary Beth, która była przy tym, odparła: „Będziesz musiała długo czekać, ponieważ twój ojciec siedzi właśnie zalany w klubie i nie wsadzą go do powozu wcześniej niż o dziesiątej. Lepiej więc włóż płaszcz, kiedy będziesz wychodzić na dwór”.

Nie powiedziała tego złośliwie, naprawdę, po prostu rzeczowo, tak jak wszystko, co mówiła. Ale powinien pan zobaczyć, jak mała spojrzała na swoją matkę. Przypuszczam, że winiła ją za pijaństwo ojca; a jeśli tak, to cóż za głupie dziecko z niej było. Mężczyzna taki jak Daniel McIntyre piłby tak samo, gdyby poślubił Dziewicę Marię albo Nierządnicę Babilonu. Nie miało to najmniejszego znaczenia. Sam kiedyś przyznał, że jego ojciec zapił się na śmierć, tak samo jak przedtem dziadek. Obaj w wieku czterdziestu ośmiu lat. Bał się, że też umrze w tym wieku. Nie wiem, czy udało mu się pożyć dłużej, czy nie. I wie pan, że jego

rodzina miała mnóstwo pieniędzy. Jeśli ktoś by mnie pytał, to Mary Beth trzymała go na chodzie odrobinę dłużej, niż zdołałby ktoś inny.

Ale Carlotta nigdy tego nie rozumiała. Nawet przez moment. Myślę, że Lionel zdawał sobie z tego sprawę, i Stella też. Kochali oboje rodziców, przynajmniej tak mi się zawsze wydawało. Może Lionel czuł się czasami zażenowany z powodu ojca, ale to był dobry, przywiązany chłopiec. A Stella, jakże, ona uwielbiała i matkę, i ojca.

Ach, ten Julien! Pamiętam, w ostatnim roku swego życia zrobił najbardziej diabelną rzecz. Zabrał oboje, Lionela i Stellę, do dzielnicy francuskiej, żeby im pokazać nieprzyzwoite widoki, że się tak wyrażę, kiedy nie mieli jeszcze więcej niż dziesięć i jedenaście lat. Mówię poważnie! I wie pan co, przypuszczam, że nawet byli już tam wcześniej. Myślę, że wtedy po raz pierwszy nie udało mu się ukryć tego przede mną; tej psoty, którą zamierzał uczynić. Przebrał Stellę za małego chłopca okrętowego, wyglądała prześlicznie. Jeździli w kółko przez cały wieczór, a on pokazywał im szykowne kluby, chociaż oczywiście, nie zabrał ich do środka; nawet Julien nie zdobyłby się na to, tak przypuszczam, chociaż pili, mogę to panu powiedzieć.

Nie spałem jeszcze, kiedy wrócili do domu. Lionel był spokojny jak zawsze. Ale Stella płonęła, po tym wszystkim, co widziała w tamtych „kołyskach”; wie pan, kobiety wprost na ulicy. Siedzieliśmy na schodach, Stella i ja. Rozmawialiśmy o wyprawie szeptem, jeszcze długo potem, jak Lionel odprowadził Juliana na trzecie piętro i położył go do łóżka.

Poszliśmy ze Stellą do kuchni i otworzyliśmy butelkę szampana. Powiedziała, że jest dostatecznie duża, żeby wypić parę kieliszków; oczywiście, nie słuchała mnie, zresztą kim byłem, aby ją powstrzymać. Skończyliśmy w końcu o wschodzie słońca, ona, Lionel i ja, tańcząc na patio z tyłu domu. Stella tańczyła ragtime, który usłyszała wtedy, w mieście. Powiedziała, że Julien zabiera ich do Europy; nigdy do tego, oczywiście, nie doszło. Nie przypuszczam, żeby wiedzieli, jak stary był naprawdę Julien; nie lepiej niż ja, w

każdym razie. Kiedy zobaczyłem rok 1828 wyryty na nagrobku, byłem wstrząśnięty, mówię panu. Ale wtedy tyle rzeczy stało się dla mnie jasne. Nic dziwnego, że miał takie szczególne spojrzenie na wszystko. Widział, jak minęło całe stulecie, naprawdę to widział.

Stella powinna była żyć równie długo. Pamiętam, jak długo po śmierci Juliana powiedziała mi coś, czego nigdy nie zapomnę. Jedliśmy razem lunch w mieście, we Dworze Dwóch Sióstr. Miała już wtedy Anthę; oczywiście, nie pofatygowała się, żeby poślubić, czy choćby zidentyfikować ojca dziecka. To była historia, proszę mi wierzyć. Wywróciła do góry nogami całe towarzystwo. Ale, co to ja chciałem powiedzieć? Jedliśmy lunch, kiedy wyjawiała mi, że zamierza żyć tak długo, jak Julien. Mówiła, że Julien obejrzał jej dłoń i powiedział to. Długie życie będzie miała.

Pomyśleć tylko, Lionel zastrzelił ją, kiedy nie miała jeszcze nawet trzydziestu lat. Dobry Boże! Ale pan wie przecież, że za tym stała Carlotta, od samego początku.»

Opowiadanie Llewellyna stało się już niemal zupełnie chaotyczne. Próbowałem wyciągnąć z niego więcej na temat Carlotty i zabójstwa, ale w ogóle nie chciał o tym mówić. Cała ta sprawa zaczęła go przerażać. Znowu zaczął wspominać o „autobiografii” Juliana, jak bardzo chciał ją mieć. I co by dał za to, żeby wejść pewnego dnia do tego domu i położyć ręce na zapisanych przez Juliana kartkach, jeśli wciąż jeszcze znajdowały się w pokoju na górze. Ale, jak długo na ulicy Pierwszej urzędowała Carlotta, nie miał najmniejszej szansy.

– Wie pan, na górze były pomieszczenia magazynowe, wzdłuż całej fasady domu, pod samym dachem. Z ulicy nie można zobaczyć pochyłości dachu, ale one tam są. Julien trzymał w nich swoje kufry. Założę się, że właśnie tam Mary Beth schowała autobiografię. Nie zawracałaby sobie głowy spaleniem jej. Nie ona. Po prostu nie chciała, żeby wpadła w moje ręce. Ale za to ta bestia, Carlotta; kto wie, co zrobiła z tymi wszystkimi cennymi dokumentami.

Nie chcąc stracić okazji, zapytałem go, czy nigdy nie przydarzyło mu się w tym domu nic niezwykłego, nadprzyrodzonego. (To znaczy, poza zdolnością Julienu do wywoływania zjaw.) Było to, oczywiście, pytanie naprowadzające, z rodzaju takich, jakich starałem się nie zadawać, lecz rozmawiałem z Richardem już od wielu godzin, a nie opowiedział dobrowolnie niczego na ten temat, poza swoimi dziwnymi doświadczeniami z Julienem. Szukałem czegoś więcej. Na moje pytanie o duchy, zareagował bardzo gwałtownie.

– Ach! – niemal krzyknął. – To było okropne, okropne. Nie mogę o tym nikomu powiedzieć. Zresztą, to musiała być moja wyobraźnia – wyrzuciwszy z siebie te słowa, o mało nie zemdlął.

Odprowadziłem Llewellyna do jego mieszkania nad antykwariatem. Kilka razy powtarzał, że Julien zostawił mu pieniądze na dom i sklep. Julien wiedział, że jego przyjaciel kochał poezję, muzykę i pogardzał głęboko swoją pracą kancelisty. Pragnął darować Richardowi wolność i udało mu się to. Ale jedyna książka, którą Llewellyn chciałby mieć, to historia życia Julienu.

Nigdy nie udało mi się przeprowadzić innego wywiadu, w podobnym stopniu obszernego i szczegółowego.

Kiedy kilka dni potem spróbowałem znowu porozmawiać z Llewellynem, był bardzo uprzejmy, ale ostrożny. Przeprosił, że tak bardzo się upił i że tyle mówił, chociaż powiedział, że sprawiło mu to przyjemność. I nigdy już nie zdołałem go namówić, by zjadł ze mną lunch, ani wciągnąć w choćby zdawkową rozmowę o Julienie Mayfair.

Później jeszcze parokrotnie zaglądałem do sklepu. Zadałem mu wiele pytań na temat rodziny i różnych jej członków. Nigdy jednak nie udało mi się odzyskać jego zaufania. Kiedyś jeszcze raz zapytałem, czy dom przy ulicy Pierwszej był, jak mówiono, nawiedzony. Istniało o tym tyle historii.

Na jego twarzy pojawił się dokładnie ten sam wyraz, jaki widziałem owego pierwszego wieczoru, kiedy z nim rozmawiałem. Odwrócił wzrok; jego oczy się rozszerzyły; wzdrygnął się.

– Nie wiem – powiedział. – Może można by tak to określić. Nie chcę myśleć o tych rzeczach. Zawsze uważałem, że to była moja... wina, wie pan, że to sobie wyobraziłem.

Kiedy wyczuł, że znowu go naciskam, może trochę za bardzo, powiedział tylko, że Mayfairowie są trudną i dziwną rodziną.

– Nikt nie chciałby wejść w drogę tym ludziom. Ta Carlotta Mayfair to potwór. Prawdziwy potwór. – Wyglądał bardzo nieszczęśliwie.

Zapytałem, czy kiedykolwiek miał przez nią kłopoty; odpowiedział wymijająco, że wszyscy mają przez nią kłopoty. Wydawał się zaniepokojony i zmartwiony. A potem dodał coś bardzo ciekawego, co zapisałem natychmiast, kiedy tylko znalazłem się z powrotem w moim hotelowym pokoju. Powiedział, że nigdy nie wierzył w życie pośmiertne, ale kiedy myśli o Julienie, jest pewien, że on nadal gdzieś egzystuje.

– Wiem, wydaje się panu, że musiałem oszaleć, aby coś takiego powiedzieć – kontynuował. – Ale zaklinam się na wszystko – to szczerza prawda. Mógłbym przysiąc, że tamtej nocy, kiedy rozmawiałem z panem po raz pierwszy, przyśnił mi się Julien. Mówił mnóstwo rzeczy. Kiedy się obudziłem, nie pamiętałem wyraźnie snu, ale czułem, że Julien nie chciał, żebym znowu wdawał się z panem w jakąkolwiek dyskusję. Wolałbym nie mówić teraz nawet o tym, tylko że... cóż, czuję, że muszę to panu powiedzieć.

Powiedziałem, że mu wierzę. Mówił dalej, że Julien z jego snu nie był tym samym Julienem, którego pamiętał. Zaszła w nim jakaś wyraźna zmiana.

– Wydawał się jeszcze mądrzejszy, życzliwszy; właśnie taki, jaki powinien być ktoś, kto przeprawił się na drugi brzeg. I nie wyglądał staro, choć właściwie także nie młodo. Nigdy nie zapomnę tego snu. Był taki... absolutnie realny. Mógłbym przysiąc, że stał w nogach mojego łóżka. I pamiętam jego słowa. *Powiedział, że pewne rzeczy są ustalone z góry, ale można je odwrócić.*

– Jakiego rodzaju rzeczy? – zapytałem.

Potrząsnął głową. Nie chciał wyjawić już nic więcej, bez względu na moje

nalegania. Przyznał, że nie przypomina sobie, żeby Julien robił mu wyrzuty z powodu naszej rozmowy. Ale uczucie, że Julien jest tu znowu, sprawiło, że poczuł się nielojalny. Nie udało mi się nawet skłonić Richarda, by powtórzył tę historię, kiedy ponownie go o nią zapytałem.

Ostatni raz widziałem Llewellyna pod koniec sierpnia 1959 roku. Rzuciło się w oczy, że jest niezdrów. Jego ustami i lewą dłonią wstrząsały paskudne drgawki; mówił niewyraźnie. Mogłem go zrozumieć, ale nie było to łatwe. Wyznałem mu szczerze, iż to, co opowiedział mi o Julienie, miało dla mnie wielkie znaczenie i że wciąż interesują mnie dzieje rodziny Mayfairów.

Na początku myślałem, że mnie sobie nie przypomina, albo nie wie, o czym mówię; sprawiał wrażenie niezbyt przytomnego. Po chwili jednak wydało się, że mnie rozpoznał. Ożywił się bardzo.

– Niech pan pójdzie ze mną na zaplecze – powiedział. Podałem mu ramię, kiedy z trudem próbował podnieść się zza biurka. Ruszył, niepewnym krokiem. Przez zakurzone, zasłonięte portierą przejście weszliśmy do niewielkiego magazynu; zatrzymał się, jakby przypatrując się czemuś, ale ja nie mogłem nic dostrzec.

Zaśmiał się, dziwnym, krótkim śmiechem, i machnął ręką, jakby coś odpędzał. Potem, trzęsącymi się dłońmi, wyjął z pudełka związany sznurkiem plik fotografii. Przedstawiały one Julię. Podał mi tę paczkę. Odniosłem wrażenie, że chce coś powiedzieć, ale nie może znaleźć słów.

– Nie potrafię panu powiedzieć, ile to dla mnie znaczy – zacząłem.

– Wiem – odpowiedział. – Dlatego właśnie chcę, żeby pan je miał. Jest pan jedynym człowiekiem, który potrafił zrozumieć.

Poczułem smutek, straszliwy smutek. Czy zrozumiałem? Przypuszczam, że tak. Richard Llewellyn sprawił, że postać Julię ożyła w mej wyobraźni; i wydała mi się bardzo pociągającą.

– Moje życie mogło być inne – powiedział. – Gdybym nie spotkał Julię. Później, już nikt mu nie dorównał. A jeszcze sklep, tak, sklep dał mi oparcie.

Nie dokonałem zbyt wiele, na dłuższą metę.

Nagle, jakby to wszystko strząsnął z siebie; uśmiechnął się. Zadałem mu jeszcze kilka pytań, ale puścił je mimo uszu. W końcu, jedno z nich przyciągnęło jego uwagę.

– Czy Julien cierpiał umierając?

Zamyślił się głęboko; potem pokręcił głową.

„Nie, raczej nie. Nie był za bardzo zachwycony swoim paralizem, to oczywiste. Nikt by nie był. Ale kochał książki. Czytałem mu, bez przerwy. Umarł wczesnym rankiem. Wiem, bo byłem przy nim do drugiej rano, potem zgasilem lampę i zszedłem na dół.

Około szóstej obudziła mnie burza. Padało tak gwałtownie, że deszcz lał się na parapety. Konary klonu, rosnącego przy domu, robiły straszliwy hałas. Natychmiast pobiegłem na górę, zajrzeć do Juliana. Jego łóżko stało przy samym oknie.

I czyby pan uwierzył? Jakimś sposobem, zdołał jeszcze usiąść i otworzyć okno; i oto siedział tam, martwy, przechylony przez parapet, z zamkniętymi oczyma; wyglądał tak spokojnie, jakby chciał zwyczajnie zaczerpnąć świeżego powietrza; a kiedy już to zrobił, poddał się po prostu; pograżył się w śmierci zupełnie jak we śnie, z głową opuszczoną na ramię. Byłby to bardzo spokojny widok, gdyby nie burza, bowiem deszcz lał się prosto na niego i nawet liście wpadały do pokoju.

Później powiedzieli, że to był ciężki zawał. Nie potrafili wyjaśnić, jakim cudem udało mu się otworzyć okno. Nigdy nic nie mówiłem, ale wie pan, przyszło mi na myśl...”

– Tak? – ponagliłem go.

Wzruszył lekko ramionami i zaczął mówić dalej, w najwyższym stopniu niewyraźnie:

«Mary Beth wpadła w szal, kiedy ją zawołałem. Ściągnęła go z parapetu i popchnęła z powrotem na poduszkę i spoliczkowała go nawet. Powiedziała:

„Obudź się, Julienie, nie zostawiaj mnie jeszcze!” Nameńczyłem się jak diabli, zamykając okno. A zaraz potem rozbila się jedna z szyb. To było straszne.

W tym czasie ta okropna Charlotta zdołała już dotrzeć na górę. Przychodzili inni, żeby go ucałować, wie pan, złożyć uszanowanie; a Millie Dear, córka Remy’ego, poprawiała z nami pościel. A Carlotta, o nie, ta nie chciała do niego podejść, nawet nie miała zamiaru nam pomóc. Stała tam, na podeście schodów, ze złożonymi dłońmi, jak mała zakonnica i po prostu gapiała się na drzwi.

A Belle, słodka Belle, Belle-anioł. Weszła, trzymając lalkę i zaczęła płakać. A wtedy Stella wdrapała się na łóżko i położyła obok niego, obejmując go ramieniem.

Belle powiedziała: „Obudź się, wujku Julienie”; pewnie słyszała, jak to mówiła jej matka. A Julien, biedny, słodki Julien... Wyglądał tak spokojnie, z głową na poduszce i zamkniętymi oczyma.»

Llewellyn uśmiechnął się i pokiwał głową, a potem zaczął śmiać się miękko, półgłosem, jakby wspominając coś, co obudziło w nim czułość. Powiedział coś niewyraźnie. Potem z trudem odchrząknął.

„Stella”, wymówił. „Wszyscy kochali Stellę. Tylko nie Carlotta. Carlotta nigdy...” Jego głos zamarł.

Naciskałem dalej, znowu zadając pytanie naprowadzające. Podjąłem temat ducha. Tyle osób mówiło, że dom jest nawiedzony.

– Pomyślałem sobie, że gdyby tak było, to pan by coś o tym słyszał – powiedziałem.

Nie wiedziałem, czy mnie zrozumiał. Powlókł się z powrotem do biurka i usiadł za nim; i kiedy już byłem pewien, że zupełnie o mnie zapomniał, odparł, że w tym domu działo się coś dziwnego, zupełnie nie umie tego wytłumaczyć.

– Coś tam było – wyznał; i znowu wyglądał, jakby wstrząsnęło nim jakieś gwałtowne uczucie. – Mógłbym przysiąc, że oni wszyscy wiedzieli o tym. Czasami odnosiłem niejasne wrażenie, że... że przez cały czas ktoś nas obserwuje.

– Czy nie było w tym nic więcej? – naciskałem; byłem młody i bezlitosny, ponadto przepelniała mnie niepohamowana ciekawość; nie wiedziałem jeszcze, co to znaczy starość.

– Wspomniałem kiedyś o tym Julienowi – mówił. – Powiedziałem, że to coś było razem z nami w pokoju, wie pan, że nie byliśmy sami; i że przygląda nam się. Ale śmiał się tylko z tego, w ten sam sposób, w jaki śmiał się ze wszystkiego. Powiedział, żebym nie był taki skrupowany. Ale mógłbym przysiąc, że mieliśmy świadka. Przychodził kiedy, wie pan, Julien i ja... byliśmy razem.

– Czy kiedykolwiek widział pan to „coś”?

– Dopiero pod koniec. – Richard wybełkotał jeszcze parę słów, ale nie mogłem nic zrozumieć. Kiedy nalegałem, by kontynuował, pokręcił z emfazą głową, zaciskając usta. Potem zniżył głos i wyszeptał: – Musiałem to sobie wyobrazić. Ale mógłbym przysiąc, że podczas tych ostatnich dni, kiedy Julien był tak bardzo chory, to coś z całą pewnością było w pokoju Juliana, w jego łóżku.

Richard wtopił we mnie wzrok, próbując ocenić reakcję. Kąciki ust opuściły się ku dołowi i tak patrzył spode łba, rzucając spod krzaczastych brwi chmurne spojrzenie.

– Okropność, okropność – wyszeptał, potrząsając głową. Drżał.

– Czy pan to widział?

Odwrócił wzrok. Zadałem jeszcze kilka pytań, ale wiedziałem już, że go straciłem. Kiedy się znowu odezwał, uchwyciłem jakieś słowa o innych, wiedzących o tajemniczym współmieszkańcu i udających, że nic nie widzieli i nic nie słyszeli.

I wtedy znowu Llewellyn spojrzał na mnie i powiedział:

– Nie chcieli, żebym wiedział, że oni wiedzą. Powiedziałem Julienowi: „W tym domu jest ktoś jeszcze i ty wiesz o tym; znasz jego upodobania i zachcianki, lecz nie zamierzasz mi niczego wyjaśniać”, a on odrzekł: „Uspokój się,

Richardzie” i użył całej swojej... zdolności przekonywania, żeby tak powiedzieć, abym o tym zapomniał. I wtedy, w czasie ostatniego tygodnia, tego okropnego ostatniego tygodnia, to było tam, w łóżku. Jestem tego całkowicie pewny. Obudziłem się w fotelu i zobaczyłem to. Widziałem widmo... widmo mężczyzny; kochało się z Julienem. O Boże, cóż za widok. Ponieważ, rozumie pan, wiedziałem, że to nie było naprawdę. Ani trochę. Nie mogło być. A jednak, ja to widziałem.

Odwrócił wzrok, jego usta drżały coraz bardziej. Spróbował wyjąć chusteczkę z kieszeni, ale grzebał w niej tylko bezradnie. Siedziałem nieruchomo, niepewny czy powinienem mu pomóc, czy nie.

Zadałem kolejne pytania, tak łagodnie jak tylko potrafiłem. Albo mnie nie słyszał, albo nie miał ochoty odpowiadać. Osunął się na fotel; wyglądał, jakby lada chwila miał umrzeć ze starości.

Potem pokręcił głową i powiedział, że nie może dalej rozmawiać. Wyglądał na zupełnie wyczerpanego. Wyjaśnił, że nie zostaje już w sklepie przez cały dzień i że wkrótce pójdzie na górę. Wylewnie podziękowałem mu za zdjęcia, a on wymamrotał, że tak, że cieszy się z mojej wizyty. Czekał na mnie, by dać mi te fotografie.

* * *

Nigdy więcej nie widziałem Richarda Llewellyna. Umarł około pięciu miesięcy od naszego ostatniego spotkania, na początku 1959 roku. Pochowano go na cmentarzu Lafayette, niedaleko od grobu Juliana.

Istnieje wiele innych historii na temat Juliana, które mogłyby zostać tu uwzględnione. Jednak nadal pozostaje wiele do odkrycia.

Na użytek tego opowiadania wystarczy tylko, jeżeli dodamy w tym miejscu, że Julien miał jeszcze jednego, znanego nam, przyjaciela; mężczyznę, do którego był bardzo przywiązany. Opisałiśmy go już tutaj, jako sędziego Daniela

McIntyre'a, przyszłego męża Mary Beth.

Ale tę postać możemy omówić w związku z Mary Beth. Przeto jest wskazane, byśmy przeszli teraz do Mary Beth, ostatniej potężnej czarownicy Mayfair w dziewiętnastym wieku i jedynej kobiety z rodu zdolnej dorównać swą siłą osiemnastowiecznym poprzedniczkom.

* * *

Było dziesięć po drugiej. Michael przerwał jedynie dlatego, że musiał. Oczy mu się kleiły i nie było innego wyjścia, tylko poddać się i przespać.

Przez długą chwilę siedział bez ruchu, wpatrując się w teczkę, którą dopiero co zamknął. Wzdrygnął się, gdy ktoś zapukał do pokoju.

– Proszę wejść – powiedział.

W drzwiach pojawił się Aaron. Miał na sobie piżamę i pikowany jedwabny szlafrok, przewiązany w pasie szarfą.

– Wyglądasz na zmęczonego – zauważył. – Powinieneś się teraz położyć.

– Muszę – odpowiedział Michael. – Kiedy byłem młodszy, potrafiłem utrzymać się na chodzie, żłowiąc kawę. Ale to już nie te czasy. Oczy same mi się zamykają.

Rozparł się wygodnie w skórzanym fotelu i zapalił papierosa, którego wyłowił z kieszeni. Potrzeba snu stała się nagle tak silna, że zamknął oczy i o mało nie pozwolił, by papieros wysunął się z palców. Mary Beth, pomyślał, muszę wziąć się do Mary Beth. Tyle pytań...

Aaron znalazł sobie miejsce na narożniku w kącie pokoju.

– Rowan odwołała lot o północy – powiedział. – Będzie miała jutro przerwę w podróży i dotrze do Nowego Orleanu nie wcześniej niż po południu.

– W jaki sposób dowiadujesz się o takich rzeczach? – sennie spytał Michael. Było to najprostsze z kłębiących się w jego głowie pytań. Leniwie zaciągając się dymem, patrzył na stojący przed nim talerz nie zjedzonych kanapek. Wyglądały

teraz jak rzeźba. Nie miał ochoty na żadną kolację. – To dobrze – odparł w końcu. – Jeśli wstanę o szóstej i będę czytał przez cały czas, zdążę skończyć przed wieczorem.

– A wtedy porozmawiamy – powiedział Aaron. – Musimy przedyskutować wszystko, zanim się z nią spotkasz.

– Wiem. Dlaczego do diabła jestem w to zaplątany? Dlaczego? Dlaczego, od dziecka, widuję tego mężczyznę? – Jeszcze raz zaciągnął się papierosem. – Powiedz, boisz się tego upiora?

– Tak, oczywiście – Aaron odpowiedział bez cienia wahania, Michael był zaskoczony.

– Więc wierzysz w to wszystko? Czy ty też go widziałeś? Aaron skinął głową.

– Tak.

– Dzięki Bogu. Każde słowo tej historii ma dla nas inne znaczenie, niż miałoby dla kogoś, kto go nigdy nie widział! Dla kogoś, kto nie wie, jak to jest zobaczyć taką zjawę.

– Ja wierzyłem, zanim go ujrzałem – powiedział Aaron. – Moi współpracownicy go widzieli. Zdali relację z tego, czego byli naoczniymi świadkami. Jako zaprawiony członek Talamaski, przyjąłem ich świadectwo.

– Więc jesteś przekonany także, że ta istota potrafi zabijać ludzi. Aaron zastanowił się przez moment.

– Posłuchaj, równie dobrze mogę powiedzieć ci to teraz. I postaraj się zapamiętać. Ta istota potrafi wyrządzić krzywdę, musi się jednak napracować jak diabli, żeby to zrobić. To był niezamierzony kalambur – zaśmiał się. – Próbuję powiedzieć, że Lasher zabija przede wszystkim podstępem. Z pewnością potrafi spowodować fizyczne skutki – poruszać przedmioty; sprawić, że złamie się gałąź lub będą spadać kamienie – tego rodzaju rzeczy. Ale włada tą mocą niezdarnie i często niemrawo. Podstęp i złudzenie są jego najpotężniejszymi orężem.

– Wepchnął Petyra van Abła do grobowca – zauważył Michael.

– Nie, Petyra znaleziono uwięzionego w krypcie. Najpewniej było tak, że sam tam wszedł, będąc w stanie szaleństwa i nie potrafiąc już odróżnić iluzji od rzeczywistości.

– Ale dlaczego Petyr miałby to zrobić, skoro tak się bał...

– Och, zrozum, Michaelu, ludzi często nieodparcie ciągnie do tego właśnie, przed czym czują strach.

Michael nie odpowiedział. Znowu zaciągnął się papierosem; oczyma wyobraźni ujrzał fale, rozbijające się o skały Ocean Beach. Przypomnił sobie tę chwilę, kiedy stał tam, z szalikiem unoszonym przez wiatr i dłońmi skostniałymi z zimna.

– Mówiąc bez ogródek – odezwał się Aaron. – Nigdy nie przeceniaj tego ducha. Jest słaby. Gdyby nie to, nie potrzebowałby rodu Mayfairów.

Michael spojrzał na niego.

– Powtórz to.

– Gdyby nie był słaby, nie potrzebowałby rodu Mayfairów. Oni dają mu energię. A kiedy atakuje, używa energii swojej ofiary.

– Przypomniałeś mi właśnie coś, co odpowiedziałem Rowan, kiedy mnie spytała, czy to te duchy, które zobaczyłem, spowodowały, że spadłem ze skały do oceanu. Powiedziałem jej, że nie mogłyby czegoś takiego zrobić. Nie zdołałyby. Jeśli by były na tyle silne, by zepchnąć człowieka ze skały i utopić go w morzu, nie musiałyby przychodzić do ludzi w wizjach, ani wysyłać mnie z decydującą misją.

Aaron nie odpowiedział.

– Rozumiesz, o co mi chodzi? – zapytał Michael.

– Owszem. Ale pojmuję także, o co jej chodziło.

– Zapytała mnie, dlaczego zakładam, że one były dobre, te duchy. Zaszokowało mnie jej podejrzenie. Ale Rowan uważała, że to logiczne pytanie.

– Może jest logiczne.

– Ale ja wiem, że oni byli dobrzy – Michael zgasił papierosa. – Teraz już wiem, że ujrzałem Deborę. I że chce, abym przeciwstawił się temu duchowi, Lasherowi. Jestem tego absolutnie pewien. Pamiętasz, co ci wyjawiał Llewellyn? Właśnie skończyłem to czytać. Richard powiedział, że kiedy Julien przyszedł do niego we śnie, był inny – mądrzejszy niż za życia. Więc tak samo było z Deborą w moich wizjach. Debora chce powstrzymać tę istotę, którą ona i Zuzanna sprowadziły na ten świat i na tę rodzinę!

– Pojawia się więc pytanie. Dlaczego Lasher ukazał się tobie?

– Tak. Kręcimy się w kółko.

Aaron wyłączył światło w kącie pokoju, a potem lampę przy biurku. Zostawił zapaloną jedynie lampkę na stoliku przy łóżku.

– Powiem im, żeby zadzwonili o ósmej. Myślę, skończysz czytać całość materiału późnym popołudniem, może nieco wcześniej. Wtedy będziemy mogli porozmawiać, a ty coś zdecydujesz...

– Niech mnie obudzą o siódmej. To jest pewna korzyść z bycia w moim wieku – szybciej robię się śpiący, ale potrzebuję mniej snu. Wystarczy, jeśli zadzwonią o siódmej. I, Aaronie...

– Tak?

– Nie odpowiedziałeś dotąd na moje pytanie o ostatnią noc. Czy widziałeś to coś, kiedy stało tuż przede mną, po drugiej stronie ogrodzenia? Widziałeś, czy nie?

Aaron otworzył drzwi. Sprawiał wrażenie, jakby nie miał ochoty odpowiedzieć. A potem przemówił:

– Tak, Michaelu. Widziałem go. Bardzo wyraźnie i dokładnie. Wyraźniej i dokładniej niż kiedykolwiek przedtem. Uśmiechał się do ciebie. Wydawało się nawet, że... wyciąga rękę w twoim kierunku. Powiedziałbym, po tym, co zobaczyłem, że cię witał. Ale teraz muszę iść, a ty musisz się przespać. Porozmawiamy rano.

– Zaczekaj.

– Gasimy światło, Michaelu.

* * *

Obudził go dzwonek telefonu. Przez okna, po obu stronach łóżka, sączyło się słoneczne światło. Przez krótką chwilę był kompletnie zdezorientowany. Dopiero co rozmawiał z Rowan, która mówiła coś o tym, jak bardzo by chciała, żeby był tam, zanim zamkną wieko. Jakie wieko? Widział białą, martwą dłoń leżącą na czarnym jedwabiu.

Usiadł; zobaczył biurko, neseser, stos teczek i wyszeptał: „Wieko trumny jej matki”.

Na pół śpiąc, popatrzył na dzwoniący telefon. Potem podniósł słuchawkę. To był Aaron.

– Zejdź na śniadanie, Michaelu.

– Czy ona jest już w samolocie, Aaronie?

– Właśnie opuściła szpital. Przypuszczam, iż mówiłem ci wczoraj, że będzie miała przerwę w podróży. Wątpię, żeby dotarła do hotelu przed drugą po południu. Pogrzeb zaczyna się o trzeciej. Posłuchaj, jeśli nie chcesz zejść na dół, przyślemy ci coś na górę, ale musisz jeść.

– Dobrze, dobrze. Aha, Aaronie, gdzie jest ten pogrzeb?

– Michaelu, nie porzucaj mnie, kiedy skończysz czytać. To nie byłoby w porządku.

– Nie, nie zrobię tego, Aaronie. Uwierz mi. Chcę tylko wiedzieć, gdzie jest pogrzeb?

– Lonigan i Synowie, ulica Sklepowa.

– Ach tak, czyż nie znam tego miejsca? – Babcia, dziadek, także jego ojciec; wszystkich ich chowali Lonigan i Synowie. – Nie martw się, Aaronie. Poradzę sobie. Przyjdź na górę dotrzymać mi towarzystwa, jeśli chcesz. Ale muszę już zaczynać.

Wziął szybki prysznic i włożył świeże ubranie. Kiedy wyszedł z łazienki, czekało już na niego śniadanie, schowane pod kompletem wysokich, błyszczących, srebrnych kopół ustawionych na przykrytej koronkową serwetką tacy. Stare kanapki zniknęły. Łóżko było posłane. A przy oknie ustawiono świeże kwiaty. Uśmiechnął się i potrząsnął głową. Przez mgnienie ujrzał Petyra van Abła w jakiejś pięknej, małej izdebce siedemnastowiecznego Konwentu w Amsterdamie. Czy Michael był już teraz członkiem? Czy ubiorą go w dostojne szaty bezpieczeństwa, słuszności i ostrożności? I co pomyślałaby o tym Rowan? Tak wiele powinien wytłumaczyć Aaronowi o Rowan...

* * *

Było wpół do szóstej rano, kiedy Rowan wyruszyła w końcu w kierunku lotniska. Slattery prowadził jaguara, jednak jej oczy, szkliste i zaczerwienione, instynktownie obserwowały z niepokojem ruch na autostradzie; czuła się niepewnie, oddając kontrolę nad autem w cudze ręce. Lecz Slattery zgodził się zatrzymać samochód na czas jej nieobecności i uznała, że powinien się z nim oswoić. Zresztą, wszystko czego teraz chciała, to znaleźć się w Nowym Orleanie. Do diabła z całą resztą.

Jej ostatni wieczór w szpitalu minął prawie tak, jak to sobie zaplanowała. Poświęciła całe godziny na robienie obchodów ze Slatterym, przedstawiając go pacjentom, pielęgniarkom, stażystom i lekarzom-rezydentom; zrobiła co tylko możliwe, by uczynić zamianę mniej bolesną dla wszystkich. A nie należało to do prostych zadań. Slattery był człowiekiem pozbawionym pewności siebie i zawistnym. Bez przerwy półgłosem robił nieprzemyślane, dezaprobuujące uwagi; wyśmiewał się z pacjentów, pielęgniarek i innych lekarzy w sposób sugerujący, że Rowan podziela jego zapatrywania, podczas gdy naprawdę, wcale tak nie było. Do osób, które, jak sądził, były gorsze od niego, odnosił się z głęboką niezyczliwością. Jednak dzięki swej ogromnej ambicji był dobrym lekarzem,

skrupulatnym i byстрыm.

Mimo iż Rowan czuła niechęć do przekazywania jemu swoich obowiązków, to jednak cieszyła się, że znalazł się pod ręką. Narastało w niej coraz silniejsze uczucie, że już tutaj nie wróci. Próbowwała przekonywać samą siebie, że nie ma ono żadnego uzasadnienia.

Jednak nie potrafiła pozbyć się tej natarczywej myśli. Szósty zmysł podpowiadał, żeby przygotowała Slattery'ego na przejęcie jej miejsca na stałe. I to właśnie zrobiła.

Ale o jedenastej wieczorem, kiedy powinna już była udać się na lotnisko, jeden z jej pacjentów – przypadek tętniaka na mózgu – zaczął uskarżać się na gwałtowne bóle głowy i nagłe ślepienie. To mogło oznaczać jedynie kolejny krwotok. Operacja, wyznaczona na następny wtorek – którą miał poprowadzić Lark – musiała zostać wykonana natychmiast, przez nią i przez Slattery'ego.

Rowan nigdy nie wchodziła na blok operacyjny bardziej zdekoncentrowana; kiedy pomagali jej zawiązać wysterylizowany fartuch, martwiła się jeszcze o swój opóźniony lot do Nowego Orleanu, myślała o pogrzebie i o tym, że z jakiejś przyczyny może utknąć w Dallas na wiele godzin i nie zdążyć na czas.

Ale, rozglądając się wokół, pomyślała: To ostatni raz. Nigdy już nie będę w tej sali, chociaż nie mam pojęcia, dlaczego.

I wtedy opadła ta sama, co zawsze, zasłona, odcinając ją od przeszłości i przyszłości. Przez pięć godzin operowała, ze Slatterym u boku, nie pozwalając, by przejął prowadzenie, chociaż wiedziała, że bardzo tego chciał.

Została razem z pacjentem na oddziale pooperacyjnym, przez kolejne czterdzieści pięć minut. Nie chciała go zostawić. Kilka razy kładła dłonie na jego ramionach i powtarzała swoją małą, psychologiczną sztuczkę; wywoływała wizję tego, co dzieje się wewnątrz mózgu mężczyzny. Pomagała mu, czy tylko uspokajała samą siebie? Nie miała pojęcia. Nadal jednak pracowała nad nim mentalnie, usilniej niż kiedykolwiek, szepcząc nawet do niego na głos, że musi teraz wyzdrowieć, bowiem osłabione miejsce w ścianie arterii zostało

naprawione.

– Sto lat, Mr. Benjamin – wyszeptała półgłosem. Zamknawszy znowu oczy, ujrzała zwoje jego mózgu. Niewyraźny dreszcz przebiegł przez jej ciało. A potem, przesuając ręką po dłoniach pacjenta, wiedziała już, że będzie z nim wszystko w porządku.

Slattery stał w drzwiach, wykąpany i ogolony; gotów zawieźć ją na lotnisko.

– Pospiesz się, Rowan, chodźmy stąd, zanim znowu coś się stanie. Poszła do swojego biura, wzięła prysznic w małej, prywatnej łazience i włożyła świeży kostium z lnu. Zdecydowawszy, że jest jeszcze za wcześnie, aby dzwonić do firmy pogrzebowej w Nowym Orleanie, nawet biorąc pod uwagę różnice czasu, wyszła ze szpitala, czując bolesne dławienie w gardle. Tyle lat życia, pomyślała, i łzy pojawiły się w jej oczach. Ale nie pozwoliła im popłynąć.

– Wszystko w porządku? – zapytał Slattery, wyprowadzając wóz z parkingu.

– Och, tak – odpowiedziała. – Po prostu jestem zmęczona. Miała już dość płaczu. Przez ostatnie kilka dni przepłakała więcej niż przez wszystkie poprzednie lata.

Teraz, kiedy skręcili z autostrady w lewo, na lotnisko, uderzyła ją myśl, że Slattery jest niemal tak samo ambitny jak każdy lekarz, którego dotąd spotkała. Wiedziała z całą pewnością, iż czuje do niej niechęć, wywołaną tymi wszystkimi błahymi przyczynami – że jest nadzwyczajnym chirurgiem; że ma pracę, której on pożąda; i że niedługo może być tu z powrotem.

Przeszedł ją osłabiający dreszcz. Czuła, że podchwyciła jego myśli. Jeśli samolot się rozbije, będzie mógł zatrzymać jej posadę na zawsze. Spojrzała na Slattery'ego i ich oczy spotkały się na ułamek sekundy; dostrzegła na jego twarzy nagły rumieniec zażenowania. Tak, czytała w jego myślach.

Ile razy, w przeszłości, zdarzało się już to samo, zwłaszcza – jakże często – kiedy była zmęczona? Może przestawała się mieć na baczności, kiedy ogarniała ją senność. Wtedy te wredne, telepatyczne zdolności, jak na złość, dochodziły do głosu i podsuwały jej gorzką wiedzę, czy tego chciała, czy nie. To ją raniło.

Poczuła odrazę do Slattery'ego.

Ale to dobrze się składa, że chce dostać jej pracę; dobrze, że jest tutaj, aby przejąć obowiązki, dzięki temu może wyjechać.

Pojęła bardzo jasno, że mimo iż kocha Uniwersytet, to nie miało dla niej większego znaczenia, gdzie praktykuje medycynę. Mogłoby to być jakiegokolwiek dobrze wyposażone centrum medyczne, w którym pielęgniarki i technicy dawaliby jej poparcie, jakiego wymagała.

Dlaczego więc, nie miałyby powiedzieć Slattery'emu, że nie wraca z powrotem? Dlaczego nie zakończyć rozgrywającego się w jego wnętrzu konfliktu? Przyczyna była prosta. Nie wiedziała, dlaczego uczucie, że to ostateczne pożegnanie, jest tak silne. To miało coś wspólnego z Michaelem; i z jej matką; ale było czysto irracjonalne, bardziej irracjonalne, niż wszystko, co czuła do tej pory.

Otworzyła drzwiczki samochodu, zanim jeszcze Slattery zahamował przy krawężniku. Wskoczyła na chodnik, wyjęła z wozu torbę i zarzuciła ją na ramię.

Zorientowała się, że wpatruje się w Slattery'ego, który wyjmował z bagażnika walizkę. Znowu przeszedł ją zimny dreszcz, powoli, nieprzyjemnie. Widziała niechęć w jego oczach. Jakże ciężką próbą musiała być dla niego ta noc. Tak się palił do tej pracy. I tak nie znosił Rowan. Nic w jej sposobie bycia, prywatnym czy zawodowym, nie wywoływało w nim przyjaznej reakcji. Po prostu jej nie cierpiał. Czuła to, kiedy odbierała walizkę z jego dłoni.

– Powodzenia, Rowan – powiedział z metaliczną pogodą. *Mam nadzieję, że nie wrócisz z powrotem.*

– Slat – odpowiedziała – dziękuję za wszystko. Jest jeszcze coś, o czym powinnam ci powiedzieć. Nie sądzę... Cóż, istnieje duże prawdopodobieństwo, że nie wrócę.

Z trudem udało mu się ukryć zachwyt. Było jej go niemal żal, gdy patrzyła, jak w napięciu porusza ustami, usiłując zachować naturalny wyraz twarzy. Lecz

wtedy poczuła, że wewnątrz niej rośnie ogromna, ciepła, cudowna euforia.

– To tylko przeczucie – powiedziała. (Cudowne zresztą.) – Oczywiście, będę musiała we właściwym czasie sama powiedzieć o tym Larkowi, oficjalnie.

– Oczywiście.

– Ale rozgość się, porozwieszaj w biurze swoje własne obrazy. I używaj samochodu. Pewnie poślę po niego wcześniej czy później, choć raczej później. Jeśli chcesz go kupić, dam ci okazijną cenę.

– Co byś powiedziała na dziesięć kawałków, gotówką. Wiem, że to...

– Wystarczy. Wyślij czek, kiedy podam ci mój nowy adres. Obojętnie pomachawszy mu na pożegnanie, odeszła w kierunku oszklonych drzwi.

Słodkie podniecenie opływało ją, jak słoneczne światło. Mimo bólu oczu i sennego znużenia, odczuła niezwykle znaczenie tej chwili. Przy stanowisku linii lotniczych poprosiła o bilet pierwszej klasy, w jedną stronę.

Zboczyła do sklepu z pamiątkami, na chwilę dość długą, by kupić parę wielkich ciemnych okularów, które przyciągnęły jej uwagę jako ogromnie olśniewające, oraz książkę do czytania – absurdalną, męską powieść o niemożliwych aferach szpiegowskich i śmiertelnym ryzyku. Książka też wydała jej się w pewien sposób olśniewająca.

New York Times pisał, że w Nowym Orleanie jest gorąco. Dobrze, że miała na sobie biały płócienny kostium; poza tym wiedziała, że ładnie w nim wygląda. Zamarudziła przez parę minut w foyer, czesząc włosy i nakładając bladą szminkę i róż w kremie, których nie używała od lat. Potem założyła ciemne okulary.

Siedząc w plastikowym fotelu przy bramie, czuła się absolutnie wolna, nigdzie nie zakotwiczona. Żadnej posady, żadnych krewnych czy znajomych w domu w Tiburon. Slat ściskający kierownicę samochodu Grahama przez całą powrotną drogę do San Francisco. Dostałeś to, doktorze. Bez żalu, bez nerwów. Za darmo.

I wtedy pomyślała o matce, martwej i zimnej, na stole w domu

pogrzebowym, już poza zasięgiem interwencji skalpela; i przypelzła do niej dawna ciemność, pośród monottonnych fluorescencyjnych świateł i tłum rozpromienionych podróżnych w niebieskich garniturach na każdą pogodę, dźwigających swoje walizki. Pomyślała o tym, co Michael powiedział o śmierci. Że to jedyne nadprzyrodzone wydarzenie, którego większość z nas doświadcza. Tak, to prawda.

Znowu cicho napłynęły łzy. Jak to dobrze, że ma ciemne okulary. Mayfairowie na pogrzebie. Mnóstwo, mnóstwo Mayfairów...

Rodzina Mayfairów w latach 1900 – 1929

METODY BADAŃ W DWUDZIESTYM WIEKU

Jak już wspomnieliśmy wcześniej, we wprowadzeniu do dziejów rodziny w dziewiętnastym wieku, nasze źródła informacji o Mayfairach z każdym dziesięcioleciem stają się coraz liczniejsze i bardziej pouczające.

Zbliżając się do początków dwudziestego wieku, Talamasca wciąż utrzymywała informatorów tradycyjnego typu. Ale po raz pierwszy zaangażowano wtedy także zawodowych detektywów. Pewna liczba takich osób pracowała dla nas – i pracuje do dzisiaj – w Nowym Orleanie. Okazali się niezastąpieni, nie tylko w zbieraniu wszelkiego rodzaju plotek, ale także w rozwiązywaniu poszczególnych kwestii, poprzez badanie ogromnych mas dokumentów, i w przepytywaniu dziesiątków osób na temat rodziny Mayfairów. Z podobnych metod mógłby korzystać współczesny autor powieści kryminalnej, badający okoliczności „prawdziwej zbrodni”.

Zatrudniani przez nas ludzie rzadko, jeżeli w ogóle kiedykolwiek, wiedzą, kim jesteśmy. Raporty są kierowane do agencji w Londynie. Nadal wysyłamy do Nowego Orleanu własnych, specjalnie przeszkolonych badaczy na istne „plotkarskie hulanki” i utrzymujemy korespondencję z licznymi innymi obserwatorami; jednak właśnie owi prywatni detektywi ogromnie podnieśli jakość naszych informacji.

Pod koniec dziewiętnastego i w początkach dwudziestego wieku,

uzyskaliśmy dostęp do jeszcze jednego źródła wiadomości, które nazywamy – żeby to zgrabnie ująć – rodzinną legendą. Mianowicie, chociaż Mayfairowie są często absolutnie tajemniczy, jeśli chodzi o ich współczesnych, i bardzo przebiegli, gdy mają wyjawić obcej osobie cokolwiek na temat legatu, to jednak w latach dziewięćdziesiątych ubiegłego wieku zaczęli powtarzać serię anegdotek i niesamowitych opowieści o przodkach z zamierzchłej przeszłości.

Charakterystycznym przykładem może być potomek Lestana, który nie chciał powiedzieć absolutnie niczego o swojej drogiej kuzynce Mary Beth, kiedy spotkany na przyjęciu nieznajomy próbował go wciągnąć w dyskusję na jej temat, za to powtórzył kilka oryginalnych historyjek o ciotce Marguerite tańczącej ze swoimi niewolnikami. A później wnuk tego właśnie kuzyna opowiadał osobliwe rzeczy o Mary Beth, której nigdy nie widział.

Oczywiście, dużo z tych rodzinnych opowieści jest zbyt niejasnych, by mogły przedstawiać dla nas jakąś wartość. Znaczna ich część dotyczy „wspaniałego życia na plantacjach”, które weszło do mitologii wielu luizjańskich rodzin; nie rzucają one żadnego światła na przedmiot naszych badań. Jednak czasami te rodzinne legendy, w całkowicie szokujący sposób, wiążą się z ułamkami informacji, które udało nam się zdobyć z innych źródeł.

W miejscu i czasie, kiedy okazały się one szczególnie pouczające, włączyłem je w niniejsze opowiadanie. Lecz czytelnik musi rozumieć, że „legendy rodzinne” zawsze odnoszą się do czegoś, co zostało nam opowiedziane ostatnio o kimś, lub o czymś, „z zamierzchłej przeszłości”.

Kolejnym źródłem informacji, które pojawiło się w dwudziestym wieku, jest coś, co nazywamy plotką prawniczą – to znaczy plotką powtarzaną przez sekretarzy i kancelistów, prawników i sędziów znających Mayfairów lub pracujących dla nich, oraz przez przyjaciół i krewnych owych różnych osób spoza rodziny Mayfairów.

Ponieważ wszyscy synowie Julienu – Barclay, Garland i Cortland – zostali wybitnymi prawnikami; Carlotta Mayfair a także liczni wnukowie Julienu

również zajęli się prawem, ów labirynt kontaktów prawniczych rozrósł się bardziej, niż ktokolwiek mógłby przypuścić. Lecz nawet jeśli tak by nie było, to same interesy finansowe Mayfairów są tak szeroko rozgałęzione, że wymagają zaangażowania wielu, wielu prawników.

Kiedy w dwudziestym wieku rodzina zaczęła toczyć kłótnie, a Carlotta zaczęła walczyć o opiekę nad córką Stelli, i gdy pojawiły się spory o zarządzanie legatem, wtedy ten typ plotki okazał się bogatym źródłem interesujących szczegółów.

Niech mi będzie wolno dodać na zakończenie, że obecny wiek w ogóle jest świadkiem gromadzenia jeszcze bardziej drobiazgowej dokumentacji niż poprzednio. Nasi płatni badacze mają także bezprecedensową możliwość korzystania z licznych urzędowych zapisów dotyczących rodziny. Z biegiem czasu, coraz więcej wzmianek na temat Mayfairów pojawiało się również w prasie.

* * *

ETNICZNY CHARAKTER ZMIAN W RODZINIE

W miarę jak akcja naszego opowiadania zbliża się do roku 1900, powinniśmy zanotować, że etniczny charakter rodziny ulegał zmianom.

Pomimo że w swoich początkach ród Mayfairów był szkocko-francuską mieszanką, do której w następnym pokoleniu dodano krew Holendra, Petyra van Abla, to później stał się niemal wyłącznie francuski.

Jednak od roku 1826, kiedy to Marguerite Mayfair poślubiła śpiewaka operowego, Tyrone'a Clifforda McNamarę, członkowie dziedziczącej linii zaczęli, dość regularnie, zawierać małżeństwa z Anglosasami.

Dalsze gałęzie rodu – szczególnie potomkowie Lestana i Maurice'a – pozostały niezmiennie francuskie. Kiedy i jeśli sprowadzali się do Nowego Orleanu, woleli mieszkać w „mieście”, razem z innymi francuskojęzycznymi

Kreolami, w pobliżu dzielnicy francuskiej czy przy Alei Esplanade.

Gałąz związana z legatem od czasu ślubu Katherine z Darcym Monahanem znalazła sobie stałą siedzibę w willowej, „amerykańskiej” Dzielnicy Ogrodów. I chociaż Julien Mayfair (sam na pół Irlandczyk) przez całe życie mówił po francusku i ożenił z francuskojęzyczną kuzynką, Suzette, to jednak nadał swoim trzem synom wyraźnie amerykańskie, czy anglosaskie, imiona i dopilnował, by wszyscy otrzymali amerykańskie wykształcenie. Jego syn, Garland, poślubił – z ojcowskim błogosławieństwem – dziewczynę o niemiecko-irlandzkim pochodzeniu. Cortland także ożenił się z Anglosaską, a w końcu, to samo uczynił Barclay.

Jak już wcześniej zauważyliśmy, Mary Beth wyszła za mąż w 1899 roku za Irlandczyka, Daniela McIntyre.

Chociaż synowie Katherine, Clay i Vincent, przez całe życie mówili po francusku, to obaj ożenili się z dziewczętami pochodzenia irlandzko-amerykańskiego. Clay z córką dobrze sytuowanego właściciela hotelu, a Vincent z córką irlandzko-niemieckiego producenta piwa. Jedna z córek Claya (idąc śladem siostry swojego ojca) wstąpiła do irlandzkiego katolickiego zakonu Sióstr Miłosierdzia, który rodzina wspiera do dzisiejszego dnia. Prawnuczka Vincenta również należała do tego samego zakonu.

Chociaż francuskojęzyczni Mayfairowie modlili się w katedrze św. Ludwika w dzielnicy francuskiej, to osoby wywodzące się z linii związanej z legatem zaczęły chodzić na msze do kościoła parafialnego, Notre Dame, przy Jackson Avenue; był to jeden z trzech kościołów należących do kompleksu prowadzonego przez ojców redemptorystów, którzy usiłowali wyjść naprzeciw potrzebom, zarówno mieszkających przy nadbrzeżu irlandzkich i niemieckich imigrantów, jak i starych francuskich rodów. Kiedy w latach dwudziestych kościół został zamknięty, założono kaplicę parafialną przy ulicy Prytania, w Dzielnicy Ogrodów, wyraźnie przeznaczoną dla bogaczy, którzy nie chcieli uczęszczać ani do irlandzkiego kościoła św. Alfonsa, ani niemieckiego, św.

Marii.

Do tej kaplicy chodzili także Mayfairowie; i rzeczywiście, mieszkańcy domu przy ulicy Pierwszej uczęszczają tam do dzisiaj. Ale już w 1899 roku Mayfairowie zaczęli, przy szczególnych okazjach, korzystać z irlandzkiego kościoła św. Alfonsa – ogromnej, pięknej i wielce imponującej budowli.

W 1899 roku Mary Beth poślubiła u św. Alfonsa Daniela McIntyre i od tej pory wszystkie chrzciny w rodzinie odbywały się właśnie tam. Dzieci Mayfairów – po usunięciu z lepszych, prywatnych szkół – chodziły, przez krótki czas, do szkoły parafialnej św. Alfonsa.

Część naszych świadectw dotyczących rodziny pochodzi od irlandzkich siostr katolickich i księży mieszkających w parafii.

Po śmierci Juliena w 1914 roku rzadko słyszano, by Mary Beth mówiła po francusku, nawet do francuskich kuzynów; niewykluczone, że język ten, w części rodziny związanej z legatem, wymarł całkowicie. Nic nie wiadomo, żeby Carlotta Mayfair kiedykolwiek mówiła po francusku; należy też wątpić, czy Stella, Antha lub Deirdre znały więcej niż kilka słów w jakimkolwiek obcym języku.

Nasi obserwatorzy zauważyli przy licznych okazjach, że mowa dwudziestowiecznych Mayfairów – Carlotty; jej siostry, Stelli; córki Stelli, Anthy; i córki Anthy, Deirdre – wykazuje wyraźne irlandzkie cechy. Tak, jak wielu nowoorleańczyków, nie posiadali dostrzegalnego akcentu francuskiego czy wymowy charakterystycznej dla Południa Stanów Zjednoczonych. Lecz mieli skłonność do zwracania się do znajomych osób, używając imienia i nazwiska, na przykład: „Jak się masz, Ellie Mayfair?” i mówili z pewnym zaśpiewem i umyślnymi powtórzeniami, co dla ich słuchaczy brzmiało z irlandzka. Typowym przykładem może być poniższy fragment rozmowy podsłuchany w czasie pogrzebu jednego z członków rodziny w 1945 roku: „Nie opowiadajże mi teraz tej historii, Glorio Mayfair, wiesz, że nie uwierzę w takie rzeczy; powinnaś się wstydzić opowiadać takie rzeczy! Biedna Nancy, ze

wszystkimi swoimi zmartwieniami; jakże, ona jest chodzącą świętą; wiesz, że jest; jeżeli ktokolwiek w ogóle jest świętym, to właśnie ona”.

Jeśli chodzi o wygląd, to Mayfairowie tworzą taki koktajl genów, że dowolna kombinacja koloru, budowy czy rysów twarzy może się w każdej chwili pojawić w danym pokoleniu. Nie istnieje żaden charakterystyczny wizerunek. Mimo to, niektórzy członkowie Talamaski uważają, że studia wszystkich istniejących fotografii, szkiców i reprodukcji obrazów znajdujących się w naszych archiwach ujawniają kilka powtarzających się typów.

Na przykład, istnieje grupa wysokich Mayfairów o blond włosach (włączając w to Lionela Mayfaira), którzy przypominają Petyra van Abła. Wszyscy oni mają zielone oczy i mocną linię szczęk.

Ponadto, mamy kategorię osób bardzo bladych, delikatnie zbudowanych, o niezmiennie błękitnych oczach i niskim wzroście. Tu należy wymienić nie tylko samą Deborę, ale także Deirdre Mayfair, obecną beneficjentkę legatu i „czarownicę”; matkę Rowan.

W skład trzeciej grupy Mayfairów, o ciemnych oczach i włosach oraz masywnych kościach, wchodzi Mary Beth, jej wujowie, Clay i Vincent, a także Angelique Mayfair z San Domingo.

Należący do innej grupy, drobniej zbudowani Mayfairowie, o czarnych oczach i włosach, mają francuską urodę. Każdy z nich posiada niewielką, okrągłą głowę, nieco wypukłe oczy i niezmiernie kręcone włosy.

W końcu, istnieje także typ bardzo bladych Mayfairów o zimnym wyglądzie, z których wszyscy są blondynami, dość delikatnej postury, chociaż zawsze wysocy. Taka była Charlotte z San Domingo (córka Petyra van Abła); Marie Claudette, która sprowadziła rodzinę do Luizjany; córka Stelli, Antha; i wnuczka Anthy – doktor Rowan Mayfair.

Członkowie Zgromadzenia zwrócili również uwagę na pewne specyficzne podobieństwa. Na przykład, doktor Rowan Mayfair z Tiburon w Kalifornii przypomina bardzo swojego przodka, Juliena Mayfaira; o wiele bardziej, niż

jakiegokolwiek członka rodu o blond włosach.

A Carlotta Mayfair w młodości wyglądała jak Charlotte.

(Niniejszy badacz czuje się w obowiązku odnotować, w związku z całą tą kwestią wyglądu, że sam, patrząc na portrety, nie dostrzega nic takiego! Są tam podobieństwa, lecz przeważają różnice! Rodzina nie wygląda na wyraźnie irlandzką, francuską, szkocką, czy jakąkolwiek inną.)

Podając ewentualną dyskusję o irlandzkich wpływach czy cechach, powinniśmy pamiętać, że w historii tej rodziny nie można być nigdy pewnym, kto jest ojcem jakiegokolwiek dziecka. Jak pokażą „legendy”, powtarzane przez potomków rodu w dwudziestym wieku, kazirodcze związki istniejące w każdym pokoleniu w rzeczywistości nie były dla nikogo tajemnicą. Niemniej wpływ kultury irlandzkiej jest zdecydowanie dostrzegalny.

Powinniśmy dodać także – mniejsza o to, czy ma to istotne znaczenie – że w końcu dziewiętnastego stulecia rodzina zaczęła zatrudniać coraz więcej irlandzkiej służby domowej, która okazała się dla Talamaski nieocenionym źródłem wszelkich wiadomości. Trudno określić, w jakim stopniu ci informatorzy przyczynili się do postrzegania przez nas rodziny jako irlandzkiej.

Najmowanie pracowników takiego właśnie pochodzenia nie miało, *per se*, nic wspólnego z irlandzką tożsamością rodziny. Była to ogólna tendencja, panująca w tym okresie w środowisku zamożnych ludzi. Wielu z tych Amerykano-Irlandczyków mieszkało w okolicy zwanej Przy Kanale położonej pomiędzy nadbrzeżami Mississippi a ulicą Sklepową, na najdalej wysuniętym ku południowi skrawku Dzielnicy Ogrodów. Część służby stanowiły zakwaterowane w rezydencji pokojówki i chłopcy stajenni; inni przychodzili do pracy w ciągu dnia lub tylko przy szczególnych okazjach. Generalnie, nie byli aż tak lojalni w stosunku do rodziny Mayfairów jak kolorowi i czarni służący; w odróżnieniu od służby poprzednich dziesięcioleci bez skrępowania rozpowiadali o wszystkim, co się działo przy ulicy Pierwszej.

Lecz mimo że informacje, których dostarczyli Talamasce, są niezmiernie

cenne, to ze względu na swoją specyficzność muszą być oceniane z ogromną ostrożnością.

Irlandzcy służący, zatrudnieni wewnątrz i wokół domu, posiadali na ogół skłonność do wiary w duchy i siły nadprzyrodzone, oraz w zdolność kobiet z rodziny Mayfairów do powodowania różnych wydarzeń. Byli, jak to musimy określić, wysoce przesądni. Stąd ich opowieści o tym, co widzieli lub słyszeli, graniczą czasem z fantazją i często zawierają barwne, mrozące krew w żyłach opisy.

Niemniej, ten materiał jest – z oczywistych powodów – niezwykle istotny. I wiele z tego, co od nich usłyszeliśmy, zawiera – dla nas – znajomą nutę.

Biorąc wszystko pod uwagę, nie będzie błędem, jeżeli powiemy w tym podsumowaniu, że w pierwszym dziesięcioleciu naszego wieku Mayfairowie z ulicy Pierwszej myśleli o sobie jako o Irlandczykach i często robili uwagi o takiej treści; i że w świadomości wielu znajomych – zarówno służących, jak i osób z ich własnej sfery – uchodzili za niemal stereotypowych Irlandczyków, z typowymi szaleństwami, ekscentrycznością i skłonnością do patologii. Kilka osób, nastawionych do rodziny krytycznie, nazwało ich „obłąkanymi irlandzkimi pomyłkami”. Niemiecki ksiądz od św. Alfonsa opisał ich raz jako egzystujących w „nieprzerwanym stanie celtyckiego ponuractwa”. Kilku sąsiadów i przyjaciół wyrażało się o synu Mary Beth, Lionelu, per „obłąkany irlandzki pijak”; jego ojca, Daniela McIntyre, z pewnością uważali za takiego niemal wszyscy bez wyjątku barmani z ulicy Sklepowej.

Można chyba bezpiecznie przyjąć, że wraz ze śmiercią „Monsieur Juliena” (który, w rzeczywistości, był pół-Irlandczykiem), dom przy ulicy Pierwszej ostatecznie stracił resztki swojego francuskiego, czy kreolskiego, charakteru. Siostra Julienna, Katherine, i jego brat, Remy, udali się na tamten świat jeszcze przed nim; podobnie jego córka, Jeannette. Odtąd – nie bacząc na tłumne zgromadzenia rodzinne, na które francuskojęzyczni kuzyni przybywali setkami – główny trzon rodziny stanowili irlandzko-amerykańscy katolicy.

Wraz z upływem czasu, francuskojęzyczne odgałęzienia straciły również swoją kreolską tożsamość, podobnie jak wiele innych tego typu rodzin w Luizjanie. Język francuski, we wszystkich znanych nam liniach rodu, niemal zupełnie wymarł. Zbliżając się do ostatniego dziesięciolecia dwudziestego wieku, z trudem moglibyśmy gdziekolwiek znaleźć chociaż jednego mówiącego po francusku potomka Mayfairów.

W ten sposób dochodzimy do następnej przełomowej obserwacji, którą – w trakcie lektury niniejszego opowiadania – zbyt łatwo można by przeoczyć.

Wraz ze śmiercią Juliena, rodzina Mayfairów być może straciła ostatniego członka, który naprawdę znał jej dzieje. W miarę jak coraz częściej rozmawiamy z potomkami rodu i gromadzimy coraz więcej ich niedorzecznych legend o życiu na plantacji, zaczynamy nabierać co do tego pewności.

W rezultacie, po 1914 roku, wszyscy członkowie Talamaski, badający sprawę Mayfairów, nie mogli się oprzeć wrażeniu, że wiedzą więcej o rodzinie, niż ta zdaje się wiedzieć sama o sobie. Świadomość tego bywała przyczyną niemałego zmieszania i stresów naszych badaczy.

Jeszcze przed śmiercią Juliena odpowiedź na pytanie, czy należy, czy też nie należy, podjąć próbę nawiązania kontaktu, była dla naszego Zgromadzenia bardzo istotnym problemem.

Po śmierci Mary Beth stała się wręcz palącą kwestią.

Teraz jednak musimy powrócić do naszego opowiadania, cofając się do roku 1891, tak byśmy mogli skupić się na Mary Beth, która wprowadzi nas w dwudziesty wiek i która była zapewne ostatnią naprawdę potężną Czarownicą Mayfair.

* * *

DALSZY CIĄG HISTORII MARY BETH MAYFAIR

W 1891 roku, tydzień po śmierci Marguerite, Julien sprowadził jej osobisty

dobytek z Riverbend do domu przy ulicy Pierwszej. Dwa wozy, wynajęte do transportu ruchomości, przywiozły liczne słoje i butelki, wszystkie odpowiednio opakowane; kilka skrzyń listów i innych papierów; około dwudziestu pięciu pudeł książek oraz parę skrzyń wypełnionych różnymi przedmiotami.

Wiemy, że słoje i butelki zniknęły na trzecim piętrze rezydencji; już nigdy więcej nie usłyszeliśmy o nich od żadnego ze współczesnych świadków.

W tym czasie Julien urządził swoją sypialnię na tej samej kondygnacji; tam właśnie, według relacji Richarda Llewellyna, później zmarł.

Wiele z książek Marguerite, w tym niezrozumiałe niemieckie i francuskie teksty, dotyczące czarnej magii, trafiło na półki w bibliotece na parterze.

Mary Beth otrzymała dawną sypialnię pana domu w północnym skrzydle, nad biblioteką. Odtąd pokój ten był zawsze zajmowany przez beneficjentkę legatu. Mała Belle, chyba jeszcze zbyt mała, by okazywać oznaki niedorozwoju umysłowego, dostała pierwszą sypialnię po przeciwnej stronie korytarza; jednak w tych wczesnych latach Belle często sypiała razem z matką.

Mary Beth zaczęła regularnie nosić naszyjnik ze szmaragdem. Można powiedzieć, że w tym czasie staje się niezależną, dorosłą osobą i panią domu. Jest coraz lepiej znana społeczności Nowego Orleanu; z tego też okresu pochodzą pierwsze, zarejestrowane w urzędowych księgach, transakcje handlowe noszące jej podpis.

Powstają liczne fotografie portretowe Mary Beth, ze szmaragdem na szyi, o którym dużo i z zachwytem mówiono. Na wielu z tych zdjęć odziana jest po męsku. Faktycznie, dziesiątki świadków potwierdzają opowiadanie Richarda Llewellyna o tym, że Mary Beth miała zwyczaj ubierać się jak mężczyzna i w takim stroju wychodzić z Julienem. Przed ślubem z Danielem McIntyre wyprawy te nie ograniczały się do burdeli dzielnicy francuskiej, lecz obejmowały także cały wachlarz wydarzeń towarzyskich. Mary Beth pojawiała się nawet na balach, wystrojona w zgrabny „biały frak i krawat”.

Chociaż ich zachowanie zazwyczaj szokowało towarzystwo, Mayfairowie w

dalszym ciągu unikali skandalu, torując sobie drogę przy pomocy pieniędzy i uroku osobistego. Udzielali hojnych pożyczek ludziom, którzy znaleźli się w potrzebie w czasie różnych powojennych kryzysów i niemal ostentacyjnie łożyli na cele charytatywne. Riverbend, zarządzana przez Claya Mayfaira, wciąż rodziła jeden po drugim, bajeczne zbiory trzciny cukrowej przynoszące fortunę.

Wydaje się, że w owym wczesnym okresie osoba Mary Beth nie wywoływała wrogości. Nikt – nawet nieżyczliwi – nie mówił o niej, że jest rozpustna czy okrutna, chociaż często krytykowano ją za chłodną praktyczność, obojętność dla ludzkich uczuć i szorstki sposób bycia.

Jednak, pomimo siły i wzrostu, nie była męskim typem kobiety. Wiele osób mówiło o niej, że jest zmysłowa, a nawet piękna. Liczne fotografie potwierdzają te opinie. Ukazują, szczególnie w owych wczesnych latach, ponętą sylwetkę w męskim stroju. Niejeden członek Talamaski zauważył, że o ile Stella, Antha i Deirdre Mayfair – jej córka, wnuczka i prawnuczka – były subtelnymi „pięknościami Południa”, to Mary Beth wielce przypominała, imponujące gwiazdy amerykańskiego kina, które pojawiły się dopiero po jej śmierci; szczególnie Avę Gardner i Joan Crawford. Jej zdjęcia zdradzają też silne podobieństwo do Jenny Churchill, słynnej matki Winstona Churchilla.

Włosy Mary Beth pozostały czarne jak smoła aż do śmierci, która położyła kres jej pięćdziesięcioczeroletniemu życiu. Nie znamy dokładnego wzrostu, ale możemy przyjąć, że mierzyła, mniej więcej, metr siedemdziesiąt pięć. Nigdy nie była krępa, miała jednak grube kości i mocną budowę ciała. Stawiała duże kroki. Rak, który ją zabił, został wykryty dopiero sześć miesięcy przed jej śmiercią; pozostała „atrakcyjną” kobietą, aż do ostatnich tygodni, kiedy to w końcu położyła się do łóżka, z którego miała już nigdy nie wstać.

Nie ma jednak wątpliwości, że Mary Beth nie interesowała się niemal wcale swoją fizyczną urodą. Chociaż zawsze była bardzo zadbana, a niekiedy, ubrana w suknię balową i otulona futrem, robiła wręcz oszałamiające wrażenie, to jednak nigdy nie mówiono o niej, że jest „uwodzicielska”. W rzeczywistości, ci

którzy nazywali ją „niekobietą”, rozwodzili się szczegółowo właśnie nad owym prostolinijnym i obcasowym sposobem bycia i pozorną obojętnością dla zalet, jakimi obdarzyła ją natura.

Warto zaznaczyć, że niemal wszystkie z tych cech – prostolinijność, praktyczną postawę, uczciwość i chłód – przypisywano później jej córce, Carolocie Mayfair, która nie została wyznaczona na spadkobierczynię majątku.

Osoby lubiące Mary Beth i prowadzące z nią korzystne interesy chwalą tę kobietę jako „celnego strzelca” i osobę wielkoduszną, całkowicie niezdolną do małostkowości. Ci, którym się z nią nie powiodło, twierdzili, że jest pozbawiona uczuć i nieludzka. Podobnie rzecz się miała w przypadku Carlotty Mayfair.

Zamiłowanie Mary Beth do interesów i jej żądza przyjemności zostaną obszernie omówione niżej. Na razie wystarczy, jeśli powiemy, że za czasów swej młodości, w równym stopniu co Julien nadawała ona ton życiu w domu przy ulicy Pierwszej. Wiele z wydanych tam przyjęć zostało w całości przygotowanych przez nią; w 1896 roku namówiła też Julię, żeby wybrał się w swoją ostatnią podróż do Europy. Zwiedzali razem stolice, od Madrytu po Londyn.

Od dzieciństwa Mary Beth podzielała miłość Julię do koni i często towarzyszyła mu w przejażdżkach. Uwielbiali także teatr i chodzili na przedstawienia wszelkiego autoramentu, od wspaniałych inscenizacji Szekspira po liche występy w drugorzędnych lokalnych teatrzykach. Oboje byli namiętnymi miłośnikami opery. W późniejszych latach Mary Beth poustawiała we wszystkich niemal pomieszczeniach domu różnego rodzaju Victrole i bezustannie słuchała płyt z muzyką operową.

Wydaje się także, że Mary Beth bawiło mieszkanie pod jednym dachem z dużą ilością osób. Jej zainteresowanie rodziną nie ograniczało się do zjazdów i zgromadzeń. Przeciwnie, drzwi domu były zawsze otwarte dla odwiedzających kuzynów.

Pewne pojedyncze wypowiedzi na temat jej gościnności sugerują, że lubiła

mieć władzę nad ludźmi i znajdować się w centrum uwagi. Ale nawet te relacje, w których całkiem dosłownie wyrażone są podobne opinie, ukazują Mary Beth jako osobę bardziej zainteresowaną innymi niż sobą samą. Rzeczywiście, czytających niniejsze dokumenty nie przestaje zdumiewać absolutny brak w tej kobiecie narcyzmu czy próżności. Wielkoduszność, a nie żądza władzy, wydaje się raczej właściwym wyjaśnieniem jej stosunków z rodziną.

(Niech nam będzie wolno zaznaczyć, że Nancy Mayfair, nieślubne dziecko kobiety z linii Maurice'a, została zaadoptowana przez Mary Beth i wychowywała się razem z Anią, jako córka Stelli. Nancy mieszkała w domu przy ulicy Pierwszej do 1988 roku. Powszechnie wierzone, że naprawdę jest dzieckiem Stelli. Również wielu Mayfairów było o tym przekonanych.)

W 1891 roku w domu przy ulicy Pierwszej mieszkali: Remy Mayfair, który wydawał się starszy o całe lata od swego brata Julienu, chociaż w rzeczywistości tak nie było, i o którym mówiono, że umiera na suchoty, co w końcu, istotnie, nastąpiło w 1897 roku; synowie Julienu, Barclay, Garland i Cortland, pierwsi z Mayfairów posłani do szkół z internatem na Wschodnim Wybrzeżu, gdzie sobie świetnie radzili; Millie Mayfair – jako jedyna z dzieci Remy'ego nigdy nie założyła rodziny; i na końcu, w dodatku do Julienu i Mary Beth, ich córka, mała Belle, nieznacznie, jak już o tym wspomniano, upośledzona umysłowo.

W końcu wieku do domowników dołączył Clay Mayfair, brat Mary Beth oraz, po zniszczeniu Riverbend, wbrew swojej woli, Katherine, kobieta o złamanym sercu. Od czasu do czasu mieszkali tam również inni kuzyni.

Przez cały ten czas Mary Beth bezspornie była panią domu i to właśnie ona zainspirowała i przeprowadziła remont kapitalny budynku przed 1900 rokiem. Dodano wtedy trzy łazienki i doprowadzono oświetlenie gazowe na trzecie piętro i do wszystkich pomieszczeń dla służby, a także do dwóch przestronnych przybudówek, z których jedna mieściła stajnię i położone nad nią pomieszczenia mieszkalne.

Mary Beth zmarła na raka we wrześniu 1925 roku. W ciągu całego swojego

życia niewiele się zmieniła – możemy bezpiecznie powiedzieć, że jej namiętności i priorytety w ostatnich latach nie różniły się prawie wcale od tych, które miała pod koniec dziewiętnastego wieku.

Jeżeli kiedykolwiek posiadała bliskiego przyjaciela lub powiernika poza kręgiem rodziny, nic nam o tym nie wiadomo. Byłoby raczej trudno opisać jej prawdziwy charakter. Z pewnością, w odróżnieniu od Julienu, nigdy nie należała do osób wesołych i pogodnych; wydaje się, że nie miała żadnego zamiłowania do reżyserowania efektownych sytuacji; nawet podczas niezliczonych zjazdów rodzinnych, kiedy tańczyła, nadzorowała robienie fotografii, podawanie potraw i napojów, nigdy nie odgrywała roli „duszy towarzystwa”. Wydaje się, że była raczej spokojną, silną kobietą z jasno określonymi celami w życiu. Niewykluczone, że nikt, z wyjątkiem Stelli, nigdy nie był z nią naprawdę blisko. Lecz tą częścią historii zajmiemy się później.

W jakim stopniu tajemne moce Mary Beth służyły jej w osiągnięciu założonych celów, jest bardzo istotnym pytaniem. Posiadamy różnorodne świadectwa, pozwalające wysnuć całą serię uczonych domysłów o tym, co działo się za kulisami.

Dla irlandzkich służących, którzy przychodzili i odchodzili z ulicy Pierwszej, zawsze była „czarownicą”, czy też osobą władającą magicznymi mocami. Lecz historie opowiedziane przez nich o Mary Beth różnią się wyraźnie od innych, posiadanych przez nas relacji na jej temat, co każe nam zachować odpowiedni dystans.

Niemniej jednak...

Służący opowiadali często, że Mary Beth chodziła do dzielnicy francuskiej, by konsultować się z tamtejszymi szamanami; albo że miała w swoim pokoju ołtarz voodoo, przy którym oddawała cześć diabłu. Mówili, że pani wiedziała, kiedy ktoś skłamał, albo gdzie był i że знаła miejsce pobytu wszystkich członków rodziny, także tych, którzy wyjechali na północ; i co w danej chwili robią. Opowiadali, że Mary Beth nie czyniła najmniejszego wysiłku, by ukryć

owe umiejętności.

Mówiono także, że to właśnie do niej zwracali się czarni służący, którzy wpadli w tarapaty z miejscowymi szamanami; Mary Beth wiedziała także, jakiego należy użyć proszku, lub jakie zapalić świece, by odwrócić rzucony czar; ponadto potrafiła rozkazywać duchom. Mary Beth miała wielokrotnie oświadczyć, że właśnie na rozkazywaniu duchom polega voodoo. Cała reszta jest tylko na pokaz.

Irlandzka kucharka, pracująca u Mayfairów, z przerwami, w latach 1895-1902, opowiedziała przypadkiem jednemu z naszych badaczy, że Mary Beth mówiła jej, iż na świecie istnieją wszelkie rodzaje duchów; słabszym z nich jest niezwykle łatwo rozkazywać i mógłby je wezwać każdy, kto by się na to odważył. Duchy pilnowały dla Mary Beth wszystkich pomieszczeń rezydencji i przedmiotów tam zgromadzonych. Mary Beth ostrzegła jednak kucharkę, żeby sama nie próbowała wzywać duchów. Łączyły się z tym pewne zagrożenia i lepiej było zostawić to ludziom, którzy potrafili widzieć i czuć duchy w taki sposób, jak ona sama.

– Wyczuwało się, jak nic, że w tym domu są duchy – wyznała kucharka. – A jeśli przymknąłeś do połowy powieki, to mogłeś zobaczyć. Ale pani nie musiała nawet tego robić. Widziała je przez cały czas, jasno jak w dzień, rozmawiała z nimi i wołała je po imieniu.

Kucharka opowiedziała także, że Mary Beth piła brandy prosto z butelki; ale było to w porządku, ponieważ z Mary Beth to prawdziwa dama, a dama może robić wszystko, na co ma ochotę; Poza tym była przyjemną i wielkoduszną osobą. To samo tyczy się Monsieur Juliena; tylko że jemu nie przyszłoby nawet do głowy, żeby pić brandy prosto z butelki; zawsze lubił swoje sherry w kryształowym kieliszku.

Pracznica utrzymywała, że Mary Beth potrafiła zamykać za sobą drzwi, nie fatygując się nawet, żeby ich dotknąć; w ten sposób poruszała się po całym domu. Któregoś razu poproszono praczkę, żeby zaniósła na pierwsze piętro kosz

poskładanej bielizny, ale odmówiła, bo tak bardzo była przestraszona. Wtedy Mary Beth zbesztła ją, raczej dobrodusznie, że jest głupia, i ta od razu przestała się bać.

Istnieje co najmniej piętnaście różnych relacji o ołtarzu voodoo, na którym Mary Beth paliła kadzidło i różnokolorowe świece od czasu do czasu, stawiając tam gipsowe figurki świętych. Ale ani jedna z opowieści nie określa precyzyjnie tego miejsca. (Jest rzeczą interesującą, że żaden czarny służący, którego o to pytano, nigdy nie wspominał o tym choćby jednym słowem.)

Niektóre z zebranych przez nas historii są zupełnie fantastyczne. Kilka razy na przykład twierdzono, że Mary Beth nie tylko przebierała się za mężczyznę; lecz że wychodząc z domu, ubrana w trzyczęściowy garnitur, ze swoją laską i kapeluszem, naprawdę zmieniała płć. I była wtedy dostatecznie silna, by dać sobie radę z każdym, kto by ją napadł.

Pewnego ranka, kiedy samotnie kłusowała po Alei św. Karola (Julien był wtedy chory i wkrótce miał umrzeć), jakiś człowiek próbował ściągnąć ją z konia. Zamieniła się wówczas w mężczyznę, zbiła napastnika pięściami i ledwo żywego powlokła przywiązawszy go do siodła, na pobliski posterunek policji. „Mnóstwo ludzi to widziało”, powiedziano nam. Owa historyjka krążyła wśród mieszkańców rejonu Przy Kanale jeszcze w 1935 roku. Rzeczywiście, protokoły policyjne z tamtego okresu odnotowują, że napaść i „doprowadzenie przez obywatela” miały miejsce w 1914 roku. Napastnik zmarł w celi, kilka godzin później.

Istnieje też inna historyjka, o niemądrej pokojówce, która ukradła jeden z pierścionków Mary Beth. Obudziwszy się w nocy w swojej ciasnej izdebce przy ulicy Chippewa, dziewczyna zobaczyła, że Mary Beth pochyła się nad nią, w męskiej postaci, domagając się natychmiastowego zwrotu pierścionka. Kobieta spełniła żądanie, lecz około trzeciej po południu następnego dnia zmarła wskutek doznanego szoku.

Słyszeliśmy o tym w 1898 roku, i ponownie, w 1910. Ustalenie prawdziwej

relacji okazało się niemożliwe.

Dużo więcej warta jest dotycząca wcześniejszego okresu opowieść, którą w 1910 roku przedstawił nam pewien dorożkarz. Któregoś dnia, jakieś dwa lata wcześniej, zabrał on Mary Beth na Rue Royale; i chociaż był pewien, że wsiadła do dorożki sama (był to dwukołowy powóz), to przez całą drogę do dzielnicy willowej słyszał, jak z kimś rozmawia. Kiedy otworzył drzwi dorożki przed podjazdem przy ulicy Pierwszej, zobaczył, iż Mary Beth towarzyszy przystojny mężczyzna. Mary Beth wydawała się całkowicie pochłonięta rozmową, lecz na widok dorożkarza przerwała ją i zaśmiała się krótko. Wręczyła mu dwie piękne złote monety, mówiąc, że są o wiele więcej warte, niż wynosi opłata za kurs i żeby prędko je wydał. Dorożkarz obejrzał się za mężczyzną, lecz wokół nie było nikogo.

Posiadamy w naszych archiwach wiele innych opowieści służby, dotyczących mocy Mary Beth, lecz wszystkie z nich mają ten sam motyw – Mary Beth była czarownicą i ujawniała swą potęgę za każdym razem, kiedy ona sama, jej własność lub rodzina znalazły się w zagrożeniu. Lecz niech będzie nam wolno jeszcze raz podkreślić, że owe historyjki służących różnią się wyraźnie od reszty zgromadzonego przez nas materiału.

Rozważywszy wszystkie aspekty życia Mary Beth, przekonamy się, że również z innych źródeł pochodzą przekonujące dowody na to, iż uprawiała ona czary.

O ile możemy wnioskować, posiadała trzy nadrzędne namiętności.

Po pierwsze, ale nie przede wszystkim, musimy powiedzieć o żądzy robienia pieniędzy i angażowaniu członków własnej rodziny w tworzenie ogromnej fortuny. Proste stwierdzenie, iż osiągnęła na tym polu sukces, nie oddaje jej pełnej sprawiedliwości.

Niemal od czasu, gdy była dzieckiem docierały do nas historie o zakopanych skarbach, trzosach pełnych złota, których nikt nie mógł opróżnić i Mary Beth, rozrzucającej na prawo i lewo złote monety.

Opowiadano, że wielu ludzi ostrzegała, by „prędko wydali te pieniądze”, gdyż wszystko, co rozda ze swojej czarodziejskiej sakiewki, zawsze do niej wraca.

Jeśli chodzi o klejnoty i monety – niewykluczone, że gruntowne studia finansów Mayfairów, przeprowadzone wyłącznie na podstawie oficjalnych dokumentów przeanalizowanych przez osoby biegłe w tej dziedzinie, mogłyby wykazać, iż tajemnicze i nie wyjaśnione dopływy gotówki odgrywały istotną rolę w całej historii finansów rodu. Lecz opierając się na tym, co wiemy dzisiaj, możemy jedynie snuć przypuszczenia.

Trafniejsze wydaje się pytanie, czy Mary Beth, inwestując swoje pieniądze, wykorzystywała zdolność jasnowidzenia i tajemne moce.

Nawet pobieżne przyjrzenie się jej finansowym osiągnięciom wskazuje na to, że Mary Beth była w tej dziedzinie geniuszem. Zarabianie pieniędzy interesowało ją o wiele bardziej niż Julię; posiadała wyraźny talent przewidywania zawczasu, co się wydarzy i wiele razy ostrzegała wszystkich wokół przed zbliżającymi się kryzysami czy upadkiem banków, chociaż często nikt jej nie słuchał.

W rzeczywistości, wielostronność inwestycji Mary Beth opiera się konwencjonalnym wyjaśnieniom. Jak mówią, „siedziała we wszystkim”. Była bezpośrednio zaangażowana w handel bawełną; nieruchomości, transport morski, koleje, bankowość, obrót towarami, a później także w przemysł alkoholu. Bez przerwy inwestowała w nieprawdopodobnie ryzykowne przedsięwzięcia, które przynosiły zdumiewające sukcesy. To ona „stała za” opatentowaniem kilku lekarstw i wynalazków, co przyniosło jej nieobliczalne dochody.

Można się posunąć do stwierdzenia, że historia ta – na papierze – nie ma najmniejszego sensu. Wiedziała zbyt dużo, zbyt często i zbyt wiele na tym zarobiła.

Podczas gdy osiągnięcia Julię, jakkolwiek ogromne, można przypisać wiedzy i zręczności pojedynczego człowieka, to wytłumaczenie w ten prosty

sposób sukcesów Mary Beth jest prawie niemożliwe. Julienna, na przykład, nie interesowała zupełnie, jeśli chodzi o inwestowanie pieniędzy, nowoczesne wynalazki. Mary Beth żywiła natomiast stanowczą namiętność do gadżetów i technologii i absolutnie nigdy nie popełniła w tej dziedzinie najmniejszej omyłki. To samo dotyczy transportu, o którym Julien wiedział niewiele, za to Mary Beth znała się na nim świetnie. Julien uwielbiał kupować budynki, włączając w to fabryki i hotele, nigdy nie nabywał jednak nie zabudowanych gruntów. Za to Mary Beth kupowała ogromne obszary ziemi w całych Stanach Zjednoczonych, które odsprzedala potem z ogromnym zyskiem. W rzeczywistości, jej wiedza o tym, kiedy i gdzie będą rozwijać się miasta, jest absolutnie niewytłumaczalna.

Mary Beth okazała też dużo życiowej mądrości w przedstawieniu swojego bogactwa w korzystnym świetle. Wystawiała je na pokaz o tyle, o ile służyło to z góry wytyczonym celom. W rezultacie nie dopuściła do wywołania zdziwienia i nieufności, jakie nieuchronnie pociągnęłyby za sobą pełne ujawnienie stanu posiadania. Przez całe życie starannie unikała rozgłosu. Styl życia w domu przy ulicy Pierwszej nie był nigdy szczególnie wystawny; jedyny wyjątek stanowiły samochody – uwielbiała je i posiadała tak wiele naraz, że musiała wynajmować garaże w całej okolicy. Słowem, przekazany nam przez Richarda Llewellyna jej wizerunek, przytoczony ze wszystkimi szczegółami w poprzednim rozdziale, odpowiada w znacznym stopniu temu, jak ją powszechnie postrzegano. Bardzo niewielu ludzi znało wartość całego majątku i wiedziało o jej prawdziwej potędze.

Rzeczywiście, istnieją pewne dowody na to, że Mary Beth prowadziła szeroko zakrojoną działalność, o której ludzie nie mieli pojęcia; zatrudniała całą armię finansistów. Spotykała się z nimi w biurach na mieście, nigdy zaś na ulicy Pierwszej. Jeszcze dzisiaj mówi się w Nowym Orleanie o osobach, które pracowały „w mieście” dla Mary Beth i o tym, jak szczerze je wynagradzała. Według pewnego starszego dżentelmena, była to „praca w aksamitnych

rękawiczkach”; człowiek ów przypominał sobie, iż pewien jego przyjaciel udawał się, na życzenie Mary Beth, w długie podróże do Paryża, Brukseli i Zurychu, niekiedy wioząc ze sobą ogromne sumy pieniędzy. Statki i hotele były zawsze najwyższej klasy. Mary Beth regularnie wręczała premie. Inne źródło dowodzi, że sama Mary Beth robiła często takie eskapady, bez wiedzy kogokolwiek z rodziny; nie możemy tego jednak sprawdzić.

Posiadamy także pięć różnych relacji o zemście Mary Beth na osobach, które próbowały ją oszukać. Według jednej z nich, sekretarz Mary Beth, Landing Smith, uciekł z trzystoma tysiącami dolarów w gotówce i pod przybranym nazwiskiem wsiadł na liniowiec do Europy, całkowicie przekonany, iż uszło mu to na sucho. Trzy dni po wypłynięciu z nowojorskiego portu obudził się w środku nocy i ujrzał Mary Beth siedzącą na brzegu jego łóżka. Nie tylko odebrała mu pieniądze, lecz także sprawiła mu szpicrutą zdrowe lanie. Zostawiła go na podłodze kajuty, krwawiącego i na pół szalonego, i tam znalazł go później steward. Smith natychmiast wyznał wszystko. Ale Mary Beth nie można było znaleźć nigdzie na pokładzie statku; zniknęły również pieniądze. Historia ta została opisana w miejscowych gazetach, Mary Beth odmówiła jednak jakiegokolwiek komentarza w całej tej sprawie.

Inna historia, którą usłyszeliśmy w 1955 roku od dwóch różnych starszych panów, opowiada o posiedzeniu jednej ze spółek, która usiłowała uniezależnić się od Mary Beth i okantować ją przy pomocy serii całkowicie zgodnych z prawem manewrów. Spotkanie dobiegło już pewnie do połowy, kiedy jego uczestnicy zorientowali się, że przy jednym stole z nimi siedzi Mary Beth. Powiedziała tylko, co o nich myśli i zerwała swoje więzy ze spółką, która wkrótce zbankrutowała. Z powodu tej tragedii, dzieci i wnuki zrujnowanych osób do dzisiaj wyrażają się o Mary Beth z pogardą.

Jedna z linii rodu – potomkowie Claya, mieszkający obecnie w Nowym Jorku – nie zechce mieć nic wspólnego z Mayfairami z Nowego Orleanu, z racji podobnych powikłań, które miały miejsce w roku 1919.

Wygląda na to, że w owym czasie Mary Beth inwestowała ciężkie pieniądze w nowojorską bankowość. Nastąpiła różnica zdań, pomiędzy nią i jednym z kuzynów. Krótko mówiąc, nie wierzył on, że jej plan działania się sprawdzi. Ona zaś była o tym przekonana. Kuzyn spróbował, za plecami Mary Beth, ukreślić łeb jej projektowi. Mary Beth zjawiała się w jego biurze w Nowym Jorku, wyrwała mu z ręki odnośne dokumenty i wyrzuciwszy je w powietrze, sprawiła, że zajęły się ogniem i spłonęły, nim zdążyły opaść na ziemię. Potem ostrzegła, że zabije go, jeśli kiedykolwiek znowu spróbuje oszukać swoją własną krew. Człowiek ów zmuszał każdego, kogo się tylko dało, do wysłuchiwania tej historii, skutecznie rujnując sobie w ten sposób opinię i niszcząc życie zawodowe. Ludzie myśleli, że zwariował. Popęłił samobójstwo wyskakując z okna swojego biura, w trzy miesiące po wizycie Mary Beth. Jego rodzina do dziś dnia obciąża Mary Beth odpowiedzialnością za tę śmierć i wyraża się z nienawiścią o niej i jej potomkach.

Trzeba zaznaczyć, iż owi nowojorscy Mayfairowie są bardzo dobrze sytuowani. Stella wielokrotnie czyniła próby nawiązania z nimi życzliwszych stosunków. Upierają się, że Mary Beth zawsze posługiwała się w interesach czarną magią; lecz im więcej nasi przedstawiciele z nimi rozmawiali, tym mocniejszego nabrali przekonania, że w rzeczywistości indagowani wiedzą bardzo niewiele o rodzinie z Nowego Orleanu, z której pochodzą i w ogóle mają niewielkie pojęcie o interesach, jakie prowadziła Mary Beth.

Oczywiście, ludzie na ogół mają bardzo małe pojęcie o interesach prowadzonych przez Mary Beth. Jak już to wcześniej zauważyliśmy, z wielką wprawą utrzymywała w sekrecie swoją niezmierną potęgę i wpływy.

Dla Talamaski opowieści o Mary Beth rzucającej klątwę na farmera, który nie chciał sprzedać jej konia, brzmią kompletnie nedorzecznie; wiemy bowiem, że wykupywała koleje w Ameryce Południowej, inwestowała w indyjską herbatę i nabyła ogromne obszary gruntów wokół śródmieścia Los Angeles.

Być może, pewnego dnia, ktoś napisze książkę o Mary Beth Mayfair.

Wszystko jest tutaj, w dokumentach. Lecz w obecnej chwili wygląda na to, że Talamasca jest jedyną grupą osób spoza rodziny, posiadającą wiedzę o tym, iż wpływy Mary Beth rozciągały się na cały świat – że stworzyła imperium finansowe tak rozległe, tak potężne i zróżnicowane, iż jego stopniowe rozmontowywanie trwa wciąż, po dziś dzień.

Lecz kwestia finansów Mayfairów zasługuje na więcej uwagi, niż możemy jej tutaj poświęcić. Jeśli osoby, posiadające wykształcenie w owej dziedzinie, przeprowadziłyby gruntowne studia całej historii Mayfairów – a bierzemy tu pod uwagę urzędowe dokumenty, dostępne dla każdego, kto zadałby sobie dość trudu, żeby do nich dotrzeć – możliwe, iż ujrzelibyśmy rzetelnie udowodniony przypadek stosowania przez całe stulecia tajemnych mocy, w celu zdobycia i rozprzestrzenienia bogactwa. Klejnoty i złoto są, być może, jedynie jego niewielką częścią.

Alas, nie jesteśmy biegli w tego rodzaju badaniach. Zgodnie z tym, co nam wiadomo, jako człowiek interesu, Mary Beth przerasta o głowę Julię; i możemy być niemal pewni, że żadna istota ludzka nie zdołałaby osiągnąć, bez pomocy sił nadprzyrodzonych, tego co Mary Beth.

Powiedzmy na zakończenie, że Mary Beth uczyniła swoją rodzinę znacznie bogatszą, niż większość Mayfairów sądziło, czy choćby przypuszczało. I majątek ten istnieje do dzisiaj.

Drugą namiętnością Mary Beth była rodzina. Od samego początku aktywnego prowadzenia interesów wciągała w nie swoich bratanków (czy braci): Barclaya, Garlanda i Cortlanda oraz innych Mayfairów; wprowadziła ich do stworzonych przez siebie spółek; przy zawieraniu transakcji korzystała z pomocy Mayfairów-prawników i Mayfairów-bankierów. W rzeczywistości, zawsze, kiedy tylko mogła, posługiwała się członkami rodu zamiast obcych osób. Wywierała też silną presję na innych Mayfairów, by postępowali podobnie. Kiedy Carlotta zaczęła pracować w nie należącej do Mayfairów firmie prawniczej, Mary Beth wyraziła rozczarowanie i dezaprobatę, nie podjęła

jednak z powodu decyzji córki żadnych restrykcyjnych czy karnych działań. Oświadczyła tylko, że Carlotcie brakuje przenikliwości i wyobraźni.

Co się tyczy Stelli i Lionela, Mary Beth notorycznie im pobłażała i pozwalała, by całymi dniami i tygodniami gościli swoich przyjaciół. Wysyłała ich do Europy pod opieką nauczycieli i guwernantek, gdy sama była zbyt zajęta, by pojechać z nimi; wyprawiała dla nich huczne przyjęcia urodzinowe, których rozmiary i ekstrawagancja przeszły do legendy. Zapraszano wtedy niezliczone rzesze kuzynów. Równie wspaniałomyślna była dla swej córki, Belle, adoptowanej Nancy i bratanicy Millie Dear. Wszystkie one mieszkały nadal przy ulicy Pierwszej po śmierci Mary Beth, chociaż dysponowały okazałymi udziałami w funduszach powierniczych, dającymi im bezsporną niezależność finansową.

Mary Beth utrzymywała kontakty z Mayfairami mieszkającymi w całym kraju i organizowała liczne zjazdy rodzinne w Luizjanie. Nawet po śmierci Julienu, aż do końca życia Mary Beth, podawano w czasie owych imprez wyśmienite potrawy i napoje; Mary Beth osobiście pilnowała menu i próbowała win; często, dla zapewnienia rozrywki, sprowadzano muzyków.

Ogromne kolacje rodzinne były przy ulicy Pierwszej na porządku dziennym. Mary Beth płaciła najlepszym kucharzom, wynajmowanym na te okazje, bajeczne honoraria. Wiele relacji dowodzi, że kuzyni uwielbiali odwiedzać rodzową rezydencję; kochali długie poobiednie dyskusje (opisane przez Richarda Llewellyna); i byli bardzo przywiązani do pani domu, która posiadała niesamowitą zdolność pamiętania o urodzinach, rocznicach ślubów i ukończenia szkoły wysyłając z tych okazji stosowne i mile widziane podarki w postaci gotówki.

Jak już wspominaliśmy, kiedy Mary Beth była młoda, uwielbiała podczas tych rodzinnych przyjęć tańczyć z Julienem; zachęcała też do tańca młodych i starych. Czasami angażowała instruktorów, by uczyli kuzynów poruszania się w takt nowych rytmów. Mary Beth i Julien wyczyniali żwawe figle, ku

rozweseleniu dzieciarni. Niekiedy sprowadzone z dzielnic francuskiej orkiestry szokowały co bardziej statecznych Mayfairów. Po śmierci Juliana Mary Beth nie tańczyła już tak wiele, lecz wciąż z lubością przypatrywała się innym i niemal zawsze dbała o dostarczenie jakiegoś zespołu muzycznego. W ostatnich latach życia Mary Beth imprezy te, wciąż tak samo zabawne, organizowała jej córka, Stella, i syn, Lionel.

Mayfairów nie tylko zapraszano na owe przyjęcia; oczekiwano wręcz, że będą na nie przychodzić. Mary Beth potrafiła być czasem przykra dla tych, którzy nie pojawili się. Dwie relacje opowiadają o Mary Beth, wpadającej w niezmierną wściekłość z powodu członków rodziny, którzy porzucili nazwisko Mayfair na rzecz nazwiska ojca.

Kilka historii, zebranych od przyjaciół domu, wskazuje na to, że kuzyni jednocześnie kochali Mary Beth i bali jej się; podczas gdy Julien, zwłaszcza w późnym wieku, uważany był za osobę pełną słodyczy i czarującą, Mary Beth budziła pewną grozę.

Parę relacji wskazuje na to, że potrafiła przewidzieć przyszłość, lecz nie lubiła korzystać z tej umiejętności. Kiedy proszono ją o przepowiednię lub pomoc w podjęciu decyzji, Mary Beth często ostrzegała zainteresowanych członków rodziny, że „jasnowidzenie” nie jest rzeczą prostą, a zagłębienie w przyszłość bywa „śliskie”. Niemniej, od czasu do czasu, czyniła otwarte przepowiednie. Maitlandowi Mayfairowi – synowi Claya – powiedziała, na przykład, że zginie, jeśli zabierze się do pilotowania samolotów. I rzeczywiście zginął. Jego żona, Therese, uważała, że ta „czarownica” jest winna śmierci jej męża. Mary Beth skwitowała te oskarżenia wzruszeniem ramion i powiedziała po prostu: „Przecież go ostrzegałam, czyż nie? Jeśli nie poleciałby tym cholernym samolotem, to by się nie rozbił”.

Bracia Maitlanda, zrozpaczeni jego śmiercią, błagali Mary Beth, żeby spróbowała, jeśli zdoła, zapobiec w przyszłości takim wydarzeniom; odpowiedziała na to, że może spróbować, kiedy następnym zwróci uwagę na coś

podobnego. Ostrzegła ich ponownie, że takie rzeczy nie są proste. W 1921 roku syn Maitlanda, Maitland Junior, chciał się wybrać na wyprawę do afrykańskich dżungli, co wywołało zdecydowany sprzeciw Therese. Zwróciła się ona do Mary Beth, żeby albo spróbowała powstrzymać chłopca, albo uczyniła jakiegoś rodzaju przepowiednię.

Mary Beth rozważała tę kwestię przez dłuższy czas, a potem wyjaśniła, w swój prosty, bezpośredni sposób, że przyszłość nie jest ustalona z góry, a jedynie możliwa do przewidzenia. A ona przewiduje, że chłopiec zginie, jeśli pojedzie do Afryki. Ale jeśli zostanie, może się zdarzyć coś gorszego. Maitland Junior sam zrezygnował z udziału w wyprawie, został w domu i sześć miesięcy później zginął w pożarze. (Ów młody człowiek upił się i palił w łóżku.) Podczas pogrzebu Therese podeszła do Mary Beth i zażądała wyjaśnienia, dlaczego ta nie zapobiegła tragedii. Mary Beth odpowiedziała, niemal obojętnie, że owszem, przewidziała to wszystko, ale nie mogła wiele uczynić, by odwrócić bieg wydarzeń. W tym celu musiałaby zmienić Maitlanda Juniora, a to nie należało do jej życiowych zadań; zresztą, niezliczoną ilość razy próbowała, bez rezultatu, porozmawiać z Maitlandem; lecz z pewnością jest jej z tego powodu okropnie przykro i życzyłaby sobie, żeby kuzyni przestali wreszcie prosić ją o przepowiednie.

– Kiedy patrzę w przyszłość – miała powiedzieć – widzę jedynie, jak bardzo ludzie są słabi i jak mało robią, żeby walczyć z przeznaczeniem i ślepym losem. Możecie walczyć, wiecie o tym? Naprawdę, możecie. Ale Maitland nie miał zamiaru niczego zmieniać. – Po czym, tak przynajmniej opowiadano, wzruszyła ramionami i swoim charakterystycznym, dużym krokiem, opuściła cmentarz Lafayette.

Therese była wstrząśnięta tym oświadczeniem. Nigdy nie wybaczyła Mary Beth, przekonana iż ta w jakiś sposób przyczyniła się do śmierci jej męża i syna. Aż do dnia, kiedy umarła, utrzymywała, że dom przy ulicy Pierwszej otacza aura zła; a moc, którą posiadają Mayfairowie, przynosi korzyść tylko

wybranym.

(Historię tę opowiedziała nam przyjaciółka siostry Therese, Emilie Blanchard, która zmarła w 1935 roku. Skróconą wersję przedstawił nam ktoś, kto nie będąc członkiem rodziny, podsłuchał rozmowę na cmentarzu i próbował dowiedzieć się czegoś więcej. Trzecia wersja pochodzi od zakonnicy obecnej na cmentarzu. Zgodność wszystkich przekazów co do wypowiedzi Mary Beth czyni z tej historii jeden z jej najwyrazistszych portretów, aczkolwiek niewielkich rozmiarów. Oba wypadki, o których mowa, zostały opisane w prasie.)

Istnieją inne, niezliczone historie o wypowiedzianych przez Mary Beth przepowiedniach, udzielanych przestrofach i tym podobnych. Wszystkie brzmią niemal tak samo. Mary Beth odradzała pewne małżeństwa i jej ostrzeżenia zawsze okazywały się słuszne. Albo, Mary Beth przekonywała kogoś do wzięcia udziału w przedsięwzięciach, które odnosiły potem wspaniałe sukcesy. Ale wszystko wskazuje na to, że Mary Beth traktowała swoje moce z wielką ostrożnością i nie lubiła dokonywać bezpośrednich przepowiedni. Znamy jeszcze jedną jej wypowiedź na ten temat, skierowaną do księdza plebana, który później powtórzył ją swojemu bratu, oficerowi policji. Ten ostatni zapamiętał ją najwyraźniej dlatego, iż uznał za interesującą.

Mary Beth miała powiedzieć księdzu, że każdy silny człowiek może zmienić przyszłość dla wielu innych osób; i że dzieje się tak nieustannie. Biorąc pod uwagę liczbę żyjących na świecie ludzi, osoby takie są na tyle rzadkie, że przepowiadanie przyszłości wydaje się złudnie łatwe.

– Lecz cóż, w takim razie, z daną nam wolną wolą? – zapytał ksiądz, na co Mary Beth odrzekła:

– Istotnie, posiadamy wolną wolę, i jest rzeczą najwyższej wagi, byśmy z niej korzystali. Nic nie jest z góry ustalone. I, dzięki Bogu, nie ma zbyt wielu silnych ludzi, którzy mogliby wywrócić do góry nogami przewidywalny porządek; bowiem na każdego wizjonera, przynoszącego ludziom dobro,

przypada zły człowiek, sprowadzający wojny i nieszczęścia.

(Warto zwrócić uwagę, że te wypowiedzi są szczególnie interesujące w świetle przekazanego nam przez Richarda Llewellyna opisu snu, w którym Julien przyszedł do niego i powiedział, że nic nie jest z góry ustalone. Należy też podkreślić, że dwieście lat wcześniej, Lasher, według relacji Petyra van Abla, uczynił tajemniczą przepowiednię, która tak wstrząsnęła Petyrem. Gdyby tylko dane nam było usłyszeć więcej opinii członków rodu Mayfair, posiadających potężne zdolności parapsychologiczne. Lecz, *alas*, nie dotarło do nas nic więcej, i bezpośredni związek między dwoma powyższymi cytatami każe nam to sobie boleśnie uświadomić.)

Wracając do sprawy stosunku rodziny do Mary Beth, wielu krewnych – według ich gadatliwych przyjaciół – zdawało sobie sprawę, iż w Mary Beth i Monsieur Julienie jest coś dziwnego. Pytanie, czy prosić ich o radę, czy nie, w przypadku kłopotów, odżywało wciąż na nowo w każdym pokoleniu. Zwrócenie się do nich miało, jak uważano, swoje zalety, ale także niesło pewne ryzyko.

Na przykład, pewna kobieta z linii Lestana Mayfaira, która zaszła w ciążę w wyniku cudzołóżnego związku, poprosiła Mary Beth o pomoc; i chociaż otrzymała pokaźną sumę pieniędzy na opiekę nad dzieckiem, to później nabrała przekonania, że Mary Beth spowodowała śmierć jego nieodpowiedzialnego ojca.

Inny Mayfair, ulubieniec Mary Beth, który został oskarżony o czynne naruszenie nietykalności osobistej w czasie pijackiej burdy w nocnym klubie w dzielnicy francuskiej, bardziej obawiał się, podobno, dezaprobaty i kary Mary Beth niż wyroku sądu. Został śmiertelnie postrzelony podczas ucieczki z więzienia. Mary Beth nie zgodziła się, by pochowano go na cmentarzu Lafayette.

Inna nieszczęsna dziewczyna – Louise Mayfair – która zaszła w pozamałżeńską ciążę i w domu przy ulicy Pierwszej urodziła Nancy (zaadoptowaną przez Mary Beth, jako jedno z dzieci Stelli), zmarła dwa dni po

porodzie. Krążyły liczne opowieści o tym, że Mary Beth, niezadowolona z zachowania dziewczyny, pozwoliła, by umierała ona samotnie i bez opieki.

Jednak historii dotyczących tajemnych mocy Mary Beth, czy jej niedobrych uczynków względem rodziny, jest relatywnie niewiele. Nawet wzięwszy pod uwagę dyskrecję i niechęć większości Mayfairów do plotkowania na temat dziedziczącej linii w obecności obcych osób, i tak trzeba podkreślić, że zwyczajnie brakuje świadectw, by Mary Beth była dla swoich krewnych bardziej czarownicą niż patriarchinią rodu. Jeśli już używała swoich mocy, niemal zawsze robiła to z niechęcią. Posiadamy sporo wskazówek, iż wielu Mayfairów nie wierzyło w „przesądne głupoty”, jakie powtarzała na temat Mary Beth służba i niektórzy członkowie rodziny. Historyjkę o sakiewce bez dna, pełnej złota, uważali za śmiechu wartą. Mieli pretensje do służących o rozgłaszanie tych historyjek, będących, jak twierdzili, przeżytkiem romantycznych czasów plantacji. Narzekali również na rozplotkowanie sąsiedztwa i parafii.

Nie zaszkodzi, jeśli jeszcze raz podkreślimy, że przeważająca większość opowieści o tajemnych mocach Mary Beth pochodzi od służby.

Wzięwszy wszystko pod uwagę, tradycja rodzinna wskazuje na to, że Mary Beth była kochana i szanowana przez członków rodziny i nie próbowała zdominować ich życia ani narzucać im decyzji; nalegała jedynie, by okazywano pewną lojalność rodową. Nie licząc kilku pomyłek, zawsze dobierała spośród krewnych doskonałych współpracowników, którzy ufali jej, podziwiali ją i lubili robić wspólne interesy. Utrzymywała swoje niesamowite osiągnięcia w tajemnicy przed pracującymi dla niej ludźmi; być może, nikt nie wiedział również o jej mocach. Cieszyło ją proste i zwyczajne życie rodzinne.

Warto także odnotować, że małe dzieci należące do rodziny uwielbiały tę kobietę. Dziesiątki razy fotografowała się ze Stellą, Belle, Lionelem, Millie Dear, Nancy i całymi tuzinami innych dzieci. Przez wiele lat, w każdą niedzielę, południowy trawnik posiadłości przy ulicy Pierwszej, wypełniał się dziatwą,

fikającą koziołki, grającą w piłkę i bawiącą się w berka; starsi, w tym czasie, ucinali wewnątrz domu poobiednią drzemkę.

Trzecią wielką namiętnością, czy też obsesją, Mary Beth, było, o ile udało nam się ustalić, pożądanie rozkoszy życia. Jak już widzieliśmy, Julien i Mary Beth lubili taniec, przyjęcia, teatr, etc. Mary Beth miała także wielu kochanków.

Członkowie rodziny zachowują na ten temat absolutne milczenie; najobfitszym źródłem tego rodzaju informacji są plotki służby, często docierające do nas z drugiej i trzeciej ręki, poprzez przyjaciół rodzin służących. Również sąsiedzi rozpowiadali o „przystojnych chłopcach”, jacy zawsze kręcili się w pobliżu, zatrudnieni rzekomo do wykonywania prac, do których nie posiadali najmniejszych kwalifikacji.

Opowiadanie Richarda Llewellyna, o podarowaniu Stutza Bearcata młodemu irlandzkiemu stangretowi, zostało bez trudu potwierdzone, poprzez zwykłe dokumenty rejestracyjne. Wspaniałe prezenty – często czeki na ogromne sumy – otrzymywane przez owych przystojnych chłopców, również wskazują na to, że byli oni kochankami pani domu. Trudno bowiem znaleźć inną przyczynę, dla jakiej Mary Beth miałyby dać pod choinkę pięć tysięcy dolarów młodemu stangretowi, który w rzeczywistości, nie potrafił nawet poradzić sobie z zaprzęgiem; albo majstrowi do wszystkiego, nie umiejącemu nawet, bez niczyjej pomocy, wbić gwoźdź.

Ciekawe, że kiedy potraktujemy wszystkie informacje na temat Mary Beth jako jedną całość, przekonamy się, że ilość zebranych przez nas historii o jej zmysłowych apetytach znacznie przewyższa materiał dotyczący jakiegokolwiek innego aspektu jej życia. Innymi słowy, opowieści o kochankach, picciu wina i zamiłowaniu do jedzenia i tańca są liczniejsze (w stosunku siedemnaście do jednego) niż historyjki o jej tajemnych mocach czy zręczności w zarabianiu pieniędzy.

Lecz kiedy rozważymy wszystkie owe opisy dotyczące pociągu Mary Beth do wina, jedzenia, muzyki, tańca i miłości fizycznej, okazuje się, że

zachowywała się w sposób właściwy raczej mężczyznom – jeśli chodzi o te strony życia – niż kobietom owej epoki, szukając jedynie zadowolenia i nie dbając zbytnio o konwenanse, czy też powszechny szacunek. Słowem, jeżeli spojrzeć na jej zachowanie pod tym kątem, nie ma w nim nic nadzwyczajnego. Lecz oczywiście, ludzie w tamtych czasach nie widzieli tego w takim świetle i sądzili, że jej namiętność do przyjemności jest dość tajemnicza, a nawet złowieszcza; zaś obojętny stosunek do własnego postępowania i nieprzywiązywanie wagi do płytkich reakcji osób postronnych pogłębiały jeszcze owo wrażenie tajemniczości. Niejeden z bliskich kuzynów błagał ją, by zaczęła się „dobrze prowadzić” (tak przynajmniej opowiadała służba) i niejeden raz Mary Beth kwitowała taką sugestię wzruszeniem ramion.

Jeśli chodzi o zwyczaj ubierania się w męski strój, to Mary Beth robiła to przez tak długi czas, i z taką wprawą, iż niemal wszyscy przyzwyczaili się do tego. W ostatnich latach życia często wychodziła z domu odziana w tweedowy garnitur i z laską w dłoni spacerowała godzinami po Dzielnicy Ogrodów. Nie zawracała już sobie głowy upinaniem włosów czy chowaniem ich pod kapeluszem. Nosiła prosty kok, albo związywała je w węzeł, a ludzie przyjmowali jej wygląd jak coś całkowicie naturalnego. Dla służących i sąsiadów z całej okolicy była panną Mary Beth, spacerującą wielkimi krokami, z lekko pochyloną głową, i odpowiadającą na pozdrowienia zmanierowanym gestem.

Jeśli chodzi o jej kochanków, to Talamasce nie udało się na ich temat odkryć niemal niczego. Najwięcej wiemy o młodym kuzynie, Alainie Mayfair; lecz nie mamy nawet pewności, czy w ogóle był kochankiem Mary Beth. W latach 1911-1913 pracował u niej jako sekretarz lub szofer, lub jedno i drugie jednocześnie; często jednak spędzał długie okresy w Europie. Miał w owym czasie dwadzieścia kilka lat, był bardzo przystojny i świetnie mówił po francusku, ale nie z Mary Beth, która wolała angielski. W 1914 roku miało między nimi miejsce jakieś nieporozumienie; wydaje się jednak, iż nikt nie wie, o co poszło.

Alain udał się wówczas do Anglii, gdzie wstąpił do oddziałów walczących w pierwszej wojnie światowej i zginął w boju. Na życzenie Mary Beth w domu przy ulicy Pierwszej odbyło się wspaniałe nabożeństwo poświęcone jego pamięci.

Również inny kuzyn, Kelly Mayfair, pracował dla Mary Beth w 1912 i w 1913 roku, i później, aż do roku 1918. Był to wybitnie atrakcyjny młody człowiek, o rudych włosach i zielonych oczach (jego matka pochodziła z Irlandii); zajmował się koźmi Mary Beth i w odróżnieniu od innych chłopców, których zatrudniała, znał się na tym, co robił. Przypuszczenie, że był kochankiem Mary Beth, opiera się wyłącznie na faktach, że w czasie wielu rodzinnych zebrań dużo tańczyli ze sobą, a w późniejszym okresie mieli sporo hałaśliwych kłótni, podsłuchanych przez pokojówki, praczki, a nawet czyścicieli kominów.

Mary Beth wpłaciła także na konto Kelly'ego ogromną sumę pieniędzy, dzięki której mógł spróbować szczęścia jako pisarz. Za te pieniądze wyjechał do Greenwich Village w Nowym Jorku; przez krótki czas pracował jako reporter dla *New York Timesa*. Po pijanemu zamarzył na śmierć w kałuży lodowatej wody; wszystko wskazywało na zwykły wypadek. Była to jego pierwsza zima w Nowym Jorku i mógł nie zdawać sobie sprawy z jej zagrożeń. W każdym razie, Mary Beth bardzo rozpaczała po jego śmierci; kazała sprowadzić ciało do domu i wyprawiła mu porządną pogrzeb, chociaż rodzice Kelly'ego, oburzeni tym, co się stało, nie chcieli wziąć udziału w ceremonii. Poleciała na nagrobku wyryć słowa: „Już cię nie strwożą”. Być może jest to nawiązanie do słynnej pieśni z „Cymbelina” Szekspira: „Już cię nie strwożą pożogi słońca, ni zimy ostre podmuchy”. To jednak nic pewnego. Mary Beth nie chciała udzielić żadnych wyjaśnień nawet właścicielowi zakładu pogrzebowego ani kamieniarzom.

O innych „przystojnych młodzieńcach”, którzy wywołali tyle gadania, nie wiemy nic. Posiadamy jedynie plotkarskie opisy mówiące, że każdy z nich był bardzo atrakcyjny i wyglądał na, jak można by to określić, „luksusowy zakup”.

Zatrudnieni na stałe kucharze i pokojówki odnosili się do nich z nieufnością, a nawet żywili pewną urazę. Większość relacji, dotyczących owych młodych mężczyzn, nie mówi nic *per se* o tym, że byli kochankami Mary Beth. Brzmiały one w mniej więcej taki sposób: „Trafiłam raz na jej chłopaka, wiesz o czym mówię, jednego z tych przystojniaków, których zawsze trzymała przy sobie, nie pytaj mnie tylko, po co; siedział sobie na kuchennych schodach, nic nie robił, rozumiesz, nic zupełnie, tylko bawił się scyzorykiem; poprosiłam go, żeby zniósł na dół kosz z praniem, ale nie, był zbyt delikatny, aby zrobić coś takiego, wyobrażasz sobie; tylko, że oczywiście pomógł mi, bo pani właśnie weszła do kuchni, i pewnie nie ośmieliłby się jej sprzeciwić; a ona rzuciła mu jeden z tych swoich uśmiechów, wiesz o czym mówię, i powiedziała «Cześć, Benjy»,,.

Kto wie? Może Mary Beth lubiła tylko na nich patrzeć?

Na pewno wiemy jedynie, że od dnia, kiedy spotkała Daniela McIntyre, Mary Beth kochała go i była do niego przywiązana; chociaż nie ma żadnych wątpliwości, że wkroczył on w życie rodziny Mayfairów jako kochanek Juliana.

Nie zważając na opowiadanie Richarda Llewellyna, wiemy że Julien spotkał Daniela McIntyre około roku 1896 i zaczął mu wtedy powierzać prowadzenie wielu istotnych spraw. Daniel był energicznym prawnikiem w kancelarii przy ulicy Obozowej, założonej przez jego wuja jakieś dziesięć lat wcześniej.

Po ukończeniu prawa w Harvardzie, Garland Mayfair zaczął działać w tej samej firmie; później dołączył do niego Cortland i obaj pracowali razem z Danielem McIntyre, dopóki ten nie został, w 1905 roku, mianowany sędzią.

Fotografie Daniela z tego okresu ukazują bladego, szczupłego mężczyznę, o rudoblond włosach. Był niemal śliczny – podobnie jak późniejszy kochanek Juliana, Richard Llewellyn, czy ciemniejszy od niego Victor, który zginął pod kołami powozu. Wszyscy ci trzej mężczyźni wyróżniali się nadzwyczajnie pięknym, ekspresyjnym układem kości twarzy; dodatkową zaletą Daniela były olśniewające, zielone oczy.

Nawet w ostatnich latach życia, kiedy Daniel McIntyre zrobił się otyły, a

jego twarz była wiecznie czerwona z przepicia, zielone oczy nadal wywoływały zachwyty.

O młodości Daniela McIntyre posiadamy jedynie suche i wyrywkowe informacje. Wywodził się ze „starych Irlandczyków”, czyli emigrantów, którzy przybyli do Ameryki na długo przed wielkim głodem, spowodowanym zarazą ziemniaczaną w latach czterdziestych dziewiętnastego wieku; i jest wątpliwe, czy przodkowie sędziego byli kiedykolwiek ubodzy.

Jego dziad, agent handlowy, który własnymi siłami dorobił się milionów, w latach trzydziestych ubiegłego wieku wybudował wspaniały dom przy ulicy Juliańskiej, gdzie urodził się i wychował ojciec Daniela, Sean McIntyre, najmłodszy z czterech braci. Sean McIntyre był wybitnym lekarzem, dopóki, w wieku czterdziestu ośmiu lat, nie umarł nagle na zawał serca.

Daniel, wówczas już praktykujący prawnik, przeprowadził się wraz z matką i niezamężną siostrą do posiadłości w dzielnicy willowej, gdzie mieszkał aż do śmierci matki. Żaden z domów McIntyre'ów nie dotrwał do dzisiaj.

Wszystkie relacje są zgodne co do tego, że Daniel był błyskotliwym radcą prawnym; liczne dokumenty poświadczają, że udzielał Julienowi porad przy okazji rozmaitych przedsięwzięć. Reprezentował również, z powodzeniem, swego pracodawcę i przyjaciela w kilku ważnych procesach cywilnych. Dotarła do nas pewna bardzo ciekawa anegdotka o jednym z tych procesów, opowiedziana po latach przez kancelistę zatrudnionego w firmie. Otóż, między Julienem i Danielem miał wybuchnąć straszliwy spór, podczas którego Daniel nieustannie powtarzał: „Ależ, Julienie, pozwólże, bym załatwił to zgodnie z prawem!”, na co Julien, za każdym razem, odpowiadał: „W porządku, zrób to, skoro się tak cholernie przy tym upierasz. Ale mówię ci, mogę bez trudu sprawić, że ten człowiek pożałuje, że się w ogóle urodził”.

Dokumenty urzędowe wskazują również na to, iż Daniel odznaczał się niezwykle pomysłowością w wynajdowaniu sposobów, by Julien mógł realizować swoje zachcianki, i pomaganiu mu w uzyskaniu informacji o

ludziach, którzy sprzeciwiali mu się w interesach.

11 lutego 1897 roku, w dniu śmierci matki, Daniel wyprowadził się z domu w Alei św. Karola, w dzielnicy willowej, zostawiając siostrę pod opieką pielęgniarek oraz pokojówek, i zamieszkał w ostentacyjnie luksusowym, czteropokojowym apartamencie w starym Hotelu św. Ludwika. Rozpoczął prowadzić tam „królewskie życie”, według wyrażenia gońców hotelowych, dorożkarzy i kelnerów, którzy otrzymywali od niego ogromne napiwki i podawali wystawne posiłki w salonie z oknami wychodzącymi na ulicę.

Julien Mayfair był najczęstszym gościem Daniela i niejednokrotnie zostawał w jego apartamencie na noc.

Nie wiemy, czy ów układ wywoływał niechęć lub dezaprobatę Garlanda lub Cortlanda. Zostali współnikami w firmie McIntyre, Murphy, Murphy & Mayfair, a po odejściu na emeryturę obu braci Murphy i mianowaniu Daniela sędzią, Garland i Cortland stali się firmą Mayfair & Mayfair. W następnych dziesięcioleciach poświęcali całą swoją energię zarządzaniu rodzowymi pieniędzmi; prowadzili różne interesy Mary Beth na niemal równych z nią prawach; chociaż były też pewne przedsięwzięcia, w które Mary Beth angażowała się, najwyraźniej, bez wiedzy Garlanda i Cortlanda.

Daniel był już w owym czasie zapamiętałym pijakiem; istnieją liczne relacje członków obsługi hotelowej, pomagających mu w trafieniu do apartamentu. Także Cortland nie spuszczał z niego oka; w późniejszych latach, kiedy Daniel kupił samochód, to właśnie Cortland zawsze ofiarowywał się zawieźć go do domu, po to, żeby nie zabił siebie, albo kogoś innego. Wydaje się, że Cortland darzył Daniela wielką sympatią. Bronił go przed zarzutami pozostałych członków rodziny, co z biegiem czasu stawało się coraz trudniejszym zadaniem.

Nie ma żadnych danych świadczących o tym, by Mary Beth spotkała Daniela w owym wczesnym okresie. Zajmowała się już wówczas bardzo aktywnie interesami, ale rodzina zatrudniała dużą liczbę prawników i utrzymywała rozległe stosunki, a nic nie wskazuje na to, by Daniel kiedykolwiek odwiedził

dom przy ulicy Pierwszej. Niewykluczone, iż czuł się zażenowany związkiem z Julienem, i że miał nieco bardziej purytańskie podejście do tych spraw niż inni przyjaciele Juliana.

Z pewnością był jedynym z jego kochanków, o których cokolwiek wiemy, robiącym własną karierę zawodową.

W każdym razie, Daniel poznał Mary Beth w końcu 1897 roku. Wersja Richarda Llewellyna – według której do spotkania doszło w Storyville – jest jedyną, jaką słyszeliśmy. Nie wiemy, czy zakochali się w sobie, jak twierdził Llewellyn, czy też nie; możemy jednak stwierdzić, że Mary Beth i Daniel zaczęli pojawiać się razem przy okazji licznych wydarzeń towarzyskich.

Mary Beth liczyła sobie wtedy około dwudziestu pięciu lat i była ogromnie niezależna. Powszechnie wiadomo, że mała Belle – dziecko tajemniczego lorda Mayfaira ze Szkocji – ma niezbyt dobrze poukładane w głowie. Chociaż była słodką i przemiłą dziewczynką, nie potrafiła przyswoić sobie nawet najprostszyc rzeczy, a jej reakcje emocjonalne pozostały na poziomie pięcioletniego dziecka; tak przynajmniej twierdzili później kuzyni. Ludzie nie mogli się jednak zdecydować na użycie określenia „niedorozwinięta umysłowo”.

Nie było, oczywiście, tajemnicą, że Belle nie nadaje się na spadkobierczynię legatu, bowiem może nigdy nie wyjść za mąż. W owym czasie kuzyni często prowadzili otwarte dyskusje na ten temat.

Jeszcze jedna tragedia Mayfairów była tematem rozmów, a mianowicie zniszczenie przez rzekę plantacji w Riverbend.

Dom, wzniesiony przez Marie Claudette w końcu poprzedniego stulecia, wybudowano na występie łądu, wrzynającym się w rzekę. Około 1896 roku stało się jasne, że rzeka jest zdecydowana odebrać sobie z powrotem ów skrawek łądu. Próbowano wszystkiego, lecz nic nie dało się zrobić. Wybudowano groblę z tyłu domu, ale w końcu trzeba było opuścić budynek. Ziemię wokół niego stopniowo zalewała woda i nagle, w ciągu jednej nocy, dom

zapadł się w błoto. Po tygodniu zniknął bez śladu, jakby go nigdy tam nie było.

Mary Beth i Julien przyjęli to jako tragedię. Wiele mówiono o inżynierach, z którymi konsultowali się, usiłując odwrócić nieszczęście. Nie bez znaczenia była tu postawa Katherine; starzejąca się matka Mary Beth nie chciała przenieść się do Nowego Orleanu, do domu wybudowanego dla niej przed laty przez Darcy'ego Monahana.

W końcu trzeba było Katherine zmusić do przyjazdu do miasta. Jak już powiedziano wcześniej, nigdy nie wróciła do siebie po przeżytym szoku i wkrótce postradała zmysły. Błąkała się po ogrodzie posiadłości przy ulicy Pierwszej, rozmawiając przez cały czas z Darcym i rozglądając się za swoją matką, Marguerite; nieustannie wywracała też do góry dnem zawartość szuflad, w poszukiwaniu przedmiotów, które, jak twierdziła, jej zginęły.

Mary Beth niechętnie znosiła obecność matki; słyszano kiedyś jak powiedziała, przygotowując o wstrząs zajmującego się Marguerite lekarza, że z przyjemnością zrobi, co tylko się da, by pomóc swojej matce, ale że nie uważa tej kobiety ani jej stanu za „szczególnie interesujące” i szkoda, iż nie można jej podać jakiegoś „uciszającego” lekarstwa.

Obecny przy tym Julien naturalnie uznał to za bardzo zabawne i wybuchnął swoim charakterystycznym, wytrącającym z równowagi śmiechem. Rozumiał jednak, że doktor był zaszokowany i wyjaśnił mu, iż jedną ze wspaniałych zalet Mary Beth jest to, że zawsze, bez względu na konsekwencje, mówi prawdę.

Jeśli nawet podano Katherine „jakieś lekarstwo”, to nic nam o tym nie wiadomo. Około 1898 roku zaczęła włóczyć się po ulicach i trzeba było wynająć młodego służącego-Mulata, który chodził za nią krok w krok. Umarła w łóżku, w sypialni na tyłach domu przy ulicy Pierwszej, w 1905 roku; drugiego stycznia, żeby być dokładnym, i o ile nam wiadomo, jej śmierci nie upamiętniła żadna burza, ani w ogóle jakiegokolwiek nadzwyczajne wydarzenie. Według służby, stan śpiączki trwał wiele dni; Mary Beth i Julien byli przy niej w chwili śmierci.

15 stycznia 1899 roku, podczas uroczystości kolosalnych rozmiarów, która

odbyła się w kościele św. Alfonsa, Mary Beth poślubiła Daniela McIntyre. Warto zanotować, że aż do tamtej pory rodzina modliła się w Notre Dame (francuskim kościele w obrębie potrójnej parafii), lecz na ceremonię zaślubin wybrali kościół irlandzki. Odtąd zawsze chodzili na msze do św. Alfonsa.

Daniel wydawał się być w bardzo dobrych stosunkach z irlandzko-amerykańskimi księżmi; wspierał parafię hojnymi datkami. Miał też kuzynkę, które wstąpiła do irlandzko-amerykańskiego zakonu Sióstr Miłosierdzia i uczyła w tamtejszej szkole.

Możemy więc bezpiecznie założyć, że przeniesienie się do irlandzkiego kościoła było pomysłem Daniela. Niewykluczone, że Mary Beth odnosiła się do tego niemal obojętnie; chociaż chodziła do kościoła ze swoimi dziećmi i potomstwem bratanków, to nikt nie potrafi powiedzieć, w co z tego wszystkiego sama wierzyła. Julien nigdy nie brał udziału w nabożeństwie; chyba że z okazji uświęconych zwyczajem ceremonii ślubnych, pogrzebów i chrztów. Wydaje się, że on także wolał kościół św. Alfonsa od skromniejszej francuskiej Notre Dame.

Ślub Daniela i Mary Beth, był, jak już wcześniej wspomniano, wydarzeniem na wielką skalę. W domu przy ulicy Pierwszej wydano huczne przyjęcie, na które przybyli kuzyni aż z Nowego Jorku. Rodzina Daniela, dużo mniejsza niż ród Mayfairów, również była obecna. Wszystkie relacje są zgodne co do tego, że młodzi małżonkowie wyglądali na bardzo zakochanych i szczęśliwych; tańce i śpiewy trwały do późnej nocy.

Młoda para spędziła miodowy miesiąc w Nowym Jorku; stamtąd wyjechali do Europy, gdzie pozostali cztery miesiące, przerywając podróż w maju, gdy okazało się, że Mary Beth oczekuje dziecka.

Rzeczywiście, Carlotta Mayfair urodziła się w siedem i pół miesiąca od ślubu swoich rodziców, 1 września 1899 roku.

2 listopada następnego, 1900 roku, Mary Beth powiła Lionela, swojego jedyne go syna. I w końcu, 10 listopada 1901 roku, przyszła na świat Stella, ostatnie dziecko Mary Beth.

Wszystkie te dzieci uważano, oczywiście, za legalne potomstwo Daniela McIntyre; jednak na potrzeby niniejszej dokumentacji możemy nie bez przyczyny zapytać, kto naprawdę był ich ojcem?

Istnieją przytłaczające dowody, zarówno natury medycznej, jak i oparte na fotografiach, że sędzia Daniel McIntyre był ojcem Carlotty Mayfair. Carlotta nie tylko odziedziczyła kolor oczu Daniela, lecz także jego piękne, rudawoblond, kręcone włosy.

Jeśli chodzi o Lionela, to również miał tę samą grupę krwi, co Daniel McIntyre i również przypominał go z wyglądu. Wykazywał także pewne podobieństwo do matki; odziedziczył jej ciemne oczy i „wyraz twarzy”, co z biegiem lat stawało się coraz bardziej widoczne.

Co się tyczy Stelli, jej grupa krwi, określona podczas pobieżnego badania pośmiertnego, wyklucza ojcostwo Daniela. Wiemy, że informacja ta zainteresowała w owym czasie jej siostrę, Carlottę. W rzeczywistości, to właśnie pogłoski o zażądaniu przez Carlottę określenia grupy krwi Stelli zwróciły na tę sprawę uwagę Talamaski.

Nie trzeba zapewne dodawać, że Stella w niczym nie była podobna do Daniela. Przeciwnie, swoimi delikatnymi kośćmi, czarnymi wijącymi się włosami i bardzo błyszczącymi, jeśli nie roziskrzonymi oczyma przypominała Julię.

Nie znamy grupy krwi Julię i nic nie wiemy o tym, by kiedykolwiek została ona określona; nie możemy więc dodać do naszej dokumentacji tego skrawka informacji.

Stella mogła być dzieckiem któregoś z kochanków matki; chociaż nic nam nie wiadomo o tym, by zdradzała męża w roku poprzedzającym urodzenie Stelli. W rzeczywistości, plotki o „chłopcach Mary Beth” pojawiają się później; lecz może to być spowodowane tym jedynie, że z upływem lat Mary Beth zaczęła zachowywać się mniej ostrożnie.

Ojcem Stelli mógł być również Cortland Mayfair, drugi syn Julię, który

miał wówczas dwadzieścia dwa lata i był niezwykle pociągającym młodym mężczyzną. (Informację o jego grupie krwi uzyskaliśmy ostatecznie w 1959 roku. Nie wyklucza ona ojcostwa.) Mieszkał, z przerwami, przy ulicy Pierwszej i studiował w Hazardzie prawo, które ukończył dopiero w 1903 roku. Wszyscy dobrze wiedzieli o jego ogromnym przywiązaniu do Mary Beth; poza tym przez całe swoje życie nie stracił zainteresowania dla Mayfairów z dziedziczącej linii.

Nieszczęśliwie dla Talamaski, Cortland przez większą część swojego życia był bardzo dyskretnym i ostrożnym człowiekiem. Nawet jego bracia i dzieci uważali go za typ samotnika, który nie znośił, żeby jakiegokolwiek plotki rozprzestrzeniały się poza krąg rodziny. Uwielbiał czytać i uchodził za geniusza w inwestowaniu pieniędzy. O ile wiemy, nie zwierzał się nikomu. Nawet jego najbliżsi podają sprzeczne wersje, na temat tego, co Cortland zrobił, kiedy i dlaczego.

Jedynym aspektem jego życia, co do którego wszyscy mają pewność, jest oddanie, z jakim zarządzał legatem i zarabiał pieniądze dla siebie, swoich braci, dzieci, i dla Mary Beth. Potomkowie Cortlanda do dzisiaj należą do najbogatszych z klanu Mayfairów.

Kiedy Mary Beth umarła, to właśnie Cortland przeszkodził Carlocie w demontażu imperium finansowego, jakie stworzyła jej matka, przejmując administrację w imieniu Stelli. Stella, która była faktyczną spadkobierczynią, miała w nosie, co się dzieje z majątkiem, o ile tylko mogła robić to, na co miała ochotę.

Stelli, jak sama przyznała, nie obchodziły pieniądze. Wbrew życzeniom Carlotty, całkowicie powierzyła prowadzenie swoich interesów Cortlandowi. Po śmierci Stelli, Cortland i jego syn, Sheffield, nadal zarządzali większością majątku, w imieniu jej córki, Anthy.

Jednak powinniśmy tutaj podkreślić że, kiedy umarła Mary Beth, stworzone przez nią imperium zaczęło się rozpadać. Żaden człowiek nie mógł jej zastąpić. I pomimo że Cortland wykonał wspaniałą robotę, wzmacniając, inwestując i

zabezpieczając, to oszałamiająca ekspansja, odbywająca się za czasów Mary Beth, w zasadzie została zatrzymana.

Wracając do głównego przedmiotu naszych zainteresowań, istnieją również inne przesłanki ku temu, iż Cortland był ojcem Stelli. Jego żona, Amanda Grady Mayfair, żywiła głęboką niechęć do Mary Beth i do całej rodziny Mayfairów i nigdy nie zgodziła się towarzyszyć Cortlandowi podczas jego wizyt na ulicy Pierwszej. Nie powstrzymało to Cortlanda od ciągłych odwiedzin; zabierał ze sobą wszystkie pięcioro swoich dzieci tak często, że dorastając, zdołały całkiem dobrze poznać jego rodzinę.

Amanda odeszła ostatecznie od Cortlanda w 1935 roku, kiedy ich najmłodszy syn, Pierce Mayfair skończył Harvard, i opuściła na zawsze Nowy Orlean, wyjeżdżając do Nowego Jorku, gdzie zamieszkała ze swoją młodszą siostrą, Mary Margaret Grady Harris.

W 1936 roku Amanda powiedziała jednemu z naszych badaczy, niby przypadkowo spotkanemu na koktajlu, że rodzina jej męża jest zła; a jeśli powiedziałaby o nich prawdę, to ludzie pomyśleliby, że zwariowała; w żadnym wypadku nie pojedzie znowu na Południe, pomiędzy nich, bez względu na to, jak bardzo błagaliby ją synowie. Trochę później tego samego wieczoru, kiedy była już całkiem zalana, Amanda zapytała naszego badacza, którego nazwiska nie znała, czy wierzy, iż ludzie mogą zaprzedać duszę diabłu. Powiedziała, że zrobił to jej mąż, który jest teraz „bogatszy od Rockefellera”. Także jej synowie posiadali nie mniejszy majątek. „Oni wszyscy będą się smażyć w piekle, może pan być tego pewien”, dodała.

Kiedy nasz człowiek zapytał, czy rzeczywiście wierzy w takie rzeczy, dama odpowiedziała, iż we współczesnym świecie wciąż żyją ludzie, którzy mogą rzucać czary.

– Potrafią sprawić, że uwierzysz, iż jesteś gdzieś, gdzie cię nie ma i że widzisz coś, co wcale się tam nie znajduje. Zrobili to mojemu mężowi. A wiesz, dlaczego? Bo Cortland jest czarownicą, potężną czarownicą. Nie ma po co

zawracać sobie głowę takimi słowami jak magik. Co to ma za znaczenie. Ten człowiek jest czarownicą. Widziałam na własne oczy, co potrafi zrobić.

Zapytana wprost, czy mąż wyrządził jej kiedyś krzywdę, żona Cortlanda odpowiedziała (temu zupełnie obcemu człowiekowi), że nie, musi przyznać, iż nigdy nie zrobił jej nic złego. Chodzi o to, co tolerował u innych, w czym brał udział i w co wierzył. Po czym zaczęła płakać i powtarzać, że tęskni za Cortlandem i że nie chce więcej o tym rozmawiać.

– Powiem panu tyle – dorzuciła, kiedy nieco przyszła do siebie. – Jeśli zechciałabym, żeby mój mąż odwiedził mnie dziś wieczór, zrobiłby to. W jaki sposób, tego nie potrafię wytłumaczyć, lecz na pewno zmaterializowałby się w tym oto pokoju. Cała jego rodzina może robić takie rzeczy, doprowadzając tym innych do szaleństwa. Tak, ukazałby się w tym pokoju. Czasami pojawia się u mnie, kiedy tego nie chcę. I nie mogę nic zrobić, żeby zniknął.

W tym momencie Amanda została odbita przez swoją siostrzenicę i dalszy kontakt udało się nawiązać dopiero kilka lat później.

Jeszcze jedna okoliczność przemawia za istnieniem bliskich więzów pomiędzy Cortlandem i Stellą. Mianowicie, po śmierci Julienu, Cortland zabrał Stellę i jej brata, Lionela, do Anglii i do Azji, w podróż trwającą ponad rok. Cortland miał już w owym czasie pięcioro dzieci, które zostawił ze swoją żoną. To właśnie on wydaje się być inicjatorem wyprawy; wziął na siebie wszystkie przygotowania i znacznie przedłużył podróż, tak że całe towarzystwo wróciło do Nowego Orleanu faktycznie dopiero po osiemnastu miesiącach.

Po zakończeniu Wielkiej Wojny Cortland znowu opuścił swoją najbliższą rodzinę na ponad rok, by udać się ze Stellą w kolejną podróż. Wydaje się też, że we wszystkich rodzinnych sporach stawał po stronie tej dziewczyny.

Krótko mówiąc, z pewnością nie można uznać tych świadectw za decydujące, wskazują one jednak, iż Cortland mógł być ojcem Stelli. Ale z drugiej strony, pomimo swojego późnego wieku, mógł nim też być Julien. Tego nie wiemy.

W każdym razie, Stella, od momentu narodzin, stała się ulubienicą wszystkich. Z całą pewnością Daniel McIntyre wydawał się ją kochać, jakby była jego własną córką i jest całkiem możliwe, iż nigdy się nie dowiedział prawdy.

Nie wiemy nic szczególnego o najwcześniejszych latach trojga dzieci Mary Beth; przekazany przez Richarda Llewellyna wizerunek jest najdokładniejszym, jaki posiadamy.

Jednak gdy dzieci zaczęły podraastać, coraz częściej mówiono o waśniach; kiedy Carlotta w wieku czternastu lat poszła do szkoły Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego, wszyscy wiedzieli, że postępuje wbrew życzeniom Mary Beth, a także Daniela, który był tym załamany i pragnął, by jego córka przyjeżdżała do domu na częściej i dłużej. Carlotty nigdy nie uważano za szczęśliwe dziecko. Lecz zbieranie informacji na jej temat do dziś dnia przysparza trudności, bowiem Carlotta ciągle jeszcze żyje; nawet osoby, które znały ją pięćdziesiąt lat temu, wciąż się niezmiernie obawiają jej samej i posiadanych przez nią wpływów, więc i bardzo niechętnie mówią cokolwiek na jej temat.

Jedynie osoby najbardziej jej nienawidzące są skłonne o niej rozmawiać. Niewykluczone, że gdyby pozostali bali się mniej, moglibyśmy usłyszeć coś, co zrównoważyłoby obraz.

W każdym razie, błyskotliwość Carlotty podziwiano już, kiedy była dziewczynką. Zakonnice nazywały ją nawet „geniuszem”. Przez całą szkołę średnią mieszkała w internacie Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego; następnie, w bardzo młodym wieku poszła do szkoły prawniczej imienia Loyoli.

Tymczasem Lionel zaczął uczęszczać do szkoły dziennej dopiero gdy skończył osiem lat. Wydaje się, że był spokojnym, dobrze ułożonym chłopcem, który nigdy nie sprawiał nikomu żadnego kłopotu; prawdopodobnie też lubiano go. Zatrudniony na stałe wychowawca pomagał mu odrabiać lekcje; z czasem chłopiec stał się nadzwyczajnym uczniem. Ale nigdy nie miał przyjaciół poza

rodziną. Jedynymi pozaszkolnymi towarzyszami Lionela są jego kuzyni.

Historia Stelli jest, od samego początku, zupełnie odmienna. Według wszelkich relacji, była wyjątkowo uroczym i ujmującym dzieckiem. Miała miękkie, falujące czarne włosy i ogromne czarne oczy. Patrząc na liczne fotografie, zrobione pomiędzy 1902 i 1929 rokiem, trudno sobie wyobrazić, by mogła żyć w jakiegokolwiek innej epoce; tak bardzo pasowała do owych czasów, ze swoimi szczupłymi, chłopięcymi biodrami, odętymi czerwonymi usteczkami i obciętymi na pazia włosami.

Najwcześniejsze zdjęcia ukazują wizerunek słodkiej dziewczynki z reklam Mydła Gruszkowego; małej śnieżnoskórej uwodzicielki, wpatrującej się w widza pełnym uczucia, a jednocześnie figlarnym wzrokiem. Lecz w wieku osiemnastu lat przeistoczyła się już w Clarę Bow.

W noc swojej śmierci była, według licznych naocznych świadków, femme fatale o niezapomnianej magnetycznej sile; w krótkiej, obszytej frędzlami sukience i błyszczących pończochach tańczyła dzikiego charlestona; ogromne, podobne do klejnotów oczy rzucały ogień na każdego po kolei i na nikogo w szczególności. Uwaga wszystkich obecnych mężczyzn skupiała się wyłącznie na niej.

Kiedy Lionela wysłano do szkoły, Stella błagała, by jej także pozwolono rozpocząć naukę poza domem; tak przynajmniej sama opowiedziała zakonnicom ze Zgromadzenia Serca Jezusowego. Ale po trzech miesiącach od przyjęcia jej, jako przychodzącej uczennicy, została dyskretnie i nieoficjalnie wydalona. Powiedziano, że przeraża pozostałe dzieci. Umiała czytać w myślach i lubiła demonstrować ową zdolność; potrafiła odepchnąć człowieka, nie dotykając go; posiadała nieobliczalne poczucie humoru i wybuchała śmiechem za każdym razem, kiedy zakonnice mówiły coś, co uważała za jawne kłamstwo. Jej zachowanie upokarzało Carlottę, która nie potrafiła zapanować nad siostrą. Jednak, według wszelkich relacji, również Carlotta kochała Stellę i robiła wszystko, co mogła, żeby ją skłonić do przestrzegania form.

W tym świetle może nam się wydać zaskakujące, że siostry i dzieci z Serca Jezusowego właściwie lubiły Stellę. Wiele ówczesnych koleżanek wspomina ją z czułością i zachwytem.

Jeśli akurat nie miała ochoty na figle, była to „czarująca”, „słodka”, absolutnie „sympatyczna” i „najdroższa mała dziewczynka”. Lecz nikt nie był w stanie wytrzymać jej towarzystwa zbyt długo.

Stella chodziła następnie do Akademii Urszulańskiej; utrzymała się tam dostatecznie długo, by przystąpić do Pierwszej Komunii razem z całą klasą, ale bezpośrednio potem została wydalona, w ten sam, dyskretny i nieoficjalny sposób i mniej więcej z tych samych powodów. Tym razem, była wyraźnie zdruzgotana odesłaniem do domu; uważała, że szkoła jest niezwykle zabawna i nie chciała przez cały dzień szwendać się po pokojach i wysłuchiwać, że mama i wujek Julien są zajęci. Pragnęła się bawić z innymi dziećmi. Guwernantka irytowała ją. Wrywała się do miasta.

Stella chodziła jeszcze do czterech kolejnych prywatnych szkół, w żadnej nie utrzymując się dłużej niż przez trzy, do czterech miesięcy. W końcu trafiła do szkoły parafialnej św. Alfonsa, gdzie była jedyną uczennicą pośród dzieci irlandzko-amerykańskich proletariuszy, przywożoną codziennie na lekcje w packardzie, limuzynie prowadzonej przez szofera.

Siostra Bridget Marie – pochodząca z Irlandii zakonnica, która mieszkała w szpitalu Miłosierdzia Bożego w Nowym Orleanie do czasu, kiedy miała dziewięćdziesiąt lat – doskonale pamiętała dziewczynkę jeszcze po upływie pół wieku i w 1969 roku powiedziała narratorowi, że Stella Mayfair była, bez wątpienia, czymś w rodzaju czarownicy.

Po raz kolejny Stelli zarzucano czytanie w myślach; wybuchanie śmiechem, kiedy ktoś mówił kłamstwa; rzucanie w ludzi przedmiotami za pomocą samej siły woli i rozmawianie z niewidzialnym przyjacielem, „powiernikiem” jak mówiła siostra Bridget Marie, który spełniał rozkazy Stelli; odnajdywał między innymi zgubione rzeczy i sprawiał, by przedmioty fruwały w powietrzu.

Lecz Stella nie manifestowała swoich mocy bez przerwy. Często, przez długi czas, usiłowała zachowywać się poprawnie; lubiła czytanie, historię i angielski; uwielbiała bawić się razem z innymi dziewczynkami na szkolnym podwórku wychodzącym na ulicę św. Andrzeja; i bardzo lubiła siostry.

Zakonnice całkowicie poddały się urokowi Stelli. Wpuszczały ją do klasztornego ogrodu, żeby razem z nimi ścinała kwiaty, albo zabierały po lekcjach do rozmównicy, gdzie uczyły dziewczynkę haftu, do którego miała talent.

«Wie pan, do czego była zdolna? Każda zakonnica w tym klasztorze uważała Stellę za swoją specjalną małą przyjaciółkę. Zmuszała cię, żebyś w to wierzyła. Mówiła ci o swoich własnych, małych sekrecikach, jakby nigdy jeszcze nie wyjawiała ich żywej duszy. I wiedziała o tobie wszystko, nawet to, o czym nigdy nikomu nie powiedziałaś i rozmawiała z tobą o twoich tajemnicach i lękach, i rzeczach, z których zawsze chciałaś się komuś zwierzyć. I sprawiała, że czułaś się lepiej. A później, całe godziny później; a może całe dni – kiedy znowu o tym pomyślałaś – rozważałaś, jak to było, tak szeptać z nią, siedząc w ogrodzie i pojmowałaś, że to czarownica! Należała do diabła. Nie mogła być zdolna do niczego dobrego.

Ale nie była niegodziwa. To muszę o niej powiedzieć. Inaczej byłby z tej małej prawdziwy potwór. Bóg tylko wie, ile złego zdołałaby wyrządzić. Nie sądzę, by naprawdę chciała sprawiać komuś kłopoty. Ale czerpała dziwną przyjemność z posługiwania się mocami, które posiadała; jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Lubiła znać cudze tajemnice. Bawiło ją zdumienie w twoich oczach, kiedy mówiła, co ci się śniło poprzedniej nocy. Ach, i z jakim entuzjazmem zabierała się do pracy. Po całych dniach rysowała obrazki; i tak, przez całe tygodnie; a potem, nagle, rzucała kredki i nigdy już się ich nie dotykała. Albo haftowanie. Koniecznie musiała się tego nauczyć, wyszywała potem przepiękne rzeczy, denerwując się na siebie o każdą, najmniejszą pomyłkę, dopóki wreszcie nie rzuciła igły i nie skończyła z tym, raz na zawsze.

Nigdy nie widziałam bardziej zmiennego dziecka. Jakby poszukiwała czegoś, czemu mogłaby się oddać bez reszty; ale nigdy tego nie znalazła. Przynajmniej nie wtedy, kiedy ją znałam jako dziewczynkę.

Ale było coś, co lubiła robić i co jej nigdy nie nudziło; mianowicie opowiadać koleżankom historyjki. Zbierały się wokół niej podczas dużej przerwy i słuchały z otwartymi buziami, dopóki nie zadzwonił dzwonek. Mówiła o duchach ze starych domów na plantacjach pełnych straszliwych tajemnic; o podstępnych morderstwach; o voodoo uprawianym na wyspach, przed wielu laty. Znała też historie o piratach, o, te były najgorsze. Stanowczo, wstrząsające. A wszystko to brzmiało jak najprawdziwsza prawda, kiedy słuchałaś Stelli, chociaż wiedziałas, że musi to zmyślać. Cóż mogła wiedzieć o tym, co myślały i czuły nieszczęsne dusze, na jakimś porwanym galeonie, tuż przedtem, zanim okropni piraci kazali im maszerować z zawiązanymi oczyma po desce wystawionej za burtę?

Powiem panu coś, niektóre z tych jej opowieści były ogromnie interesujące i zawsze chciałam zapytać o nie kogoś; wie pan, kto czytał książki i naprawdę dobrze znał historię.

Ale dziewczynkom śniły się potem koszmary i, jakże mogłoby być inaczej, rodzice przychodzili zapytać: „No, siostró, proszę mi powiedzieć, od kogo moja mała mogła usłyszeć takie rzeczy!?”

Wzywaliśmy zawsze wtedy Mary Beth i prosiliśmy: „Niech pani ją zatrzyma w domu przez kilka dni”. Bo tak właśnie było ze Stellą. Nie mogłaś wytrzymać jej obecności, dzień po dniu. Nikt nie mógł.

Dzięki Bogu, że niekiedy nudziła ją szkoła i znikwała sama, na całe miesiące. Czasami nie było jej tak długo, że już myślałyśmy, iż w ogóle nie wróci. Słyszałyśmy, że wariuje jak dzika, po ulicy Pierwszej i Kasztanowej, razem z dziećmi służących; i że z czarnym jak węgiel synem kucharki buduje ołtarz voodoo; dochodziłyśmy do wniosku, że, cóż, ktoś powinien przejść się do Dzielnicy Ogrodów i porozmawiać o tym z Mary Beth.

I oto, patrzcie, pewnego ranka; mogła być wtedy dziesiąta – to dziecko nigdy nie zawracało sobie głowy, o której godzinie zaczynają się lekcje – na rogu ulicy Konstancji i św. Andrzeja, pojawia się limuzyna i wychodzi z niej Stellą, w swoim małym mundurku, skończona laleczka, jeśli potrafi pan to sobie wyobrazić, z ogromną, wspaniałą kokardą we włosach. I cóż to ma ze sobą, jeśli nie worek kolorowo zapakowanych prezentów dla każdej z sióstr; wszystkie je znała po imieniu; i uściski dla każdej z nas, a jakże, może pan być pewien. „Siostró Bridget Marie”, szeptała do ucha, „stęskniłam się za Tobą”. A ja, nie ma co, otwierałam pudełko, i znajdowałam – mogę panu powiedzieć, że było tak niejednym razem – jakiś drobiazg, którego pragnęłam z całego serca. Jakże, kiedyś przyniosła mi maleńkie Dzieciątko Jezus z Pragi, całe ubrane w jedwab i atłas; a kiedy indziej, prześliczny różaniec z kryształu i srebra. Ach, cóż to było za dziecko! Cóż za przedziwne dziecko!

Wola boska, że w późniejszych latach przestała przychodzić do nas. Miała zawsze guwernantkę, która ją uczyła i myślę, że znudziła się św. Alfonsem. Mówili, że szofer zawozi ją, gdzie tylko zechce. Lionel także nie uczęszczał do średniej szkoły, o ile sobie przypominam. Zaczął rozbijać się wszędzie ze Stellą. Zdaje się, że to było mniej więcej wtedy, albo trochę później, kiedy umarł Monsieur Julien.

Och, jakże to dziecko płakało na jego pogrzebie. Nie poszłyśmy, oczywiście, na cmentarz; żadna z sióstr nie chodziła na cmentarz w tamtych dniach. Ale byłyśmy na mszy i widziałyśmy małą Stellę; łkała w kościelnej ławce, a Carlotta tuliła ją do siebie. Wie pan, kiedy Stella umarła, mówili, że starsza siostra nigdy jej nie lubiła. Ale Carlotta nie była niedobra dla małej. Nigdy. I pamiętam, jak w czasie mszy za spokój duszy pana Julienu, Carlotta przytulała swoją siostrzyczkę, a Stella, po prostu, płakała i płakała, i płakała, bez końca.

Panna Mary Beth jakby popadła w jakiś trans. W jej oczach był głęboki smutek, kiedy szła za trumną. Obok niej dreptały dzieci, ale patrzyła nieobecny wzrokiem. Oczywiście, Daniela McIntyre nie było przy niej, a

jakże! Sędzia nigdy nie zjawiał się, kiedy żona go potrzebowała; tak przynajmniej słyszałam. W chwili śmierci starego Monsieur Juliena był pijany do nieprzytomności, nie zdołali go nawet ocucić, chociaż potrząsali nim i wylali mu na głowę wiadro zimnej wody, i wyciągnęli z łóżka, usiłując postawić na nogi. A w dniu pogrzebu nigdzie go nie było widać. Słyszałam później, że przywieźli go do domu z tawerny przy ulicy Sklepowej. To cud, że udało mu się tak długo pożyć.»

Opinię siostry Bridget Marie, iż Carlotta darzyła swoją siostrę miłością, potwierdza wielu świadków; chociaż, oczywiście, Richard Llewellyn by się z tym nie zgodził. Istnieje kilka relacji o pogrzebie Juliena, i wszystkie z nich wspominają, że Carlotta przytulała swoją siostrę, a nawet ocierała jej łzy.

W następnych miesiącach po śmierci wuja Lionel zupełnie porzucił szkołę i razem ze Stellą, Cortlandem i Barclayem, wyjechał do Europy. Przepłynęli Atlantyk na pokładzie luksusowego liniowca, zaledwie kilka miesięcy przed wybuchem Wojny Światowej.

Ponieważ podróżowanie po kontynencie europejskim okazało się niemal niemożliwe, towarzystwo spędziło kilka tygodni w Szkocji, zwiedzając zamek Donnelaith, a następnie wyruszyło w bardziej egzotyczne strony. Ze znacznym ryzykiem przedostali się do Afryki, spędzili nieco czasu w Kairze i Aleksandrii, a następnie udali się do Indii, zewsząd wysyłając do domu kolejne niezliczone skrzynie z dywanami i rzeźbami.

W 1915 roku Barclay, tęskniący boleśnie za swoją rodziną i zmęczony podróżą, opuścił troje pozostałych i wyruszył w niebezpieczną drogę powrotną do Nowego Jorku. Dopiero co, niemieckie łodzie podwodne zatopiły *Lusitanię*. Niepokojąca się o bezpieczeństwo Barclaya rodzina wstrzymywała oddech, ale nie minęło dużo czasu, nim pojawił się w domu przy ulicy Pierwszej, przywożąc fantastyczne opowieści.

Sześć miesięcy później, kiedy Cortland, Stella i Lionel postanowili wrócić do domu, warunki były niewiele lepsze. Mimo to, luksusowe liniowce nadal

przeplływały Atlantyk, nie bacząc na wszelkie zagrożenia. Nasze trio zdołało odbyć podróż, unikając nieszczęśliwych wypadków i przybyło do Nowego Orleanu tuż przed Bożym Narodzeniem 1916 roku.

Stella miała wówczas piętnaście lat.

Na zdjęciu zrobionym w owym roku Stella nosi szmaragd Mayfairów. Wszyscy wiedzieli, iż została wyznaczona spadkobierczynią legatu. Wydaje się, że Mary Beth była z córki niezwykle dumna i z racji jej wędrówek, nazywała ją „nieustraszoną”. Choć niewątpliwie rozczarował matkę Lionel, który nie chciał wrócić do szkoły i nie myślał o studiach w Harvardzie, to chyba akceptowała wszystkie swoje dzieci. Carlotta korzystała z własnego apartamentu w jednej z przybudówek i codziennie, prowadzoną przez szofera limuzyną, jeździła na Uniwersytet imienia Loyoli.

Każdy, kto przechodził wieczorem ulicą Kasztanową, mógł zobaczyć przez okna rodzinę, siedzącą przy kolacji; olbrzymie, zawsze ciągnące się do późna zgromadzenie, obsługiwane przez wielu kelnerów.

Lojalność Mayfairów względem swoich krewnych utrudnia nam bardzo ustalenie, co naprawdę myśleli o Stelli, albo co wiedzieli o jej szkolnych kłopotach.

W owym czasie pojawiają się już w naszych aktach liczne wzmianki o Mary Beth, mówiącej swoim służącym, niemal obojętnie, że Stella jest jej spadkobierczynią, albo że „to Stella wszystko odziedziczy”, a nawet nadzwyczaj interesująca uwaga – jedna z najciekawszych w całej naszej dokumentacji – zacytowana dwukrotnie i poza kontekstem, że *Stella widziała tego mężczyznę*.

Nie mamy żadnych danych, by Mary Beth kiedykolwiek wyjaśniła owe dziwne słowa. Poinformowano nas jedynie, że wypowiedziała je do praczki, Mildred Collins, i do irlandzkiej pokojówki, Patricii Develin. Historia ta dotarła do nas z trzeciej ręki. Rozumiemy też, że potomkowie obu kobiet nie zgadzają się co do tego, co słynna panna Mary Beth miała na myśli, czyniąc tę uwagę. Jedna z osób uważa „owego mężczyznę” za diabła; inna, że jest to „duch”

prześladujący rodzinę od setek lat.

W każdym razie, wydaje się jasne, że Mary Beth robiła te, raczej bezceremonialne, uwagi w chwilach szczerości ze służbą; odnosimy wrażenie, że być może w momencie szczególnego porozumienia mówiła im coś, z czego nie mogła, albo nie chciała zwierzyć się ludziom ze swojej własnej sfery.

Niewykluczone też, że Mary Beth powiedziała coś podobnego również innym osobom, bowiem w latach dwudziestych mieszkańcy rejonu Przy Kanale wiedzieli o „mężczyźnie”. Rozmawiali o nim. Zasięg owego rzekomego „przesądu” na temat kobiet z rodziny Mayfair – że posiadają one tajemniczego „męskiego ducha czy sprzymierzeńca” pomagającego im w uprawianiu voodoo, czarach i sztuczkach – jest zbyt wielki, by tłumaczyły go tylko te dwa źródła.

Oczywiście, mamy tu niedwuznaczną aluzję do Lashera, która prowadzi do niepokojących implikacji; i znowu musimy sobie uświadomić jak mało, w rzeczywistości, rozumiemy, kim były Czarownice Mayfair i co, żeby tak powiedzieć, odbywało się między nimi.

Na przykład, czy jest możliwe, by każda kolejna spadkobierczyni legatu musiała zmanifestować swoją moc poprzez niezależne zobaczenie owego mężczyzny? To znaczy, czy musiała go zobaczyć, kiedy była sama i z dala od innej czarownicy, która mogłaby spełniać funkcję kanału; i czy wymagano od niej, aby z własnej woli opowiedziała o tym, co widziała?

Po raz kolejny musimy wyznać, że nie jesteśmy w stanie odpowiedzieć na te pytania.

Wiemy tylko, że ludzie, którzy słyszeli o „mężczyźnie” i rozmawiali o nim, najwyraźniej nie kojarzyli go z żadną ciemnowłosą, antropomorficzną postacią widzianą przez nich osobiście. Nie łączono nawet tego „mężczyzny” z tajemniczą istotą, ujrzaną kiedyś razem z Mary Beth w dorożce; historie te pochodzą bowiem z zupełnie innych źródeł i, o ile wiemy, nie zostały nigdy zestawione przez nikogo oprócz nas.

Podobnie rzecz się ma z dużą częścią materiału dotyczącego Mayfairów.

Pojawiających się w późniejszym okresie wzmianek o tajemniczym, ciemnowłosym mężczyźnie, widywanym na ulicy Pierwszej, nigdy nie skojarzono z wcześniejszymi opowieściami o tym „mężczyźnie”. Faktycznie, nawet osoby, które słyszały o nim, i które później widziały w pobliżu domu, anonimowego, ciemnowłosego człowieka, nie dostrzegły związku między tymi dwoma faktami i sądziły, że ów jegomość jest po prostu kimś obcym lub nie znanym im krewnym.

Proszę zwrócić uwagę na wypowiedź siostry Bridget Marie, którą w 1969 roku zapytałem wprost o „mężczyznę”:

„Ach, o to panu chodzi. Był to niewidzialny towarzysz, który kręcił się wokół dziewczynki, w dzień i w noc. Ten sam demon, mogłabym dodać, co później towarzyszył jej córce Ancie, zawsze gotów na jej rozkazy. A później był przy biednej małej Deirdre, najśladziej i najniewinniejszej z nich wszystkich. Proszę mnie nawet nie pytać, czy kiedykolwiek widziałam tę istotę na własne oczy. Bówiem, Bóg mi świadkiem, nie mam pojęcia, czy go widziałam; ale powiem panu, tak jak mnóstwo razy mówiłam księdzu, wiedziałam, kiedy tam był!”

Jest jednak bardzo prawdopodobne, że w owym czasie Lasher nie miał specjalnej ochoty ukazywać się osobom spoza rodziny. I z pewnością, nie posiadamy ani jednej relacji świadczącej, by w ogóle pokazał się umyślnie komukolwiek; jak już wcześniej zauważyłem, zaledwie kilka takich przekazów pojawi się później.

Ale wróćmy do chronologii. Po śmierci Julienu Mary Beth osiągnęła szczyt swoich sukcesów i wpływów finansowych; tak jakby odejście Julienu dodało jej rozpędu. Przez jakiś czas plotkowano, iż jest „nieszczęśliwa”. Ale nie trwało to długo. Wydaje się, że jej charakterystyczny spokój powrócił na dobre, jeszcze zanim jej dzieci przyjechały z powrotem z zagranicy.

Wiemy, że miała gorzką i krótką awanturę z Carlottą, przed jej przystąpieniem do firmy prawniczej Byrnes, Brown & Blake, w której pracuje

do dzisiaj. W końcu jednak Mary Beth zaakceptowała decyzję córki, która postanowiła pracować „poza rodziną”; całkowicie odnowiono też mały apartament Carlotty, nad stajnią, gdzie mieszkała potem przez długie lata, wchodząc i wychodząc bez konieczności przechodzenia przez dom.

Wiemy także, że Carlotta codziennie jadła posiłki razem z matką – śniadanie, rano na tarasie z tyłu domu, jeśli pozwalała na to pogoda i kolację w jadalni, o siódmej wieczór.

Gdy ją pytano, dlaczego nie weszła do firmy Mayfair & Mayfair razem z synami Julienna, Carlotta odpowiadała na ogół, krótko i sztywno, że chciała być niezależna.

Od samego początku swojej kariery zasłynęła jako błyskotliwy prawnik; nigdy nie pragnęła jednak występować w sądzie i do dziś dnia pracuje w cieniu zatrudnionych tam mężczyzn.

Osoby niezyczliwe twierdzą, iż jest ona jedynie wychwalaną pod niebiosa kancelistką. Ale przychylniejsze świadectwa wskazują na to, że stała się kręgosłupem Byrnes, Brown & Blake; że to ona wie zawsze o wszystkim, a po jej śmierci firma będzie miała trudności ze znalezieniem kogoś, kto mógłby zająć miejsce Carlotty.

Wielu prawników z Nowego Orleanu oddaje jej sprawiedliwość, mówiąc że nauczyła ich więcej, niż wykładowcy i tomy podręczników przeczytanych na studiach. Jednym słowem, można by powiedzieć, iż rozpoczęła, i kontynuuje swoją karierę, jako kompetentny i błyskotliwy prawnik od spraw cywilnych, posiadający także kolosalną i absolutnie niezawodną znajomość prawa gospodarczego.

Pomijając utarczki z Carlottą, życie Mary Beth biegło dalej łatwym do przewidzenia kursem, niemal do samego końca. Wydaje się, że nawet pijaństwo Daniela McIntyre nie przytłaczało jej zbyt.

Jak twierdzi rodzinna legenda, Mary Beth w ostatnich latach życia odnosiła się do męża z niezwykłą czułością.

* * *

DALSZY CIĄG HISTORII MARY BETH I STELLI

Mary Beth nadal pozostała wierna trzem głównym pasjom swojego życia; czerpała również sporo przyjemności z błazenad swojej córki – Stelli, która w wieku szesnastu lat nieustannie dostarczała powodów zgorszenia nowo orleańskiemu towarzystwu, brawurowo prowadząc samochód, pijąc w nielegalnych spelunkach czy też tańcząc do świtu.

Przez osiem lat Stella prowadziła życie beztroskiej panienki; młodej, lekkomyślnej południowej piękności, całkowicie wolnej od trosk o interesy, zamążpójście czy przyszłość. I o ile Mary Beth była najspokojniejszą i najbardziej tajemniczą czarownicą, jaką kiedykolwiek wydała rodzina, to Stella wydaje się osobą nie przejmującą się niczym, nieposkromioną i pełną ekstrawagancji; jedyną czarownicą Mayfair, której nie interesowało nic, oprócz „dobrej zabawy”.

Rodzinną legenda opowiada, iż Stellę nieustannie zatrzymywano za przekraczanie prędkości i zakłócanie porządku publicznego śpiewem i tańcami na ulicach; że „panna Carlotta zawsze wszystko załatwiała” i zabierała siostrę z aresztu do domu. Istnieją też pewne plotki, według których zachowanie „siostrzenicy” zaczęło w końcu irytować Cortlanda, który zażądał, żeby zaczęła się dobrze prowadzić i poświęcać więcej uwagi swoim „obowiązkom”. Stelli jednak pieniądze i interesy nie obchodziły w najmniejszym stopniu.

Sekretarka firmy Mayfair & Mayfair opisała, z barwnymi szczegółami, jedną z wizyt Stelli w biurze, gdzie zjawiała się ubrana w szykowne futro i pantofle na bardzo wysokich obcasach, z butelką przemycanej whisky owiniętą w brązowy papier, z której popijała przez cały czas spotkania; każde z zabawnych prawniczych wyrażen, jakie odczytywano w związku z zawieraną transakcją, wywoływało salwę jej dzikiego śmiechu.

Cortland wydawał się oczarowany, ale także nieco znużony. W końcu poradził dobrotliwie Stelli, żeby poszła sobie na lunch i jemu zostawiła zajęcie się całą sprawą.

Jeżeli w ogóle istniał w tamtym okresie ktokolwiek, poza Carlottą Mayfair, kto nie uważał Stelli za osobę „czarującą” i „atrakcyjną”, to w każdym razie, nigdy o kimś takim nie słyszeliśmy.

W 1921 roku okazało się, że Stella jest w ciąży, ale z kim, tego się nikt nigdy nie dowiedział. Mógł to być Lionel; rodzinna legenda wyraźnie wskazuje, że wówczas właśnie jego wszyscy podejrzewali.

W każdym razie, Stella ogłosiła, że nie potrzebuje męża; małżeństwo, jako takie, w ogóle jej nie interesuje; urodzi swoje dziecko, z całą stosowną pompą, i jest absolutnie zachwycona perspektywą zostania matką. Dziecku da na imię Julien, jeśli to będzie chłopiec, lub Antha, jeśli to będzie dziewczynka.

Antha, zdrowa, ważąca cztery kilo dziewczynka, przysłała na świat w listopadzie 1921 roku. Testy krwi wskazują, że Lionel mógł być jej ojcem. Lecz Antha w żaden sposób nie przypominała Lionela, o czymkolwiek mogłoby to świadczyć; i po prostu, coś nie pasuje w wizerunku Lionela, jako ojca. Lecz wrócimy to tego w innym miejscu.

W 1922 roku, kiedy Wielka Wojna była już zakończona, Stella oświadczyła, że wybiera się w podróż po kontynencie europejskim, której wcześniej nie chciała odbyć. Zabrała ze sobą niańkę do dziecka, opornego Lionela (który studiował z Cortlandem prawo i zupełnie nie miał ochoty wyjeżdżać) i Cortlanda, zachwyconego urlopem od zajęć w firmie, chociaż jego żonie bardzo się to nie podobało; całe towarzystwo wyruszyło do Europy pierwszą klasą i spędziło tam okrągły rok, wędrując gdzie oczy poniosą.

Stella była wówczas niezwykle piękną, młodą dziewczyną, słynącą z tego, że robi wszystko, na co jej przyjdzie ochota. Cortland, w miarę jak się starzał, coraz bardziej przypominał swojego ojca, Julięna; z tą różnicą, że jego włosy pozostały czarne, aż do końca długiego życia. Na fotografiach z lat

dwudziestych naszego wieku Cortland jest szczupłym, przystojnym mężczyzną. Wielokrotnie zwracano uwagę na podobieństwo łączące go ze Stellą.

Według plotek przekazanych przez potomków Cortlanda, Grand Tour był, od początku do końca, pijacką włóczęgą. Przez całe tygodnie z rzędu, Stella i Lionel grali w kasynach Monte Carlo. Zaliczali luksusowe hotele jak Europa długa i szeroka, muzea i antyczne ruiny, często z butelką burbona, owiniętą w brązowy papier, w ręku. Do dzisiaj wnukowie Cortlanda wspominają jego listy do domu, zawierające pełne humoru opisy błazeństw. Nadchodziły niezliczone prezenty dla żony Cortlanda, Amandy, i ich synów.

Legenda rodzinna opowiada również, że towarzystwo spotkała w czasie podróży pewna tragedia. Piastunka, towarzysząca im dla opieki nad dzieckiem, przechodziła we Włoszech jakieś „załamanie nerwowe” i miała niefortunny upadek ze Schodów Hiszpańskich w Rzymie. Zmarła w szpitalu, w kilka godzin później.

Dopiero ostatnio udało się jednemu z naszych badaczy rzucić pewne światło na to wydarzenie, dzięki odnalezieniu w szpitalu Świętej Rodziny w Rzymie napisanej po włosku pojedynczej notatki.

Kobieta nazywała się Bertha Marie Becker. Udało nam się sprawdzić, że była pół Niemką, pół Irlandką, urodzoną Przy Kanale w Nowym Orleanie, w 1905 roku. Przyjęto ją do szpitala z ciężkimi obrażeniami głowy i po kilku godzinach zapadła w śpiączkę, z której miała się już nigdy nie obudzić.

Ale zanim to się stało, dziewczyna zdążyła sporo nagadać mówiącemu po angielsku lekarzowi, którego wezwano do opieki nad nią, i znającemu również język angielski księdzu, który nadszedł nieco później.

Mówiła, że Stella, Lionel i Cortland są „złymi czarownicami”; że rzucili na nią zaklęcie; i że towarzyszy im w podróży „duch”, niegodziwy ciemny mężczyzna, który pojawia się u kołyski Anthy o każdej godzinie dnia i nocy. Powiedziała też, że przychodzi on na wezwanie dziecka, które śmieje się z zachwytem, kiedy ów nieznajomy staje przy niej; że nie chciał, żeby Bertha go

widziała i dlatego podstępnie zepchnął ją z Hiszpańskich Schodów.

Lekarz i ksiądz zgodzili się, że Bertha, niepiśmienna służąca, postradała zmysły. Rzeczywiście, notatkę kończy uwaga doktora, iż pracodawcy dziewczyny, łaskawi zamożni ludzie, którzy nie szczydzili wydatków, by zmniejszyć cierpienia nieszczęsnej, byli załamani pogorszeniem się jej stanu, a kiedy umarła zarządzili, by przewieziono ciało do domu.

O ile wiemy, nikt w Nowym Orleanie nie słyszał tej historii. W owym czasie żyła jedynie matka dziewczyny, która najwyraźniej nie widziała niczego podejrzanego w śmierci Berthy, po upadku ze schodów. Jako odszkodowanie za stratę córki otrzymała od Stelli olbrzymią sumę pieniędzy, o czym potomkowie rodziny Becker opowiadali jeszcze w 1955 roku.

Najciekawsze w owej historii jest to, iż ciemny mężczyzna to niewątpliwie Lasher. Oprócz pojedynczej relacji o tajemniczym dżentelmenie, widzianym z Mary Beth w dorożce, jest to pierwsza dwudziestowieczna wzmianka na jego temat.

W istocie, szczególnie godne uwagi w tej historii jest twierdzenie niańki, iż jej mała podopieczna potrafiła wywołać pojawienie się owego mężczyzny. Można się zastanawiać, czy Stella miała jakąkolwiek kontrolę nad sytuacją. I co mogła o tym myśleć Mary Beth? I znowu, tego nigdy się nie dowiemy. Biedna Bertha Marie Becker musiała połknąć tę pigułkę zupełnie sama; tak w każdym razie wynika z zachowanych świadectw.

Mimo owej tragedii, towarzystwo nie przerwało podróży. Cortland opisał całą sprawę w „smutnym liście” do żony i synów wyjaśniając, że wynajęli „uroczą Włoszkę”, która opiekuje się Anthą o wiele lepiej, niż kiedykolwiek udało się to świętej pamięci Bercie.

Owa włoska kobieta, która miała wówczas trzydzieści parę lat i nazywała się Maria Magdalena Gabrielli, wróciła z podróży razem z rodziną i pozostała piastunką Anthy aż do czasu, kiedy dziewczynka ukończyła dziewięć lat.

Nie wiemy, czy kiedykolwiek widziała Lashera. Do samej śmierci mieszkała

w domu przy ulicy Pierwszej i, o ile nam wiadomo, nigdy nie rozmawiała z nikim spoza rodziny. Według krążącej wśród kuzynów legendy, była bardzo wykształcona, czytała i pisała po angielsku oraz francusku, tak jak po włosku i miała „skandaliczną przeszłość”.

W 1923 roku, kiedy trio przybyło do Nowego Jorku, Cortland odłączył się w końcu od towarzystwa, a Stella i Lionel, razem z Anthą i jej piastunką, pozostali w Greenwich Village, gdzie Stella nawiązała przyjaźnie z wieloma intelektualistami i artystami, a nawet sama namalowała kilka obrazów, o których zawsze mówiła, że są „okropne”, pisała „szmirę” oraz rzeźbiła „absolutne szkaradzieństwa”. W końcu zaprzestała tych prób i oddawała się po prostu przyjemności obcowania z prawdziwie twórczymi osobami.

Wszystkie źródła nowojorskich plotek twierdzą jednogłośnie, iż Stella była niezmiernie hojna. Rozdawała pokaźne „datki” różnym malarzom i poetom. Jednemu z nie posiadających grosza przyjaciół kupiła maszynę do pisania; drugiemu sztalugi; a pewnemu staremu dżentelmenowi, poecie, podarowała nawet samochód.

W tym czasie Lionel wznowił swoje studia i zajmował się prawem konstytucyjnym pod kierunkiem jednego z nowojorskich Mayfairów (potomka Claya Mayfaira, który przyłączył się do firmy prawniczej założonej przez potomków Lestana). Sporo czasu spędzał również w muzeach Nowego Jorku i często ciągnął Stellę na przedstawienia operowe, które zaczynały ją nudzić; na koncerty symfoniczne, które podobały jej się niewiele bardziej i do baletu, który autentycznie lubiła.

Legenda rodzinna zamieszkałych na Wschodnim Wybrzeżu Mayfairów (dopiero teraz dla nas dostępna, bowiem w owym czasie nikt nie zechciał na ten temat mówić) przedstawia Lionela i Stellę, jako absolutnie czarujące i zupełnie beztroskie osoby, o niewyczerpanej energii, jeśli chodzi o rozrywkę, które często zrywały ze snu innych członków rodu, pukając nad ranem do ich drzwi.

Na dwóch fotografiach zrobionych w Nowym Jorku, Stella i Lionel tworzą

szczęśliwy, uśmiechnięty duet. Lionel był przez całe życie szczupłym mężczyzną, który odziedziczył, jak już wspomniano, niezwykle zielone oczy i blond włosy o marchewkowym odcieniu sędziego McIntyre. Niczym nie przypominał Stelli; osoby, które ich znały, niejednokrotnie zauważały, iż nowi znajomi byli często zaszokowani odkrywając, że Lionel i Stella to brat i siostra; sądzono, iż łączą ich zupełnie inne relacje.

Nie wiemy nic o tym, by Stella miała jakiegoś szczególnego kochanka. Nigdy nie kojarzono jej z konkretną osobą (przynajmniej jeszcze wtedy), z wyjątkiem Lionela, chociaż uważano powszechnie, że Stella nie zważa absolutnie na nic, kiedy idzie o obdzielanie względami młodych mężczyzn. Posiadamy na ten temat relacje o dwóch różnych młodych artystach, którzy zakochali się namiętnie w Stelli, ale ona nie zgodziła się, by „krępowano jej swobodę”.

Wszystko, co wiemy o Lionelu, podtrzymuje wrażenie, że był człowiekiem cichym i lubiącym trzymać się nieco z boku. Uwielbiał przyglądać się, jak Stella tańczy, śmieje się i flirtuje z przyjaciółmi. Sam również lubił z nią tańczyć; robił to często i umiejętnie; zdecydowanie jednak pozostawał w jej cieniu. Wydawało się, że czerpie od Stelli swoje siły witalne. Kiedy nie było jej w pobliżu, przypominał „lustro bez odbicia”. Z trudem można było zauważyć jego obecność.

Istnieją pogłoski, że Lionel, w czasie pobytu w Nowym Jorku, pisał powieść; że był zupełnie nieodporny na docinki na ten temat; pewien starszy powieściopisarz zniszczył jego wiarę w siebie, nazywając spłodzone dzieło „stkiem bredni”.

Ale z innych źródeł dowiadujemy się tylko, że Lionel czerpał radość i satysfakcję z kontaktów ze sztuką i, jak długo nikt nie stanął pomiędzy nim i Stellą, miał się „po prostu świetnie”.

W końcu, w 1924 roku, Stella, Lionel, mała Antha i jej opiekunka, Marie, wrócili do Nowego Orleanu. Mary Beth wyprawiła w domu przy ulicy Pierwszej

ogromne przyjęcie rodzinne, do dzisiaj wspominane ze smutkiem, jako ostatnia impreza, która odbyła się, zanim Mary Beth zachorowała.

Przy tej okazji wydarzyło się coś bardzo dziwnego.

Jak już wspomiano, w Nowym Orleanie pracowała dla Talamaski grupa „sekretnych oczu” – zawodowych detektywów, którzy nigdy nie pytali, dlaczego zlecono im zbieranie informacji dotyczących określonej rodziny czy domu. Jeden z owych tajnych agentów, specjalizujący się w sprawach rozwodowych, już dawno dał znać eleganckim pracowniom fotograficznym w Nowym Orleanie, że dobrze zapłaci za każde, nie odebrane zdjęcie rodziny Mayfairów, a szczególnie tych jej członków, którzy mieszkają przy ulicy Pierwszej.

Jednego z fotografów, Nathana Branda, właściciela modnego atelier przy Alei św. Karola, wezwano podczas owego wielkiego przyjęcia powitalnego do rezydencji w Dzielnicy Ogrodów, by w czasie całego popołudnia zrobił serię zdjęć Mary Beth, Stelli i Anthy, a także innych Mayfairów; w ten sam sposób, w jaki fotografuje się zwykle gości weselnych.

Kiedy po tygodniu przyniósł gotowe odbitki, by Mary Beth i Stella zdecydowały, które z nich chcą, panie wybrały sporą ilość, a resztę odłożyły na bok.

I wtedy Stella odszukała wśród odrzuconych zdjęć, jedno – zbiorową fotografię jej samej z matką i córką, na której Mary Beth przytrzymuje wielki naszyjnik ze szmaragdem wokół szyi małej Anthy. Na odwrocie Stella napisała:

„Dla Talamaski od kochającej Stelli! PS Inni także obserwują.” i oddawszy zdjęcie fotografowi, zanosząc się kaskadami śmiechu, wyjaśniła mu, że jego znajomy będzie wiedział, co znaczą te słowa.

Fotograf był zakłopotany; oświadczył, że jest niewinny; następnie zaczął się tłumaczyć ze swojej umowy z detektywem; lecz bez względu na to, co mówił, Stella tylko się śmiała. W końcu powiedziała, w ogromnie czarujący i uspokajający sposób: „Panie Brand, goni pan w piętke. Proszę po prostu przekazać to zdjęcie temu detektywowi”. I to właśnie pan Brand uczynił.

Dotarło do nas miesiąc później. I miało odegrać rozstrzygającą rolę w zmianie naszego podejścia do rodziny Mayfairów.

W owym czasie żaden szczególny członek Talamaski nie był wyznaczony do prowadzenia śledztwa w sprawie Czarownic Mayfair; w miarę napływu informacji były one dodawane do dokumentacji przez kilku różnych archiwistów. Arthur Langtry – wybitny uczony i znakomity znawca czarów – był zaznajomiony z zawartością akt; jednak przez całe swoje dorosłe życie zajmował się badaniem trzech innych spraw, które pochłaniały go aż do dnia śmierci.

Niemniej, dzieje rodziny niejednokrotnie były przedmiotem rozważań Wielkiej Rady; nigdy jednak nie uchylono orzeczenia zakazującego nawiązania bezpośredniego kontaktu. Jest w istocie wątpliwe, by ktokolwiek z nas znał wówczas całą historię.

Owa fotografia, ze swoim wyraźnym przesłaniem, wywołała niemałe poruszenie. Pewien młody członek Zgromadzenia, Amerykanin z Teksasu, Stuart Townsend (który mieszkając przez wiele lat w Londynie, stał się właściwie Anglikiem) poprosił, by powierzono mu zbadanie sprawy Czarownic Mayfair i ewentualnie, bezpośrednio śledztwo. Po wnikliwym namyśle, oddano w jego ręce komplet akt.

Arthur Langtry zgodził się ponownie przeczytać cały materiał, lecz nie cierpiące zwłoki sprawy powstrzymały go od tego; jednak to właśnie on powiększył liczbę naszych ludzi w Nowym Orleanie z trzech do czterech prywatnych detektywów i odkrył jeszcze jeden znakomity kontakt – człowieka o nazwisku Irwin Dandrich, nie posiadającego grosza przy duszy syna bajecznie bogatej rodziny, który poruszał się w najwyższych kręgach i sprzedawał skrycie informacje każdemu, kto zechciał je kupić, wliczając w to prywatnych detektywów, prawników od rozwodów, przedsiębiorstwa ubezpieczeniowe, a nawet brukowe gazety.

Niech mi będzie wolno przypomnieć czytelnikowi, iż wtedy akta te nie

zawierały jeszcze niniejszej narracji, bowiem żadne tego rodzaju zestawienie materiału nie zostało wcześniej dokonane. W archiwum znajdowały się listy i dzienniki Petyra van Abła i gigantyczne kompendium zeznań świadków, a także fotografie, artykuły prasowe, i tym podobne. Archiwiści regularnie uzupełniali bieżącą chronologię, lecz w najlepszym wypadku można powiedzieć, że dawała ona jedynie ogólny zarys wydarzeń.

Stuart w owym czasie był również zaangażowany w trzy inne, ważne śledztwa i dopiero po kilku latach zdołał zakończyć zapoznawanie się z materiałem, dotyczącym Mayfairów. Wrócimy do niego i do Arthura Langtry we właściwym momencie.

Po powrocie Stella rozpoczęła prowadzić życie bardzo podobne do tego, jakie wiodła przed swoją podróżą do Europy. Odwiedzała nielegalne spelunki, znowu wydawała przyjęcia dla swoich przyjaciół, otrzymywała zaproszenia na liczne bale ostateczne, gdzie nieodmiennie wzbudzała sensację, i w ogóle zachowywała się, jak mająca w nosie konwenanse, femme fatale, którą była zawsze.

Nasi ludzie nie mieli najmniejszych kłopotów w zbieraniu informacji na jej temat, nieustannie bowiem przyjmowała gości i była tematem plotek całego miasta. Istotnie, Irwin Dandrich napisał do związanej z nami londyńskiej agencji detektywistycznej (nigdy się nie dowiedział, do kogo, i w jakim celu, docierała jego korespondencja), że wszystko co musi zrobić, to pojawić się na balu i wysłuchać najnowszych plotek o tym, co porabia Stella. Kilka rozmów telefonicznych, odbytych w sobotę rano, również dostarczało stosów informacji.

(Warto zwrócić uwagę na to, że według wszelkich danych, Irwin Dandrich nie kierował się złymi intencjami. Przekazane przez niego wiadomości okazały się, w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach, ścisłe. Był naszym najpłodniejszym i pozostającym w najbliższej zażyłości ze Stellą informatorem; i chociaż nigdy tego nie powiedział, to jednak z jego raportów można łatwo wywnioskować, że niejedną raz poszedł z nią do łóżka. Ale w istocie, nie znał

jej wcale; nawet w najbardziej dramatycznych i tragicznych epizodach, opisanych w jego raportach, Stella wydaje się nieuchwytna i odległa.)

Dzięki Dandrichowi i innym wizerunek Stelli nabrał, po jej powrocie z Europy, o wiele żywszych barw.

Rodzinną legendą opowiada, że Carlotta w tamtym okresie ostro potępiała zachowanie Stelli i że było ono tematem jej sporów z Mary Beth; wielokrotnie, i zawsze na próżno, domagała się, by siostra się ustatkowała. Potwierdzają to plotki rozpowszechniane przez służbę (a także Dandricha), według których Mary Beth przywiązywała do tej sprawy bardzo niewiele uwagi, i była zdania, iż Stella jest zdrowo beztroską osobą i nie powinno się jej krępować.

Mary Beth miała nawet powiedzieć jednemu z przyjaciół z towarzystwa (który natychmiast powtórzył to Dandrichowi), że „Stella jest tym, czym ja bym była, gdybym miała jeszcze raz przeżyć swoje życie. Pracowałam zbyt ciężko, za zbyt mały zysk. Niech się bawi”.

Musimy zwrócić uwagę, że Mary Beth była już wówczas chora i zapewne, bardzo zmęczona. Poza tym miała zbyt bystry umysł, by nie doceniać różnorodnych przemian kulturowych lat dwudziestych; chociaż teraz, u schyłku wieku, czytelnik może nie uświadamiać sobie ich przełomowego charakteru.

Prawdziwa rewolucja seksualna dwudziestego wieku rozpoczęła się wraz z jego burzliwą trzecią dekadą, kiedy to świat ujrział jedną z najdramatyczniejszych w całej historii przemian kobiecego ubioru. Panie nie ograniczyły się do zdjęcia gorsetów i długich spódnic; razem z nimi odrzuciły staroświeckie obyczaje, pijąc i tańcząc w podejrzanym lokalach, w sposób, który dziesięć lat wcześniej, byłby nie do pomyślenia. Rozpowszechnienie krytych automobili ofiarowało wszystkim nie mającą precedensu możliwość odosobnienia, a także swobodę poruszania. Radia słuchano w prywatnych domach całej Ameryki, na wsi i w mieście. Stworzone przez kino wzorce „blasku i podłości” docierały do ludzi na całym świecie. Czasopisma, literatura i teatr uległy radykalnym przeobrażeniom, wywołanym nowymi wartościami,

swobodą, tolerancją i pragnieniem znalezienia własnego wyrazu.

Z pewnością, Mary Beth w jakimś stopniu zdawała sobie z tego wszystkiego sprawę. Nie mamy absolutnie żadnych danych, które by wskazywały, że nie pochwalala „zmieniających się czasów”. Nigdy nie powstrzymywała Stelli przed niczym, chociaż sama nawet nie obcięła włosów, ani nie zrezygnowała z noszenia długich spódnic (wtedy, kiedy nie ubierała się po męsku), A Stella była, bardziej niż ktokolwiek w rodzinie, absolutnym ucieleśnieniem swoich czasów.

W 1925 roku wykryto u Mary Beth nieuleczalnego raka; przeżyła jeszcze tylko pięć miesięcy, z czego większość w tak srogich cierpieniach, że nie była już w stanie wychodzić z domu.

Usunęła się do północnej sypialni, nad biblioteką, gdzie, nim pojawił się ból, spędziła ostatnie spokojne dni, pochłaniając powieści, których nie zdołała przeczytać w młodości. Faktycznie, odwiedzali ją liczni Mayfairowie, przynosząc różne wydania klasyków. Mary Beth okazywała szczególne zainteresowanie siostrami Bronte; Dickensem, czytowanym jej przez Julię, kiedy była mała; i przeróżnymi innymi autorami, których dzieła najwyraźniej zamierzała dobrze poznać, zanim umrze.

Daniel McIntyre był przerażony perspektywą utraty żony. Kiedy wreszcie zmuszono go, by zrozumiał, że Mary Beth nie wyzdrowieje, rozpoczął swoją finałową pijatykę i według plotek, i późniejszej legendy, nigdy już nie wytrzeźwiał.

Różne inne osoby opowiedziały nam tę samą historię, co Llewellyn – iż Daniel, nieustannie podczas tych ostatnich dni, budził Mary Beth ze snu, by móc się przekonać, że wciąż jeszcze żyje. Rodzinne przekazy potwierdzają, że Mary Beth odnosiła się do niego z bezgraniczną cierpliwością, zapraszając go, żeby położył się obok i pocieszając całymimi godzinami.

W tym czasie Carlotta wprowadziła się znowu do domu, żeby być blisko matki; i rzeczywiście, siedziała przy niej przez wiele długich nocy. Gdy ból

stawał się zbyt silny, by Mary Beth mogła sama czytać, prosiła o to Carlottę. Podobno Carlotta przeczytała na głos całe „Wichrowe Wzgórze” i część „Jane Eyre”.

Stella również była stale obecna przy matce. Porzuciła zupełnie swoje hulanki i dzieliła czas pomiędzy przygotowywanie posiłków dla matki – często zbyt słabej, żeby w ogóle cokolwiek zjeść – oraz listowne i telefoniczne konsultacje z lekarzami na całym świecie.

Z ubogich dokumentów medycznych, dotyczących Mary Beth, wynika, że przerzuty nastąpiły, zanim jeszcze rak został w ogóle wykryty. Aż do ostatnich trzech miesięcy życia nie odczuwała żadnego bólu; lecz potem cierpiała strasznie.

W końcu, 11 września 1925 roku, Mary Beth straciła przytomność. Obecny przy niej ksiądz zauważył, że towarzyszył temu niezwykle głośny grzmot. „Zaczął padać deszcz.” Stella opuściła sypialnię, zeszła na dół do biblioteki i zaczęła dzwonić do wszystkich Mayfairów w całej Luizjanie, a nawet do krewnych w Nowym Jorku.

Według relacji księdza, służby i wielu sąsiadów, pierwsi Mayfairowie przyjechali o czwartej po południu, a przez następnych dwanaście godzin bezustannie przybywali kolejni. Samochody parkowały wzdłuż całej ulicy Pierwszej, aż do Alei św. Karola; i wzdłuż Kasztanowej, od ulic Jacksona i Washingtona.

Ulewa trwała nadal; na kilka godzin osłabła do rozmiarów mżawki, a potem znowu przeszła w jednostajny deszcz. W rzeczywistości, lało nad całą Dzielnicą Ogrodów, chociaż nie padało w żadnej innej części miasta; nikt jednak nie zwrócił na ten fakt szczególnej uwagi.

Z drugiej zaś strony, większość z nowoorleańskich Mayfairów przyszło wyposażonych w parasole i płaszcze przeciwdeszczowe, tak jakby całkowicie spodziewali się burzowej nawałnicy.

Służący biegali w kółko, podając stłoczonym w bibliotece, w holu i jadalni, a

nawet siedzącym na schodach kuzynom kawę i przemycone z Europy wino.

O północy zaczął wyc wiatr. Olbrzymie dęby, strzegące domu, zmagaly się z gwałtowną wichurą i zaczęto się obawiać, że połamią się konary. Liście sypały się gęstym deszczem.

Sypialnia Mary Beth była wyraźnie zatłoczona do granic możliwości jej dziećmi, bratankami i bratanicami, którzy zachowywali jednak pełną szacunku ciszę. Carlotta i Stella siedziały na najdalszym od drzwi końcu łóżka; kuzyni wchodzili i wychodzili na palcach.

Daniela McIntyre nigdzie nie było widać; legenda rodzinna utrzymuje, iż już wcześniej „stracił przytomność” i leżał w łóżku, w apartamencie Carlotty, nad stajniami.

Nim wybiła pierwsza, Mayfairowie o poważnych twarzach wypełnili frontowe ganki, a nawet stali na chodniku przed domem, osłaniając się od deszczu i wiatru swoimi łopoczącymi parasolami.

Wielu przyjaciół rodziny kulilo się pod dębami, chroniąc czym popadło głowy i postawiwszy dla ochrony przed wiatrem, kołnierze płaszczy. Inni pozostali w samochodach blokujących ulicę Pierwszą i Kasztanową.

Trzydzieści pięć minut po pierwszej opiekujący się chorą lekarz, doktor Lyndon Hart, doświadczył szczególnego przypadku dezorientacji. Powiedział później kilku ze swoich kolegów, że w pokoju stało się „coś dziwnego”.

W 1929 roku uczynił Irwinowi Dandrichowi następujące wyznanie:

«Wiedziałem, że ona umrze lada moment. Przestałem mierzyć puls. Wydawało mi się, że to poniżające, wstawać tak ciągle, tylko po to, by kiwnąć do wszystkich, że jeszcze żyje. Za każdym razem, kiedy wykonywałem ruch w kierunku łóżka, zauważali to kuzyni i w holu rozlegały się niespokojne szepty.

Tak więc, przez ostatnią godzinę, czy coś koło tego, nie robiłem nic. Po prostu czekałem i obserwowałem. Tylko najbliższa rodzina była przy łóżku, jeśli nie liczyć Cortlanda i jego syna, Pierce'a. Mary Beth leżała tam, z półprzymkniętymi oczyma, z głową zwróconą w stronę Stelli i Carlotty. Carlotta

trzymała dłoń matki. Oddech był bardzo nieregularny. Dałem jej tak dużo morfiny, na ile tylko zdołałem się odważyć.

I wtedy stało się. Może zasnąłem i przyśniło mi się to wszystko, ale wówczas wydawało się to takie rzeczywiste – zobaczyłem całą grupę zupełnie różnych osób; na przykład starą kobietę, jakby znajomą, ale nie wiedziałem, kim była; albo bardzo wysokiego, leciwego dżentelmena, który również wydał mi się wyraźnie znajomy. Byli tam przeróżni ludzie, naprawdę. Także młody człowiek o bladej cerze, ubrany ze sztywną elegancją, w piękny, staromodny strój; nachylał się nad Mary Beth. Pocałował ją w usta, a potem zamknął jej oczy.

Poderwałem się na równe nogi. Kuzyni w holu łkali. Ktoś szlochał. Cortland Mayfair płakał. Znowu zaczęło lać jak z cebra. Grzmoty były naprawdę ogłuszające. W nagłym błysku pioruna zobaczyłem, że Stella patrzy na mnie z ogromnie żalonym, apatycznym wyrazem. Carlotta zalewała się łzami. Wiedziałem, że moja pacjentka nie żyje, bez żadnych wątpliwości; i rzeczywiście, miała zamknięte oczy.

Nigdy nie zdołałem sobie tego do końca wytłumaczyć. Natychmiast zbadałem Mary Beth i potwierdziłem, że to koniec. Ale oni już to wiedzieli. Wszyscy. Rozglądałem się po pokoju, starając się rozpaczliwie ukryć swoją chwilową konsternację; i zobaczyłem małą Anthę stojącą w kącie, za plecami matki, a ten wysoki młody dżentelmen stał obok niej; a potem, zupełnie nagle, zniknął. W rzeczywistości zdematerializował się tak nagle, że nie jestem wcale pewien, czy go w ogóle widziałem.

Ale powiem panu, dlaczego sądzę, że był tam naprawdę. Dostrzegł go ktoś jeszcze – Pierce Mayfair, syn Cortlanda. Odwróciłem się, jak tylko zniknął ten młody człowiek, i zobaczyłem, że Pierce ma utkwiony wzrok w dokładnie ten sam punkt. Patrzył na małą Anthę, a potem zerknął na mnie. Próbował wyglądać naturalnie, jakby nic się nie stało, ale wiem, że zobaczył tego mężczyznę.

Jeśli chodzi o resztę, to z pewnością nigdzie w pobliżu nie było starej damy, ani leciwego wysokiego dżentelmena. Ale czy wie pan, kto to był? Sądzę, że

Julien Mayfair. Nigdy nie znałem Julienu, ale później, tego samego ranka, widziałem jego portret w holu, na ścianie naprzeciw drzwi do biblioteki.

Prawdę mówiąc, nie przypuszczam, żeby ktokolwiek z obecnych w sypialni zwracał na mnie najmniejszą uwagę. Pokojówki zaczęły wycierać twarz Mary Beth i przygotowywać wszystko na przyjęcie kuzynów, którzy chcieli ją zobaczyć ostatni raz. Ktoś zapalał świeże świece. A deszcz; ten deszcz był okropny. Spływał strumieniami po szybach.

Następne co sobie przypominam to, jak przepychałem się przez tłum stojących na schodach. Potem znalazłem się w bibliotece, razem z ojcem McKenzie; wypełniałem świadectwo zgonu, a ksiądz siedział na skórzanej kanapie, obok Belle, i próbował ją pocieszyć, mówiąc te wszystkie zwyczajne rzeczy, że jej mama poszła do nieba, i że kiedyś zobaczy ją znowu. Biedna Belle. Ciągle powtarzała: „Nie chcę, żeby szła do nieba. Chcę ją zobaczyć teraz”. Jak ktoś taki jak ona mógłby to zrozumieć?

Dopiero, kiedy wychodziłem, zobaczyłem portret Julienu Mayfair i przeżyłem szok, kiedy zrozumiałem, że to właśnie jego widziałem. Właściwie, zdarzyło się wtedy coś naprawdę dziwnego. Byłem tak bardzo wstrząśnięty, zobaczywszy ten wizerunek, że wyrwało mi się na głos: „To jest ten mężczyzna”.

Nagle wyczułem czyjąś obecność; ktoś stał w korytarzu i palił papierosa, tak mi się przynajmniej wydaje; i ten człowiek podniósł wzrok, spojrzał najpierw na mnie, potem na wiszący po jego lewej stronie obraz i powiedział, śmiejąc się cicho: „Och, nie, to nie jest «ten mężczyzna». To jest Julien”.

Oczywiście, nie zamierzałem się sprzeczać. Nie potrafię sobie wyobrazić, co, według tego człowieka, miałem mieć na myśli. A poza tym w ogóle nie rozumiem, co on chciał powiedzieć, przez to, co powiedział. Po prostu, nie odezwałem się ani słowem. Nie wiem nawet, kto to był. Na pewno jakiś Mayfair, ale nie potrafiłbym powiedzieć niczego ponad to.

Opowiedziałem o tym wszystkim Cortlandowi; później, kiedy, jak mi się

wydawało, minęło już dosyć czasu. Wcale go to nie strapiło. Wysłuchał mnie uważnie i powiedział, że się cieszy, iż mu o tym powiedziałem. Ale on sam nie dostrzegł w sypialni niczego szczególnego.

Niech pan nikomu nie powtarza tej historii. Duchy nie są niczym nadzwyczajnym w Nowym Orleanie, ale lekarze, którzy je widzą, owszem! Nie sądzę, by Cortland był wdzięczny za rozpowszechnianie tej opowieści. Oczywiście, nigdy nie wspominałem o tym Pierce'owi. Co się tyczy Stelli, to szczerze wątpię, by przejmowała się takim rzeczami. Jeżeli ona w ogóle się czymś przejmuje, to chciałbym wiedzieć, co to jest.»

Niewątpliwie mamy tu do czynienia z kolejnym pojawieniem się Lashera; nie możemy jednak odejść od tej barwnej i godnej uwagi historii, nie przedyskutowawszy uprzednio dziwnej wymiany zdań, która miała, miejsce w drzwiach biblioteki. Co miał na myśli ów kuzyn Mayfair, kiedy powiedział: „Och nie, to nie jest ten mężczyzna”? Czy błędnie sądził, że doktor myśli o Lasherze? I czy owa uwaga wymknęła mu się, zanim zdał sobie sprawę, że rozmawia z obcym? A jeśli tak, to czy to oznacza, iż członkowie rodziny Mayfairów wiedzieli wszystko o „owym mężczyźnie” i mieli zwyczaj o nim rozmawiać? Być może właśnie tak było.

Pogrzeb Mary Beth był wydarzeniem niezwyklej rozmiarów, podobnie jak przed dwudziestu sześciu laty jej ślub. Pełną relację na ten temat zawdzięczamy właścicielowi zakładu pogrzebowego, Davidowi O'Brienowi. Rok później przeszedł on na emeryturę, przekazując przedsiębiorstwo swojemu siostrzeńcowi, Redowi Loniganowi, od którego rodziny otrzymaliśmy od tamtej pory wiele cennych świadectw.

Również rodzinna legenda opowiada o tym wydarzeniu; doszły do nas też plotki pań z kółka parafialnego, które uczestniczyły w ceremonii. Obgadywały i krytykowały Mayfairów bez żadnych skrępowań.

Wszyscy zgodnie twierdzą, że Daniel McIntyre nie dotrwał do końca ceremonii. Carlotta zabrała go do domu jeszcze w czasie mszy; zdążyła wrócić,

zanim żałobnicy opuścili kościół.

Na cmentarzu Lafayette wygłoszono kilka krótkich przemówień nad trumną. Pierce Mayfair mówił o Mary Beth, jako o wspaniałym, mądrym doradcy; Cortland chwalał jej miłość do rodziny i wspaniałomyślność wobec wszystkich. A Barclay powiedział, iż nikt nie zdoła zastąpić Mary Beth i że ci, którzy ją znali i kochali, będą ją zawsze pamiętać. Lionel miał pełne ręce roboty, pocieszając zrozpaczoną Belle i płaczącą Millie Dear.

Małej Anthy nie było na cmentarzu; brakowało również Nancy (wspomnianej wcześniej adoptowanej Mayfairówny, którą Mary Beth przedstawiła wszystkim jako córkę Stelli).

Stella wyglądała na przygnębioną; jednak nie zrezygnowała z zaszokowania dziesiątków kuzynów, przedsiębiorcy pogrzebowego i licznych przyjaciół rodziny; podczas pożegnalnych przemówień siedziała na sąsiednim nagrobku, machając nogami i pociągając alkohol ze swojej słynnej, owiniętej w brązowy papier, butelki. Kiedy Barclay wypowiadał jedno z ostatnich zdań, odezwała się do niego na cały głos: „Barclay, skończ już z tym! Ona nie znosiła tego. Za chwilę wstanie z grobu i powie ci, żebyś się zamknął”.

Właściciel przedsiębiorstwa pogrzebowego zauważył, że wielu kuzynów roześmiało się, słysząc tę uwagę; inni z trudem usiłowali zachować powagę. Barclay również się śmiał; Cortland i Pierce tylko się uśmiechnęli. W istocie, można by podzielić rodzinę pod względem reakcji na słowa Stelli, dokładnie według przynależności etnicznej. Jedna z relacji opowiada, iż francuskojęzyczni kuzyni byli zgorszeni zachowaniem Stelli, podczas gdy irlandzcy Mayfairowie jeden przez drugiego parskali śmiechem.

Tymczasem jednak Barclay wytarł nos, po czym powiedział: „Żegnaj, moja ukochana” i ucałował trumnę; wycofał się i począł szlochać w ramionach Cortlanda i Garlanda.

Stella zeskoczyła z nagrobka, podeszła do trumny i również pocałowała ją, a następnie zwróciła się do księdza: „Dobrze, niech ojciec robi swoje”.

Podczas wygłaszania przez księdza końcowych łacińskich słów, Stella wyciągnęła różę z jednego z wieńców i ułamawszy na odpowiedniej długości łodygę, wetknęła ją sobie we włosy.

Po pogrzebie najbliżsi krewni udali się do domu przy ulicy Pierwszej; sąsiedzi byli wstrząśnięci, słysząc głośnie muzykę fortepianową i śpiewy dobiegające przed północą z salonu.

Kiedy umarł sędzia McIntyre, pogrzeb był dużo mniejszy, za to niezwykle smutny. Mayfairowie bardzo go kochali i na cmentarzu wylano wiele łez.

Zanim przejdziemy dalej, podkreślmy raz jeszcze, iż, o ile wiemy, Mary Beth była ostatnią naprawdę potężną czarownicą, jaką wydała rodzina. Możemy jedynie zgadywać, co by mogła uczynić, dysponując taką potęgą, gdyby nie była całkowicie skoncentrowana na swojej rodzinie, tak gruntownie praktyczna i całkowicie obojętna wobec wszelkiej próżności i rozgłosu. Nawet jej pogoń za przyjemnością znalazła swój wyraz w zjazdach, które pomogły Mayfairom w samookreśleniu się i umożliwiły, mimo zmieniających się czasów, stworzenie silnego własnego wizerunku.

Stella nie posiadała owej miłości do rodziny, ani nie była praktyczna; nie miała nic przeciwko rozgłosowi i kochała przyjemności. Jednak ten brak zachłanności należy zaliczyć do kluczowych cech; musimy o tym pamiętać, jeżeli chcemy ją zrozumieć. Wydaje się, że w ogóle miała bardzo niewiele celów.

„Życ!”; tak mogłoby brzmieć motto Stelli.

* * *

DALSZY CIĄG HISTORII STELLI

Zarówno rodzinna legenda, jak i plotki opowiadane przez sąsiadów oraz panie z kółka parafialnego zdają się zgodne w tym, że po śmierci rodziców Stella się rozwyrzyła zupełnie.

W czasie, gdy Cortland i Carlotta walczyli o to, kto i w jaki sposób będzie zarządzał majątkiem legatu, Stella zaczęła wydawać w domu przy ulicy Pierwszej gorszące przyjęcia dla przyjaciół; także tych kilka, które wyprawiła w 1926 roku dla rodziny, było równie szokujących, za sprawą burbona i piwa z kontrabandy, jarmarcznych orkiestr i gości tańczących do świtu charlestona. Starsi kuzyni często wychodzili wcześniej; niektórzy z nich, by już nigdy nie wrócić do domu przy ulicy Pierwszej.

Wielu nie zaproszono ponownie. Po latach 1926-1929 Stella powoli rozluźniła więzy, zadzierzgnięte przez Mary Beth pomiędzy członkami wielkiego rodu. Czy też trafniej byłoby powiedzieć, że odmówiła dalszego kierowania rodziną i pozwoliła jej się powoli rozpadać. Ogromna liczba kuzynów straciła wszelki kontakt z Mayfairami z Dzielnicy Ogrodów; dzieci nie znały ich wcale, lub prawie wcale; i to właśnie ich potomkowie stali się naszym najbogatszym źródłem rodzinnej legendy i mądrości.

Inni kuzyni, mimo że byli zrażeni brakiem zainteresowania ze strony Stelli, nie zerwali związków. Na przykład, wszyscy potomkowie Julienu pozostali w bliskich kontaktach z dziedziczącą linią; jeżeli nie z innej przyczyny, to choćby ze względu na powiązania prawno-finansowe; i dlatego też, że Carlotta nigdy nie zdołała skutecznie ich odpędzić.

„To był początek końca”, powiedział jeden z krewnych; „Stella nie życzyła sobie po prostu, żeby zawracano jej głowę”, dodał inny. A jeszcze inny: „Wiedzieliśmy o niej za dużo i ona zdawała sobie z tego sprawę. Nie miała ochoty nas oglądać”.

Stworzony przez nas wizerunek Stelli z tamtego okresu ukazuje ogromnie aktywną i bardzo szczęśliwą osobę, która w znacznie mniejszym stopniu niż jej matka interesowała się rodziną, choć pasjonowało ją wiele rzeczy. Szczególny sentyment miała do młodych artystów; na ulicy Pierwszej bywały dziesiątki „ciekawych” ludzi; między innymi, literaci i malarze, których poznała w Nowym Jorku. Kilku przyjaciół wspomniało, iż Stella namawiała Lionela, był

wrócił do pisania; kazała nawet odnowić dla niego jedną z przybudówek; nie jednak nie wiadomo, by Lionel stworzył cokolwiek nowego.

Na przyjęcia wydawane przez Stellę przychodziło mnóstwo intelektualistów. Stała się, w istocie, bardzo popularna wśród osób, nie obawiających się skandalu towarzyskiego. Salony starej gwardii, w której kręgach poruszał się Lionel, były przed nią zasadniczo zamknięte; tak przynajmniej utrzymywał Irwin Dandrich. Wątpliwe jednak, żeby Stella zdawała sobie z tego sprawę, albo się tym przejmowała.

Dzielnica francuska Nowego Orleanu przechodziła od początku lat dwudziestych coś w rodzaju odrodzenia. Mieszkali tu, w różnych okresach, William Faulkner, Sherwood Anderson, Edmund Wilson i inni sławni pisarze.

Nie posiadamy żadnych danych, które pozwalałyby nam łączyć Stellę z jakąkolwiek konkretną osobą; wiemy jednak, że była bardzo zżyta z cyganerią dzielnicy francuskiej; odwiedzała tamtejsze kawiarnie i galerie sztuki; sprowadzała do domu muzyków, by grali dla niej; a drzwi rezydencji przy ulicy Pierwszej, podobnie jak w Nowym Jorku, były zawsze otwarte dla nie mających grosza przy duszy, poetów i pisarzy.

Dla służby oznaczało to chaos. Dla sąsiadów, zgorszenie i hałas. Lecz Stella nie była, w odróżnieniu od swojego legalnego ojca, rozwiązłą pijaczką. Przeciwnie, mimo całego jej picia, nigdy nie widziano Stelli zalanej; wydaje się także, że w owych latach nie brakowało jej dobrego smaku i, bynajmniej, nie działała bezmyślnie.

W tym samym czasie odnowiła cały dom, wydając fortunę na nowe tynki, sztukaterię, draperie i delikatne, drogie meble w stylu art deco. W podwójnym salonie poustawiała doniczki z palmami, jak nam to opisał Richard Llewellyn. Zakupiono ogromny fortepian Bozendorfera; założono w końcu windę (1927); a jeszcze wcześniej, na trawniku z tyłu domu, wybudowano niezwyklej rozmiarów basen oraz, po jego południowej stronie, pawilon kąpielowy, tak że goście mogli wziąć prysznic i przebrać się, nie zawracając sobie głowy

wchodzeniem do domu.

To wszystko – nowi przyjaciele, przyjęcia i renowacja domu – szokowało bardziej statecznych kuzynów; lecz przede wszystkim mieli jej za złe, że w ciągu roku po śmierci Mary Beth, Stella zaprzestała zupełnie urządzania wielkich zgromadzeń rodzinnych. Oburzenie krewnych znalazło swój wyraz w powstaniu licznych legend rodzinnych, które później mogły trafić do naszych akt.

Mimo usilnych starań, Cortlandowi nie udało się nakłonić Stelli, by po 1926 roku wydała chociaż jedno przyjęcie dla rodziny. Chociaż zarówno on, jak i jego syn, Pierce, często bywali na wieczorkach, balach, czy jak je jeszcze nazwać, urządzanych przez Stellę, inni kuzyni, których zapraszano, odmawiali wzięcia w nich udziału.

W czasie karnawału ostatekowego, Mardi Gras, w 1927 roku, Stella wyprawiła bal maskowy, o którym mówiło się w Nowym Orleanie jeszcze sześć miesięcy później. Były na nim obecne osoby ze wszystkich sfer towarzyskich; dom przy ulicy Pierwszej jaśniał wspaniałymi światłami; pochodzącego z kontrabandy szampana podawano skrzynkami. Na bocznym ganku grała orkiestra jazzowa. (Ganek ten został obudowany dopiero później, dla unieruchomionej w fotelu Deirdre Mayfair.) Dziesiątki gości kąpało się nago, a nad ranem odbyła się regularna orgia; tak przynajmniej mówili nieprzytomni od szoku sąsiedzi. Kuzyni, których nie zaproszono, byli wściekli. Faktycznie, jak twierdzi Irwin Dandrich, zażądali wyjaśnień od Carlotty Mayfair; lecz, tak naprawdę, wszyscy znali wytłumaczenie: Stella nie życzyła sobie bandy snujących się bez celu, posępnych kuzynów.

Służba opowiadała, że Carlotta Mayfair była oburzona hałaśliwością i czasem trwania przyjęcia, żeby nie wspomnieć o kosztach. Opuściła dom jeszcze przed północą, zabierając ze sobą małą Anthę i Nancy; pojawiła się z powrotem dopiero następnego popołudnia. Tak rozpoczęła się pierwsza publiczna kłótnia między Stellą i Carlottą, lecz kuzyni prędko przekonali się, że

siostry się pogodziły. Lionel doprowadził do pojednania; Stella zgodziła się spędzać więcej czasu w domu, z Anią, nie szastać pieniędzmi i robić mniej hałasu. Wydaje się, że finanse były przedmiotem szczególnej troski Carlotty, która uważała wypełnienie całego basenu szampanem za „grzech”.

(Zanotujmy, że Stella była warta w owym czasie setki milionów dolarów. Carlotta kierowała czterema, przynoszącymi bajeczne zyski, funduszami powierniczymi. Możliwe, że Carlotta była zgorszona nieumiarkowaniem siostry. Rzeczywiście, wiele osób twierdzi, że o to właśnie chodziło.)

Później, tego samego roku, miało miejsce pierwsze z tajemniczych wydarzeń towarzyskich. Rodzinna legenda głosi, że Stella odszukała pewnych kuzynów i zgromadziła ich, by spędzili razem „interesujący wieczór”, w czasie którego mieli przedyskutować dzieje rodziny i jej wyjątkowe „parapsychologiczne uzdolnienia”. Mówiono, że przy ulicy Pierwszej odbył się seans spirytystyczny; według innych, w grę wchodziło voodoo.

(To, że Stella zajmowała się voodoo, było stałym elementem plotek służby. Stella powiedziała niektórym ze swoich przyjaciół, iż wie wszystko o voodoo. Miała kolorowych krewnych w dzielnicy francuskiej, którzy tego ją nauczyli.)

Wielu kuzynów nie mogło pojąć celu tajemnych zebrań; nie brali poważnie gadania o voodoo i było absolutnie jasne, że pominięcie ich odebrali jako afront.

Rzeczywiście, owo spotkanie wywołało wśród krewnych istne fale oburzenia. Dlaczego Stella zawracała sobie głowę grzebaniem w genealogiach i zapraszaniem tego lub owego kuzyna, którego nikt nie widywał od wieków, kiedy nie starczyło jej nawet grzeczności, by zaprosić tych, co znali i tak bardzo kochali Mary Beth? Drzwi domu przy ulicy Pierwszej zawsze były otwarte dla wszystkich; a teraz, Stella wybiera i decyduje. Ona, która nie zawracała sobie głowy przychodzeniem na rozdanie dyplomów, ani przysyłaniem podarków z okazji chrzcin i ślubów. Stella, która zachowywała się, jak „skończona, wiesz kto”.

Twierdzono, że Lionel zgadza się z opinią pozostałych członków rodziny i

uważa, iż siostra posuwa się za daleko. Urządzanie zjazdów było niezmiernie ważne; jeden z krewnych opowiedział nam później, jak Lionel skarżył się gorzko wujowi Barclayowi, że teraz, kiedy jego matka nie żyje, nic już nie jest takie jak dawniej.

Jednak, mimo tych wszystkich plotek, nie jesteśmy w stanie odkryć, kto naprawdę wziął udział w owym dziwnym, wieczornym spotkaniu. Z całą pewnością wiemy jedynie, że był tam obecny Lionel, a także Cortland i jego syn, Pierce, który miał wówczas dopiero siedemnaście lat, uczył się u jezuitów i snuł realne plany wstąpienia na Harvard.

Z legendy rodzinnej dowiadujemy się także, że owo zebranie trwało do późnej nocy i że, na jakiś czas przed końcem, Lionel „wyszedł zde gustowany”. Obecni tam Mayfairowie zostali ostro skrytykowani przez pozostałych krewnych za to, iż nie chcieli powiedzieć niczego o tym, co się wydarzyło. Według krążących w towarzystwie plotek, które dotarły do nas przefiltrowane przez Irwina Dandricha, Stella urządziła sobie zabawę, wykorzystując swoją „czarnomagiczną przeszłość”.

Odbyło się jeszcze kilka podobnych spotkań, lecz dopilnowano starannie zachowania okrywającej je tajemnicy, odbierając od wszystkich uczestników przysięgę, że nie wyjawią niczego, co się w czasie nich działo.

Według plotki pochodzącej z kręgów prawniczych, owe imprezy stanowiły jeden z tematów kłótni Carlotty Mayfair z Cortlandem; powodem sporów było również to, iż Carlotta chciała, żeby mała Antha i Nancy opuściły dom przy ulicy Pierwszej. Stella nie zgadzała się na wysłanie córki do szkoły z internatem, „wszyscy o tym wiedzieli”.

Tymczasem również Lionel kłócił się ze Stellą. Do jednego z pracujących dla nas prywatnych detektywów, który rozgłosił, iż interesują go plotki na temat rodziny, zadzwonił anonimowy informator i opowiedział mu, że Lionel i Stella mieli awanturę w restauracji w śródmieściu i że pan Mayfair wyszedł, zostawiając siostrę.

Prędko podobne historie zaczęły się pojawiać w raportach Dandricha. Lionel i Stella kłócili się. Czyżby wreszcie pojawił się inny mężczyzna?

Kiedy nasz detektyw zaczął się rozpytywać w tej sprawie, odkrył iż wszyscy w mieście wiedzą, że rodzina toczy walkę o małą Anthę. Stella zagroziła, że znowu wyjedzie do Europy razem z córką, i błagała Lionela, żeby jej towarzyszył; Carlotta kazała mu zostać.

W tym czasie Lionel zaczął pojawiać się na mszach w katedrze św. Ludwika w towarzystwie mieszkającej w mieście kuzynki, wnuczki siostry Suzette Mayfair, o imieniu Claire, której rodzina zajmowała piękny dom przy Alei Esplanade, do dziś dnia należący do jej potomków. Dandrich twierdził, że wywoływali sporo plotek.

Służba opowiadała o nie kończących się rodzinnych kłótniach. Trzaskano drzwiami. Krzyczano.

Carlotta zabroniła dalszych „zebrań voodoo”. Stella powiedziała siostrze, żeby wynosiła się z domu.

„Bez Matki, nic już nie jest takie jak dawniej”, mówił Lionel „Wszystko zaczęło się rozpadać, kiedy umarł Julien, ale bez Matki jest po prostu nie do wytrzymania. Carlotta i Stella w jednym domu, to mieszanka wybuchowa.”

Jak się wydaje, fakt, iż Antha i Nancy w ogóle trafiły do jakiejś szkoły, należy zawdzięczać wyłącznie staraniom Carlotty. W rzeczywistości, z nielicznych dotyczących Anthy szkolnych dokumentów, jakie zdołaliśmy zbadać, wynika, że Carlotta zapisała dziewczynkę, po czym była wezwana na spotkanie, na którym proszono ją, żeby zabrała małą do domu.

Antha pod żadnym względem nie nadawała się do szkoły.

W 1928 roku odesłano ją już do domu od św. Alfonsa.

Siostra Marie Bridget, pamiętająca Anthę chyba równie dobrze, co Stellę, opowiada o niej historie, bardzo przypominające te, które wcześniej słyszeliśmy o matce dziewczynki. Wyznanie zakonnicy, dotyczące wydarzeń całego tamtego okresu, zasługuje na przytoczenie go tutaj w całości. Pochodzi ono z 1969 roku.

«Niewidzialny przyjaciel nie odstępował Anthy na krok. Odwracała się do niego i rozmawiała z nim szeptem, jakby nikt na to nie patrzył. Oczywiście, podpowiadał jej na lekcjach. Wszystkie siostry wiedziały, co się dzieje.

A jeśli chce pan usłyszeć najgorsze to powiem panu, że niektóre z dzieci widziały go na własne oczy. Nie uwierzyłabym, gdyby nie było ich tak wiele; ale kiedy przychodzi do ciebie czworo dzieci i wszystkie opowiadają tę samą historię, a każde z nich jest przestraszone i zdenerwowane, podobnie zresztą jak rodzice, to nie masz innego wyjścia, musisz im dać wiarę.

Widywały go na szkolnym podwórku. Jak mówiłam panu, dziewczynka należała do osób nieśmiałych. Siadywała sobie na murku z cegieł, który był na samym końcu podwórka, w plamie promieni słonecznych przesianych przez liście drzew, i czytała swoją książkę. A on zaraz się przy niej pojawiał. Mężczyzna; mówili, że to był mężczyzna; potrafi pan to sobie wyobrazić? Chce mnie pan zapytać, czy wiem, co to znaczy „mężczyzna”?

Widzi pan, wszyscy byli zaszokowani, kiedy wyszło na jaw, że to dorosły człowiek. Myśleli przedtem, że to chłopiec, jakiś dziecięcy duszek, jeśli rozumie pan, co mam na myśli. Ale to był wysoki, ciemnowłosy mężczyzna. O, teraz dopiero wszyscy zaczęli gadać. Że to był mężczyzna.

Nie, sama go nigdy nie widziałam. Żadna z siostr go nie widziała. Ale dzieci widziały. To one wszystko powiedziały ojcu Lafferty’emu. Ja tylko potwierdziłam. Właśnie ojciec Lafferty wezwał Carlottę Mayfair i zażądał, aby zabrała małą ze szkoły.

Niech pan posłucha, nie mam zwyczaju krytykować kleru, nigdy. Co to, to nie. Ale powiem coś. Kogo jak kogo, ale ojca Lafferty’ego nie można było kupić hojnym datkiem na kościół. Powiedział: „Panno Carlotto, musi ją pani stąd zabrać”.

Wzywanie Stelli nie miało wtedy żadnego sensu. Wszyscy wiedzieli, że uprawiała czary. Kupowała czarne świece w dzielnicy francuskiej; i wie pan, że wciągała w to innych Mayfairów? Tak, robiła to. Słyszałam później, dużo

później, że odszukała kuzynów, którzy też władali nadprzyrodzonymi mocami i kazała im wszystkim przyjechać do jej domu.

Urządzali tam seanse spirytystyczne. Zapalali czarne świece i kadzidło; śpiewali pieśni do szatana; wzywali swoich przodków. Słyszałam, że tak właśnie było. Nie mogę panu powiedzieć, od kogo. Ale tak właśnie słyszałam. A także w to wierzę.»

Latem 1928 roku Pierce Mayfair, syn Cortlanda, oznajmił, że zmienił plany i zamiast na Harvard postanowił pójść do Tulane University. Jego ojciec i wujowie byli temu stanowczo przeciwni. Jak nas informował Dandrich, Pierce uczestniczył we wszystkich sekretnych spotkaniach u Stelli i plotkarze zaczęli łączyć ich imiona. Pierce nie miał wówczas jeszcze nawet osiemnastu lat.

W końcu 1928 roku w kręgach prawników pojawiły się pogłoski, jakoby Carlotta oświadczyła, iż Stella nie nadaje się na matkę i że ktoś powinien jej sądownie odebrać dziecko. Cortland, w rozmowie z przyjaciółmi, zaprzeczył temu. Ale wszyscy, jak się wyraził Dandrich, wiedzieli, że „zanosi się na to”. Według prawniczych plotek, Carlotta żądała, podczas spotkań rodzinnych, żeby bracia Mayfairowie poparli ją.

W tym czasie widywano Stellę i Pierce'a razem, o każdej porze dnia i nocy, często wlokących za sobą małą Anthę. Stella nieustannie kupowała córeczce nowe lalki. Każdego ranka zabierała ją na śniadanie do innego hotelu w dzielnicy francuskiej. Pierce towarzyszył Stelli podczas zakupu budynku przy ulicy Decatur, gdzie chciała urządzić sobie studio, w którym mogłaby być sama.

„Niech Millie Dear, Belle i Carlotta zatrzymają dom dla siebie”, powiedziała Stella człowiekowi z agencji handlu nieruchomościami. Pierce śmiał się ze wszystkiego, co mówiła. Antha, chuda siedmioletnia dziewczynka, o porcelanowej cerze i łagodnych, błękitnych oczach, stała obok, ściskając gigantycznego pluszowego misia. Wszyscy razem poszli na lunch, wliczając w to agenta od nieruchomości, który później powiedział Dandrichowi: „Ona jest urocza, absolutnie urocza. Myślę, że wszyscy ci ludzie z ulicy Pierwszej są dla

niej zwyczajnie zbyt ponurzy”.

Co się tyczy grubawej Nancy Mayfair, zaadoptowanej od razu po urodzeniu przez Mary Beth i przedstawionej wszystkim jako siostrzyczka Anthy, to Stella nie zwracała na nią najmniejszej uwagi. Jeden z potomków Mayfairów powiedział z goryczą, że Nancy była dla Stelli najwyżej „maskotką”. Ale nic nie wskazuje, by Stella kiedykolwiek źle traktowała dziecko. W rzeczywistości obsypywała ją furami zabawek i ubrań. Wydaje się jednak, że Nancy była generalnie pozbawioną entuzjazmu, markotną małą dziewczynką.

Tymczasem, nikt inny tylko Carlotta zabierała Anthę i Nancy na niedzielne msze i to właśnie ona dopilnowała posłania Nancy do szkoły Zgromadzenia Najświętszego Serca Jezusowego.

W 1928 roku plotkowano, że Carlotta podjęła szokujące kroki prawne, usiłując uzyskać opiekę nad Anthą, najwyraźniej w nadziei wysłania siostrzenicy do szkoły. Ciotka zdążyła już nawet wypełnić i podpisać stosowne dokumenty.

Cortland był przerażony odkryciem, że Carlotta, z którą do tej pory był w przyjacielskich stosunkach, posunęła się tak daleko. Ostatecznie zagroził, że jeśli ta nie porzuci swoich zamiarów, wstąpi przeciwko niej na drogę prawną. Barclay, Garland, młody Sheffield i inni członkowie rodziny zgodzili się go poprzeć. Nikt nie zdołałby zaciągnąć Stelli do sądu i odebrać jej dziecka, dopóki żyje Cortland.

Lionel także stanął po stronie wuja. Opowiadano, że bardzo cierpiał, z powodu całej sprawy. Zaproponował nawet, że wyjedzie ze Stellą na jakiś czas do Europy, zostawiając Anthę w rękach Carlotty.

W końcu Carlotta wycofała swoją prośbę o opiekę nad dzieckiem.

Ale jej stosunki z potomkami Julienu nigdy nie były już takie jak dawniej. Rozpoczęły się trwające do dnia dzisiejszego kłótnie o pieniądze.

W 1927 roku Carlotta nakłoniła siostrę do udzielenia jej pełnomocnictw umożliwiających wzięcie w swoje ręce spraw, którymi Stella nie chciała się

zajmować.

Teraz Carlotta usiłowała wykorzystać owe pełnomocnictwa do przeprowadzenia radykalnych decyzji dotyczących olbrzymiego majątku legatu, który po śmierci Mary Beth znalazł się w całości pod kontrolą Cortlanda.

Rodzinna legenda i ówczesne plotki z kręgów prawniczych, a także towarzyskich, są zgodne co do tego, że bracia Mayfairowie – Cortland, Garland i Barclay, a później Pierce, Sheffield i inni – odmówili honorowania tego kawałka papieru przypisującego pełnomocnictwo Carlocie. Odmówili postąpienia zgodnie z poleceniami Carlotty i zlikwidowania przynoszących ogromne zyski, śmiałych inwestycji, jakie od wielu lat z kolosalnym powodzeniem prowadzili w imieniu beneficjentki. Zapędzili Stellę do swoich kancelarii, żeby unieważniła pełnomocnictwa i potwierdziła, że wszystkie sprawy mają być prowadzone przez nich.

Niemniej wyniknęły z tego nie kończące się spory między braćmi i Carlottą, które trwają do dzisiaj. Wydaje się, że po walce o opiekę nad Anthą, Carlotta nigdy nie odzyskała zaufania do wspomnianych Mayfairów i nigdy ich znowu nie polubiła. Nękał ich nieustannymi żądaniem udzielania informacji; pełnego ujawnienia szczegółowych relacji i wyjaśnień, co zamierzają robić, stale dając do zrozumienia, że jeśli nie będzie z nich zadowolona, wystąpi przeciwko nim do sądu w imieniu Stelli (później w imieniu Anthy, a jeszcze później w imieniu Deirdre, i tak aż do dzisiaj).

Bracia czuli się zranieni i zbici z tropu tym brakiem zaufania. Do roku 1928 zarobili dla Stelli niemal nieobliczalne sumy pieniędzy; jej interesy były, oczywiście, kompletnie posplatane z ich własnymi. Nie potrafili zrozumieć postawy Carlotty i wydaje się, iż przez te wszystkie lata uparcie wszystko przyjmowali dosłownie.

To znaczy, odpowiadali cierpliwie na jej pytania i, ciągle od nowa, próbowali wyjaśnić, na czym polega ich działalność; a Carlotta, oczywiście, zadawała tylko coraz więcej pytań żądając wyczerpujących odpowiedzi;

znajdowała nowe kwestie, które powinny zostać zbadane; coraz częściej zwoływała zebrania; przeprowadzała liczniejsze niż kiedykolwiek rozmowy telefoniczne i nieustannie wysuwała jakieś zawołowane pogrożki.

Jest rzeczą ciekawą, iż niemal każdy aplikant i urzędnik, zatrudniony w firmie Mayfair & Mayfair, zdawał się rozumieć ową „grę”. Lecz synowie Julienu zawsze czuli się zranieni i rozgoryczeni, jakby nie potrafili dojrzeć prawdziwych intencji Carlotty.

Z wielkimi oporami, pozwolili się wyrzucić z domu przy ulicy Pierwszej, w którym się wszyscy urodzili.

Prawnie nie mogli w nim przebywać już w 1928 roku, chociaż nie wiedzieli o tym. Kiedy dwadzieścia pięć lat później Pierce i Cortland Mayfairowie poprosili, by umożliwiono im zbadanie niektórych należących do Julienu rzeczy, przechowywanych na strychu, nie wpuszczono ich nawet za próg. Ale w 1928 roku coś takiego byłoby jeszcze nie do pomyślenia.

Cortlandowi Mayfairowi prawdopodobnie nigdy nawet nie przyszło do głowy, że walka o opiekę nad Anthoną była ostatnią osobistą potyczką z Carlottą, jaką dane było mu wygrać.

Tymczasem jesienią 1928 roku Pierce praktycznie mieszkał przy ulicy Pierwszej. Nim nadeszła wiosna 1929 roku, towarzyszył wszędzie Stelli, tytułując się jej „osobistym sekretarzem, szoferem, workiem treningowym i poduszką do płaczu”. Cortland pogodził się z tym, chociaż mu się to nie podobało. Oświadczył przyjacielom i rodzinie, że Pierce jest wspaniałym chłopcem, że prędzej czy później znudzi się tym wszystkim i wyjedzie studiować na wschód, tak samo jak jego bracia.

* * *

ZNIKNIĘCIE STUARTA TOWNSEDA

W 1929 roku Stuart Townsend, który od wielu lat studiował materiały

dotyczące Czarownic Mayfair, zwrócił się do Rady w Londynie z prośbą, by zezwolono mu na podjęcie próby nawiązania kontaktu z rodziną Mayfairów.

Townsend był głęboko przekonany, że ukryte przesłanie napisane na odwrocie fotografii oznacza, iż Stella tego właśnie pragnie.

Sądził również, że trzy ostatnie Czarownice Mayfair – Julien, Mary Beth i Stella – nie były mordercami, ani żadnymi złoczyńcami więc kontakt z nimi nie groziłby żadnym niebezpieczeństwem; a ponadto mogłoby z niego wyniknąć coś „naprawdę cudownego”.

Stuart skłonił Radę, by poddała owo zagadnienie wnikliwej rozprawie; a także, by zrewidowała ponownie, tak jak to zresztą stale czyni, cele i reguły postępowania Talamaski.

W naszych archiwach istnieje ogromny zbiór materiałów, dotyczących założeń i norm Zgromadzenia; z przeróżnych kodeksów i dokumentów można dowiedzieć się co uznajemy za dopuszczalne, a co za niedopuszczalne; kwestie te są stałym tematem dyskusji na spotkaniach rad na całym świecie. Niech mi jednak będzie wolno streścić, *na potrzeby mniejszej narracji*, istotne w tym wypadku zagadnienia, podniesione przez Stuarta w 1929 roku.

Przede wszystkim: zgromadzone przez nas akta sprawy Czarownic Mayfair składają się na cenną i frapującą opowieść o dziejach rodziny posiadającej zdolności parapsychologiczne. Udowodniliśmy ponad wszelką wątpliwość, iż Mayfairowie utrzymują kontakty ze światem niewidzialnym i że potrafią wykorzystywać siły nadprzyrodzone dla osiągnięcia korzyści. Wciąż jednak nie mieliśmy pojęcia o wielu rzeczach, które robili.

A co będzie, jeśli uda się ich nakłonić do rozmowy, do podzielenia się naszymi, i ich, sekretami? Czego moglibyśmy się wówczas dowiedzieć?

Stella nie jest tajemniczą i ostrożną osobą, jaką była Mary Beth. Może, gdyby udało się przekonać ją o naszej dyskrecji i naukowym celu badań, odsłoniłaby nam prawdę o sobie. Niewykluczone, że Cortland również byłby skłonny podjąć dialog.

Po drugie, i zapewne mniej ważne: nie możemy zaprzeczyć, że od wielu lat nasze wścibstwo naruszało prywatność rodziny Mayfairów. „Wtykaliśmy nos”, według wyrażenia Stuarta, w każdy aspekt ich życia. W rzeczywistości, badaliśmy tych ludzi, jak okazy przyrodnicze; wciąż usprawiedliwiając granice, do których się posuwamy, twierdzeniem, że pragniemy udostępnić nasze dokumenty osobom będącym przedmiotem studiów.

Lecz, wobec Mayfairów, nigdy się z tego nie wywiązaliśmy. I nie istnieje, zapewne, żadna wymówka, dlaczego nie mielibyśmy uczynić tego teraz.

Po trzecie: między nami i Mayfairami zachodzi jedyny w swoim rodzaju związek, ponieważ w ich żyłach płynie krew Petyra van Abla, naszego brata w Talamasce. Są, można by rzec, „spokrewnieni” z nami. Czy nie powinniśmy szukać kontaktu, choćby po to, żeby opowiedzieć o owym przodku? I kto wie, co mogłoby z tego wyniknąć?

Po czwarte: czy zwracając się bezpośrednio do Mayfairów, nie uczynilibyśmy czegoś naprawdę dobrego? I tutaj, oczywiście, dochodzimy do naszych najwyższych celów. Czyż nie byłoby dobrodziejstwem dla lekkomyślnej Stelli, gdyby dowiedziała się o innych osobach, takich jak ona? Czyż nie cieszyłaby się wiedząc, że istnieją uczeni zajmujący się badaniem podobnych jej ludzi, w nadziei na zrozumienie świata rzeczy niewidzialnych? Innymi słowy, czy Stella nie chciałaby porozmawiać z nami, czy nie pragnęłaby usłyszeć o wszystkim, co wiemy na temat zjawisk parapsychologicznych?

Stuart przekonywał, niby natchniony kaznodzieja, iż mamy obowiązek nawiązać kontakt. Postawił także bardzo trafne pytanie: co Stella już wie? Twierdził również z uporem, że jesteśmy potrzebni zarówno tej kobiecie jak i całemu klanowi Mayfairów, a szczególnie małej Ancie; i że nadszedł czas, żebyśmy się im przedstawili i zaofiarowali naszą wiedzę.

Rada wzięła pod uwagę wszystko, co Stuart miał do powiedzenia; rozważyła też to, co wiedziała o Czarownicach Mayfair i doszła do wniosku, iż względy przemawiające za nawiązaniem kontaktu znakomicie przeważają względy temu

przeciwnie. *Z miejsca odrzucono myśl o niebezpieczeństwie.* Stuart otrzymał pozwolenie na podróż do Ameryki i skontaktowanie się ze Stella.

Upojony podnieceniem, odpłynął do Nowego Jorku tego samego dnia. Talamasca otrzymała od niego dwa listy noszące nowojorskie stemple pocztowe. Kiedy dotarł do Nowego Orleanu, napisał znowu, na papierze z nadrukiem Hotelu św. Karola, informując, że spotkał się ze Stellą, która okazała się niezwykle wrażliwą osobą; i że następnego dnia zjedzą razem lunch.

Nigdy więcej nie widziano Stuarta Townsenda; nie otrzymano też od niego żadnych wiadomości. Nie wiemy gdzie i kiedy, ani nawet czy w ogóle, jego życie znalazło swój kres. Pewne jest tylko to, że któregoś czerwcowego dnia 1929 roku przepadł bez śladu.

Jeżeli dokładnie zastanowimy się nad owymi zebraniem Rady i przeczytamy kopie protokołów, bez trudu dostrzeżemy, iż Talamasca popełniła tragiczny błąd. Stuart był źle przygotowany do spełnienia swojej misji. Należało spisać narrację, obejmującą cały materiał, która umożliwiłaby spojrzenie na dzieje Mayfairów, jako na jedną całość. Również problem niebezpieczeństwa powinien być zostać poddany staranniejszej ocenie. Anegdotyczna historia rodziny pełna jest, od początku do końca, wzmianek o aktach przemocy wobec wrogów Czarownic Mayfair.

By oddać sprawiedliwość, trzeba jednak przyznać, że żadne tego rodzaju historie nie łączyły się ze Stella, ani z nikim z jej pokolenia. A już z pewnością, nic takiego nie opowiadano o mieszkańcach domu przy ulicy Pierwszej. (Wyjątkiem są, oczywiście, szkolne historyjki na temat Stelli i Anthy. Oskarżano je o to, że ich niewidzialny przyjaciel bije inne małe dzieci. Ale nie istnieje nic porównywalnego na temat Stelli jako osoby dorosłej.)

Talamasca nie wiedziała wtedy również o wypadku, któremu uległa w Rzymie piastunka Anthy. Możliwe, że Stuart w ogóle nie słyszał niczego o tym wydarzeniu.

Niemniej pozostaje faktem, iż nie był on odpowiednio przygotowany do

swojej misji. Jeżeli przejrzymy jego listy, kierowane do Rady i innych członków Talamaski, to stanie się dla nas jasne, że Stuart był zakochany w Stelli Mayfair. Zakochał się w niej w najgorszych z możliwych okolicznościach – to znaczy, znając ją jedynie z fotografii i z opisów innych osób. Stała się dla niego mitem. Tak więc, puściwszy wodze fantazji, pełen zapału wyruszył na spotkanie z nią; oślepiony nie tylko jej czarami ale także legendarnym urokiem.

Jest także oczywiste, dla każdego, kto rozważy tę sprawę obiektywnie, że Stuart, z powodu całego rzędu przyczyn, nie był najodpowiedniejszym kandydatem do spełnienia tego zadania.

Zanim udamy się za nim do Nowego Orleanu, wyjaśnijmy pokrótce, kim był. Pełne akta, dotyczące Stuarta Townsenda, które znajdują się w naszych archiwach, z pewnością są warte przeczytania, same dla siebie. W ciągu około dwudziestu pięciu lat, przez które był oddanym i sumiennym członkiem Zgromadzenia, zajmował się przypadkami nawiedzenia; dokumentacja zbadanych przez niego spraw wypełnia sto czternaście teczek.

* * *

ŻYCIE STUARTA TOWNSEDA

W jakim stopniu życie Stuarta miało związek z tym, co mu się przytrafiło lub z historią Czarownic Mayfair, tego nie umiem powiedzieć. Zdaję sobie sprawę, że piszę tu na jego temat więcej niż jest to konieczne. Muszę się z tego wytłumaczyć, szczególnie mając na względzie, jak mało miejsca poświęcam Arthurowi Langtry'emu.

Sądzę, że pragnąłem, żeby przytoczony materiał stał się czymś w rodzaju pomnika wystawionego Stuartowi, a także był ostrzeżeniem... Zresztą, mniejsza o to...

Zgromadzenie zwróciło uwagę na Stuarta, kiedy miał on dwadzieścia dwa lata. Jeden z wielu ludzi pracujących dla nas w Ameryce przysłał do biura w

Londynie niewielki wycinek prasowy, dotyczący Stuarta Townsenda. Artykuł nosił tytuł „Chłopiec, który przez dziesięć lat był kimś innym”.

Stuart urodził się w małym miasteczku w Teksasie, w 1895 roku. Jego ojciec, miejscowy lekarz, był gruntownie wykształconym, cieszącym się powszechnym szacunkiem, człowiekiem. Matka Stuarta, pochodząca z zamożnej rodziny, zajmowała się działalnością charytatywną, odpowiednią dla damy o jej pozycji; siedmiorgiem dzieci, z których Stuart był pierworodnym, opiekowały się dwie niańki. Rodzina mieszkała w obszernym, białym domu w wiktoriańskim stylu, z dodatkowym, niekrępującym wejściem. Budynek ten stał przy jedynej reprezentacyjnej ulicy, jaką mogło poszczycić się miasteczko.

Kiedy Stuart miał sześć lat, posłano go szkoły z internatem w Nowej Anglii. Od samego początku był nadzwyczajnym uczniem; w czasie spędzanych w domu letnich wakacji stawał się kimś w rodzaju pustelnika, do późnej nocy czytającego książki w swojej sypialni na poddaszu. Miał jednak kilkoro przyjaciół, wśród synów i córek nielicznej, lecz pełnej wigoru tamtejszej arystokracji – urzędników miejskich, prawników i zamożnych farmerów; wydaje się, że lubiano go.

Kiedy Stuart miał dziesięć lat, złożyła go ciężka gorączka, o nie rozpoznanej przyczynie. Ojciec-lekarz doszedł w końcu do wniosku, że była wynikiem jakiejś infekcji, ale prawdziwego wyjaśnienia nigdy nie znaleziono. Nastąpiło przesilenie, w czasie którego Stuart przez dwa dni majaczył.

Kiedy kryzys minął, Stuart nie był już sobą. Stał się kimś innym. Ów ktoś twierdził, że jest młodą kobietą o nazwisku Antoinette Fielding, mówiącą z francuskim akcentem i grającą pięknie na fortepianie; zdawała się jednak zupełnie nie orientować, ile ma lat, gdzie mieszka i co robi w domu Stuarta.

Owszem, chłopiec znał trochę francuski, nie potrafił jednak grać na fortepianie. Kiedy usiadł przy ogromnym, zakurzonym instrumencie stojącym w salonie i zaczął grać Szopena, rodzina niemal postradała zmysły.

Co się tyczy jego przekonania, że jest dziewczyną i żalosnego płaczu, jakim

wybuchnął, ujrawszy swoje odbicie w lustrze – jego matka nie zdołała tego znieść i, proszę sobie wyobrazić, uciekła z pokoju. Po tygodniu hysterii i melancholii rodzice zdołali wyperswadować Stuartowi-Antoinette, żeby przestała domagać się sukienek; zaakceptowała fakt, iż posiada teraz ciało chłopca; uwierzyła, że jest Stuartem Townsendem i zaczęła znowu robić to, czego oczekiwano od ich syna.

Jednak o żadnym powrocie do szkoły nie mogło być mowy. Stuart-Antoinette, nazywany przez rodzinę, dla uproszczenia, Tony, trawił (czy też trawiła) swoje dni na nie mającej końca grze na fortepianie i bazgraniu w opasłym dzienniku, co miało jemu (jej) pomóc w rozwiązaniu zagadki swojej tożsamości.

Kiedy doktor Townsend przejrzał zapisane wspomnienia, zauważył, że posługiwała się francuskim z biegłością daleko przewyższającą poziom, jaki zdołał osiągnąć dziesięcioletni Stuart. Zaczął także pojmować, że wszystko, co pamiętała, dotyczyło Paryża, i to Paryża lat czterdziestych dziewiętnastego wieku; bezpośrednie aluzje do przedstawień operowych i sztuk teatralnych oraz środków transportu nie pozostawiały co do tego najmniejszych wątpliwości.

Z owych zapisków wynikało, że Antoinette Fielding była dzieckiem angielsko-francuskiej pary; francuski ojciec nie poślubił jej angielskiej matki – Louisy Fielding; rozpieszczana córka ekskluzywnej prostytutki, która starała się uchronić swoje jedyne dziecko przed brudem ulicy, wiodła dziwne, pustelnicze życie. Wielkim darem – i ukojeniem – Antoinette była muzyka.

Zafascynowany tym doktor Townsend zapewnił żonę, że uda im się dotrzeć do sedna tajemnicy i rozpoczął za pośrednictwem poczty śledztwo, w nadziei, iż zdoła odkryć czy taka osoba, jak Antoinette Fielding, żyła kiedykolwiek w Paryżu.

Zajęło mu to jakieś pięć lat.

Przez ten czas Antoinette, pozostająca w ciele Stuarta, grała desperacko na fortepianie; za każdym razem, kiedy odważała się wyjść z domu, nieodmiennie

gubiła drogę albo pakowała się w straszliwe tarapaty z miejscowymi chuliganami. W końcu prawie w ogóle nie opuszczała swojego pokoju; stała się kimś w rodzaju rozhisteryzowanej kaleki żądającej, by zostawiano jej posiłki pod drzwiami sypialni i tylko w nocy schodzącej na dół, by grać na fortepianie.

Ostatecznie, korzystając z pomocy tamtejszego prywatnego detektywa, doktor Townsend zdołał ustalić, że niejaka Louisa Fielding została zamordowana w Paryżu w 1865 roku. Rzeczywiście, była prostytutką; nie istniały jednak żadne dokumenty świadczące o tym, by kiedykolwiek miała dziecko. Doktor Townsend znalazł się w ślepej uliczce. Coraz bardziej męczyły go próby rozwiązania tajemnicy. Pogodził więc się z sytuacją, najlepiej jak potrafił.

Jego przystojny, młody syn Stuart był stracony na zawsze a miejsce chłopca zajęła zniszczona, wynaturzona kaleka, dziecko o bladej twarzy, płonących oczach i dziwnym, bezpłciowym głosie, spędzające życie za spuszczonymi roletami. Doktor i jego żona przyzwyczaili się do nocnych koncertów. Od czasu do czasu Townsend wchodził na górę porozmawiać z ową „niewieścią” istotą zamieszkującą poddasze. Nie mógł uniknąć odnotowywania postępującej dewastacji umysłowej. Stworzenie to nie potrafiło już przypomnieć sobie wiele ze „swojej przeszłości”. Niemniej, gawędzili przyjemnie przez chwilę, po francusku albo po angielsku; po czym wymizerowana, roztargniona młoda osoba powracała do swoich książek, jakby nikogo w ogóle tam nie było; wtedy ojciec odchodził.

Warto zauważyć, że nikt nigdy nie poddał dyskusji możliwości, iż Stuart był „nawiedzony”. Doktor był ateistą; dzieci posyłano do kościoła metodystów. Rodzina nie wiedziała nic o katolikach, obrzędach egzorcyzmów czy wierze katolików w demony i nawiedzenia. O ile wiemy Townsendowie nigdy nie poprosili o osobistą konsultację miejscowego plebana, który zresztą nie był przez nich lubiany.

Taka sytuacja trwała do czasu, kiedy Stuart skończył dwadzieścia lat.

Wówczas, pewnej nocy spadł ze schodów i odniósł ciężki wstrząs mózgu. Doktor, który na wpół rozbudzony oczekiwał, aż z salonu dobiegnie nieunikniona muzyka, znalazł swojego syna nieprzytomnego na podłodze w holu i natychmiast zawiózł go do szpitala, gdzie ten przeleżał dwa tygodnie w stanie śpiączki.

Ocknął się jako Stuart. Nie przypominał sobie absolutnie, żeby kiedykolwiek był kim innym. W rzeczywistości, trwał przekonaniu, że wciąż ma dziesięć lat i kiedy usłyszał męski głos, dobywający się z jego gardła, był przerażony. Gdy odkrył, że posiada ciało dorosłego mężczyzny, zaniemówił od szoku.

Siedział osłupiały na szpitalnym łóżku i słuchał opowiadań o tym, co mu się przydarzyło w ciągu ostatnich dziesięciu lat. Oczywiście, nie rozumiał po francusku. Miał z nim straszliwe kłopoty w szkole. I oczywiście, nie umiał grać na fortepianie. Przecież wszyscy wiedzieli, że nie ma żadnych zdolności muzycznych. Nie potrafił nawet powtórzyć prostej melodii.

Przez kilka następnych tygodni wpatrywał się przy kolacji w swoich „ogromnych” braci, posiwiąłego ojca i matkę, która za każdym razem, kiedy na niego spojrzała, wybuchała płaczem. Telefony i samochody – które niemal nie istniały w 1905 roku, kiedy przestał być Stuartem – nieustannie go przerażały. Elektryczne oświetlenie napełniało uczuciem niepewności. Ale źródłem najdotkliwszych katuszy było jego własne, dorosłe ciało i pogłębiająca się stale świadomość, że dzieciństwo i wiek dojrzewania utracił bezpowrotnie.

Potem zaczął stawiać czoło nieuniknionym problemom. Był dwudziestoletnim mężczyzną, z uczuciami i wykształceniem dziesięcioletniego chłopca. Zaczął przybierać na wadze; jego cera nabierała kolorów; jeździł konno na pobliskie farmy, w towarzystwie dawnych przyjaciół. Uczył się pod kierunkiem specjalnie zaangażowanych nauczycieli; godzinami czytywał gazety i ogólnokrajowe czasopisma. Chodził na długie spacery, w czasie których ćwiczył sposób poruszania i myślenia dorosłych ludzi.

Żył jednak w stanie ciągłego niepokoju. Kobiety budziły w nim namiętność,

nie miał jednak pojęcia, jak ma z tym sobie radzić. Łatwo go było zranić. Czuł, że jako mężczyzna, nie spełnia pokładanych w nim nadziei. W końcu zaczął kłócić się ze wszystkimi i odkrywając, że może bezkarnie pić, zaczął oddawać pijaństwu w miejscowych barach.

Nie minęło dużo czasu, nim całe miasto poznało jego dzieje. Niektórzy ludzie pamiętali pierwszą „odślonę”, kiedy to narodziła się Antoinette. Inni dowiadywali się wszystkiego dopiero teraz. W każdym razie, gadano bez ustanku. Lokalna gazeta, przez szacunek dla doktora, nie zamieściła żadnej wzmianki na temat tej dziwacznej historii; jednak pewien reporter z Dallas wyniuchał coś z kilku źródeł i, bez współpracy ani porozumienia z rodziną, napisał długi artykuł; wydrukowano go w którymś niedzielnym wydaniu gazety z Dallas, w 1915 roku. Inne dzienniki podchwyciły temat. Ostatecznie, około dwóch miesięcy później wycinki dotarły do naszego biura w Londynie.

Stuarta opadli łowcy ciekawostek. Miejscowy literat chciał o nim napisać książkę. Przedstawiciele ogólnokrajowych czasopism dobijali się do drzwi. Rodzina musiała się obwarować. Stuart ponownie zaszył się wewnątrz domu; siedział zadumany w swoim pokoju na poddaszu, wpatrzony w bezcenne przedmioty należące do przedziwnej Antoinette; i czuł, że ukradziono mu dziesięć lat życia i jest teraz beznadziejnym wyrzutkiem, zmuszonym zrażać do siebie każdego, kto go zna.

Bez wątplenia rodzina otrzymała mnóstwo niepożądanych listów. Lecz z drugiej strony, komunikacja w owych czasach nie była jeszcze na takim poziomie jak obecnie. W każdym razie, w końcu 1916 roku, dotarła do Stuarta przesyłka od Talamaski, zawierająca dwie dobrze znane książki na temat podobnych przypadków nawiedzenia oraz list informujący, iż zebraliśmy niemałą wiedzę o tego rodzaju sprawach i że byłibyśmy szczęśliwi, gdyby zechciał porozmawiać z nami o tym; a także o osobach, które przeżyły podobne doświadczenia.

Stuart natychmiast wystrzelił odpowiedź. Spotkał się z naszym

przedstawicielem, Louisem Daly, latem 1917 roku i z wdzięcznością przyjął propozycję wspólnej podróży do Londynu. Doktor Townsend był początkowo głęboko zaniepokojony, ale Louis pozyskał go w końcu dla sprawy, przekonując, że nasze podejście do przedmiotu jest ściśle naukowe. Ostatecznie, Stuart przybył do Anglii 1 września 1917 roku.

W następnym roku został przyjęty do Zgromadzenia, jako nowicjusz; i od tamtej pory pozostał z nami na stałe.

Pierwszym tematem jego studiów był, oczywiście, jego własny przypadek, a także inne podobne historie zanotowane w naszych aktach. Doszedł do końcowego wniosku, zgadzającego się z opinią pozostałych uczonych Talamaski, zajmujących się tą dziedziną badań, że istotnie był nawiedzony przez upiora zmarłej kobiety.

Od tamtej pory nabrał przekonania, że ducha Antoinette Fielding można było z niego wypędzić, gdyby tylko poradzono się kogoś znającego się na rzeczy, choćby katolickiego księdza. Bowiem, chociaż Kościół katolicki utrzymuje, że takie przypadki mają czysto demoniczną naturę – z czym my się nie zgadzamy – to nie ulega wątpliwości, że stosowane przezeń techniki egzorcyzmowania owych obcych obecności rzeczywiście działają.

W ciągu następnych pięciu lat Stuart poświęcił się bez reszty badaniu nawiedzeń, jakie miały miejsce w przeszłości na całym świecie. Przeprowadził wywiady z dziesiątkami ofiar, sporządzając obfite notatki.

Stwierdził, o czym dawno wiedziała Talamasca, że istnieje ogromna różnorodność bytów zdolnych nawiedzić człowieka. Niektóre z nich mogą być duchami; inne nigdy nie były ludźmi lub są „innymi osobowościami” nawiedzonego. Stuart pozostał jednak przekonany, że Antoinette Fielding istniała w rzeczywistości. Po śmierci, podobnie jak wiele takich duchów, nie wiedziała i nie rozumiała, że umarła.

W 1920 roku Stuart udał się do Paryża w poszukiwaniu śladów Antoinette Fielding. Nie udało mu się odkryć absolutnie niczego. Lecz okruchy informacji

dotyczących Louisy Fielding pasowały do tego, co Antoinette pisała o swojej matce. Jednak upływ czasu już dawno zatarł wszelkie prawdziwe ślady tych osób. Ku swojemu niezadowoleniu, Stuart nigdy nie zdołał rozwiązać tej zagadki.

W końcu 1920 roku pogodził się z faktem, że może się nigdy nie dowiedzieć, kim była Antoinette Fielding i zajął się aktywnie pracą w terenie, prowadzoną przez Talamaskę. Wraz z Louistem Daly wyjeżdżał, by interweniować w przypadkach nawiedzenia i wspólnie z nim przeprowadzał odmianę egzorcyzmu, którą Daly skutecznie stosował do wypędzania z ofiary obcego bytu.

Daly był pod wielkim wrażeniem Stuarta Townsenda. Stał się jego mentorem, który przez wszystkie lata działalności słynął ze współczucia, cierpliwości i skuteczności. Nawet Daly nie potrafił pocieszyć ofiary tak, jak to umiał zrobić Stuart. W końcu, Stuart znał sprawę z autopsji. On wiedział.

Młody Townsend zajmował się tą dziedziną niezmordowanie, aż do roku 1929; czytał akta sprawy Czarownic Mayfair tylko wtedy, gdy pozwalał mu na to napięty plan zajęć. I wówczas właśnie, zwrócił się ze swoją prośbą do Rady, która wyraziła zgodę.

W owym czasie Stuart liczył sobie trzydzieści pięć lat. Mierzył ponad metr osiemdziesiąt, miał włosy koloru popiołu i ciemnoszare oczy. Miał szczupłą i lekką budowę ciała. Lubił się elegancko ubierać i należał do tych Amerykanów, którzy głęboko podziwiają brytyjskie maniere oraz sposób bycia, i starają się je naśladować. Był przystojnym, młodym mężczyzną. Ale największy urok miała dla przyjaciół i znajomych jego specyficzna chłopięca spontaniczność i niewinność. Stuart naprawdę stracił dziesięć lat życia i nigdy nie odzyskał ich z powrotem.

Czasami bywał zdolny do impulsywnych wybuchów; tracił panowanie nad sobą i wpadał we wściekłość, napotkawszy najmniejsze przeszkody na drodze do zrealizowania swoich planów. Ale kiedy pracował w terenie, potrafił to

świetnie kontrolować; a jeśli napady złego humoru przytrafiały mu się w Domu, zawsze udawało się go udobruchać.

Był również zdolny do głębokiej i namiętnej miłości. Taką miłością kochał Helen Kreis, członkinię Talamaski, która zginęła w wypadku samochodowym w 1924 roku. Przez dwa lata cierpiał niepokonane, a nawet niebezpiecznie, z powodu jej śmierci.

Możemy się nigdy nie dowiedzieć, co zaszło pomiędzy nim a Stellą, lecz niewykluczone, iż była jedyną, oprócz Helen, miłością jego życia.

* * *

Chciałbym wyrazić tutaj moją osobistą opinię, iż Stuart Townsend nigdy nie powinien jechać do Nowego Orleanu. Nie tylko dlatego, iż miał zbyt emocjonalny stosunek do Stelli, ale również dlatego, że brakowało mu doświadczenia w tej szczególnej dziedzinie.

W czasie swojego nowicjatu zajmował się różnymi rodzajami parapsychologicznych fenomenów; bez wątpienia, przez całe życie wiele czytał o wiedzy tajemnej. Przedyskutował z innymi członkami Zgromadzenia ogromną ilość rozmaitych przypadków. Spędził również trochę czasu z Arthurem Langtrym.

Ale w rzeczywistości, nie miał pojęcia o czarownicach *per se*. Podobnie jak tyłu innych członków Talamaski, którzy mają do czynienia jedynie z nawiedzeniami miejsc i ludzi, czy z reinkarnacją, po prostu nie wiedział, co potrafią uczynić czarownice.

Nie rozumiał, że manifestacja bezcielesnych bytów objawia się najsilniej poprzez śmiertelne czarownice. Istnieją nawet pewne sugestie, iż Stuart uważał za archaizm i głupotę nazywanie przez nas owych kobiet czarownicami. Jest bardzo prawdopodobne, że chociaż przyjmował siedemnastowieczne opisy Debory Mayfair i jej córki, Charlotte, to nie potrafił powiązać tego materiału z

inteligentną, szykowną, dwudziestowieczną „jazz-baby” w rodzaju Stelli, która, jak się wydawało, uśmiechając się i puszczając perskie oko, wabiła go zza Atlantyku.

Oczywiście, Talamasca spotyka się z pewnym niedowierzaniem wszystkich nowych pracowników, stykających się po raz pierwszy z dziedziną czarów. To samo dotyczy badania wampirów. Niejeden członek Zgromadzenia musiał najpierw zobaczyć te stworzenia w akcji, żeby w ogóle w nie uwierzyć. Rozwiązaniem tego problemu jest wprowadzanie naszych członków w pracę w terenie pod kierunkiem doświadczonych osób, i w przypadkach, w których nie wchodzi w grę bezpośredni kontakt.

Posłanie nie posiadającego doświadczenia człowieka, takiego jak Townsend, żeby nawiązał kontakt z Czarownicami Mayfair, to to samo, co wysłanie dziecka prosto do piekła, by przeprowadziło wywiad z diabłem.

Krótko mówiąc, Stuart Townsend udał się do Nowego Orleanu nie przygotowany i nie ostrzeżony. I, z całym szacunkiem należnym osobom, które w 1929 roku kierowały Zgromadzeniem, nie sądzę, żeby coś podobnego mogło się wydarzyć dzisiaj.

Niech mi będzie wolno dodać na zakończenie, że o ile nam wiadomo, Stuart nie posiadał żadnych niezwykłych mocy. Nie był, jak to się mówi, „medium”. Nie dysponował więc żadną pozazmysłową bronią, którą mógłby się posłużyć, kiedy znalazł się twarzą w twarz z wrogiem. Nie dostrzegał nawet, że jest to wróg.

* * *

Zaginięcie Stuarta zgłoszono nowoorleańskiej policji 25 lipca 1929 roku. Minął pełen miesiąc od jego przybycia do Nowego Orleanu. Talamasca usiłowała nawiązać z nim kontakt przy pomocy telegrafu i telefonu. Irwin Dandrich starał się go odnaleźć, lecz nadaremnie. Obsługa Hotelu św. Karola, z

którego Stuart, zgodnie z własnymi słowami, wysłał swój jedyny list z Nowego Orleanu, zaprzeczyła, jakoby osoba taka kiedykolwiek wpisała się na listę gości. Nikt nie pamiętał, żeby ktoś o tym nazwisku w ogóle się tam zjawił.

Pracującym dla nas prywatnym detektywom nie udało się odkryć żadnego dowodu na to, że Townsend kiedykolwiek dotarł do Nowego Orleanu. I policja wkrótce zaczęła w to wątpić.

28 lipca miejscowe władze poinformowały naszych tamtejszych ludzi, że nie mogą już nic więcej uczynić. Lecz dzięki uporczywym naciskom ze strony zarówno Dandricha jak i Talamaski, policja zgodziła się w końcu pójść do domu Stelli i zapytać, czy kiedykolwiek widziała się lub rozmawiała z tym młodym człowiekiem. Nie żywiliśmy już wówczas żadnych nadziei, jednak Stella zaskoczyła wszystkich, natychmiast przypominając sobie Stuarda.

Tak, istotnie, spotkała Stuarda – mówiła; wysokiego Teksasńczyka z Anglii; jak mogłaby kiedykolwiek zapomnieć kogoś równie interesującego? Zjedli razem lunch, a potem kolację, i przegadali całą noc.

Nie, nie ma pojęcia, co mu się mogło przytrafić. Faktycznie, zupełnie nagle wyraźnie się zmartwiła na myśl, że ktoś mógł mu coś zrobić.

Owszem, wspominał jej, że zatrzymał się w Hotelu św. Karola; dlaczego, na Boga, miałby kłamać? Zaczęła płakać. Och, ma nadzieję, że nic mu się nie stało. Była tak bardzo zdenerwowana, iż policjanci nie chcieli jej już więcej niepokoić. Ale sama ich zatrzymała, zadając pytania. Czy rozmawiali z ludźmi w Dworze Dwóch Sióstr? Zabrała tam Stuarda. Spodobało mu się to miejsce, może potem wrócił. I jeszcze była ta spelunka na ulicy Bourbona; rozmawiali tam wcześniej rano, następnego dnia, kiedy ich wyrzucili z jakiegoś bardziej szacownego miejsca – parszywej dziury!

Policja sprawdziła wspomniane lokale. Wszyscy znali Stellę. Tak, możliwe, że towarzyszył jej mężczyzna. Zawsze przychodziła z jakimś mężczyzną. Ale nikt nie przypominał sobie niczego na temat Stuarda.

Przeczესano pozostałe hotele w mieście. Nie znaleziono żadnych rzeczy,

należących do Stuarta. Przepytano taksówkarzy, lecz z tym samym, przygnębiającym brakiem rezultatów.

* * *

DALSZY CIĄG HISTORII STELLI

Raport Arthura Langtry'ego

Arthur Langtry był bez wątpienia jednym z najbardziej utalentowanych badaczy, jakich wydała Talamasca. Swoje życie poświęcił studiom nad kilkoma potężnymi „rodami czarownic”. Dzieje pięćdziesięcioletniej kariery tego człowieka w Zgromadzeniu tworzą jedną z najciekawszych i najbardziej zdumiewających historii, zawartych w naszych archiwach, a jego szczegółowe prace dotyczące rodzin, którymi się zajmował, należą do najcenniejszych dokumentów, jakie posiadamy.

Ku wielkiemu żalowi tych z nas, dla których Czarownice Mayfair stały się życiową obsesją, Langtry nigdy nie był w stanie poświęcić swojego czasu tej sprawie. Zanim jeszcze zajął się tym Stuart Townsend, Langtry wyraził swoje ubolewanie z powodu tej sytuacji.

Jednak Arthur nie jest winien nikomu przeprosin za to, że nie starczyło mu życia dla każdego rodu czarownic, wymienionego w naszych aktach.

Mimo to, czuł się odpowiedzialny za zniknięcie Stuarta Townsenda i nic nie było w stanie go odwieść od podróży do Luizjany, w sierpniu 1929 roku. Jak już powiedziano, czuł się winny, ponieważ nie przeciwstawił się wyznaczeniu Stuarta do spełnienia owej misji; w głębi serca, wiedział, iż młodszy kolega nie powinien wyjeżdżać.

– Tak bardzo chciałem, żeby ktoś tam pojechał – wyznał przed opuszczeniem Londynu. – Nie mogłem się doczekać, żeby coś się wydarzyło. I oczywiście, czułem, że sam nie będę mógł udać się z tym posłaniem. Pomyślałem więc sobie, że może temu dziwnemu młodemu Teksańczykowi uda

się przebić głową mur.

Langtry, który zbliżał się wówczas do siedemdziesiątego czwartego roku życia, był wysokim, chudym mężczyzną, z siwymi włosami o odcieniu stali, prostokątną twarzą i zapadniętymi oczyma. Wyróżniał się niezwykle przyjemnym głosem i nienagannymi manierami. Cierpiał na pomniejsze przypadłości, właściwe późnemu wiekowi, ale wzięwszy wszystko pod uwagę, trzymał się całkiem nieźle.

W czasie długich lat pracy widział „wszystko”. Był potężnym medium, absolutnie nieustraszonym w obliczu jakiegokolwiek manifestacji sił nadprzyrodzonych. Lecz nigdy nie działał pochopnie lub nieostrożnie. Nie zdarzało mu się nie docenić jakiegokolwiek rodzaju fenomenu. W czasie prowadzonych przez siebie badań wykazał się niezwykłą odwagą i siłą.

Kiedy tylko dowiedział się o zniknięciu Stuarta, nabrał pewności, że młody człowiek nie żyje. Szybko przeczytał ponownie materiał dotyczący sprawy Mayfairów i dojrzał błąd popełniony przez Zgromadzenie.

Przybył do Nowego Orleanu 28 sierpnia 1929 roku i zarejestrowawszy się natychmiast w Hotelu św. Karola, wysłał list do Domu, tak jak zrobił to był Stuart. Podał swoje imię, londyński adres i numer telefonu kilku osobom w rejestracji hotelowej, tak by go dobrze zapamiętano. Odbył długą, międzynarodową rozmowę telefoniczną z Domem, w czasie której podał nam numer pokoju i kilka detali związanych z przyjazdem.

Następnie spotkał się w hotelowym barze z jednym z naszych tamtejszych ludzi, bardzo fachowym prywatnym detektywem; wszystkie drinki polecił zapisać na rachunek pokoju.

Upewnił się co do wszystkiego, o czym już wcześniej poinformowano Zgromadzenie. Dowiedział się także, że Stella nie chce już pomagać w jakimkolwiek śledztwie. Twierdziła uparcie, że nic nie wie i nie może nikomu pomóc; w końcu straciła cierpliwość i odmówiła dalszych rozmów z detektywami.

„Kiedy pożegnałem się z owym dżentelmenem”, pisał Langtry w swoim raporcie, „wiedziałem już na pewno, iż ktoś mnie obserwuje. Było to jedynie uczucie, jednak niezwykle silne. Przypuszczam, że ma to związek ze zniknięciem Stuarta, chociaż osobiście nie zadawałem nikomu w hotelu żadnych pytań na jego temat.

Kusiło mnie ogromnie, żeby pomyszkować po budynku w poszukiwaniu jakichś ukrytych wskazówek, że Townsend przebywał w tym, lub w tamtym pokoju. Byłem jednak głęboko przekonany, iż nieszczęście nie spotkało go w tym hotelu. Przeciwnie, obserwujący mnie ludzie pilnowali każdego mojego ruchu i posunięcia, robili to jedynie dlatego, iż ktoś im za to zapłacił. Postanowiłem niezwłocznie skontaktować się ze Stellą Mayfair.”

Langtry zadzwonił do niej ze swojego pokoju. Chociaż minęła już czwarta po południu, Stellę najwyraźniej obudził dopiero dzwonek jej prywatnego telefonu. Bardzo niechętnie zgodziła się na ponowną rozmowę na ten temat. I prędko stało się jasne, iż jest autentycznie zdenerwowana.

– Niech pan posłucha, nie wiem, co się z nim stało! – powiedziała; i znowu zaczęła płakać. – Podobał mi się. Naprawdę go lubiłam. Był takim dziwnym człowiekiem. Poszliśmy do łóżka, wie pan.

Langtry nie wiedział co powiedzieć słysząc tak szczere wyznanie. Nawet ów oddzielony od ciała głos wydawał się posiadać pewien wdzięk. Langtry był przekonany, iż łyż są prawdziwe.

– Tak, poszliśmy – mówiła dalej, bez skrępowania. – Zabrałam go w pewne okropne miejsce w dzielnicy francuskiej. Mówiłam o tym policji. W każdym razie, bardzo go lubiłam! Powiedziałam mu, żeby trzymał się z daleka od tej rodziny. Powiedziałam mu to! Miał niezwykle osobliwe wyobrażenie o świecie. Nie wiedział o niczym! Powiedziałam mu, żeby odszedł. Myślałam, że to właśnie zrobił, rozumie pan, że przyjął moją radę i po prostu wycofał się.

Langtry błagał ją, by mu pomogła odkryć, co się wydarzyło. Wyjaśnił, że był współpracownikiem Townsenda, że bardzo dobrze się znali.

– Współpracownikiem? Chce pan powiedzieć, że należy pan do tej grupy.

– Tak, jeśli chodzi pani o Talamaskę...

– Szszsz, proszę posłuchać. Kimkolwiek pan jest, może pan tu przyjść, jeśli ma pan ochotę. Ale proszę to zrobić jutro wieczorem. Widzi pan, wydaję przyjęcie. Wmiesza się pan w tłum. Jeśli ktokolwiek zapyta, kim pan jest, czego prawdopodobnie nikt nie zrobi, proszę odpowiedzieć tylko, że Stella pana zaprosiła. Niech pan poprosi, żeby zaprowadzono pana do mnie. Ale, na miłość boską, niech pan nie wspomina o Townsendzie i niech pan nie wymienia nazwy swojego... jakkolwiek pan to nazywa...

– Talamasca...

– Właśnie! Proszę posłuchać teraz, co panu powiem. Będą tam setki ludzi; białe krawaty i szmaty, wie pan; niech się pan zachowuje dyskretnie. Niech pan zwyczajnie podejdzie do mnie, a kiedy mnie pan będzie całował, proszę mi szepnąć do ucha swoje nazwisko. Jeszcze raz, jak ono brzmi?

– Langtry. Arthur.

– Hmmmm. Mhmm. Dobrze. Dość łatwe do zapamiętania. Proszę postępować ostrożnie. Nie mogę dłużej rozmawiać. Przyjdzie pan, dobrze? Musi pan koniecznie przyjść!

Langtry zaręczył, że nic go od tego nie powstrzyma. Zapytał, czy pamięta fotografię, na której napisała „Dla Talamaski, od kochającej Stelli! PS Inni też obserwują”.

– Jasne, że pamiętam. Niech pan posłucha, nie mogę teraz o tym rozmawiać. To wydarzyło się całe wieki temu. Jeszcze wtedy żyła moja matka. Niech pan słucha, trudno sobie wyobrazić, jak paskudnie teraz wszystko wygląda. Nigdy nie byłam w gorszych tarapatach. Nie wiem, co stało się ze Stuartem, naprawdę nie wiem. Niech pan słucha. Proszę koniecznie jutro tutaj przyjść!

– Będę na pewno – odpowiedział Langtry, usilnie próbując wyczuć, czy nie jest wabiony w jakąś pułapkę. – Ale do czego są potrzebne te wszystkie środki ostrożności, nie rozumiem...

– Kochanie, niech pan posłucha – powiedziała Stella, zniżając głos. – To wszystko jest bardzo miłe, ta wasza organizacja i biblioteka i wszystkie wspaniałe tajemne studia. Ale niech pan nie będzie kompletnym idiotą. Nie żyjemy w świecie seansów i mediów, przez które przemawiają zmarli krewni, żeby nam powiedzieć, że tytuł własności posesji przy ulicy Ósmej jest schowany między kartami Biblii. I wszystkie te bzdury o voodoo, to dopiero heca. A przy okazji, nie mieliśmy żadnych szkockich przodków. Wszyscy jesteśmy Francuzami. Wujek Julien wymyślił coś na temat tego szkockiego zamku, który kupił, kiedy był w Europie. Więc proszę o tym wszystkim zapomnieć, jeśli łaska. Ale mogę wam opowiedzieć o innych rzeczach! I o to właśnie chodzi. Proszę, niech pan przyjdzie wcześniej, koło ósmej, dobrze? Ale w żadnym wypadku, niech pan nie przychodzi pierwszy. Muszę się z tego wygrzebać; naprawdę, nie potrafiłby pan sobie wyobrazić, jakie to wszystko zrobiło się paskudne. Powiem coś panu szczerze. Nigdy nie prosiłam, żeby przyjść na świat w tej zwariowanej rodzinie! Naprawdę! Zaprosiłam na jutro trzysta osób, a nie mam na całym świecie jednego jedyne przyjaciela.

Odwiesiła słuchawkę.

Langtry, który stenografował całą rozmowę, natychmiast przepisał ją pismem ręcznym przez kalkę i wysłał jedną kopię do Londynu. Udał się w tym celu bezpośrednio na pocztę, bowiem nie ufał już sytuacji w hotelu.

Następnie poszedł wypożyczyć frak i odpowiednią koszulę na jutrzejsze przyjęcie.

„Jestem w stanie kompletnej konfuzji”, pisał w swoim liście. „Byłem przekonany, że Stella przyłożyła ręki do pozbycia się biednego Stuarta. Teraz jednak nie wiem, co mam myśleć. Nie okłamywała mnie, to pewne. Ale dlaczego jest taka przestraszona? Oczywiście, dopóki jej nie zobaczę, nie mogę wyrobić sobie na jej temat żadnej mądrej opinii.”

Późnym popołudniem Langtry zadzwonił do Irwina Dandricha, należącego do eleganckiego towarzystwa szpiega do wynajęcia, i zaprosił go na obiad do

modnej restauracji w dzielnicy francuskiej, zaledwie kilka przecznic od hotelu.

Dandrich nie miał nic do powiedzenia w sprawie zniknięcia Stuarta; wydawał się jednak dobrze bawić w czasie posiłku, bez przerwy plotkując na temat Stelli. Ludzie mówili, że Stella się wypala.

– Nie może pan wypijać, dzień w dzień, ćwiartki francuskiej brandy i żyć wiecznie. – Dandrich mówił gestykulując drwiąco i ze znużeniem, jakby chciał dać do zrozumienia, że temat ten nudzi go śmiertelnie, podczas gdy naprawdę uwielbiał go. – A ten jej romans z Pierce'em, to skandal. Przecież chłopak ledwie skończył osiemnaście lat. To bardzo głupio ze strony Stelli. Przecież Cortland był jej głównym sprzymierzeńcem przeciw Carlotcie, a ona teraz, jak gdyby nigdy nic, uwiodła mu ukochanego syna! Nie przypuszczam, żeby Barclayowi czy Garlandowi również podobała się ta sytuacja. A Bóg jeden wie, jak wytrzymuje to Lionel. Lionel jest mono-maniakiem, a jego monomanii, oczywiście, na imię Stella.

Czy Dandrich wybierał się na przyjęcie?

– Za nic w świecie bym tego nie przepuścił. Mają być interesujące fajerwerki. Stella zabroniła Carlotcie zabierać małą Anthę z domu w czasie tych imprez. Carlotta gotuje się ze złości. Zagroziła, że wezwie policję, jeżeli chuligaństwo będzie sobie za dużo pozwalać.

– Jaka jest Carlotta?

– To Mary Beth, w której żyłach, zamiast przedniego wina, krąży ocet. Jest błyskotliwie inteligentna, ale brakuje jej wyobraźni. Jest bogata, ale niczego nie pragnie. Jest niepoprawnie praktyczna i drobiazgowa, zaharowana i nudna, kompletnie nie do wytrzymania. Oczywiście, absolutnie wszystko jest na jej głowie. Millie Dear, Nancy i Antha. Mają tam kilkoro starych służących, którzy już nie wiedzą, jak się nazywają, ani co robią; o nich też się musi troszczyć, tak jak o wszystkich pozostałych. Stella może mieć pretensje tylko do siebie. Zawsze zostawiała Carlotcie całe to najmowanie i zwalnianie, wypisywanie czeków i sztorcowanie. A zważywszy, że Lionel i Cortland zwracają się

przeciwko niej, co może teraz zrobić? Nie, gdybym był na pana miejscu, za nic nie przegapiłbym tej imprezy. Może to być ostatnia, na całkiem długi czas.

Następny dzień Langtry spędził na przeszukiwaniu spelunek i małego hoteliku (śmierdzącej dziury) w dzielnicy francuskiej, gdzie Stella zabrała Stuarta. Przez cały czas nie dawało mu spokoju uczucie, że Stuart rzeczywiście był w tych miejscach, a relacja Stelli o ich wspólnej włóczędzie jest całkowicie prawdziwa.

O siódmej wieczorem, ubrany i przygotowany do wyjścia, napisał jeszcze jeden, bardzo krótki list do Domu. Nadał go po drodze na przyjęcie, w urzędzie pocztowym przy placu Lafayette:

„Im dłużej myślę o naszej rozmowie telefonicznej, tym bardziej jestem zaniepokojony. Cóż tak przeraża tę damę? Trudno mi uwierzyć, że jej siostra, Carlotta, naprawdę mogłaby wyrządzić Stelli krzywdę. Dlaczego ktoś nie wynajmie niańki, która zaopiekowałaby się tym biednym dzieckiem? Mówię wam, czuję że coś mnie wciąga w tę historię, że wpadam w nią po uszy. Z pewnością to samo czuł Stuart.”

Langtry wysiadł z taksówki na rogu ulicy Jacksona i Kasztanowej; przeszedł pieszo pozostały odcinek drogi i zbliżył się do domu od tyłu.

„Samochody całkowicie blokowały ulice. Tłum ludzi wlewał się przez tylną bramę do ogrodu. We wszystkich oknach paliły się światła. Usłyszałem łkanie saksofonu zanim jeszcze dotarłem do głównych schodów.

Nie widziałem, żeby ktokolwiek stał we frontowych drzwiach. Wszedłem po prostu do środka i zacząłem się przepychać przez ciżbę młodych ludzi, tarasujących drogę przez hol; palili papierosy, śmieli się, pozdrawiali siebie nawzajem i nie zwracali na mnie najmniejszej uwagi.”

Można tu było zobaczyć stroje wszelkiego rodzaju; dokładnie tak, jak obiecała Stella. Było nawet całkiem sporo starszych osób. Langtry, zmierzając do baru ustawionego w salonie, gdzie podano mu kieliszek wyjątkowo dobrego szampana, czuł swoją niekrępującą anonimowość.

«Z każdą minutą wlewało się do środka coraz więcej ludzi. Tłum tańczył w przedniej części salonu. W rzeczywistości wszędzie, gdziekolwiek spojrzałem, stało takie mnóstwo gawędzących, rozbawionych osób, otulonych gęstą chmurą niebieskawego dymu z papierosów, że z trudem tylko zdołałem wyrobić sobie jakie takie pojęcie o umeblowaniu tego pomieszczenia. Sądzę, że było raczej bogate; coś w rodzaju salonu luksusowego okrętu liniowego; z palmami w doniczkach, powykręcanymi lampami art deco i delikatnymi, niejasno przywodzącymi na myśl sztukę grecką, krzesłami.

Orkiestra, ustawiona na bocznym ganku, tuż za podwójnym, dochodzącym aż do podłogi oknem, grała ogłuszająco. Nie potrafię sobie wyobrazić, jak ci ludzie mogli rozmawiać w takim hałasie. Ja nie byłem w stanie utrzymać spójnego toku myśli.

Zamierzałem właśnie wyjść na zewnątrz, kiedy mój wzrok padł na parę tańczącą pod frontowym oknem; po chwili zdałem sobie sprawę, iż wpatruję się prosto w Stellę – postać nieporównanie bardziej dramatyczną niż mogłaby to ukazać jakakolwiek fotografia. Była ubrana w złoty jedwab – kusą sukieneczkę – niewiele więcej niż strzępek halki obszytej frędzlami; wydawało się, ledwie zakrywającą kształtne kolana. Przezroczyste jak pajęczyna pończochy usiane były maleńkimi, złotymi cekinami; cekiny pokrywały także samą sukienkę; krótkie, falujące, czarne włosy przepasała atlasową wstążką w żółte kwiaty. Delikatne, połyskujące złote bransoletki zdobiły jej nadgarstki, a na szyi lśnił szmaragd Mayfairów. Był niedorzecznie staromodny, a mimo to wyglądał oszałamiająco spoczywając, w filigranowej oprawie starej roboty, na jej nagiej skórze.

Kobieta-dziecko; tym się wydawała; szczupła, bez piersi, a mimo to doskonale kobieca, ze swoimi beczelnie uróżowionymi ustami i ogromnymi czarnymi oczyma, niby rzucające blask klejnoty. Jej spojrzenie przesuwało się po wpatrzonym w nią z uwielbieniem tłumie; jednak całą uwagę skupiła na tańcu. Drobne stopy w delikatnych pantofelkach na wysokim obcasie

wystukiwały zawzięcie rytm na błyszczącej podłodze; odrzucała do tyłu głowę i śmiała się z zachwytem kręcąc się w koło, gwałtownie poruszając wąskimi biodrami, wyciągając przed siebie ramiona.

„Świetnie, Stello!”, ktoś wrzasnął; a ktoś inny: „Taaak, Stello!”, a wszystko to zgodnie z rytmem, jeżeli możecie sobie wyobrazić. A Stella potrafiła, w jakiś sposób, odpowiadać z czułością i oddaniem na gesty swoich wielbicieli, a jednocześnie, miękko i z rozkoszą cała zatracala się w tańcu.

Nigdy dotąd nie widziałem kogoś, kto potrafiłby się cieszyć muzyką i uwagą tłumu z taką niewinnością i bez wszelkich zahamowań. W jej pokazie nie było nic z cynizmu i próżności. Przeciwnie, wydawało się, że zdołała się wznieść ponad bezsensowne skrępowanie i należała równocześnie do tych, co ją podziwiali, i do siebie samej.

Co do partnera Stelli, to dostrzegłem go dopiero po chwili; chociaż jestem przekonany, że w każdym innym otoczeniu zwróciłbym na niego uwagę natychmiast, zważywszy, że był bardzo młody i rzeczywiście, nadzwyczajnie do niej podobny; miał tę samą jasną cerę, czarne oczy i czarne włosy. Jego chłopięca twarz wciąż miała ową porcelanową czystość, a waga z trudem zdawała się nadążać za wzrostem.

Rozpierała go ta sama niedbała żywotność, co Stellę. A kiedy taniec się skończył, Stella, wyrzuciwszy w górę ramiona, padła do tyłu, doskonale ufna, prosto w jego oczekujące ramiona. Objął ją z bezwstydną poufałością, pozwalając dłoniom przesunąć się po jej chłopięcym, drobnym ciele, a potem pocałował czule w usta. Lecz to wszystko nie miało w sobie cienia teatralności. W istocie nie sądzę, by zdawał sobie sprawę z obecności kogokolwiek, poza nią.

Tłum zamknął się dookoła nich. Ktoś wlewał szampana w usta Stelli, która owinęła się, żeby tak powiedzieć, wokół chłopca; znowu rozbrzmiewała ogłuszająca muzyka. Zaczęły tańczyć inne pary – nowoczesne i bardzo wesołe.

Doszedłem do wniosku, że nie jest to odpowiednia pora, by się zbliżyć do Stelli. Było dopiero dziesięć po ósmej; chciałem poświęcić kilka chwil na

rozejrzenie się dokoła. A także, przez moment czułem się, jakby jej widok wytrącił mi broń z ręki. Ogromna pustka została wypełniona. Byłem pewien, że nie skrzywdziła Stuarta. I słysząc jej śmiech, wzbijający się ponad kolejny atak orkiestry, wznowiłem przerwany marsz w kierunku drzwi holu.

Niech mi wolno będzie powiedzieć, że dom ten posiada wyjątkowo długi hol i osobliwie wysokie schody. Powiedziałbym, że liczą, na oko, jakieś trzydzieści stopni. (W rzeczywistości jest ich dwadzieścia siedem.) Pierwsze piętro wydawało się zupełnie ciemne; na klatce schodowej nie było żywej duszy; jednak dziesiątki osób kłębiły się przed schodami cisnąc się do jaskrawo oświetlonego pokoju na końcu holu.

Zamierzałem podążyć ich śladem, by przeprowadzić mały rekonesans w terenie, lecz kiedy położyłem dłoń na słupku podtrzymującym poręcz schodów, zobaczyłem, że ktoś stoi na ich szczycie. Zupełnie nagle zdałem sobie sprawę, iż jest to Stuart. Wstrząs jakiego doznałem był tak wielki, że omal nie zawołałem go na głos. Lecz po chwili uświadomiłem sobie, że coś tu nie pasuje.

Zrozumcie, wyglądał, jakby był absolutnie prawdziwy. W istocie, padające od dołu światło czyniło z niego postać na wskroś realistyczną. Lecz wyraz twarzy Stuarta natychmiast powiedział mi, że to, co widzę, nie może być rzeczywiste. Bowiem, chociaż patrzył prosto na mnie i najwyraźniej wiedział, kim jestem, to w jego wzroku nie było nic naglącego, a tylko dogłębny smutek, znużenie i wielka rozpacz.

Wydawało się, że nawet uświadomienie sobie, iż go zobaczyłem, zajmuje mu sporo czasu; a potem wolno pokręcił głową, jakby był bardzo zmęczony. Wciąż się w niego wpatrywałem, potrącany i popychany przez, Bóg jeden wie ilu, ludzi; wokół mnie królował hałaśliwy zgiełk; i znowu zjawą potrząsnęła głową, jakby czegoś zabraniała. A potem uniosła prawą dłoń i stanowczym gestem kazała mi odejść.

Nie odważyłem się poruszyć. Zachowałem absolutne opanowanie, jak zawsze w takich chwilach, stawiając opór ogarniającemu mnie szaleństwu,

koncentrując się na otaczającej mnie wrzawie, na napierającym w różnych kierunkach tłumie, a nawet na piskliwym wrzasku muzyki. Pieczołowicie utrwaląłem w pamięci to, co zobaczyłem. Ubranie było brudne i w nieładzie. Prawą stronę twarzy pokrywały rozległe siniaki, lub przynajmniej jakieś plamy.

W końcu wstąpiłem na schody i zacząłem iść w górę. Dopiero wówczas fantom ocknął się ze swego pozornego rozmarzenia. Jeszcze raz potrząsnął głową i wykonał odpędzający gest dłonią.

„Stuarcie”, wyszeptałem, „odezwij się do mnie, człowieku, jeżeli potrafisz!”

Nadal wspinałem się po schodach, z oczami utkwionymi w jego twarzy wyrażającej coraz większy lęk; ujrzałem, że pokrywa go pył; że, chociaż odwzajemnia moje spojrzenie, to jego ciało pokazuje już pierwsze oznaki rozkładu. Ach, czułem zapach zgnilizny! I wtedy stało się nieuniknione. Jego wizerunek zaczął się rozplýwać. „Stuarcie!”, zawołałem rozpaczliwie. Lecz postać pociemniała i jakaś kobieta z krwi i kości, o wyjątkowej urodzie, przeszła przez nią zupełnie nie zdając sobie z tego sprawy. Zbiegała po schodach, a potem minęła mnie, w trzepocie jedwabiu barwy brzoskwini, brzęku biżuterii, otoczona obłokiem woni słodkich perfum.

Stuart zniknął. Całkowicie rozwiął się też zapach rozkładających się zwłok. Kobieta wymruczała przeprosiny, ocierając się o mnie w locie. Zdaje się, że coś krzyczała do tłumy w holu na dole.

A potem zatrzymała się i odwróciła; wciąż stałem patrząc do góry, zupełnie o niej nie pamiętając, widząc jedynie pusty cień; nagle poczułem jej dłoń na moim ramieniu.

– Och, przyjęcie jest przecież na dole – lekko szarpnęła mnie za ramię.

– Szukam toalety – odpowiedziałem; nie potrafiłem w tamtej chwili wymyślić nic lepszego.

– Na dole, złotko, za biblioteką. Pokażę panu, to zaraz za schodami.

Podreptałem za nią niezdarnie; obeszlśmy schody i znaleźliśmy się w ogromnym, słabo oświetlonym pokoju z oknami wychodzącymi na północ. Tak,

była to z pewnością biblioteka, z półkami na książki wznoszącymi się do sufitu, ciemnymi skórzanymi meblami; tylko jedna lampa paliła się w odległym kącie, przy udrapowanej zasłonie barwy krwi. Wiszące nad kominkiem olbrzymie, matowe lustro odbijało blask tej jedynej lampy, jakby to było światelko świątyni.

– Proszę, to tutaj – powiedziała kobieta, pokazując mi zamknięte drzwi i natychmiast opuściła bibliotekę. Nagle uświadomiłem sobie obecność jakiejś pary przytulającej się na skórzanej kanapie. Na mój widok kochankowie wstali i pospiesznie wyszli. Wydawało się, że nieprzerwana wesołość przyjęcia omija ten pokój. Królowały tu cisza i kurz. Można było wyczuć zapach pleśniejącego papieru i skóry. Kiedy znalazłem się sam, ogarnęło mnie uczucie niezmiernej ulgi.

Opadłem na fotel ustawiony naprzeciw kominka; odwrócony plecami do tłumy przepływającego przez hol, patrzyłem na jego odbicie w lustrze; czułem się bezpiecznie ukryty przed zgiełkiem i modliłem się tylko, by następna zakochana para nie zechciała poszukać tutaj cichego ustronia.

Wyjąłem chusteczkę i otarłem twarz; paskudnie się pocilem. Starłem się utrwalić w pamięci każdy szczegół tego, co ujrzałem.

Wiecie dobrze, że każdy z nas posiada własną teorię na temat zjaw – dlaczego nam się ukazują; dlaczego w takiej, a nie innej postaci; i dlaczego robią to, co robią. Zapewne moja teoria nie pokrywa się z żadną inną. Ale kiedy tam siedziałem, jednej rzeczy byłem pewien. Stuart wybrał ten rozkładający się i niechlujny kształt dla jednej tylko i wystarczającej przyczyny – jego szczątki znajdowały się w tym domu! A jednak błagał mnie, żebym go opuścił. Ostrzegał mnie, bym stąd odszedł.

Czy ta przestroga była przeznaczona dla Talamaski w ogóle? Czy tylko dla Arthura Langtry’ego? Siedziałem, rozmyślając; mój puls powoli się uspokajał; i czułem, jak zawsze po takich przejściach, przypływ adrenaliny, gorliwy zapal, by odsłonić wszystkie kłamstwa, kryjące się poza niewyraźnym migotaniem

nadprzyrodzonego zjawiska, które dopiero co ujrzałem.

Czułem także wściekłość, gorzką i głęboką, na owo coś – lub kogoś – co pozbawiło Stuarta życia.

Podstawowym pytaniem, najważniejszym w owym momencie, było, jak mam postąpić. Oczywiście, muszę porozmawiać ze Stellą, lecz przedtem, w miarę możliwości, dokładnie przeszukać ten dom. A co z ostrzeżeniem Stuarta? Na czym konkretnie polega niebezpieczeństwo, na które powinienem być przygotowany?

Rozważałem to wszystko, nie wyczuwając żadnej istotnej zmiany w toczącej się w holu, za moimi plecami, hulance; gdy nagle zdałem sobie sprawę, że jednak coś w moim bezpośrednim otoczeniu zmieniło się radykalnie i znacząco. Powoli podniosłem wzrok. W lustrze było czyjeś odbicie – samotna postać, zdawało się. Wzdrygnąwszy się, obejrzałem się przez ramię. Nie dostrzegłem tam nikogo. Ponownie zerknąłem w ciemne, matowe szkło.

Z niematerialnego świata po drugiej stronie lustra spoglądał na mnie mężczyzna; w miarę jak mu się przyglądałem, czując przyływ adrenaliny i wyostanie się zmysłów, jego wizerunek stawał się jaskrawszy i bardziej wyraźny; w końcu zobaczyłem niezaprzeczalnie żywego, młodego człowieka o bladej cerze i ciemnobrązowych oczach pełnych gniewu i wrogości. Patrzył w dół, bez wątpienia na mnie.

Ostatecznie ów wizerunek osiągnął pełnię natężenia. Było w nim tyle życia, że zdawało się, iż to zwykły śmiertelnik ukrył się w izdebce za lustrem i usunąwszy szkło, spogląda na mnie z pustej ramy.

Nigdy, przez wszystkie moje lata w Talamasce, nie widziałem zjawy, tak znakomicie urzeczywistnionej. Mężczyzna ów mógł być w wieku jakichś trzydziestu lat; jego cera nie miała najmniejszej skazy, a kolory zostały starannie rozłożone – rumieniec na policzkach i ledwo widoczna szarość pod oczami. Nosił niezmiernie staroświecki ubiór, z białym, wyłożonym na wierzch kołnierzem i wspaniałym jedwabnym gorsem. Co do włosów, to układały się w

fale i były nawet nieco rozwichrzzone, jakby właśnie przeczesał je palcami. Usta wydawały się miękkie i młodzieńcze, lekko zaróżowione. Mogłem dostrzec ich czystą linię. W istocie, dostrzegłem nawet cień zarostu na ogolonym podbródku.

Jednak całość robiła okropne wrażenie; nie była to bowiem istota ludzka; ani malowidło; ani odbicie w lustrze. Lecz coś nieskończenie jaskrawszego, a przy tym tętniącego bezgłośnym życiem.

Brązowe oczy wypełniała nienawiść; patrząc na tę istotę, widziałem, jak jej usta drżą niedostrzegalnie z gniewu, a w końcu, z wściekłości.

Bardzo powoli, z namysłem, podniosłem chusteczkę do moich ust. „Czy zabiłeś mojego przyjaciela, duchu?”, wyszeptałem. Rzadko zdarzało mi się czuć równie wielkie ożywienie, taką pełną uniesienia gotowość do stawienia czoła przeciwności losu. „Cóż więc, duchu?”, wyszeptałem ponownie.

Czułem, jak opada z sił. Widziałem, że traci spoistość; w istocie, samą swoją żywotność. Twarz, tak pięknie wymodelowana i tak wyraziście odbijająca negatywne uczucia, stała się obojętna.

„Łatwo się mnie nie pozbędziesz, duchu”, powiedziałem półgłosem. „Mamy teraz dwa rachunki do uregulowania, czyż nie? Za Petyra van Abła i Stuarta Townsenda, nie zaprzeczysz chyba?”

Wydawało się, że owa ułuda nie ma dość sił, by odpowiedzieć na moje pytanie. I, zupełnie nagle, całe lustro zadrżało; trzasnęły drzwi prowadzące z holu; lustro znowu było tylko kawałkiem ciemnego szkła.

Na nagiej posadzce, poza brzegiem chińskiego dywanu, zabrzmiały kroki. Lustro było zupełnie puste, nie odbijało niczego, prócz półek z książkami.

Odwróciwszy się, ujrzałem idącą ku mnie młodą kobietę; ze wzrokiem wbitym w lustro; jej cała postawa wyrażała gniew, zmieszanie, zmartwienie. Była to Stella. Stała przed lustrem, plecami do mnie; przez chwilę wpatrywała się w nie; potem odwróciła się na pięcie.

– Cóż, może pan opisać to swoim przyjaciołom w Londynie, prawda? – powiedziała. Wydawała się być na granicy hysterii. – Może im pan powiedzieć,

że pan to widział.

Zdałem sobie sprawę, że cała się trzęsie. Frędzle jej kusej, złotej sukieneczki drżały. Nerwowo zaciskała dłoń na olbrzymim szmaragdzie zdobiącym jej szyję.

Usiłowałem wstać, lecz powstrzymała mnie gestem ręki. Natychmiast zajęła miejsce na kanapie, po mojej lewej stronie; położyła dłoń na moim kolanie. Pochyliła się ku mnie tak blisko, że widziałem tusz na jej długich rzęsach i puder na policzkach. Była jak ogromna, wpatrzona we mnie lalka, bogini kina, naga pod pajęczyną jedwabiu.

– Niech pan posłucha, czy mógłby pan zabrać mnie ze sobą? – zapytała. – Z powrotem do Anglii, do tych ludzi, do Talamaski? Stuart mówił, że to możliwe.

– Jeśli powie mi pani, co się stało ze Stuartem, wezmę panią, gdzie tylko pani zechce.

– Nie wiem, co mu się stało – jej oczy natychmiast napęłniły się łzami. – Niech pan posłucha. Muszę się stąd wydostać. Nie wyrządziłam mu krzywdy. Nie robię takich rzeczy nikomu. Nigdy nie robiłam! Na Boga, czy pan mi nie wierzy? Czy nie potrafi pan wyczuć, że mówię prawdę?

– W porządku. Co pani chce, żebym zrobił?

– Niech mi pan pomoże! Niech mnie pan zabierze ze sobą, z powrotem do Anglii. Niech pan słucha, mam paszport i mnóstwo pieniędzy – w tym momencie przerwała, żeby wyciągnąć szufladę stojącego obok kanapy biurka, z której wyjęła istny plik dwudziestodolarowych banknotów. – Proszę za to kupić bilety. Spotkamy się dziś wieczór.

Zanim zdążyłem odpowiedzieć, wzdrygnęła się i uniosła wzrok. Otworzyły się drzwi i wszedł młody chłopiec, z którym przedtem tańczyła, zarumieniony i wyraźnie zatroskany.

– Stello, szukałem cię...

– Och, kochanie, już idę – powiedziała, podnosząc się natychmiast; rzuciła mi przez ramię znaczące spojrzenie. – Wracaj teraz i przynieś mi coś do picia, dobrze kochanie? – Mówiąc do niego, poprawiła mu krawat, a potem szybkimi,

drobnymi gestami rąk odwróciła go do tyłu i właściwie wypchnęła za drzwi.

Był bardzo podejrzliwy, ale wyraźnie zbyt dobrze wychowany, by zaprotestować. Zrobił, co mu powiedziała. Natychmiast zamknęła drzwi i wróciła do mnie. Była zarumieniona, niemal rozgorączkowana i absolutnie przekonująca. W istocie, robiła na mnie wrażenie osoby w pewnym sensie niewinnej, szczerze wierzącej w cały ten jazzowy optymizm i bunt. Wydawała się autentyczna, jeżeli wiecie, co mam na myśli.

– Niech pan idzie na dworzec – błagała mnie – i kupi bilety. Spotkamy się w pociągu.

– Ale w którym pociągu, o której godzinie?

– Nie wiem, w którym pociągu! – załamała ręce. – Nie wiem, o której godzinie. Muszę się stąd wydostać. Niech pan posłucha, wyjdę z panem.

– To z pewnością wygląda na lepszy plan. Mogłaby pani poczekać na mnie w taksówce, a ja zabiorę z hotelu swoje rzeczy.

– Tak, to świetny pomysł – wyszeptała. – I wyjedziemy pierwszym pociągiem, który stąd odjeżdża. Zawsze możemy później zmienić kierunek podróży.

– A co z nim?

– Kim? A, nim! – odbiła moje słowa. – Chodzi panu o Pierce’a? Nie sprawi żadnego kłopotu! Jest absolutnie kochany. Dam sobie radę z Pierce’em.

– Wie pani, że nie chodzi mi o niego – powiedziałem. – Mam na myśli człowieka, którego widziałem przed chwilą w lustrze. Zmusiła go pani żeby zniknął.

Sprawiała wrażenie doprowadzonej do absolutnej rozpacz. Przypominała zapędzone w pułapkę zwierzę, ale nie sądzę, żebym to ja był przyczyną jej przerażenia. Nie mogłem tego zrozumieć.

– Niech pan posłucha, to nie ja zmusiłam go do zniknięcia – powiedziała półgłosem. – To pan to zrobił. – Uczyniła świadomą próbę odzyskania równowagi; położyła na chwilę dłoń na unoszącej się ciężko piersi. – On nas nie

zatrzyma. Proszę, niech pan mi wierzy, nie zrobi tego.

W tym momencie wrócił Pierce; znowu otworzył drzwi i wpuścił do środka potężną kakofonię dźwięków. Z wdzięcznością przyjęła od niego kieliszek szampana i wypila połowę zawartości.

– Za sekundę do pana wrócę – powiedziała do mnie z rozmyślną słodyczą. – Dosłownie za sekundę. Zaczeka pan tutaj, dobrze? Albo nie, dlaczego właściwie nie miałby pan zaczerpnąć świeżego powietrza? Niech pan wyjdzie na frontowy ganek, złotko. Zaraz przyjdę z panem porozmawiać.

Pierce wiedział, że Stella coś knuje. Spoglądał to na nią, to na mnie, ale najwyraźniej czuł się zupełnie bezradny. Wzięła go pod ramię i wyprowadziła z biblioteki; wyszli przede mną. Spojrzałem w dół, na dywan. Wszędzie leżały porozrzucane dwudziestodolarowe banknoty. Pozbierałem je w pośpiechu, wetknąłem z powrotem do szuflady i wyszedłem do holu.

Dokładnie naprzeciwko drzwi do biblioteki dostrzegłem kątem oka portret Juliena Mayfaira; niezłe płótno w ciemnej, rembrandtowskiej kolorystyce. Żałowałem, że nie mam czasu, by mu się przyjrzeć.

Szybko przeszedłem za schodami i zacząłem się przeciskać i przepychać, najdelikatniej jak się dało, w kierunku drzwi frontowych.

Musiały minąć jakieś trzy minuty; zdołałem dotrzeć zaledwie do słupka podtrzymującego poręcz u dołu schodów, kiedy ujrzałem go znowu; a może tylko przez krótką, straszliwą chwilę myślałem, że go widzę – mężczyznę o kasztanowych włosach, którego zobaczyłem w lustrze. Tym razem wpatrywał się we mnie spoza czyjś ramienia; stał w odległym kącie, w przedniej części holu.

Spróbowałem znowu odszukać go wzrokiem. Lecz nie udało mi się. Ludzie napierali na mnie, jakby rozmyślnie starając się zatarasować przejście; oczywiście, było to tylko złudzenie.

Wtedy zauważyłem, że ktoś przede mną pokazuje ręką na schody. Minałem je już i znajdowałem się zaledwie parę metrów od drzwi. Kiedy odwróciłem się,

ujrzałem stojące na podeście piętra dziecko, śliczną jasnowłosą dziewczynkę. Bez wątpienia, była to Antha, chociaż wydawała się raczej zbyt drobna jak na osiem lat. Miała na sobie flanelową koszulę nocną i była bosy. Płacząc, patrzyła ponad poręczą na drzwi prowadzące do frontowego pokoju.

Obróciłem się również, by spojrzeć w tamtym kierunku; w tej samej chwili usłyszałem czyjeś głośne sapnięcie; tłum rozdzielił się pośrodku; ludzie, w widocznym popłochu, odskakiwali na boki. W przejściu, nieznacznie na lewo ode mnie, stał zwrócony twarzą do wnętrza pokoju, rudowłosy mężczyzna. Patrzyłem, ze ściskającym serce przerażeniem, jak podnosi trzymany w prawej dłoni pistolet; padł strzał. Ogłuszający huk wstrząsnął całym domem. Wybuchła panika. Powietrze wypełniło się krzykiem. Ktoś upadł przy drzwiach, inni biegli, ratując owego nieszczęśnika. Ludzie usiłowali z powrotem wydostać się do holu.

Zobaczyłem Stellę, upadła na podłogę, pośrodku frontowego pokoju. Leżała na plecach, z głową odwróconą w bok; patrzyła w stronę holu. Rzuciłem się do przodu, lecz nie zdążyłem powstrzymać rudowłosego mężczyzny, który stanął nad nią i jeszcze raz wystrzelił z pistoletu. Jej ciało drgnęło konwulsyjnie, krew trysnęła z rany z boku głowy.

Chwyciłem drania za rękę; kiedy zaciskałem dłoń wokół jego nadgarstka, wypalił znowu. Lecz tym razem chybił; kula trafiła w podłogę. Wrzaski tłumu zdały się teraz dwa razy głośniejsze. Słysząc było brzęk tłuczonego szkła. Ktoś spróbował schwycić zabójcę od tyłu; jakimś sposobem zdołałem odebrać mu broń, przy okazji jednak nadepnąłem na Stellę; w istocie, potknąłem się o jej stopy.

Z pistoletem w dłoni, upadłem na kolana; po czym, rozmyślnie odepchnąłem go po podłodze, jak najdalej. Morderca zmagał się, na próżno, z półtuzinem mężczyzn. Ze wszystkich stron sypało się na nas szkło z wybijanych szyb. Zobaczyłem, że deszcz pada na ciało Stelli. Krew spływała po szyi zmarłej i po leżącym krzywo na jej piersi szmaragdzie Mayfairów.

Następne co zapamiętałem, to potężny grzmot, którego łoskot zagłuszał krzyki i wrzaski, wciąż dobiegające ze wszystkich stron. Poczułem, jak ulewa wdziera się do środka; potem usłyszałem bębniące w otaczające dom ganki krople deszczu; i wtedy zgasły światła.

W powtarzających się błyskach piorunów widziałem, że mężczyźni wyciągają mordercę z pokoju. Przy boku Stelli klęczała jakaś kobieta; uniosła do góry jej bezwładną dłoń i wrzasnęła rozdzierająco.

Co się tyczy dziewczynki, to weszła do pokoju i stała, bosą, wpatrując się w matkę. A potem zaczęła krzyczeć. Jej głos wzbił się wysoko, ponad głosy innych. „Mamo, Mamo, Mamo”; jakby z każdym kolejnym wybuchem jej świadomość, tego co się wydarzyło, i jej bezradność stawały się coraz głębsze.

„Niech ktoś ją stąd zabierze”, wrzasnąłem. I rzeczywiście, ludzie zaczęli otaczać ją ze wszystkich stron i usiłowali odciągnąć na bok. Odsunąłem się im z drogi; lecz podniosłem się z kolan dopiero, kiedy dotarłem do okna wychodzącego na boczny ganek.

W następnym przeblysku światła zobaczyłem, że ktoś podnosi pistolet. Podano go jakiejś innej osobie, a potem jeszcze innej, która trzymała go, jakby to było żywe stworzenie. Odciski palców nie miały już żadnego znaczenia; jeśli w ogóle kiedykolwiek miały jakieś; było zresztą tylu świadków. Nie widziałem sensu pozostania tam dłużej. Odwróciłem się i, wszedłszy na boczny ganek, i w ulewę, ruszyłem przez trawnik.

Tłoczyły się tutaj dziesiątki osób; kobiety płakały; mężczyźni usiłowali marynarkami osłonić od deszczu ich głowy; wszyscy przemoczeni, dygoczący i nie mający pojęcia, co począć. Światła zamigotały przez ułamek sekundy, lecz następny, gwałtowny rozbłysk błyskawicy zasygnalizował ostateczną klęskę elektryczności. Gdy nagle jedno z okien na piętrze trzasnęło, rozsypując się w deszcz migocących odłamków szkła, nastąpił kolejny wybuch paniki.

Szedłem pospiesznie ku tylnej części posiadłości, myśląc, że zdołam tamtędy wyjść, nie zauważony przez nikogo. Musiałem przebiec krótką, wyłożoną

kamiennymi płytami ścieżkę i wspiąć się po dwóch stopniach na otaczające basen patio; dalej wypatrzyłem boczną alejkę, wiodącą do bramy.

Nawet poprzez zwartą ścianę deszczu zdołałem dostrzec, iż brama jest otwarta. Widziałem przez nią mokry, lśniący bruk jezdni. Grzmot przetoczył się ponad dachami domów; światło błyskawicy obnażyło na mgnienie oka odrażający teraz ogród, z jego balustradami, wyniosłymi kameliami i ręcznikami plażowymi przerzuconymi przez oparcia czarnych, stalowych szkieletów krzeseł. Wszystko to chłostał bezlitosny wiatr.

Nagle usłyszałem wycie syren. Zmierzając spieszonym krokiem w kierunku alejki, ujrzałem kątem oka mężczyznę stojącego nieruchomo i jakoś sztywno, w ogromnej kępie drzew bananowych rosnącej na prawo od bramy.

Kiedy podszedłem bliżej, spojrzałem na twarz mężczyzny. Był to ów duch, ukazał mi się raz jeszcze, chociaż w jakim, na Boga, celu, nie mam pojęcia. Moje serce przyspieszyło niebezpiecznie; poczułem chwilowy zawrót głowy i ucisk w skroniach, jakby krew przestała krążyć w moich żyłach.

Pojawił się w tej samej postaci, co poprzednio; zobaczyłem wyraźne, brązowe refleksy we włosach i oczach; ciemne ubranie, nie zwracające uwagi żadnym szczegółem, a jedynie swoją sztywną elegancją i jakąś mglistą nieokreślonością. A jednak, na ramionach mężczyzny i wyłogach surduta błyszczały krople deszczu. Lśniły także w jego włosach.

Lecz to właśnie twarz owej istoty oczarowała mnie. Cierpienie w monstualny sposób zniekształcało jej rysy, policzki były wilgotne od bezdźwięcznego płaczu; staliśmy tak patrząc na siebie.

„Na Boga w niebiosach, przemów jeśli możesz”, wymówiłem niemal te same słowa, którymi wzywałem biedne, pełne rozpacz widmo Stuarta. Tak bardzo byłem oszołomiony wszystkim, co widziałem, że rzuciłem się w stronę Lashera, usiłując schwycić za ramiona i wytrząsnąć odpowiedź, jakby to było możliwe.

Zniknął. Tylko że tym razem poczułem jego znikanie. Owionęło mnie ciepło

i nagły ruch powietrza. To było tak, jakby coś go wessało; drzewa bananowe zachwiały się gwałtownie. Ale przecież szarpał je wiatr i deszcz. I w następnej chwili nie byłem już pewien, co zobaczyłem i co czułem. Serce waliło mi w piersi jak oszalałe. Znowu zakręciło mi się w głowie. Czas się stąd wydostać.

Szedłem pospiesznie ulicą Kasztanową, mijając dziesiątki błakających się bez celu, oszołomionych, łkających postaci. A potem, przy Alei Jacksona, wyszedłem z ulewy i znalazłem się na dość czystej, spokojnej ulicy, gdzie ruch przepływał majestatycznie i nikt, najwyraźniej, nie miał pojęcia o tym, co wydarzyło się zaledwie kilka przecznic dalej. W ciągu paru sekund udało mi się złapać taksówkę do hotelu.

Kiedy tylko tam dotarłem, spakowałem rzeczy i staszczyłem je na dół, nie korzystając z pomocy chłopca hotelowego; natychmiast zapłaciłem rachunek i wyprowadziłem się. Kazałem taksówkarzowi zawieźć się na dworzec kolejowy, gdzie złapałem nocny pociąg do Nowego Jorku; i siedzę teraz w swoim przedziale w wagonie sypialnym.

Nadam ten list, jak tylko nadarzy się okazja. Do tego momentu, będę go nosił przy sobie, żywiąc, być może płonną, nadzieję, że jeśli cokolwiek mi się przytrafi, list zostanie znaleziony.

Lecz, w chwili kiedy piszę te słowa, nie sądzę by miało mnie spotkać coś złego. Ów rozdział dobiegł końca. Upiornego i krwawego końca. Stuart był jego częścią. I Bóg jeden wie, jaką rolę w tym wszystkim odegrał ten duch. Lecz nie będę kusił znowu demona, wracając w tamto miejsce. Każda cząstka mojej jaźni mówi mi, żebym uciekał jak najdalej. A gdybym na chwilę o tym zapomniał, to prześladowające mnie wspomnienie Stuarta, gestykulującego do mnie ze szczytu schodów, wskaże mi właściwą drogę.

Jeśli nie będzie nam dane porozmawiać w Londynie, proszę, zwróćcie uwagę na radę, którą wam teraz dam. Nikogo więcej nie wysyłajcie do Nowego Orleanu. W każdym razie, nie teraz. Obserwujcie i czekajcie, tak jak nakazuje nasze motto. Rozważcie świadectwa. Spróbujcie wyciągnąć jakąś naukę z tego,

co się wydarzyło. I, ponad wszystko, przestudiujcie zgromadzone w archiwach dokumenty dotyczące Mayfairów. Zanalizujcie je dokładnie i uporządkujcie różnorodny materiał.

Jestem w tej chwili przekonany, słusznie lub nie, że ani Lasher, ani Stella nie przyłożyli ręki do śmierci Stuarta. A jednak, jego szczątki znajdują się pod tamtym dachem.

Niech Rada, w odpowiedniej chwili, rozważy wszystkie świadectwa. Nie wysyłajcie tu nikogo więcej.

Nie możemy liczyć ani na urzędową sprawiedliwość względem Stuarta, ani na jakiegokolwiek prawne rozwiązania. Nawet podczas śledztwa, które nieuchronnie nastąpi po koszmarnych wydarzeniach dzisiejszej nocy, dom Mayfairów ani teren, na którym stoi, nie zostaną przeszukane. I jakże moglibyśmy zażądać, by podjęto takie kroki?

Lecz Stuart nigdy nie zostanie zapomniany. I wciąż mam tyle wiary w siebie, nawet teraz, u schyłku mojego życia, by ufać, że rachunek musi zostać wyrównany – zarówno za Petyra, jak i za Stuarta – chociaż z kim, albo z czym, nie mam pojęcia.

Nie mówię o karze czy zemście, lecz o iluminacji, zrozumieniu i, ponad wszystko, rozstrzygnięciu. Mówię o świetle ostatecznej prawdy.

Ci ludzie, Mayfairowie, nie wiedzą już, kim są. Wiercie mi, Stella była niewinna. Jestem o tym przekonany. Ale my wiemy. Wiemy; i Lasher też wie. Kim jest Lasher? Kim jest ów duch, który zdecydował wyjawić mi swój ból, pokazać swoje łyzy?»

* * *

Arthur nadał ten list z St. Louis, Missouri. Niewyraźna kopia została wysłana dwa dni później, z Nowego Jorku, razem z krótkim postscriptum informującym, że Arthur zarezerwował miejsce na podróż powrotną na statku

odpływającym pod koniec tygodnia.

Po dwóch dniach na morzu Arthur zadzwonił do pokładowego lekarza, skarżąc się na bóle w klatce piersiowej i prosząc o zwykłe lekarstwo na niestrawność. Pół godziny później doktor stwierdził zgon Arthura; najwyraźniej przeszedł zawał serca. Było to w pół do siódmej wieczorem, 7 września 1929 roku.

Na pokładzie statku, w przeddzień swojej śmierci, Arthur napisał jeszcze jeden krótki list. Znaleziono go w kieszeni jego szlafroka.

Pisał w nim, że nie czuje się dobrze, cierpi na gwałtowną chorobę morską, jakiej nie doświadczył od lat. Chwilami obawiał się, iż jest naprawdę chory i może już nigdy nie ujrzeć ponownie Domu.

„Chciałbym z Wami przedyskutować tyle rzeczy na temat Mayfairów; tak wiele myśli krąży po mojej głowie. A co, jeśli mielibyśmy odciągnąć tego ducha? To znaczy, jeśli zaprosilibyśmy go do nas?”

* * *

Całował ją; delikatne palce pieściły jej piersi. Rozkosz była niezwykle przejmująca; wręcz paralizująca. Spróbowała podnieść głowę. Jednak nie była w stanie się poruszyć. Monotonny warkot silników odrzutowych kołysał ją do snu. Tak, to tylko senne marzenie. Lecz wydaje się takie rzeczywiste; coraz głębiej osuwa się w sen. Jeszcze tylko czterdzieści pięć minut do lądowania na lotnisku w Nowym Orleanie. Musi spróbować się obudzić. Ale wtedy pocałował ją znowu, wciskając swój język pomiędzy jej wargi; jakże delikatnie, a równocześnie zdecydowanie; palce dotykały sutków, ściskając je, jakby była naga pod kusym, wełnianym kocykiem. Och, wiedział, jak to robić; pieścił je powoli, lecz mocno. Odwróciła się bardziej w stronę okna, opierając podciągnięte do góry kolana o ścianę kabiny. Nikt nie zwraca na nią uwagi. Pierwsza klasa do połowy pusta. Są prawie na miejscu.

Znowu szczypał jej sutki; odrobinę bardziej boleśniej; ach, jak cudownie. Nie, nie jesteś zbyt brutalny, nie mógłbyś. Przyciśnij swoje usta mocniej do moich. Chcę poczuć twój język. Rozchyliła wargi; wsunął palce w jej włosy, budząc kolejne, nieoczekiwane doznanie, ulotne mrowienie w całym ciele. To właśnie było najwspanialsze – to połączenie różnych wrażeń, jakby mieszały się ze sobą pastelowe i jaskrawe barwy; po nagiej skórze jej pleców i ramion przebiegały lodowate dreszcze; jednocześnie między nogami czuła falę gorąca. *Wejdz we mnie! Chcę, żebyś mnie wypełnił, swoim językiem, sobą; wejdz we mnie mocniej.* Był ogromny, lecz gładki, skąpany w jej sokach.

Nadeszło spełnienie; przyjęła je cicho, drżąc pod kocem; włosy opadły na twarz; tylko niejasno zdawała sobie sprawę, że nie jest naga; że nie ma nikogo, kto mógłby jej dotykać, dawać taką rozkosz. Ale to trwało nadal, sprawiając, że serce niemal stanęło w piersi, krew uderzała do głowy, a wzdłuż jej ud i łydek przebiegały dreszcze.

Rowan, jeśli to się zaraz nie skończy, umrzesz. Jego dłoń pogłaskała ją po policzku. Całował jej powieki. Kocham...

Gwałtownie otworzyła oczy. Przez chwilę nie widziała niczego. Potem zobaczyła kabinę samolotu. Malutka roleta była opuszczona i wszystko wokół wydawało się skąpane w szarej poświacie, przesycone rykiem silników. Wciąż wstrząsały nią dreszcze rozkoszy. Odchyliwszy się na ogromne, miękkie oparcie fotela lotniczego, poddała się im, jakby to były łagodne, cudownie wymodulowane, elektrowstrząsy; jej oczy wędrowały leniwie po suficie; walczyła ze sobą, żeby ich nie zamknąć, żeby obudzić się na dobre.

O Boże, jak musi wyglądać po tej małej orgietce? Na pewno ma rumieńce.

Bardzo powoli wyprostowała się w fotelu, obiema dłońmi przyglądając włosy. Spróbowała przywołać z powrotem ten sen; nie dla rozkoszy, lecz dla informacji; chciała powrócić do jego środka, żeby się dowiedzieć, kto to był. Nie Michael. Nie. To było w tym złe.

Boże, pomyślała. Zdradziłam go z nikim. Przycisnęła dłonie do policzków.

Bardzo rozgrzane. Nadal czuła niedawną, rozedrganą, odbierającą siły rozkosz.

– Jak długo jeszcze do lądowania w Nowym Orleanie? – zapytała przechodzącą stewardessę.

– Trzydzieści minut. Czy ma pani zapięty pas?

Dotknęła dłonią klamry; odchyliła się do tyłu, z przyjemnością pozwalając mięśniom na całkowite rozluźnienie. W jaki sposób coś takiego mogło stać się we śnie? Jak to mogło zajść aż tak daleko?

Kiedy była trzynastoletnią dziewczynką, nawiedzały ją podobne sny; nie miała jeszcze wtedy pojęcia, że to naturalne, nie wiedziała też jak ma sobie z tym radzić. Ale wtedy zawsze, mimowolnie budziła się przed końcem. Lecz tym razem wszystko potoczyło się własnym torem. A najdziwniejsze jest to, że czuła się zgwałcona, jakby kochanek ze snu wziął ją siłą. Nie, to doprawdy niedorzeczne. Jednak było to nieprzyjemne uczucie, a do tego niezwykle silne.

Zgwałcona...

Położyła pod kocem ręce na piersiach, jakby osłaniając je przed czymś. Ale czyż to nie absurdalne? Zresztą, to wcale nie był gwałt.

– Czy podać pani przed lądowaniem coś do picia?

– Nie. To znaczy tak, kawę. – Zamknęła oczy. Kim był kochanek ze snu? Nie miał twarzy ani imienia. Tylko ten dotyk kogoś delikatniejszego niż Michael, jakiejś niemal eterycznej istoty; w każdym razie to właśnie określenie przyszło jej na myśl. Mówił coś do niej; chociaż nie była tego pewna; wszystko, oprócz wspomnienia rozkoszy, rozwiało się.

Dopiero, kiedy wyprostowała się w fotelu, żeby wypić kawę, zdała sobie sprawę, że czuje między nogami lekki ból. Prawdopodobnie następstwo silnego skurczu mięśni. Chwała Bogu, że nie było w pobliżu innych pasażerów; nikogo na sąsiednim siedzeniu, ani po drugiej stronie przejścia. Ale przecież, gdyby nie była schowana pod kocem, nigdy nie pozwoliłaby temu zajść aż tak daleko. To znaczy, jeśli zdołałaby się obudzić. Jeśli miałyby wybór.

Czuła się taka śpiąca!

Bez pośpiechu wypila łyk kawy i podniosła białą, plastikową roletę.

W dole ciągnęły się zielone moczary, nasycone światłem popołudniowego słońca. Ciemnobrażowa rzeka wila się jak wąż, owijając wokół dalekie miasto. Nagle poczuła podniecenie. Prawie na miejscu. Ryk silników podchodzącego do lądowania samolotu stał się głośniejszy i bardziej chrapliwy.

Nie chciała już więcej myśleć o tym śnie. Szczerze pragnęła, żeby się jej nigdy nie przyśnił. Nagle wydał się okropnie przykry; czuła się zbrukana, zmęczona i wściekła. Czuła też niesmak. Chciała myśleć o swojej matce, i o tym, że zobaczy Michaela.

Z Dallas dzwoniła do Jerry'ego Lonigana. Salon był otwarty. Kuzyni już się zjeżdżali. Telefonowali od samego rana. Msza miała się zacząć o trzeciej po południu, nie musi się więc denerwować. Wystarczy, jeśli przyjedzie prosto z Pontchartrain, kiedy tylko tam się zjawi.